

Królowa Potępionych

Rice Anne



calibre 0.9.27

Anna Rice

Królowa Potępionych

Ta książka jest dedykowana z miłością

Stanowi Rice'owi, Christopherowi Rice'owi

i Johnowi Prestonowi,

a także pamięci moich ukochanych redaktorów:

Johna Doddsa i Williama Whiteheada

Królik tragiczny

Oto rysunek, królik tragiczny.

Uszy w błocie jak młode zielone kukurydze.

Czarnego czoła lusterko odbija gwiazdy.

Rysunek na mojej ścianie, samotny,

jak to z zającami bywa

lub nie. Tłuste czerwone policzki -

sztuka pełnym pyszczkiem - nos drży

nawykiem nie do przewyciężenia.

I ty królikiem możesz być; zielony i czerwony

twój grzbiet, niebieska ludzka wątła pierś.

Lecz jeśli kiedyś znęci cię królicza postać,

Prawdziwego Ciała strzeż się, ono

strąci cię z tragicznego konia,

przeniknie tragiczne szeregi niczym zjawia

marmur; twoje rany zasklepią się

tak szybko, że

woda zbieleje z zazdrości.

Króliki namalowane na białym papierze
przemogą wszelkie czary, na nic króliczy chów,
i uszy - kukurydze rogową zalśni silnią.

Więc strzeż się smaku tragicznego życia –

bo w tej króliczej paści

każda barwa błyszczy niczym słońca miecz,

a Najwyższy wcielił się w nożyczki, czy tego chcesz czy nie.

Stan Rice „Owieczka nie byle jaka” (1975)

Jestem Lestat. Wampir. Pamiętacie mnie? Tego wampira, - który stał się idolem rocka i spłodził

autobiografię? Tego o blond włosach, szarych oczach i nienasyconym głodzie sławy? Pamiętacie, chciałem być symbolem zła w świetlistym stuleciu, w którym nie ma miejsca na takie wcielone zło jak ja. Nawet doszedłem do wniosku, że mogę zrobić coś dobrego w tej skórze - grając czarta na deskach estrady.

Właśnie zaczęło mi się powodzić, kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni. Byłem po debiucie w Nowym Jorku - pierwszym koncercie na żywo moim i mojej grupy śmiertelników. Nasz album odniósł wielki sukces. Moja autobiografia była rozchwytywana, zarówno przez umarłych, jak i przez nieumarłych.

Wtem nastąpiło coś całkowicie nieoczekiwanego. Hm, przynajmniej dla mnie. Kiedy się rozstawaliśmy, wisiałem na przysłowiowej krawędzi przepaści.

No cóż, jest po wszystkim - mam na myśli dalsze wypadki. Oczywiście przeżyłem. W

przeciwnym razie nie rozmawiałbym z wami. A kosmiczny pył w końcu osiadł i małe rozdarcie w tkaninie racjonalnej wiary zostało zaszyte; a przynajmniej zasłonięte.

Teraz, gdy mam to już za sobą, jestem trochę bardziej smutny, trochę bardziej wredny, a także trochę bardziej czujny. Jestem również nieskończenie bardziej potężny, chociaż człowiek, który we mnie żyje, jest bliżej świata niż kiedykolwiek przedtem - ta niespokojna, głodna istota, darząca jednocześnie miłością i nienawiścią niepokonaną nieśmiertelną muszlą, w której mnie zamknęto.

A głód krwi? Nienasycony; chociaż sama krew nigdy nie była mi bardziej niepotrzebna.

Możliwe, że teraz potrafiłbym już bez niej funkcjonować. Ale żądza, którą budzi we mnie wszystko, co żyje, powiada mi, iż nigdy nie wystawię się na próbę owego postu.

Zresztą rzecz nie sprowadza się do potrzeby krwi, chociaż krew to coś najbardziej zmysłowego, czego żywa istota mogłaby pożądać; chodzi o niepojętą intymność tego momentu - chwili, w której pijesz, zabijasz - chodzi o ten wielki taniec dwóch serc, kiedy ofiara słabnie, a ja czuję, że rosnę, łykając śmierć, przez ułamek sekundy jaśniejącą, ogromną jak życie.

Jednak to zwodnicze wrażenie. Żadna śmierć nie dorównuje życiu... i pewnie dlatego wciąż o nim mówię, no nie? Jestem teraz tak daleko od zbawienia jak nigdy. A fakt, że o tym wiem, przysparza mi tylko więcej bólu.

Oczywiście nadal mogę uchodzić za człowieka; wszyscy z naszych to potrafią, tak lub inaczej, bez względu na to, jak ciężki bagaż lat dźwigamy. Podniesiony kołnierz, kapelusz nasunięty na czoło, ciemne rękawiczki, ręce w kieszeniach - ot, i cała sztuczka. Teraz lubię wskakiwać w dopasowane skórzane kurtki i wąskie dżinsy - to wygodny kostium. A zwykłe traktory z czarnej skóry znakomicie nadają się do chodzenia po każdej nawierzchni. Jednak od czasu do czasu noszę coś bardziej wyszukanego, na przykład jedwabie lubiane przez ludzi w tym kraju o ciepłym, południowym klimacie, gdzie teraz zamieszkuję.

Gdy już ktoś zaczyna mi się przyglądać zbyt natarczywie, wtedy wystarczy miły telepatyczny komunikik: „Jestem całkowicie normalny, nie ma żadnej sprawy”. Uśmiecham się promiennie w swoim najlepszym stylu, ładnie chowając kły, i śmiertelny oddala się swoją drogą.

Od czasu do czasu odrzucam wszelkie kostiumy; wychodzę na miasto dokładnie taki, jaki jestem. Długie włosy, aksamitna kurtka, której pieszczotliwy dotyk przywodzi mi na myśl dobre stare czasy, i kilka szmaragdowych pierścieni na palcach prawej dłoni. Idę szybko przez centrum tego cudownego, zepsutego południowego miasta lub włóczę się plażami, stąpając po piaskach, które lśnią bielą jak księżyc, i wdychając ciepłą południową bryzę.

Muskają mnie tylko przelotne spojrzenia. Wokół dzieje się zbyt wiele niewytłumaczalnych spraw; pochłaniają nas koszmary, groźby, tajemnice, a potem w niewytłumaczalny sposób rozczarowują. Wracamy znowu do zgiełku przewidywalnego. Królewicz nie przybędzie i wszyscy o tym wiedzą, a Śpiąca Królewna chyba już umarła.

Podobnie jest z innymi, którzy przeżyli wraz ze mną i dzielą się tym upalnym zakątkiem rozpasanej zieloności na krawędzi świata - południowo-wschodnim wypustkiem Ameryki Północnej, połyskliwą metropolią Miami, rozkosznym terenem łowieckim złaknionych krwi nieśmiertelnych, jeśli kiedykolwiek było takie miejsce.

Dobrze jest mieć obok siebie tych innych; prawdę mówiąc, to zasadnicza sprawa i jak mi się zawsze wydawało, niezbędna; zacny sabat wybitnej, wytrzymałej starszyny i zuchwałej młodzieży.

Lecz cóż, męka anonimowości pośród śmiertelnych nigdy nie była gorsza dla tego chciwego potwora, którym jestem. Łagodny szmer nieśmiertelnych głosów nigdy nie zdoła mnie wytrącić ze splinu. Smak sławy pośród śmiertelnych jest zbyt uwodzicielski - albumy płytowe w witrynach, wielbiciele skaczący i klaszczący przed sceną. Nieważne, że wcale nie wierzyli w to, iż naprawdę nie jestem wampirem; w tamtej chwili byliśmy razem. Skandowali moje imię!

Teraz albumy płytowe zniknęły i nigdy już nie usłyszę tamtych piosenek. Książka pozostanie -

obok „Wywiadu z wampirem” - pod bezpieczną maską beletrystyki i może tak właśnie być powinno. Dość kłopotów sprawiłem swoją osobą. Jeszcze się o tym przekonacie.

Klęska - oto, do czego udało mi się doprowadzić moimi gierkami! Ja, wampir, który wreszcie dostał tę wymarzoną szansę, aby w najbardziej odpowiedniej chwili stać się bohaterem i męczennikiem...

Pewnie myślicie, że wyniosłem z tego jakąś naukę? A żebyście wiedzieli. Wyniosłem.

Naprawdę wyniosłem.

Jednak musieć odpełznąć w cieniu to piekielnie boli - Lestat znów jest tylko smukłym, bezimiennym, morderczym monstrum czyhającym na śmiertelnych, wykorzystującym ich nieświadomość naszego istnienia. Cierpię, znów skazany na rolę wyrzutka; zawsze poza nawiasem, borykający się z dobrem i złem we własnym wiekowym piekle ciała i duszy.

W obecnym odosobnieniu marzę o tym, że natrafiam w skąpanej blaskiem księżycą komnatce na jakąś milutką istotkę - jedną z tych słodkich małych, jak je obecnie nazywają - która przeczytała moją książkę i słuchała moich piosenek; jedną z tych idealistycznych rozkoszniczek piszących do mnie w tamtym krótkim okresie nieszczęsnej glorii pełne uwielbienia listy na perfumowanym papierze, mówiące o poezji i sile iluzji oraz wyrażające żal, że nie jestem naprawdę tym, za kogo się podaję; marzę o wślizgnięciu się do jej ciemnego pokoiku, gdzie na nocnym stoliczku być może leży moja książka z aksamitną zakładką w środku; marzę o tym, iż dotykam jej ramienia i uśmiecham się, kiedy spoglądamy sobie w oczy.

- Lestat!... Zawsze wierzyłam, że żyjesz. Wiedziałam, że się zjawisz!

Pochyliam się, gotów złożyć usta na jej ustach, i ujmuję jej twarz w dłonie.

- Tak, kochanie - odpowiadam - i nie wiesz, jak cię potrzebuję, jak bardzo cię kocham, i od jak dawna.

Być może okaże się, że z powodu tego, co mi się przytrafiło, owych nieoczekiwanych koszmarów, których byłem świadkiem, i nieuniknionych mąk, które wycierpiałem, będę w jej oczach bardziej urzekający niż wtedy, gdy owe nieszczęścia były jeszcze przede mną. To straszliwa prawda, iż cierpienie dodaje głębi naszym myślom i nieodpartego uroku rysom, że nasycy tembr głosu. Pod warunkiem jednak, że wcześniej nie wypali optymizmu, ducha i wyobraźni, a także szacunku wobec prostych, jednakże nieodzownych przejawów życia.

Proszę, wybaczenie, jeśli w tych słowach przebrzmiewa gorzkość.

Nie mam do niej żadnego prawa. Ja zacząłem to wszystko i jak to mówią: nie spadł mi włos z głowy, podczas gdy tak wielu osobników naszego gatunku spotkał kres, nie mówiąc o tym, ilu śmiertelnych dotknęły cierpienia, co jest już nie do wybaczenia. Niewątpliwie to mnie będzie wystawiony rachunek.

Jednak musicie wiedzieć, że nie do końca pojmuję, co naprawdę się wydarzyło. Nie wiem, czy miałem do czynienia z tragedią czy też nie lub czy była to jedynie błahostka. Nie mam też pojęcia, czy moje pomyłki mogły być zaczynem czegoś, co w końcu jednak wyniosłoby mnie z tego koszmarne obszaru, w którym nic nie ma istotnego znaczenia, do krainy rozjaśnionej błogosławionym blaskiem zbawienia.

Tego również nigdy się nie dowiem. Rzecz sprowadza się do jednego - jest już po wszystkim.

Nasz świat - nasze malutkie księstwko - jest mniejsze, mroczniejsze i bezpieczniejsze niż kiedykolwiek i już nigdy nie będzie takie jak kiedyś.

To cud, że nie przewidziałem tamtego kataklizmu, ale cóż, jako żywo nie potrafię przewidzieć, jak skończy się to, co zaczynam. Fascynuje mnie ryzyko, chwila, w której liczba możliwości ociera się o nieskończoność. Kiedy wszelkie inne wabiki zawodzą, ten jeden potrafi znieść mnie z drugiego krańca wieczności.

W gruncie rzeczy jestem taki jak wtedy, dwieście lat temu, wciąż jak żywa istota niecierpliwy, niespokojny, zawsze chętny do miłości i wesołej burdy. Gdy w latach osiemdziesiątych siedemnastego wieku wyruszyłem do Paryża, aby zostać aktorem, nie sięgałem wyobraźnią poza tę magiczną chwilę, w której kurtyna idzie w górę.

Może starsi mają rację. Mam na myśli prawdziwych nieśmiertelnych, tysiącletnich krwiopijców, którzy mówią, że tak naprawdę nikt z nas nie zmienia się z czasem, lecz jedynie dociera bliżej istoty swej natury.

Innymi słowy, kiedy żyjesz setki lat, stajesz się mądrzejszy; ale może się również okazać, że twoi wrogowie mieli rację, twierdząc, że przewredna z ciebie kreatura.

Jestem więc tym samym czartem co zawsze, tym młodzieńcem, który nieodmiennie pojawia się na środku sceny, w blasku reflektorów, tam gdzie jest najlepiej widoczny, w tym właśnie miejscu, ku któremu wrywają się wszystkie serca. Samotność to nic dobrego. Na niczym nie zależy mi tak bardzo jak na tym, aby was zabawić, oczarować, zatrzeć w waszej pamięci wszystkie swoje występki... Lecz obawiam się, że rzadkie chwile tajnego zbliżenia i rozpoznania nigdy nie wystarczyłyby, aby to osiągnąć.

Jednak uprzedzam fakty, czyż nie?

Jeśli czytaliście moją autobiografię, zapewne pragnęlibyście wiedzieć, o czym mówię, jaką to katastrofę mam na myśli.

No cóż, dokonajmy przeglądu tego, co się zdarzyło, zgoda? Jak już wspomniałem, napisałem książkę i nagrałem płytę, gdyż chciałem być zauważony, pragnąłem, by widziano mnie takim, jaki jestem, choćby nawet publiczność uznała moją postać za symboliczną maskę.

A myśl, że śmiertelni mogliby mnie przejrzeć, zdać sobie sprawę, iż moje słowa nie kłamią, dostarczała mi tylko dodatkowej podniety. Moim najśłodszy pragnieniem było ściągnięcie na nas

rozszałałej sfory, zniszczenia. Nie zasługujemy na życie; powinniśmy zostać starci z powierzchni ziemi. Myśl o przyszłych bataliach wprowadzała mnie w uniesienie! Ach, walczyć z tymi, którzy znają moje prawdziwe oblicze. Jednak tak naprawdę nigdy nie spodziewałem się takiej konfrontacji, a maska rockowego idola okazała się aż nazbyt znakomitą przykrywką dla czarta mojej klasy.

To pobratymcy uznali mnie za tego, za kogo się podawałem, to oni zdecydowali się ukarać mnie za to, com uczynił. I w ten sposób, rzecz jasna, zatańczyli, jak im zagrałem.

Przecież w swojej autobiografii opowiedziałem naszą historię, nasze najtajniejsze sekrety, rzeczy, których poprzysiągłem nigdy nie wyjawiać. Paradowałem przed rozjarzonymi reflektorami i obiektywami kamer. A co by się stało, gdyby jakiś naukowiec przejrzał mnie na wskroś lub, co bardziej prawdopodobne, jakiś nadgorliwy funkcjonariusz policji zatrzymał mnie za jakieś drobne wykroczenie pięć minut przed wschodem słońca, po czym dziwnym trafem osadzono by mnie w areszcie, sprawdzono, zidentyfikowano i uznano za supertajną zdobycz - a wszystko to za dnia, kiedy jestem bezwolny - ku satysfakcji najgorszych śmiertelnych sceptyków na kuli ziemskiej?

Zgoda, wydawało się to niezbyt prawdopodobne! I nadal się takie wydaje. (Chociaż przysporzyłoby mi niewiarygodnej uciechy, zupełnie niewiarygodnej!) Niemniej jednak było nieuniknione, że moi pobratymcy wpadną w szal z powodu ryzyka, które podejmowałem, że będą chcieli spalić mnie żywcem czy też posiekać na drobne nieśmiertelne kawałeczki. Większość młodzieży była zbyt głupia, aby zdać sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy bezpieczni.

W miarę jak zbliżał się termin koncertu, coraz częściej przyłapywałem się na tym, że marzę również o tych bataliach. Cóż to byłaby za rozkosz zniszczyć tych, którzy dźwigali bagaż zła równy mojemu, siać spustoszenie wśród winnych, raz za razem powalać odbicia mojej własnej osoby.

Jednakże tak naprawdę wszystko sprowadzało się do jednego - do bycia tam, tworzenia muzyki, widowiska, magii! Chciałem w końcu żyć życiem śmiertelnym. Chciałem być po prostu człowiekiem. Tamten śmiertelnik, aktor, który udał się do Paryża dwa wieki temu i napotkał

śmierć na bulwarze, nareszcie będzie miał swoje pięć minut.

Lecz wróćmy do przeglądu wydarzeń; koncert był wielkim sukcesem. Przeżyłem chwilę triumfu przed piętnastoma tysiącami wrzeszczących śmiertelnych fanów; a ponadto były tam ze mną moje dwie największe nieśmiertelne miłości - Gabriela i Louis - moje pisklęta, moi kochankowie, od których byłem oddzielony przez nazbyt wiele mrocznych lat.

Noc nie dobiegła jeszcze końca, gdy ssaliśmy uprzykrzone wampiry, które usiłowały ukarać mnie za moje czyny. Jednak podczas tych drobnych utarczek mieliśmy niewidzialnego sojusznika; naszych wrogów pochłonęły płomienie, zanim zdolali wyrządzić nam krzywdę.

A gdy zbliżał się brzask, euforia po niezwyklej nocy nie pozwoliła mi potraktować niebezpieczeństwa na serio. Ignorowałem namiętne ostrzeżenia Gabrieli; byłem zbyt rozanielony, mając ją wreszcie w objęciach. Odrzucałem też mroczne podejrzenia Louisa, nie inaczej niż zawsze.

Aż wtem wszystko się skłębilo i zawisłem na krawędzi przepaści...

Właśnie w chwili, gdy słońce wstawało nad Carmel Valley i układałem się do snu, jak każe natura wampirów, zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam w swym podziemnym leżu. Moja muzyka dotarła nie tylko do młodych wampirów, lecz wytrąciła z sennego otępienia najstarszych na świecie z naszego gatunku.

Przeżyłem wówczas jeden z tych zapierających dech w piersiach momentów, gdy wielkość ryzyka splata się z wielością szans. Co mnie czekało? Natychmiastowa śmierć czy też powtórne narodziny?

* * *

Aby opowiedzieć wszystko, co się potem wydarzyło, muszę sięgnąć pamięcią wstecz, do dni poprzedzających fatalny koncert, i odsłonić wam serca i umysły innych istot, których reakcji na moją muzykę i książkę wówczas jeszcze nie znałem.

Innymi słowy, działo się wiele rzeczy, które wymagały rekonstrukcji. I tę właśnie rekonstrukcję zamierzam wam przedstawić.

Tak więc porzucimy ciasne, liryczne ograniczenia pierwszej osoby liczby pojedynczej; śladem tysięcy innych pisarzy zajrzemy do dusz i umysłów wielu postaci. Z rozmachem wkroczymy w świat trzeciej osoby liczby pojedynczej i przyjmujemy mnogość punktów widzenia.

Przy okazji, kiedy ci inni myślą lub mówią, że jestem piękny lub zniewalający, nie sądźcie, iż wyrażam w ten sposób swoje opinie. Skądże! Tak właśnie o mnie mówiono, to właśnie wyczytałem w ich myślach swoją niezawodną telepatyczną mocą; nie kłamałbym zresztą w żadnej sprawie. Nic na to nie poradzę, że zabójczo przystojny ze mnie czart. Po prostu wyciągnąłem taką kartę. Ten drański potwór, który uczynił mnie tym, kim jestem, wybrał właśnie mnie z racji mojego powabu, oto cała prawda na ten temat. Każdy może zostać śliweczką w takim diabelskim kompocie.

W gruncie rzeczy żyjemy w świecie przypadku, w którym możemy być pewni jedynie stałości zasad estetycznych. Słusznie czy nie, walczymy z wiecznością, usiłując stworzyć i utrzymać równowagę etyczną; ale rzucające na kolana piękno letniego deszczu migoczącego w świetle ulicznych latarni lub potężnych błysków artylerii na tle nocnego nieba jest bezsporne.

Jednego możecie być pewni; chociaż was opuszczam, powrócę w olśniewającym stylu, kiedy będzie trzeba. Zdradzę wam prawdę: nie cierpię nie być narratorem od początku do końca!

Parafrazując Dawida Copperfielda - nie wiem, czy jestem bohaterem czy ofiarą w tej opowieści.

Tak czy inaczej jednak, dlaczego miałbym w niej dominować? W gruncie rzeczy tak naprawdę to ja ją opowiadam.

Niestety, istota sprawy nie sprowadza się do tego, że jestem Jamesem Bondem wśród wampirów, i nie chodzi o to, by zaspokoić moją próżność. Chcę, byście wiedzieli, co się naprawdę wydarzyło, nawet gdybyście nigdy nie mieli w to uwierzyć. Muszę nadać tej historii odrobinę sensu, odrobinę spójności, jeśli nie gdzie indziej, to w świecie beletrystyki, inaczej oszaleję.

A więc jeszcze się spotkamy; myślę o was stale, kocham was, chciałbym mieć was tu... w swoich

ramionach.

Wstęp

Oświadczenie w postaci graffiti

(napisane czarnym flamastrem na czerwonej ścianie tylnej sali baru U Córy Drakuli w San Francisco)

Dzieci Ciemności,

weźcie pod rozwagę, co następuje:

KSIĘGA PIERWSZA: „Wywiad z wampirem”, opublikowany w 1976 roku, był opisem autentycznych wydarzeń. Każdy z nas mógłby o tym opowiedzieć - o dochodzeniu do naszej kondycji, naszej nędzy i rozpacz, a także o poszukiwaniach. Tymczasem Louis, liczący sobie dwieście lat nieśmiertelny, domaga się moralnego współczucia. Lestat, złoczyńca, który przekazał mu Mroczny Dar, dołączył do tego jeszcze cenny drobiażdżek w postaci wyjaśnień czy też pocieszenia. Czy to się wam aby z czymś nie kojarzy? Jak do tej pory, Louis nie zrezygnował

z poszukiwania wybawienia, chociaż nawet Armand, najstarszy nieśmiertelny, którego udało mu się znaleźć, nie zdołał mu pomóc ani też wytłumaczyć, za czyją przyczyną jesteśmy na tym świecie. Ale nie ma w tym nic bardzo zaskakującego, nieprawdaż, wampiry, chłopcy i dziewczęta? W gruncie rzeczy wampiry nigdy nie miały czegoś takiego jak owa wykładnia wiary, Katechizm Baltimorski.

To znaczy, nie miały, dopóki nie opublikowano w tym tygodniu:

KSIĘGI DRUGIEJ: „Wampira Lestata”; podtytuł: „Pierwsze nauki i przygody”. Nie wierzycie?

Sprawdźcie u najbliższego śmiertelnego księgarza. Potem udajcie się do najbliższego sklepu muzycznego i zapytajcie o płytę, która właśnie się ukazała - również zatytułowaną „Wampir Lestat”, z całą dającą się przewidzieć skromnością. A gdy wszelkie wasze usiłowania zawiodą, włączcie kablówkę, jeśli nie traktujecie tego rodzaju urządzeń z obrzydzeniem, i poczekajcie na któryś z licznych wideoklipów, nadawanych z koszmarną częstotliwością dopiero od wczoraj.

Natychmiast przekonacie się, ile Lestat jest wart. I może nie będziecie wcale tacy zaskoczeni na wieść, że bynajmniej nie zamierza on poprzestać na tych niespotykanych występach, ale planuje debiutancki koncert na żywo, nie gdzie indziej, a właśnie w tym mieście. Tak, w Halloween, zgadliście.

Niemniej jednak puśćmy na chwilę w niepamięć chorobliwie wyzywający błysk jego niesamowitych oczu, bijący z witryn wszystkich sklepów muzycznych, lub jego potężny głos, wyśpiewujący tajne imiona i biografie najbardziej wiekowych spośród nas. Dlaczego on robi to wszystko? Co nam mówią jego piosenki? Wyznał to bez ogródek w swojej książce. Dał nam nie tylko katechizm, ale i biblię.

Musimy sięgnąć aż do czasów biblijnych, by spojrzeć w twarz naszym pierwszym rodzicom: Enkilowi i Akaszy, władającym w dolinie Nilu, zanim ktokolwiek nazwał ją Egiptem. Łaskawie

pomińmy cały bełkot o tym, jak zostali pierwszymi krwiopicjami chodzącymi po Ziemi - mający w gruncie rzeczy niewiele więcej sensu niż opowieść o powstaniu życia na tej planecie - lub o tym, jak płód rozwija się z mikroskopijnych komórek w łonie śmiertelnej matki. Prawda wygląda tak, że pochodzimy od tej czcigodnej pary, i czy się nam to podoba czy nie, są istotne powody, aby wierzyć, iż pierwotny sprawczy zarodek wszystkich naszych cudownych i niezastąpionych mocy spoczywa w jednym z tych prawiecznych ciał, a może w nich obu. Co to oznacza? Mówiąc bez ogródek, gdyby Akasza i Enkil weszli razem do pieca, wszyscy spłonęlibyśmy wraz z nimi.

Gdyby zostali zmiażdżeni na migotliwy pył, rozpadlibyśmy się w nicość.

Jest jednak nadzieja. Ta para nie drgnęła od ponad pięćdziesięciu wieków! Tak, dobrze przeczytaliście. Oczywiście, jeśli nie potraktujemy poważnie wersji Lestata, który utrzymuje, że wzruszył ich, grając na skrzypcach u stóp sanktuarium. Pomińmy jednak jego ekstrawagancką opowieść o tym, jak to Akasza wzięła go w ramiona i podzieliła się z nim swoją pradawną krwią, a będziemy mieli do czynienia z bardziej prawdopodobnym stanem rzeczy, potwierdzonym przez dawne relacje: tamtych dwoje nie mrugnęło powieką od czasów poprzedzających upadek cesarstwa rzymskiego. Przez cały ten czas byli trzymeni w zacisznej prywatnej krypcie przez Mariusza, wiekowego wampira z czasów starożytnego Rzymu, który dobrze wie, co jest dla nas najlepsze. To właśnie on nakazał wampirowi Lestatowi, by nigdy nie wyjawiał tego sekretu.

Niezbyt godny zaufania powiernik z tego Lestata. Jakież to motywy kryją się za tą książką, za płytą, za wideoklipami czy koncertem? Zamysłów owego czarta nie sposób przejrzeć, ale jednego możemy być pewni: wszystko, co uknuje, przeprowadzi co do joty. Czyż nie stworzył

dziecka-wampira? I czyż nie uczynił wampirzycą własnej matki, Gabrieli, która lata całe była mu kochającą towarzyszką życia? Ten diabeł, powodowany tylko głodem ekscytacji, gotów zapragnąć papieskiej tiary!

Oto istota sprawy: Louis, filozof-włóczykij, którego nikt z nas nie potrafi odnaleźć, przekazał

nasze najgłębsze etyczne tajemnice niezliczonym rzeszom obcych. A Lestat miał czelność odkryć światu sekret naszej historii, ujawniając swoje nadprzyrodzone zdolności śmiertelnemu ogółowi, wszem wobec.

Powstaje pytanie: czemu ci dwaj wciąż cieszą się życiem? Czemu ich jeszcze nie zniszczyliśmy?

Och, nie ulega wątpliwości, że zagraża nam niebezpieczeństwo ze strony tłuszczy śmiertelników, chociaż jak do tej pory, wieśniacy z żagwiami w łapach nie załomotali do wrót zamczyska.

Poglądy śmiertelnych to dziwka, a ten potwór wie, jak się do niej umizgać, żeby zawrócić jej w głowie. I chociaż jesteśmy zbyt inteligentni, by wzbogacić ludzką wiedzę, potwierdzając jego głupie wymysły, są one tak niesłychane, że nie mogą się równać z niczym, co wydarzyło się do tej pory. To nie może ujść mu na sucho.

Przemyślenia dalsze: jeśli opowieść wampira Lestata jest prawdziwa - a wielu przysięgłoby, że tak, chociaż nikt nie potrafi wytłumaczyć, na czym opiera to przekonanie - czemu liczący sobie dwa

tysiące lat Mariusz nie zjawi się i nie ukarze nieposłuszeństwa swojego powiernika? A król i królowa, jeśli mają uszy do słuchania, obudzą się na dźwięk swoich imion niesionych na falach radiowych wokół naszej planety? Co się z nami wtedy stanie? Czy uda się nam pomyślnie trwać pod nowym panowaniem, czy też nastawią zapalnik na powszechne unicestwienie? I czy w obu przypadkach szybkie zniszczenie wampira Lestata nie odwróciłoby biegu wydarzeń?

Plan: zniszczyć wampira Lestata i wszystkich jego popleczników, kiedy tylko ośmielą się pokazać. Zniszczyć wszystkich, którzy okażą mu lojalność.

Ostrzeżenie: nie da się zaprzeczyć, że są na świecie inni bardzo starzy krwiopijcy. Wszyscy od czasu do czasu przelotnie ich widzimy bądź czujemy ich obecność. Sprawy ujawnione przez Lestata są nie tyle wstrząsem, ile ostrogą dla naszej uśpionej części świadomości. Obdarzona wielkimi mocami starszyzna na pewno słyszała muzykę Lestata. Jakie wiekowe i straszliwe istoty, pobudzone przeszłością, własnym interesem lub choćby znajomością sprawy, ciągną z wolna i niepowstrzymanie w odpowiedzi na jego wezwania?

* * *

Kopie tego oświadczenia rozesłano do każdego miejsca spotkań Wampirzego Zjednoczenia i każdego domu sabatowego na całym świecie. Jednak niezależnie od tego musicie wziąć sobie do serca tę sprawę i rozesłać wici: wampir Lestat ma być zniszczony, a z nim jego matka, Gabriela, jego poplecznicy, Louis i Armand, a także każdy śmiertelny lojalny względem niego.

Szczęśliwego Halloween, chłopcy i dziewczęta wampiry. Postarajmy się być na koncercie.

Postarajmy się, żeby wampir Lestat nigdy z niego nie wyszedł.

* * *

Blond osobnik w czerwonej welwetowej kurtce kolejny raz czytał oświadczenie. Zajmował

wygodny punkt obserwacyjny głęboko w kącie. Jego oczy były prawie niewidoczne, przysłonięte mocno przyciemnionymi szklami i rondem popielatego kapelusza. Na dłoniach miał popielate zamszowe rękawiczki; siedział oparty o wysoką czarną boazerię, ramiona skrzyżował na piersi, a obcas zahaczył o krzesło.

- Lestacie, niedościgniony drań z ciebie! - szepnął pod nosem. - Jesteś księciem wśród łobuzów.

- Roześmiał się cicho. Potem uważnie przesunął wzrokiem po dużej zacienionej sali.

Z przyjemnością oceniał freski na białej gipsowej ścianie - rysunek czarnym atramentem, misterny jak pajęczka sieć. Był urzeczony zrujnowanym zamkiem, cmentarzem, uschniętym drzewem sięgającym tarczy księżycy rozcapierzonymi konarami. Całym sercem pochwalał

wybór artysty i banalny temat wydawał mu się świeży, jakby nie ograny. Znakomita była też sztukateria sufitu, fryz ze swawolącymi diabłami i wiedźmami na miotłach. No i kadzidło, słodka stara hinduska mieszanka, którą wieki temu sam zapalił w sanktuarium Tych Których Należy Mieć w

Opiece.

Tak, to było jedno z piękniejszych tajnych miejsc schadzek.

Mniej przyjemni byli ci, którzy je wypełniali, zbieranina wychudłych białych postaci, przesiadujących nad świeczkami przy hebanowych stoliczkach. Zbyt wielu ich, jak na to cywilizowane nowoczesne miasto. Sami zresztą dobrze o tym wiedzieli. Żeby zapolować dziś w nocy, będą musieli rozproszyć się szeroko i daleko; młodziki zawsze muszą polować, muszą zabijać - ich głód jest zbyt wielki, aby można było zaspokoić go inaczej.

Teraz jednak myśleli wyłącznie o nim - kim jest, skąd przybywa? Czy jest bardzo stary, bardzo silny i co uczyni, zanim opuści to miejsce? Zawsze te same pytania, chociaż wślizgując się do barów wampirów, starał się przybierać wygląd przeciętnego krwiopijcy-obejzyswiata; nie patrzył

nikomu w oczy, nie dopuszczał nikogo do swoich myśli.

Czas zostawić ich ze swoimi pytaniami. Zdobył to, co chciał, zapoznał się z ich intencjami. I miał w kieszeni kurtki małą kasetę magnetofonową z nagraniami Lestata. Zanim powróci do siebie, zdobędzie jeszcze taśmę z wideoklipami.

Skierował się do wyjścia. Wraz z nim podniósł się również jeden z młodzików. Zapadła głucha cisza, zarówno w myślach, jak i na sali, kiedy obaj zbliżali się do drzwi. Poruszały się tylko płomyki świec, a falowanie ich odbić w czarnych płytkach podłogi sprawiło, że zadrżała jak lustro wody.

- Skąd jesteś, nieznajomy? - zapytał uprzejmie młodzik. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, kiedy umarł, a i to nie mogło być dawniej niż dziesięć lat temu. Malował sobie powieki, powlekał woskiem wargi, kładł na włosy krzyczącą farbę, jakby nie wystarczały mu nadnaturalne zdolności. Wyglądał ekstrawagancko, jakże inaczej od niego samego, rzadkiego i potężnego ducha, który przy pewnym szczęściu przetrwa tysiąclecia.

Co takiego mu proponowali w swoim współczesnym żargonie? Że powinien poznać Bardo, Astralną Równinę, eteryczne światy, muzykę sfer, dźwięk jednej klaszczącej dłoni?

- Jakie jest twoje stanowisko wobec wampira Lestata i w sprawie Oświadczenia? - odezwał się znowu tubylec.

- Zechciej mi wybaczyć. Wychodzę.

- Ale przecież wiesz, co zrobił Lestat - naciskał młodzik, wsunawszy się między niego i drzwi.

To już było sprzeczne z dobrymi manierami. Uważniej przyjrzał się młodemu zuchwalcowi. Czy powinien zrobić coś, co ich poruszy, co sprawi, że będą mieli o czym mówić przez wieki? Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Lepiej jednak nie. Już niebawem będzie aż nadto podniecających wydarzeń dzięki jego ukochanemu Lestatowi.

- Pozwól, że w odpowiedzi dam ci drobną radę - rzekł spokojnie młodemu inkwizytorowi. - Nie możecie zniszczyć Lestata, nikt nie może tego dokonać. A dlaczego tak jest, tego nie potrafię wam

powiedzieć, możecie mi wierzyć.

To zaskoczyło młodzika i trochę go uraziło.

- Pozwól jednak, że teraz ja zadam ci pytanie - kontynuował jego rozmówca. - Czemu ta obsesja na punkcie wampira Lestata? Co z jego rewelacjami? Czy wy, pisklaki, nie pragniecie szukać Mariusza, strażnika Tych Których Należy Mieć w Opiece? Nie pragniecie ujrzeć na własne oczy Matki i Ojca?

Młodzik zmieszał się, po czym stopniowo zaczęły w nim rosnać opór i zaciętrzewienie. Nie potrafił sformułować jasnej odpowiedzi, ale replika wyraźnie zarysowała się w jego sercu - Ci Których Należy Mieć w Opiece może istnieją, a może nie; Mariusz może również nie istnieć. A wampir Lestat jest prawdziwy, tak prawdziwy, jak tylko ten zuchwały nieśmiertelny mógł sobie wyobrazić, i jest chciwym czartem, który za cenę poklasku i uwielbienia śmiertelnych ryzykował

utrąę prosperity wszystkich swoich pobratymców.

Mało brakowało, a roześmiałyby się młodzikowi w twarz. Cóż za bezsensowna potyczka. Trzeba przyznać Lestatowi, że przepięknie rozumiał tę wyzbytą wiary epokę. Tak, zdradził sekrety, przed których wyjawieniem go ostrzegano, ale czyniąc to, nie zdradził niczego i nikogo.

- Uważajcie na wampira Lestata - powiedział z uśmiechem na zakończenie. - Bardzo niewielu prawdziwych nieśmiertelnych chodzi po tej ziemi. Może być jednym z nich. - Po czym uniósł

młodzika z podłogi, usuwając go sobie z drogi, minął próg i wszedł do głównej sali tawerny.

Frontowe pomieszczenie, przestronne i bogato obwieszane czarnymi aksamitnymi portierami i kinkietami z lakierowanego brązu, szczelnie zapełniali hałaśliwi śmiertelni. Filmowe wampiry roziskrzonym wzrokiem spoglądały z połączanych ram wiszących na zasłoniętych satyną ścianach. Rozbrzmiewające wokół dźwięki organowej toccaty i fugi Bacha dyszały namiętnością, rozmywane gwarem rozmów i gwałtownych wybuchów pijackiego śmiechu. Uwielbiał widok tak intensywnych objawów życia, uwielbiał nawet zadomowiony tu od dobrych stu lat zapach dobrej whisky, wina i papierosów. A gdy przedzierał się do drzwi, z równym uwielbieniem witał napór miękkich, pachnących ludzkich ciał. Uwielbiał to, że żywi nie poświęcali mu krzty uwagi.

Nareszcie wilgotne powietrze, chodniki Castro Street kipiące tłumami wczesnego popołudnia.

Niebo nadal słało połysk polerowanego srebra. Ludzie biegali chyżo we wszystkich kierunkach, uciekając przed lekko zacinającym deszczem, ale na próżno; wielkie, wyłupiaste światła zatrzymywały ich na rogach ulic, by dopiero po dłuższej chwili mrugnięciem zezwolić na przejście.

Głos Lestata dudnił z głośników ustawionych przed sklepami muzycznymi, pokonując warkot przejeżdżających autobusów i syk opon na mokrym asfalcie:

W moich snach jest moja tak,

Anioł, kochanka, matka.

I w moich snach znam smak jej warg,

Kochanki, muzy, córki.

Dała mi życie,

A ja jej śmierć,

Mojej pięknej markizie.

Diablim Szlakiem szliśmy wtedy,

Sieroty, ale razem.

Czy w noc dzisiejszą słyszy mój śpiew

o królach, królowej, prawdach prawiecznych?

Złamanych przysięgach, smutku?

Czy też podąża daleką ścieżką,

gdzie nie dociera rym ani pieśń?

Wróć do mnie, piękna Gabrielo,

Moja piękna markizo.

Ruiny zamku straszą na wzgórzu,

Wioska tonie pod śniegiem,

Lecz ty jesteś moja na zawsze.

Czy ona, jego matka, już tam jest?

Słowa ucichły w łagodnym poszumie elektrycznych instrumentów, po czym pochłonęły je przypadkowe hałasy ulicy. Szedł dalej spacerowym krokiem, oprószony mokrą bryzą, kierując się do rogu. Sprzedawca kwiatów nadal oferował swój towar pod markizą. Rzeźnik miał zalew klientów, którzy dopiero co skończyli pracę. Za witrynami knajpek śmiertelni jedli późny obiad albo po prostu ociągali się z powrotem do domów, czytając gazetę. Spore gromadki czekały na autobus jadący w dół wzgórza, a przed starym kinem naprzeciwko ustawiała się kolejka.

Ona, Gabriela, była tam. Miał co do tego nieuchwytnie, niemniej jednak niezawodne przeczucie.

Kiedy dotarł do rogu, zatrzymał się i oparł o słup żelaznej latarni; wdychał spływający od gór świeży wiatr. Miał przed sobą piękną panoramę śródmieścia wzdłuż szerokiej prostej Market Street. Zupełnie jak widok paryskiego bulwaru. A wszędzie dokoła łagodne stoki miasta osłonięte wesoło

rozjaśnionymi oknami.

Tak, ale gdzie ona teraz jest?

- Gabrielo... - szepnął.

Zamknął oczy. Słuchał. Napłynął ku niemu nieogarniony zgiełk tysięcy głosów, wielość nakładających się na siebie obrazów. Groziło mu, że cały świat otworzy się i pochłonie go swoją nieustającą skargą.

- Gabrielo!...

Ogłuszająca wrzawa cichła niespiesznie. Zauważył przebłysk bólu u przechodzącego śmiertelnika, a w wieżowcu na wzgórzu umierająca kobieta wspomiwała dzieciństwo, siedząc apatycznie w oknie. Wtem napłynęła cisza, nieruchoma i ciężka jak gęsta mgła. I zobaczył to, co chciał zobaczyć - Gabriellę. Zatrzymała się jak wryta. Usłyszała go. Wiedziała, że jest obserwowana. Wysoka blondynka z warkoczem opadającym na plecy stoi nieopodal na jednej z czystych, wyludnionych ulic śródmieścia. Ma na sobie kurtkę khaki, spodnie od kompletu i znoszony brązowy sweter. Kapelusz, bliźniaczo podobny do jego nakrycia głowy, zakrywa jej oczy, widać tylko skrawek twarzy nad podniesionym kołnierzem. Zamknęła swój umysł, skutecznie okrywając się niewidzialną tarczą. Obraz znikł.

Tak, jest tutaj, czeka na swojego synalka, Lestata. Czemu się o nią lękał - on, pełen chłodu, który nie lęka się o nikogo poza Lestatem? Nie ma powodu do obaw. Był zadowolony. Lestat też będzie.

Lecz co z innymi? Co z Louistem, łagodnym Louistem o czarnych włosach i zielonych oczach, który chadzał beztrąsko, nie zważając na to, że każdy może usłyszeć jego głośnie kroki, a nawet pogwizdywał na mrocznych ulicach, tak że śmiertelni słyszeli jego nadejście.

Prawie natychmiast ujrzał Louisa wchodzącego do pustego salonu. Dopiero co wyszedł z ukrytej w murze piwnicznej krypty, gdzie przespał cały dzień. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany. Lekkim krokiem przeciął zakurzony pokój i przystanął, spoglądając przez zabrudzone okno na gęsty strumień pojazdów w dole. To był ten sam stary dom przy Divisadero Street. A ten elegancki i zmysłowy osobnik, który przysporzył pokaźnego zamieszania swoją opowieścią w „Wywiadzie z wampirem”, wcale się tak bardzo nie zmienił. Poza tym, że teraz czekał na Lestata. Tej nocy miał niespokojne sny; bał się o przyjaciela, gnębiły go stare i nowe tęsknoty.

Niechętnie rozstał się z tym wizerunkiem. Darzył Louisa wielkim uczuciem. Niezbyt to mądre z jego strony, ponieważ wyedukowany Louis miał wrażliwą duszę i ani krzty oszałamiającej potęgi Gabrieli i jej potomka z piekła rodem. Niemniej jednak z pewnością mógł przetrwać równie długo jak oni. Jakże przedziwna to odwaga, która pozwala znieść razy cierpienia. Może jej źródłem jest pokora ducha. Ale w takim razie jak zrozumieć Lestata - pokonanego, poranionego, a jednak dźwigającego się z kolan? Lestat bez cienia pokory?

Gabriela i Louis jeszcze nie odnaleźli się nawzajem. Nie szkodzi. Co miał zrobić? Połączyć ich?

Co za myśl... Poza tym Lestat niebawem go w tym wyręczy. Więc tylko się uśmiechał.

- Lestacie, niedościgniony drań z ciebie! Tak, jesteś księciem wśród łobuzów.

Niespiesznie przywołał w pamięci każdy szczegół oblicza i postaci Lestata. Lodowato błękitne oczy, ciemniejące w chwilach rozbawienia; szczodry uśmiech; brwi zbiegające się w wyrazie chłopięcego zachmurzenia; nagle wybuchy dobrego nastroju i bluźnierczego humoru. Potrafił

nawet wyobrazić sobie kocią grację jego ruchów, jakże niespotykaną u mężczyzny atletycznej budowy. I co z niego za siłacz, siłacz nad siłacze, pełen nieokiełznanego optymizmu.

Prawdę mówiąc, nie miał wyważonego sądu na temat całego przedsięwzięcia, był jedynie rozbawiony i zafascynowany. Oczywiście nie było mowy o tym, by mścić się za opowieści o jego sekretach. Tamten niewątpliwie na to liczył, ale nie mógł być tego pewny. A może miał to serdecznie w nosie? On sam wiedział o tym nie więcej niż tamci durnie w tylnej sali.

Co istotne, to fakt, że po raz pierwszy od wielu lat niespodziewanie dla samego siebie myślał w kategoriach przeszłości i przyszłości; precyzyjnie zdawał sobie sprawę z natury tej epoki. Nawet dzieci Tych Których Należy Mieć w Opiece traktowały ich jak bajeczkę! Dawno minęły czasy, w których zapalczywe krwiopicze hultajstwo szukało sanktuarium Matki i Ojca i ich potężnej krwi.

Nikt już w nich nie wierzył i nikt o nich nie dbał!

Taki był w istocie ten wiek; współcześni śmiertelni mieli niesłychanie praktyczne nastawienie, odrzucające każdy przejaw cudowności. Z bezprecedensową odwagą oparli swoje etyczne osiągnięcia bezpośrednio na fundamencie realizmu.

Dwieście lat temu na pewnej wyspie na Morzu Śródziemnym on i Lestat dokładnie przedyskutowali te sprawy, owo marzenie o moralnym świecie bez boga, świecie, w którym jedynym dogmatem byłaby miłość bliźniego. Świecie, do którego nie należymy - pomyślał. A teraz taki właśnie świat był bliski urzeczywistnienia. Wampir Lestat przeszedł do pop-kultury, dokąd wszystkie stare czarty powinny się wynieść i zabrać ze sobą całe to przeklęte plemię, również Tych Których Należy Mieć w Opiece, chociaż ci może nigdy się o tym nie dowiedzą.

Na myśl o symetrii tego wszystkiego nie mógł się nie uśmiechnąć. Przyłapał się na tym, że nie tylko podziwiał czyny Lestata, ale jest pod ich przemożnym urokiem. Rozumiał potęgę syreniego głosu sławy.

Ależ tak, on też przeżył chwilę bezwstydnego zachwyty, widząc swoje imię nabazgrane na murze baru. Śmiał się wtedy; ale był to śmiech radosny.

Wystarczyło dać Lestatowi pole do popisu, by stworzył tak inspirującą sytuację, i proszę!... Stało się. Lestat, niesforny bulwarowy aktorzyzna ancien regime'u, wyniesiony na piedestał gwiazdy w pięknej i niewinnej epoce.

Ale czy miał rację, wygłaszając pisklakom w barze swoje kazanko i twierdząc, że nikt nie potrafi zniszczyć łobuzerskiego księcia? To była czysta fikcja. Dobra reklama. Prawdę powiedziawszy,

każdy z nas może być zniszczony... - pomyślał. - Jak nie tak, to inaczej. Nawet Ci Których Należy Mieć w Opiece.

Oczywiście były słabe, te nieopierzone Dzieci Ciemności, jak same siebie nazywały; a przez swoją mnogość wcale nie zyskiwały na sile. Lecz co ze starszyzną? Gdyby tylko Lestat nie wywoływał imion Maela i Pandory. Ale czy są krwio pijcy jeszcze starsi niż tamci, tacy, o których on sam nie wie? Pomyślał o ostrzeżeniu na ścianie: „Straszliwe istoty... podążają z wolna, nieustępliwie, w odpowiedzi na jego wezwanie”.

Zaskoczyło go drzenie, chłód, a przez chwilę wydawało mu się, że widzi dżunglę - zielone, cuchnące miejsce przytłoczone chorobliwym parzącym upałem. Wizja przepadła, nie wyjaśniona, jak wiele innych naprzykrzających się objawień i znaków. Dawno temu nauczył się stawiać tamę nieskończonej strudze głosów i obrazów, napierającej nań z racji jego umysłowych zdolności; a jednak czasem przebijało się coś gwałtownego i nieoczekiwanego - jak nagły krzyk.

Mniejsza z tym, dosyć się tu nasiedział. Przestał się kontrolować i był gotów interweniować w każdej sytuacji! Ta uległość wobec ciepłej fali uczucia wzbudziła w nim złość na samego siebie.

Należało już wrócić do domu. Nazbyt długo bawił w oddaleniu od Tych Których Należy Mieć w Opiece.

Jakże uwielbiał widok kipiącego energią ludzkiego tłumu i niezbornej, połyskliwej parady ulicznego ruchu. Nie przeszkadzały mu nawet trujące wyziewy wielkiego miasta. Nic nie mogło przebić fetoru starożytnego Rzymu, Antiochii lub Aten - metropolii, gdzie widziane co krok zwąły odpadków były pokarmem dla much, a powietrze przesyczał nieodłączny smród choroby i niedostatku. Tak, tak, lubił pastelowe miasta Kalifornii. Mógłby pozostać na zawsze wśród tutejszych trzeźwo myślących i wiedzących czego chcą mieszkańców.

Jednak musiał wracać do domu. Koncert będzie już niebawem i wtedy, jeśli zechce, spotka się z Lestatem... Cóż za rozkosz nie wiedzieć dokładnie, co zdecyduje się zrobić, zupełnie jak inni, inni, którzy nawet nie wierzą w jego istnienie!

Przeciął Castro Street i szybko wszedł na szeroki krawężnik Market. Wiatr przycichł; powietrze było niemal ciepłe. Podążył rześkim krokiem; nawet pogwizdywał do siebie, tak jak to często robił Louis. Czuł się dobrze. Czuł się człowiekiem. Nagle przystanął przed sklepem ze sprzętem radiowym i telewizyjnym. Na każdym, ale to każdym ekranie widać było śpiewającego Lestata.

Roześmiał się pod nosem, widząc ten wielki show gestu i ruchu. Dźwięk był wyłączony, ukryty pod jarzącymi się pokrętłami odbiorników. Musiałby go dopiero szukać. Ale czyż oglądanie występów jasnowłosego księcia-łobuziaka w bezlitosnej ciszy nie miało w sobie pewnego uroku?

Kamera odjechała, ukazując postać Lestata grającego na skrzypcach jakby w pustce. Od czasu do czasu zamykał się wokół niego rozgwieżdżony mrok. Wtem, zupełnie nagle, otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi - wypisz, wymaluj stare sanktuarium Tych Których Należy Mieć w Opiece! A w nim Akasza i Enkil, czy też raczej aktorzy ucharakteryzowani na białoskórych Egipcjan, o długich czarnych włosach, cienkich jak jedwabna nić, przybrani w migotliwą biżuterię.

Oczywiście. Jak mógł nie przewidzieć, że Lestat doprowadzi do tego wulgarnego i prowokacyjnego ekstremum? Pochylony, wsłuchiwał się w przekaz dźwięku. Głos Lestata górował nad skrzypcami:

Akasz! Enkilu!

Tajemnic strzeżcie,

Milczenia strzeżcie.

To lepszy dar niż prawda.

Gdy skrzypek przymknął oczy, skupiony na swojej grze, Akasza powoli uniosła się z tronu. Na ten widok skrzypce wypadły z rąk Lestata; objęła go niczym tancerka, przyciągnęła do siebie, pochyliła się, przyciskając jego zęby do swojej szyi, aby zaczerpnął jej krwi.

Było to znacznie lepsze, niż mógł sobie wyobrazić - tak sprytnie zostało spreparowane. Teraz Enkil ocknął się ze snu, powstał i ruszył ciężkim krokiem niczym wielka mechaniczna lalka, by odzyskać swoją królową. Lestat wyładował na podłodze świątyni jak śmieć. Koniec filmiku.

Akcję ratunkową Mariusza pominięto.

- Och, więc nie sądzone mi zostać gwiazdą telewizji - szepnął z lekkim uśmiechem. Podeszedł do wejścia prawie ciemnego sklepu.

Oczekująca młoda kobieta wpuściła go do środka. W dłoni miała czarną kasetę wideo.

- Jest tego dwanaście - powiedziała. Piękna ciemna cera, wielkie sensne oczy. Światło zaiskrzyło się na srebrnej bransoletce. Było w tym coś nęcącego. Wzięła pieniądze z wdzięcznością, nie licząc. - Pokazywano je na wielu kanałach. Udało mi się nagrać wszystkie. Skończyłam wczoraj wieczorem.

- Dobrze mi się przysłużyłaś - odparł. - Dziękuję ci. - Wyjął kolejny gruby plik.

- Nie ma sprawy - powiedziała. Nie chciała dodatkowej zapłaty.

Bierz - nakazał jej w myślach.

Odebrała je ze wzruszeniem ramion i włożyła do kieszeni.

Nie ma sprawy. Uwielbiał te zgrabne współczesne powiedzonka. Uwielbiał nagłe kołysanie soczystych piersi, gdy wzruszyła ramionami, i obrót gibkich bioder pod szorstkim dżinsem, dzięki któremu jej skóra wydawała się tym gładziej, a cała postać - delikatniejsza. Jak tchnący światłem kwiat. Kiedy znów otworzyła mu drzwi, musnął gładką koronę kasztanowych włosów.

To wręcz nie do pomyślenia nakarmić się kimś, kto ci się przysłużył, kimś tak niewinnym. Nie powinien był tego robić! A jednak urękawiczone dłonie przemknęły po włosach, łagodnie unieruchomiły głowę.

- Pocałunek motyla, mój skarbie.

Zamknęła oczy; kły natychmiast przeszły arterię, siorbał krew. Przekąska, nie więcej. Drobnie smagnięcie żaru, w jednej chwili wygasającego w sercu. Cofnął zęby, pieszcząc jeszcze wargami delikatną szyję. Czuł puls. Łaknienie było prawie nie do zniesienia. Grzech i pokuta. Puścił ją.

Patrząc w zamglone oczy, wygładził miękkie, sprężyste kędziory.

Nie pamiętaj - nakazał.

- To do widzenia - powiedziała, uśmiechając się.

* * *

Stał bez ruchu na wyludnionym chodniku. Głód, zignorowany i nadąsany, stopniowo wygasł.

Mariusz spojrzał na kartonową okładkę kasety wideo.

„Jest tego dwanaście - powiedziała. - Udało mi się nagrać wszystkie”. Jeśli tak, to jego podopieczni już z pewnością widzieli Lestata na wielkich ekranach umieszczonych przed nimi w świątyni. Dawno temu zainstalował na stoku talerz odbiornika telewizji satelitarnej, odbierający transmisje z całego świata. Niewielki zaprogramowany konwerter zmieniał kanał co godzina.

Przez lata wpatrywali się obojętnie w barwne obrazy zmieniające się przed ich martwymi oczami. Czy drgnęły w najmniejszym chociaż stopniu, kiedy używano nazwiska Lestata lub pojawiała się jego postać? Lub gdy ich imiona padały w niby-hymnach?

No cóż, niebawem się dowie. Odtworzy im tę kasetę. Przyjrzy się uważnie zastygłym, lśniącem twarzom, szukając czegoś - czegokolwiek - poza samym odbiciem światła.

- Ach, Mariuszu, ty nigdy nie poddajesz się rozpacz, prawda? Z tymi twoimi głupimi marzeniami jesteś nie lepszy niż Lestat.

* * *

Zanim dotarł do siebie, była północ.

Zamykając stalowe drzwi, zostawił za sobą zacinający śnieg i przez chwilę stał bez ruchu, wchłaniając otulinę rozgrzanego powietrza. Zadymka, przez którą się przebijał, posiekała mu twarz i uszy, a nawet ochronione rękawiczkami dłonie. Jak dobrze było zakosztować ciepła.

Przez chwilę wsłuchiwał się w milczeniu w znajome dźwięki monstrialnych generatorów i odległe pulsowanie odbiorników telewizyjnych w świątyni, setki metrów poniżej. Czy to Lestat?

Tak. Niewątpliwie ostatnie żałobne pienia jakiegoś przeboju.

Powoli zsunął rękawiczki z dłoni, zdjął kapelusz i przeczesał dłonią włosy. Uważnie rozejrzał

się po wielkim holu i przyległym salonie, szukając najłżejszego śladu czyjejś bytności.

Oczywiście było to w zasadzie niepotrzebne. Znajdował się wiele kilometrów od ostatniej osady na tym wielkim, pokrytym lodem i śniegiem pustkowiu. Ale siłą przyzwyczajenia dokładnie przyjrzał się wszystkiemu, jak zawsze. Byli tacy, którzy potrafiliby wdrzeć się do tej fortecy, gdyby tylko wiedzieli, gdzie jest.

Wszystko w porządku. Stał przed wielkim akwariem, ogromnym, sięgającym sufitu zbiornikiem zapełniającym południową ścianę. Z jakąż ostrożnością zbudował je z najtwardszego szkła i zaopatrzył w najlepsze urządzenia. Obserwował ławice wielobarwnych ryb przemykających jak w tańcu i zawracających nagle w sztucznym mroku. Pod wpływem łagodnego ciśnienia wytworzonego przez aparat do nasycania powietrzem gigantyczny wodorost zakołysał się jak las spętany hipnotycznym rytmem. To zawsze pochłaniało Mariusza, niespodziewanie zniewalało go widowiskową monotonią. Okrągłe czarne oko ryby wzbudzało w nim drżenie, łagodne, szczupłe odroślą podwodnej roślinności wzniecały niezrozumiały zachwyty; jądrem zachwyty był jednak ruch, bezustanny ruch.

Wreszcie odwrócił się, tylko raz spoglądając za siebie na czysty, nieświadomy świat, którego piękno rodziło się z przypadku.

Tak, tutaj wszystko w porządku.

Dobrze było znaleźć się w tych ciepłych wnętrzach. Nie brakowało żadnego z miękkich skórzanych mebli rozstawionych na puszystym dywanie koloru winorośli. Kominek wypełniony drewnem. Regały z książkami wzdłuż ścian. A oto ogromna wieża sprzętu elektronicznego, czekająca na kasetę Lestata. To właśnie miał zamiar zrobić; zasiąść przy kominku i obejrzeć wszystkie wideoklipy, sekwencja po sekwencji. Technika produkcji intrygowała go w równym stopniu jak same piosenki, fascynujące było owo współbrzmienie starego i nowego - takie wykorzystanie ułudnego zwierciadła mass mediów, że znakomicie przybrany w kostium śmiertelnego rockmana Lestat śmiało mógł się kreować na boga.

Zdjął z ramion szarą opończę i rzucił ją na krzesło. Skąd to niespodziewane uczucie przyjemności, które wywoływała w nim ta cała afery? Czy wszyscy tęsknimy za bluźnierstwem, za tym, żeby wymachiwać pięściami przed obliczem bogów? Być może. Wieki temu, w

„starożytnym Rzymie”, Mariusz, dobrze wychowany chłopiec, zawsze zaśmiewał się do łez z kpin rozwyrzonej dzieciarni.

Naturalnie pierwsze, co powinien zrobić, to udać się do świątyni. Tylko na chwilę, by upewnić się, że wszystko jest, jak być powinno. Sprawdzić telewizję, ogrzewanie, cały skomplikowany układ elektryczny. Położyć świeże węgielki i wonności w kadzielnicy. Tak łatwo było stworzyć im raj; jarzeniowe światło zastępowało słońce, karmiąc drzewa i kwiaty, które nigdy nie widziały nieba. Ale pachnidła... To musiało być zrobione ręcznie, jak zawsze. I nigdy się nie zdarzyło, by sypiąc je na węgielki, nie wspomniał tamtego pierwszego razu.

Czas również wziąć kawałek delikatnej materii i starannie, z szacunkiem zetrzeć z Rodziców kurz - z

ich twardych ciał, nawet z warg i z oczu, zimnych nieruchomych oczu. Pomyśleć, że minął już cały miesiąc. Wstyd.

Tęskniliście za mną, moi kochani, Akaszo, Enkilu? - Któryż to raz zadawał im w myślach to pytanie.

Rozum podpowiadał mu jak zawsze, że nie wiedzą o jego obecności lub też, że jest im ona zupełnie obojętna. Ale duma niezmiennie igrała z inną możliwością. Czy niebezpieczny szalenięc zamknięty w pojedynczej celi nie czuje nic wobec niewolnika przynoszącego mu wodę? Może nie było to zgrabne porównanie. A z pewnością niezbyt miłe.

Tak, to prawda, kiedyś wyszli ze stanu zneruchomienia dla Lestata, łobuzerskiego księcia -

Akasz, by ofiarować mu swoją krew zapewniającą potęgę, a Enkil, by się zemścić. Lestat mógł

nagrywać o tym wideoklipy przez całą wieczność. Lecz czy nie dowodziło to jedynie, że w żadnym z nich nie było już cienia żywej myśli? Z pewnością zapłonęła w nich przez chwilę jedynie iskra atawistycznego żaru; narzucenie im z powrotem milczenia i hieratycznej pozy było aż nazbyt proste.

Niemniej jednak tamto zdarzenie przysporzyło mu gorzkości. Przecież nigdy nie pragnął wzbić się ponad uczucia człowieka myślącego, raczej zależało mu na ich wysubtelnieniu, odczytaniu na nowo, cieszeniu się nimi w duchu nieskończonego doskonałego zrozumienia. A w tej właśnie chwili kusiło go, aby skierować się przeciwko Lestatowi z aż nazbyt ludzką furją.

Młoda istota - myślał - czemu nie zabierzesz Tych Których Należy Mieć w Opiece, skoro potraktowali cię z taką niezwykłą przychylnością? Chciałbym się już ich pozbyć. Dźwigam ten ciężar od brzasku chrześcijaństwa.

W głębi serca jednak tak nie czuł. Ani kiedyś, ani teraz. To tylko chwila słabości. Kochał Lestata jak zawsze. Każde królestwo potrzebuje królewicza rozrabiaki. A milczenie króla i królowej było może w równej mierze błogosławieństwem i przekleństwem. W tym względzie słowa piosenki Lestata mówiły prawdę. Komu i kiedy jednak uda się rozwiązać ten problem?

Zejdzie później na dół z kasetą i oczywiście obejrzy ją sam. Gdybyż wzbudziła najmniejsze drżenie, najmniejszą zmianę ich wielowiekowego spojrzenia. Ech, znowu zaczyna się to samo...

Lestat sprawia, że stajesz się młody i głupi, gotowy karmić się niewinnością i śnić o kataklizmach.

Ile to razy przez wieki budziły się takie marzenia, pozostawiając jedynie uczucie zranienia, a nawet ból pękniętego serca. Przed laty przyniósł Rodzicom kolorowe filmy z panoramą wschodzącego słońca, błękitnego nieba, piramid Egiptu. Ach, to był cud! Mieli przed oczami skąpane w słońcu, płynące wody Nilu. On sam płakał wobec perfekcji iluzji. Lękał się nawet, że filmowe słońce może go zniszczyć, chociaż oczywiście wiedział, że to niemożliwe. Ale taki był

kaliber tego wynalazku, że mógł stać, przyglądając się wschodowi słońca, jakby nie widział go od czasów, gdy był człowiekiem śmiertelnym.

Ci Których Należy Mieć w Opiece patrzyli z niezmaconą obojętnością, a może ze zdumieniem -

wielkim, niezmaconym zdumieniem, iż cząsteczki kurzu w powietrzu mogą być źródłem nie kończącej się fascynacji.

Kto to wie? Oni przeżyli cztery tysiące lat, zanim się urodził. Może ich telepatyczny słuch był tak ostry, że głosy świata huczały im w głowach; może oślepiły ich miliardy ruchomych obrazów. Przecież te rzeczy doprowadzały go prawie do szaleństwa, zanim nauczył się je kontrolować.

Przyszło mu nawet do głowy, żeby wykorzystać narzędzia nowoczesnej medycyny i założyć im na głowy elektrody, które sprawdzą funkcjonowanie mózgow! Jednak pomysł użycia takich topornych i wstrętnych instrumentów był zanadto niesmaczny. Przecież to jego król i jego królowa, Rodzic i Macierz całego gatunku. Od dwóch tysięcy lat panowali pod jego dachem i nikt nie śmiał rzucić im wyzwania.

Musiał przyznać się do jednego błędu. Od dawna przemawiał do nich kwaśnym tonem. Kiedy wchodził do sanktuarium, nie zachowywał się już jak arcykapłan. Nie. W jego tonie było coś dwuznacznego i sarkastycznego, nad co powinien się wznieść. Może odzywał się w nim ten, jak go teraz nazywano, „uszczypliwy ton”. Jakże jednak funkcjonować w świecie lotów na Księżyc bez nieznośnej samoświadomości czającej się w każdej trywialnej sylabie? A on nigdy nie był

obojętny na współczesny styl.

Bez względu na wszystko musi teraz iść do świątyni i oczyścić swoje myśli jak należy. Nie wniesie ze sobą urazy ani rozpacz. Później, gdy już sam obejrzy taśmy, pokaże je królowi i królowej, pozostając obok, by ich obserwować. Na razie brakowało mu do tego wytrwałości.

Wszedł do stalowej windy i nacisnął guzik. Potężny jęk elektroniki i nagła utrata grawitacji dostarczały mu lekkiej zmysłowej przyjemności. Świat tej ery był pełen dźwięków, których nigdy wcześniej nie słyszał. To było wielce odświeżające. A dodatkowo towarzyszyła mu cudowna świadomość opadania przez setki metrów zwartego lodu do oświetlonego elektrycznością sanktuarium.

Otworzył drzwi i wszedł do korytarza. W świątyni znów słyhać było Lestata śpiewającego szybko, radośniejszą piosenkę; jego głos pokonywał huk bębnow i przetworzone, zawodzące jęki instrumentów elektronicznych.

Coś jednak było nie w porządku. Wystarczyło się rozejrzeć. Dźwięk brzmiał zbyt głośno, zbyt czysto. Przedpokoje świątyni stały otworem!

Natychmiast podszedł do wejścia. Elektryczny zamek otwarty, a drzwi szeroko uchylone! Jak mogło do tego dojść? Tylko on znał szyfr, który należało wystukać na miniklawiaturze. Druga para drzwi również była szeroko otwarta, podobnie trzecia. Prawdę powiedziawszy, mógłby zajrzeć do samego sanktuarium, gdyby nie biała marmurowa ściana małej alkowy. Czerwone i niebieskie błyski telewizyjnego ekranu w głębi przypominały światło staromodnego gazowego kominka.

Głos Lestata odbijał się potężnym echem od marmurowych ścian i beczkowanych sklepień.

Zabiją nas, moi bracia i siostry,

Wojna wybuchła.

Zrozumcie, co widzicie,

Kiedy widzicie mnie.

Wziął długi, swobodny oddech. Poza muzyką, która gasła, zastępowana przez bezosobową paplaninę śmiertelników, nie było nic słycać. Żadnego obcego. Żadnego, wiedziałby o nim.

Nikogo w jego leżu. Instynkt mówił mu to bez żadnych wątpliwości.

W piersiach zakłuło go. Poczłł nawet ciepłł na twarzy. To doprawdy niezwykle.

Minął marmurowe przedpokoje i przystanął przed drzwiami alkowy. Czyżby się modlił? Czyżby śnił? Wiedział, co zaraz zobaczy: Tych Których Należy Mieć w Opiece, takich samych jak zawsze. A potem będzie rozczarowanie, okaże się, że to tylko zwarcie w obwodzie elektrycznym, wybity bezpiecznik.

Nie czuł strachu, lecz palące wyczekiwanie młodego mistyka na krawędzi wizji, który zaraz ujrzy żywego Pana lub też krwawe stygmaty na własnych nadgarstkach.

Spokojnie wszedł do sanktuarium.

Przez chwilę zmiana nie przenikała do jego świadomości. Ujrzał to, czego oczekiwał - długie pomieszczenie wypełnione drzewami i kwiatami, kamienną ławę zastępującą tron, a za nią wielki telewizyjny ekran: oczy i usta pulsujące banalnym śmiechem. Wtem uzmysłowił sobie, że na tronie siedzi tylko jedna postać, i co więcej, że jest ona niemal przezroczysta! Widział poprzez nią żywe barwy odległego ekranu!

Nie, to przecież niemożliwe! Mariuszu, spójrz uważnie - rozkazał sam sobie. - Nawet twoje zmysły nie są niezawodne. - Niczym poruszony śmiertelnik złapał się za głowę, jakby chciał

wziąć się w karby.

Wpatrywał się w plecy Enkila, który, chociaż wciąż czarnowłłosy, stawał się rzeźbą z mlecznego szkła, przez którą przenikały, zmieniając się, kolory i światła. Nagły wybuch blasku sprawił, że postać rozjarzyła się, stała źródłem promieniowania. Pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym wstrząsnął się cały.

- W porządku, Mariuszu - szepnął. - Rób swoje krok po kroku.

Kołowrót mętnych podejrzeń zawirował mu w głowie. Ktoś przyszedł, ktoś starszy i potężniejszy od niego, ktoś, kto odkrył Tych Których Należy Mieć w Opiece i zrobił coś niewyobraźalnego! Wszystko to sprawka Lestata! Lestata, który wydał światu jego sekret.

Kolana ugięły się pod nim. Coś podobnego! Nie zaznawał podobnych ludzkich słabości od tak dawna, że całkiem o nich zapomniał. Powoli wyjął z kieszeni lnianą chusteczkę do nosa. Otarł

nią krwawy pot, który wystąpił mu na czoło. Potem ruszył w stronę tronu i okrążył go, by dotrzeć wprost przed oblicze Ojca.

Enkil był taki sam jak od dwóch tysięcy lat: czarne włosy w długich cienkich warkoczykach sięgające do ramion, szeroki złoty naszyjnik na gładkiej bezwłosej piersi, plisowany fartuszek bez zarzutu, pierścienie na nieruchomych palcach.

Jego ciało było szklane! Kompletnie puste! Nawet wielkie lśniące gałki oczne były przezroczyste; tylko tęczęwki wyznaczały niewyraźne kręgi. Nie, zaczekaj. Przyjrzyj się wszystkiemu. Tam widać kości z dokładnie tej samej substancji co ciało, proszę, oto są, a także delikatne serpentyny żył i arterii, i w środku coś przypominającego płuca, ale to wszystko jest teraz przezroczyste, wszystko o tej samej fakturze. Co też mu uczyniono!

To coś wciąż się zmieniało. Na oczach Mariusza traciło mleczny walor. Szło, stawało się coraz bardziej przezroczyste. Dotknął ostrożnie. To bynajmniej nie szkło. Łupina.

Jego dłoń zachwiała tym czymś. Ciało zakołysało się i upadło na marmurową płytę, znieruchomiałe oczy były nadal otwarte, zeszywniałe członki zachowały poprzednią pozycję.

Rozległ się szelest, z jakim owad składa skrzydła.

Poruszyły się tylko włosy. Miękkie i czarne, ale również zmienione. Rozpadały się na fragmenty, na drobne lśniące pręciki. Chłodny powiew klimatyzacji rozpraszał je jak słomę. A gdy zsunęły się z gardła, ujrzał tam dwie czarne punktowe rany. Rany, które się nie zaleczyły, pobrano bowiem z nich całą uzdrowicielską krew.

- Kto to uczynił? - szepnął głośno, zaciskając w pięść dłoń, jakby to powstrzymywało go od krzyku. Kto zabrał tanto życie do ostatniej kropli?

To coś nie żyło. Nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Cóż takiego jednak ujawnił ten koszmarny spektakl? Nasz król, nasz Ojciec został unicestwiony, podczas gdy ja wciąż żyję, oddycham. A to może tylko oznaczać, że to ona ma pierwotną moc. Ona była pierwsza i moc zawsze w niej żyła. I ktoś ją zabrał!

Przeszukać piwnice. Przeszukać dom. Ale były to tylko rozgorączkowane, bezsensowne myśli.

Nikt się tu nie dostał i sam dobrze o tym wiedział. Tylko jedna istota mogła dokonać tego czynu!

Tylko jedna istota wiedziała, że coś takiego jednak jest w końcu możliwe.

Nie poruszył się. Wpatrywał się w postać leżącą na podłodze, patrzył, jak stopniowo traci przejrzystość. Gdyby mógł, opłakiwałby Ojca, ponieważ ktoś z pewnością winien podnieść lament. Enkil odszedł, a z nim wszystko, co wiedział, wszystko, czego był świadkiem. Enkil spotkał swój kres. To było ponad siły Mariusza. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Jednak nie był sam. Ktoś albo coś właśnie wyszło z alkowy; czuł, że jest obserwowany.

Przez jedną bez reszty wypełnioną szaleństwem chwilę zawiesił wzrok na leżącym królu. Na tyle spokojnie, na ile był do tego zdolny, zadał sobie trud zrozumienia wszystkiego, co się wokół

niego działo. Coś zbliżało się bezszelestnie w jego kierunku; obeszło tron, zatrzymało się obok i stało zwiewnym cieniem, widzianym kącikiem oka.

Wiedział, kto to jest, kto to musi być, i że naturalne jest, iż zbliżyło się z wdziękiem żywej istoty. Niemniej jednak w żadnej mierze nie był przygotowany na to, co zobaczył, kiedy podniósł

wzrok.

Zaledwie dziesięć centymetrów za nim stała Akasza. Jej skóra była biała, twarda i nieprzezroczysta jak zawsze. Kiedy się uśmiechnęła, jej policzki lśniły jak perły, a ciemne oczy były wilgotne i pełne życia. Dosłownie tryskała energią.

Przyglądał się jej jak skamieniały. Patrzył na upierścienione palce dotykające jego ramienia.

Zamknął oczy, otworzył. Przez tysiące lat przemawiał tyloma językami, kierując do niej modlitwy, prośby, zarzuty, spowiedzi, a teraz nie odezwał się słowem. Wpatrywał się w pulsujące życiem usta, w połyskliwe białe kły i zimne oczy, które zaślniły na znak rozpoznania, w miękką bruzdę między piersiami oddychającymi pod złotym naszyjnikiem.

- Dobrze mi się przysłużyłaś - rzekła. - Dziękuję ci. - Głos miała niski, gardłowy, piękny. Ale ta intonacja; te słowa; to właśnie powiedział dziewczynie w mrocznym sklepie w wielkim mieście!

Jej palce zacisnęły się na jego ramieniu.

- Ach, Mariuszu - powiedziała, znów idealnie naśladowując jego ton - ty nigdy nie poddajesz się rozpacz, prawda? Z tymi twoimi głupimi marzeniami jesteś nie lepszy od Lestata.

Znowu jego własne słowa, które wyrzekł do siebie na ulicy w San Francisco. Naigrywała się z niego!

Czy to była groza? Czy też nienawiść - nienawiść, przyczajona w nim od wieków, zmieszana z urazą, znuzeniem i tęsknotą za człowieczym sercem, nienawiść, która teraz rozgorzała do żaru, jakiego nigdy sobie nie wyobrażał. Nie ośmielił się poruszyć, nie ośmielił się odezwać.

Nienawiść była świeża, zaskakująca i wzięła go całego w posiadanie, tak że żadnym sposobem nie mógł jej opanować ani zrozumieć. Utracił wszelką zdolność oceny.

Ale ona wiedziała. Oczywiście. Wiedziała wszystko, znała każdą myśl, słowo, uczynek; to właśnie mu mówiła. Zawsze wiedziała o najbardziej i najmniej ważnych sprawach, jeśli tylko zapragnęła się dowiedzieć! Zdawała sobie sprawę, że ta wypruta z myśli istota obok nie może nawet marzyć o obronie. I to, co powinno być chwilą triumfu, w jakiś sposób stało się chwilą grozy!

Roześmiała się, nie odrywając od niego wzroku. Nie potrafił znieść tego śmiechu. Chciał ją zranić. Chciał ją zniszczyć, niech cały jej monstrualny pomiot będzie potępiony! Obyśmy wszyscy zginęli wraz z nią! Gdyby mógł, unicestwiłby ją!

Chyba skinęła głową, dając mu znak, że go rozumie. To dopiero był szczyt obrazy. No cóż, on sam nie rozumiał siebie. Zbierało mu się na płacz. Popołniono jakiś upiorny błąd, jakąś straszliwą celową omyłkę.

- Mój drogi sługo - rzekła, rozciągając wargi w gorzkim uśmiechu. - Nigdy nie byłeś władny mnie powstrzymać.

- Czego chcesz?! Co rozkazujesz mi zrobić?!

- Musisz mi wybaczyć - rzekła, och, jakże uprzejmie, dokładnie tak jak on do młodzika na tyłach baru. - Wychodzę.

Zanim podłoga się zakołysała, usłyszał ten dźwięk - piskliwe rżenie dartego metalu. Runął w dół; ekran telewizyjny eksplodował, odłamki szkła przeszły jego ciało jak chmara drobnych sztyletów. Krzyknął przeraźliwie, jak człowiek śmiertelny, i tym razem to był lęk. Lód pękał i zamykał się nad nim z rykiem.

- Akaszo!

Spadał w gigantyczną rozpadlinę, zanurzał się w parzący lód.

- Akaszo! - krzyknął powtórnie.

Jednak jej już nie było, a on nadal spadał. Wiry lodowych odłamków uwięziły go, otoczyły, pogrzebały, miażdżąc kości ramion, nóg, twarzy. Czuł, jak krew chlusta na piekący lód, a potem zamarza. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł oddychać. Ból był tak intensywny, że nie mógł go znieść. Znów, nie wiedzieć czemu, ujrzał na moment dżunglę, jak poprzednio. Gorącą cuchnącą dżunglę i coś przedzierającego się przez nią. Obraz zniknął. Mariusz wydobył z siebie kolejny krzyk, wzywając Lestata:

- Niebezpieczeństwo! Lestacie, strzeż się. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Potem było tylko zimno i ból; tracił świadomość. Napłynął sen, uroczy sen o ciepłym słońcu, o promieniach padających na trawiastą polanę. Tak, błogosławione słońce. I kobiety o jakże ślicznych rudych włosach. Ale cóż to jest, owo stworzenie leżące tam, pod zwiędłymi liśćmi, na ołtarzu?

CZEŚĆ I

Droga do wampira Lestata

Kusi umieścić na spójnym kolażu

pszczołę, kozicę górską,

cień

mojej podkowy...

Kusi przyłączyć się do nich, splecionych

szeroką, lśniącą, molekularną

myślą-nicią

przez całą Materię...

...

Kusi

powiedzieć: widzę, w całości widzę

miejsce, w którym igła

zaczęła gobelin - lecz, och,

to wszystko wygląda na całość oraz część -

chwała oku i czystemu sercu.

Stan Rice „Cztery dni w innym mieście” z tomu „Owieczka nie byle jaka” (1975) Rozdział pierwszy

Legenda o bliźniaczkach

Powiedz to

Z rytmiczną ciągłością.

Żywe stworzenia,

szczegół po szczególe.

Powiedz to,

jak konieczność, w rytmie

o solidnym kształcie.

Kobieta. Ramiona uniesione. Zjadaczka cienia.

Stan Rice „Elegia” z tomu „Irlandzki rebeliant” (1976)

- Zadzwoń do niej w moim imieniu - powiedział. - Powiedz jej, że miałem niesamowite sny, o bliźniaczkach. Musisz do niej zadzwonić!

Córka nie spełniła prośby ojca. Obserwowała, jak niezdarnie obchodzi się z książką. Często powtarzał, że ręce stały się teraz jego wrogami. Mając dziewięćdziesiąt jeden lat, ledwo potrafił utrzymać ołówek czy przewrócić stronę.

- Tatusiu - powiedziała - ta kobieta zapewne nie żyje.

Wszyscy, których znał, już nie żyli. Przeżył swoich kolegów, przeżył swoje rodzeństwo i nawet dwójkę dzieci. Tragicznym zbiegiem okoliczności przeżył również bliźniaczki, ponieważ nikt teraz nie czytał jego książki. „Legenda o bliźniaczkach” nikogo już nie obchodziła.

- Zadzwoń do niej - błagał. - Musisz do niej zadzwonić. Śniłem o bliźniaczkach. Widziałem je we śnie.

- Czemu miałoby ją to interesować, tatusiu?

Wyjęła mały notatnik z adresami i powoli zaczęła go kartkować. Wszyscy ci ludzie nie żyją, od dawna nie żyją. Współpracownicy ojca towarzyszący mu podczas tak wielu ekspedycji, redaktorzy i fotografowie, którzy ślęczeli z nim nad jego książką. Nawet jego wrogowie, którzy powiadali, że zmarnował życie, a jego prace badawcze nie na wiele się zdały; nawet ci najbardziej grubiańscy, którzy oskarżali go o sporządzanie fotomontaży i podawanie nieprawdziwych informacji o jaskiniach, do czego ojciec nigdy się nie posunął.

Czemu ona miałaby nadal żyć, ta kobieta, która dawno temu finansowała jego ekspedycje, ta bogata kobieta, która przysyłała tak wiele pieniędzy przez tak wiele lat.

- Musisz ją poprosić, żeby przyjechała! Powiedz jej, że to bardzo ważne. Muszę jej opowiedzieć, co widziałem.

Przyjechać? Aż z Rio de Janeiro tylko dlatego, że jakiś starzec miał dziwne sny? Córka znalazła w notatniku właściwą stronę; tak, było tam nazwisko i numer. A obok data, sprzed zaledwie dwóch lat.

- Ona mieszka w Bangkoku, tatusiu. - Która godzina jest teraz w Bangkoku? Nie miała pojęcia.

- Przyjedzie do mnie. Wiem, że przyjedzie.

Zamknął oczy i opadł na poduszkę. Był taki mały, jakby skurczony; jednak kiedy otworzył oczy, nie miała wątpliwości, że spogląda na nią jej ojciec, wciąż ten sam mimo łysiny, mimo naciągniętej, pożółkłej skóry i wątrobianych plam na pomarszczonych dłoniach.

Wydawało się, że słucha muzyki, łagodnego śpiewu wampira Lestata, dobiegającego z jej pokoju. Przyciszy radio, jeśli nie pozwala mu spać. Nie przepadała za amerykańskimi piosenkarzami rockowymi, ale tego lubiła.

- Powiedz jej, że muszę z nią porozmawiać! - rzekł nagle, jakby dochodząc do siebie.

- W porządku, tatusiu, jeśli chcesz, żebym to zrobiła. - Zgasiła nocną lampkę. - Teraz już śpij.

- Nie poddawaj się, dopóki jej nie znajdziesz. Powiedz jej... o bliźniaczkach! Widziałem bliźniaczki.

Kiedy wychodziła, przywołał ją jeszcze raz, wydając jeden z tych nagłych jęków, które zawsze ją przerażały. W świetle padającym z holu widziała, że wskazuje na książki w głębi pokoju.

- Podaj mi ją - powiedział. Znow unosił się z wysiłkiem.

- Książkę, tatusiu?

- Bliźniaczki, rysunki...

Zdjęła z półki stary tom, przyniosła mu i położyła na podołku. Ułożyła wyżej poduszki i znow włączyła lampkę.

Podnosząc go, z bólem zauważyła, jaki jest lekki; z bólem patrzyła, jak się trzyma, gdy zakłada okulary w srebrnych oprawkach. Wziął do ręki ołówek, by jak zawsze w razie potrzeby robić notatki na marginesach, ale wypuścił go z palców. Złapała go i odłożyła z powrotem na stoliczek.

- Zadzwoń do niej zaraz! - zawołał.

Skinęła głową, ale została przy nim, na wypadek gdyby jej potrzebował. Dobiegająca z jej gabinetu muzyka była teraz głośniejsza; tak, to jeden z hardrockowych, bardziej hałaśliwych utworów. Ojciec jednak zdawał się tego nie zauważać. Z wielką łagodnością otworzyła książkę i wyszukała pierwszą parę kolorowych ilustracji, wypełniającą obie strony.

Jak dobrze je знаła, jak doskonale pamiętała tę wyprawę; jako mała dziewczynka odbyła wówczas z ojcem długą wspinaczkę na górę Karmel, gdzie w zakurzonej ciemnej jamie, unosząc latarkę, pokazał jej ściennie malunki.

- Popatrz na te dwie postaci; widzisz je, te rude kobiety? Początkowo prymitywne figurki były ledwo dostrzegalne w słabym blasku latarki. O ileż łatwiej badało się później fotograficzną dokumentację. Nigdy nie zapomniała tamtego pierwszego dnia, kiedy ojciec pokazał jej całą serię małych rysunków: bliźniaczki tańczące w deszczu - drobnych kreseczkach sypiących się z nabazgranej chmurki; bliźniaczki klęczące po obu stronach ołtarza, na którym leżał ktoś śpiący albo martwy; bliźniaczki w niewoli, sądzone przez gniewny tłum; bliźniaczki uciekające. A potem zniszczone rysunki, z których niczego nie dało się uratować; i wreszcie jedna bliźniaczka łkająca, łzy padają drobnymi kreseczkami, jak deszcz, z oczu, które też są małymi czarnymi kreseczkami.

Wyrzeźbiono to w skale i pokryto pigmentem; oranżowym - włosy, białym - ubiór, zielonym -

roślinność wkoło i nawet błękitnym - niebo nad głowami ludzików. Minęło sześć tysięcy lat, od kiedy stworzono to wszystko w głębokiej ciemności pieczary. Nie mniej stare były prawie identyczne reliefy w płytkiej skalnej komorze na stoku Huayna Picchu, po drugiej stronie świata.

Rok później odbyła z ojcem również tę podróż przez rzekę Urubamba, w górę peruwiańskiej dżungli. Na własne oczy ujrzała wizerunki tych samych dwu kobiet, wykonane w uderzająco zbliżonym, chociaż nie identycznym stylu. Na gładkiej ścianie odnalazła również te same sceny -

padający deszcz, radosny taniec; a potem surowa scena ołtarzowa wyrysowana z pieczołowitą dokładnością. Na ołtarzu leży ciało kobiety, a bliźniaczki trzymają w dłoniach dwie niewielkie, starannie namalowane miski. Żołnierze z nagimi mieczami brutalnie przerywają ceremonię i uprowadzają w niewolę łkające bliźniaczki. Potem odbywa się srogi sąd i znana już ucieczka. Na kolejnym reliefie, niewyraźnym, chociaż nadal czytelnym, bliźniaczki trzymają niemowlę - małe zawiniątko z kreseczkami w miejscu oczu i kępką rudych włosów; potem powierzają innym swój skarb wraz z kolejnym przybyciem groźnych żołnierzy. Wreszcie jedna z bliźniaczek pośrodku gęstej dżungli wyciąga ramiona, jakby usiłowała dosięgnąć siostry; czerwony pigment jej włosów przyklejono do ściany zeszlą krwią.

Doskonale zapamiętała swoją ekscytację. Dzieliła radosne uniesienie ojca, który znalazł

bliźniaczki na starożytnych reliefach, tak bardzo oddalone jedne od drugich, ukryte w górskich jaskiniach Palestyny i Peru.

Wyglądało to na wielkie historyczne odkrycie, nieporównywalne z żadnym innym. Rok później w berlińskim muzeum znaleziono wazę, na której były namalowane takie same figurki, klęczące z miskami w dłoniach przed kamiennymi marami. Dziełu nie towarzyszyła żadna dokumentacja.

Jakie to jednak miało znaczenie? Za pomocą najbardziej wiarygodnych metod ustalono, że powstało w 4000 r. p.n.e., i bezbłędnie odczytano na nim słowa w nowo rozszyfrowanym języku starożytnego Sumeru, słowa, które znaczyły tak wiele dla nich wszystkich:

„Legenda o bliźniaczkach”

Wszystko to wydawało się niesłychanie znaczące i ojciec zamierzał oprzeć na tych znaleziskach dzieło życia. Tak było, dopóki nie zaprezentował swoich badań.

Wyśmiano go. Albo zignorowano. Nie do uwierzenia, taki związek między starym i nowym światem. Sześć tysięcy lat, proszę, proszę! Zaliczono go do nieszkodliwych wariatów, razem z tymi, którzy mówili o starożytnych astronautach, Atlantydzie i zaginionym królestwie Mu.

Przedstawiał argumenty, urządzał wykłady, błagał, żeby mu uwierzono, by pojechano z nim do jaskiń i przekonano się na własne oczy! Przedstawił próbki pigmentów, dowody prób laboratoryjnych, szczegółowe badania roślin przedstawionych na reliefach i nawet białych szat bliźniaczek.

Na jego miejscu każdy by się poddał. Wszystkie uniwersytety i fundacje pokazały mu drzwi.

Zabrakło mu pieniędzy nawet na wychowanie i wyżywienie dzieci. Podjął się nauczania, by mieć za co żyć, a wieczorami pisywał listy do muzeów na całym świecie. A w muzeum w Manchesterze i potem w Londynie znaleziono gliniane tabliczki, niewątpliwie opisujące bliźniaczki! Za pożyczone pieniądze udał się w podróż i sfotografował te artefakty. Kontynuował

poszukiwania.

Wtedy pojawiła się ona, cicha, ekscentryczna kobieta, która go wysłuchała, obejrzała materiały i nawet dała mu starożytny papirus znaleziony na początku stulecia w Górnym Egipcie. Były na nim te same wizerunki i słowa: „Legenda o bliźniaczkach”.

- Prezent dla ciebie - powiedziała. A potem kupiła mu wazę z muzeum w Berlinie. Pozyskała również tabliczki z Anglii.

Najbardziej jednak zafascynowało ją odkrycie w Peru. Dała mu nieograniczone fundusze na kolejną podróż do Ameryki Południowej i kontynuację pracy.

Przez lata przeszukiwał jaskinię za jaskinią, szukając następnych dowodów, rozmawiał z wieśniakami o ich starych mitach i podaniach, przeczesywał ruiny dawnych miast i nawet chrześcijańskich świątyń, rozglądając się za kamieniami zabranymi z pogańskich miejsc kultu.

Mijały jednak dziesięciolecia i niczego nie znalazł.

To go wreszcie zrujnowało. Nawet ona, jego mecenaska, poradziła mu, żeby się poddał. Nie mogła patrzeć, jak poświęca życie tej sprawie. Niech zostawi to młodszemu. Ale on nie chciał

słuchać. To było jego odkrycie! Legenda o bliźniaczkach! Tak więc dalej wypisywała mu czeki, a on dalej szukał, dopóki nie stał się za stary, by wdrapywać się na góry i wyrąbywać ścieżki przez dżunglę.

Przez ostatnie lata sporadycznie wygłaszał wykłady. Nie potrafił rozbudzić w studentach zainteresowania swoją tajemnicą, nawet gdy pokazywał im papirusy, wazę, tabliczki. Przecież te przedmioty tak naprawdę do niczego nie pasowały, nie pochodziły z żadnej określonej epoki. A co do jaskini, to czy ktoś teraz trafiłby na ich ślad?

Ale ona, jego patronka, była lojalna. Kupiła mu dom, tam, w Rio, założyła fundusz powierniczy, który po śmierci ojca stanie się własnością córki. Zapewniła jej edukację i wiele innych rzeczy.

To dziwne, że żyją w takim komforcie; całkiem jakby mimo wszystko odniósł sukces.

- Zadzwoń do niej - powtórzył kolejny raz. Wpadł w podniecenie, puste dłonie drapały zdjęcia.

Przecież córka nie zajęła się jego prośbą. Stała u jego boku, patrząc na zdjęcia przedstawiające figurki bliźniaczek.

- W porządku, ojcze. - Zostawiła go z książką.

Po południu następnego dnia, kiedy przyszła go pocałować, pielęgniarka doniosła jej, że płakał jak dziecko. Córka uściśnęła dłoń ojca, a on otworzył oczy.

- Wiem, co im zrobili - oznajmił. - Widziałem! To było świętokradztwo.

Próbowała go uspokoić. Powiedziała, że wezwała tamtą kobietę. Jest w drodze.

- Nie było jej w Bangkoku, tatusiu. Przeniosła się do Birmy, do Rangun, ale odnalazłam ją.

Ucieszyła się z wieści od ciebie. Powiedziała, że wyjedzie za kilka godzin. Chce dowiedzieć się wszystkiego o twoich snach.

Był taki szczęśliwy. Ona przyjeżdża! Zamknął oczy i obrócił głowę na poduszce.

- Po zmroku sny znowu powrócą - szepnął. - Cała tragedia zacznie się na nowo.

- Tatusiu, odpocznij - powiedziała. - Ona niebawem przyjedzie.

* * *

Umarł w nocy, nie wiadomo, o której godzinie. Kiedy przyszła córka, jego ciało było już zimne, a półprzymknięte oczy mętne i nieobecne. Ołówek leżał na kołdrze, a pod prawą dłoń spoczywał zmięty kawałek papieru - zakładka jego cennej książki.

Córka nie płakała. Przez chwilę stała w bezruchu, wspominając jaskinię w Palestynie, latarkę, słowa: „Widzisz? Te dwie kobiety?”

Łagodnie zamknęła mu oczy i pocałowała go w czoło. Na skrawku papieru było coś napisane.

Uniosła jego zimne, zeszywniałe palce, wyjęła z nich kartkę i przeczytała kilka słów, które nagryzmolił swoim nierównym, pajęczym pismem: „Przez dżunglę - idzie”.

Co to miało znaczyć?

Było już zbyt późno, aby porozumieć się z tamtą kobietą. Zapewne przybędzie wieczorem. Taki szmat drogi...

No cóż, da jej ten kawałeczek papieru - może to coś ważnego - i powtórzy to, co ojciec powiedział o bliźniaczkach.

Rozdział drugi

Krótki, szczęśliwy żywot małej Jenks i upiornej bandy

Tu zupę z trupa

serwują na pięć.

Nie trzeba czekać

przed bramą niebios

po przasną śmierć.

W tym właśnie rogu

na amen skończysz z każdym z nałogów.

Menu śliczności, lecz przede wszystkim z gości różności.

Jedna zasada - od stołu wara,

Póki coś z ciebie nie chlapnie do gara.

- Jeźdźce będziesz tu jadł.

- Jakbyś zgadł.

Stan Rice „Teksaska suita” z tomu „Owieczka nie byle jaka” (1975) Mała Jenks wyciskała ze swojego harleya sto dziesięć na godzinę, wiatr mroził na kość nagie białe dłonie. Miała czternaście lat zeszłego roku, kiedy jej to zrobili, ukatrupili ją, i teraz żywa czy umarła ważyła czterdzieści dwa kilo maks. Od kiedy tamto się stało, nie czesała się - nie musiała - i wiatr odrzucał do tyłu dwa jasne warkoczyki ponad kołnierzem czarnej skórzanej kurtki. Pochylona do przodu, nachmurzona, wydymająca małe usteczka, była zła i zdradliwie milutka. Wielkie niebieskie oczy były puste.

Rockowa muzyka Wampira Lestata tak dawała czadu w słuchawkach, że Mała nie czuła niczego poza wibracją wielkiego motocykla pod sobą i szaloną samotnością, która nie opuszczała jej przez pięć dni, od kiedy wyruszyła z Gun Barrel City. A poza tym dokuczał jej sen, sen nawiedzający ją każdej nocy na chwilę przed otwarciem oczu.

We śnie widziała rude bliźniaczki, te dwie piękne panie, a potem zawsze te same okropności.

Nie, nie podobały się jej ani trochę i czuła się tak samotna, że mało nie dostała od tego świra.

Upiorna Banda nie spotkała się z nią na południe od Dallas, jak było umówione. Mała Jenks wymiękała przy cmentarzu dwie noce, aż zrozumiała, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Nigdy nie pojechaliby bez niej do Kalifornii. Planowali obejrzeć występ Wampira Lestata, ale mieli masę czasu. Tak, stało się coś złego. Na bank.

Nawet kiedy była żywa, Mała Jenks czuła takie sprawy. A teraz, jako umarłak, czuła to dziesięć razy mocniej. Wiedziała, że Upiorna Banda jest w kłopotach po szyję. Ogier i Dawid nigdy by jej nie olali. Ogier powiedział, że ją kocha. Czemu miałby ją ukatrupiać, gdyby jej nie kochał?

Umarłaby w Detroit, gdyby nie Ogier.

Wykrwawiała się na śmierć; lekarz już zrobił wszystko git, rozkawałkował dziecko i tak dalej, ale poharatał ją gdzieś w środku tak, że już miała umrzeć; wcześniej tak się nafaszerowała herą, że zwisało jej to dokumentnie. Wtedy stało się coś śmiesznego. Uniosła się pod sufit i patrzyła na swoje ciało! I to wcale nie za sprawą narkotyków. Miała czują, że zaraz wydarzy się cała masa innych rzeczy.

Bo tam, na dole, wszedł do pokoju Ogier i z tego miejsca, w którym była, pod sufitem, widziała, że to umarlak. Jasne, że wtedy nie wiedziała, jak na siebie mówił. Wiedziała tylko, że on nie żyje.

Wyglądał zupełnie zwyczajnie. Czarne dżinsy, czarne włosy, głęboko osadzone czarne oczy; z tyłu na skórzanej kurtce napis: „Upiorna Banda”. Usiadł na łóżku przy jej ciele i pochylił się nad nim.

- Ale z ciebie ślicznotka! - powiedział. Cholera, to samo powiedział alfons, kiedy kazał jej zapleść włosy w warkoczyki i założyć te plastikowe cudeńka, zanim wyszła na ulicę.

A potem, WIUUUM! Znów była w swoim ciele na amen, pełna czegoś cieplejszego i fajowszego niż hera, i usłyszała jego słowa:

- Już nie umrzesz, Mała Jenks, już nigdy!

Wbiła mu zęby w kark, cholera, i o rany, było jej jak w niebie! Ale że nigdy nie umrze? No, bez jaj.

Zanim zmyła się z Dallas, na dobre machnąwszy ręką na Upiorną Bandę, widziała dom sabatowy na Swiss Avenue spalony na węgiel. Wszystkie szyby wyleciały z okien. To samo w Oklahomie. Co, do diabła, stało się z wszystkimi umarlakami z tamtych domów? To byli krwiopijcy z wielkiego miasta, zwykowni goście, którzy nazywali siebie wampirami.

Ależ się śmiała, kiedy Ogier i Davis powiedzieli jej, że tamte umarlaki paradowały w garniturach z kamizelkami, słuchały muzyki klasycznej i nazywały siebie wampirami. Mała Jenks mało nie skonała ze śmiechu. Davis też myślał, że to przejaja, ale Ogier wciąż ich przed nimi ostrzegał. Trzymajcie się od nich z daleka, mówił.

Ogier, Davis, Tim i Russ zabrali ją w okolice domu sabatowego na Swiss Avenue, tuż przedtem, zanim ich zostawiła, wyjeżdżając do Gun Barrel City.

- Zawsze musisz widzieć, gdzie to funkcjonuje - poradził jej Davis. - A potem trzymaj się od nich z daleka.

W każdym wielkim mieście, do którego wpadali, pokazywali jej domy sabatowe. Ale kiedy pokazali jej pierwszy, w St. Louis, powiedzieli jej całą prawdę.

Była naprawdę szczęśliwa z Upiorną Bandą, od kiedy wyjechali z Detroit, karmiąc się ludźmi, których wywabiali z przydrożnych mordowni. Tim i Russ to goście okay, ale Ogier i Davis byli jej najlepszymi przyjaciółmi, a poza tym szefami Upiornej Bandy.

Od czasu do czasu jechali do jakiejś wiochy, znajdowali jakąś porzuconą rudę, w której gnieździło się paru meneli, facetów zupełnie jak jej tato, z baseballówkami na głowach i spracowanymi łapami w bliznach. I robili tam sobie ucztę z tych facetów. Zawsze możesz sobie podjąć na koszt takich typów, powiedział jej Ogier, bo wszystkim zwisa, co się z takim stanie.

Uderzali szybko, raz-dwa! - pili krew w try miga, opróżniali tamtych do ostatniego uderzenia serca. To nie zabawa, tak torturować ludzi, powiadał Ogier. Trzeba było mieć dla nich współczucie. Robiło się swoje, potem paliło rudę albo wyciągało ich na dwór, kopało dziurę po byku i wrzucało

zewłok. A jak maskowanie odpadało, szło się na taki numererek: nacinało się palec, spuszczało swoją trupią krew na ranki, przez które wcześniej wyssało się ich do sucha, no i proszę! ranki znikwały, jakby ich nigdy nie było. ŚWISKU-BŁYSKU! Nikt nigdy nie dałby rady tego wyczaić; wyglądało to na udar albo zawał.

Mała Jenks miała ubaw na okrągło. Radziła sobie z prowadzeniem pełno wymiarowego harleya, taszcząc przy tym pod pachą martwe ciało, potrafiła przeskoczyć nad maską samochodu, fantastyczna sprawa. I wtedy nie miewała tego cholernego snu, snu, który zaczął ją nawiedzać od Gun Barrel City - o tych rudych bliźniaczkach i tej kobiecie na ołtarzu. O co w tym chodzi?! -

tłukło się po głowie Małej Jenks.

Co zrobi, jeśli nie da rady znaleźć Upiornej Bandy? Tam, w Kalifornii, Wampir Lestat wyjdzie na podium za dwie noce. I wszystkie umarlaki z całego świata tam będą, tak przynajmniej kombinowała sobie Mała Jenks i tak kombinowała sobie Upiorna Banda, i wszyscy mieli się tam spotkać. Dlaczego w takim razie odbiła od Upiornej Bandy i waliła do zadupia pokroju St. Louis?

Niech to szlag, zależało jej tylko na jednym, żeby wszystko było jak przedtem. Och, krew była pyszna, mniem, była taka pyszna, nawet teraz, kiedy Mała Jenks była sama i musiała dodawać sobie otuchy tak jak tego wieczoru; zajechała na stację benzynową i zwabiła tamtego starego gościa za budynek. Och, taaa, łaps, złapała go za szyję i krew trysnęła, to było po prostu świetne, to były hamburgery, frytki i koktajl truskawkowy, to było piwo i lody czekoladowe z bitą śmietaną. To była hera, koka i hasz. To było lepsze niż walenie! To był raj.

Ale wszystko smakowało lepiej, kiedy Upiorna Banda była z nią. Oni ją zrozumieli, kiedy zmęczyła się zużytymi staruchami i powiedziała, że chce posmakować czegoś młodego i delikatnego. Nie ma sprawy. Hej, trzeba jej fajnego małolata, który nawiał z domciu, powiedział

Ogier. Tylko zamknij oczy i zapragnij. Bezbłędnie, ot tak, znaleźli go łapiącego stop na drodze, zaledwie siedem kilometrów za jakimś miasteczkiem w północnym Missouri; było mu Parker.

Całkiem ładny chłopczyk, z kudłatą czarną grzywą, dopiero szczawik, ale naprawdę wysoki, jak na swój wiek, z zarostem na podbródku; wmawiał im, że ma już szesnaście. Wsiadł na jej motor i zabrali go do lasu. Potem Mała Jenks położyła się z nim, jak dobrej chętnej panience przystało, i CHLIP! To by było na tyle z Parkerem.

Był smaczniutki do ostatniej kropelki, soczysty, można powiedzieć. Ale tak serio, jak już dobrze się nad tym zastanowić, nie wiedziała, czy był chociaż trochę lepszy niż wstrętne starzy faceci. I z nimi zabawa była bardziej wyrównana. Kochane, stare chłopiska, mówił na nich Davis.

Davis był czarnym umarlakiem, cholernie przystojnym Murzyniorem umarlakiem, tak to widziała Mała Jenks. Jego skóra miała złoty połysk, trupi połysk, który u białych umarlaków sprawiał wrażenie fluorescencyjnej poświaty. Davis miał poza tym piękne rzęsy, cholera, niewiarygodnie długie i grube, i nakładał na siebie całe złoto, które wpadło mu w ręce. Kradł

ofiaram złote pierścienie, zegarki, łańcuszki i inne różności.

Davis uwielbiał tańczyć. Wszyscy to uwielbiali, ale Davis przebijał w tańczeniu całą resztę.

Chodziło się tańczyć na cmentarze, koło trzeciej w nocy, gdy już wszyscy się nakarmili, zakopali ciała i w ogóle. Stawiało się kaseciak na grobowcu i dawało na ful Wampira Lestata. „Wielki dom sabatowy” to był dobry kawałek do tańczenia. O rany, ale to było super, kręcić się, obracać i wyskakiwać wysoko w powietrze albo chociaż patrzeć, jak Davis się rusza i Ogier, i Russ, jak kręcą się w kółko do upadłego. To dopiero był prawdziwy taniec umarłaków.

A jak ci wielkomejscy krwiopijcy nie wiedzieli, co to za frajda, to musieli być porąbani.

O rany, ależ by chciała teraz opowiedzieć Davisowi o swoim śnie, który męczył ją od czasu Gun Barrel City. Jak ją naszedł pierwszy raz w przyczepie matki, TRZASK! kiedy siedziała, czekając.

Był taki wyraźny, jakby nie sen, tamte dwie kobiety z rudymi włosami i ciało na ołtarzu, całe szerniałe i popękane. Co, do diabła, leżało na tych talerzach? No, serce na jednym, a mózg na drugim. Chryste. I ci wszyscy ludzie, klęczący wokół. Ciarki chodziły po plecach. Od tamtej pory ten obraz nawiedzał ją raz za razem. Widziała go za każdym francowatym zamknięciem powiek i potem znowu, zanim wygrzebała się z kryjówki, w której unikała światła dnia. Ogier i Davis by go zrozumieli. Wiedzieliby, czy coś znaczy. Zależało im na tym, żeby nauczyć ją wszystkiego.

Kiedy po raz pierwszy zahaczyli o St. Louis w drodze na południe, Upiorna Banda przejechała z bulwaru na jedną z tych wielkich ciemnych ulic z żelaznymi bramami; to było tutejsze miejsce nie dla wszystkich, jak je nazywali. Oficjalnie Central West End. Małej Jenks podobały się rosnące tam wielkie drzewa. W południowym Teksasie człowiek zbytnio się na takie nie napatrzył. Nie było ich tam ani na lekarstwo. A tu rosły tak wysoko, że wielkie konary tworzyły ci dach nad głową. Ulice były pełne hałaśliwie szeleszczących liści, domy - wielkie, ze spiczastymi dachami i światłami ukrytymi głęboko w środku. Dom sabatowy, zbudowany z cegły, miał, jak mówił Ogier, mauretańskie łuki.

- Nie podchodźcie ani kroku bliżej - ostrzegł Davis. Ogier tylko się śmiał. Ogier nie bał się wielkomejskich umarłaków. Został ukatrupiony sześćdziesiąt lat temu; był stary i wiedział

wszystko.

- Ale oni będą próbowali zrobić ci krzywdę, Mała Jenks - powiedział, prowadząc ulicą swojego harleya. Miał pociągłą twarz, złoty kolczyk w uchu i małe, mądre oczy. - Widzisz, to stary dom sabatowy, jest w St. Louis od przełomu wieków.

- Ale czemu oni mieliby nas krzywdzić? - spytała Mała Jenks. Tamten dom naprawdę ją zaciekał. Kim były umarłaki, które w nim faktycznie mieszkały? Na litość boską, kto płacił

rachunki za gaz i prąd?

Przez firanki w jednym z frontowych okien widać było coś jakby żyrandol. Wielki, wymyślny żyrandol. Ludzie! To było życie.

- Och, oni mają tam wszystko - powiedział Davis, czytając w jej myślach. - Nie sądzisz chyba, że

sąsiedzi uważają ich za prawdziwych ludzi? Popatrz na wózek na tym podjeździe, wiesz, co to jest? To bugatti, mała. I obok mercedes-benz.

A co złego, do diabła, w różowym cadillaku? Marzyło się jej właśnie coś takiego, wielkie kabrio żłapiące benzynę bez opamiętania, które mogłaby rozbijać na prostej do dwóch setek. I to właśnie spowodowało na nią kłopoty, to ściągnęło ją do Detroit - tamten dupek z cadillakiem kabrio. Ale przecież jak się jest umarlakiem, to jeszcze nie znaczy, że musisz jeździć harleyem i spać w syfie każdego dnia, no nie?

- My jesteśmy wolni, kochanie - powiedział Davis, znowu czytając w jej myślach. - Nie rozumiesz tego? Jak prowadzisz takie wielkowiejskie życie, bierzesz sobie na kark kupę bagażu.

Powiedz jej, Ogier. I nie wpakujesz mnie do takiego domu, żebym spał w skrzyni pod podłogą.

Zarżał. Ogier zarżał. Ona też zarżała. Ale jak tam było w środku, do diabła? Włączają nocny program i oglądają filmy o wampirach? Davis wprost tarzał się po ziemi ze śmiechu.

- Prawdę mówiąc, Mała Jenks - oświecił ją Ogier - oni traktują nas jak hołotę i chcą mieć nad wszystkim władzę. Uważają na przykład, że nie mamy prawa być umarlakami. Kiedy nadają komuś tytuł wampira, jak to nazywają, robią wtedy wielką ceremonię.

- Coś jak na przykład wesele, o to wam chodzi?

Tamci dwaj śmieli się jeszcze bardziej.

- Nie całkiem, raczej jak pogrzeb!

Robili za dużo hałasu. Te domowe umarlaki gotowe jeszcze ich usłyszeć. Ale skoro Ogier się nie bał, Mała Jenks też się nie bała. Gdzie są Russ i Tim, pojechali na polowanie?

- Główna rzecz w tym, Mała Jenks - powiedział Ogier - że oni mają te wszystkie zasady i mówię ci, głoszą na prawo i lewo, że dorwą się do Wampira Lestata w noc koncertu, ale wiesz co, oni czytają jego książkę, jakby to była Biblia. Używają tego całego jego języka, Mroczny Dar, Mroczne Zakłęcie. Chcą spalić faceta na stosie, a potem traktować jego książkę, jakby to była Emily Post albo panna Manners. Mówię ci, to dopiero najgłupsza rzecz, jaką w ogóle słyszałem...

- Oni nigdy nie dopadną Lestata - powiedział ze wzgardą Davis. - Nie ma mowy, człowieku. Nie da rady zabić Wampira Lestata, to po prostu niemożliwe. Widzisz, już tego próbowano i na próżno. Tak się składa, że to ten jeden jedyny ptaszek, który jest od czubka głowy do pięt nieśmiertelny.

- Do diabła, oni się tam wybierają tak samo jak my - powiedział Ogier - żeby dołączyć do tego ptaszka, jeśli nas chce.

Mała Jenks nic z tego nie rozumiała. Nie wiedziała, kim są Emily Post czy panna Manners. I czy oni wszyscy nie mieli być nieśmiertelni? I czemu Wampir Lestat miałby chcieć uganiać się z Upiorną Bandą? Przecież jest gwiazdą rocka, na miłość boską. Pewnie ma własną limuzynę. I nie ma bardziej cudnego faceta, ani wśród umarlaków, ani wśród żywych! Blond włosy, za które oddałabyś życie,

uśmiech taki, że masz ochotę przewrócić się na brzuch i nadstawić mu szyję, niech gryzie, jak chce, cholera!

Próbowała czytać książkę Wampira Lestata - całą historię umarłaków od czasów starożytnych i w ogóle - tyle że było w niej za dużo wzniosłych słów i BĘC, zasnęła.

Ogier i Davis powiedzieli, że jeszcze się przekona, że da radę czytać naprawdę szybko, jeśli będzie się z nimi trzymać. Nosili ze sobą wszędzie książkę Lestata, pierwszą, z tym tytułem, którego nigdy nie mogą dobrze zapamiętać, coś w rodzaju: „rozmówki z wampirem” albo

„rozmawianie z wampirem”, albo „spotkanie z wampirem”, czy coś w tym guście. Davis czasem czytał ją na głos, ale Mała Jenks nie potrafiła przy tym wydolić, CHRAP! Tamten umarłak, Louis, czy jak mu tam było, został przerobiony na umarłaka w Nowym Orleanie i w książce było w kółko o liściach bananowca, żelaznych balustradach i oplątwach.

- Mała Jenks, oni wiedzą wszystko, te stare europejskie umarłaki - powiedział wtedy Davis. -

Wiedzą, jak się to zaczęło, wiedzą, że możemy tak ciągnąć dalej, pod warunkiem że będziemy trzymać się tego, co do tej pory, i dobijemy tysiąca lat, aż zamienimy się w biały marmur.

- Rany, to dopiero super, Davis - powiedziała Mała Jenks. - Już jest dość fatalnie, że nie można wejść do spożywczego w tych światłach, żeby ludzie się na ciebie nie gapili. Komu zależy na tym, żeby wyglądać jak biały kamol?

- Mała Jenks, ty już nie potrzebujesz nic ze spożywczego - powiedział zupełnie spokojnie Davis.

I miał świętą rację.

Mniejsza o książkę. Mała Jenks naprawdę uwielbiała muzykę Wampira Lestata i bez końca słuchała jego piosenek, zwłaszcza tej o Tych Których Należy Mieć w Opiece - o egipskim królu i królowej - chociaż, szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, co to, do diabła, znaczy, dopóki Ogier jej nie wyjaśnił.

- To Rodzice wszystkich wampirów, Mała Jenks, Matka i Ojciec. Widzisz, tworzymy nieprzerwaną linię, biegnącą od króla i królowej w starożytnym Egipcie; to oni są Tymi Których Należy Mieć w Opiece. A trzeba mieć ich w opiece z następującej przyczyny: jeśli się ich zniszczy, zniszczy się tak samo nas wszystkich.

Dla Małej Jenks to była jakaś kupa pierdół.

- Lestat widział Ojca i Matkę - klarował jej Davis. - Znalazł ich ukrytych na greckiej wyspie, więc wie, że to prawda. O tym właśnie mówi wszystkim w tych piosenkach.

- A Matka i Ojciec nie poruszają się, nie mówią i nie piją krwi, Mała Jenks - dodał Ogier. Był naprawdę zamyślony, prawie smutny. - Siedzą tam tylko i patrzą przed siebie już od tysięcy lat.

Nikt nie ma pojęcia, co wie tych dwoje.

- Pewnie nic - powiedziała ze smutkiem Mała Jenks. - I wiecie, też mi coś, taka nieśmiertelność!

O co wam chodzi z tym, że wielkemiejskie umarlaki mogą nas zabić? Jakim cudem?

- Ogniem i słońcem zawsze można - przypomniał jej Ogier, trochę zniecierpliwiony. - Mówiłem ci. Teraz słuchaj, proszę. Zawsze możesz się postawić umarlakom z wielkiego miasta. Jesteś twarda. Tak naprawdę to umarlaki z wielkiego miasta tak samo boją się ciebie jak ty ich. Możesz tego być pewna, kiedy po raz pierwszy widzisz jakiegoś umarlaka. Tej zasady trzymają się wszyscy, którzy są martwi.

Kiedy odjechali sprzed domu sabatowego, Ogier miał dla niej jeszcze jedną wielką niespodziankę: opowiedział jej o barach dla wampirów. Wielkich przefajnych lokalach w Nowym Jorku, San Francisco i Nowym Orleanie, w których umarlaki spotykają się na zapleczu, podczas kiedy ci cholerni durni ludzie piją i tańczą na froncie. Tam żaden inny umarlak nie może cię zabić, ani miejski goguś, ani Europejczyk, ani taka hołota jak ona sama.

- Zmiataj do takiego lokalu - powiedział jej - gdyby któryś z wielkemiejskich umarlaków się do ciebie przyczepił.

- Jestem niepełnoletnia. Nie mogę wejść do baru.

To ich kompletnie załatwiło. Ogier i Davis zaśmiewali się do rozpuku. Spadali z motorów.

- Jak znajdziesz bar dla wampirów, Mała Jenks - powiedział Ogier - po prostu popatrz na nich krzywym okiem i powiedz: „Wpuszczać mnie i już”.

Taaa już patrzyła krzywym okiem na ludzi i musieli robić, co chciała; to działało bez pudła. A tak naprawdę to nigdy nie byli w żadnym barze dla wampirów. Tylko o nich słyszeli. Nie wiedzieli gdzie one są. Miała masę pytań, kiedy wreszcie wyjeżdżali z St. Louis.

Ale kiedy pojechała na północ, w kierunku tego miasta, zależało jej jedynie na tym, żeby dostać się do tamtego cholernego domu sabatowego. Wielkemiejskie umarlaki, nadjeżdżam. Dostanie zwyczajnego świra, jeśli będzie musiała dalej ciągnąć w pojedynkę.

Muzyka w słuchawkach zamarła. Taśma przewinęła się do końca. Mała Jenks nie mogła znieść ciszy, jaką był podszyty wyjący wiatr. Sen powrócił; znowu zobaczyła bliźniaczki i nadchodzących żołnierzy. Jak tego czymś nie zagłuszy, cały cholerny sen będzie leciał jej przed oczami, jakby na wideo.

Przytrzymując kierownicę jedną ręką, sięgnęła do kieszeni kurtki, otworzyła małego walkmana i przerzuciła taśmę na drugą stronę.

- Śpiewaj facet! - zawołała. Nie wiedziała, czy słyszy swój głos, chrapliwy i podniesiony, przekrzykujący wiatr, czy się jej tylko tak wydaje.

O Tych Których Należy Mieć w Opiece

Co możemy wiedzieć, co?

Czy coś nas jeszcze uratuje?

Tak jest, to było to, co lubiła najbardziej. Tego właśnie słuchała, zapadając w sen, kiedy czekała, aż matka wróci do domu z pracy w Gun Barrel City. Nie słowa najbardziej ją rajcowały, ale sposób śpiewania, pod Bruce'a Springstina, taki że aż się człowiekowi serce krajało.

To było niby coś takiego jak hymn. Świetnie brzmiało, Lestat śpiewał tak, jakby był do tego stworzony, a całość podkreślał równy rytm perkusji, który przenikał ją do kości.

- Dobra facet, dobra, jesteś jedynym cholernym umarlakiem, jaki mi teraz został, Lestat śpiewaj!

Na pięć minut przed St. Louis znów napadły ją myśli o matce, o tym, jakie to wszystko było dziwne, jak bardzo złe.

Mała Jenks musiała to zrobić, musiała dopaść swoich rodziców, zanim Upiorna Banda ruszyła na zachód. I nawet tego nie żałowała. Poza tamtym dziwnym momentem, kiedy matka odwaliała kité tam, na podłodze.

Bo Mała Jenks zawsze nienawidziła matki. Matka była najzwyczajniej w świecie głupia, przez wszystkie dni swojego życia robiła krzyże z małych różowych muszelek i odłamków szkła, a potem zabierała je na tandetę do miasteczka i sprzedawała za dziesięć dolarów sztuka. Do tego były brzydkie, prawdziwa taniocha, z małym powykręcany Jezusikiem w środku, zrobionym z czerwonych i niebieskich paciorków i diabeł wie z czego jeszcze.

Ale to nie wszystko; dowcip w tym, że Małej Jenks flaki wywracały się od wszystkiego, co matka robiła. Już samo jej ganień do kościoła mogło zepsuć człowiekowi humor, a do tego jeszcze ten jej sposób gadania z ludźmi, ten jej słodziutki ton i to, że zносиła picie starego, i zawsze miała dla każdego dobre słowo.

Mała Jenks nigdy tego nie kupowała. Zwykle leżała na swojej pryczy w przyczepie i myślała: Co naprawdę napędza tę babę? Kiedy wreszcie wybuchnie jak laska dynamitu? A może jest za głupia?

Matka przestała patrzeć Małej Jenks w oczy całe lata temu. Kiedy Mała Jenks miała dwanaście lat, przysłała do domu i powiedziała:

- Wiesz, że to zrobiłam? Mam nadzieję, że nie bierzesz mnie już za żadną dziewicę?

I matka po prostu odpadła, a jak, po prostu uciekła wzrokiem w bok, odwróciła te szeroko otwarte, puste, głupie gały i wróciła do swojego zajęcia, nucąc bez słów, jak zawsze przy robieniu tych muszelkowych krzyży.

Jednego razu jakaś szych z miasteczka skomplementował matkę, że tworzy prawdziwą sztukę ludową.

- Robią z ciebie głupią - powiedziała jej Mała Jenks. - Nie łapiesz tego? Nie kupują tych ohydnych

rzeczy, no nie? Wiesz, z czym mi się to kojarzy? Powiem ci - z wielkimi klipsami ze sklepu, w którym wszystko jest za dziesięć centów!

- Masz ochotę na kolację, kochanie? - Żadnych sprzeciwów. Tylko nadstawienie drugiego policzka.

To była beznadziejna sprawa, doszła do wniosku Mała Jenks. Więc wcześniej wyjechała z Dallas, by w niecałą godzinę dojechać do Cedar Creek Lake i znajomego drogowskazu, który zapowiadał jej ukochane rodzinne miasteczko:

WITAJCIE W GUN BARREL CITY. TU KAŻDY DOSTAJE TAKIEGO STRZAŁA, NA JAKIEGO ZASŁUŻYŁ.

Postawiła harleya za przyczepą, żeby nie rzucił się w oczy. W domu nie było nikogo, więc postanowiła się zdrzemnąć, a obok miała przygotowane żelazko. Kiedy matka wejdzie, wtedy ŁUUP! Załatwi się szanowną panią.

Wtedy przytrafił się sen. Gdzie tam, nawet nie spała, kiedy się zaczął. To było tak, jakby Lestat ucichł, a sen otworzył paszczę i TRZASK!:

Była na zalanej słońcem polanie na stoku góry. I były tam też te dwie bliźniaczki, piękne kobiety o długich, wijących się rudych włosach. Klęczały jak anieli w kościele, ze złożonymi rękami.

Wkoło masa ludzi w długich szatach, wyglądających jak postaci z Biblii. Rozlegała się muzyka, łomot, od którego ciarki chodziły po plecach, a także zawodzenie rogu, jak na jakimś pogrzebie.

A najgorsze było to, że na kamiennym ołtarzu leżało martwe ciało, spalony trup kobiety. Rany, to wyglądało tak, jakby ją smażyli! A na talerzach leżały obrosłe tłuszczem świecące serce i mózg.

Yhm, jasna sprawa, to było serce i mózg.

Mała Jenks obudziła się wystraszona. Do diabła z tym. Matka stała w drzwiach. Mała Jenks zerwała się i tak długo waliła ją żelazkiem, aż matka przestała się ruszać. I powinna być martwa, ale wciąż nie była i wtedy wydarzył się tamten zwariowany moment.

Matka leżała na podłodze, na pół martwa, tak samo jak później tato. A Mała Jenks siedziała na fotelu z nogą przerzuconą przez jego poręcz, oparta na łokciu i kręciła sobie obwarzanki z warkoczyka; trochę myślała o bliźniaczkach ze snu, o nieboszczce i o flakach na talerzach - co to miało być? Ale przede wszystkim czekała. Umieraj, ty durna suko, umieraj, już, więcej ci nie przyłożę!

Nawet teraz Mała Jenks nie była pewna, co się dalej stało. Jakby myśli matki urosły, stały się szersze, większe. Może matka uniosła się pod sufit, jakoś tak jak przytrafiło się Małej Jenks, kiedy mała nie umarła, zanim Ogier ją uratował. Ale jakakolwiek by była przyczyna tego wszystkiego, te myśli były, no... niesamowite. Po prostu niesamowite. Jakby matka wiedziała o wszystkim. O tym, co to jest dobro i zło, i o tym, jak ważne jest kochać, naprawdę kochać, i o tym, że to jest o wiele ważniejsze niż wszystkie zasady o niepaleniu, niepicciu i modleniu się do Jezusa. To nie było księżę gładzenie. To było po prostu odlotowe.

Matka, leżąc tam, myślała o tym, że brak miłości u jej córki, Małej Jenks, jest tak okropny jak jakiś zły gen, przez który Mała Jenks stała się ślepa i kaleka. Ale to się wcale nie liczyło.

Wszystko jeszcze się zmieni. Mała Jenks wyrośnie z tego i wtedy wszystko będzie lepiej pojmować. Co to, do diabła, miało znaczyć? Że niby wszystko wokół nas jest częścią jednej wielkiej całości - nitki w wykładzinie, liście za oknem, woda kapiąca w zlewie, chmury nad jeziorem, nagie drzewa, i to naprawdę nie jest tak brzydkie, jak Mała Jenks sobie myśli. Nie, to nagle zrobiło się takie piękne, że prawie nie dało się tego opisać. I matka zawsze o tym wiedziała! Widziała to w ten deseń! Matka przebaczyła jej wszystko. Biedna Mała Jenks. Ona nie wiedziała. Nie wiedziała o zielonej trawie. Ani o muszelkach świecących w blasku lampy.

Potem matka umarła. Dzięki Bogu! A Mała Jenks się poryczała. Następnie wyniosła ciało z przyczepy i zakopała z tyłu, naprawdę głęboko, rozkoszując się tym, jak to dobrze być jednym z umarłaków i mieć tyle siły, żeby przerzucać całe łopaty ziemi.

A potem przyszedł ojciec. To był dopiero bal! Zakopała go, kiedy jeszcze żył. Nigdy nie zapomni wyrazu jego gęby, kiedy pojawił się w drzwiach i zobaczył ją z toporem strażackim.

- No niech mnie, jak to nie Lizzie Borden.

Kim, do diabła, była Lizzie Borden?

A potem zadarł podbródek i zaczął wymachiwać pięściami w jej kierunku; taki był pewien siebie!

- Ty ścierko!

Rozłupała mu ten cholerny łeb na pół. Taaa, to było fantastyczne, poczuć, jak mu czacha mięknie...

- Do piachu, skurwielu!

...i tak samo fantastycznie było ciskać mu w oczy łopaty ziemi, kiedy wciąż na nią patrzył.

Sparaliżowany, niezdolny do ruchu, przekonany, że znowu jest dzieckiem gdzieś na gospodarstwie w Nowym Meksyku.

Ty skurwielu - myślała Mała Jenks - zawsze wiedziałam, że masz nasrane we łbie. A teraz to czuję!

Ale czemu, u diabła, w ogóle tam pojechała? Czemu opuściła Upiorną Bandę? Gdyby ich nie zostawiła, byłaby teraz z nimi w San Francisco, z Ogierem i Davisem; razem czekali, aż Lestat pojawi się na scenie. Mogliby nawet wycząć bar dla wampirów albo coś innego. Pod warunkiem, że dojechaliby na miejsce. Że nie stałoby się coś naprawdę złego.

Co więc, do diabła, robi teraz, dlaczego wraca? Może jednak powinna jechać na zachód? Zostały wszystkiego dwie noce.

Niech to, może w wieczór koncertu wynajmie pokój w motelu, żeby obejrzeć występ w telewizji. Ale wcześniej musi znaleźć w St. Louis jakichś umarłaków. Nie wydoli dalej sama.

Jak znaleźć ten Central West End? Gdzie on jest?

Bulwar wyglądał znajomo. Jechała niespiesznie, modląc się, żeby jakiś upierdliwy gliniarz nie zaczął jej deptać po piętach. Nie dałaby mu szans, zawsze była szybsza, chociaż marzyła o tym, żeby chociaż raz dorwać kogoś ze skurwieli na pustej drodze. Ale prawdę mówiąc, nie chciała być zmuszona do ucieczki z St. Louis.

Tutaj wreszcie wyglądało znajomo. Taaa, to był Central West End czy jak mu tam; skręciła na prawo w starą ulicę, między te wielkie liściaste drzewa rzucające chłód. To wszystko przywiodło na myśl matkę, zieloną trawę, chmury. W jej gardle uwiązał cichy szloch.

Gdyby tylko nie była tak cholernie samotna! Ale wtedy zobaczyła bramy, taaa, to była tamta ulica. Ogier mówił jej, że umarlaki nigdy o niczym nie zapominają. Że jej głowa będzie jak mały komputer. Może to prawda. To były wrota całą gębą, wielkie żelazne wrota, otwarte szeroko i obrośnięte ciemnozielonym bluszczem. Pewnie nigdy nie zamykali tego „miejsca nie dla wszystkich”.

Przykręciła gaz, aż silnik zwolnił obroty do leniwego łomotu, a potem go wyłączyła. Robił zbyt dużo hałasu w tej mrocznej dolinie rezydencji i ktoś mógłby wezwać gliny. Musiała zejść z motoru, żeby prowadzić maszynę. Nie przeszkadzało jej to. Super się brnęło przez ten gruby kozuch zwiędłych liści. Cała ta cicha ulica była super.

O kurcze, gdybym była wielkomięjskim wampirem, też bym tu mieszkała - rozmarzyła się, a po chwili, w głębi ulicy ujrzała dom sabatowy, rozpoznała ściany z cegły i białe mauretańskie łuki.

Serce zaczęło walić jej jak szalone!

Był spalony!

Początkowo nie chciała w to uwierzyć! A potem przekonała się, że to naprawdę fakt - wielkie jęzory czerni na ceglach, okna wybite, nigdzie ani jednej szyby. Jezu Chryste! Mało nie zwariowała. Podprowadziła motor bliżej, zagryzając wargę tak mocno, że czuła smak krwi. Ale widok. Do diabła, czyja to robota?! Okruszki szkła na całym trawniku i nawet na drzewach; cała posesja migotała tak, że na jej widok ludziom pewnie zaczęłoby się mienić w oczach. Wyglądało to jak gwiazdkowa dekoracja, tyle że cuchnęło zwęglonym drewnem. Trudno było tego nie poczuć.

Już miała się rozryczeć! Już miała się rozwrzeszczeć! Jednak coś usłyszała. Nie prawdziwy dźwięk, ale odgłos, na który wyczulił ją Ogier. Tam był umarlak!

Nie mogła uwierzyć w swój fart i miała gdzieś, co może się wydarzyć. Musiała tam wejść. Yhm

- czuła, że ktoś tam jest. Cichusi jak myszka. Podeszła troszkę bliżej, liście piekielnie głośno zaszeleściły jej pod stopami. Było ciemno, ale ktoś się tam ruszał, nadchodził. Gdy tak stała z łomocącym sercem, wylękniona i oszalała z pragnienia, by znaleźć się w środku, ten ktoś wyszedł na werandę; umarlak patrzył prosto na nią.

- Chwała niech będzie Panu - szepnęła. Nie był to wcale jakiś palant w garniturku. Nie, to był

młody chłopak; kiedy go ukatrupili, był starszy nie więcej niż dwa lata od niej. Wyglądał

naprawdę super. No bo po pierwsze miał srebrne włosy, autentyczne króciutkie siwe włosy, a to zawsze jest super u młodego gościa. I poza tym był szczupły, wysoki, swobodnie ponad metr osiemdziesiąt, i miał naprawdę elegancki akcent, tak się jej przynajmniej wydawało. Jego skóra była tak biała, że wydawała się jak z lodu; miał na sobie ciemnobrązowy cienki golf, przebojowo skrojoną kurtkę z brązowej skóry i skórzane spodnie, zupełnie nie w motocyklowym stylu. To był prawdziwy gościu, bardziej ładniutki niż wszystkie umarlaki w Upiornej Bandzie razem wzięte.

- Do środka! - zasyczał. - Szybko!

Wbiegła po stopniach, jakby miała skrzydła u ramion. W powietrzu nadal unosiły się płatki popiołu, gryzło ją w gardle, piekło w oczach. Przez w połowie zwaloną werandę ostrożnie przeszła do holu. Niektóre stopnie się zachowały, ale dach był całkiem rozpruty, a żyrandol zniszczony i pokryty sadzą. Było tam naprawdę tak strasznie jak w nawiedzonym domu.

Umarlak chodził w salonie, a właściwie jego resztkach, kopał i grzebał w spalonych szczątkach i meblach, wściekły jak nic.

- Mała Jenks, zgadza się? - spytał, posyłając jej dziki, nieszczerzy uśmiech odsłaniający perłowe zęby i małe kły. Szare oczy zamigotały. - I zgubiłaś się, prawda?

No dobra, następny gość czytający w myślach jak Davis. I do tego mówiący z obcym akcentem.

- No i co z tego? - powiedziała. Ku swojemu prawdziwemu zdumieniu wychwyciła jego imię, jakby to była piłka rzucona w jej kierunku: Laurent. To ci dopiero było imię z klasą, jakby francuskie.

- Nie ruszaj się, Mała Jenks - rozkazał. Ten akcent pewnie też był francuski. - W tym domu było nas trzech i dwóch się spaliło. Policja nie zdoła odszukać szczątków, ale ty je rozpoznasz, jak na nie nastąpisz, i nie będziesz tym zachwycona.

O rany! Mówił prawdę, bo jeden z tamtych był właśnie niedaleko, żadnego zalewania, w głębi holu; wydawało się, że tam leży tylko na wpół spalony garnitur tworzący niewyraźny zarys sylwetki. Jasna sprawa, czuła węchem, że w ciuchach, z których zostały tylko rękawy i nogawki, paradował kiedyś umarlak. W środku tego tam wszystkiego była szarawa, skotłowana bryja, raczej gęsty tłuszcz i prochy niż popioły. Śmieszna sprawa, mankiet koszuli wciąż sterczał z rękawa marynarki. Tamten gość miał chyba garnitur z kamizelką.

Zbierało się jej na wymioty. Czy jak jesteś umarła, to możesz się porzygać? Chciała się stamtąd wydostać. Co będzie, jeśli ktoś, kto to zrobił, wróci? Ładna mi nieśmiertelność!

- Nie ruszaj się - powiedział umarlak. - Wyjdziemy stąd, najszybciej jak się da.

- Wolalabym już! - krzyknęła. Niech to cholera weźmie, dostała dreszczy. To pewnie były te, jak to mówili... zimne poty!

Tamten znalazł blaszane pudełko i wyjmował z niego całą nie spaloną forszę.

- Hej, facet, zmywam się - powiedziała. Czują coś w tym miejscu i nie miało to żadnego związku z tłustym śladem na podłodze. Myślała o spalonych domach sabatowych w Dallas i Oklahomie i o okolicznościach, w jakich Upiorna Banda znikła jej z oczu. Tamten zajarzył to wszystko, była pewna. Twarz mu złagodniała, znów zrobił się ładniutki. Odrzucił pudełko i podszedł do niej tak szybko, że wystraszyła się jeszcze bardziej.

- Tak, ma *chemie* - rzekł wręcz miłym tonem - wszystkie tamte domy sabatowe, zgadza się. East Coast spłonął jak od jednego gigantycznego spięcia. Nikt nie potrafi wytłumaczyć zniszczenia domów sabatowych w Paryżu czy w Londynie.

Ruszyli do drzwi. Wziął ją pod ramię.

- Kto to, do diabła, robi? - spytała.

- Kto to, do diabła, wie, *chemie* ? To niszczy domy, bary wampirów, każde hultajstwo, na jakie trafi. Musimy się stąd wynosić. Zapuszczaj silnik.

Jednak Mała Jenks zatrzymała się jak wryta. Coś tam jest! - pomyślała, zatrzymując się na skraju werandy. Coś. Bała się zrobić krok dalej i bała się wrócić.

- O co chodzi? - spytał szeptem.

Jak ciemno było pod tymi wielkimi drzewami, przy tych wszystkich domach, które wyglądały na nawiedzone; coś słyszała, coś naprawdę cichego... jakby coś oddychającego. Coś w tym rodzaju.

- Mała Jenks! Zapalaj!

- Ale dokąd mamy jechać? - spytała. Słyszała to coś, cokolwiek to było.

- Do jedyne miejsca, które nam pozostało. Tam, gdzie jest on, kochanie, Wampir Lestat. On jest gdzieś w San Francisco, czeka, cały i zdrowy!

- Taaa? - powiedziała, wpatrując się w ciemną ulicę przed sobą. - Taaa, zgadza się, do Wampira Lestata. - Motocykl był dziesięć kroków od niej. Weź go, Mała Jenks. Ten umarłak jest gotów odjechać bez ciebie. - Nie waż się, ty sukinsynu, nie dotykaj mojego harleya!

Teraz jednak naprawdę liczył się tamten dźwięk, no nie? Mała Jenks w życiu nie słyszała czegoś podobnego - ani gdy była żywa, ani jako umarła. A kiedy jesteś umarła, słyszysz masę rzeczy.

Słyszysz pociągi jadące wiele kilometrów dalej i samoloty wysoko na niebie.

Umarłak usłyszał. Nie, usłyszał, że ona słyszy!

- Co to jest? - szepnął. O rany, bał się. I teraz on również to słyszał.

Pociągnął ją za sobą po schodach. Potknęła się i prawie upadła, ale poderwał ją na nogi i posadził na harleyu.

Hałas rósł. Napływał falami jak muzyka. Był już tak głośny, że nie słyszała nawet, co mówi do niej ten umarłak. Obróciła kluczyk, dodała gazu, a umarłak wskoczył na siodełko, ale przez ten hałas nie mogła myśleć. Nie słyszała nawet silnika swojego motocykla!

Spojrzała w dół, żeby zobaczyć, co jest, do diabła, grane, pracuje czy nie, nawet go nie czuła. A kiedy podniosła głowę, patrzyła w kierunku tego czegoś, co wysyłało ten hałas. Było tam w ciemnościach, za drzewami.

Umarłak zeskoczył z harleya i bił w powietrze pięściami, jakby widział to coś. Ale nie, on tylko rozglądał się wkoło i paplał do siebie jak jakiś szaleniec. Nie docierało do niej żadne słowo.

Wiedziała tylko, że to coś jest tam, patrzy na nich, a ten oszalały facet strzępi język na próżno!

Zsiadła z harleya. Maszyna przewróciła się na bok. Hałas umilkł. Zaczęło jej dzwonić w uszach.

- ...co tylko chcesz! - mówił umarłak. - Tylko powiedz, a to zrobimy. Jesteśmy twoimi sługami!... - A potem przebiegł obok Małej Jenks, mało jej nie przewracając, i porwał motor.

- Hej! - rozdarła się, ale ledwo zrobiła krok w jego kierunku, cały stanął w ogniu! Wrzasnął.

Wtedy Mała Jenks też wrzasnęła. Wrzeszczała i wrzeszczała. Palący się umarłak obracał się w kółko na trawniku, wirował w miejscu jak przygwożdżony. Dom sabatowy eksplodował, a niebo zrobiło się jasne jak w samo południe.

O słodki Jezu, spraw, żebym żyła, spraw, żebym żyła! - powtarzała w myślach.

Przez ułamek sekundy sądziła, że serce jej pękło. Bała się spojrzeć w dół, w obawie, że jej klatka piersiowa jest otwarta, a serce pluje krwią jak wulkan lawą, ale w tej samej chwili żar spotężniał

jej w głowie i WIUUUM!... przepadła.

Unosiła się coraz wyżej i wyżej ciemnym tunelem, aż zakołysała się wysoko, patrząc w dół na całą scenę.

O, taaa, właśnie tak, jak już raz było. I proszę, to coś, co ich zabiło, stało tam, biała postać ukryta w kępie drzew. Ciuchy umarłaka dymiły na chodniku, a jej własne ciało paliło się najzwyczajniej w świecie.

W płomieniach dostrzegła nieskazitelnie czarny zarys własnej czaszki i kości, lecz ten widok nie budził w niej ani lęku, ani nawet zainteresowania.

To biała postać napawała ją zdumieniem i zachwytem. Wyglądała dokładnie jak święty posąg, jak przenajświętsza Matka Boska w kościele katolików. Mała Jenks nie mogła oderwać wzroku od błyszczących srebrnych nitek, wysnuwających się z postaci we wszystkich kierunkach, utkanych z jakiegoś tańczącego blasku. A kiedy uniosła się wyżej, zobaczyła, że te srebrne nitki sięgają dalej i splątują się z innymi, tworząc gigantyczną sieć obejmującą cały świat i pełną umarłaków, złapanych jak bezradne muchy w pajęczynie. To były drobne pulsujące iskierki światła, złączone z białą

postać i stanowiące widok niemal piękny, a zarazem tak smutny. Och, biedne dusze wszystkich umarłaków złapanych w niezniszczalną materię, nie mogące się zestarzeć ani umrzeć.

Ona jednak była wolna. Sieć znajdowała się bardzo daleko. Mała Jenks widziała na przykład wiele tysięcy innych umarłych ludzi, kołyszających się w górze w wielkim mgławicowym obłoku szarości. Niektórzy byli zagubieni, inni walczyli ze sobą, a jeszcze inni oglądali się wstecz, w dół, gdzie zmarli tak marnie, jakby nie wiedzieli albo nie wierzyli, że to się stało. Paru nawet próbowało bezskutecznie zwrócić na siebie uwagę żywych.

Mała Jenks wiedziała, że nie żyje. To się stało już dawno. Przesuwała się przez ten mroczny gąszcz smutnych, bezwładnie wiszących w powietrzu ludzi. Była w drodze! Marność jej życia na ziemi napawała ją smutkiem, ale nie to było dla niej ważne.

Znów świeciło światło, wspaniałe światło, którego przeblysk zauważyła, kiedy miała umrzeć po raz pierwszy. Podążała ku niemu, a zarazem w nim. I to było naprawdę piękne. Nigdy nie widziała takich kolorów, takiej światłości, nigdy nie słyszała takiej czystej muzyki. Nie było słów, żeby to opisać; nie znalazłaby właściwych słów w żadnym języku, jaki kiedykolwiek poznała. Tym razem nikt nie zmusi jej do powrotu!

Bo ten ktoś zbliżający się do niej, kto przygarnie ją i pomoże - to była matka! A matka jej nie porzuci.

Miłość, jaką czuła do matki, była nieporównywalna z niczym; ale to nic dziwnego, bo miłość otaczała ją ze wszystkich stron; światło, kolory, miłość - to wszystko stopiło się w jedno.

Ach, biedna Mała Jenks myślała, że po raz ostatni patrzy na Ziemię. Jednak nie była już Małą Jenks. Nie, wcale.

Rozdział trzeci

Bogini Pandora

Kiedyś mieliśmy słowa.

Wół i sokół. Pług.

Panowała zrozumiałość.

Dzikość? To rogi

zakrzywione.

Mieszkaliśmy w kamiennych komnatach.

Zwieszałyśmy włosy za okno i po nich wspinali się mężczyźni.

Brud za uszami, kędziory.

Na każdym wzgórkę król

tego wzgórkę. Nocą nitki były wciągane

Z gobelinów. Rozstrzępiani ludzie darli się wniebogłósy.

Księżyc pokazywał wszystkie kwadry. Mieliśmy słowa.

...

Stan Rice „Kiedyś mieliśmy słowa” z tomu „Irlandzki rebeliant” (1976) Była wysoka, odziana w czerń, cała osłonięta z wyjątkiem oczu; szła długim krokiem, z prędkością nieosiągalną dla ludzi, w górę zdradzieckiej ścieżki pokrytej śniegiem.

Była prawie bezchmurna noc, w rozrzedzonym powietrzu Himalajów błyszczały roje drobin gwiazdnych, a w oddali - tak daleko, że nie mogła ocenić odległości - górował masywny, pofałdowany stok Everestu, cudowny widok nad gęstym białym wieńcem kłębiastej chmury. Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, zapierało jej dech, nie tylko z powodu jego piękna, ale także dlatego, że wydawał się pełen znaczenia, chociaż tak naprawdę nie krył żadnego znaczenia.

Czcic górę? Tak, to można było czynić bezkarnie, jako że góra nigdy nie udzielała odpowiedzi.

Zawodzący wiatr, który przenikał idącą, był głosem niczego i nikogo. A przypadkowy i obojętny majestat przyrody przywoził ją do płaczu, podobnie jak widok pielgrzymów poniżej, cienkie pasmo mrówek, wijące się w górę niewiarygodnie wąskiej drożyny. Niewysłowienie smutne ich złudzenie. Niemniej jednak ona też podążała w kierunku tej samej ukrytej świątyni, w kierunku tego samego godnego pogardy, oszukańczego boga.

Cierpiała zimno. Szron pokrył jej oblicze i powieki, przyłgnał kryształkami do rzęs. Każdy krok w przeszywającym wietrze był wyczerpujący nawet dla niej. Tak naprawdę jednak nie to stanowiło źródło bólu i cierpienia; była na to za stara. Cierpienie miało swoje podłoże w jej umyśle. Wyrastało także ze straszliwego oporu sił natury, z konieczności długiego oglądania wyłącznie przeraźliwie białego, oślepiającego śniegu.

To nie miało znaczenia. Kilka nocy wcześniej na zatłoczonych, cuchnących ulicach starego Delhi przeszło ją głębokie alarmujące drżenie i od tej pory powtarzało się co kilka godzin, jakby ziemia wzdrygała się aż do trzewi.

Chwilami była pewna, że Matka i Ojciec budzą się ze snu. Gdzieś daleko, w krypcie, w której umieścił ich jej ukochany Mariusz, poruszyli się wreszcie Ci Których Należy Mieć w Opiece.

Nic mniejszej miary niż owo zmartwychwstanie nie mogło przekazać tak potężnego, chociaż niejednoznacznego sygnału - po sześciu tysiącach lat, przerażającego znieruchomienia Akasza i Enkil powstają z podwójnego tronu.

Ale to była igraszka umysłu, nieprawdaż? Równie dobrze można by błagać górę, aby przemówiła. Gdyż dla niej nie była to jedynie legenda o starożytnych przodkach wszystkich krwiopijców. Inaczej

niż wielu jej pobratymców, widziała ich na własne oczy. U drzwi ich sanktuarium zyskała nieśmiertelność; przepętlża na kolanach i dotknęła Matki; przebiła gładką, świetlistą powłokę, niegdyś będącą ludzką skórą, i podstawiła usta pod tryskający strumień Jej krwi. Cóż to był za cud: żywa krew lejąca się z ciała pozbawionego życia, a potem cudowne zasklepienie się ran.

Ale w tamtych prawiękach potężnej wiary dzieliła przekonanie Mariusza, że Matka i Ojciec jedynie zapadli w senne odrętwienie, że przyjdzie taki czas, gdy się ockną i po raz kolejny przemówią do swych dzieci.

Razem z Mariuszem śpiewali im hymny w blasku świec; paliła im kadzidła i kładła przed nimi kwiaty; przysięgła nigdy nie ujawnić lokalizacji sanktuarium, aby inni krwio pijcy nie zniszczyli Mariusza, nie wykradli jego podopiecznych i nie posilili się żarłocznie pierwotną, najpotężniejszą krwią.

Było to jednak dawno temu, kiedy świat był podzielony między plemiona i cesarstwa, a herosi i imperatorzy w ciągu jednego dnia stawali się bogami. W owym czasie polubiła eleganckie filozoficzne idee.

Teraz wiedziała, co to znaczy żyć wiecznie. Tyle że nikt żywy nie zdołałby tego zrozumieć.

Niebezpieczeństwo! Znów przez chwilę poczuła w sobie ten żrący prąd. Potem na mgnienie oka otworzył się przed nią widok zielonego, dyszącego wilgocią miejsca, miękkiej gleby i tłumionego rozrostu. Znikł prawie natychmiast.

Zamarła, oślepią odbitym od śniegu księżycowym blaskiem, i podniosła oczy ku gwiazdom mrugającym zza cienkiego welonu lotnej chmury. Nasłuchiwała innych nieśmiertelnych głosów, ale nie usłyszała żadnego czytelnego i znaczącego przekazu - jedynie niewyraźne pulsowanie ze świątyni, do której zmierzała, i daleko z tyłu unoszącą się z mrocznych, zatłoczonych nor brudnego miasta muzykę tego umarłego, szalonego krwio pijcy, gwiazdy rockowej, Wampira Lestata.

Niech będzie przeklęty ten niecierpliwy współczesny pisklak, który považyl się spleść w jedną materię modny bełkot i strzępy starych prawd. Już widziała nie kończące się zastępy młodzików, którzy wspinali się na szczyt i lecieli w przepaść.

Niemniej ta zuchwałość intrygowała ją, a nawet szokowała. Czy to możliwe, że alarm, który usłyszała, był w jakiś sposób związany z jego błagalnymi, ochryplymi zawodzeniami?

Akaszó, Enkilu

Słuchajcie swoich dzieci

Jak śmiał wymówić starożytné imiona w tym realnym, śmiertelnym świecie? To niemożliwe, to obelga dla rozumu, że takie stworzenie nie zostało natychmiast starte z powierzchni ziemi.

Jednakże ten pławiący się w nieprawdopodobnym rozgłosie potwór odsłonił tajemnice, o których mógł się dowiedzieć tylko od samego Mariusza. Gdzież jest Mariusz, który przez dwa tysiące lat przynosił Tych Których Należy Mieć w Opiece z jednego tajnego sanktuarium do drugiego?

Serce jej pęknie, jeśli pozwoli sobie na myśli o Mariuszu, o kłótniach, które rozdzieliły ich dawno temu.

Głos Lestata ucichł, pochłonięty przez inne słabe głosy niesione na falach elektryczności, przez wibracje unoszące się z miast i wiosek oraz niezliczone głosy śmiertelnych dusz. I jak to się często zdarzało, jej niebywały słuch nie potrafił wyodrębnić żadnego wyraźnego komunikatu.

Zalew dźwięków był tak koszmarnie bezkształtny, że zamknęła się przed nim. Znowu słyszała tylko wiatr. Ach, czymże muszą być kolektywne głosy ziemi dla Matki i Ojca, których moce rosły w nieunikniony sposób od brzasku historii? Czy mieli podobną jak ona zdolność do stawiania tamy owej powodzi, czy od czasu do czasu wybierali głosy, które mogli słyszeć?

Niewykluczone, że pod tym względem byli równie pasywni jak pod każdym innym, i że to właśnie ten niepowstrzymany zgiełk był przyczyną tego odrętwienia, owego bezwładu umysłu w obliczu nie kończących się krzyków, śmiertelnych bądź nieśmiertelnych z całego świata.

Spojrzała na wielki poszarpany wierzchołek przed sobą. Dalej, dalej! Szczelnie okryła twarz i ruszyła w drogę.

Gdy szlak zaprowadził ją na mały wzgórek, ujrzała wreszcie cel swojej wędrówki. Po drugiej stronie ogromnego lodowca, na wysokim skalnym filarze wznosiła się świątynia, kamienna budowla tak biała, że prawie niedostrzegalna, z dzwonnica niknącą w wirującym śniegu, który właśnie zaczął padać.

Ile czasu potrzebuje, by tam dotrzeć, nawet jeśli podąży najszybciej jak potrafi? Widziała, co musi zrobić, jednak lęk paraliżował jej duszę. Musi unieść ramiona, sprzeciwić się prawom natury oraz swojemu rozumowi i wznieść nad kotlinę oddzielającą ją od świątyni, by łagodnie opaść na ziemię dopiero po drugiej stronie zamarzniętego wąwozu. Spośród wielu mocy, które posiadała, żadna nie napawała ją takim poczuciem własnej małości, nie była tak sprzeczna z dawno utraconą kondycją pospolitej śmiertelniczki.

Tak bardzo pragnęła dotrzeć do tej świątyni. Musiała się tam dostać, więc powoli, z wyuczoną gracją uniosła ramiona. Zamknęła na chwilę oczy, nakazując sobie unieść się w górę, i poczuła, jak wznosi się natychmiast, jakby jej ciało było nieważkie, poddane działaniu siły nie skrępowanej przez materię, dosiadające wiatru mocą samego pragnienia.

Przez długi czas pozwalała wiatrowi, by ją omiatał, obracał, unosił bezwładną. Szybowała coraz wyżej i wyżej, całkowicie oddalając się od ziemi, wzniosła się nad chmury, spojrzała w oblicze gwiazd. Jakże ciężkie wydawało się jej odzienie; czy nie była gotowa na niewidzialność? Czy to nie następny krok? Pyłek w oku Boga - pomyślała. Ścisnęło ją w sercu. Groza tej sytuacji, całkowitego oderwania się od wszystkiego... Łzy wezbrały jej w oczach.

Jak zawsze w tych momentach, gdy wszystkie praktyczne przekonania odchodziły w niebyt, wydało się jej, że niejasny zarys własnej ludzkiej przeszłości, którego trzymała się tak kurczowo, to tylko wyśniony mit. Czy ja kiedyś żyłam, kochałam, czy moje ciało było pełne żaru? - pytała siebie w

myślach. Ujrzała Mariusza, swojego stwórcę, lecz takiego jak niegdyś, młodego, nieśmiertelnego, płonącego nadprzyrodzoną tajemnicą.

- Pandoro, najdroższa moja...

- Daj mi to, błagam.

- Pandoro, pójdź ze mną prosić Matkę i Ojca o błogosławieństwo. Pójdź do świątyni.

Unoszonej bezwolnie, zrozpaczonej, groziło zapomnienie o miejscu przeznaczenia. Zdana na przypadek mogłaby wznieść się ku wstającemu słońcu. Ale znów rozległ się alarm, cichy, pulsujący sygnał: „Niebezpieczeństwo”, który przypomniał jej o celu wyprawy. Rozłożyła ramiona, nakazała sobie znów odwrócić się twarzą ku ziemi i zobaczyła w dole dziedziniec świątyni, buchający dymami i ogniem.

Tak, tam - skierowała w myślach swój lot.

Szybkość opadania była oszałamiająca, zaćmiewała ją. Ocknęła się na dziedzińcu, przez niezwykle krótką chwilę spowita bólem; potem wróciło zimno i odrętwienie.

Świst wiatru był daleko. Przez ściany świątyni przebijała się muzyka, opętańczy puls przesycony dźwiękiem tamburynów i bębnów, linie melodyczne stopione w makabryczny, natrętny łomot. A tu pluły ogniem stopy pogrzebowe, trzeszczały czerniejące trupy ciśnięte na gorejące polana.

Smród był ohydny. Mimo to długo przyglądała się, jak płomienie z wolna pożerają syczące ludzkie mięso, szerniały kikuty, włosy nagle strzelają kometami siwego dymu. Wonie odbierały dech; oczyszczające górskie powietrze nie miało tu dostępu.

Przeniosła wzrok na odległe drewniane wierzeje do najświętszego ze świątych miejsc. Pełna goryczy znów musiała wystawić na próbę swoją moc. Tam - rozkazała w myślach. Drzwi się rozwarły i poczuła, jak unosi się przez próg; oszołomiły ją światła wielkiej izby, zaduch i ogłuszający, rytmiczny śpiew.

- Azim! Azim! Azim! - Bez wytchnienia zawodzili wierni, cisnąc się do środka rozjaśnionej świecami sali; unosili ręce, kręcąc nadgarstkami i kołysząc głowami w jednakowym rytmie. -

Azim! Azim! Azim-Azim-Azim! Aaaaaziiiiim! - Dym buchał z kadzielnic; wirował rój nieprzeliczonych postaci tupiących bosymi stopami. W ciemnych gładkich twarzach poruszały się tylko wargi, powtarzające uwielbiane imię; ich zamknięte oczy nie widziały, nie patrzyły.

Znalazła się w ludzkim gąszczu; mężczyźni i kobiety, jedni w łachmanach, inni we wspaniałych kolorowych jedwabiach i pobrządkujący złotą biżuterią, wszyscy powtarzali inwokację z przerażającą monotonią. Wciągnęła w nozdrza wonie gorączki, głodu, trupów zdeptanych w ścisku, nie dostrzeżonych w szaleństwie i gorączce. Przyłgnęła do marmurowej kolumny, jakby spragniona zakotwiczenia w wirze ruchu i hałasu.

Wtedy pośrodku tego tłumu dostrzegła Azima. Jego ciemna skóra w odcieniu brązu była wilgotna i

połyskiwała w świetle knotów, głowę miał owiniętą czarnym jedwabnym turbanem, długie haftowane szaty mieniły się plamami krwi śmiertelnych i nieśmiertelnych, a czarne, wielkie oczy otaczały obwódki z antymonowego proszku. Tańczył rozkołysany do wtóru bębnów, wyciągając i cofając pięści, jakby bił w niewidzialny mur. Stopy w pantoflach wybijały na marmurze szaleńczy rytm. Z kącików ust sączyła się krew. Jego twarz miała wyraz bezmyślnego zapamiętania.

A jednak wiedział, że przybyła. Pochłonięty tańcem spojrział prosto na nią i umajone krwią wargi wygięły się w uśmiechu.

Pandoro, moja piękna, nieśmiertelna Pandoro... - Słyszała, jak pozdrawiają w myślach.

Rozpasany, bez reszty pogrążony w uczcie, którą wyprawiał, tłusty i zgrzany, znacznie odbiegał od wizerunku znanych nieśmiertelnych. Odrzucił w tył głowę, odwrócił się i wydał przeraźliwy krzyk. Jego akolici zbliżyli się, tnąc go po wyciągniętych nadgarstkach ofiarnymi nożami.

Wierni rzucili się tłumnie, chwytając w wyciągnięte usta świętą krew bluzgającą z żył. Śpiew się wzmógł, głusząc zdławione wrzaski najbliższych Azimowi. Nagle czciciele unieśli na ramionach jego sztywno wyprostowane ciało; noski złotych pantofli zadarły się ku wysokiemu mozaikowemu sklepieniu, noże nacięły łydki i powtórnie nadgarstki, na których zamknęły się już rany.

Oszalały tłum zdawał się pęcznieć, ogarnięty rosnącą gorączką, cuchnące ciała uderzały o stojącą pod filarem, obojętne na zimno i twardość wiekowych członków pod bezkształtną wełnianą oponczką. Ani drgnęła, dając się otoczyć, wchłonać. Złożony na posadzce Azim krwawił

i jęczał, lecz rany już się zasklepiały. Przywołał ją gestem. Odmówiła milcząco.

Na jej oczach porwał pierwszą z brzegu ofiarę, młodą kobietę o wymalowanych oczach, przystrojoną w długie złote nausznicę; rozorał jej szczupłą szyję.

Z szeroko wytrzeszczonymi oczami, jakby własna moc napawała go grozą, wyssał krew jednym wielkim haustem, po czym odrzucił bezwładną płataninę kończyn na kamienną posadzkę, a wierni zbili się wokół, wyciągając prosząco ręce do swego chwiejącego się na nogach boga.

Odwróciła się plecami do tego widowiska; wyszła na dziedziniec, wdychała chłodne powietrze, omijając z daleka żar stosów. Cuchnęło moczem i padliną. Stała pod ścianą i zadarłszy głowę, myślała o górze, obojętna na akolitów Azima, wlokących świeże trupy i ciskających je w płomienie.

Myślała też o pielgrzymach zmierzających do świątyni, o długim, ospałym łańcuchu wlokącym się dniami i nocą przez niezamieszkałe góry do tej bezimiennej miejscowości. Ilu zmarło, nie dotarłszy do urwiska? Ilu zmarło pod bramą, czekając na wpuszczenie do środka?

Wszystko to napawało ją wstrętem, a zarazem było pozbawione znaczenia. Ten koszmar trwał wiele wieków. Czekala. Wreszcie Azim ją zawołał.

Odwróciła się i ponownie przekroczyła próg, potem następny i znalazła się w niewielkiej, wybornie

wymalowanej komnatce, gdzie czekał na nią w milczeniu na czerwonym kobiercu, w rubinowej opasce, otoczony skarbami, darami ze złota i srebra, leżącymi bez ładu i składu; muzyka w głównej sali cichła, jakby ociężała i zalękniona.

- Najdroższa - rzekł. Wziął w dłonie jej głowę i ucałował. Strumień ogrzanej krwi przepłynął z jego ust i przez krótką, pełną radosnego uniesienia chwilę jej zmysły wypełniły pieśni i tańce wiernych, rozpalone krzyki, zalew ciepłej adoracji śmiertelnych, poddania. Miłości.

Tak, miłości. Na mgnienie oka ujrzała Mariusza. Uniosła powieki. Przez chwilę widziała ściany z wymalowanymi pawiami, lilie, stopy migotliwego złota. Później pole jej widzenia bez reszty wypełnił Azim.

Był niezmienny jak jego poddani, niezmienny jak wioski, z których przybywali, brnąc przez śniegi i pustkowia, by napotkać ten straszliwy, bezsensowny koniec. Już niemal tysiąc lat temu rozpoczął rządy w tej świątyni, z której żaden wierny nie uszedł z życiem. Jego sprężysta złota skóra, odżywiana nie kończąca się rzeką krwi ofiarnej, tylko nieznacznie zbladła na przestrzeni wieków, podczas gdy jej ciało już dawno utraciło ludzki rumieniec. Tylko oczy i być może kasztanowe włosy świadczyły o tym, że nie rozstała się z życiem. Zachowała urodę, o tak, była tego świadoma, lecz on dysponował przemożnym wigorem. Zło. Nieodparte dla swoich wielbicieli, spowite w legendę, rządziło nie krępowane przeszłością ani przyszłością, wymykając się jej rozumieniu tak teraz, jak i zawsze.

Było jej spieszo odejść. To miejsce budziło w niej tak wielkie obrzydzenie, że wołała to przed nim ukryć. Opowiedziała mu bez słów o celu swojego przybycia, o alarmie, który usłyszała. Coś było nie w porządku, coś się zmieniło, coś się stało, co nigdy do tej pory się nie zdarzyło!

Opowiedziała mu też o młodym krwio pijcy, który nagrywał w Ameryce piosenki pełne prawd o Matce i Ojcu, których imiona były mu znane. Jej wypowiedź, pozbawiona wielkich słów, miała charakter osobistego zwierzenia.

Obserwowała Azima, świadoma jego wielkiej mocy, zdolności wydobywania od niej każdej myśli bądź idei i zarazem ukrywania sekretów własnego umysłu.

- Błogosławiona Pandoro - rzekł przekornie. - Cóż mnie obchodzi Matka i Ojciec? Cóż mnie obchodzi twój bezcenny Mariusz? Bezustannie wzywa pomocy? A jakież to ma dla mnie znaczenie!

Stała oszołomiona. Przecież Mariusz wzywa pomocy. Azim się roześmiał.

- Wyjaśnij swoje słowa - powiedziała.

Znów się zaśmiał, po czym odwrócił się do niej plecami. Mogła tylko czekać. Mariusz był jej stwórcą. Cały świat mógł słyszeć jego głos, ale nie ona. Czy to echo do niej docierało, zniekształcone odbicie potężnego wołania, które słyszeli inni? Powiedz mi, Azim - zwróciła się do niego w myślach. - Czemu miałbyś czynić ze mnie swego wroga?

Kiedy wreszcie się odwrócił, był zamyślony, okrągła, pulchna twarz stała się ludzka, a na tłustych

dłoniach pokazały się dołeczki, kiedy złożył je razem tuż poniżej wilgotnej dolnej wargi.

Czegoś od niej chciał. Przekora i złośliwość ustąpiły.

- To ostrzeżenie - powiedział. - Jest przekazywane nieustannie przez łańcuch odbiorców z miejsca katastrofy w jakimś bardzo odległym miejscu. Niebezpieczeństwo zagraża nam wszystkim. Ostrzeżeniu towarzyszy słabsze od niego wołanie o pomoc. Pomóżcie mu, a może zdoła odwrócić zagrożenie. Ten sygnał jest jednak pozbawiony żarliwości. Temu, kto woła, zależy przede wszystkim na ostrzeżeniu.

- Jak to dokładnie brzmi?

- Nie słucham. Nie dbam o słowa. - Wzruszył ramionami.

- Ach! - Teraz ona odwróciła się plecami. Usłyszała zbliżające się kroki. Poczwała jego dłonie na swoich ramionach.

- Teraz ty musisz odpowiedzieć na moje pytania. - Odwrócił ją ku sobie. - Mnie trapi sen o bliźniaczkach. Co on oznacza?

Sen o bliźniaczkach. Nie miała odpowiedzi na to pytanie. Nie widziała w nim sensu.

Przyglądał się jej w milczeniu, jakby uważał, że kłamie. Wreszcie przemówił bardzo powoli, starannie oceniając jej odpowiedź.

- Dwie kobiety, rudowłose. Przytrafiły się im straszliwe rzeczy. Pojawiły się przede mną w niepokojących i niepożądanych wizjach, na chwilę przed otwarciem oczu. Widzę te kobiety zgwałcone przed sądem gapiów. Nie wiem jednak, kim są i gdzie doszło do tego przerażającego zdarzenia. Nie ja jeden zadaję sobie te pytania. Gdzieś tam, rozrzucony po świecie, są inni mroczni bogowie, którzy mieli te same sny i mogą wiedzieć, czemu te obrazy nas nawiedziły.

Mroczni bogowie! Nie jesteśmy bogami - pomyślała z pogardą.

Uśmiechnął się do niej. Czyż nie stali właśnie w jego świątyni? Czyż nie słyszała jęku jego wiernych? Czyż nie czuła woni ich krwi?

- Nic nie wiem o tych kobietach - rzekła. Bliźniaczki, rudowłose? Nie. Pogładziła go po palcach łagodnie, niemal uwodzicielsko. - Azimie, nie dręcz mnie. Chcę, żebyś opowiedział mi o Mariuszu. Skąd on woła?

Jakże nienawidziła go w tej chwili za to, że ukrywał przed nią tę tajemnicę.

- Skąd? - zapytał przekornie. - Ach, w tym tkwi istota sprawy, nieprawdaż? Myślisz, że odważyłby się zaprowadzić nas do świątyni Matki i Ojca? Gdybym ja tak myślał, odpowiedziałbym na jego wołanie, och, wierz mi. Opuściłbym moją świątynię, by go odnaleźć, oczywiście. Ale on nie zdoła nas zwieść. Woli raczej sam zostać unicestwiony, niż ujawnić miejsce sanktuarium.

- Skąd wzywał - spytała cierpliwie.

- Te sny - rzekł. Twarz pociemniała mu z gniewu. - Te sny o bliźniaczkach, chciałbym umieć je wyjaśnić!

- Powiedziałałabym ci, kim są te bliźniaczki i co to wszystko znaczy, gdybym tylko wiedziała. -

Pomyślała o piosenkach Lestata, mówiących o Tych Których Należy Mieć w Opiece i o kryptach pod europejskimi miastami, o poszukiwaniu i smutku. Nie było tam nic o rudych kobietach, nic...

Rozwścieczony kazał jej zamilknąć.

- Wampir Lestat - rzekł z szyderstwem w głosie. - Nie mów przy mnie o tej ohydzie. Czemu jeszcze nie został zniszczony? Czy mroczni bogowie śpią jak Matka i Ojciec? - Przyglądał się jej badawczo. - Doskonale. Wierzę ci - powiedział wreszcie. - Wyjawiałaś mi to, co wiesz.

- Tak.

- Zamykam uszy przed Mariuszem. Złodziej Matki i Ojca niech woła o pomoc do kresu czasu.

Ale ciebie, Pandoro, ciebie kocham jak zawsze, więc zbrukam się tymi aferami. Przebądź morze dzielące nas od Nowego Świata. Spójrz na zamrożoną Północ, poza najdalsze lasy w pobliżu zachodniego morza. Tam może znajdziesz Mariusza, uwięzionego w lodowej cytadeli. Krzyczy, że nie może się poruszyć. Jego ostrzeżenie jest równie mgliste jak uparte. Grozi nam niebezpieczeństwo. Musimy pomóc Mariuszowi, żeby mógł je powstrzymać, żeby mógł udać się do Wampira Lestata.

- Ach. Więc to tylko sprawka tego młodzika! - Przeszedł ją dreszcz, gwałtowny, bolesny.

Oczyrna duszy ujrzała pozbawione wyrazu, nieczułe oblicza Matki i Ojca, niezniszczalnych potworów w ludzkiej postaci. Zbita z tropu spojrzała na Azima. Nie powiedział jeszcze wszystkiego, czekała więc na jego następne słowa.

- Nie - rzekł spokojniejszym tonem, łagodniejszym i wyzbytym gniewu - niebezpieczeństwo jest realne, Pandoro. Wielkie niebezpieczeństwo. Nie potrzeba Mariusza, aby o nim wiedzieć. Ono ma związek z rudymi bliźniaczkami. - Jakże zaskakująca była jego szczerść, jakże się przed nią odsłaniał. - Wiem to, ponieważ byłem stary, zanim Mariusz został stworzony. Bliźniaczki, Pandoro. Przestań dręczyć się Mariuszem; wsłuchaj się w swoje sny.

Odebrało jej mowę. Spoglądał na nią długo, aż oczy mu zmały, stwardniały. Czowała, że wycofuje się w głąb siebie, daleko od niej i wszystkich rzeczy, o których mówili. W końcu przestał ją dostrzegać.

Usłyszał natrętne zawodzenia swoich wiernych; znów zapragnął hymnów i posoki. Odwrócił się, ruszył ku wyjściu, ale po kilku krokach spojrzał na nią.

- Chodź ze mną, Pandoro! Przyłącz się do mnie choćby na godzinę! - Głos miał pijacki, bełkotliwy.

To zaproszenie ją zaskoczyło. Zastanowiła się. Lata minęły, odkąd szukała tej niewysłowionej

rozkoszy, której źródłem była nie tylko sama krew, ale chwilowe złączenie z inną duszą. I proszę, oto nagle czekało to na nią pośród tych, którzy wspięli się na najwyższe górskie pasmo, aby szukać takiej śmierci. Myślała także o czekającym ją zadaniu, o znalezieniu Mariusza i o ofiarach, które ono za sobą pociągnie.

- Chodź, najdroższa.

Ujęła jego dłoń. Dała się wyprowadzić z komnatki na środek zatłoczonej sali. Jarzące się światło było dla niej zaskoczeniem; tak, znów posmakuje krwi. Woń ludzkich istot napierała na nią, napawała męką.

Ryk wiernych był ogłuszający. Tupot nóg wstrząsał ścianami i migotliwym złotym sklepieniem.

Zapach kadzideł drażnił oczy. Napłynęła słaba wizja sanktuarium sprzed eonów czasu oraz wspomnienie objęć Mariusza. Azim stał obok, kiedy zdejmowała opończę, odsłaniając twarz, ramiona, prostą suknię z czarnej wełny i długie kasztanowe włosy. Ujrzała swoje odbicie w setkach par oczu śmiertelnych.

- Bogini Pandora! - wykrzyknął, odrzucając głowę do tyłu.

Wrzaski zagłuszały szybki łomot bębnow. Głaskały ją niezliczone ludzkie dłonie.

- Pandora! Pandora! Pandora! - Rytmiczne zawodzenie mieszało się z okrzykami: - Azim! Azim!

Przed nią tańczył młody ciemnoskóry mężczyzna; jego biała jedwabna koszula przykleiła się do brązowego spoconego torsu. W czarnych oczach jarzyło się wyzwanie: - Jestem twoją ofiarą!

Bogini! - Nagle w migoczącym świetle i ogłuszającym hałasie przestała widzieć cokolwiek poza jego oczami, jego twarzą. Wzięła go w objęcia, miażdżąc w pośpiechu żebra i zatapiając zęby głęboko w jego szyi. Ożyła! Strumień napływającej krwi dosięgnął serca, wypełnił komory, a potem wlał żar we wszystkie lodowate kończyny. Żadne wspomnienie nie mogło się równać z tym wspaniałym odczuciem i niewysłowioną żądzą, z nawrotem pożądania! Śmierć wstrząsnęła nią, pozbawiła tchu w piersiach, czuła, jak sięga jej mózgu. Oślepiła Pandora jęczała. Wtem sparaliżowała ją ostrość widzenia. Marmurowe kolumny żyły i oddychały. Wypuściła ciało i objęła innego młodego mężczyznę, prawie zagłodzonego, półnagięgo, którego beśsiła doprowadziła ją niemal do szaleństwa.

Pijąc, złamała mu wiotki kark; słyszała ogromnienie serca, czuła, jak krew wypełnia nawet naskórek. Zanim przymknęła oczy, dostrzegła ozywający koloryt dłoni, tak, ludzkich dłoni. Tym razem śmierć była wolniejsza, a życie bardziej odporne; uległo jednak wśród nagle gasnącego światła i ulewy dźwięków. Ożyła.

- Pandora! Pandora! Pandora!

Boże, czy nie ma sprawiedliwości, czy nie ma końca?

Chwiała się na nogach, tańczyły przed nią śmiertelnie blade ludzkie twarze. Krew wrzała, szukając

każdej tkanki, każdej komórki. Z tłumy wyrzucono trzecią ofiarę, objęty ją szczupłe młode członki, czuła tak miękkie włosy, puch na ramionach, kruche kości, jakże lekkie, jakby to ona była realną istotą, a przed sobą miała twór wyobraźni.

Zerwała głowę z karku, spojrzała na białe kości złamanego kręgosłupa i połknęła natychmiast śmierć wraz z krwią tryskającą z rozdartej arterii. Zapragnęła jednak serca, bijącego serca, chciała je zobaczyć, posmakować. Przerzuciła ciało przez ramię, a gdy rozległ się trzask kości, rozerwała klatkę piersiową, wyszarpując serce z gorącego, krwawiącego zagłębienia.

Nie było jeszcze martwe, nie całkiem. Wzięła je w dłonie, śliskie, błyszczące jak winogrona po deszczu. Wierni cisnęli się do niej, gdy uniosła je ponad głowę, lekko ściskając, i żywy moszcz spłynął po palcach w otwarte usta. Tak, na wieki wieków, amen.

- Bogini! Bogini!

Azim przypatrywał się jej uśmiechnięty. Nie odpowiedziała mu spojrzeniem. Wpatrywała się w skurczone serce, z którego sączyły się ostatnie krople krwi. Miazga. Rzuciła je na podłogę.

Dłonie posmarowane krwią gorzały jak żywe. Czuła w twarzy ciepłe mrowienie. Nasunęła się nieprzyjemna fala wspomnień, fala niepojętych wizji. Odepchnęła ją. Tym razem nie da się zniewolić.

Sięgnęła po czarną opończę. Poczowała, jak otula ją ciepły materiał, pomocne ludzkie dłonie nałożyły jej wełniane okrycie na włosy i dolną część twarzy. Ignorując podniecony tłum skandujący jej imię, odwróciła się i wyszła, odrzucając na boki wiernych, którzy przypadkowo znaleźli się na jej drodze.

Jak rozkoszny był chłód dziedzińca. Lekko odchyliła głowę, wdychając bezdomny wiatr, który wdarł się do zamkniętej przestrzeni, rozkładając wachlarze gorzkich dymów ze stosów pogrzebnych, zanim poniósł je w dal. Światło księżyca było czyste i kładło się pięknie na pokrytych śniegiem wierzchołkach.

Stała wsłuchana w krew w swym wnętrzu i zdumiewała się, szalona i zarazem zrozpaczona, że życiodajny płyn wciąż jeszcze potrafi ją odświeżyć i wzmocnić. Przybita, ogarnięta żalnością patrzyła na cudowne, nagie pustkowie otaczające świątynię, na pojedyncze, skłębione chmury.

Ileż odwagi dodała jej krew, ile chwilowej wiary w prawość wszechświata. Oto paradoksalne owoce upiornego, niewybaczalnego czynu.

Jeśli umysł nie potrafi odnaleźć sensu, zawierz zmysłom. Żyj z takim przeświadczeniem, w zgodzie ze swoją naturą, koszmarna istoto.

Podeszła do najbliższego stosu, uważając, by nie zbrukać szat; wyciągnęła dłonie, aby ogień je oczyścił, wypalił krew i kawałki serca. Kiedy wreszcie poczuła pierwsze przelotne ukłucia bólu, przelotne oznaki zmiany, cofnęła się i spojrzała na nieskazitelnie czyste dłonie.

Teraz musi już stąd odejść. Przepęłnił ją gniew, nowa uraza. Mariusz jej potrzebował.

Niebezpieczeństwo! - usłyszała w myślach. Alarm znów się rozdzwonił, głośniejszy niż

kiedykolwiek przedtem, gdyż krew wyostrzyła jej zdolność odbioru. Wyglądało na to, że ten alarm nie pochodził od pojedynczej istoty. Zdecydowanie był to głos pospólny, zgiełkliwy chór powszechnej wiedzy. Ogarnął ją lęk.

Kiedy łyzy odgrodziły ją od świata, oczyściła umysł z wszelkich myśli. Delikatnym ruchem uniosła dłonie, same dłonie. Rozpoczęło się wznoszenie, bezdźwięczne, szybkie, być może równie niewidoczne dla śmiertelnych oczu, jak sam wiatr.

Wysoko nad świątynią przebiła się przez cienką warstwę miękkiej, kłębiącej się mgły.

Zaskoczyło ją natężenie światła. Wszędzie rozświetlona biel. A poniżej kamienne blanki górskich szczytów i oślepiający lodowiec opadający ku miękkiej czerni lasów i dolin. Tu i tam zbite roje światła, nieregularne skupiska tworzące wsie lub miasteczka. Mogłaby przyglądać się im przez wieczność, lecz rozbrykane podniebne baranki niebawem wszystko zasłoniły. Znalazła się sam na sam z gwiazdami.

Twarde, migotliwe, objęły ją jak swoją. Tak naprawdę jednak nie zgłaszały prawa własności do niczego i nikogo. Ogarnęła ją groza, pogłębiający się smutek, który po pewnym czasie upodobił się do radości. Żegnajcie, wszelkie zmagania. Żegnajcie, wszelkie rozpacz.

Ogarniając wzrokiem wspaniałe zasy konstelacji, zwolniła opadanie i wyciągnęła obie dłonie ku zachodowi.

Wyprzedzała wschód słońca o dziewięć godzin. Uchodząc przed nim, rozpoczęła podróż wespół z nocą ku drugiej stronie świata.

Rozdział czwarty

Opowieść o Danielu, ulubieńcu diabła lub też chłopaku z „Wywiadu z wampirem”

Kim są te cienie, na które czekamy, wierząc,

że któregoś dnia zjadą z nieba

w limuzynach?

Róża,

choć zna odpowiedź na to pytanie,

nie ma głosu

i nie może nic powiedzieć.

Moja śmiertelna polowa śmieje się.

Szyfr i sens nie są jednym i tym samym.

Czymże jest anioł,

jeśli nie tylko zjawą w bryczce?

Stan Rice „O niebiosach” z tomu „Treść dzieła” (1983)

Był wysokim szczupłym młodzieńcem, szatynem o fiołkowych oczach. Miał na sobie brudną bawełnianą bluzę i dżinsy, więc marzył w lodowatym wietrze ciskającym się po Michigan Avenue o piątej po południu. Nazywał się Daniel Molloy. Miał trzydzieści dwa lata, chociaż z racji młodzieńczego oblicza wyglądał raczej na wiecznego studenta niż na mężczyznę. Idąc, mruczał

do siebie:

- Armandzie, potrzebuję cię. Armandzie, koncert jest jutro wieczorem. Stanie się coś strasznego, coś strasznego...

Był głodny. Od półtorej doby nic nie miał w ustach. Lodówka w zaplутym hoteliku zionęła pustką, a poza tym tego ranka nie dostał nawet klucza od numeru, bo zalegał z opłatą. Trudno pamiętać równocześnie o wszystkim.

Nagle przypomniał sobie sen, który wciąż go nawiedzał, sen, który zjawiał się zawsze, gdy tylko zamykał powieki; opuściła go wszelka ochota do jedzenia.

We śnie zobaczył bliźniaczki. Widział upieczone ciało kobiety leżące przed nimi, jej doszczętnie spalone włosy, stwardniałą i popękana skórę. Jej serce, lśniące jak przejrzwały owoc, leżało w misce obok. Mózg na drugiej misce wyglądał dokładnie jak ugotowany mózg.

Armand wiedział o tym na pewno. To nie był zwykły sen. Niewątpliwie miał jakiś związek z Lestatem, więc Armand musi zjawić się niebawem.

Boże, opada z sił, majaczy. Musi coś wziąć do ust, choćby haust alkoholu. Kieszenie miał puste, jeśli nie liczyć starego zmietego czeku za tantiemy za „Wywiad z wampirem”, który „napisał”

pod pseudonimem dwanaście lat temu.

To był inny świat, kiedy jako młody reporter włóczył się po wszelkich możliwych barach, usiłując wyłowić w śmieciach nocy jakąś prawdę. No cóż, pewnej nocy w San Francisco natrafił

na brylant. Wtedy światło zwykłego dnia nagle zgasło.

Teraz stał się ruiną człowieka; dziś, w ten październikowy wieczór, jest w Chicago; ostatniej niedzieli był Paryż, a w piątek Edynburg. Przed Edynburgiem Sztokholm, a co wcześniej?... Nie pamiętał. Czek za tantiemy przesłano do Wiednia, ale nie wiedział, jak dawno temu.

Wszędzie był postrachem przechodniów. Wampir Lestat dobrze określił taki wygląd w swojej

autobiografii: „Jeden z tych męczących śmiertelnych, którzy ujrzeli duchy...” To ja! - mógłby powiedzieć o sobie.

Gdzie się podział tamten egzemplarz „Wywiadu z wampirem”? No tak, ktoś mu go ukradł tego popołudnia, kiedy spał na ławce w parku. Aaa, niech sobie go zatrzyma. Daniel sam go ukradł, a przeczytał już trzykrotnie.

Jednak gdyby teraz miał tę książkę, mógłby ją sprzedać, i może wystarczyłoby akurat na rozgrzewający kieliszek brandy. A ile sam był na czysto wart w tej chwili: zziębnięty, głodny włóczęga, wlokący się przez Michigan Avenue, przeklinający wiatr, który kradł resztki ciepła zza znoszonych, brudnych łachów? Dziesięć milionów? Sto? Nie wiedział. Armand by wiedział.

„Chcesz pieniędzy, Danielu? Dostanę je dla ciebie. To prostsze, niż myślisz”.

Tysiąc pięćset kilometrów dalej na południe Armand czekał na ich prywatnej wyspie, która tak naprawdę należała tylko do Daniela. Wystarczyłoby mu teraz ćwierć dolara, tylko ćwierć; mógłby go wrzucić do automatu i powiedziałaby Armandowi, że chce wrócić do domu. Zjawiliby się po niego prosto z chmur. Jak zawsze. Albo wielkim samolotem z wybitą atłasami sypialnią, albo czymś mniejszym, z niższym sufitem i skórzanymi fotelami. Czy na tej ulicy znalazłby się ktoś, kto pożyczyłby ćwierć dolara w zamian za lot samolotem do Miami? Zapewne nie.

Armandzie, ocknij się - przywoływał go w myślach. - Chcę być bezpieczny z tobą, kiedy Lestat wejdzie na podium dziś wieczorem.

Kto zrealizuje jego czek? Nikt. Była siódma i modne sklepy wzdłuż Michigan Avenue już zamknięto; nie miał przy sobie żadnego dowodu tożsamości, ponieważ portfel jakimś cudem wyparował mu przedwczoraj. Jakże przygnębiający jest ten raniący oczy popiel zimowego zmierzchu, jakże melancholijne niskie wały metalicznych chmur. Nawet sklepy wydawały się ponure; ich wystawne marmurowe i granitowe fasady przypominały archeologiczne wykopaliska pod muzealnym szkłem. Spragniony ciepła wbił ręce w kieszeń i pochylił głowę, gdy wiatr natarł

z większą zawziętością, siekąc pierwszymi kroplami deszczu.

Tak naprawdę ani trochę nie dbał o czek. Nie mógł sobie wyobrazić, że naciska klawisze telefonu. Nic tutaj nie wydawało mu się realne, nawet chłód. Realny był tylko tamten sen, poczucie nadciągającej katastrofy i przekonanie, iż Wampir Lestat w jakiś sposób wprowadził w ruch coś, nad czym nawet on nie potrafi zapanować.

Jeśli musisz, jedź z puszki na śmietniku, śpij byle gdzie, nawet w parku. Nic nie miało znaczenia. Ale jeśli znów uśnie na dworze, zamarznie, a poza tym sen powróci.

Teraz powracał za każdym razem, gdy zamknął oczy. I za każdym razem się wydłużał, obfitszy w szczegóły. Bliźniaczki były tak wzruszająco piękne. Nie chciał słuchać ich krzyków.

Pierwszej nocy w hotelowym pokoju zignorował to jako rzecz bez znaczenia. Wrócił do autobiografii Lestata, od czasu do czasu zerkając na jego wideoklipy migające na ekranie małego czarno-białego

telewizora, obok innych śmieci w tym stylu.

Fascynowała go bezczelność Lestata; jednakże przebranie się za gwiazdę rocka było zabiegiem niezwykle prostym. Przeszywające spojrzenie, silne, a jednocześnie smukłe ciało i złośliwy uśmiech zepsutego chłopca, tak. Jednak naprawdę nie umiał powiedzieć, czy to jest Lestat. Nigdy nie widział go na oczy.

Jednak Armand został oddany wiernie, nieprawdaż? Przebadał każdy szczegół jego młodego ciała i twarzy. Ach, co to była za szaleńcza rozkosz, czytać opis Armanda pióra Lestata, zastanawiając się przy tym, czy kąśliwe zniewagi i wiernopoddańcze analizy doprowadziły przedmiot tych uwag do wściekłości.

Daniel z milczącą fascynacją oglądał w MTV ten mały klip przedstawiający Armanda jako pana domu sabatowego pod paryskim cmentarzem, przewodniczącego demonicznym rytuałom, dopóki Wampir Lestat, osiemnastowieczny obrazoburca, nie zniszczył Starego Porządku.

Armanda musiała trawić nienawiść, kiedy widział swoje prywatne dzieje obnażone w migających obrazkach o ileż bardziej prostackich niż pogłębiona książkowa relacja Lestata.

Musiał być tym wstrząśnięty, on, który stale przenikając wzrokiem żywe istoty wokół siebie, nie chciał nawet mówić o nie poślubionych śmierci. Niemożliwe jednak, by nie miał o tym pojęcia.

A wszystko to dla gawiedzi - niczym wydany w masowym nakładzie raport antropologa, niegdyś członek kolegium wtajemniczonych, sprzedającego tajemnice plemienia za miejsce na liście bestsellerów.

Pozwólmy jednak demonicznym bogom wojować ze sobą. Ten śmiertelny dotarł na wierzchołek góry, gdzie skrzyżowali miecze. I zszedł stamtąd. Został odprawiony.

Następnej nocy majaki wróciły z klarownością halucynacji. To nie mógł być twór umysłu Daniela. Nigdy nie widział takiego ludu, takich prostych ozdób z kości i drewna.

Powtórzyły się trzy noce później. Oglądał chyba po raz piętnasty wideoklip Lestata o starożytnych egipskich Rodzicach wszystkich wampirów, o Tych Których Należy Mieć w Opiece.

Akaszo i Enkilu,

Jesteśmy waszymi dziećmi,

ale co od was dostaliśmy?

Czy wasze milczenie

to lepszy dar niż prawda?

A potem Daniel śnił. Bliźniaczki właśnie szykowały się, by rozpocząć ucztę. Na wypalanych glinianych naczyniach czekały na nie ludzkie organy. Na jedną - mózg, na drugą - serce.

Obudził się z poczuciem dzikiego przerażenia i świadomością, że należy natychmiast coś zrobić.

Szykowało się coś strasznego, coś strasznego dla nich wszystkich... I po raz pierwszy połączył to z Lestatem. Chciał sięgnąć po słuchawkę. W Miami była czwarta nad ranem. Czemu, do diabła, tego nie zrobił? Armand pewnie siedział na tarasie willi, przyglądając się flocie białych łodzi nieustannie kursujących między Nocną Wyspą a lądem. „Tak, Danielu? - usłyszałby ten zmysłowy, hipnotyzujący głos. - Uspokój się i powiedz mi, gdzie się podziewasz?”

Nie zadzwonił jednak. Minęło pół roku, odkąd opuścił Nocną Wyspę i było to odejście na dobre.

Raz na zawsze pożegnał się ze światem dywanów, limuzyn i prywatnych samolotów, piwniczek zaopatrzonych w wina z wybornych roczników, garderób pełnych znakomicie skrojonych ubrań -

był to świat dystygowanej, a zarazem przytłaczającej osobowości jego nieśmiertelnego kochanka, który dał Danielowi każdy ziemski skarb, o jakim mógł zamarzyć.

Lecz teraz doskwierało mu zimno, nie miał dachu nad głową, był bez pieniędzy i bał się.

Wiesz, gdzie jestem, ty demonie - prowadził z nim urojoną rozmowę. - Wiesz, co zrobił Lestat. I wiesz, że chcę wrócić do domu.

Jak Armand mógłby odpowiedzieć?

„Ależ nie wiem, Danielu. Słucham. Staram się dowiedzieć. Nie jestem bogiem, Danielu”.

Mniejsza z tym. Tylko przybądź, Armandzie. Przybądź. W Chicago jest ciemno i chłodno. A jutro wieczór Wampir Lestat zaśpiewa na scenie w San Francisco. Zapowiada się coś złego i ten śmiertelny o tym wie.

Nie zwalniając kroku, sięgnął pod kołnierz obwisłej bluzy i wymacał ciężki złoty medalion, który zawsze nosił - amulet, jak nazywał go Armand z tą swoją nieświadomą, niemniej jednak niepowstrzymaną skłonnością do dramatyzowania - a w którym była ampulka krwi Armanda.

Gdyby nie zanurzył warg w tamtym pucharze, czy nawiedzałyby go ten sen, ta wizja, ta zapowiedź klęski?

Ludzie oglądali się za nim; czyżby znów mówił do siebie? Westchnął głośno, czując silny podmuch wiatru. Po raz pierwszy czuł przemożną chęć, by otworzyć medalion, stłuc ampulkę i poczuć na języku tę krew. Armandzie, przybądź - wołał w myślach.

Tego południa sen nawiedził go w najbardziej alarmującej postaci. Wcześniej siedział na ławce w małym parku opodal Water Tower Place. Obok leżała porzucona gazeta, a kiedy ją otworzył, zobaczył ogłoszenie: „Jutro wieczór. Wampir Lestat na żywo na scenie w San Francisco”.

Kablówka transmituje koncert o dziesiątej czasu chicagowskiego. Szczęśliwi ci, którzy mają dach nad głową, płacą czynsz i korzystają z prądu. Chciałby zbyć śmiechem całe to wydarzenie, zachwycić się, upoić wizją powszechnego zaskoczenia. Jednak dreszcz, który poczuł, przeszedł

w głęboki wstrząs.

A jeśli Armand o tym nie wie? Nie, to niemożliwe, przecież sklepy muzyczne na Nocnej Wyspie z pewnością eksponują na wystawach Wampira Lestata, a w eleganckich barach na pewno rozbrzmiewają te upiornie hipnotyczne piosenki.

W tamtej chwili przyszło mu nawet do głowy, by jechać do Kalifornii na własną rękę. Przecież stać go na jakiś cud. Odzyska portfel, pójdzie z nim do banku, przedstawi się. Jest bogaty, tak, bardzo bogaty; biedny, śmiertelny chłopak...

Jakże mógł rozważać coś równie roztropnego? Słońce ogrzewało mu twarz i barki, gdy kładł się na ławce. Złożonej gazety użył jako poduszki.

I oto pojawił się sen, na który czekał przez cały czas...

Południe w świecie bliźniaczek: słońce oświetla polanę; w ciszy słychać tylko śpiew ptaków.

Bliźniaczki klęczą razem, zupełnie nieruchome. Są niezwykle blade, oczy mają zielone, włosy długie, falujące, w odcieniu płynnej miedzi. Mają na sobie piękne stroje, białe płócienne sukienki, przywiezione z dalekiej Niniwy, kupione przez wieśniaków z zamiarem uhonorowania potężnych czarownic, którym duchy są posłuszne.

Stypa gotowa. Piec z cegieł zburzono i usunięto; trup spoczywa na kamiennej płycie, dymi żarem, żółty tłuszcz spływa z pęknięć zwęglonej skóry; czarna, naga pieczeń okryta jedynie liśćmi, w których spoczywała w piecu. Daniel jest przerażony.

Nie przeraża to jednak nikogo z obecnych - ani bliźniaczek, ani wieśniaków, którzy przyklękli, aby obserwować stypę, która jest prawem i obowiązkiem bliźniaczek.

Daniel wie, że szerniały trup na kamiennej płycie to ich matka. I że to, co ludzkie, musi pozostać z ludźmi. Stypa może trwać dzień i noc, ale wszyscy będą trzymać wartę, dopóki nie spożyją wszystkiego. Prąd podniecenia obiega tłum na polanie. Jedna z bliźniaczek unosi miskę, na której spoczywa mózg i gałki oczne, druga kiwa głową i sięga po serce. Podział dokonany.

Wzmaga się bicie bębnow, chociaż Daniel nie widzi pałkarzy. Dudnienie jest powolne, rytmiczne, brutalne.

- Ucztujcie.

Nagle rozlega się upiorny krzyk, tak jak Daniel się spodziewał. Zatrzymać żołnierzy - myśli. Ale jak? Jego samego nie ma wśród obecnych. Wszystko to wydarzyło się naprawdę, jest już tego pewien. To nie sen, lecz wizja. Żołnierze uderzają na polanę, wieśniacy pierzchają, bliźniaczki odkładają miski i rzucają się na dymiącego trupa, osłaniając go własnymi ciałami. Jednak to daremne szaleństwo.

Żołnierze odrywają je bez wysiłku, trup zsuwa się na ziemię z uniesionej płyty i rozpada na kawałki, a serce i mózg mieszają się z kurzem. Bliźniaczki krzyczą bezustannie. Uciekający wieśniacy również krzyczą, mordowani przez żołnierzy. Trupy i ranni ścielą się na górskiej drodze. Oczy matki spadają

na ziemię i tam, wraz z sercem i mózgiem, są rozgniatane na miazgę.

Jedna z bliźniaczek, z rękami związanymi na plecach, wzywa duchy, aby pomściły napaść. I duchy przybywają, a jakże. Uderza trąba powietrzna; ale to za mało.

Niechże to się skończy! Daniel nie może się obudzić.

Bezruch. W powietrzu pełno dymu. Wiekowa osada zrównana z ziemią. Cegły z mułu -

rozwalone, gliniane naczynia - potłuczone, wszystko, co mogło spłonąć - spalone. Nagie niemowlęta z poderzniętymi gardłami leżą na ziemi, wydane na pastwę gęstniejących rojów much. Nikt nie upiecze trupów, nikt nie spożyje ciała. Znikną z ludzkiej historii wraz ze swoimi mocami i tajemnicami. Szakale już nadciągają. Żołnierze odeszli. Gdzie są bliźniaczki?! Daniel słyszy ich szloch, ale nie może ich znaleźć. Wielka burza huczy nad wąską drogą, która wiję się w dół ku pustyni. Duchy sprowadzają pioruny. Duchy sprowadzają deszcz.

Otworzył oczy spocony i rozdygotany. Chicago, Michigan Avenue w południe. Majaki znikły.

W pobliżu grało radio; Lestat śpiewał tym nawiedzonym, żalobnym głosem o Tych Których Należy Mieć w Opiece:

Matko i Ojcze,

Wy milczcie,

Wy nie zdradzajcie nic.

Ale ci z was, którzy mówić mogą,

śpiewajcie moją pieśń.

Synowie i córki,

Dzieci ciemności

Głośniej, głośniej,

Chórem, chórem,

Niech niebiosa nas usłyszą.

Razem, razem,

Bracia i siostry,

Chodźcie ku mnie.

Wstał i ruszył przed siebie; może do Water Tower Place, jest tak podobne do Nocnej Wyspy -

ogromne pomieszczenia sklepowe, nie kończąca się muzyka, światła, lśniące szkło.

Dochodziła ósma, a on ciągle szedł, uciekając przed zaśnięciem i wizją. Oddalił się od wszelkiej muzyki i światła. Ile prześni następnym razem? Dowie się, czy są żywe czy martwe? Moje ślicznotki, moje biedne ślicznotki...

Zatrzymał się, by na chwilę stanąć tyłem do wiatru, wsłuchiwał się w bijący nie wiedzieć gdzie gong zegarowy, potem zauważył brudną tarczę nad podłgą jadłodajnią; tak, Lestat pokazał się na Zachodnim Wybrzeżu. Kto jest z nim? Louis? Koncert zacznie się za niecałe dwadzieścia cztery godziny. Katastrofa!

Armandzie, proszę - błagał w myślach.

Uderzenie wiatru wypchnęło go na jezdnię i sprowadziło falę gwałtownych dreszczy. Ręce miał

złodowaciałe. Czy kiedykolwiek zmarł tak strasznie? Skulony przeszedł Michigan Avenue po pasach, wraz z tłumem, i zatrzymał się przy ogromnej księgarskiej witrynie, w której leżał

„Wywiad z wampirem”.

Armand oczywiście przeczytał tę książkę, pożerając każde słowo w niesamowity, okropny sposób; przewracał strony bez chwili pauzy, jego oczy przemykały błyskawicznie nad słowami, dopóki nie dotarł do ostatniej karty. Jak można promieniować takim pięknem, a równocześnie budzić takie... co? Obrzydzenie? Nie, Daniel musiał przyznać, że Armand nigdy nie wzbudził w nim obrzydzenia. Zawsze czuł wobec niego nienasycone, beznadziejne pożądanie.

Młoda dziewczyna w ciepłej księgarni sięgnęła po egzemplarz książki Lestata, a potem, podnosząc oczy, zauważyła Daniela i zatrzymała na nim wzrok. Jego oddech położył się mgłą na szybie.

Nie przejmuj się, kochana - mówił do niej w myślach - jestem bogaczem. Mógłbym kupić ci w prezencie całą tę księgarnię. Jestem panem i władcą mojej własnej wyspy, jestem ulubieńcem diabła, który spełni każdą moją zachciankę. Chcesz podejść i wziąć mnie pod ramię?

Na wybrzeżu Florydy ciemności nastały kilka godzin temu. Nocna Wyspa kipiała już ludźmi.

Sklepy, restauracje i bary o zachodzie słońca szeroko otworzyły podwoje, wielkie szklane tafle na pięciu poziomach wyłożonego puszystą wykładziną korytarza. Srebrne windy zaczęły wydawać niski syk i szum. Daniel zamknął oczy i wyobraził sobie ściany ze szkła wznoszące się nad tarasami portu. Niemal słyszał szmer tańczących fontann, widział długie grzędy kaczeńców i tulipanów, wiecznie kwitnących w najdziwniejszych porach roku, w uszach dźwięczała mu hipnotyczna muzyka, życiodajne pulsujące serce całości.

Armand prawdopodobnie przechadzał się po skąpanych w przygaszonym świetle pomieszczeniach willi, zaledwie o krok od tłumy gości, a zarazem całkowicie od nich odseparowany za stalowymi drzwiami i białymi ścianami - w rozległym pałacu, którego okna zajmowały przestrzeń od narożnika do narożnika, a szerokie loggie rozpościerały się nad ławicami białego piasku. Samotny, a jednak bliski nie kończącego się ruchu i zgiełku. Okna rozległych salonów odsłaniały widok ożywionego

rojami światel wybrzeża Miami.

A może przeszedł na galerię dla odwiedzających przez któreś z wielu tajnych drzwi. „Trzeba żyć i oddychać wśród śmiertelnych” - tak mówił o tym bezpiecznym i samowystarczalnym wszechświecie stworzonym przez siebie i Daniela. Jakże uwielbiał ciepłe westchnienia zatoki, nie kończąca się wiosną Nocnej Wypsy. Do brzasku nie zgaśnie tam ani jedno światło.

- Armandzie, przyślij po mnie kogoś, jesteś mi potrzebny! Sam wiesz, że pragniesz mojego powrotu.

Oczywiście, taka była zawsze kolej rzeczy. Niepotrzebne były dziwne sny ani zjawiający się raz za razem Lestat, ryczący jak Lucyfer z taśmy audio lub wideo.

Wszystko było w zupełnym porządku, gdy Daniel obsesyjnie przemieszczał się z miasta do miasta, wydeptywał chodniki Nowego Jorku, Chicago lub Nowego Orleanu. Potem następował

nagły rozpad osobowości. Uświadamiał sobie, że już piątą godzinę tkwi w fotelu, albo budził się nagle w zatęchłej, brudnej pościeli, wystraszony, nie wiedząc, w jakim jest mieście ani gdzie był

przez ostatnie dni. Wówczas zjawiał się samochód, a następnie samolot zabierał go do domu.

Czy to nie Armand był sprawcą tego ciągu zdarzeń! Czy nie on jakimś sposobem sprowadzał

nań napady obłędu? Czy dzięki jakiejś czarnej magii nie wysuszał każdego źródła rozkoszy, każdego źródła pełnego życia, wskutek czego Daniel z radością witał znajomego szofera przybywającego, aby zabrać go na lotnisko, nigdy nie zdziwionego jego zachowaniem, nie ogolonym obliczem, zbrukaną odzieżą? Kiedy Daniel wreszcie docierał na Nocną Wyspę, Armand zaprzeczał takim domysłem.

- Wróciłeś, bo tego chciałeś, Danielu - powiadał zawsze bez emocji; jego twarz była spokojna i promienna, oczy pełne miłości. - Danielu, jestem dla ciebie jedynym sensem istnienia. Wiesz o tym. Tam, na zewnątrz, czeka szaleństwo.

- Ta sama stara śpiewka - nieodmiennie odpowiadał Daniel. Otaczał go nieodparty luksus, muzyka, kieliszek z winem w zasięgu ręki, pokoje zawsze pełne kwiatów, na srebrnych tacach potrawy, za którymi przepadał i za którymi tęsknił.

Armand leżał wyciągnięty w wielkim uszaku wybitym czarnym aksamitem, wpatrzony w telewizor; Ganimed w białych luźnych spodniach i jedwabnej koszuli. Oglądał wiadomości, filmy, nagrane na kasetach własne interpretacje poezji, idiotyczne seriale komediowe, spektakle, music-halle, nieme filmy.

- Chodź, Danielu, usiądź. Zupełnie się nie spodziewałem, że wrócisz tak szybko.

- Ty sukinsynu - mówił Daniel. - Chciałeś, żebym tu był, wezwałeś mnie. Nie mogłem jeść ani spać, nic, tylko włączyłem się i myślałem o tobie. To twoja sprawka.

Armand się uśmiechał, czasem nawet wybuchał głośnym śmiechem. Śmiał się pełną pierśią, przepięknie, zawsze wyrażając tyleż wdzięczności co rozbawienia. Kiedy się śmiał, jego postawa i

głos były ludzkie.

- Uspokój się, Danielu. Serce ci kołacze. To napawa mnie lękiem. - Mała zmarszczka wyrasta na gładkim czole, tembr głosu opada chwilową nutą współczucia. - Powiedz mi, czego chcesz, a zdobędę to dla ciebie. Czemu wciąż uciekasz?

- Kłamiesz, draniu. Powiedz, że nie mogłeś wytrzymać beze mnie. Będiesz mnie zadrećcać po wieczność, czy nie tak? Aż kiedyś z zainteresowaniem obejrzysz moją śmierć. To prawda, co powiedział Louis. Przyglądasz się śmierci swoich doczesnych niewolników, bo nic dla ciebie nie znaczą. Będziesz się także przyglądać, jak śmierć zmienia kolory mojej twarzy.

- To język Louisa - rzekł cierpliwie Armand. - Proszę, nie cytuj mi jego książki. Prędzej umrę, niż pozwolę, żebyś ty umarł, Danielu.

- Więc daj mi to! Do diabła! Nieśmiertelność jest tak bliska, tak bliska jak twoje ramiona.

- Nie, Danielu, bo również prędzej umrę, niż to uczynię.

Ale jeśli nawet Armand nie był sprawcą szaleństwa, które sprowadzało go do domu, to z pewnością wiedział, gdzie uciekinier się podziewa. Potrafił usłyszeć jego wołanie. Połączyła ich krew - to było nieuniknione - cenne łyeczki cudownej płonącej posoki. Zawsze tyle, by obudzić w Danielu sny i pragnienie wieczności, by kwiaty na tapecie rozśpiewane ruszyły w tany. Tak czy inaczej, Armand niewątpliwie zawsze potrafił go znaleźć.

* * *

W pierwszych latach, jeszcze przed wymianą krwi, Armand ścigał Daniela z przebiegłością harpii. Nie było takiego miejsca na ziemi, gdzie Daniel mógłby się skryć.

Przerazające, niemniej nęcące były początki ich znajomości w Nowym Orleanie, dwanaście lat temu, kiedy Daniel wkroczył do zrujnowanego starego domu w Garden District i od razu wiedział, że to leże wampira Lestata.

Dziesięć dni wcześniej opuścił San Francisco po zakończonym wywiadzie z wampirem Louisem; jego własne cierpienie potwierdziło przerażającą opowieść. Louis nagłym uściskiem zademonstrował Danielowi swoje nadnaturalne moce; wysłał go prawie na śmierć. Rany znikły, ale samo wspomnienie doprowadzało Daniela do szaleństwa. Dręczony przez gorączkę i majaki, przebywał ledwie kilkaset kilometrów dziennie. W tanich motelach, gdzie zmuszał się do przełknięcia kilku kęsów jedzenia, sporządzał duplikaty taśm z wywiadem i posyłał je do nowojorskiego wydawcy, tak że książka była w opracowaniu, jeszcze zanim stanął przed bramą Lestata.

Publikacja była jednak sprawą drugorzędną, wydarzeniem związanym z wartościami gasnącego, odległego świata.

Musiał znaleźć wampira Lestata. Musiał wydobyć z podziemi nieśmiertelnego stwórcę Louisa, który jakoś przeżył w wilgotnym, dekadentckim i pięknym starym mieście, czekając być może na to, by

Daniel go obudził i wprowadził w to stulecie - w przerażającą epokę, przed którą zaszył się w podziemiu.

Tego niewątpliwie pragnął Louis. Jak inaczej bowiem wytłumaczyć przekazanie śmiertelnemu emisariuszowi tylu wskazówek co do miejsca pobytu Lestata? To prawda, że część z nich okazała się myląca. Ale gdyby nawet był to dowód ambiwalencji Louisa, w ostatecznym rozrachunku nie miał on istotnego znaczenia. Daniel znalazł w archiwach miejskich tytuł własności oraz numer posesji opatrzone imieniem i nazwiskiem, których nie dało się pomylić z żadnymi innymi: Lestat de Lioncourt.

Żelazne wrota nie były nawet zamknięte, a kiedy tylko przedarł się przez zarośnięty ogród, z łatwością pokonał zardzewiałą zasuwę w drzwiach frontowych.

Po wejściu mógł posłużyć się jedynie małą latarką, lecz światło księżycy prześwitywało białym blaskiem poprzez konary dębu i Daniel wyraźnie widział nieskończone, sięgające sufitów rzędy książek we wszystkich pokojach. Żaden człowiek nie mógł doprowadzić do takiego metodycznego obłędu. W sypialni na piętrze ukląkł w gęstym kurzu zaścielającym gnijący dywan i znalazł złoty zegarek kieszonkowy, na którym wygrawerowano jedno słowo - Lestat.

Ach, ta przenikająca dreszczem chwila, w której wahadło wspięło się do crescendo szaleństwa i poczęło ruch ku nowej namiętności - Daniel poprzysiągł sobie śledzić do krańców ziemi te blade zabójcze stwory, których istnienia objawił mu się jedynie rąbek.

Czego pragnął w tamtych pierwszych tygodniach? Czy miał nadzieję, że posiadzie cudowne tajemnice istoty życia? Niewątpliwie wiedza ta nie wskazałaby mu żadnych celów egzystencji przepelnionej już wcześniej poczuciem zawodu. Nie, pragnął oderwania od wszystkiego, co do tej pory kochał. Tęsknił za gwałtownym i zmysłowym światem Louisa.

Za złem - dopowiedział sobie w myślach. Dawne obawy przysły.

Być może przypominał badacza zagubionego w dżungli, który wycinając sobie drogę, nagle widzi mury bajecznej świątyni, płaskorzeźby obwieszane pajęczynami i pnączami; zapomina on o tym, że jeśli straci życie, nie zdoła opowiedzieć swojej historii; oto bowiem ujrzał na własne oczy prawdę.

Gdyby tylko mógł uchylić te drzwi nieco szerzej, zobaczyć pełne oblicze wspaniałości. Gdyby tylko wpuszczono go do środka! Niewykluczone, że po prostu chciał żyć wiecznie. Czy ktoś mógł go z tego powodu obwiniać?

Czuł się dobrze i bezpiecznie, samotny w starym zrujnowanym domu Lestata, gdzie dzikie róże wpełzały przez wybite okno, a na szkielecie łóżka z kolumnami gniło posłanie.

Jestem blisko nich, blisko ich ukochanej ciemności, ulubionego żarłocznego mroku - kołatało mu w głowie. Jakże uwielbiał beznadziejność tego wszystkiego, profilowane krzesła z kawałkami snycerki i strzępami aksamitu, przemykające chyłkiem gryzonie skubiące resztki dywanu.

Ten relik, ach, ten relik był wszystkim: połyskujący złoty zegarek z wygrawerowanym nazwiskiem

nieśmiertelnego!

Po chwili otworzył wielką szafę; czarne angiezy rozsypywały się na strzępy pod jego palcami.

Na cedrowych półkach stały zniszczone, pomarszczone buty.

Lestacie - zwrócił się do niego w myślach - ty tu jesteś. - Wyjął magnetofon kasetowy, postawił go na podłodze, założył pierwszą taśmę i głos Louisa zabrzmiał miękko w ciemnym pokoju.

Taśmy przewijały się godzina za godziną.

Wtem, tuż przed świtem, ujrzał w korytarzu sylwetkę i wiedział, że to nie przypadkowa zjawia.

Światło księżyca położyło się na chłopięcej twarzy i kasztanowych włosach. Ziemia się zakołysała, opadła ciemność. Ostatnim jego słowem było: - Armand.

Powinien był wtedy umrzeć. Czy o jego życiu zdecydował kaprys?

Ocknął się w mrocznej, wilgotnej piwnicy. Woda ściekała po ścianach. Macając w ciemnościach, odkrył zamurowane okno i zamknięte na klucz drzwi obite stalową płytą.

Jego pocieszeniem było to, że znalazł jeszcze jednego boga tajnego panteonu - Armanda, najstarszego z nieśmiertelnych opisanych przez Louisa, Armanda, mistrza domu sabatowego dziewiętnastowiecznego Teatru Wampirów w Paryżu, który wyznał Louisowi straszliwą tajemnicę: pochodzenie nieśmiertelnej rasy jest jedną wielką niewiadomą.

Trzy dni i trzy noce Daniel gnił w tym więzieniu. Może dłużej, może krócej. Trudno to ustalić z całą pewnością. Niewątpliwie był bliski śmierci, od smrodu własnego moczu zbierało mu się na wymioty, a robactwo doprowadzało go do szaleństwa. Niemniej jednak płonął w nim religijny zapach. Jak nigdy dotarł do mrocznej, pulsującej prawdy, którą odsłonił Louis. Odzyskując i tracąc świadomość, śnił o Louisie. Louis rozmawiający z nim w tamtym brudnym pokoiku w San Francisco; „zawsze były istoty naszego pokroju, zawsze”; Louis biorący go w ramiona; ciemniejące nagle zielone oczy, odsłonięte się kły.

Czwartej nocy obudził się z uczuciem, że ktoś lub coś jest w pomieszczeniu. Drzwi stały otworem. Słyszał szum wartko płynącej wody. Powoli przyzwyczaił wzrok do brudnego zielonkawego światła padającego od drzwi, aż wreszcie ujrzał trupio bladą postać stojącą pod ścianą.

Jakże nieskazitelne były czarny garnitur i wykrochmalona biała koszula - wyglądał niczym imitacja człowieka z dwudziestego wieku. Krótко przycięte kasztanowe włosy, paznokcie nawet w półmroku lśniące przygaszonym blaskiem. Jak trup składany do trumny - tak sterylny, tak nienagannie przygotowany.

Głos miał łagodny, z lekkim, nieeuropejskim akcentem; przebrzmiewała w nim ostrzejsza, a jednocześnie miększa nuta. Arabski, może grecki, ten rodzaj intonacji. Słowa padały powoli i bez śladu gniewu.

- Wychodź. Zabierz taśmy. Są obok ciebie. Znam twoją książkę. Nikt jej nie uwierzy. Pójdiesz i zabierzesz swoje rzeczy.

W takim razie nie zabijesz mnie - przekazał mu w myślach. - Ale i nie uczynisz jednym z was. -

Rozpaczliwe, głupie myśli, lecz nie potrafił ich powstrzymać. Widział tę moc! Bez żadnych kłamstw, bez oszustwa. I poczuł, że płacze, tak bardzo osłabiły go strach i głód, spychając do poziomu dziecka.

- Uczynić cię jednym z nas? - Obcy akcent pogłębił się, przydając słowom rytmicznego zaśpiewu. - Czemu miałbym to zrobić? - Zwężenie brwi. - Nie uczyniłbym tego tym, których uznaję za godnych pogardy, których w swoim czasie chętnie widziałbym płonących w piekle.

Czemu miałbym to zrobić takiemu niewinnemu durniowi... jak ty?

Chcę tego - błagał w myślach. - Chcę żyć wiecznie. - Usiadł, powoli dźwignął się na nogi, wyęzając wzrok, by ujrzeć Armanda wyraźniej. Gdzieś dalej w korytarzu płonęła słaba żarówka.

- Chcę być z Louisem i z tobą - żebrał.

Śmiech cichy, łagodny, a zarazem pogardliwy.

- Rozumiem, czemu wybrał cię na powiernika. Jesteś naiwny i piękny. Ale, wiesz, sama uroda może być wystarczającym powodem. - Milczenie. - Masz oczy niezwyklej barwy, prawie fioletowe. I jesteś jednocześnie dziwnie buntowniczy i błagający.

Uczyń mnie nieśmiertelnym! - To był krzyk duszy. - Daj mi to.

Znów dał się słyszeć śmiech, gorzki śmiech; a potem cisza i szmer płynącej wody. Mrok panujący w ohydnej piwnicznej norze rozrzedził się, a postać stała się bardziej śmiertelna.

Gładka skóra miała nawet lekką różową barwę.

- To wszystko prawda, to, co ci opowiedział. Ale nikt nigdy ci nie uwierzy. Z czasem zwariujesz od tej wiedzy. To zawsze tak się kończy. Na razie jednak nie jesteś szalony.

Nie - potwierdził, prowadząc ze swojej strony bezsłowny dialog. - To wszystko jest realne, to się dzieje naprawdę. Ty jesteś Armand i rozmawiasz ze mną. A ja nie jestem szalony.

- Tak. Uważam to za interesujące... interesujące, że znasz moje imię i żyjesz. Nikt, kto je poznał, nie żyje. - Zawahał się. - Nie chcę cię zabijać. Nie w tej chwili.

Daniel poczuł pierwsze muśnięcie lęku. Przyjrząwszy się z bliska tym stworom, wiedziało się, jakie są naprawdę. To samo było z Louisem. Tak, one nie żyły, lecz upiornie imitowały życie. A ten był połyskliwym manekinem młodego chłopca!

- Zamierzam pozwolić ci stąd odejść - rzekł Armand łagodnie i z ogromną uprzejmością. - Chcę podążyć za tobą, zobaczyć, dokąd się udasz. Nie zabiję cię, dopóki będziesz mnie interesował.

Oczywiście może się zdarzyć, że przestaniesz mnie ciekawić, a ja wcale nie będę zaprzętał sobie głowy zabijaniem. To niewykluczone i w tym twoja nadzieja. A jeśli szczęście ci dopisze, może zgubię twój trop. Oczywiście, pętają mnie ograniczenia. Ty masz cały świat do włączeni i możesz przemieszczać się za dnia. Teraz ruszaj. Biegiem. Chcę zobaczyć, co zrobisz, chcę wiedzieć, jaki jesteś.

Teraz ruszaj. Biegiem!

Gdy znalazł się w porannym samolocie do Lizbony, wciąż ścisnął w dłoni złoty zegarek Lestata.

Dwa wieczory później w Madrycie, odwróciwszy się, dostrzegł, że Armand siedzi tuż obok niego w autobusie. Tydzień później w Wiedniu wyrzwał przez okno kawiarni i ujrzał Armanda obserwującego go z chodnika. W Berlinie Armand wśliznął się do tej samej taksówki i siedział, nie odrywając od niego wzroku, aż Daniel wreszcie wyskoczył w gęstwinę pojazdów i uciekł.

Jednakże po kilku miesiącach te wstrząsające spotkania bez słów ustąpiły miejsca bardziej energicznym natarciom.

Gdy pewnego dnia obudził się w swym pokoju hotelowym w Paryżu, ujrzał nad sobą Armanda, oszalałego, gwałtownego.

- Rozmawiaj ze mną. Żądam tego. Obudź się. Masz pójść ze mną i pokazać mi atrakcje tego miasta. Czemu właśnie tu przyjechałeś?

Jadąc pociągiem przez Szwajcarię, podniósł nagle wzrok i zobaczył Armanda siedzącego naprzeciwko i przyglądającego mu się znad podniesionego kołnierza podbitego futrem palta.

Armand wyrwał mu z ręki książkę, domagając się wyjaśnień - co to jest za powieść, czemu ją czyta, co znaczy zdjęcie na okładce.

W Paryżu Armand deptał mu po piętach, chodząc za nim nocami po bulwarach i bocznych uliczkach, wypytując czasem o lokale, które odwiedzał, i o to, co robił. W Wenecji wyrzwał przez okno swojego pokoju u Danielego i w oknie po drugiej stronie uliczki napotkał wlepiony w siebie wzrok Armanda.

Dwa tygodnie minęły bez żadnych spotkań. Daniel miotał się między grozą a dziwnym wyczekiwaniem, znów niepewny swoich władz umysłowych. Ale oto Armand znów czekał na niego na nowojorskim lotnisku. A następnego wieczoru w Bostonie był w sali restauracyjnej u Copleya, kiedy Daniel tam wszedł. Kolacja była już zamówiona. Proszę, usiądź. Czy wiesz, że

„Wywiad z wampirem” jest już w księgarniach?

- Muszę przyznać, że ta mała dawka dwuznacznego rozgłosu łechce moją próżność - rzekł

Armand z wyborną uprzejmością i złośliwym uśmiechem. - Jednak zadziwia mnie, że tobie na nim nie zależy! Nie ujawniłeś się jako „autor”, co oznacza, że jesteś albo bardzo skromny, albo tchórzliwy. Zarówno jedno, jak i drugie to straszne nudziarstwo.

- Nie jestem głodny, wynośmy się stąd - rzekł bez przekonania Daniel. Gdy nagle na stole zaczęło się pojawiać danie po daniu, wszyscy dokoła wytrzeszczali oczy.

- Nie wiedziałem, na co będziesz miał ochotę - wyznał Armand. Jego uśmiech stał się wręcz olśniewający. - Więc zamówiłem wszystko, co mieli w karcie.

- Myślisz, że doprowadzisz mnie do szaleństwa, no nie? - warknął Daniel. - Nic z tego. Powiem ci coś. Za każdym razem, kiedy cię widzę, zdaję sobie sprawę, że nie wymyśliłem ciebie i że jestem przy zdrowych zmysłach! - I zabrał się do jedzenia, żarłocznie, łapczywie; trochę ryby, trochę polędwicy, trochę cielęciny, trochę nerkówki, trochę sera, po trochę wszystkiego, wszystko razem, jak leci, niech tam; Armand był zachwycony, śmiał się i śmiał jak mały chłopiec, przypatrując mu się z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Wtedy Daniel po raz pierwszy usłyszał ten łagodny, jedwabisty, nieodparcie uwodzicielski śmiech. Upił się najszybciej, jak się dało.

Spotkania przeciągały się coraz bardziej. Rozmowy, próbne wymiany ciosów i bezpardonowe walki stały się regułą. Pewnego razu, w Nowym Orleanie Armand wyciągnął Daniela z łóżka i wrzasnął:

- Do telefonu, dzwoń do Paryża, chcę się przekonać na własne oczy, że naprawdę możesz rozmawiać z Paryżem!

- Niech cię diabli porwą, sam sobie dzwoń! - ryknął Daniel. - Masz pięćset lat i nie umiesz posługiwać się telefonem? Przeczytaj instrukcję obsługi. Co z ciebie za istota, nieśmiertelny kretyn? Ani mi się śni ciebie słuchać. - Po czym, widząc zaskoczenie Armanda, dodał: - Niech będzie, zadzwonię za ciebie do tego Paryża. Tyle że ty płacisz rachunek.

- Ależ oczywiście - powiedział niewinnie Armand. Wyjął z kieszeni płaszcza plik studolarówek i rozsypał je na łóżku Daniela.

Podczas tych spotkań coraz częściej rozprawiali o filozofii. Wyciągając Daniela z kina w Rzymie, Armand zapytał, czy jego zdaniem śmierć naprawdę istnieje? Żyjący znają się na takich rzeczach! Czy Daniel wie, że Armand naprawdę się boi?

Minęła już północ; Daniel pijany i wyczerpany, usnął w kinie, zanim Armand go znalazł, więc wszystko było mu obojętne.

- Powiem ci, czego się boję - rzekł Armand z przejęciem młodego studenta. - Że po śmierci następuje chaos, że to sen, z którego nie ma przebudzenia. Wyobraź sobie, że tułasz się między połowiczną świadomością i nieświadomością, na próżno usiłując przypomnieć sobie, kim jesteś, co robiłeś. Wyobraź sobie, że po wieczność starasz się odzyskać utraconą jasność myśli...

Daniel wystraszył się. Było w tym nieco prawdy. Czy nie słyszało się o mediach rozmawiających z niezrozumiałymi, niemniej jednak potężnymi istotami? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Skąd, do diabła, miał je znać? A może po prostu wraz ze śmiercią wszystko się kończy? To przerażało Armanda i nie zadawał sobie żadnego trudu, by ukryć rozpacz i bezradność.

- Myślisz, że mnie to nie przeraża? - spytał Daniel, wpatrując się w jego białą twarz. - Ile lat mi

zostało? Możesz to zgadnąć, patrząc na mnie? Powiedz.

Kiedy Armand obudził go w Port-au-Prince, chciał rozmawiać o wojnie. Co ludzie w tym stuleciu sądzą o wojnie? Czy Daniel ma pojęcie, że Armand był chłopcem, kiedy to się dla niego zaczęło? Miał siedemnaście lat, a w tamtych czasach siedemnastoletni ludzie byli młodzi, bardzo młodzi. Siedemnastoletni chłopcy w dwudziestym wieku to prawdziwe potwory; mają brody, zarost na piersiach, a jednocześnie wciąż są dziećmi. Wtedy było inaczej, jednak dzieci pracowały jak dorośli.

Ale nie zbaczajmy z tematu. Rzecz w tym, że Armand nie znał ludzkich uczuć. Zawsze stanowiły one dla niego zamkniętą księgę. Oczywiście, znał rozkosze cielesne, to było oczywiste.

Nikt za jego czasów nie uważał, że dzieci są nieświadome rozkoszy zmysłowych. Niewiele jednak wiedział o prawdziwej agresji. Zabijał, bo taka był jego natura, natura wampira; a pragnienie krwi było czymś nieodpartym. Dlaczego jednak ludzie nie potrafią się oprzeć żądzy walki? Na czym polega to pragnienie zbrojnego sprzeciwu wobec woli drugiego? Czy wynika to z fizycznej potrzeby niszczenia?

Daniel wychodził ze skóry, by udzielić mu odpowiedzi: niektórzy mają potrzebę potwierdzenia własnego istnienia przez kompletne unicestwienie drugiej istoty; te odczucia z pewnością nie są obce Armandowi.

- Nie są obce? Nie są obce? Jakże to ma znaczenie, jeśli nie rozumiesz, jeśli nie potrafisz przejść od jednego punktu widzenia do drugiego? - pytał Armand. Podniecenie sprawiało, że nasilał się jego nietypowy akcent. - Nie rozumiesz, że to właśnie jest poza moim zasięgiem?

Kiedy znalazł Daniela we Frankfurcie, zaprzętała go natura historii napisania jakiegokolwiek spójnego, a przy tym prawdziwego wyjaśnienia wydarzeń. Posługiwanie się ogólnikami wykluczało możliwość sklecenia jakiegokolwiek prawdy, a bez ogólników nie ma mowy o jakimkolwiek procesie nabywania wiedzy.

Czasem te spotkania nie były wyłącznie egoistycznej natury. W wiejskim zajeździe w Anglii Daniel obudził się na dźwięk głosu Armanda nakazującego mu natychmiastowe opuszczenie budynku. Nie minęła godzina, a pożar zniszczył zajazd.

Innym razem, gdy siedział w nowojorskim areszcie, zatrzymany za pijaństwo w miejscu publicznym i włóczęgostwo, Armand zjawił się, by wpłacić kaucję, aż nazbyt ludzki, jak zawsze gdy się nakarmił; młody prawnik w tweedowej marynarce i flanelowych spodniach zaprowadził

Daniela do Carlyle'a i zostawił śpiącego w numerze z walizką pełną nowych ubrań i pękatym portfelem wsuniętym do kieszeni.

Gdy minęło półtora roku tego szaleństwa, Daniel zaczął również zadawać Armandowi pytania.

Jak naprawdę było wtedy, w Wenecji? Popatrz na ten film, którego akcję osadzono w osiemnastym wieku, powiedz, co się nie zgadza.

Armand był znacząco małomówny.

- Nie mogę opowiedzieć ci o tych rzeczach, bo nie znam ich z osobistego doświadczenia.

Widzisz, moja zdolność syntetyzowania wiedzy jest szczątkowa; wchłaniam rzeczywistość intensywnie, ale naskórkowo. Jaki był Paryż? Zapytaj mnie, czy w sobotę piątego czerwca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku padało. Być może potrafiłbym ci odpowiedzieć.

Czasem jednak stawał się niespodziewanie wylewny, mówiąc o tym, co go otacza, o upiornej czystości tej epoki, o straszliwym przyspieszeniu zmian.

- Zwróć uwagę na przełomowe wynalazki, jak parowce czy kolej żelazna, które stają się bezużyteczne lub przestarzałe w tym samym stuleciu; a równocześnie zastanów się, czym było to wszystko po sześciu tysiącach lat dosiadania konia wierzchowego i używania galer napędzanych siłą mięśni niewolników? Tancerki z kabaretów kupują teraz środki chemiczne do zabijania nasienia swoich kochanków i dożywają siedemdziesiątego piątego roku życia w pokojach zaopatrzonych w urządzenia schładzające powietrze i pożerające kurz. Mimo zalewu filmów kostiumowych i powieści historycznych w tanich wydaniach dostępnych w każdym kiosku, szeroki ogół o niczym nie ma pojęcia; każdy problem społeczny jest roztrząsany w odniesieniu do norm, które naprawdę nie istnieją, ludzie uskarżają się na brak luksusów, spokoju i bezpieczeństwa, niedostępnych wszelkim dużym grupom.

- Ale opowiedz mi, jaka była Wenecja za twoich czasów...

- Co? Że była brudna? Że była piękna? Że ludzie chodzili w łachmanach, że cuchnęło im z ust i z gnijącymi zębami śmieli się głośno na publicznych egzekucjach? Chcesz znać zasadniczą różnicę? Teraz panuje przerażająca samotność. Posłuchaj, wtedy, kiedy jeszcze wciąż byłem między żywymi, mieszkaliśmy po sześć, siedem osób w pokoju, a ulice wypełniały morza ludzi.

Teraz w tych wysokich budynkach niezbyt rozgarnięte duszyczki unoszą się w luksusowej samotności, oglądając w telewizji jak w oknach odległy świat pocałunków i uścisków.

Samotność powinna stworzyć jakiś wielki pokład powszechnej wiedzy, jakiś nowy poziom ludzkiej świadomości, ciekawość i sceptycyzm.

Daniel dostrzegął, że jest zafascynowany Armandem, i czasem próbował zapisać jego przemyślenia. Mimo to jednak wciąż czuł przed nim lęk i wciąż przenosił się z miejsca na miejsce.

* * *

Nie był całkiem pewien, jak długo trwało, zanim zaprzestał ucieczki, chociaż tej nocy, gdy to nastąpiło, nie sposób było zapomnieć.

Minęły może cztery lata od rozpoczęcia tej gry. Daniel spędził długie spokojne lato w południowych Włoszech i ani razu nie natknął się na swojego demona.

Mieszkał w tanim hotelu, parę domów od ruin starożytnych Pompei, czytając, pisząc, usiłując zrozumieć, co dał mu przeblysk nadnaturalnego; na nowo uczył się pragnąć, snuć wizje, marzyć.

Nieśmiertelność na tej planecie jest jednak możliwa. Wiedział o tym bez żadnych wątpliwości, ale jakie to miało znaczenie, jeśli była dla niego niedostępna?

Przechadzał się samotnie ulicami starożytnego rzymskiego miasta, zarówno w dzień, jak i nocą, gdy księżyc był w pełni. Wydawało się, że odzyskał równowagę umysłu i że razem z nią mogło powrócić życie. Zielone liście pachniały świeżo, gdy rozcierał je w palcach. Podnosił wzrok ku gwiazdom i czuł nie tyle urazę, ile smutek.

Bywało jednak, iż płonął, tęskniąc za Armandem jak za eliksirem, bez którego nie potrafił już żyć. Brakowało mu mrocznej energii, która spalała go przez cztery lata. Śnił, że Armand jest blisko; budził się, łkając bezradny jak dziecko. Z nadejściem poranka był smutny, ale spokojny.

Wtedy Armand powrócił.

Było późno, może dziesiąta wieczór, i niebo, jak to często bywa w południowej Italii, stało się czysto granatowe. Daniel przechadzał się samotnie długą drogą prowadzącą z właściwych Pompei do Willi Tajemnic, w nadziei, że nie napotka strażników, którzy odprawiliby go z powrotem.

Kiedy dotarł do wiekowego domu, zastał kompletny bezruch. Ani jednego strażnika. Ani żywej duszy. Nagle przed wejściem wyrosła sylwetka Armanda. Znowu on.

Wyłonił się bezszelestnie z cieni w światło księżyca, młody chłopak w brudnych dżinsach i znoszonej dżinsowej kurtce. Objął Daniela ramieniem i łagodnie ucałował. Jakże ciepła była jego skóra, pełna świeżej krwi ofiary. Daniel roił sobie, że czuje jej zapach, woń żywej istoty nadal ciągnącą się za Armandem.

- Chcesz wejść do tego domu? - szepnął. Żaden zamek nie mógłby go powstrzymać. Daniel drżał, na krawędzi płaczu. Dlaczego? Był tak rozradowany jego widokiem, dotknięciem, ach, do diabła!

Weszli do ciemnych, niskich pomieszczeń; napór ramienia Armanda był Danielowi dziwnie miły. Ach tak, witaj, intymności, bo to przecież ty, czyż nie? Ty, mój sekretny...

Sekretny kochanku - nazwał w myślach Armanda.

Tak.

A gdy zatrzymali się w zrujnowanej jadalni ze sławnymi, ledwie widocznymi w pomroce malowidłami ściennymi przedstawiającymi rytualne biczowanie, Daniel nagle zdał sobie sprawę:

- On mnie jednak nie zabije. Nie zrobi tego. Oczywiście, nie uczyni mnie tym, kim sam jest, ale nie zabije mnie. Nie takim pas zakończy się ten taniec.

- Jakże mogłeś tego nie wiedzieć - rzekł Armand, czytając w jego myślach. - Kocham cię.

Gdybym ciebie nie pokochał, zabiłbym cię już wcześniej, to oczywiste.

Blask księżyca sączył się przez drewniane koronki. Bujne postaci z malowideł ożyły na czerwonym

tle koloru zaschłej krwi.

Daniel przesywał wzrokiem istotę, którą miał przed sobą, wyglądającą jak człowiek i mówiącą jak człowiek, ale nie będącą nim. W jego postrzeganiu zaszła koszmarna zmiana: widział bowiem wielkiego owada, monstrualnego drapieżnika, który pożarł miliony ludzi. A przecież jednak kochał to coś. Kochał gładką białą skórę i wielkie ciemnopiwnie oczy. Kochał nie dlatego, że wyglądało jak łagodny myślący młodzieniec, ale dlatego, że było upiorne, straszne i obmierzłe, a równocześnie piękne. Kochał tak, jak ludzie kochają zło, wstrząsające nimi do głębi duszy.

Wyobraź sobie ten rodzaj zabijania - po prostu odbieranie życia za każdym razem, kiedy się tylko zapragnie, zwyczajne mordowanie, zatapianie w kimś kłów i zabieranie wszystkiego, co tylko ten ktoś może dać.

Spójrz, co on ma na sobie. Niebieska koszula z bawełny, dzinsowa kurtka z miedzianymi guzikami. Skąd to wzięł? Zdjął z ofiary, tak; wyjął nóż i odarł ją ze skóry, gdy była jeszcze żywa? Nic dziwnego, że oni cuchną solą i posoką, chociaż niczego nie widać. A włosy ma tak przystrzyżone, jakby nie miały sięgnąć do ramion w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. To jest zło. To jest iluzja. Tym właśnie chcę być - usłyszał w swojej głowie - i właśnie dlatego nie mogę znieść jego widoku.

Usta Armanda poruszyły się w łagodnym, lekko ukrywanym uśmiechu. A potem jego oczy zamgliły się i znikły za powiekami. Pochylił się nad Danielem i wcisnął ustami w jego szyję.

Kolejny raz, jak wtedy, w pokoiku na Divisadero Street w San Francisco, Daniel poczuł ostre zęby przesywające skórę, nagły ból i tętniące ciepło.

- Czy wreszcie mnie zabijasz? - Ogarnęły go senność, ogień, miłość. - Tak, zrób to.

Jednak Armand wysączył tylko kilka kropli, po czym uwolnił Daniela z objęć i łagodnie naciskając na jego ramiona, zmusił go, by uklęknął. Kiedy Daniel uniósł wzrok, zobaczył krew płynącą z nadgarstków Armanda. Jej smak wywołał w nim przesywające, potężne uderzenia prądu. Przez jedno mgnienie oka Pompeje wydały się pełnym szeptów i płaczów nieokreślonym, pulsującym śladem dawnych cierpień i śmierci. Tysiące ludzi ginących w dymie i popiołach, tysiące umierających razem. Razem! - rozdzwoniło się Danielowi w głowie. Przyłgął do Armanda, ale krew znikła. Pozostał tylko smak... nic więcej.

- Jesteś mój, piękny chłopcze - rzekł Armand.

Kiedy Daniel przebudził się następnego ranka w łóżku rzymskiego Excelsiora, zdał sobie sprawę, że już nigdy więcej nie ucieknie od Armanda. Ten przybył niecałą godzinę przed zachodem słońca. Udadzą się teraz do Londynu, samochód czeka, by zabrać ich na lotnisko. Jest jednak jeszcze dosyć czasu na jeszcze jeden uścisk, na jeszcze jedną niewielką wymianę krwi.

- Masz, z mojej szyi - wyszeptał Armand, obejmując głowę Daniela. Cudowne, ciche pulsowanie. Światło lamp rozbłysło, zalało pokój.

Kochankowie - tyle tylko pomyślał Daniel. Tak oto rozpoczął się ekstatyczny i pochłaniający romans.

- Jesteś moim nauczycielem - rzekł Armand. - Nauczysz mnie wszystkiego o tym stuleciu. Już teraz uczę się tajemnic, które umykały mi od początku. Po wschodzie słońca będziesz spał, jeśli zechcesz, ale noce są moje.

* * *

Zanurkowali w sam środek życia. Armand miał chłonność i błyskotliwość geniusza; kiedy wieczorem był już po wczesnym polowaniu, bez trudu uchodził za człowieka wszędzie, gdzie się udawali. O tej porze jego skóra była rozpalona, twarz - pełna dziwnej ciekawości, uściski -

gorączkowe i szybkie.

Tylko inny nieśmiertelny dotrzymałby mu kroku. Daniel zapadał w drzemkę w filharmoniach i operach oraz podczas setek seansów filmowych, na które ciągnął go Armand. Podczas nieskończonych przyjęć i tłocznych hałaśliwych zebrań towarzyskich od Chelsea do Mayfair, Armand debatował o polityce i filozofii ze studentami lub światowymi kobietami, z każdym, kto dał mu choćby najmniejszą szansę. Oczy zachodziły mu łzami z podniecenia, głos tracił łagodny niesamowity rezonans i nabierał twardego ludzkiego akcentu.

Fascynowały go modne stroje, nie dla ich urody, lecz dla przesłania, którego, jego zdaniem, były wyrazem. Ubierał się w dzinsy i bawełniane bluzy, jak Daniel, lub przywdziewał włóczkowe swetry i robociarskie buciorzy z niewyprawnej skóry, skórzane kurtki i odbłaskowe okulary zepchnięte na czubek głowy. Nosił też garnitury szyte na miarę i smokingi, a kiedy miał taki kaprys - frak; włosy czasem obcinał krótko, upodabniając się do studenta Cambridge, a czasem zostawiał długie i falujące jak grzywa anioła.

Wydawało się, że bez końca wdrapują się co dzień po innych ciemnych schodach, by dotrzeć do jakiegoś malarza, rzeźbiarza lub fotografa albo żeby obejrzeć jakiś wyjątkowy, nigdy nie dopuszczony do rozpowszechniania, niemniej jednak rewolucyjny film. Spędzali wiele godzin w pozbawionych ciepłej wody mieszkaniach, gdzie rozbrzmiewała muzyka rockowa, a ciemnookie kobiety parzyły ziołową herbatę, której Armand nigdy nie pił.

Oczywiście i mężczyźni, i kobiety zakochiwali się w Armandzie, „jakże niewinnym, jakże namiętym, jakże inteligentnym”. Też mi odkrycie. Prawdę powiedziawszy, moc uwodzenia Armanda była prawie poza jego kontrolą. To właśnie Daniel musiał kłaść się z tymi nieszczęśnikami, jeśli Armandowi udało się to zaaranżować, podczas kiedy sam przyglądał się wszystkiemu z pobliskiego fotela, piwnooki kupidyń o ciepłym akceptującym uśmiechu.

Doświadczając obserwowanych namiętności, gorących, porażających nerwy, Daniel drażył obce ciało w rosnącej pustce, pobudzony podwójną celowością każdego intymnego gestu. A potem leżał wpatrzony w Armanda, pełen urazy i chłodu.

W Nowym Jorku bez opamiętania chodzili na wernisaże, do kawiarni i barów; adoptowali młodego tancerza, opłacając chesne za całą jego naukę. Siadywali na werandach w Soho i Greenwich Village,

próżnując z każdym, kto się zatrzymywał i dołączał do nich. Chodzili na wieczorne wykłady z literatury, filozofii, historii sztuki i polityki. Studiowali biologię, kupili mikroskopy, zbierali okazy przyrodnicze. Zgłębiali książki z astronomii i budowali gigantyczne teleskopy na dachach domów, w których zatrzymywali się na kilka dni, a najwyżej na miesiąc.

Chodzili na mecze bokserskie, koncerty rockowe, broadwayowskie musicale.

Technologiczne wynalazki zaczęły być obsesją Armanda. Najpierw miksery kuchenne, w których sporządzał przerażające mikstury, zestawiając składniki na podstawie doboru kolorów; potem kuchenki mikrofalowe, w których smażył karaluchy i szczury. Był oczarowany zsypanymi na śmieci; karmił je papierowymi ręcznikami i całymi kartonami papierosów. Następnie przyszła kolej na telefony. Wydzwaniał do miejsc leżących po drugiej stronie planety, godzinami rozmawiając ze śmiertelnymi w Australii lub w Indiach. Wreszcie pochłonęła go telewizja, tak doszczętnie, że ich mieszkanie zapełniło się ryczącymi głośnikami i migającymi ekranami.

Każda scena z błękitnym niebem wprawiała go w zachwyt. Potem musiał obejrzeć wiadomości, seriale, dokumenty, a wreszcie każdy nakręcony film, niezależnie od tego, ile był wart.

Przypadł mu do gustu pewien szczególnie obraz. Oglądał raz za razem „Łowcę androidów”

Ridleya Scotta, zafascynowany Rutgerem Hauerem, potężnie zbudowanym aktorem, który jako przywódca zbuntowanych androidów objawia się swojemu ludzkiemu stwórcy, całuje go, a potem miażdży czaszkę. Trzask kości i wyraz lodowato niebieskich oczu Hauera wywołały spokojny i niemal psotny śmiech Armanda.

- Oto twój przyjaciel, Lestat - szepnął raz do Daniela. - Lestat miałby... jak wy na to mówicie?...

jaja?... żeby to zrobić!

Po „Łowcy androidów” byli idiotyczni i zabawni „Bandyci czasu”, angielska komedia, w której pięciu karzełków kradnie „Mapę stworzenia świata”, dzięki której mogą podróżować przez dziurę w czasie. Koziołkując, wpadają to w jeden wiek, to w drugi, kradną i rozrabiają, razem z chłopcem, swoim towarzyszem, aż wreszcie wszyscy lądują w jaskini diabła.

Z czasem Armand upodobał sobie jedną scenę: karzełki na walącym się podium w Castelleone, śpiewający piosenkę „Ja i mój cień”, Napoleon doprowadzał Armanda niemal do hysterii.

Całkowicie tracił nadprzyrodzone opanowanie i stawał się zupełnie ludzki, zaśmiewając do łez.

Daniel musiał przyznać, że w tej scenie był jakiś okropny wdzięk: karły biły się i szamotały, po czym psuły cały występ i wprawiały w oszołomienie osiemnastowiecznych muzyków w kanale orkiestrowym, nie wiedzących, co począć z dwudziestowieczną piosenką. Napoleon był

początkowo zdezorientowany, a później zachwycony! Cała scena była dziełem komicznego geniuszu, ale ile razy mógł ją oglądać śmiertelny. Armand wracał do niej bez końca.

A jednak po pół roku rzucił kino dla kamery wideo i zaczęła się obsesja filmowania. Włókł za sobą

Daniela przez cały Nowy Jork, nakręcając nocne wywiady. Nagrał na taśmach własne recytacje poezji po włosku lub łacinie, miał też taką, na której uwiecznił siebie siedzącego z nogą założoną na nogę i wpatzonego w obiektyw; migotliwa biała postać rozmywała się i znów pojawiała w wiecznym słabym brązowym świetle.

Innym razem nakręcił długi film ukazujący jego samego leżącego w trumnie podczas dziennego snu mającego symbolizować śmierć. Jednakże Daniel nie miał dość siły, by na to patrzeć.

Armand godzinami odtwarzał ten film w zwolnionym tempie, przyglądając się, jak obcięte o zachodzie słońca włosy powoli rosną na aksamicie, a on sam leży bez ruchu z zamkniętymi oczami.

Następne były komputery. Dyskietka po dyskietce zapełniała się jego tajnymi zapiskami.

Wynajął dodatkowe mieszkanie na Manhattanie, gdzie umieścił swoje pecety i maszynę do gier wideo.

Wreszcie skierował się ku samolotom.

Daniel zawsze był obsesyjnym podróżnikiem; uciekał przed Armandem po całym świecie i razem latali samolotami. Latanie nie było czymś nowym, ale teraz nastąpiła jego koncentracja w czasie. Musieli spędzić całą noc w powietrzu. Lot przez Boston do Waszyngtonu, Chicago i z powrotem do Nowego Jorku nie był niczym niezwykłym. Armand obserwował; pasażerów i stewardesy; rozmawiał z pilotami; leżał odprężony w fotelu pierwszej klasy, wsłuchując się w ryk silników. Szczególny czar miały dla niego dwupokładowe odrzutowce. Musiał spróbować dłuższych, bardziej zuchwałych przelotów; aż do Port-au-Prince albo do San Francisco, Rzymu, Madrytu czy Lizbony; to nie miało znaczenia, byle bezpiecznie wylądować o świcie.

Wtedy zniknął. Daniel nigdy się nie dowiedział, gdzie śpi, ale o brzasku sam padał z nóg. Od pięciu lat nie widział południa.

Armand często zjawiał się w pokoju, zanim Daniel ocknął się. Kawa bulgotała, grała muzyka -

Vivaldi albo pianino pod kotleta, jako że Armand jednakowo uwielbiał jedno i drugie.

- Chodź, kochany, dziś wieczorem idziemy na balet. Chcę zobaczyć Barysznikowa. A potem do Village. Pamiętasz zespół jazzowy, który tak spodobał mi się zeszłego lata? Właśnie wrócili.

Chodź, ukochany, jestem głodny. Musimy iść.

Gdy Daniel wciąż padał z nóg, Armand wpychał go pod prysznic, namydlał, opłukiwał, wycierał

od stóp do głów, a potem golił troskliwie jak fryzjer starej daty i wreszcie ubierał, wpierv dokonawszy starannego wyboru spośród Danielowych brudnych i zaniedbanych strojów.

Daniel uwielbiał dotknięcie twardych, lśniących białą dłoni przesuwających się po jego nagim ciele, zupełnie jakby to były satynowe rękawiczki. I te piwne oczy, które sprawiały, że tracił

wszelkie zahamowania; ach, ta cudowna dezorientacja, pewność, iż został sprowadzony do swojej czysto fizycznej istoty, i wreszcie dłonie zamykały się łagodnie na jego gardle, zęby przebijały skórę.

Zamykał oczy, ciało płonęło powolnym ogniem, spalającym jedynie wtedy, kiedy krew Armanda dotykała jego ust. Znów słyszał odległe westchnienia, krzyki; czy to było wołanie dusz potępionych? Odczuwał obecność wielkiego rozjarzonego kontinuum, jakby wszystkie sny połączyły się nagle i nabrały podstawowej wagi, a mimo to wszystko mu umykało...

Kiedys wyciągnął dłonie, uchwycił Armanda z całej siły i spróbował przegryźć mu gardło. Jakże cierpliwy był Armand, roniąc dla niego łzę i pozwalając zamknąć na niej usta przez niewyobrażalnie długi czas - tak, tak było - a potem łagodnie odsuwając go od siebie.

Daniel postradał zdolność podejmowania decyzji. Żył w dwóch krańcowo odmiennych stanach połączonych miłością, w rozpaczy i ekstazie. Nigdy nie wiedział, kiedy dostawał krew, i jak świat wygląda z tego właśnie powodu - goździki wpatrują się w niego z flakonu, drapacze chmur koszmarniej jak rośliny, które w przeciągu jednej nocy strzeliły w górę ze stalowych ziaren -

czy też on sam traci zmysły.

Wreszcie przyszedł wieczór, kiedy Armand powiedział, że jest gotów wkroczyć na serio w ten wiek, że teraz wie o nim wystarczająco dużo. Chciał nieoszacowanych bogactw. Chciał

wielkiego mieszkania pełnego wszystkich tych rzeczy, które zaczął z czasem cenić, oraz jachtów, samolotów, samochodów - milionów dolarów. Chciał kupić Danielowi wszystko, czego by ten zapragnął.

- Co to ma znaczyć: miliony! - zrugął go wtedy Daniel. - Wyrzucasz ubranie po jednym włożeniu, wynajmujesz mieszkania i zapominasz, gdzie są. Masz pojęcie, co to jest kod pocztowy albo próg podatkowy? To ja kupuję te cholerne bilety lotnicze. Miliony. Jak dostaniemy te miliony! Ukradnij jeszcze jedno maserati i daj sobie z tym spokój, na litość boską!

- Danielu, jesteś dla mnie darem od Louisa - rzekł czule Armand. - Co ja bym bez ciebie zrobił?

Wszystko rozumiesz opacznie. - Oczy miał wielkie jak dziecko. - Chcę być w samym środku ważnych spraw, tak jak byłem przed laty w Paryżu w Teatrze Wampirów. Z pewnością pamiętasz. Chcę być rakowatą naroślą w źrenicy świata.

* * *

Szybkość zmian oszołomiła Daniela.

Zaczął się od znalezienia skarbów w przybrzeżnych wodach Jamajki. Armand wynajął łódź, by pokazać Danielowi, gdzie należy zacząć operację wydobycia wraku. Nie minęło kilka dni, a odkryto hiszpański galeon wypełniony złotymi monetami i klejnotami. Następne było archeologiczne odkrycie bezcennych figurek Olmeków. Szybko namierzono dwa kolejne wraki, jeden po drugim. Tanio nabyta ziemia w Ameryce Południowej kryła dawno zapomnianą kopalnię szmaragdów.

Zakupili rezydencję na Florydzie, jachty, motorówki oceaniczne, niewielki, ale wybornie wyposażony odrzutowiec.

Musieli się wyekwipować na wszelkie okazje jak książęta. Armand dopilnował, by wzięto miarę na koszule, garnitury, buty Daniela. Wybierał materiały na nie kończące się zestawy marynarek sportowych, spodni, szlafroków, jedwabnych fularów. Oczywiście Daniel musiał mieć podbijane norkami płaszcze nieprzemakalne przydatne w chłodniejszym klimacie i smokingi na Monte Carlo, wysadzone cennymi kamieniami spinki i nawet długą zamszową pelerynę, w której nieźle się prezentował.

Kiedy przebudził się o zmroku, ubrania już czekały gotowe. Pod żadnym pozorem nie wolno mu było zmienić ani jednego szczegółu, od lnianej chusteczki do nosa do czarnych jedwabnych skarpetek. Kolacja czekała w ogromnej jadalni z oknami wychodzącymi na basen. Armand był

już przy biurku w sąsiadującym gabinecie. Czekala go praca: mapy do przejrzenia, kolejne bogactwa do zdobycia.

- Jak ty to robisz? - natarczywie wypytywał go Daniel, przyglądając się, jak sporządza notatki i planuje następne zdobycze.

- Jeśli potrafisz czytać w umysłach ludzi, możesz osiąść wszystko, czego zapragniesz - rzekł

cierpliwie Armand. Ach, ten łagodny, przekonujący ton, ta otwarta i niemal ufna chłopięca twarz, kasztanowe włosy, zawsze trochę niedbale opadające na oczy, poza jakże sugestywnie świadcząca o pogodnym usposobieniu, fizycznej swobodzie.

- Daj mi to, czego chcę - zażądał Daniel.

- Daję ci wszystko, czego mógłbyś kiedykolwiek zażądać.

- Tak, ale nie to, o co prosiłem, czego chcę!

- Bądź żywy, Danielu. - Cichy szept jak pocałunek. - Pozwól, że powiem ci z serca, że życie jest lepsze od śmierci.

- Nie chcę być żywy, Armandzie, chcę wiecznego życia i wtedy ci powiem, czy życie jest lepsze od śmierci.

Po prawdzie, bogactwa doprowadzały do szaleństwa, dając odczuć śmiertelność ostrzej niż kiedykolwiek. Płynąc Golfstromem pod czystym nocnym niebem spryskanym niezliczonymi gwiazdami, rozpaczliwie pragnął mieć to wszystko na wieczność. Z nienawiścią i miłością obserwował Armanda bez wysiłku sterującego łodzią. Czy naprawdę pozwoli mu umrzeć?

Zabawa w zdobywanie majątku trwała.

Picasso, Degas, van Gogh to zaledwie kilka z ukradzionych obrazów, które Armand zdobył w nie wyjaśniony sposób i przekazał Danielowi, by je sprzedał lub zwrócił za ustaloną nagrodą.

Oczywiście właściciele nie ośmielili się wystąpić z żadnymi roszczeniami, jeśli w ogóle przeżyli ciche nocne odwiedziny Armanda w sanktuariach, w których prezentowano te skarby. Niektóre dzieła nie miały jednoznacznego tytułu własności. Na aukcjach przynosiły miliony. Ale to jeszcze nie dość.

Perły, rubiny, szmaragdy, brylantowe kolie, oto, co przynosił Danielowi.

- Nie przejmuj się, zostały skradzione, nikt się o nie nie upomni.

A brutalnych handlarzy narkotyków z Miami Armand ograbiał z wszystkiego, co się dało - z broni, walizek pełnych pieniędzy, nawet łodzi.

Daniel nie mógł oderwać oczu od stosów zielonych banknotów, liczonych i owijanych banderolami przed wysłaniem na tajne europejskie konta.

Często obserwował Armanda udającego się samotnie na polowania na tych ciepłych południowych wodach; patrzył, jak młodzieniec w czarnej jedwabnej koszuli i czarnych spodniach, o długich włosach targanych wiatrem, prowadzi lśniącego ślizgacza bez świateł. Jakiż to zabójczy przeciwnik. Gdzieś tam, daleko, gdzie z lądu wzrok nie sięga, znajduje swoich szmuglerów i uderza - samotny pirat, śmierć. Jak to jest, gdy jego ofiary spadają w głębie, ich włosy falują oświetlone światłem księżyca, gdy po raz ostatni spozierają na tego, który sprowadził na nich zniszczenie? Na tego chłopca! A myśleli, że to oni reprezentują zło w tej rozgrywce...

- Pozwolisz mi płynąć z tobą? Pozwolisz mi zobaczyć, kiedy to robisz?

- Nie.

Wreszcie zgromadzono wystarczająco dużo kapitału; Armand był gotów na całego przystąpić do działania.

Nie zasięgając porad i bez wahania rozkazał Danielowi zakupić flotyllę statków wycieczkowych oraz sieć restauracji i hoteli. Dysponowali czterema prywatnymi samolotami. Armand miał osiem linii telefonicznych.

Aż wreszcie nastąpił wyśniony finał: Nocna Wyspa, dzieło Armanda, pięć oszałamiających przeszklonych kondygnacji kin, restauracji i sklepów. Narysował szkice wybranym przez siebie architektom. Wręczył im nie kończącą się listę materiałów, płócien, rzeźb do fontann, nawet kwiatów i drzew w donicach.

I oto Nocna Wyspa. Turyści oblegali ją od zachodu słońca do świtu, gdy łódź za łodzią przywoziły ich z portów Miami. W barach i na dancinгах nieustannie grała muzyka.

Przeszklone windy bez wytchnienia sunęły do niebios; sadzawki, strumienie, wodospady migotały pośród klombów sperlonych delikatnych kwiatów.

Na Nocnej Wyspie mogłeś kupić wszystko - brylanty, coca-colę, książki, fortepiany, papugi, ubrania prosto od kreatorów mody, porcelanowe laleczki. Czekala na ciebie najlepsza kuchnia ze wszystkich zakątków świata. W kinach wyświetlano równolegle pięć różnych tytułów. Były tam angielskie

tweedy i hiszpańska skóra, hinduskie jedwabie, chińskie dywany, kute srebra, lody w różkach lub wata cukrowa, cienka porcelana i włoskie obuwie.

Mogłeś też żyć obok tego wszystkiego w ukrytym luksusie, wślizgując się w wir i wymykając z niego wedle woli.

- Wszystko to, Danielu, jest twoje - powiedział Armand, idąc z wolna przez rozległe, wysokie pomieszczenia ich własnej Willi Tajemnic, która oprócz trzech kondygnacji miała też piwnice, będące dla Daniela terenem zakazanym. Okna wychodziły na rozległy nocny pejzaż rozjarzonego Miami, na kotłujące się wysoko niewyraźne chmury.

Była to olśniewająco zręczna mieszanka starego i nowego. Drzwi wind odstaniały szerokie prostokątne pokoje pełne średniowiecznych gobelinów i antycznych świeczników, wyposażone w gigantyczne odbiorniki telewizyjne. Ściany gabinetu Daniela zdobiły renesansowe malowidła, a parkiety zaścielały perskie dywany. Najlepsze dzieła szkoły weneckiej otaczały Armanda w jego gabinecie z białą wykładziną na podłodze i mnóstwem świecących komputerów, interkomów i monitorów. Z całego świata dostarczano książki, czasopisma i gazety.

- To jest twój dom, Danielu.

Tak rzeczywiście było i Daniel uwielbiał to miejsce, musiał to przyznać, a jeszcze bardziej uwielbiał wolność, moc i luksus, które towarzyszyły mu wszędzie, gdzie się udawał.

Razem z Armandem udawali się nocą na przykład głęboko w dżunglę Ameryki Środkowej, aby obejrzeć ruiny Majów; innym razem weszli na filar Annapurny, by zobaczyć odległy szczyt w świetle księżyca. Wałęsali się zatłoczonymi ulicami Tokio, Bangkoku, Kairu i Damaszku, przemierzili Limę, Rio i Katmandu. Daniel za dnia pławił się w luksusie najlepszych hotelowych łóżek, a nocą przechadzał się bez trwogi u boku Armanda.

Od czasu do czasu złudzenie cywilizowanego świata pękało. Bywało, że w jakimś odległym miejscu Armand wyczuwał obecność innych nieśmiertelnych. Wyjaśniał, że osłania Daniela swoją tarczą, niemniej jednak okazywał niepokój. Daniel musiał trzymać się jego boku.

- Uczyń mnie tym, czym sam jesteś, i przestań się niepokoić.

- Nie wiesz, o czym mówisz - odpowiadał na to Armand. - Teraz jesteś jedną z miliarda anonimowych ludzkich istot. Jeśli staniesz się jednym z nas, będziesz świecą płonąca w mroku.

Daniel nie mógł się z tym pogodzić.

- Spozrzedzą cię nieuchronnie - kontynuował Armand. Wstępował w niego gniew, chociaż nie była to złość na Daniela. Chodziło o to, że nie lubił najmniejszej wzmianki o żywych umarłych. -

Nie wiesz, że starsi bez wahania likwidują młodzików? - zapytał. - Czy twój ukochany Louis nie wyjaśnił ci tego? To właśnie robię wszędzie, gdzie zostajemy na dłużej - likwiduję ich, młodzików, robactwo. Ale nie jestem niezwykły. - Przerwał, jakby zastanawiał się, czy powinien kontynuować czy też nie. Po chwili rzekł: - Jestem jak każda polująca bestia. Mam wrogów starszych

i silniejszych, którzy spróbują mnie zniszczyć, jeśli przyjdzie im na to ochota.

To pewne.

- Starsi od ciebie? Myślałem, że ty jesteś najstarszy - powiedział Daniel. Minęły lata, od kiedy ostatni raz rozmawiali o „Wywiadzie z wampirem”. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie dyskutowali szczegółowo o tej książce.

- Nie, oczywiście, że nie jestem najstarszy - odparł Armand. Wydawał się trochę niespokojny. -

Jedynie najstarszy, jakiego twojemu przyjacielowi Louisowi udało się spotkać. Są inni. Nie znam ich imion, rzadko widuję ich oblicza, lecz czasem ich czuję. Można by rzec, że wyczuwamy się nawzajem. Wysyłamy nasze ciche, niemniej jednak potężne sygnały. „Trzymaj się ode mnie z daleka”.

Następnej nocy wręczył Danielowi medalion, amulet, jak sam go nazwał, i nakazał nosić przy sobie. Wpierw pocałował go i potarł, jakby chciał ogrzać w dłoniach. Daniel czuł się dziwnie, uczestnicząc w tym rytuale. Jeszcze dziwniejszy był widok litery A wyrytej na kopercie oraz ukrytej w środku ampułki z krwią Armanda.

- Proszę, otwórz zapinkę, jeśli zbliżą się do ciebie, i natychmiast rozbij ampułkę. Wtedy poczują moc, która cię strzeże. Nie ośmielą się...

- Ach, pozwolisz im mnie zabić. Wiesz, że pozwolisz - rzekł wtedy chłodno Daniel, po czym wybuchnął: - Daj mi moc, żebym mógł walczyć sam za siebie.

Jednak od tamtej pory nosił medalion. W mocnym świetle lampy uważnie obejrzał monogram i zawile rzeźbienia na całej kopercie, wśród których rozpoznał powykęcane ludziki, niektóre okaleczone, inne wijące się w agonii, jeszcze inne martwe. Iście koszmarne cacko. Wiszący na łańcuszku niewidoczny pod koszulą medalion chłodził mu pierś.

Nigdy nie ujrzał żadnej nadprzyrodzonej postaci ani nie wyczuł jej obecności. Wspomnienie Louisa było jak halucynacja, jak coś widzianego w gorączce. Jediną wyrocznią stał się dla niego Armand, bezlitosny i kochający niepodzielną miłością demoniczny bóg.

Narastała w nim gorycz. Życie z Armandem rozplomieniało go, doprowadzało do szaleństwa.

Lata całe nawet nie pomyślał o rodzinie czy dawnych przyjaciółach. Jego bliscy dostawali czeki, o to się postarał, ale byli już tylko nazwiskami na liście.

- Ty nigdy nie umrzesz, ale za to będziesz patrzył, noc po nocy będziesz się przyglądał, jak umieram.

Wstrętne, koszmarne awantury, Armand załamany, z oczami szklistymi z gniewu, a potem płaczący bezsilnie, jakby odżyło w nim jakieś utracone uczucie mogące rozedrzeć go na strzępy.

- Nie zrobię tego, nie mogę. Proś, żebym cię zabił, to już łatwiejsze. Nie wiesz, czego się domagasz, nie rozumiesz? To byłby przeklęty błąd! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że każdy z nas oddałby całą tę nieśmiertelność w zamian za jedno zwykłe ludzkie życie?

- Zrezygnować z nieśmiertelności, żeby przeżyć jedno życie? Nie wierzę ci. To pierwsze wierutne kłamstwo z twoich ust.

- Jak śmiesz!

- Nie bij mnie. Mógłbyś mnie zabić. Jesteś taki silny.

- Oddałbym nieśmiertelność, gdybym tak naprawdę nie był tchórzem, gdybym po pięciuset latach zachłanności w tym tajfunie nie bał się do szpiku kości.

- Nie, nie oddałbyś. Strach nie ma tu nic do rzeczy. Wyobraź sobie okres równy jednemu ludzkiemu życiu po twoim narodzeniu. Chciałbyś utracić wszystko potem? Całe potem!

Przyszłość, moc i luksusy, o których nigdy nie śniło się Dżyngis-chanowi? Mniejsza już o techniczne cuda. Czy przystałbyś na niewiedzę co do przyszłości świata? Nie mów mi, że tak.

Nigdy nie doszło do słownego porozumienia. Kończyło się na objęciach, pocałunku, kąsającej krwi, płachcie snu otulającej jak wielka sieć, na głodzie! Kocham cię! Daj mi więcej! Więcej tak.

Ale nigdy dość.

To było na nic.

Cóż dawały jego ciału i duszy te transfuzje? Czy dokładniej widział spadający liść? Armand nigdy nie zamierzał ofiarować mu tej ostrości wizji!

Był raczej gotowy pogodzić się z ciągłymi odejściami Daniela, z jego zabłąkaniem w grozie codziennego świata; wolał takie ryzyko niż ryzykowny dar, którego domagał się ten śmiertelny. I żaden czyn, żadne oddanie się Daniela nie potrafiły tego zmienić.

Zaczęły się włóczęgi, ucieczki, a Armand zadowalał się jedynie biernym czekaniem.

Każdorazowo czekał, aż Daniel zacznie żebrać o pomoc. A jeśli Daniel był zbyt daleko, aby mógł go usłyszeć, czekał, aż znajdzie się na granicy śmierci. Wtedy i tylko wtedy sprowadzał go z powrotem.

* * *

Deszcz zmoczył szerokie nawierzchnie Michigan Avenue. Księgarnia była pusta, światła zgasły.

Zegar wybił gdzieś dziewiątą. Stał przed witryną, obserwując strumień pojazdów. Nie miał dokąd pójść. Wypij kropelkę krwi z medalionu. Czemu nie?

Lestat w Kalifornii już jest na łowach, może właśnie teraz podąża za ofiarą. Trwają przygotowywania do koncertu, czyż nie? Śmiertelni ustawiają reflektory, mikrofony, stoiska z napojami i słodyczami, nieświadomi wysyłanych szyfrów, groźnej publiczności, która skryje się w wielkim i na pewno rozhisteryzowanym ludzkim tłumie. Ach, a może popełnił straszliwą pomyłkę? Może Armand jest właśnie tam!

Najpierw wydawało się to niemożliwe, potem pewne. Czemu wcześniej o tym nie pomyślał?

Armand na pewno ruszył do Frisco! Jeśli w tym, co napisał Lestat, było choć trochę prawdy, Armand udał się na zwiad, na rozpoznanie, być może na poszukiwanie tych, których stracił na przestrzeni wieków, teraz przyciąganych do Lestata tym samym wołaniem.

Cóż znaczyłby dla niego wówczas śmiertelny kochanek, człowiek-zabawka na niecałą dekadę?

Tak, Armand wyruszył bez niego. Tym razem nie będzie ratunku.

Czuł się zmarznięty i mały; czuł się żałośnie samotny. Przeczucia nie miały znaczenia, chociażby ten sen o bliźniaczkach, który nachodził go i przepełniał lękiem. Te stany były niczym wielkie czarne skrzydła, które omijały go i pozostawiały samemu sobie. Był obojętny wiatrowi, który wzbudzały. Armand udał się bez niego ku przeznaczeniu, którego on nigdy w pełni nie pojmował.

To napełniło go grozą. Klamka zapadła. Niepokój wywołany snem zmieszał się z tępym, dławiącym strachem. Znalazł się pod ścianą. Co mu pozostało? Ze znużeniem wyobraził sobie Nocną Wyspę, teraz dla niego zamkniętą. Ujrzał wysoko nad plażą nieosiągalną willę z białymi murami. Wyobraził sobie przeszłość utraconą wraz z przyszłością. Bezpośrednia terażniejszość przybrała oblicze śmierci; wreszcie nie było nic więcej.

Przeszedł kilka kroków. Dłonie mu zdrętwiały, deszcz przemoczył bluzę. Chciał położyć się ot tu, na chodniku i otworzyć bliźniaczkom wrota snu. Przemknęły mu przez myśl wyrażonka Lestata. Powtórne narodziny były „Czarcia Sztuczka”, „Ogród Bestii” to świat takich niesłychanych potworów, o tak.

Pozwól mi być twoim kochankiem w Ogrodzie Bestii, pozwól, by światło, które odeszło z życia, powróciło wielkim przebłyskiem chwały. Ze śmiertelnego ciała przejdę do wieczności. Będę jednym z was.

Zamroczyło go. Czyżby upadł? Ktoś do niego mówi, ktoś pyta, czy dobrze się czuje. Nie, oczywiście, że nie. Czemu miałby się dobrze czuć?

Jego ramienia dotyka czyjaś ręka.

Danielu - słyszy w myślach.

Podnosi wzrok.

Armand stoi przy krawężniku.

Początkowo nie wierzył, że spełniły się jego najgorętsze pragnienia, ale w końcu musiał

zawierzyć własnym zmysłom. Przed nim stał Armand. Spoglądał bez słowa ze sfery nieziemskiego znieruchomienia wywołanego samym jego przybyciem; twarz miał zarumienioną pod cieniutką warstewką nienaturalnej bladości. Jak normalnie wyglądał, jeśli piękno może być normalne; a zarazem jak przedziwnie był oddzielony od rzeczy materialnych, od pomiętego białego płaszcza i

spodni, które miał na sobie. Za nim, niczym wizja drugiej kategorii, wielka szara masa czekającego rollsa ze srebrzystym dachem pokrytym kroplami.

Chodź, Danielu - zaprosił go bez słów. - Tym razem zadałeś mi wiele bólu, trudno temu zaprzeczyć, bardzo wiele.

Skąd to naglące przykazanie, czemu ciągnąca go dłoń jest tak silna? To taka rzadkość widzieć Armanda szczerze zagniewanego. Ach, jakże uwielbiał jego gniew! Kolana ugięły się pod nim.

Poczuł, że jest unoszony. A potem rozścielił się pod nim miękki aksamit tylnej kanapy. Osunął się w ramiona Armanda. Zamknął oczy.

Armand wyprostował go łagodnie, podtrzymał. Samochód ruszył, kołysząc się lekko. Jak miło zasnąć wreszcie w ramionach Armanda. Tyle jednak musiał mu opowiedzieć o śnie, o książce.

- Myślisz, że nie wiem? - szepnął Armand. Co ma znaczyć to jakieś dziwne światło w jego oczach? Wyglądał tak bezbronne, zniknęło całe opanowanie. Wziął zwykłą szklankę pełną koniaku i włożył ją w rękę Daniela.

- A ty uciekasz przede mną - rzekł - ze Sztokholmu, Edynburga i Paryża. Za kogo mnie bierzesz, jeśli sądzisz, że mogę podążać za tobą z taką szybkością tyloma szlakami? I przy takim niebezpieczeństwie...

Nagle jego usta przy twarzy Daniela, ach, to jest lepsze, przepadam za pocałunkami; i za tuleniem się do umarłych, tak, obejmij mnie. Wtulił twarz w szyję Armanda. Chcę twojej krwi -

zdradził mu w myślach pragnienie.

- Nie teraz, ukochany. - Armand wyprostował go siłą, kładąc przy tym palce na ustach. - Słuchaj, co mówię. Nasza rasa jest unicestwiana na całym świecie.

Unicestwiana... rozległo się echem w głowie Daniela. Przeszył go nagły prąd paniki, stężał cały mimo wyczerpania. Próbował skupić się na Armandzie, ale znów ujrzał rudowłose bliźniaczki, żołnierzy, szerniałego trupa walającego się w popiołach. Ale jaki to ma sens, jaki związek... O

co chodzi?

- Nie mogę ci powiedzieć - rzekł Armand. Mówił o śnie. bo też go miał. Podniósł koniak do ust Daniela.

Och, jaki gorący. Stoczyłby się w nieświadomość, gdyby nie walczył ze sobą. Mknęli cicho autostradą z Chicago, zamknięci w ciepłej, wyłożonej aksamitem niewielkiej przestrzeni. Deszcz zalewał okna, ach, co za cudowny srebrny deszcz. Armand odwrócił się, zatopiony w myślach; wydawało się, że słucha jakiejś odległej muzyki z ustami rozchylonymi, jakby zamarłymi w chwili, gdy miał coś powiedzieć.

Jestem z tobą bezpieczny - podziękował mu w myślach Daniel.

- Nie, Danielu, nie jesteś bezpieczny - odpowiedział. - Może nawet nie do końca tej nocy, ani nawet tej godziny.

Daniel usiłował sformułować w myślach pytanie, ale był zbyt słaby, zbyt senny. Samochód kołysał tak kojąco. Bliźniaczki... Piękne rudowłose bliźniaczki... Zamknął oczy na ułamek sekundy i osunął się na ramię Armanda, poczuł jego rękę na plecach.

- Co ja mam z tobą począć, mój ukochany? - usłyszał głos Armanda. - Zwłaszcza teraz, kiedy sam tak się boję.

Znów ciemność. Czuł w ustach ostry smak koniaku, dłoń Armanda wciąż na swoim ramieniu, ale już śnił.

Bliźniaczki szły przez pustynię; słońce było wysoko, paliło białe ramiona i twarze. Nabrzmięte wargi popękały z pragnienia, krew zboczyła suknie.

- Przywołajcie deszcz - wyszeptał Daniel - potraficie to zrobić.

Jedna z sióstr upadła na kolana, druga uklękła obok i objęła klęczącą. Rude włosy przy rudych włosach.

Z oddali znów słyszał Armanda. Mówił, że są zbyt daleko na pustyni. Nawet ich duchy nie mogą sprowadzić deszczu w takie miejsce.

Dlaczego? Czy duchy nie są wszechwładne?

Znów poczuł łagodny pocałunek Armanda.

Bliźniaczki pokonywały niską górską przełęcz. Nie ma tam cienia, słońce bowiem jest dokładnie nad nimi, a skalne pochyłości są zbyt zdradzieckie, aby się po nich wspinać. Idą bez końca. Czy nikt im nie pomoże? Potykają się i przewracają co kilka kroków. Skała jest tak gorąca, że parzy.

Wreszcie jedna z sióstr pada twarzą na piasek, a druga kładzie się na niej, zasłaniając włosami.

Och, gdyby tylko nastał wieczór z chłodną bryzą.

Nagle ta, która osłaniała siostrę, podnosi wzrok. Coś poruszyło się na skałach. Po chwili spada kamień, słychać echo kocich kroków. Wtem Daniel widzi ludzi pokonujących rozpadliny, mężów pustyni, takich samych od tysiący lat, ciemnoskórych, w białych gęstych zawojach.

Mężczyźni są już blisko i siostry podnoszą się na kolana. Tamci ofiarowują im wodę. Oblewają nią bliźniaczki, które wybuchają śmiechem i paplą rozhisteryzowane, tak wielka jest ich ulga, ale mężowie pustyni ich nie rozumieją. Zatem jedna z nich wyraźnym i jednoznacznym gestem wskazuje na brzuch siostry, a potem składa ramiona jakby kołysała niemowlę. Ach tak.

Mężczyźni unoszą brzemienne i wszyscy ruszają ku osadzie.

Bliźniaczki zasypiają przy świetle ogniska, bezpieczne wśród Beduinów, mężów pustyni. Czy to możliwe, że ich historia sięga wiele tysięcy lat wstecz? O świcie ta z bliźniaczek, która nie jest brzemienne, wstaje. Obserwowana przez siostrę oddala się ku kępie oliwek i podnosi ręce; wydawałoby się, że wita słońce. Inni się obudzili; zbierają się, patrzą. Budzi się wiatr, łagodnie poruszający gałęziami. Spada deszcz, lekki słodki deszcz.

Gdy Daniel otworzył oczy, był już w samolocie.

* * *

Natychmiast rozpoznał łagodne żółte światło małej sypialni i jej ściany wyłożone białymi plastikowymi panelami. Wszystko jest z syntetyków, twarde i połyskliwe jak wielkie żebra prehistorycznych stworzeń. Czy wydarzenia zatoczyły pełny krąg? Technologia odtworzyła komorę Jonasza w brzuchu wielkiej ryby.

Spoczywał na łożu, które nie miało zagłówka, podnóżka, nóg ani ramy. Ktoś obmył mu dłonie i twarz. Był świeżo ogolony. Ach, jak wybornie się czuł. Ryk silników był w tym przestworze ciszy niczym oddech wielkiej ryby tnącej morze. Daniel widział rzeczy wokół siebie bardzo dokładnie, każdą z osobna. Karafka. Bourbon. Miał na niego ochotę, ale był zbyt wyczerpany, aby się poruszyć. I coś było nie tak, coś... Podniósł rękę, by dotknąć szyi. Amulet przepadł! Ale to nie miało znaczenia. Armand był obok.

Siedział przy stoliczku obok okna przypominającego oko wielkiej ryby; plastikowa powieka była zupełnie opuszczona. Obciął włosy. Miał na sobie czarne wełny, piękne i delikatne, i czarne lśniące buty jak trup przygotowany do pogrzebu. Ponure to wszystko. Ktoś zaraz odczyta psalm dwudziesty trzeci. Przynieście z powrotem białe stroje.

- Umierasz - rzekł miękko Armand.

- „Chociażbym chodził ciemną doliną” i tak dalej - szepnął Daniel. W gardle mu zaschło i bolała go głowa. To, o czym myślał, nie miało znaczenia. Wszystko powiedziano już dawno temu.

Armand znów odezwał się bez słów, laserowy promień dotknął mózgu Daniela:

- Czy będziemy przejmować się tym, co incydentalne? Ważysz teraz niecałe sześćdziesiąt pięć kilogramów. Alkohol zjada cię od środka. Jesteś na wpół szalony. Nie zostało na świecie prawie nic, czym mógłbyś się rozkoszować.

- Poza tym, że od czasu do czasu mogę z tobą porozmawiać. Tak łatwo słuchać wszystkiego, co masz do powiedzenia.

Głos Armanda w głowie Daniela:

- Gdybyś się ze mną spotkał, to by tylko pogorszyło twój stan. Jeśli wszystko potoczy się tak jak dotychczas, umrzesz w ciągu pięciu dni.

To doprawdy nieprzyjemne. Ale jeśli tak, to dlaczego uciekałem?

Brak odpowiedzi.

Jakże wszystko było przejrzyste. Nie tylko ryk silników, ale przedziwny ruch samolotu, jego nie kończące się nieregularne falowanie, jakby posuwał się w powietrzu, podskakując, nurkując, zakręcając i od czasu do czasu wznosząc. Wieloryb mknący wielorybim szlakiem, jak mawiał to Beowulf.

Włosy Armanda były porządnie zaczesane na bok. Złoty zegarek na ręce, jedno z tych cacek zaawansowanej technologii, które tak uwielbiał. Pomyśleć, że za dnia to urządzenie wyświetla cyferki w trumnie. Czarna, wręcz staromodna marynarka z wąskimi klapami, kamizelka z czarnego jedwabiu. Jego twarz, tak... nakarmił się niewątpliwie. Nakarmił się do syta.

Głos w głowie Daniela:

- Czy pamiętasz cokolwiek z tego, co mówiłem ci wcześniej?

- Tak - odparł, chociaż, prawdę mówiąc, trudno mu było cokolwiek sobie przypomnieć. Pamięć wróciła nagle, zaciążyła mu. - Coś o powszechnym unicestwieniu. Ale ja umieram. Oni umierają, ja umieram. Oni zasmakowali nieśmiertelności przed śmiercią; ja jestem tylko żywy. Widzisz?

Pamiętam. Teraz chciałbym bourbona.

- Czy nie mogę zrobić nic, co by natchnęło cię ochotą do życia?

- Wciąż ta sama śpiewka. Jak znowu zaczniesz, wyskakuję.

- W takim razie czy mnie wysłuchasz? Naprawdę wysłuchasz?

- Co mam zrobić? Nie mogę uciec od twojego głosu; jest jak malutki mikrofon w mojej głowie.

Co to, łyzy? Będziesz nade mną szlochać?

Przez krótką chwilę wyglądał niezwykle młodo. Cóż, za parodia prawdy.

- Niech cię diabli porwą, Danielu - powiedział głośno.

Przeszedł go dreszcz. Strasznie jest widzieć Armanda cierpiącego. Nie odpowiedział.

- Nie mieliśmy być tacy, jacy jesteśmy - powiedział Armand - wiesz o tym. Nie musiałeś czytać książki Lestata, żeby się o tym dowiedzieć. Każdy z nas mógłby ci powiedzieć, że to wynaturzenie, demoniczna synteza...

- W takim razie to, co napisał Lestat, jest prawdą. - Demon posiadał Matkę i Ojca, starożytnych Egipcjan. No, w każdym razie duch. Wówczas nazywano go demonem.

- Prawda nie ma znaczenia. Początki nie są już ważne. Ważne, że koniec jest być może bliski.

Ogromne stężenie paniki, powrót atmosfery snu, przeraźliwy krzyk bliźniaczek.

- Słuchaj - powiedział cierpliwie Armand, odwołując go od dwóch kobiet. - Lestat obudził coś lub kogoś...

- Akaszę... Enkila.

- Może. Niewykluczone, że jest ich więcej niż jedno czy dwoje. Nikt nie jest tego pewien.

Słysząc niewyraźny, powracający krzyk, ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, ale chyba nikt nie wie, skąd pochodzi. Wiadomo tylko, że jesteśmy odnajdywani i unicestwiani, że domy sabatowe, miejsca, gdzie się spotykaliśmy, idą z dymem.

- Słyszałem to ostrzeżenie, ten krzyk - szepnął Daniel. - Czasem, w środku nocy, jest bardzo silny, kiedy indziej to jedynie echo. - Znów ujrzał bliźniaczki. To musiało się z nimi wiązać. -

Ale skąd wiesz to wszystko o domach sabatowych. o...

- Danielu, nie zadawaj pytań. Nie zostało wiele czasu. Wiem. Inni wiedzą. To jest jak prąd elektryczny, płynący przewodami wielkiej sieci.

- Tak. - Zawsze, kiedy Daniel próbował wampirzej krwi, na mgnienie oka widział ogromną migocącą pajęczynę wiedzy, połączeń, na wpół rozumianych wizji. Więc to była prawda. Sieć zaczęła się wraz z Matką i z Ojcem...

- Dawno temu to wszystko nie miałoby dla mnie znaczenia - przerwał mu Armand.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Teraz nie chcę końca. Nie chcę dalszego ciągu wydarzeń, chyba że... - Wyraz jego twarzy uległ lekkiej zmianie. Pojawił się cień zaskoczenia. - Nie chcę, żebyś umarł.

Daniel milczał.

Przedziwny bezruch tej chwili, nawet mimo łagodnego kołysania samolotu w strugach powietrza. Armand siedział pełen niezwykłej rezerwy, pozornie cierpliwy, jego słowa przeczyły jednak temu opanowaniu.

- Ja się nie boję, bo ty tu jesteś - odezwał się nagle Daniel.

- W takim razie głupiec z ciebie. Powiem ci jeszcze jedną zdumiewającą rzecz.

- Tak?

- Lestat nadal nie został zniszczony. Realizuje swoje zamysły. Ci, którzy zebrali się wokół niego, również pozostają bez szwanku.

- Skąd ta pewność?

Krótki, jedwabisty śmiech.

- Znowu zaczynasz. Jesteś niepohamowanie ludzki. Przeceniasz mnie albo nie doceniasz.

Rzadko trafiasz w sedno.

- Dysponuję ograniczonym sprzętem. Komórki mojego ciała ulegają zniszczeniu, procesowi zwanemu starzeniem i...

- Zebrali się w San Francisco. Tłoczą się w tylnych salach tawerny nazywanej U Córy Drakuli.

Być może wiem o tym, bo inni wiedzą - jeden potężny umysł przejmuje obrazy od innego i niechcący lub celowo przesyła je dalej. Być może jeden świadek przekazuje swą wiedzę wielu następnym. Nie wiem. Myśli, uczucia, głosy po prostu nadchodzą. Podróżują siecią, przewodami.

Niektóre są wyraźne, inne zmaćcone. Od czasu do czasu ostrzeżenie zagłusza wszystko.

„Niebezpieczeństwo!” Wtedy nasz świat jakby cichnie na chwilę. Potem znów podnoszą się inne głosy.

- A Lestat? Gdzie jest Lestat?

- On jest widziany tylko w przebłyskach. Nie mogą go wysledzić w jego leżu. Jest zbyt sprytny; ale drażni się z nimi. Przemyka czarnym porsche ulicami San Francisco. Być może nie wie, co się wydarzyło.

- Wy tłumacz.

- Moc komunikowania się jest różna. Żeby słyszeć myśli innych, musisz często objawić własne.

Lestat ukrywa swoją obecność. Jego umysł jest całkowicie odcięty.

- A bliźniaczki? Te dwie kobiety ze snu, kim one są?

- Nie wiem. Nie wszyscy mieli te sny, ale wielu je zna i chyba wszyscy się ich boją, przekonani, że Lestat jest w jakiś sposób winny wszystkiemu, co się stało.

- Prawdziwy czart wśród czartów - zaśmiał się cicho Daniel.

Armand skinął nieznacznie głową, ze znużeniem przyjmując do wiadomości ten żarcik. Nawet się uśmiechnął. Zastygnięcie. Ryk silników.

- Czy rozumiesz, co mówię? Nasza rasa jest atakowana wszędzie z wyjątkiem tamtego miejsca.

- Miejsca, w którym przebywa Lestat.

- Właśnie. Jednak niszczyciel porusza się chaotycznie. Wygląda na to, że musi być blisko tego stworzenia, które niszczy. Może czeka na koncert, aby skończyć to, co zaczął.

- Nie może ci zaszkodzić. Już dawno by to zrobił...

Krótki, szyderczy, ledwo słyszalny śmiech. Śmiech słyszany telepatycznie?

- Twoja wiara wzrusza mnie jak zawsze, ale daruj sobie; nie musisz być moim akolitą właśnie teraz. To coś nie jest wszechpotężne. Nie może poruszać się z nieskończoną szybkością. Musisz zrozumieć wybór, jakiego dokonałem. Lecimy tam dlatego, że nie ma innego bezpiecznego miejsca, gdzie moglibyśmy się udać. To znalazło hołotę w najróżniejszych miejscach i spaliło ją na popiół...

- Lecimy tam także dlatego, że chcesz być z Lestatem.

Brak odpowiedzi.

- Jeśli Lestat to sprowadził, może potrafi to również zatrzymać.

Armand nadal nie odpowiadał. Sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

- Jest prostsze wytłumaczenie - rzekł w końcu. - Muszę tam polecieć.

Samolot wydawał się zabawką wiszącą w powietrzu, obłoczkiem dźwięku. Daniel spoglądał sennie na sufit, na poruszające się światło.

Nareszcie spotkanie z Lestatem - przemknęło mu przez głowę. Myślał o jego starym domu w Nowym Orleanie, o złotym zegarku znalezionym na zakurzonej podłodze. A teraz powrót do San Francisco, do początku, do Lestata. Boże, jaką miał ochotę na bourbona. Czemu Armand mu go nie dał? Był taki osłabiony. Pójdą na koncert, zobaczy Lestata...

Nagle powróciło przerażenie, coraz głębsze, przerażenie spowodowane snami.

- Nie pozwól, żebym więcej o nich śnił - szepnął nagle.

Wydawało mu się, że Armand szepnął: „Dobrze”.

Nagle ujrzał go przy łóżku. Jego cień padał na posłanie. Brzuch wielkiej ryby zmalował jakby do rozjaśnionej przestrzeni otaczającej Armanda.

- Spójrz na mnie, ukochany - powiedział.

Ciemność. A potem rozwarła, wysoka żelazna brama, światło księżycy pieszczące ogród. Co to za

miejsce? - zastanawiał się Daniel.

Och, Włochy, to musiały być Włochy, łagodnie ciepłe powietrze i księżyc w pełni świecący na rozległe połacie drzew i kwiatów, a dalej Willa Tajemnic na samym skraju starożytnych Pompei.

- Jak się tu dostaliśmy? - Odwrócił się do Armanda, który stał obok w dziwnym, staromodnym stroju z atłasu. Na krótką chwilę ten widok go zniewolił - Armand w czarnej aksamitnej tunice i obcisłych spodniach, z kasztanowymi puklami włosów opadającymi bujną kaskadą.

- Naprawdę jesteśmy gdzie indziej - powiedział. - Wiesz o tym. - Odwrócił się i ruszył przez ogród do willi; ledwie było słycać jego kroki na wytartych szarych kamieniach.

Przecież to było realne! Wystarczyło spojrzeć na zniszczone mury ze starej cegły i kwiaty na długich rabatach, na ścieżkę z mokrymi odciskami butów Armanda! No i gwiazdy, gwiazdy w górze! Daniel odwrócił się i zerwał pachnący liść z drzewa cytrynowego.

Armand zawrócił i wziął go pod ramię. Z rabatek wionął zapach świeżo poruszonej ziemi. Ach, mógłbym tu umrzeć - przemknęło przez głowę Danielowi.

- Tak - powiedział Armand - mógłbyś. I umrzesz. A czy wiesz, że nigdy dotąd tego nie zrobiłem? Mówiłem ci, ale mi nie wierzyłeś. Nawet Lestat powiedział to w swojej książce. Nigdy tego nie zrobiłem. Wierzysz mu?

- Oczywiście, że ci wierzyłem. Powiedziałaś wszystko o tej dziwnej przysiędze. Pozwól jednak, Armandzie, że zapytam, komu przysięgałaś?

Śmiech.

Ich głosy niosły się przez ogród. Co za róże i chryzantemy, jakie olbrzymy. I światło padające z otwartych drzwi Willi Tajemnic. Czy słycać muzykę? To ci dopiero, cała ta zrujnowana budowla była bajecznie oświetlona pod rozżarzoną błękitem nieba.

- Więc chciałbyś, żebym złamał przysięgę. Chciałbyś dostać to, czego, jak ci się wydaje, pragniesz. A zatem przyjrzyj się dobrze temu ogrodowi, kiedy bowiem to uczynię, już nigdy więcej nie zobaczysz moich wizji ani nie odczytasz moich myśli. Opadnie woal ciszy.

- Ale staniemy się braćmi, czy ty tego nie pojmujesz? - spytał Daniel.

Armand stał tak blisko, że niemal się całowali. Napierały na nich wielkie senne dalie w odcieniach żółci i białe gladiole; urocza kwietna woń przenikała wszystko. Zatrzymali się pod usychającym drzewem, na którym rozkwitła wistaria. Jej delikatne kiście drżały, ogromne widlaste konary lśniły kościaną bielą. A z dala, z Willi, dobiegały głosy. Czy to ludzki śpiew?

- Gdzie naprawdę jesteśmy? - zapytał Daniel. - Powiedz!

- Powiedziałem. To tylko sen. Ale jeśli chcesz znać nazwę tego miejsca, pozwól, by była to brama życia i śmierci. Przeprowadzę cię przez nią. Dlaczego? Bo jestem tchórzem. I za bardzo cię kocham,

żeby pozwolić ci odejść.

Daniel czuł wielką radość, wielki, chłodny, upajający triumf. Więc jednak nadeszła wymarzona chwila i odnalazł się w straszliwym, niepowstrzymanym spadaniu czasu. Przestał być jednym spośród rojnych milionów, którym przeznaczony jest sen w tej mokrej wonnej ziemi, pod badylami połamanych kwiatów, bez imienia ni wiedzy, bez widoku świata.

- Niczego ci nie obiecuję. Jakżebym mógł? Powiedziałem, co cię czeka.

- Nieważne. Razem z tobą wyjdę naprzeciw naszej przyszłości.

Powieki na zmęczonych starych oczach Armanda były zaczerwienione i zwiotczałe. Delikatne przybranie, ręcznie szyte, pajęczce, jak przybranie ducha. Czy nie taki był efekt czarów umysłu tworzącego bez wysiłku idealny wizerunek samego siebie?

- Nie płacz! To nie fair - powiedział Daniel. - Oto moje zmartwychwstanie. Jak możesz płakać?

Czy nie wiesz, co to oznacza? Czy to możliwe, że nigdy nie wiedziałeś? - Nagle rozejrzał się, by objąć wzrokiem cały rozległy baśniowy pejzaż, odległą Willę, pagórki falujące w górze i poniżej.

A gdy zadarł głowę, niebiosy wprawiły go w zdumienie. Nigdy nie widział tak wielu gwiazd.

Wydawało się, że niebo oddala się nieustannie z takim bogactwem i jasnością gwiazd, że konstelacje pogubiły się bez reszty. Żadnego wzoru. Żadnego przesłania. Tylko cudowne zwycięstwo czystej energii i materii. Ujrzał Plejady - ukochaną konstelację prześladowanych przez los rudowłosych siostr ze snu - i uśmiechnął się. Zobaczył bliźniaczki na szczycie góry; były razem, szczęśliwe. To wzbudziło w nim radość.

- Powiedz słowo, miłości moja - rzekł Armand. - Zrobię to. I tak kiedyś trafimy razem do piekła.

- Czy nie pojmujesz? - powiedział Daniel - Tak zapadają wszystkie ludzkie decyzje! Czy myślisz, że matka wie, co stanie się kiedyś z dzieckiem, które jest jeszcze w jej łonie? Jesteśmy straceni, powiadam ci. Cóż to ma za znaczenie, jeśli ofiarujesz mi swój dar i okaże się, że popełniłeś błąd! Nie ma czegoś takiego jak błąd! Jest tylko desperacja i pragnienie! Pragnę żyć z tobą wiecznie.

Otworzył oczy. Sufit kabiny samolotu, łagodne żółte światło odbijające się w plastikowych panelach, a potem znów ogród, zapachy, kwiaty niemal wzlatujące z łądyg.

Stali pod uschlłym drzewem owiniętym mnóstwem purpurowych kwiatów wistarii. Kiście woskowanych płatków gładziły go po twarzy. Coś sobie przypomniał, coś, o czym dowiedział się dawno temu - że starożytny lud nazywał jednym słowem kwiat i krew. Nagle ostre kły wbiły mu się w kark.

Jego serce znalazło się w potężnym uścisku. Napór był nie do zniesienia. Widział przez ramię Armanda, dokoła osuwała się noc, a gwiazdy rozrastały się jak wilgotne pachnące kielichy kwiatów. Unosili się do nieba!

Przez ułamek sekundy zobaczył Wampira Lestata nurkującego w swoim długim czarnym samochodzie. Przypominał lwa z grzywą rozwianą na wietrze; oczy miał pełne szalonego rozbawienia i szampańskiego humoru. Odwrócił się i popatrzył na Daniela, a z jego gardła dobył się głęboki, łagodny śmiech.

Louis też tam był. Stał w pokoju przy Divisadero Street, wyglądając przez okno, i czekał, aż wreszcie powiedział:

- Tak, chodź, Danielu, jeśli tak musi być.

Oni jednak nie wiedzieli o spalonych domach sabatowych! Nie wiedzieli o bliźniaczkach! O ostrzegawczym krzyku!

Teraz wszyscy byli w zatłoczonym pokoju w Willi; Louis, ubrany w surdut, opierał się o półkę kominka. Wszyscy tam byli! Nawet bliźniaczki!

- Jak to dobrze, że przyszliście - powiedział Daniel. Najpierw ucałował Louisa, a potem ceremonialnie pozostałych. - Spójrzcie, moja skóra jest tak biała jak wasza!

Krzyknął nagle, kiedy jego serce zostało wypuszczone z uścisku i powietrze napłynęło do płuc.

Znów ogród. Trawa wszędzie wokół. Ogród wyrósł mu ponad głowę. Nie zostawiajcie mnie tu - zwrócił się do nich bezgłośnie. - Nie tu, w ziemi.

- Pij, Danielu. - Ksiądz wygłaszał formułkę po łacinie, nalewano mu do ust wino komunii świętej. Rude bliźniaczki wzięły święte miski: serce, mózg. - Oto mózg i serce matki mojej, które pochłonę z całym szacunkiem dla ducha matki mojej...

- Boże, daj mi to! - Przewrócił kielich na marmurową posadzkę kościoła tak niezdarnie, ale na Boga! Krew!

Usiadł, miażdżąc Armanda w uścisku, wysysając ją z niego łyk po łyku. Przewrócili się razem na miękkie grządki kwiatów. Armand leżał obok, a on miał usta na jego szyi; krew płynęła niepowstrzymanym źródłem.

- Wejdz do Willi Tajemnic - rzekł Louis, dotykając jego ramienia. - Czekamy. - Bliźniaczki obejmowały się nawzajem i gładziły po długich lokach.

Dzieciaki wydzierały się przed halą, bo skończyły się bilety. Zamierzały obozować na parkingu do następnego wieczoru.

- Mamy bilety? - zapytał Armanda. - Armandzie, bilety!

Niebezpieczeństwo! - dotarł do niego sygnał. Lód. Wołanie pochodziło od złapanego w lodową

pułapkę!

Poczuł mocne uderzenie. Unosił się w powietrzu.

- Śpij, ukochany.

- Chcę wrócić do ogrodu, do Willi. - Próbował otworzyć oczy. Bolał go brzuch. Jaki przedziwny ból, jakby oddalony.

- Wiesz, że on jest pogrzebany pod lodem?

- Śpij - rzekł Armand, przykrywając go kocem. - Kiedy się obudzisz, będziesz dokładnie taki jak ja. Umarły.

* * *

San Francisco. Nie otworzył jeszcze oczu, a wiedział, że tam jest. Co za upiorny sen, jak dobrze, że się zakończył - brak powietrza, czerni, gwałtowne i przerażające prądy morskie! Ale ten sen zbladł. Sen bez dźwięków, jedynie odgłosy wody, dotyk wody! Sen budzący niewymowny lęk.

Był w nim kobietą, bezradną, pozbawioną języka, którym mogłaby wyrazić wołanie o pomoc.

Niech sobie zniknie.

Było coś znajomego w powiewie całującym jego twarz, w białej świeżości, którą prawie czuł.

Oczywiście, San Francisco. Chłód przesuwiał się po nim jak opięty strój, a równocześnie w środku czuł cudowne ciepło.

Nieśmiertelny. Na zawsze.

Otworzył oczy. Armand go tu umieścił. W kleistej czerni snu słyszał Armanda nakazującego mu pozostać na miejscu. Armand powiedział, że tu będzie bezpieczny.

Tu.

Przeszklone drzwi otwarte na całej długości przeciwległej ściany. A sam pokój zasobny, obficie umeblowany, jedno z tych wspaniałych pomieszczeń, które wyszukiwał Armand i które tak uwielbiał.

A te powiewające firanki z czystej koronki; a te białe pióra zwijające się i płonące na kobiercu z Aubusson. Wstał i podszedł do drzwi.

Między nim a lśniącym wilgocią niebem wisiała gęsta sieć konarów. Sztywna zieleń cyprysów Monterey. A dalej, za gałęziami, na tle aksamitnej czerni zobaczył wielki gorejący łuk Golden Gate Bridge. Mgła jak gęsty biały dym wylewała się spoza przeogromnych wież, kłębiła się, usiłując połknąć stalowe kolumny, a potem znikła, jakby most, mieniając się strumieniami ruchu samochodowego, sam ją spalał.

Zbyt wspaniały jest ten widok - nasycone zarysy ciemnych wzgórz przesłoniętych opończami ciepłych światła. Ach, uszczknąć tylko jeden drobny szczegół - mokre dachy uciekające w dół

albo powykręcaną gałąź, bliską na wyciągnięcie ręki. Jak skóra słonia jest ta kora, ta żywa powłoka.

Nieśmiertelny... na zawsze.

Przesunął dłonią po włosach i poczuł łagodne mrowienie. Podniósł palce; skóra pamiętała ich łagodny nacisk. Wiatr szczytał cudownie. Coś sobie przypomniał. Sprawdził swoje kły. Tak, były przepięknie długie i ostre.

Ktoś go dotknął. Odwrócił się tak szybko, że prawie stracił równowagę. Wszystko stało się tak niewiarygodnie inne! Opanował się, ale widok Armanda sprawił, że zebrało mu się na płacz.

Nawet głęboki cień nie odebrał piwnym oczom Armanda pełni wibrującego blasku. Jakże pełna miłości była jego twarz. Daniel ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął jego rzes. Chciał pogłodzić delikatne zmarszczki na wargach. Zadrżał, gdy Armand go pocałował. Chłodne jedwabiste wargi przekazywały mu elektryczną czystość myśli, jakby to był pocałunek umysłu!

- Wejdz do środka, mój uczniu - rzekł Armand. - Została nam niecała godzina.

- Ale inni...

Armand miał odkryć coś ważnego. Co to było? Działy się straszne rzeczy, spłonęły domy sabatowe. A jednak w tej chwili było nic ważniejszego niż to ciepło, które czuł w sobie, i mrowienie odzywające się, kiedy poruszał kończynami.

- Oni kwitną, spiskują - powiedział Armand. Czy mówił i głos? Ależ na pewno. Brzmiało to tak wyraźnie! - Lękają się ogólnego zniszczenia, ale San Francisco jest nietknięte. Ktoś (powiedział, że sprawił to Lestat, by ściągnąć wszystkich do siebie. Inni - że to robota Mariusza albo nawet bliźniaczk. Albo Tych Których Należy Mieć w Opiece, mogących uderzyć z nieskończoną mocą ze swojego sanktuarium.

Bliźniaczki! Znowu poczuł czerń snu wokół siebie, kobiece ciało pozbawione języka, grozę zatraskującą się ze wszystkich stron. Ach, teraz nic nie mogło go zranić. Ani sny, ani spiski. Był dziecięciem Armanda.

- Te sprawy muszą poczekać - rzekł łagodnie Armand. - Musisz pójść i zrobić, co ci powiem.

Musimy skończyć to, co zaczęliśmy.

- Skończyć? - Przecież wszystko jest skończone. Zmartwychwstał.

Armand wprowadził go do domu; wiatr został na zewnątrz. W ciemności błyska miedziane łoże, porcelanową wazę ożywiają złocone smoki. W dali wielki kwadratowy fortepian lśni wyszczerzonymi zębiskami klawiszy. Tak, dotknij go, poczuj kość słoniową; aksamitne frędzle

zwisają z abazuru...

Ta muzyka, skąd ona płynie? Jazz, samotna, cicha, żałośnie zawodząca trąbka. Ta melancholijna melodia, nuty roztopiające się jedna w drugiej kazały mu się zatrzymać. Chciał przeżyć tę chwilę w bezruchu. Chciał powiedzieć, że rozumie, co się dzieje, ale zbyt szybko absorbowano go wchłanianie każdego urwanego dźwięku.

Już miał podziękować za muzykę, ale jego własny głos zabrzmiał tak niespodziewanie dziwnie -

ostrzej, a jednocześnie dźwięczniej. Nawet język był inny, a tam, na zewnątrz, mgła, spójrz na nią, wskazał, mgła kłębi się tuż poniżej tarasu, mgła zjada noc!

Armand był cierpliwy. Armand rozumiał. Przeprowadził go wolno przez ciemny pokój.

- Kocham cię - powiedział Daniel.

- Jesteś tego pewien? - odparł pytaniem Armand.

To wzbudziło w nim śmiech.

Weszli do długiego wysokiego korytarza. Prowadzące w dół schody kryły się w głębokim cieniu. Armand ponaglał go do dalszego marszu. Daniel chciał obejrzeć wzór na dywanie, długi łańcuch medalionów przeplecionych liliami, ale Armand zaprowadził go do jasno oświetlonego pokoju.

Powódź światła, blask błędzący po niskich sofach i fotelach zapierały dech. Wszystko jednak zaćmiewało malowidło na ścianie!

Bezkształtne stworzenia, naprawdę będące wielkimi gęstymi smugami jaskrawej żółci i czerwieni, były niczym żywe postaci. Niewykluczone, że wszystko, co wyglądało na żywe, było żywe. Bezrękie istoty, rozsmużone w oślepiających barwach, musiały tak egzystować przez wieczność. Co widziały drobnymi, rozbieganymi oczami? Być może dostrzegały jedynie niebiosa i piekło swojego lśniącego królestwa zakotwiczonego do kołków w ścianie kawałkiem zwiniętego drutu?

Mógłby płakać na tę myśl, płakać gardłowym jękiem trąbki - a przecież nie płakał. Zwietrył

silną uwodzicielską woń. Cóż to jest? - zapytał sam siebie, czując, że cały sztywnieje. Nagle ujrzał młodą dziewczynę.

Siedziała ze skrzyżowanymi w kostkach nogami na małym złotym krzeselku i obserwowała go; jej gęste ciemnokasztanowe włosy układały się błyszczącym wiechciem wokół białej twarzy.

Mała uciekiniarka w podartych dzinsach i uświnionej koszuli. Chmara piegów na siodełku nosa i zabrudzony plecak leżący u jej stóp; co za idealny obrazek! A do tego kształt drobnych ramion, ułożenie nóg! I oczy, jej piwne oczy! Śmiał się cicho, ale był to śmiech nieszczery, wariacki.

Miał w sobie groźną nutę, jakież to dziwne! Ujął twarz dziewczynki w dłonie, a ona wpatrywała się w niego, uśmiechnięta, z lekkim szkarłatnym rumieńcem na ciepłych policzkach.

To krew wydzielala ten aromat! Palce mu plonely. Dostrzegal nawet naczynia krwionośne pod skora tego uroczego dziecka! Slyszał odgłos jej serca, slyszał. Uderzało coraz głośniejsze, tak...

chlupotało, dudniąc. Cofnął się.

- Zabierz ją stąd! - wykrzyknął.

- Weź ją - szepnął Armand. - I to już.

Rozdział piąty

Khaymanie, mój Khaymanie

Nikt nie słucha.

Teraz możesz śpiewać pieśń swojego „ja”,

jak robią to ptaki, nie dla terytorium

czy dominacji,

ale dla samopowiększenia.

Niech coś

powstanie z niczego.

...

Stan Rice „Teksaska suita” z tomu „Treść dzieła” (1983)

Aż do tej nocy, do tej potwornej nocy, miał na swój temat żarcik: nie wie, kim jest ani skąd się wziął, ale wie, co lubi.

A lubił wszystko wokół siebie - stoiska z kwiatami na rogach ulic, wielkie budynki ze stali i szkła wieczorami pełne mlecznego światła, drzewa, tak, oczywiście, i trawę pod stopami.

Kupował rzeczy z lśniącego plastiku i metalu - zabawki, komputery, telefony - byle co. Lubiał

doszukiwać się ich przeznaczenia, opanowywać sztukę posługiwania się nimi, a potem miażdżył

je na drobne, twarde wielokolorowe piłeczki, którymi mógł zonglować lub ciskać w wielkie szklane tafle, gdy nikogo nie było w pobliżu.

Lubił muzykę fortepianową, filmy i wiersze, które znajdował w książkach.

Lubił też automobile, które spalały ziemny olej, tak jak lampy. I wielkie samoloty odrzutowe, lecące nad chmurami zgodnie z jakąś naukową zasadą.

Zawsze przystawał, by słuchać ludzi śmiejących się i paplających tam w górze, kiedy któryś z samolotów przelatywał nad nim.

Prowadzenie pojazdu było wyjątkową rozkoszą. Pędził srebrnym mercedesem po gładkich pustych drogach z Rzymu do Florencji i Wenecji w jedną noc. Lubił także telewizję - ten cały elektryczny proces oparty na drobinach światła. Jakże łagodząco działało towarzystwo telewizji, intymna zażyłość z tyłoma starannie wymalowanymi twarzami przemawiającymi serdecznie z jaśniejącego ekranu.

Rock and rolla też lubił. Lubił muzykę. Lubił Wampira Lestata śpiewającego „Requiem dla markizy”. Nie przykładał większej wagi do słów. Liczyła się melancholia i mroczny podkład bębnowy i cymbałów. Nogi rwały mu się do tańca.

Lubił gigantyczne żółte maszyny, które późną nocą rozdrapywały ziemię w miastach, a także i ludzi w jednolitych ubiorach pełzających wokół nich; lubił londyńskie piętrowe autobusy i ludzi -

sprytnych śmiertelnych ze wszystkich stron świata - ich też, oczywiście, lubił.

Lubił spacerować wieczorem po Damaszku i w nagłych przebłyskach niespójnych wspomnień oglądać na tamtych ulicach miasta starożytnych Rzymian, Greków, Persów, Egipcjan.

Lubił biblioteki, w których odkrywał dawne budowle w wielkich, gładkich, miło pachnących księgach. Fotografował nowe miasta wokół siebie i czasem potrafił nałożyć na zdjęcia obrazy, które rodziły mu się w myślach. Na przykład na jego fotografii z Rzymu byli Rzymianie w tunikach i sandałach, nałożeni na wersje współczesne w grubej, topornie skrojonej odzieży.

O tak, zawsze było wokół niego wiele do lubienia - skrzypcowa muzyka Bartoka, małe dziewczynki w śnieżnobiałych sukienkach, wychodzące o północy z kościoła, po chrześcijańskiej mszy.

Oczywiście, lubił też krew ofiar. To było nieuniknione i wcale nie zabawne. Śmierć go nie bawiła. Dopadał ich w milczeniu; nie chciał ich znać. Wystarczyło, że niedoszła ofiara odezwała się do niego, a natychmiast ją porzucał. Uważał, że nie przystoi rozmawiać z tymi słodkimi, łagodnie spojierającymi istotami, a potem pić ich krew, łamać kości, wysysać szpik i rozgniatać kończyny na kapiącą miazgę. A tak właśnie teraz ucztował, okrutnie i gwałtownie. Pożądanie obezwładniało go swoją żarłoczną monotonią, nie mającą nic wspólnego z pragnieniem. Potrafił

delektować się trzema czy czterema śmiertelnymi w jedną noc.

Mimo to miał pewność, absolutną pewność, że kiedyś był istotą ludzką. Tak, chodził wtedy w słońcu w upalne dni, chociaż obecnie było to jak najbardziej wykluczone. Widział siebie siedzącego przy prostym drewnianym stole i rozcinającego miedzianym kozikiem dojrzłą pomarańczę. Widział ten piękny owoc. Znał jego smak. Znał smak chleba i piwa. Widział blask słońca i matowy żółty piasek, który ciągnął się daleko wokół. - Połóż się i odpoczywaj, przeczekaj żar dnia - powiedziano mu kiedyś. Czy był to ostatni dzień jego egzystencji jako żywej istoty? Tak, trzeba odpocząć, ponieważ król i królowa zawezwą cały dwór i coś strasznego, coś...

Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć.

A przecież kiedyś to wiedział, w tym rzecz, wiedział do tej nocy. Tej nocy...

Nie przypominał sobie nawet wtedy, kiedy słuchał Wampira Lestata. Ta postać go fascynowała -

piosenkarz rockowy nazywający siebie krwiopijcą. Rzeczywiście wyglądał na osobę nie z tego świata, ale cóż, to była telewizja, no nie? Wielu śmiertelnych z oszałamiającego świata muzyki rockowej wyglądało na istoty nie z tego świata. A w głosie Wampira Lestata była taka ludzka namiętność.

I nie tylko namiętność; to była ludzka ambicja szczególnego rodzaju. Wampir Lestat zapragnął

heroizmu. Kiedy śpiewał, ogłaszał: - Pozwólcie mi ukazać moją istotę! Jestem symbolem zła; a jeśli jestem symbolem prawdziwym, w takim razie czynię dobrze.

Fascynujące. Tylko człowiek potrafiłby wymyślić taki paradoks. O tym też wiedział, bo oczywiście kiedyś był człowiekiem.

Miał teraz nadprzyrodzoną zdolność rozumienia spraw. Tak. Ludzie nie potrafili jego sposobem, spojrzawszy na maszynę, przejrzeć zasady jej działania. A to, że wszystko było mu znajome, również miało związek z jego nadprzyrodzonymi mocami. I to tego, tak naprawdę nic nie mogło go zaskoczyć. Ani fizyka kwantowa, ani teoria ewolucji, ani malarstwo Picassa czy działanie szczepionek sprawiających, że dzieci za sprawą bakterii uodporniały się na chorobę. Było tak, jakby wiedział o wszystkim na długo przedtem, zanim się tu zjawił. Na długo przedtem, zanim i mógł rzec: - Myślę, więc jestem.

Ale pominąwszy to wszystko, zachował ludzkie spojrzenie na świat. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Czuł ludzki ból z niesamowitą i przerażającą perfekcją. Wiedział, co to znaczy kochać i być samotnym, och tak, wiedział to lepiej niż wszystko inne, a czuł najdotkliwiej, kiedy słuchał piosenek Wampira Lestata. To dlatego nie przykładał wagi do słów.

I jeszcze jedno. Im więcej pił krwi, tym bardziej się stawał ludzki.

Kiedy objawił się po raz pierwszy w tym czasie - sobie samemu i innym - wcale nie wyglądał na człowieka. Był cuchnącym kościotrupem, szedł drogą publiczną w kierunku Aten, kości oplatane napiętymi gumami żył ukrywał pod warstwą stwardniałej białej skóry. Budził przerażenie.

Ludzie uciekali przed nim, wyciskając całą moc ze swoich autek. Czytał w ich myślach - widział siebie ich oczyma - i rozumiał, i było mu przykro, oczywiście.

W Atenach postarał się o rękawiczki i luźny wełniany strój z plastikowymi guzikami, a także te śmieszne nowoczesne buty, które zakrywały całą stopę. Owinął twarz szmatami, zostawiając tylko dziury na oczy i usta. Brudne czarne włosy przykrył szarym filcowym kapeluszem.

Nadal wybałuszali na niego oczy, ale nie uciekali z krzykiem. O zmierzchu włóczył się wśród gęstych

tłumów na skwerze Omonia i nikt nie zwracał na niego uwagi. Jakże miły był

współczesny zgiełk i gwar tego starego miasta, które dawno temu było równie żywotne, kiedy z całego świata zjeżdżali tu studenci, by uczyć się filozofii i sztuki. Kiedy spoglądał na Akropol, widział Partenon taki jak ongiś - cały, dom bogini. Nie dzisiejszą ruinę.

Grecy byli jak zawsze wspaniałymi ludźmi, uprzejmymi i ufnyimi, chociaż z racji tureckiej krwi nabrali ciemniejszej karnacji i barwy włosów. Nie przeszkadzał im jego dziwny przydzwiek.

Rozmawiał z nimi miękkim, pieszczotliwym głosem, wykazując idealne opanowanie języka -

poza niewieloma, jak się wydawało, koszmarnymi pomyłkami - a oni go uwielbiali. Po pewnym czasie zauważył, że jego ciało z wolna się wypełnia. Wreszcie pewnej nocy, kiedy zdjął

łachmany, ujrzał kontury ludzkiej twarzy. A więc tak właśnie wyglądał?

Wielkie czarne oczy z delikatnymi kurzymi łapkami i całkiem gładkimi powiekami. Usta miłe, uśmiechnięte. Nos zgrabny, wdzięczny; całkiem mu się spodobał. A najbardziej podobały mu się brwi, równe i nie krzaczaste, zarysowane na tyle wysoko nad oczami, że nadawały twarzy wyraz otwartości, ukrywanego radosnego i budzącego zaufanie podziwu. Tak, to była twarz przystojnego młodego mężczyzny.

Zaczął chodzić z odkrytą twarzą, nosząc współczesne spodnie i koszule. Musiał jednak trzymać się cienia. Po prostu był zbyt gładki i biały.

Kiedy pytano go, jak się nazywa, mówił: - Khayman. - Ale nie wiedział, skąd wzięło się to imię.

Wiedział natomiast, że kiedyś mówiono na niego Beniamin. Były też inne imiona. Ale kiedy?...

Khayman. Tego pierwszego i tajnego nigdy nie zapomniał. Potrafił narysować dwa małe obrazki, które znaczyły „Khayman”, ale nie miał pojęcia, skąd te symbole pochodzą.

Własna siła zdumiewała go tak samo jak wszystko inne. Potrafił przechodzić przez gipsowe ściany, mógł unieść automobil i cisnąć go na pobliskie pole. A zarazem był dziwnie kruchy i lekki. Przebijał dłoń na wylot długim cienkim nożem. Co za dziwne doznanie! I wszędzie krew.

Potem rana się zasklepiła i musiał znowu ją otworzyć, żeby wyciągnąć ostrze.

Był niezwykle lekki, tak, potrafił się wspiąć wszędzie, jakby prawo ciężkości nie miało nad nim władzy, kiedy tylko zdecydował się je zlekceważyć. Pewnej nocy wszedł na wysoki budynek w środku miasta, po czym sfrunął łagodnie na ulicę.

Cudowne. Wiedział, że jeśli tylko się odważy, będzie mógł pokonywać wielkie odległości. A może... jednak nie.

Miał też inne moce. Przyłapał się na tym, że każdego wieczoru po przebudzeniu słucha głosów z całego świata. Leżał w mroku, skąpany w dźwiękach i słyszał ludzi rozmawiających po grecku,

angielsku, rumuńsku, w hindi. Słyszał śmiechy i krzyki bólu. A jeżeli leżał zupełnie nieruchomo, słyszał ludzkie myśli - bezładny denny prąd, pełen dzikiej egzaltacji, napawający lękiem. Nie wiedział, skąd się biorą te myśli ani dlaczego jeden głos pochłania inny. To nie do wiary, czuł się jak Bóg słuchający modlitw.

Od czasu do czasu, wyraźnie oddzielone od ludzkich głosów, docierały doń również głosy nieśmiertelnych. Czy byli gdzieś inni tacy jak on, czy myśleli, czuli, wysyłali ostrzeżenie? Ich odległe potężne i srebrzyste wołania były łatwe do oddzielenia od ludzkiego gwaru.

Owa receptywność przysparzała mu jednak bólu. Sprowadzała jakieś straszne wspomnienia, uczucie zamknięcia w ciemności, w której przez nie kończące się lata jego jedynym towarzyszem były głosy. Ogarniała go panika. Nie będzie sobie tego przypominał. Są rzeczy, do których nie chce wracać. Na przykład płonienia i więzienia, pamięci o wszystkim i płaczu, straszego, rozdzierającego płaczu.

Tak, zaznał złego losu. Bywał już tu, na tej planecie, pod innymi imionami i w innych czasach; ale zawsze ten sam, o łagodnym i optymistycznym usposobieniu, tak bardzo kochający. Czy jego dusza wędrowała? Nie, zawsze miał to ciało. Właśnie dlatego był taki lekki i silny.

Wreszcie zamykał uszy na te głosy. Prawdę powiedziawszy, pamiętał stare ostrzeżenie: „Jeśli nie nauczysz się zamykać uszu na głosy, doprowadzą cię do szaleństwa”. To było proste. Uciszał

je, zwyczajnie unosząc powieki, otwierając oczy. Wtedy słuchanie wymagało natężenia uwagi.

Głosy ciągnęły swoje, stając się jednym irytującym hałasem.

Pochłaniała go terażniejszość. Tak łatwo było poznać myśli śmiertelnych będących w bliskim zasięgu. Mógł na przykład śpiewać albo skupić się mocno na czymkolwiek w pobliżu. Ogarniała go wtedy błogosławiona cisza. W Rzymie łatwo było o rozrywkę. Jakże uwielbiał tamtejsze stare domy w kolorach ochry, spalonej sieni albo butelkowej zieleni. Jakże uwielbiał wąskie brukowane uliczki. Mógł bardzo szybko jechać samochodem szerokim bulwarem pełnym szczęśliwych śmiertelnych lub wałęsać się po Via Veneto, by znaleźć kobietę, w której zakochał się na jakiś czas.

Uwielbiał też sprytnych ludzi tej epoki. Byli ludźmi, ale wiedzieli tak wiele. Gdy w Indiach zamordowano premiera, w ciągu godziny cały świat był w żałobie. Wszystkie rodzaje katastrof, wynalazków i cudów medycyny nie przekraczały zdolności pojmwania przeciętnego człowieka.

Ludzie igrali z faktami i fanaberiami. Kelnerki pisały powieści, które z dnia na dzień przysparzały im sławy. Na filmach wideo robotnicy zakochiwali się w nagich gwiazdach filmowych. Bogaci nosili papierową biżuterię, a biedni kupowali drobne brylanciki. Księżniczki pojawiały się na Champs Elysees w starannie dobranych łachmanach.

Och, jak bardzo chciałby być człowiekiem. A kim tak naprawdę był? Jacy byli inni - ci, przed których głosami zamykał uszy? Nie było to Pierwsze Plemię, co do tego miał pewność. Pierwsze Plemię nie potrafiło kontaktować się wyłącznie za pomocą umysłu. Tylko co to, do diabła, było to „Pierwsze Plemię”? Nie mógł sobie przypomnieć! Ogarnęła go panika. Nie chciał o tym myśleć. Zapisywał w notatniku wiersze - współczesne i proste, wiedząc, że są w najwcześniejszym znanym

mu stylu.

Poruszał się nieustannie po Europie i Azji Mniejszej, czasem piechotą, czasem unosząc się w powietrze i siłą woli kierując w szczególne miejsce. Rzucił czar na tych, którzy mogli mu stanąć na drodze, a za dnia spał kamiennym snem w mrocznych kryjówkach, niczym się nie przejmując.

Słońce już go nie paliło, ale nie potrafił funkcjonować w jego blasku. Oczy mu się zamykały, kiedy tylko ujrzał światło jutrzeńki. Słyszał głos, wszystkie te głosy innych krwiopiców krzyczących w mękach - a potem następowała cisza. Budził się o zachodzie słońca, gotów czytać prawieczne gwiazdne wzory.

Wreszcie stał się brawurowym lotnikiem. Uniósł się w górę na przedmieściach Sztambułu, wystrzelił wysoko nad dachy jak balon. Kręcił się, koziółkował, śmiejąc do rozpuku, a potem skierował się do Wiednia, gdzie dotarł przed świtem. Nikt go nie zauważył. Poruszał się za szybko, by mogły go dostrzec ludzkie oczy. A poza tym nie dokonywał tych eksperymentów w obecności wciśbiskich obserwatorów.

Miał też inną interesującą moc. Potrafił podróżować bez udziału ciała. Potrafił dosięgnąć wzrokiem rzeczy bardzo odległych. Na przykład, leżąc nieruchomo, myślał o dalekim miejscu, które pragnąłby zobaczyć, i nagle był tam. Niektórzy ze śmiertelnych również mieli tę zdolność, czy to w snach, czy na jawie, będącą wynikiem wielkiej świadomej koncentracji. Bywało, że mijał ich śpiące ciała i dostrzegał, jak daleko podróżują ich dusze. Samych dusz jednak nie widział. Nie potrafił też ujrzeć upiorów ani duchów...

Lecz wiedział, że gdzieś są. Musiały gdzieś być.

Przypomniał sobie, że kiedyś jako śmiertelny człowiek wypił w świątyni silny czarodziejski napój wręczony przez kapłanów i podróżował dokładnie tak samo, poza ciałem, unosząc się wysoko w firmament. Kapłani przywoływali go z powrotem, lecz nie chciał wrócić. Był wtedy z tymi pośród zmarłych, których kochał. Wiedział, że musi wrócić; tego od niego oczekiwano.

Był wtedy istotą ludzką, jak najbardziej. Tak, nie ma wątpliwości. Pamiętał, jak pot występował mu na nagi tors, kiedy leżał w pełnej kurzu komorze i przyniesiono mu czarodziejski napój. Bał się. Ale cóż, oni wszyscy musieli przez to przejść.

Może lepiej było mieć obecną postać i móc latać, nie rozstając się z ciałem.

Niewiedza, niepamięć, nierozumienie tego, jak może robić takie rzeczy i czemu żyje z ludzkiej krwi - wszystko to sprawiało mu intensywny ból.

W Paryżu poszedł do „kina wampirów”, które zdumiewało go pozorami prawdy i fałszem.

Wszystko było znajome, a zarazem dziecinnie głupie. Wampir Lestat zapożyczył swój przydzwiek z tych starych czarno-białych filmów. Większość „nocnych istot” nosiła ten sam kostium - czarną pelerynę, białą koszulę z gorsem, czarny żakiet do figury, czarne spodnie.

Oczywisty, lecz krzepiący nonsens. Krwiopijcy przemawiali tak łagodnie, jakby recytowali poezję, a równocześnie bez wahania zabijali śmiertelnych.

Kupił komiksy o wampirach i wyciął z nich obrazki przedstawiające eleganckich krwiopijców w rodzaju Wampira Lestata. Może powinien przymierzyć taki śliczny kostium; dodałby mu otuchy, stworzyłby poczucie przynależności do czegoś, nawet jeśli to coś naprawdę nie istniało.

W Londynie udał się po północy do ciemnego sklepu, gdzie znalazł swój wampirzy strój. Żakiet i spodnie, lśniąca lakierki; koszula wykrochmalona i sztywna jak nowy papirus, z białą muszką.

Och, i jeszcze czarna aksamitna peleryna, wspaniała, z podszewką z białej satyny; sięgała do samej podłogi.

Obracał się z wdziękiem przed lustrami. Jakże zazdrościłby mu Wampir Lestat. Pomyśleć, że on, Khayman, nie był człowiekiem udającym wampira; był prawdziwym wampirem. Po raz pierwszy uczesał swoje gęste czarne włosy. W szklanych szafkach znalazł perfumy i kremy, którymi namaścił się, jak przystało na wielki wieczór. Dobrał sobie złote pierścienie i spinki.

Teraz był tak piękny jak dawno temu w innym stroju. Ludzie na londyńskich ulicach z miejsca go pokochali! Postąpił jak najbardziej właściwie. Szli za nim, kiedy kroczył, uśmiechając się, kłaniając od czasu do czasu i puszczać do nich oko. Nawet kiedy zabijał, było lepiej. Ofiara wpatrywała się w niego, jakby miała wizję, jakby wszystko rozumiała. Pochylał się - tak jak to robił Wampir Lestat w wideoklipach - i wpięty pił łagodnie z gardła, zanim rozdarł ofiarę na kawałki.

Oczywiście, wszystko to żart. Było w nim coś przerażająco pospolitego, nie mającego żadnego związku z kondycją krwiopijcy, tą mroczną tajemnicą, żadnego związku z przebłyskami zdarzeń, które pamiętał tylko częściowo i które wyrzucał z pamięci. Niemniej jednak zabawnie było stać się na chwilę kimś.

Tak, chodziło o tę chwilę, bo była wspaniała. I była wszystkim, co miał. W gruncie rzeczy zapomni i ją, prawda? Te noce i ich wyborne szczegóły ulecą mu z pamięci i znów zatraci się w jakiejś jeszcze bardziej złożonej i trudniejszej przyszłości, pamiętając tylko swoje imię.

Wreszcie udał się do domu, do Aten.

Nocą włóczył się z ogarkiem świecy po muzeach, oglądał stare nagrobki z reliefami postaci, których widok doprowadzał go do płaczu. Siedząca kobieta - umarli zawsze siedzący - wyciąga dłonie do żywego dziecka pozostawionego w objęciach małżonka. Z przeszłości powracały do niego imiona szepczące mu do ucha jak nietoperze: - Udaj się do Egiptu, przypomnisz sobie. -

Nie udał się do Egiptu. Było zbyt wcześnie, by żebrać o szaleństwo i wybaczenie. Pozostał w Atenach, gdzie czuł się bezpieczny; nawiedzał stary cmentarz poniżej Akropolu, z którego rozkradziono wszystkie stalle. Nie przeszkadzał mu ryk samochodów. Ziemia była tam piękna; i wciąż należała do umarłych.

Sprawił sobie pełną szafę wampirzych strojów. Kupił nawet trumnę, ale używał jej niechętnie.

Przede wszystkim nie oddawała ludzkiego kształtu, a na wieku nie wyryto zarysu twarzy ani napisu, który by poprowadził duszę zmarłego. Przypominała mu raczej puzdro na kosztowności.

Ale z drugiej strony, no cóż, jeśli był wampirem, to chyba powinien ją mieć, bo była z nią pyszna zabawa. Śmiertelni, którzy przychodzili do jego mieszkania, byli oczarowani jej widokiem.

Częstował ich winem czerwonym jak krew, serwowanym w kryształowych kielichach.

Recytował im „Rymy wiekowego marynarza”, śpiewał pieśni w dziwnych językach, które uwielbiali, a czasem czytał swoje wiersze. Śmiertelni byli tacy serdeczni. A trumna służyła za kanapę, bo w mieszkaniu nie było żadnych mebli.

Piosenki tego amerykańskiego piosenkarza rockowego, Wampira Lestata, zaczęły burzyć jego spokój. To już nie była pyszna zabawa, podobnie jak te głupie stare filmidła. Wampir Lestat jednak naprawdę go drażnił. Jaki krwio pijca marzyłby o czynach pełnych odwagi i czystości.

Zbyt tragiczna nuta, jak na zwykłe piosenki.

Krwio pijca... Czasem, kiedy budził się sam na podłodze dusznego mieszkania, a ostatnie przebliski dziennego światła przenikały story, czuł oddalający się ciężki sen, w którym jakieś stworzenia wzdychały i jęczały z bólu. Czy podążał przez upiorny nocny pejzaż za dwoma rudymi kobietami, które wycierpiały niewysłowione krzywdy, za tymi pięknymi bliźniaczkami, do których nieustannie wyciągał dłonie? Gdy jednej z rudowłosych kobiet wycięto język, porwała go i zjadła. Ten odważny czyn wprowadził go w najwyższe zdumienie...

Ach, nie mógł patrzeć na takie rzeczy!

Twarz miał obolałą, jakby płakał albo cierpiał żrący niepokój. Rozluźnił się z wolna. Ujrzał

lampę. Żółte kwiaty. Nic. To po prostu Ateny: długie szeregi otynkowanych budynków jak spod sztancy i ruiny wielkiej świątyni na wzgórzu, panujące nad wszystkim mimo dymów wypełniających przestworza. Wieczór. Boski pośpiech tysięcy ludzi w ponurych biurowych ubraniach, spływających windami do podziemnych pociągów. Plac Syntagma zasłany leniwymi pijusami, wielbicielami retsiny lub uzo, cierpiącymi w upale wczesnego popołudnia. Małe kioski z prasą z całego świata.

Nie słuchał już muzyki Wampira Lestata. Porzucił amerykańskie dyskoteki, w których nieustannie rozbrzmiewała. Odsunął się od studentów, którzy nosili małe magnetofony przy paskach spodni.

Pewnej nocy w sercu Plaka pośród rozjarzonych świateł i hałaśliwych tawern ujrzał innych krwio pijców śpieszących przez tłum. Serce mu zamarło. Samotność i lęk zawładnęły nim bez reszty. Nie mógł się poruszyć ani wykrztusić słowa. Śledził ich, podążając stromymi ulicami, wchodził za nimi do kolejnych nowoczesnych tancbud, w których wyla muzyka, wychodził.

Oceniał ich wzrokiem, kiedy szybkim krokiem przeciskali się przez tłum turystów, nieświadomi jego obecności.

Dwóch mężczyzn i kobieta w skąym przyodziewku z czarnego jedwabiu, ze stopami torturowanymi

w butach na wysokich obcasach. Srebrne okulary zasłaniały im oczy; szeptali między sobą i wybuchali piskliwym śmiechem; obwieszeni biżuterią, obficie spryskani perfumami, wystawiali na pokaz swoją nienaturalnie lśniąca skórę i włosy.

Ale pominawszy te drugorzędne sprawy, bardzo się od niego różnili. Daleko im było do jego twardości i białości, to po pierwsze. Prawdę mówiąc, mieli na sobie tyle ludzkiej tkanki, że nadal pozostawali ożywionymi trupami; zwodniczo różowi i słabi, jakże potrzebowali krwi ofiar.

Nawet w tej chwili cierpieli rozdzierające pragnienie. I z pewnością ich działania tego wieczoru były mu podporządkowane, krew bowiem musiała nieustannie zasilać wszystkie ludzkie miękkie tkanki. Nie tylko je ożywiała, ale stopniowo przemieniała w coś innego.

On natomiast był już cały z owego czegoś. Nie pozostało na nim nic człowieczego. Chociaż pożywał krwi, nie potrzebował jej do tej zamiany. Ona jedynie go odświeżała, zwiększała jego cudowną siłę, telepatyczne moce, zdolność latania czy podróżowania poza ciałem. Ach, to rozumiałe! Obecnie był niemal idealnym naczyniem dla tej bezimiennej siły, która działała w nich wszystkich.

Tak, właśnie tak było. Oni byli młodszy, to wszystko. Dopiero rozpoczęli podróż ku prawdziwej wampirzej nieśmiertelności. Czyżby nie pamiętał?... No cóż, tak naprawdę to nie, ale wiedział, że to pisklaki, liczące sobie zaledwie jeden lub dwa wieki! To niebezpieczny czas; najpierw dostawało się od tego obłądu albo inni cię dopadali, zamykali, spalali... Wielu nie przeżyło tych lat. Ileż wieków dzieliło go od nich; jego młodość to epoka Pierwszego Plemienia. Tej otchłani czasu rozum nie mógł pokonać! Zatrzymał się przed malowanym murem ogrodu, wsparł dłoń na pokrzywionej gałęzi, rozkoszując się dotykiem chłodnych, jakby wełnianych listków na swojej twarzy. Nagle zanurzył się w smutku, smutku straszliwszym niż lęk. Usłyszał czyjś płacz, nie z otoczenia, ale w swojej głowie. Kto to jest? Przestań!

Nie, nie skrzywdzi tych delikatnych dzieci! Chciał jedynie ich poznać, uściskać. Przecież jesteśmy z tej samej rodziny, jesteśmy krwiopijcami, wy i ja!

Jednak gdy się zbliżył, wysyłając milczące, niemniej jednak gorące przywitanie, oni odwrócili się i spojrzeli w jego kierunku z nie ukrywaną grozą. Uciekli. Zbiegli po stoku płataniną ciemnych ścieżek, byle dalej od światła Plaka, a wszystkie jego słowa i gesty były daremne.

Stał sztywny i milczący, czując ostry ból, nie znany do tej pory. Potem nastąpiło coś przedziwnego i straszliwego. Podążył za nimi, aż znów namierzył ich spojrzeniem. Rozgniewał

się, naprawdę się rozgniewał. Bądźcie przeklęci - mówił im w myślach. - Kara na was za ból, który mi zadajecie! - I proszę! Nagle poczuł coś w głowie, na wysokości czoła, zimny spazm tuż za kością czaszki. Moc wyskoczyła z niego, jakby niewidzialny jęzor. Natychmiast przeniknęła kobietę najbardziej odstającą od całej grupki i jej ciało zajęło się ogniem.

Przyglądał się temu w osłupieniu, zdając sobie jednak sprawę z tego, co się stało. Przeniknął ją jakąś naczelną energią. Wzbudził ogień w łatwopalnej krwi, jednakowej u nich obojga. Pożar szalejący obwodami żył przedarł się do szpiku kostnego i rozsadził ciało. Jedna chwila i przestała istnieć.

Bogowie! On tego dokonał! Stał pełen smutku i grozy, wpatrzony w resztki ubrania, szerniałe i splamione tłuszczem. Tylko kosmyki włosów pozostały na kamieniach, a i one spłonęły wreszcie w strużkach dymu.

Może się myli. Nie, to z pewnością jego dzieło. Czuł, co czyni. A ona była tak wystraszona!

Ogłuszony szedł do domu, zbierając myśli. Z pewnością nigdy wcześniej nie użył tej mocy, nie był nawet jej świadomy. Czyżby zagościła w nim dopiero teraz, po stuleciach działania krwi, wysuszającej tkanki na cienkie, białe przegródki jak komórki plastra os?

Samotny w swoim mieszkaniu, zapaliwszy świece i kadzidła dla dodania sobie otuchy, znów przeszył się nożem i przyglądał buchającej krwi. Była gęsta i gorąca, migotała w blasku lampy jak żywa. I była żywa!

Przyglądał się w lustrze mrocznemu blaskowi, jaki odzyskał po tygodniach zawziętego polowania i picia. Lekko żółtawe zabarwienie policzków, ślad różowości na wargach. Mniejsza z tym, był jak porzucona skóra węża - martwy, lekki i kruchy, jeśli nie liczyć stale pompowanej krwi. Tej złej krwi. A jego mózg, ach, jego mózg, jak on wygląda? Przezroczysty jak przedmiot z kryształu, zasilany krwią, która parła przez jego drobne komórki? Właśnie tam żyła ta moc i jej niewidzialny jęzor?

Wypróbowywał potem tę nowo odkrytą energię na zwierzętach; na kotach budzących jego niepojętą nienawiść - były przecież złe - i na szczurach, znieprawionych przez wszystkich ludzi.

Jednak one umierały inaczej niż tamta kobieta. Zabijał owe stworzenia niewidzialnym jęzorem energii, ale nie zajmowały się ogniem. Ich mózgi i serca doznawały raczej jakiegoś śmiertelnego udaru, lecz ich krew nie była łatwopalna.

Budziło to w nim lodowatą, dręczącą fascynację.

- Ależ ze mnie obiekt badawczy - szeptał; oczy zalśniły mu nagłymi, nieproszonymi łzami.

Peleryny, białe muszki, filmy o wampirach, jakie to miało znaczenie! Kim, do diabła, jestem? -

zapytywał sam siebie. Wiecznie podróżującym błaznem bogów, żyjącym od chwili do chwili?

Kiedy zobaczył ogromny wabiący plakat Wampira Lestata naigrywający się z niego z witryny sklepu z filmami wideo, odwrócił się i smagnięciem energii rozbił szkło.

Ach, cudownie, cudownie. Dajcie mi lasy, gwiazdy. Tamtej nocy udał się do Delf, gdzie opadł

bezszelestnie na ciemną ziemię. Przeszedł po mokrej trawie do miejsca, gdzie niegdyś była wyrocznia, do tej ruiny domu boga.

Nie zamierzał opuszczać Aten. Musiał znaleźć tamtych dwóch krwiopijców i powiedzieć im, że żałuje, że nigdy, przenigdy nie użyje przeciwko nim tej mocy. Muszą z nim porozmawiać! Muszą z nim być!... Tak.

Kiedy obudził się następczej nocy, szukał ich słuchem. Po godzinie usłyszał, jak wstają z grobów.

Ich leżem był dom w Plaka, gdzie mieściła się jedna z tych hałaśliwych zadymionych tawern z oknami wychodzącymi na ulicę. Zrozumiał, że za dnia spali w piwnicach, a wieczorami wychodzili przyglądać się śmiertelnym, śpiewającym i tańczącym w tawernie. Lamia, dawne greckie słowo oznaczające wampira, służyło za nazwę tego lokalu, w którym elektryczne gitary grały prymitywną grecką muzykę, młodzi śmiertelni mężczyźni tańczyli ze sobą, kręcąc biodrami, uwodzicielscy zupełnie jak kobiety, a retsina lała się strumieniami. Na ścianach wisiały fotosy z filmów o wampirach - Bela Lugosi jako Drakula, blada Gloria Holden jako jego córka - i plakaty z jasnowłosym, niebieskookim Wampirem Lestatem.

Więc i oni mają poczucie humoru - pomyślał łagodnie. Ale gdy zajrzał do środka, dostrzegł ich ogłuszonych żalem i smutkiem, wpatrzonych w otwarte drzwi. Jakże byli bezradni!

Nie poruszyli się, gdy ujrzeli go stojącego w progu, na tle rozjarzonych ulicznych świateł. Co pomyśleli, zobaczywszy długą pelerynę? Że ożył potwór z plakatów i sprowadza na nich zniszczenie, którego poza nim tak niewielu na ziemi mogło dokonać?

Przybywam w pokoju - informował ich w myślach. - Chciałbym tylko z wami porozmawiać. Nic nie zdoła mnie rozgniewać. Przybywam w... miłości.

Wydawali się sparaliżowani. Potem nagle jeden z nich wstał od stolika i obaj wydali spontaniczny i okropny krzyk. Ogień oślepił go, podobnie jak śmiertelnych, którzy przepychali się obok, gnając jak szaleni na ulicę. Krwiopijcy płonęli, umierali, spętani koszmarnym tańcem wykręcającym ręce i nogi. Dom też płonął, krokwie dymiły, butelki wybuchały, pomarańczowe iskry leciały w niebo.

Czy to on tego dokonał?! Czy sprowadzał na innych śmierć, bez względu na to, czy chciał tego czy nie?

Krwawe łzy płynęły mu po twarzy na wykrochmalony gors. Podniósł rękę, osłaniając twarz peleryną. Był to wyraz szacunku dla tego koszmaru, który odbywał się na jego oczach - dla śmierci krwiopijców.

Nie, on nie mógł tego zrobić, nie mógł. Stał bezwolny, potrącany przez śmiertelnych, którzy spychali go z drogi. Syreny kłuły go w uszy. Zamrugał, usiłując coś zobaczyć mimo błyskającego światła.

W przeraźliwym przeblasku świadomości pojął, że to nie jego dzieło. Ujrzał tę, która była za to odpowiedzialna! Okryta szarą wełnianą opończą, prawie niewidoczna w ciemnej uliczce, stała tam, przyglądając mu się w milczeniu.

Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, łagodnie wypowiedziała jego imię:

- Khaymanie, mój Khaymanie!

W głowie otworzyła mu się pustka. Miał wrażenie, jakby spłynęło na niego białe światło wygładzające wszelkie szczegóły. Przez jeden błogosławiony moment nie czuł nic. Nie słyszał

odgłosów szalejącego ognia, nie widział tych, którzy nadal go potracali, wypadając na ulicę.

Stał wpatrzony się w to coś, w tę piękną i delikatną istotę, jak zawsze pełną wyjątkowej urody i wdzięku. Ogarniętemu grozą, ziemia usunęła mu się spod nóg. Pamiętał wszystko - wszystko, co kiedykolwiek widział, znał lub czym był.

Wieki otworzyły się przed nim. Milenia cofały się i cofały, do samego początku. Pierwsze Plemię - usłyszał w głowie. Wiedział to wszystko, dygotał, krzyczał. Usłyszał swoje wołanie, pełne oskarżycielskiej pasji i urazy:

- To ty!

Nagle w jednym miazdzącym blasku poczuł całą moc jej nagiej siły. Żar uderzył go w pierś.

Zatoczył się do tyłu.

Bogowie, mnie też zabijesz! - krzyknął do niej w myślach. Ale ona nie mogła tego usłyszeć!

Został ciśnięty o ścianę. Żrący ból zagnieździł mu się w głowie.

A mimo to nadal widział, czuł, myślał! Serce biło mu tak samo równo jak przedtem. Nie płonął!

Wybrawszy odpowiednią chwilę, zebrał siły i nagle sparował tę niewidzialną energię gwałtownym uderzeniem własnej mocy.

- Ach, znowu wyrządzasz zło, moja władczyni! - wykrzyknął w starożytnym języku. Jakże ludzkie brzmienie miał jego głos!

Jednak to był koniec. Ona przepadła.

A raczej wzleciała, uniosła się prosto w górę, dokładnie tak, jak on sam często czynił, i do tego tak szybko, że oko nie mogło tego wyśledzić. Tak, czuł, jak się oddalała. Podniósł wzrok i bez wysiłku ją odnalazł - drobną kreskę sunącą ku zachodowi nad strzępami białych chmur.

Zszokowały go bliskie odgłosy - syreny, trzask zapadających się belek płonącego domu. Krótka wąska uliczka była zatłoczona; ogłuszająca muzyka wciąż dobiegała z innych tawern. Wycofał

się, byle dalej od pogorzelniska, łkając, tylko raz obejrząwszy się na siedlisko martwych krwiopijców. Ach, nie potrafił zliczyć, od ilu lat trwała ta wojna.

* * *

Godzinami włączył się po mrocznych zaułkach.

Ateny ucichły. Ludzie spali za ścianami z drewna. Nawierzchnie ulic lśniły we mgle, gęstej jak deszcz. Jego przeszłość przypominała skorupę gigantycznego ślimaka, górującego nad nim niebывałymi zwojami, przygniatającego niewyobrażalnym ciężarem.

Wreszcie udał się na wzgórze, do chłodnej luksusowej tawerny w wielkim nowoczesnym hotelu ze szkła i stali. Ten lokal przypominał jego samego, był biało-czarny, na podłodze sali dancingowej wzór szachownicy, czarne stoliczki, czarne skórzane łóżko.

Nie zauważony opadł na ławę w migotliwym mroku i dał upust łzom. Płakał jak głupiec, złożony czoło na ramieniu.

Nie doczekał się szaleństwa, nie doczekał się przebaczenia. Wędrował przez stulecia, odwiedzał znane miejsca z czułą, bezmyślną bezpośredniością. Płakał za tymi wszystkimi, których znał i kochał.

Ale największy ból sprawiała mu bezlitosna, dusząca świadomość, że początek, prawdziwy początek nastąpił na długo przed tym dniem, w którym w bezruchu południa spoczął w swoim domu przy Nilu, wiedząc, że tej nocy musi udać się do pałacu.

Było to na rok przed tą chwilą, gdy król rzekł do niego:

- Jedyne dla mej ukochanej królowej zaznam rozkoszy z tymi dwoma kobietami. Pokażę, że nie są czarownicami, których należałoby się bać. A ty uczynisz to w moim imieniu.

Tamta chwila była tak samo realna jak obecna; niespokojny dwór zebrał się i patrzył; czarnoocy mężczyźni i kobiety w delikatnych płóciennych spódniczkach i kunsztownych czarnych perukach, niektórzy kryjący się za rzeźbionymi kolumnami, inni dumnie stojący blisko tronu. Ma przed sobą rudowłose bliźniaczki, jego piękne niewolnice, które z czasem pokochał. Nie mogę tego zrobić - mówił sobie w myślach. A jednak zrobił to. Kiedy dwór czekał, jak czekali król i królowa, nałożył na siebie królewski naszyjnik ze złotym medalionem, by działać w imieniu króla. Zszedł z podwyższenia ku bliźniaczkom, które nie odrywały od niego wzroku, i zhańbił

jedną i drugą.

Przecież ten ból nie powinien trwać.

Gdyby miał dość siły, wpełzłby do wnętrza ziemi. Jakże pożądał błogosławionej niewiedzy. Idź

do Delf, zanurz się w wysokiej, słodko pachnącej zielonej trawie. Zrywaj dzikie kwiatki. Ach, czy otworzą się przed nim, jak przed światłem słońca, jeśli potrzyma je pod lampą?

A z drugiej strony wcale nie pragnął zapomnieć. Coś się zmieniło, coś sprawiło, że ta chwila była inna niż wszystkie. Ona zbudziła się z długiego, kamiennego snu! Na własne oczy widział ją na ateńskiej ulicy! Przeszłość i przyszłość stały się jednym.

Kiedy łzy wyschły, usiadł wygodniej, słuchał, myślał.

Tańczący płasali przed nim na oświetlonym parkiecie. Kobiety posyłały mu uśmiechy. Czy w ich oczach był pięknym porcelanowym pierrotom o białym obliczu z plamami czerwieni na policzkach? Uniósł wzrok ku ekranowi wideo pulsującemu nad salą. Jego myśli nabrały większej mocy, podobnie jak siły fizyczne.

Powoli otarł twarz lnianą chusteczką. Obmył palce w kieliszku z winem, jakby dokonywał

konsekracji. Znów spojrzał na ekran wideo, na którym Wampir Lestat śpiewał swoją tragiczną pieśń.

Niebieskooki demon z rozwichrzonymi jasnymi włosami, potężnymi ramionami i torsem młodego mężczyzny. Ruchy miał kanciaste, lecz wdzięczne, usta uwodzicielskie, głos pełen starannie modulowanego bólu.

Przez cały ten czas mówiłeś do mnie, prawda? - zapytał bezgłośnie. - Wołałeś mnie! Wołałeś jej imię!

Wizerunek na ekranie wpatrywał się w niego, odpowiadał mu śpiewem, choć oczywiście wcale go nie dostrzegał. Ci Których Należy Mieć w Opiece! - myślał. - Mój król i moja królowa. -

Niemniej jednak słuchał z pełnym skupieniem każdej sylaby; brzmiały wyraźnie mimo wrzawy trąb i warkotu bębnow.

Dopiero kiedy obraz i dźwięk się rozplynęły, wstał i wyszedł z tawerny, kierując się przez chłodne marmurowe korytarze hotelu w mrok na dworze.

Głosy wołały go, głosy krwiopiczów z całego świata. Głosy zawsze obecne. Mówiły o zbezczeszczeniu, o zjednoczeniu sił, o tym, że trzeba zapobiec jakiejś straszliwej klęsce. Matka idzie! - mówiły. Mówiły o snach o bliźniaczkach, snach, których nie rozumiały. A on był głuchy i ślepy na to wszystko!

- Jak wielu rzeczy nie rozumiesz, Lestat - szepnęła.

Wreszcie wspiął się na mroczne wzgórze i spojrzał na odległe śródmieście pełne świątyń; ich popękane białe marmury błyszczały w świetle omdlałych gwiazd.

- Bądź potępiona moja władczyni! - szepnęła. - Bądź potępiona w piekle za to, co uczyniłaś nam wszystkim! - Pomyśleć, że wciąż błąkamy się w tym świecie stali i benzyny, huczących elektronicznych symfonii i milczących sieci komputerowych.

Przypomniał sobie jeszcze jedną klątwę, o wiele silniejszą niż jego własna. Padła w rok po strasznej chwili, w której zgwałcił tamte dwie kobiety - wyrzeczano ją na dziedzińcu pałacu, pod nocnym niebem tak dalekim i obojętnym jak to.

- Wzywam duchy na świadków; oto wiedza o czasach przyszłych, o tym, co będzie, i o tym, czym ja będę! Tyś królową potępionych! Zło twoim jedynym przeznaczeniem. A w godzinę twojej największej chwały ja cię pokonam. Spójrz na mnie. To ja zetnę cię w proch.

Ile razy w ciągu pierwszych wieków wspominał te słowa? W ilu miejscach na pustyni, w górach i w żyznych dolinach rzek szukał dwóch rudowłosych sióstr? Wśród Beduinów, którzy niegdyś udzielili im schronienia, wśród łowców, którzy nadal odziewają się w skóry, i pomiędzy ludem Jerycha, najstarszego miasta świata. One były już legendą.

A potem nastąpiło błogosławione szaleństwo; utracił wszelką wiedzę, urazę, ból. Był

Khaymanem, pełnym miłości do wszystkiego, co widział wokół siebie, istotą, która rozumiała słowo „radość”.

Czy to możliwe, że ta godzina nadeszła? Że bliźniaczkom udało się przetrwać, podobnie jak jemu? I z tej wielkiej przyczyny została mu przywrócona pamięć?

Ach, jakże olśniewająca i przytłaczająca jest myśl, że Pierwsze Plemię się zjednoczy, że zagna wreszcie zwycięstwa.

Z gorzkim uśmiechem pomyślał o ludzkim głodzie heroizmu Wampira Lestata. Tak, „mój bracie

- odezwał się do niego w wyobraźni - wybacz mi moją drwinę. Ja też pragnę dobra i chwały, ale wygląda na to, że nie ma przeznaczenia i nie ma odkupienia. To właśnie widzę, kiedy stoję nad tym zbrukanym, starożytnym pejzażem - oczekują nas wszystkich tylko narodziny, śmierć i koszmary.

Po raz ostatni spojrział na śpiące miasto, pełne brzydoty i trosk nowoczesne skupisko ludzi, w którym był tak zadowolony i zaspokojony, wędrując bez końca od jednego starego grobu do drugiego.

Potem uniósł się w górę i błyskawicznie poszybował nad chmury. Czekala go największa próba tego świętego daru i z uwielbieniem witał nagłe poczucie celowości, choćby nawet iluzoryczne.

Ruszył w kierunku Wampira Lestata i głosów, które błagalnie domagały się wyjaśnienia snów o bliźniaczkach. Ruszył ku zachodowi, tak jak wcześniej ona.

Peleryna rozwinęła się jak gładkie skrzydła; wspaniałe chłodne powietrze opływało go, wywołując nagły wybuch głośnego śmiechu, jakby na krótką chwilę znów był szczęśliwym prostaczkiem.

Rozdział szósty

Opowieść o Jesse, wielkiej rodzinie i Talamasce

a.

Zmarli nie dzielą się.

Chociaż wychylają się ku nam

Z grobów (przysięgam,

Że się wychylają), nie podają

nam swych serc.

Podają swoje głowy,

tę ich część, która patrzy uparcie.

Stan Rice „Ich udział” z tomu „Treść dzieła” (1983)

b.

Okryj jej oblicze; me oczy olśniła; umarła młodo.

John Webster

c.

TALAMASCA

Badacze nadprzyrodzonego

Trzymamy straż

I zawsze jesteśmy obecni.

Londyn Amsterdam Rzym

Jesse jęczała we śnie. Była delikatną kobietą o kręconych rudych włosach, liczącą sobie trzydzieści pięć lat. Leżała zagrzebana głęboko w bezkształtnym, gubiącym pierze materacu, umieszczonym na drewnianej ramie zwisającej z sufitu na czterech zardzewiałych łańcuchach.

Gdzieś w rozległym domu bił zegar. Musi się obudzić. Dwie godziny zostały do występu Wampira Lestata. Ale w tej chwili nie mogła porzucić bliźniaczek.

Zawrotne tempo tej części snu było niespodziewane i niezrozumiałe (choć wszystkie sny o bliźniaczkach były tak niejasne, że dostawało się szału). Jednak na pewno znów znalazły się w pustynnym królestwie. Otaczała je wroga tłuszcza. Jak bardzo się zmieniły, jakże są blade. Może ich fosforyzujący blask był złudzeniem, lecz zdawało się, że świeciły w zapadających ciemnościach, a ich ruchy były płynne, jakby spętane tańcem. Jedna uciekała w objęcia drugiej, ciskano w nie bowiem płonącymi żagwiami; ale oto stało się coś złego, coś bardzo złego. Jedna z nich była ślepa. Zaciskała mocno powieki, delikatna skórka była pomarszczona i wpadnięta. Tak, wydłubali jej oczy. A czemu druga wydaje takie straszne dźwięki?

- Uspokój się, przestań stawiać opór - powiedziała ślepa w starożytnym języku, który w snach był zawsze zrozumiały. A druga bliźniaczka wydała okropny gulgoczący jęk. Nie mogła mówić.

Ucięto jej język!

Nie chcę tego dłużej oglądać, chcę się obudzić. Ale oto żołnierze przepychają się przez tłum, może się wydarzyć coś strasznego; bliźniaczki z nagłą nieruchomieją. Żołnierze łapią je i prowadzą w różne strony.

Nie róbcie tego! Nie wiecie, czym jest dla nich rozdzielenie? Zabierzcie żagwie. Nie palcie ich.

Nie palcie ich rudych włosów.

Ślepa wyciągnęła ręce w kierunku siostry, krzyczy jej imię:

- Mekare!

A Mekare, niema siostra, która nie może odpowiedzieć, wydaje ryk rannej bestii.

Tłum się rozdziela, robiąc miejsce dla dwóch ogromnych kamiennych trumien dźwiganych na wielkich ciężkich marach. Nie wygładzone sarkofagi o wiekach imitujących kształt ludzkich twarzy i ciał. Czym bliźniaczki sobie zasłużyły, by zamykać je w trumnach? Nie wytrzymam tego! Kładą mary na ziemi, doprowadzają bliźniaczki, podnoszą wieka. Nie róbcie tego! Ślepa walczy, jakby widziała, co się dzieje, ale ujarzmiają ją, unoszą i wkładają do skrzyni. Mekare przygląda się temu z niema grozą, chociaż i ją ciągną do mar. Nie opuszczajcie wieka albo będę krzyczeć za Mekare! Za nie obie...

Jesse usiadła z otwartymi oczami. Tak, krzyczała przez sen.

Krzyczała przeraźliwie, sama w tym domu, gdzie nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć, i gdzie nadal dźwięczało echo tamtego krzyku. Miętko opadająca cisza, lekkie skrzywienie łańcuchów łóżka, śpiew ptaków w lesie, w głębokiej puszczy i dziwne przeświadczenie, że zegar wybił szóstą, oto było wszystko, co słyszała i czuła.

Sen rozpływał się szybko. Rozpaczliwie usiłowała go uchwycić, zobaczyć wymykające się szczegóły - ubrania tego dziwnego nieznanego ludu, oręż żołnierzy, twarze bliźniaczek! Ale wszystko już przepadło. Pozostał jedynie nastrój chwili i głęboka świadomość tego, co się wydarzyło - a także pewność, że Wampir Lestat ma coś wspólnego z tymi snami.

Senna spojrzała na zegarek. Nie zostało wiele czasu. Chciała być wśród widzów, kiedy Wampir Lestat wejdzie na estradę; chciała być w pierwszym rzędzie.

A jednak wahała się, wpatrzona w białe róże na nocnym stoliczku. Za oknem ujrzała niebo południa pełne słabego oranżowego światła. Sięgnęła po list leżący obok kwiatów i przeczytała go kolejny raz.

Kochanie,

dopiero teraz otrzymałam Twój list, znajdowałam się bowiem daleko od domu i dotarł do mnie z pewnym opóźnieniem. Rozumiem fascynację, którą ta postać, Lestat, w Tobie budzi. Jego muzykę słyhać nawet w Rio. Przeczytałam już książki, które załączyłaś. I wiem o Twoich badaniach tej postaci dla Talamaski. Twoje sny o bliźniaczkach musimy omówić osobiście. Jest to sprawa najwyższej wagi. Błagam Cię... nie, zabraniam Ci iść na ten koncert. Musisz pozostać na terenie Sonomy, dopóki tam nie przyjadę. Wyjadę z Brazylii najwcześniej, jak to będzie możliwe.

Czekaj na mnie. Kocham Cię

Twoja ciotka Maharet

- Maharet, przykro mi - szepnęła. Myśl, że mogłaby nie pojechać, była nie do przyjęcia. Jeśli ktoś na świecie to rozumiał, to właśnie Maharet.

Talamasca, dla której przepracowała dwanaście długich lat, nigdy nie wybaczyłaby jej nieposłuszeństwa. Ale Maharet знаła powód; sama nim była! Maharet wybaczy.

Szumiało jej w głowie. Nocne koszmary nie chciały jej opuścić. Przedmioty stopniowo znikwały w cieniach, a zmierzch nagle zapłonął tak wyraźnie, że nawet zalesione wzgórza odbijały światło.

Róże fosforyzowały jak białe ciała bliźniaczek.

Białe róże... usiłowała przypomnieć sobie coś, co słyszała o białych różach. To kwiaty żałobne.

Ale nie, Maharet nie mogło o to chodzić.

Jesse ujęła jeden z pąków i płatki natychmiast się posypały. Co za słodycz. Przycisnęła je do ust i przypomniała sobie niewyraźną scenę: Maharet w domu, dawno temu, latem, w oświetlonym świeczkami pokoju leży na posłaniu z płatków róż, wielu, wielu białych, żółtych i różowych płatków, które zebrała i rozsypała na twarzy i szyi.

Czy naprawdę to widziała? Tak wiele płatków zaplątało się w długie rude włosy Maharet. Rude jak włosy Jesse, jak włosy bliźniaczek - grube, wijące się, przebłyskujące złotem.

Był to jeden z setek kawałeczków wspomnienia, których nigdy nie potrafiła złożyć w całość. To już jednak nie miało znaczenia, co pamięta z sennego zagubionego lata. Wampir Lestat czekał; oto będzie koniec, jeśli nie odpowiedź, zupełnie jak obietnica samej śmierci.

Wstała. Ubrała znoszoną obszarpaną kurtkę, z którą nie rozstawała się w tych dniach, podobnie jak i z męską koszulą i džinsami. Włożyła zniszczone kowbojki.

Musi opuścić ten pusty dom, który nie zaproszona nawiedziła tego ranka. Odjazd sprawiał jej ból. Ale jeszcze większy ból sprawił jej sam przyjazd.

* * *

O świcie pojawiła się na skraju polany, zdumiona, ale nie zaniepokojona tym, że wszystko jest takie jak przed piętnastu laty: nieregularna budowla wbita w podnóże góry, dach i werandy wsparte na kolumnkach w woalu pysznej, mieniącej się niebiesko winorośli. Wyżej, na wpół

ukryte w trawiastym stoku okienka odbijały pierwsze błyski słońca.

Czuła się jak szpieg, gdy wchodziła po frontowych schodach ze starym kluczem w dłoni.

Wyglądało na to, że nikt nie był tu od miesięcy. Gdziekolwiek by spojrzeć, kurz i liście.

Tymczasem w kryształowej wazie czekały róże, a do drzwi przybito zaadresowaną do niej kopertę z listem i nowym kluczem.

Godzinami myszkowała, zwiedzając stare kąty. Nie przeszkadzało jej zmęczenie po całej nocy jazdy samochodem. Musiała przejść przez rozległe, przygniatające ogromem pokoje i zacienione antresole. Nigdy wcześniej dom nie przypominał tak bardzo surowego zamku. Niezwykłych rozmiarów bele podtrzymywały stropy z surowych desek, a nad okrągłymi kamiennymi paleniskami wisiały omszałe, szerniały od dymu okapy.

Nawet umeblowanie było masywne - blaty stołów z kamieni młyńskich, fotele i kanapy z nie wygładzonego drewna zarzucono miękkimi poduszkami, półki na książki i nisze ściennie wyżłobiono w surowych ścianach z suszonej cegły.

W tym domu był pewien średniowieczny majestat. Szczątki sztuki Majów, etruskie misy i posążki Hetytów pasowały tu jak ulał pomiędzy głębokimi kasetonami i kamiennymi posadzkami. Było tu jak w fortecy. Było bezpiecznie.

Tylko dzieła Maharet mieniły się rozjarzoną tęczą barw, jakby zaczerpnęła je z pobliskich drzew i nieba. Wspomnienia w najmniejszym stopniu nie wyolbrzymiły ich urody. Miękkie, grube kilimy na ścianach z wyszytymi swobodnie leśnymi kwiatami i wszędobylską trawą były jak sama ziemia. Niezliczone pikowane poduszki z ciekawymi prymitywnymi rysunkami ludzi i dziwnymi symbolami, a wreszcie gigantyczne makaty - nowoczesne gobeliny zasłaniające ściany dziecinnymi obrazkami wspaniałych chmur i nawet padającego deszczu, pól, strumieni, gór, lasów oraz nieba, na którym jednocześnie widniały słońce i księżyc. Tak przemyślnie zszyto te miriady kawałków materiału, że tworząc do najdrobniejszego szczegółu wodną kaskadę lub opadający liść, miały wibrującą moc prymitywnego malarstwa.

Jesse serce się krajało, kiedy znowu to oglądała.

W południe, głodna i z zawrotami głowy po długiej bezsennej nocy, zdobyła się na odwagę i podniosła zasuwę tylnych drzwi, prowadzących do ślepych pomieszczeń w środku góry. Bez tchu szła kamiennym pasażem. Serce waliło jej w piersiach, kiedy okazało się, że drzwi do biblioteki nie są zamknięte na klucz; włączyła światło.

Ach, piętnaście lat temu przeżyła tu najszcześniejsze lato w życiu. Wszystkie późniejsze cudowne przygody, nawet łowienie duchów dla Talamaski, to zero w porównaniu z tamtym czarodziejskim i niezapomnianym okresem.

Siedziała wraz z Maharet w bibliotece, w kominku płonął ogień. Patrzyła na niezliczone tomy, wprawiające ją w zdumienie i zachwyty. Widziała drzewo genealogiczne Wielkiej Rodziny.

Maharet nazywała to: „nić, której trzymamy się w labiryncie życia”. Z jaką miłością Maharet zdejmowała książki, otwierała szkatuły ze starymi pergaminowymi zwojami.

Tamtego lata nie umiała przewidzieć skutków wszystkiego, co zobaczyła. Była w stanie łagodnego pomieszania, cudownego zawieszenia praw codziennej rzeczywistości, jakby papirusy, których nie

potrafiła odczytać, należały raczej do snu. A przecież była wykształconym archeologiem. Szkoliła się podczas wykopalisk w Egipcie i Jerychu, lecz nie potrafiła odszyfrować tych dziwnych hieroglifów. Na Boga, ile to może mieć lat? - zadawała sobie pytanie.

Po latach usiłowała przypomnieć sobie inne widziane wówczas dokumenty.

Była pewna, że pewnego ranka weszła do biblioteki i znalazła otwarte pomieszczenie w głębi.

Długim korytarzem przeszła do nie oświetlonych pokoi. Gdy wreszcie znalazła kontakt, ujrzała wielki magazyn z glinianymi tabliczkami pokrytymi małymi rysunkami! Bez wątpienia trzymała je w dłoniach.

Stało się coś jeszcze; coś, czego nigdy tak naprawdę nie chciała sobie przypomnieć. Czy był tam jeszcze jeden korytarz? Pamiętała z pewnością kręcone żelazne schody, które zaprowadziły ją do niższych pokoi o zwykłych glinianych ścianach. Małe żarówki wkręcono w staromodne porcelanowe oprawki. Pociągnęła za łańcuszki, włączyła światło.

Z pewnością to zrobiła. Z pewnością otworzyła ciężkie sekwojowe drzwi...

Po latach przypominała sobie drobne migawki - rozległa niska sala z dębowymi krzesłami, stołem i ławami jakby z kamienia. I co jeszcze? Coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się niesłychanie znajome. I wtedy...

Później, nocą potrafiła sobie przypomnieć tylko schody. Nagle wybiła dziesiąta, właśnie się obudziła, a Maharet, stojąca w nogach łóżka, podeszła i pocałowała ją. Ten cudowny, gorący pocałunek wzbudził w niej łagodne pulsowanie. Maharet powiedziała, że znaleźli ją śpiącą na polanie przy górskim strumyku i o zachodzie słońca przynieśli do domu.

Przy strumyku? Miesiące potem „pamiętała”, że tam zasnęła. Prawdę mówiąc, zachowała całkiem bogate „wspomnienia” znieruchomiałego lasu i wody szmerzącej na kamieniach. Ale to był fałszywy obraz, teraz wiedziała na pewno.

Jednak tego dnia, piętnaście lat później, nie miała żadnych dowodów na to, które z tamtych niejasnych wspomnień były prawdziwe. Zamknięto przed nią pokoje. Nawet gładkie tomy rodzinnej historii spoczęły pod kluczem w szklanych gablotach, których nie śmiała otworzyć.

Nigdy nie potrafiła do końca uwierzyć w to, co sobie przypominała. Tak, były gliniane tabliczki pokryte wyłącznie prymitywnymi rysunkami osób, drzew, zwierząt. Oglądała je, zdejmowała z półek i podnosiła ku słabemu światłu. Tak, były schody, sala, która ją przestraszyła, nie, przerażała, tak... były.

Lecz tamtego ciepłego lata był tu i raj, dni i noce przegadane, przetańczone wraz z Maelem i Maharet. Późniejszy ból, niepojęta decyzja Maharet, odesłanie do Nowego Jorku i absolutny zakaz powrotu odeszły w zapomnienie.

Moja kochana,

tak naprawdę to za bardzo Cię kocham. Jeśli się nie rozdzielimy, moje życie pochłonie Twoje.

Musisz mieć wolność, Jesse, żeby układać własne plany, mieć własne ambicje, marzenia...

Powróciła nie po to, by zatrzeć dawny ból, ale by znowu, przez krótką chwilę, przeżyć dawną radość.

* * *

Po południu zwalczyła znużenie, wreszcie opuściła dom i poszła długą ścieżką między dębami.

Jak łatwo znaleźć dawny szlak pośród sekwoi, polanę w otoczeniu paproci, koniczyny na stromych brzegach płytkiego wartkiego strumyka.

Kiedyś Maharet przyprowadziła ją tu po zmroku; dotarli kamienną ścieżką aż do brzegu.

Dołączył do nich Mael. Maharet nalała Jesse wina i śpiewali razem pieśń, której Jesse nigdy potem nie potrafiła sobie przypomnieć, chociaż od czasu do czasu uświadamiała sobie, że z niewytłumaczalną dokładnością nuci tę niesamowitą melodię, a kiedy przerywa, zaskoczona tym, co robi, nie potrafi już znaleźć właściwych nut.

Mogłaby zasnąć nieopodal strumyka, w głębokim chaosie leśnych odgłosów, podobnie jak w tamtym „wspomnieniu” sprzed wielu lat.

Jakże oślepiająca była jasna zieleń klonów, łowiąca rzadkie groty światła. I jak monstualne wydają się sekwoje w tym niezmaconym spokoju. Mamucie, obojętne, sięgają na wiele dziesiątków metrów w górę, gdzie chłodne koronkowe igły kreślą na niebie postrzępioną linię.

Wiedziała, ile będzie ją kosztować dzisiejszy koncert z wrzeszczącymi fanami Lestata. Ale lękała się, że sen o bliźniaczkach powróci.

* * *

Wreszcie powróciła do domu, by zabrać ze sobą róże i list. Odnalazła swój dawny pokój. Była trzecia. Kto nakręcał zegary w tym domu? Bała się snu o bliźniaczkach, czuła się zbyt zmęczona, aby dalej walczyć. Nie było tu żadnych upiorów, spotykanych przez nią tyle razy podczas pracy.

Jedynie spokój. Położyła się w starym wiszącym łożu, na kołdrze, którą sama z taką starannością uszyła przy pomocy Maharet tamtego lata. A sen - i bliźniaczki - przyszli razem.

* * *

Miała dwie godziny na dojazd do San Francisco i znowu musiała opuścić ten dom, być może we łzach. Przejrzała kieszenie. Paszport, dokumenty, pieniądze, klucze.

Zarzuciła na ramię skórzaną torbę i spiesznie ruszyła długim korytarzem ku schodom. Zmierzch zapadł szybko, a kiedy noc okryje las, widoczność zmaleje do zera.

Kiedy dotarła do głównego holu, było tam trochę światła. Kilka długich promieni słonecznych wpadało przez zachodnie okna i biegnąc w tunelach kurzu, oświetlało gigantyczną makatę na ścianie.

Jesse zapało dech, kiedy na nią popatrzyła. Był to jej ulubiony gobelin ze względu na swoją złożoność i ogrom. Początkowo wydawało się, że to wielka masa przypadkowych skrawków drukowanego perkalu i łąt - po czym stopniowo z mnóstwa kawałeczków wyłaniał się zalesiony pejzaż. W jednej chwili widziała go, w następnej znikał. Tak właśnie było tamtego lata, kiedy pijana winem chodziła przed makatą tam i z powrotem, tracąc z oczu wzór, a potem go odnajdując; góra, las, wioseczka wtulona w zieloną dolinę poniżej.

- Wybacz mi, Maharet - szepnęła cicho. Musiała odejść. Jej podróż dobiegała końca.

Lecz właśnie kiedy odwracała wzrok, pewien szczegół na zszywanym wizerunku zwrócił jej uwagę. Znowu uważnie na niego spojrzała. Czy były tam figurki, których nie widziała wcześniej?

Znowu miała przed sobą mrowie fragmentów. Potem z wolna wyłoniło się zbocze góry, następnie drzewa oliwkowe, a wreszcie dachy wioski, żółte niepozorne chaty rozrzucone w gładkim zagłębieniu doliny. Figurki? Nie potrafiła ich odnaleźć. Do chwili, w której znowu odwróciła głowę. Przez ułamek sekundy dostrzegła je kątem oka. Dwie drobne figurki trzymające się za ręce, rudowłose kobiety!

Powoli, niemal ostrożnie, wróciła wzrokiem do makaty. Serce skakało jej w piersiach. Tak, są.

Ale może to złudzenie?

Przebiegła pokój, znalazła się bezpośrednio przed dziełem Maharet. Dotknęła go. Tak! Każda ze szmacianych laleczek miała parę zielonych guziczków imitujących oczy, starannie przyszyty nos i czerwone usta! A włosy, włosy były z czerwonej przędzy ułożonej w ostre fale i delikatnie naszytej nad białymi ramionami.

Wpatrywała się, nie dowierzając własnym oczom. Bliźniaczki tam były! Gdy stała tak, sparaliżowana, pokój pogrążył się w mroku. Ostatki światła skryły się za linią horyzontu. Makata rozplywała się w nieczytelną plamę.

Usłyszała zegar wybijający kwadrans. Zadzwoń do Talamaski. Zadzwoń do Dawida w Londynie. Opowiedz im część, jakąkolwiek... Ale to było niemożliwe, wiedziała o tym. I ze złamanym sercem zdała sobie sprawę, że bez względu na to, co spotka ją dziś wieczór, Talamasca nigdy nie dowie się o wszystkim.

Zmusiła się do wyjścia, zamknęła drzwi na klucz i pokonawszy głęboką werandę, ruszyła długim szlakiem w dół.

Nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje, dlaczego jest tak wstrząśnięta i czemu musi powstrzymywać łzy. Potwierdziły się podejrzenia i wszystkie domniemania. Była wystraszona.

Łzy płynęły wbrew jej woli.

Zaczekaj na Maharet - usłyszała w głowie ostrzegawczy głos.

Nie mogła czekać. Maharet omamiłaby ją, zbiła z tropu, w imię miłości odwiódłaby od tajemnicy. Tak właśnie było tamtego lata, dawno temu. Wampir Lestat nie krył niczego. Wampir Lestat był najważniejszym elementem układanki. Zobaczyć go i dotknąć oznaczało potwierdzić wszystkie domysły.

Czerwony mercedes roadster zapalił natychmiast. Cofnęła się w bryzgach żwiru, zawróciła i ruszyła w kierunku wąskiej polnej drogi. Kabriolet był otwarty; zanim dojedzie do San Francisco, będzie skostniała z zimna, ale to nieważne. Uwielbiała czuć powiew zimnego powietrza na twarzy, szybką jazdę.

Droga od razu pograżyła się w leśnym mroku, którego nie przenikał nawet wschodzący księżyc.

Jechała sześćdziesiątką, z łatwością pokonując ostre zakręty. Nagle smutek zaciążył jej jeszcze bardziej, ale obyło się bez łez. Wampir Lestat... był prawie tuż.

Dojechawszy wreszcie do drogi powiatowej, przekroczyła dozwoloną prędkość i śpiewała, prawie nie słysząc słów w gwiździe wiatru. Kiedy przemknęła przez śliczne miasteczko Santa Rosa i wpadła w szybki prąd drogi nr 101, zapanowała całkowita ciemność.

Napływała przybrzeżna mgła. Ciemne wzgórza na wschodzie i zachodzie wyglądały upiornie, potok światła pozycyjnych wyznaczał jednak rozjaśniony szlak. Rosło w niej podniecenie.

Jeszcze godzina jazdy do Golden Gate. Smutek ustępował. Przez całe życie była pewnym siebie dzieckiem szczęścia, czasem niecierpliwym, gdy miała do czynienia z ludźmi wykazującymi nadmiar ostrożności. I mimo że tej nocy miała uczucie nieuchronności losu, wyraźnego niebezpieczeństwa, ku któremu się zbliżała, uznała, iż jej niezwykle szczęście zostanie z nią nadal. Nie bała się ani trochę.

* * *

Uważała, że szczęście towarzyszy jej od narodzin, kiedy to jej siedemnastoletnia ciężarna matka zginęła w wypadku, a ją znaleziono przy drodze - ofiarę spontanicznej aborcji, wrzeszczące wniebogłosy niemowlę oczyszczające małe płuca w chwili przyjazdu karetki pogotowia.

Przez dwa tygodnie leniuchowania w szpitalu nie miała imienia, skazana na sterylność i chłód maszyn; ale pielęgniarki uwielbiały ją, nazywając „jaskółeczką”, gładząc po główce i śpiewając, kiedy się tylko dało.

Lata później miały do niej napisać, dołączając zrobione wtedy zdjęcia i przekazując opowiadki, które w ogromnym stopniu wzmocniły w niej poczucie, że miłość otaczała ją dosłownie od przyjścia na świat.

To właśnie Maharet wreszcie zjawiała się, by ją zabrać. Przedstawiła się jako jedyny żyjący członek rodziny Reevesów z Karoliny Południowej i zabrała ze sobą do Nowego Jorku.

Wychowywała się z kuzynami o innym nazwisku i pochodzeniu. Przyszło jej dorastać w wytwornym

dwukondygnacyjnym mieszkaniu przy Lexington Avenue z Marią i Matthew Godwinami, którzy obdarzyli ją nie tylko miłością, ale wręcz wszystkim, czego mogła zapragnąć.

Angielska bona spała w jej pokoju, dopóki Jesse nie ukończyła jedenastu lat.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dowiedziała się o tym, że to ciotce Maharet zawdzięcza swobodę w wyborze college'u i kariery zawodowej. Matthew Godwin był lekarzem, Maria niegdyś tańczyła i nauczała; nie ukrywali swojego przywiązania i zaufania do Jesse. Uznali ją za córkę, której zawsze pragnęli, i były to bogate, a także szczęśliwe lata.

Listy od Maharet zaczęły przychodzić, gdy Jesse była jeszcze zbyt mała, aby je przeczytać. Były cudowne, często pełne kolorowych pocztówek i dziwnych monet z krajów, w których Maharet mieszkała. Jesse miała pełną szufladę rupii i lirów, zanim osiągnęła siedemnasty rok życia. A co ważniejsze, miała w Maharet przyjaciela, który odpowiadał na każdą napisaną linijkę z uczuciem i opiekuńczością.

To właśnie Maharet podsuwała jej lektury, zachęcała do lekcji muzyki i malarstwa, zaaranżowała podróże po Europie i wreszcie namówiła do nauki w Columbia University, gdzie Jesse studiowała dawne języki i sztukę.

To Maharet zaaranżowała jej bożonarodzeniowe wizyty u europejskich kuzynów - Scartinów we Włoszech, potężnej bankierskiej rodziny zamieszkującej willę na obrzeżu Sieny, i skromniejszych Borchardtów w Paryżu, którzy przyjęli ją serdecznie w swoim zatłoczonym, ale radosnym domu.

Tego lata, gdy Jesse zaczęła siedemnasty rok, pojechała do Wiednia, by poznać rosyjską emigracyjną gałąź rodziny, młodych natchnionych intelektualistów i muzyków, których ogromnie polubiła. A potem była podróż do Anglii i znajomość z Reevesami, bezpośrednio związanymi z tymi Reevesami z Karoliny Południowej, którzy przed wiekami wyjechali z Anglii.

Kiedy miała osiemnaście lat, złożyła wizytę kuzynom Petralona w ich willi na Santorini. Ci bogaci i egzotycznie wyglądający Grecy, żyjący w feudalnym przepychu i otoczeni wieśniaczą służbą, pod wpływem chwilowego impulsu zabrali Jesse w podróż jachtem do Stambułu, Aleksandrii i na Kretę.

Jesse niemalże straciła głowę dla młodego Constantina Petralona. Maharet dała jej znać, że jeśli zapragną się pobrać, otrzymają błogosławieństwo wszystkich, ale decyzję musi podjąć sama.

Jesse ucałowała przystojnego kochanka i odleciała z powrotem do Ameryki, studiować i przygotowywać się do pierwszej wyprawy archeologicznej do Iraku.

Nawet podczas nauki w college'u utrzymywała stałe więzi z rodziną. Wszyscy byli dla niej tak dobrzy; lecz trzeba też dodać, że wszyscy byli dobrzy dla wszystkich, ponieważ wierzyli w więzi rodzinne. Wzajemne wizyty były na porządku dziennym; częste małżeństwa w obrębie rodziny stwarzały niezliczone koligacje; w każdym domu były przygotowane pokoje dla krewnych, którzy mogli wpaść nie zapowiedziani. Rodzinne drzewa genealogiczne wydawały się sięgać w bezkresną przeszłość; krążyły zabawne opowiadki o sławnych krewnych nie żyjących od trzystu lub czterystu lat. Jesse czuła ogromne przywiązanie do tych ludzi.

W Rzymie była czarowana przez kuzynów, którzy wozili ją na złamanie karku lśnącymi ferrari, puszczać na cały regulator radio i dostarczając nocą do uroczego starego *palazzo* bez kanalizacji, ale za to z dziurawym dachem. Żydowski kuzyni w południowej Kalifornii byli oszałamiającą bandą muzyków, projektantów mody i producentów, od pięćdziesięciu lat związaną na przeróżne sposoby z przemysłem filmowym i wielkimi studiami. Ich stary dom przy Hollywood Boulevard był przystanią dla całego zastępu bezrobotnych aktorów. Jesse miała tam dla siebie przestronny strych; kolację serwowano o szóstej bez względu na to, czy za stołem siadała jedna osoba czy cały tłum.

Ale kim była ta Maharet, ów odległy, niemniej jednak zawsze uważny mentor, prowadzący ją przez lata uniwersyteckie, przysyłający częste i mądre listy, podsuwający osobiste rady, skrzętnie wykorzystywane przez Jesse i bardzo przez nią upragnione, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała?

Maharet była stale obecna w życiu wszystkich kuzynów., poznanych przez Jesse, chociaż wizyty

„najdroższej ciotki” były równie rzadkie, co znaczące. Była strażnikiem archiwów Wielkiej Rodziny, to jest wszystkich krewnych, wielu różnych nazwisk rozsianych po całym świecie. To właśnie ona często doprowadzała do rodzinnych zjazdów, nawet aranżowała małżeństwa, by jednoczyć różne gałęzie, i to ona nieodmiennie była pomocą w trudnych okresach, nieocenioną w sprawach życia i śmierci.

Przed Maharet była jej matka, teraz nazywana „starą Maharet”, a przed tamtą był babcia Maharet i tak dalej i dalej, jak sięgała ludzka pamięć. „Zawsze będzie jakaś Maharet”, brzmiało rodzinne powiedzenie, powtarzane z równym przekonaniem po niemiecku, rosyjsku, a także w jidysz czy po grecku. Znaczyło to, że jeden potomek płci żeńskiej w każdym pokoleniu przyjmuje owo imię i obowiązki strażnika-archiwisty. Tak się przynajmniej wydawało, gdyż oprócz samej Maharet nikt nie znał szczegółów.

„Kiedy Cię zobaczę?” - pisała wielokrotnie Jesse w ciągu tamtych lat. Zbierała znaczki z Delhi, Rio, Mexico City, Bangkoku, Tokio, Limy, Sajgonu i Moskwy.

Cała rodzina była przywiązana do tej kobiety i zafascynowana nią, ale w przypadku Jesse wchodziła w grę pewna tajemnica oraz potężna więź.

Od najwcześniejszych lat Jesse miała niezwykle doznania, nieporównywalne z przeżyciami pospolitych ludzi.

Na przykład rozpoznawała z grubsza ludzkie myśli. „Wiedziała”, w kim budzi niechęć lub kto ją okłamuje. Miała zdolności językowe, często rozumiała sens wypowiedzi, nawet jeśli nie rozumiała znaczenia poszczególnych wyrazów.

A ponadto widziała zjawy ludzi i budynków.

Kiedy była bardzo mała, często dostrzegała ze swojego okna na Manhattanie niewyraźny szary zarys eleganckiej miejskiej rezydencji. Wiedziała, że budynek nie jest rzeczywisty, i początkowo zjawa budziła w niej śmiech - czasami przezroczysta, czasami solidna jak sama ulica, ze światłami

padającymi zza koronkowych zasłon. Minęły lata, zanim dowiedziała się, że fantom był wizerunkiem domu architekta Stanforda White'a. Rezydencję zrównano z ziemią dziesięć lat temu.

Zjawy ludzi miały bardziej zwiewne kształty, a pojawienie się tych migotliwych istot często było jakby wyrazem niewytłumaczalnego dyskomfortu odczuwanego przez nią w danym miejscu.

Jednakże w miarę jak dorastała, wizje stawały się lepiej widoczne i trwalsze. Pewnego deszczowego wieczoru przeświecająca postać staruszki zbliżyła się do Jesse spokojnym krokiem, aby w końcu przejść przez nią na wylot. Rozhisteryzowana Jesse popędziła do najbliższego sklepu i sprzedawcy zadzwonili po Matthew i Marię. Jesse w kółko powtarzała, że widziała udręczoną twarz kobiety i jej załzawione oczy, które wydawały się nie dostrzegać prawdziwego świata.

Kiedy opisywała te zjawiska, przyjaciele często nie dawali jej wiary. Byli jednak zafascynowani i błagali ją o dalsze historyjki. To budziło nieprzyjemne uczucie bezradności, więc zaczęła unikać podobnych zwierzeń, chociaż nie przekroczyła jeszcze dwunastego roku życia, a napotykała te zagubione dusze coraz częściej.

Dostrzegała blade, niespokojne kreatury nawet w środku dnia, idąc tłumną Fifth Avenue. A potem, kiedy miała szesnaście lat, któregoś ranka zobaczyła w Central Parku wyraźną zjawę młodego człowieka siedzącego nieopodal na ławce. Park był pełen ludzi, ale tamta postać wydawała się oderwana od wszystkiego, nie należąca do otoczenia. Dźwięki wokół Jesse zaczęły rzednąć, jakby wchłaniane przez to coś. Modliła się, żeby sobie poszło. Ale zamiast wysłuchać jej błagań, odwróciło się, zatrzymało na niej swój wzrok i próbowało się do niej odezwać.

Jesse rzuciła się do ucieczki i biegła bez wytchnienia aż do samego domu. Dała się ponieść panice.

- Od tej pory one będą mnie rozpoznawać - oświadczyła Matthew i Marii. Bała się wyjść z mieszkania. Wreszcie Matthew dał jej środek uspokajający i powiedział, że to pozwoli jej zasnąć.

Zostawił drzwi otwarte, żeby się nie bała.

Kiedy leżała tak, zawieszona między snem a jawą, do pokoju weszła jakaś dziewczyna. Jesse zdała sobie sprawę, że ją zna; oczywiście, jako członek rodziny zawsze tu przebywała, tuż przy Jesse, wiele rozmawiały i nic w tym dziwnego, że okazała się taka słodka, kochana, tak znajoma.

Była dopiero nastolatką, nie starszą niż Jesse.

Usiadła na łóżku Jesse i powiedziała jej, że nie powinna się denerwować, ponieważ duchy nigdy by jej nie skrzywdziły. Żaden duch nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Nie mają takiej mocy. To biedne, żalosne stworzenia.

- Napisz do ciotki Maharet - powiedziała, pocałowała Jesse i zgarnęła jej włosy z twarzy.

Tymczasem środek uspokajający zaczął działać. Oczy Jesse same się zamykały. Chciała spytać o katastrofę samochodową, podczas której się urodziła, ale nie potrafiła zebrać myśli.

- Do widzenia, skarbie - powiedziała dziewczyna i Jesse zasnęła, zanim tamta wyszła z pokoju.

Kiedy się obudziła, była druga w nocy. W mieszkaniu nie świeciło się żadne światło.

Natychmiast zaczęła list do Maharet, opisując wszystkie dziwne zdarzenia, które pamiętała.

Dopiero w porze kolacji pomyślała o dziewczynie i aż drgnęła. To niemożliwe, żeby ktoś taki tu mieszkał, wszystko wiedział i był zawsze obecny. Jak mogła uznać to za normalne? A przecież nawet w liście pisała: „Oczywiście, Miriam była tu i powiedziała...” Kim była Miriam? To imię widniało na świadectwie urodzenia Jesse. To mama.

Jesse nie opowiedziała nikomu, co się stało. Ogarnęło ją jednak przytulne ciepło. Czuła Miriam przy sobie, była pewna jej obecności.

List Maharet przyszedł pięć dni później. Maharet uwierzyła jej. Te zjawy nie były niczym zaskakującym. Niewątpliwie takie stworzenia istniały i nie tylko Jesse je widywała.

* * *

W naszej rodzinie od pokoleń różne osoby widziały duchy. Jak wiesz, mówiono, że są to czarownicy i czarownice. Często z wyglądu przypominali Ciebie: zielone oczy, blada skóra, rude włosy. Te geny chyba podróżują razem. Może pewnego dnia nauka nam to wyjaśni, lecz niezależnie od tego możesz być pewna, że Twoje moce są całkowicie naturalne.

Jednakże nie znaczy to, że zjawy działają pozytywnie. To, że są prawdziwe, nie ma większego znaczenia! Potrafią być mściwe i zwodnicze. Z pewnością nie pomożesz bytom, które próbują się z Tobą skontaktować; czasami są to jedynie pozbawione energii życiowej zjawy - widzialne echa osobowości, których już nie ma.

Nie lękaj się ich, ale nie pozwól im marnotrawić swojego czasu, kiedy bowiem odkryją, że ktoś je widzi, narzucają się bez opamiętania. Co do Miriam, to musisz mnie zawiadomić, jeśli znów ją spotkasz. Jednakże ponieważ spełniłaś jej wskazówkę i napisałaś do mnie, nie sądzę, żeby miała potrzebę wracać. Jest wielce prawdopodobne, że wyrasta ponad smutne żarty tych, których widzisz najczęściej. Pisz do mnie o tych istotach, kiedy tylko Cię wystraszą. Unikaj jednak opowieści o nich. Ci, którzy nie widzą, nigdy Ci nie uwierzą.

* * *

Ten list wyświadczył Jesse nieocenioną przysługę. Przez lata nosiła go wszędzie ze sobą, w torebce lub w kieszeni. Maharet nie tylko dała jej wiarę, ale znalazła sposób, jak zrozumieć te kłopotliwe siły i zachować wewnętrzny spokój. Wszystko, co napisała, miało sens.

Zdarzało się później, że duchy ją straszyły i prawdę powiedziawszy, zwierzała się z tego w sekrecie najbliższym przyjacielom. Ale ogólnie biorąc, trzymała się zaleceń Maharet i owe siły przestały się jej narzucać, jakby przeszły w stan uspienia. Zapomniała o nich na długi czas.

Listy Maharet nadchodziły z coraz większą częstotliwością. Maharet była jej powierniczką i najlepszą przyjaciółką. Kiedy Jesse zaczęła naukę w college'u, musiała przyznać, że chociaż Maharet kontaktowała się z nią tylko listownie, to była bardziej obecna w jej życiu niż ktokolwiek inny. Ale

już dawno temu pogodziła się z tym, że mogą się nigdy więcej nie spotkać.

Pewnego wieczoru, kiedy była na trzecim roku, po powrocie do swojego mieszkania zastała zapalone światła, ogień na kominku i wysoką, chudą, rudowłosą kobietę stojącą z pogrzebaczem w dłoni.

Co za piękność! Takie było pierwsze wrażenie Jesse. Umiejętnie przypudrowana i umalowana twarz wyglądałaby jak orientalna maska, gdyby nie nadzwyczajny blask zielonych oczu i gęstych, rudych kędziorów opadających na ramiona.

- Kochanie - powiedziała. - Jestem Maharet.

Jesse rzuciła się jej w ramiona. Ale Maharet powstrzymała ją łagodnie, przyglądając się jej przez chwilę. A potem okryła ją pocałunkami, jakby nie śmiała jej dotknąć w inny sposób, urękawiczonymi dłońmi ledwo muskając ramiona Jesse. To była cudowna, przesycona czułością chwila. Jesse pogłaskała miękkie, grube włosy Maharet, tak rude jak jej własne.

- Jesteś moim dzieckiem - szepnęła Maharet. - Spełniłaś wszystkie marzenia, jakie z tobą wiązałam. Czy wiesz, jaka jestem szczęśliwa?

Tamtej nocy Maharet wydawała się lodem i ogniem. Niestłuchanie silna, a jednocześnie nieodparcie ciepła. Szczupła, niemniej jednak posągowa istota o talii osy ubrana w fałdzistą suknię miała w sobie wyrafinowanie i tajemniczość gwiazdy, niesamowity czar kobiety, która stworzyła z siebie żywą rzeźbę; jej długa peleryna z brązowej wełny falowała z płynną gracją, kiedy obie wyszły na spacer. A mimo to porozumiewały się z niewyszukaną swobodą.

Spędziły długą noc w mieście; odwiedziły galerie, teatr, a potem poszły na późną kolację, chociaż Maharet nie chciała nic jeść. Chciała tylko słuchać wszystkiego, co Jesse miała jej do powiedzenia. I Jesse mówiła bez końca o wszystkim - o uczelni, o pracach archeologicznych, o wymarzonych wykopaliskach w Mezopotamii.

Jakże to było inne od intymności listów. Przespacerowały się nawet po Central Parku mimo absolutnej ciemności. Maharet mówiła Jesse, że nie ma najmniejszego powodu do obaw. I wtedy wydawało się to całkowicie normalne, prawda? I tak piękne, jakby szły ścieżkami jakiegoś zaczarowanego lasu, nie lękając się niczego, podniecone, rozmawiając ściszymi głosami. Jak bosko było czuć się bezpiecznie! Przed świtem Maharet pożegnała Jesse w pobliżu jej mieszkania, obiecując zaprosić ją niebawem do siebie do Kalifornii. Miała dom w górach Sonoma.

Ale minęły dwa lata, nim zaproszenie nadeszło. Jesse właśnie skończyła magisterium. Miała zaplanowane na lipiec prace wykopaliskowe w Libanie.

„Musisz przyjechać na dwa tygodnie”, napisała Maharet. Dołączyła bilet lotniczy. Mael, „drogi przyjaciel”, zabierze ją z lotniska.

* * *

Chociaż Jesse nie nazywała wtedy rzeczy po imieniu, nawet w myślach, od początku działały się

dziwne rzeczy.

Weźmy choćby Maela, mężczyznę wysokiego jak góra, o długich, kręconych blond włosach i głęboko osadzonych błękitnych oczach. W jego ruchach, brzmieniu głosu i precyzji, z jaką kierował samochodem, było coś wręcz niesamowitego. Nosił ubrania i buty z surowej skóry, odpowiednie raczej dla ranczera, a do tego szykowne czarne rękawiczki z miękkiej skóry i wielkie okulary z niebieskimi szklami w złotych oprawkach.

A równocześnie był taki wesoły, tak ucieszony jej obecnością, że natychmiast go polubiła. Nie dotarli jeszcze do Santa Rosa, a opowiedziała mu cały swój życiorys. Miał najbardziej uroczy śmiech na świecie. Jednak kiedy Jesse przyjrzała mu się raz czy dwa, ogarnęły ją autentyczne zawroty głowy. Dlaczego?

Sama posiadłość była niesamowita, jak warownia. Kto mógł zbudować taki dom? Zaczniemy od tego, że stał na końcu uroczej polnej drogi; pomieszczenia w głębi wydrążono w skale, prawdopodobnie potężnymi maszynami. No i te bele stropowe. Czy były z pierwotnych sekwoi?

Musiały mieć po cztery metry w obwodzie. A ściany z glinianej cegły? Pewnie były wiekowe.

Czy to możliwe, że Europejczycy znaleźli się w Kalifornii tak dawno temu, że... ale jakie to miało znaczenie? Dom był wspaniały. Uwielbiała okrągłe żelazne paleniska, zwierzęce skóry na podłodze, wielką bibliotekę i prymitywne obserwatorium ze staroświeckim mosiężnym teleskopem.

Uwielbiała serdeczną służbę przychodzącą codziennie rano z Santa Rosa, by sprzątać, prac i przygotowywać obfite posiłki. Nie przeszkadzało jej nawet to, że tak często była sama.

Uwielbiała spacerować po lesie. Chodziła do Santa Rosa po książki i gazety. Oglądała makaty wiszące na ścianach. Znajdowała antyczne artefakty, których nie potrafiła rozpoznać; przyglądała się temu wszystkiemu z zachwytem.

Warownia miała wszelkie wygody. Anteny z czubka góry transmitowały przekazy z całego świata. Było całe podziemne kino, wyposażone w projektor, ekran i nieprzebrany zbiór taśm. W

ciepłe popołudnia pływała w stawie, a kiedy zapadał zmierzch, sprowadzający nieunikniony północnokaliifornijski chłód, w kominkach wysoko strzelały płomienie.

Oczywiście najwspanialszym odkryciem okazała się historia rodziny, niezliczone oprawy w skórę tomiska opisujące wszystkie odgałęzienia Wielkiej Rodziny na przestrzeni stuleci. Z

entuzjazmem wynajdywała setki albumów ze zdjęciami i kufry pełne portretów, czasem owalnych miniatur, kiedy indziej wielkich płócien, teraz pokrytych kurzem.

Natychmiast pochłonęła historię Reevesów z Karoliny Południowej, jej najbliższych krewnych -

bogaty przed wojną secesyjną i zrujnowanych potem. Prawie się popłakała, oglądając ich fotografie. Oto wreszcie byli przodkowie, do których naprawdę była podobna; widziała swoje odbicie w ich twarzach. Mieli jej bladą skórę, nawet jej mimikę! A dwoje z nich miało jej

kędzierzawe rude włosy. Dla Jesse, adoptowanego dziecka, była to sprawa o nadzwyczajnym znaczeniu.

Dopiero pod koniec pobytu, kiedy odkryła zwoje ze starożytną łaciną, greką i wreszcie egipskimi hieroglifami, zaczęła zdawać sobie sprawę z wagi rodzinnego archiwum. Odkrycie glinianych tabliczek w piwnicy zostało zaprzepaszczone, lecz wspomnienie rozmów z Maharet nigdy się nie zatarło. Godzinami rozmawiały o kronikach rodzinnych.

Jesse błagała, by pozwolono jej zająć się w fachowy sposób historią rodziny. Zrezygnuje ze studiów dla tej biblioteki. Chciała przetłumaczyć stare zapiski i wprowadzić dane do komputera.

Czemu nie opublikować opowieści o Wielkiej Rodzinie? Tak długa genealogia była z pewnością czymś niezwykłym, jeśli nie absolutnie wyjątkowym. Nawet koronowane głowy nie potrafiły wykazać się pochodzeniem sięgającym wczesnego średniowiecza.

Maharet ze spokojem traktowała entuzjazm Jesse, przypominając jej, że to czasochłonna i niewdzięczna praca. W gruncie rzeczy jest to tylko historia jednej rodziny; czasami zaledwie listy nazwisk i imion, krótkie opisy bezbarwnych żywotów, karteluski z datami urodzin i śmierci, informacje o zmianie miejsca zamieszkania.

Dobrze się wspominało te rozmowy i miękkie, łagodne światło biblioteki, cudowny zapach starej skóry i pergaminu, świec i płonącego drewna. Maharet przy kominku, urocza modelka zasłaniająca bladozielone oczy wielkimi, lekko barwionymi szklami, ostrzegła Jesse, że ta praca może ją pochłonać, uniemożliwić coś lepszego. Liczyła się sama Wielka Rodzina, nie jej archiwum, liczyła się witalność każdego pokolenia, wiedza i miłość wobec bliskich. Archiwum to tylko środek do celu.

Jesse pragnęła tej pracy jak niczego do tej pory. Przecież Maharet na pewno pozwoli jej tu zostać! Była gotowa spędzić lata w tej bibliotece, by wreszcie odkryć pochodzenie rodziny!

Dopiero potem dostrzegła, że kryje się w tym wszystkim niejedna zdumiewająca tajemnica.

Dopiero potem mnóstwo drobiazgów zaczęło dręczyć ją z całą mocą.

* * *

Na przykład, Maharet i Mael nigdy nie zjawiali się przed zmierzchem, a wyjaśnienie, że śpią cały dzień, nie było żadnym wyjaśnieniem. Gdzie śpią? - to następne pytanie. Ich pokoje przez cały dzień stały puste, szafy ściennie pękały od egzotycznych i niezwykłych ubrań. O zachodzie słońca wyrastali jak spod ziemi. Gdy Jesse podnosiła wzrok, Maharet stała przy palenisku, jej makijaż był staranny i bez skazy, ubiór przykuwający uwagę, klejnoty w uszach i na szyi migocące w złamanym świetle. Mael odziany jak zwykle w kurtkę z miękkiej jeleniej skóry stał

milczący pod ścianą.

Ale gdy Jesse pytała o dziwne godziny nieobecności, odpowiedzi Maharet były całkowicie nieprzekonywające! Są bladzi, nie cierpią słońca i byli na nogach do tak późnej pory! To prawda.

Przecież o czwartej nad ranem wciąż rozprawiali o polityce lub historii, ujmując je w tak przedziwny i odległy sposób; wymieniali starożytne imiona miast; czasami rozmawiali szybko w dziwnym języku, którego Jesse nie potrafiła sklasyfikować, a co dopiero zrozumieć. Dzięki swoim nadzmysłowym zdolnościom czasami rozumiała temat konwersacji, ale dziwne dźwięki powodowały zamęt w jej głowie.

Mael jakimś sposobem wywoływał cierpienia Maharet, to rzucało się w oczy. Czy był jej kochankiem? Chyba nie.

A to, jak Mael i Maharet rozmawiali ze sobą? Jakby czytali w myślach. Ni stąd, ni zowąd powiedział: „Ale mówiłem ci, żebyś się nie przejmowała”, kiedy tak naprawdę ona nie odezwała się słowem. Czasem zachowywali się tak samo względem Jesse. Pewnego razu Maharet zawołała ją do głównej jadalni, chociaż Jesse przysięgłaby, że słyszała jej głos tylko w głowie.

Oczywiście, była medium. Ale czy Mael i Maharet też byli potężnymi mediami?

Inna sprawa: kolacje, na których pojawiały się ulubione dania Jesse. Nie musiała mówić, co lubi, a czego nie. To było wiadomo! Zastawała na stole ślimaki, smażone ostrygi, *fettucini alla carbonara*, polędwicę a la Wellington; same przysmaki. A wina... nigdy nie kosztowała tak znakomitych roczników. Tymczasem Maharet i Mael dziobali jak ptaszki, a przynajmniej tak to wyglądało. Czasami nie zdejmowali rękawiczek przez cały posiłek.

A dziwni goście, co z nimi? Na przykład Santino, czarnowłosy Włoch, który przybył pieszo pewnego wieczoru z młodym towarzyszem imieniem Eryk. Santino wpatrywał się w Jesse, jakby była egzotycznym zwierzęciem, a potem pocałował ją w rękę i dał przewspaniały pierścionek ze szmaragdem, który przepadł w nie wyjaśniony sposób kilka wieczorów później. Santino przez dwie godziny kłócił się z Maharet w tym niezwykłym języku, a potem wyszedł ze zmieszonym Erykiem, szalejąc z wściekłości.

Były też dziwne nocne zabawy. Czy Jesse nie obudziła się dwukrotnie o trzeciej czy czwartej nad ranem, znajdując dom pełen ludzi? Goście śmiali się i rozmawiali w każdym pokoju. I wszyscy mieli wspólną cechę: niesłychanie bladą cerę i niezwykle oczy, wielce podobne do oczu Maela i Maharet. Jesse była taka senna, że nie pamiętała nawet, jak wróciła do łóżka. W pewnym momencie otoczyło ją kilku bardzo pięknych młodych mężczyzn, nalali jej wino do kieliszka, a potem już był ranek, tyle pamiętała. Leżała w łóżku. Słońce świeciło za oknem. Dom stał pusty.

Słyszała dziwne rzeczy, na przykład ryk helikopterów i małych samolotów. Jednak nikt nie powiedział ani słówka na ten temat.

Mimo to była taka szczęśliwa! Tamte sprawy jakby nie miały znaczenia! Odpowiedzi Maharet w jednej chwili rozwiewały wszelkie wątpliwości. Niezwykłe było jednak to, jak łatwo Jesse zmieniała zdanie. Była osobą bardzo pewną siebie i przeważnie od razu wiedziała, co myśleć na dany temat. By nie skłamać - była uparta jak osioł. A tymczasem okazywała dziwną ambiwalencję wobec spraw poruszanych przez Maharet. Z jednej strony uważała je za niedorzeczne, z drugiej - za jak najbardziej oczywiste.

Miała jednak zbyt pyszną zabawę, żeby się czymkolwiek przejmować. Kilka pierwszych wieczorów spędziła z Maharet i Maelem na rozmowach o archeologii. Maharet okazała się kopalnią wiadomości, chociaż miała bardzo dziwne poglądy.

Na przykład utrzymywała, iż rolnictwo rozwinęło się dlatego, że plemiona, którym wprawdzie powodziło się całkiem nieźle dzięki łowiectwu, chciały mieć stały dostęp do pewnych halucynogennych roślin wprawiających w religijny trans. I chciały też mieć piwo. Nieważne, że nie było na to najmniejszego archeologicznego dowodu. Kop, Jesse, a sama się przekonasz.

Mael pięknie czytał poezję; Maharet czasem grała na fortepianie, bardzo powoli, jakby medytacyjnie. Eryk wpadł jeszcze na kilka wieczorów, entuzjastycznie dołączając się do śpiewów.

Przywiózł ze sobą filmy z Japonii i Włoch i przeżyli wspaniałe chwile podczas projekcji.

Szczególnie interesujący, chociaż przerażający, okazał się „Kwaidan”. A włoski obraz, „Julietta i duchy” doprowadził Jesse do łez.

Wszyscy ci ludzie nie pominęli okazji, aby z nią porozmawiać. A pytania Maela były już zupełnie niewiarygodne. Czy kiedyś w życiu zapaliła papierosa? Jak smakuje czekolada? Skąd bierze tę odwagę, by wsiąść do samochodu z młodym mężczyzną albo iść z nim do mieszkania? Czy zdaje sobie sprawę, że może ją zabić? Mało nie wybuchła śmiechem. Nie, serio, to prawdopodobne, upierał się, coraz bardziej zacietrzewiony. Spójrz na gazety. Kobiety we współczesnych miastach są obiektem polowań, niczym łanie w lasach.

Najlepiej było odwieść go od tematu i namówić do opowiadania o podróżach. Jego opisy były cudowne. Przez lata mieszkał w dżungli amazońskiej. Ale nie wsiadłby do „aeroplanu”. To nazbyt niebezpieczne. A co, jeśli maszyna wybuchnie? Nie lubił „płóciennego przyodziewku”, bo zbyt łatwo można było go rozedrzeć.

Jesse przeżyła z Maelem bardzo szczególną chwilę. Rozmawiali przy stole. Mówiła o duchach, które czasem widywała, a on wspominał o tych złośliwych i tumanowatych umarłych czy zwariowanych umarłych, tak że krztusiła się ze śmiechu, chociaż wiedziała, że nie bardzo wypada. Ale to była prawda, duchy czasem zachowują się tak, jakby były trochę tumanowate, na tym polega cała groza. Czy przestajemy istnieć z chwilą śmierci? Czy też nadal trwamy w takim głupawym stanie, pojawiając się ludziom w dziwnych chwilach i wygłaszając nonsensowne uwagi mediom? Kiedy to duch powiedział coś interesującego?

- Są to oczywiście wyłącznie przyziemne istoty - powiedział Mael. - Kto wie, dokąd się udajemy, kiedy wreszcie porzucimy ciało i wszystkie jego zwodnicze rozkosze?

Jesse była już dobrze pijana i poczuła, jak ogarniają straszliwa groza - powróciły myśli o fantomie rezydencji Stanforda White'a i duchach wmieszanych w nowojorski tłum. Skupiła się na Maelu, który nareszcie nie miał na sobie rękawiczek ani barwionych szkieł, na przystojnym Maelu, o bardzo niebieskich oczach ze skrawkami czerni w środeczkach źrenic.

- Poza tym - rzekł - zawsze były inne duchy. Nigdy nie miały ciała ani krwi, więc dlatego są takie

wściekle.

Co za zdumiewająca myśl.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała Jesse, nie spuszczać z niego wzroku. Był piękny. O jego urodzie decydowała suma defektów - zakrzywiony nos, stercząca szczęka, wychudła twarz okolona dziko nastroszonymi falami włosów koloru słomy. Nawet oczy, właśnie dlatego, że były zbyt głęboko osadzone, miały pełniejszy wyraz. Tak, Mael był piękny - aż chciało się go objąć, pocałować, zaprosić do łóżka... prawdę mówiąc, pociąg, który zawsze do niego czuła, nagle stał

się nieodparty.

Wtem uświadomiła sobie coś bardzo dziwnego. To nie człowiek - powiedział jakiś głos w jej głowie. - To coś udającego człowieka. Nie ma żadnych wątpliwości.

Cóż za idiotyzm! Jeśli nie był człowiekiem, to kim, do diabła? Z pewnością nie upiorem ani duchem. To oczywiste.

- Wydaje mi się, że nie wiemy, co jest realne, a co nie - powiedziała ni w pięć, ni w dziewięć. -

Wystarczy, że za długo wlepiasz w coś wzrok i nagle widzisz potwora. - Równocześnie odwróciła się i wbiła wzrok w wazę z kwiatami na środku stołu. Stare herbaciane róże trwoniły płatki pośród goździków, paproci i purpurowych cynii. Wyglądały absolutnie jak pozaziemskie istoty, jak owady, koszmarnie! Kim tak naprawdę były? Nagle waza pękła na kawałki i woda zalała cały stół. A Mael rzekł całkiem poważnie:

- Och, wybacz. Nie chciałem.

Nie ulega wątpliwości, że tak było, chociaż nie spowodowało to najmniejszych konsekwencji.

Mael wyslizgnął się na spacer do lasu, pocałował ją wpierw w czoło; jego wyciągnięta dłoń zadrżała nagle, kiedy chciał pogłodzić Jesse po włosach, ale najwyraźniej się rozmyślił.

Oczywiście, piła wcześniej. Prawdę mówiąc, piła przez cały pobyt, i to o wiele za dużo. Ale jakby nikt tego nie zauważał.

Od czasu do czasu wychodzili na dwór i tańczyli na polanie pod księżycem. To nie był wspólny taniec. Poruszali się w pojedynkę, w koło, wpatrzeni w niebo. Mael nucił murmurando albo Maharet śpiewała pieśni w nieznanym języku.

Jak mogła zachowywać się tak godzinami? I czemu nigdy nie dociekała, nawet w myślach, dlaczego Mael tak dziwnie się ubiera, nosi rękawiczki w domu albo chodzi po ciemku w okularach przeciwsłonecznych?

Potem pewnej nocy tuż przed świtem Jesse poszła do łóżka pijana i miała koszmarny sen. Mael i Maharet awanturowali się ze sobą. Mael powtarzał w kółko:

- A co będzie, jeśli ona umrze? Co będzie, jeśli ktoś ją zabije albo przejedzie ją samochód? Co, jeśli, co, jeśli, co, jeśli... - Jego głos przeszedł w ogłuszające wycie.

A kilka nocy później zaczęła się okropna finalna katastrofa. Mael wyszedł wcześniej na jakiś czas, ale wrócił. Jesse piła burgunda caluteńki wieczór i stała na tarasie z Maelem, całowali się, a następnie straciła świadomość, zarazem wiedząc, co się dzieje. Obejmował ją, całował jej piersi, podczas gdy ona osuwała się w niezgłębioną czerń. Wtedy znów pojawiła się tamta dziewczyna, nastolatka, która przyszła do niej w Nowym Jorku, kiedy była tak wystraszona. Tyle że Mael nie widział dziewczyny, a Jesse oczywiście wiedziała dokładnie, kim ona jest; to była jej matka.

Miriam, i bała się. Mael nagle wypuścił Jesse.

- Gdzie ona jest! - krzyknął rozżłoszczony.

Jesse otworzyła oczy. Obok nich znalazła się Maharet. Uderzyła Maela tak silnie, że wypadł

przez balustradę poza taras. Jesse wrzasnęła, przypadkowo odpychając nastolatkę, kiedy podbiegła do skraju tarasu zobaczyć, co się dzieje.

Mael stał daleko na polanie, cały i zdrowy. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe. Stał pewnie na nogach, skłonił się Maharet głęboko, ceremonialnie i przesłał jej pocałunek. Padało na niego światło z okien parteru. Maharet wyglądała na zasmuconą, ale się uśmiechała. Powiedziała coś pod nosem i machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć, że nie gniewa się na Maela.

Jesse była przerażona, że to na nią Maharet skieruje swój gniew, ale kiedy spojrzała w jej oczy, wiedziała, że nie ma powodów do niepokoju. Dostrzegła jednak, że jej sukienka jest rozdarta.

Poczuła ostry ból w miejscu, które całował Mael, a gdy odwróciła się do Maharet, straciła orientację i nie słyszała własnych słów.

Nie wiedziała, jak znalazła się na łóżku; siedziała oparta na poduszkach i miała na sobie długi flanelowy szlafrok. Opowiadała Maharet, że matka znów do niej przyszła, że widziała ją na tarasie. A oprócz tego przez kilka godzin rozprawiły z Maharet o całej sprawie. O jakiej sprawie? Maharet powiedziała jej, że zapomni.

O Boże, jak bardzo usiłowała potem sobie to odtworzyć. Fragmentaryczność wspomnień dręczyła ją przez lata. Maharet rozpuściła włosy, bardzo długie i gęste, objęła ją i poszły przez ciemny dom jak upiory, Maharet od czasu do czasu przystawała, żeby ją pocałować, a ona odpowiada jej uściskiem. Ciało Maharet było jak kamień, który potrafi oddychać.

Były wysoko, w środku góry, w tajnej sali. Stały tam potężne komputery z wielkimi szpulami i czerwonymi światełkami, słysząc było niski szum elektronicznych urządzeń. A na niezmiernym prostokątnym ekranie sięgającym dobre kilkanaście metrów w górę widniało kolosalne drzewo genealogiczne rodziny. To była Wielka Rodzina od tysiący lat. Och, tak, drzewo genealogiczne wyrastało z jednego korzenia! Układ był matriarchalny, jak zawsze u starożytnych ludów - jak u Egipcjan, tak, u których prawo do tronu przechodziło na księżniczki krwi królewskiej; i jak wciąż

jeszcze było wśród plemion żydowskich.

W tamtej chwili wszystkie szczegóły były dla Jesse jasne - starożytne imiona, miejscowości, początek! Boże, czyżby poznała nawet początek - niesamowitą prawdę o setkach pokoleń nakreśloną przed jej oczami? Widziała rozwój rodziny w starożytnych państwach Azji Mniejszej, Macedonii i Italii, aż wreszcie w Europie i potem Nowym Świecie! Mogło to być drzewo genealogiczne obejmujące wszystkie rodziny ludzkie!

Nigdy nie udało się jej przywołać z pamięci szczegółów tamtej elektronicznej mapy. Maharet powiedziała, że wszystko zapomni. Cud, że pamiętała cokolwiek.

Ale co jeszcze się zdarzyło? Co było prawdziwą siłą napędową ich długiej rozmowy?

Maharet płakała, to Jesse pamiętała. Łkała żałośnie, po kobiecemu, jak młoda dziewczyna.

Nigdy nie była tak pociągająca; jej oblicze złagodniało, a równocześnie nabrało blasku, zmarszczek ubyło i stały się niezwykle delikatne. Było ciemno, więc Jesse niewiele widziała.

Zapamiętała twarz płonącą w ciemnościach niczym bielejąca żagiew, bladozielone oczy, zamglone, lecz promienne, jasne rzęsy połyskujące, jakby drobne włoski pociągnięto złotem.

W pokoju paliły się świece. Za oknem ciemniał las. Jesse błagała, protestowała. Ale, na Boga, o co szło?

Zapomnisz - mówił w jej głowie głos Maharet. - Nie będziesz o niczym pamiętać.

Kiedy otworzyła powieki w blasku słońca, wiedziała, że jest po wszystkim, a oni odjechali. W

ciągu pierwszej krótkiej chwili nie potrafiła sobie niczego przypomnieć, poza tym, że powiedziano coś nieodwracalnego.

Na stoliczku przy łóżku znalazła list:

Moja kochana,

nasza obecność przestała Ci służyć. Obawiam się, że wszyscy zbyt rozkochaliśmy się w Tobie i oderwiemy Cię od spraw, na które się zdecydowałaś.

Wybacz nam, że wyjeżdżamy bez uprzedzenia. Jestem przekonana, że tak jest dla Ciebie najlepiej. Zamówiłam samochód, który odwiezie Cię na lotnisko. Samolot odlatuje o czwartej.

Twoi kuzyni, Maria i Matthew, będą czekać na Ciebie w Nowym Jorku.

Możesz być pewna, że kocham Cię bardziej, niż słowa mogą to wyrazić. Kiedy znajdziesz się w domu, będzie na Ciebie czekał mój list. Nadejdzie za wiele lat taki wieczór, kiedy znów porozmawiamy o historii rodziny. Jeśli nadal będziesz tego pragnęła, zostaniesz moją pomocnicą przy tych archiwach. Ale jak na razie, nie powinny Cię one pochłoniąć. Nie powinny odciągnąć Cię

od samego życia.

Twoja jak zawsze

kochająca Cię bezgranicznie

Maharet

Jesse nigdy więcej nie spotkała się z Maharet.

Jej listy przychodziły z dawną regularnością, pełne uczucia, troski, rad. Ale nigdy już nie pojawiła się osobiście. Nigdy więcej nie zaproszono Jesse do domu w lesie Sonoma.

W następnych miesiącach spłynął na Jesse deszcz prezentów - dostała piękny stary dom przy Washington Square w Greenwich Village, nowy samochód, znaczący wzrost uposażenia i jak zwykle bilety samolotowe pozwalające odwiedzać rodzinę na całym świecie. Maharet sfinansowała także znaczą część prac archeologicznych Jesse w Jerychu. Z biegiem lat dała Jesse wszystko, o czym ta mogła zamarzyć.

Niemniej jednak tamto lato zostawiło w Jesse otwartą ranę. Kiedyś w Damaszku śniła o Maelu i obudziła się, płacząc.

* * *

Była w Londynie, w British Museum, kiedy tamte wspomnienia zaczęły wracać z całą mocą.

Nigdy się nie dowiedziała, co je ożywiło. Może nakaz Maharet - „Zapomnisz” - najzwyczajniej przestał działać. Ale mogła być też inna przyczyna. Pewnego wieczoru na Trafalgar Square zobaczyła Maela lub innego przypominającego go do złudzenia mężczyznę. Stał wpatrzony w nią dobre kilkanaście metrów dalej. Jednak gdy pomachała mu dłonią, odwrócił się i odszedł, nie dając najmniejszego znaku, że ją rozpoznał. Pobiegła za nim, usiłując go dogonić, ale przepadł, jakby nigdy się nie pojawił.

To sprawiło jej ból i zawód. Jednak po trzech dniach otrzymała anonimowy prezent, bransoletkę z kutego srebra. Szybko się zorientowała, że to dawna celtycka robota, prawdopodobnie o bezcennej wartości. Czy Mael mógł przysłać jej ten rzadki i wspaniały przedmiot? Chciała w to wierzyć.

Ściskając bransoletkę w dłoni, czuła jego obecność. Pamiętała tamtą noc sprzed lat, kiedy rozmawiali o tumanowatych upiorach. Uśmiechnęła się. Czuła się tak, jakby on tu był, obejmował ją, całował. Opowiedziała listownie Maharet o prezencie, który od tamtej pory zawsze nosiła przy sobie.

Jesse prowadziła pamiętnik odzyskanych wspomnień. Zapisywała sny, strzępy ujrzań w przeblaskach pamięci. W listach do Maharet nie wspomniała jednak o tym ani słowem.

W Londynie miała romans. Zakończył się źle i tym dotkliwiej odczuwała samotność. Właśnie wtedy Talamasca nawiązała z nią kontakt, co na zawsze zmieniło bieg życia Jesse.

Mieszkała w starym domu w Chelsea, niedaleko od miejsca, w którym niegdyś zamieszkiwał

Oskar Wilde. W pobliżu było też onegdaj lokum Jamesa McNeilla Whistlera, a także Brama Stokera, autora „Drakuli”. Jesse uwielbiała tę okolicę. Ale nie wiedziała, że wynajmowany przez nią dom był przez wiele lat nawiedzany przez duchy. W ciągu pierwszych miesięcy kilkakrotnie ujrzała dziwne, niewyraźnie migotliwe zjawy, jakie często widuje się w podobnych miejscach; echa ludzi, którzy mieszkali tam przed laty, jak mówiła Maharet. Jesse ignorowała je.

Jednakże kiedy któregoś popołudnia wpadł do niej pewien reporter, wyjaśniając, że pisze artykuł

o nawiedzonym domu, całkiem rzeczowo opowiedziała mu o owych istotach. Były to całkiem zwyczajne duchy, jak na Londyn - kobieta z dzbanem idąca ze spiżarni, mężczyzna w surducie i cylindrze, przez sekundę widziany na schodach.

Powstał z tego wielce melodramatyczny artykuł. Jesse okazała się zbyt rozmowna. Została nazwana „naturalnym medium”; uznano, że widuje te istoty cały czas. Krewny z rodziny Reevesów zadzwonił z Yorkshire i drażnił się z nią trochę z powodu tego wszystkiego. Jesse też uważała to za zabawne, ale cała historia niewiele ją obeszła. Była bardzo zajęta badaniami w British Museum. Tamto po prostu nie miało żadnego znaczenia.

Wtedy ktoś z Talamaski przeczytał gazetę i organizacja nawiązała z nią kontakt.

Aaron Lightner, staromodny dżentelmen o siwych włosach i nienaganych manierach, zaprosił

Jesse na lunch. Stary, ale świetnie utrzymany rolls-royce zawiózł ich do eleganckiego prywatnego klubu.

Niewątpliwie było to jedno z najdziwniejszych spotkań w życiu Jesse. Obudziło w niej wspomnienie owego dawnego lata, nie dlatego, że dostarczyło podobnych wzruszeń, ale dlatego, że obydwie te przeżycia tak daleko odbiegały od wszystkiego, czego kiedykolwiek zaznała.

Lightner okazał się czarujący; był długowłosym, niezwykle zadbanym mężczyzną, miał na sobie nieskazitelny tweedowy garnitur na miarę od Donegala. Był też jedynym ze znanych jej ludzi, który chodził ze srebrną laską.

Szybko i w ujmujący sposób wyjaśnił Jesse, że jest „detektywem zjawisk nadprzyrodzonych” i pracuje dla „tajnego zakonu zwanego Talamasca”, którego jedynym celem jest gromadzenie danych na temat zjawisk „paranormalnych” i wykorzystywanie ich do badań tychże fenomenów.

Talamasca pomaga ludziom o zdolnościach nadmysłowych. A tym, którzy posiadają te talenty rozwinięte w stopniu nadzwyczajnym, oferuje od czasu do czasu swoje członkostwo, karierę w

„śledzeniu nadprzyrodzonego”, co, prawdę powiedziawszy, jest powołaniem, jako że Talamasca żąda pełnego poświęcenia, lojalności i posłuszeństwa swoim zasadom.

Jesse mało nie wybuchła śmiechem. Ale Lightner chyba przygotował się na jej sceptycyzm. Miał w zanadrzu kilka „sztuczek”, przydatnych podczas takich zapoznawczych spotkań. Ku najwyższemu zdumieniu Jesse udało mu się przesunąć kilka przedmiotów na stole, nie dotykając ich. Prosta moc. rzekł, działająca jako „wizytówka”.

Kiedy Jesse patrzyła na solniczkę podskakującą na zawołanie, zdumienie odebrało jej mowę.

Jednak naprawdę osłupiała, gdy Lightner wyznał, że wie o niej wszystko. Wiedział, skąd pochodziła i gdzie studiuje. Wiedział, że kiedy była małą dziewczynką, widywała duchy.

Organizacja przed laty uzyskała tę informację „rutynowymi kanałami” i wtedy założono Jesse teczkę. Nie powinna czuć się urażona.

Prosił, by zechciała łaskawie zrozumieć, że Talamasca zachowuje pełny szacunek wobec badanych osób. Do te czki trafiły jedynie doniesienia o tym, co sama Jesse przekazała sąsiadom, nauczycielom i szkolnym kolegom. Może przejrzeć ją w każdej chwili. Taka procedura zawsze obowiązywała w Talamasce. Zawsze wcześniej czy później dążono do nawiązania kontaktu z osobą śledzoną. Pozyskane informacje przedstawiano do wglądu w całości, chociaż miały charakter poufny.

Jesse zasypała Lightnera pytaniami. Szybko stało się jasne, że istotnie wie o niej mnóstwo, ale nie ma zielonego pojęcia o Maharet ani o Wielkiej Rodzinie.

Właśnie to połączenie wiedzy i ignorancji przekonało Jesse. Jedna wzmianka o Maharet, a na zawsze odwróciłaby się plecami do Talamaski, gdyż była nieugięcie lojalna wobec Wielkiej Rodziny. Talamasce zależało jednak tylko na zdolnościach Jesse, a Jesse, wbrew radzie Maharet, też zawsze na nich zależało.

Poza tym opowieść o Talamasce okazała się niezwykle nęcąca. Czy ten człowiek mówił prawdę?

Tajne stowarzyszenie, które powstało w roku 758, organizacja posiadająca archiwalne zapiski na temat wiedźm, czarowników, mediów i ludzi widzących duchy, której historia sięgała tak odległych czasów? Była tym tak oszołomiona jak niegdyś archiwami Wielkiej Rodziny.

Lightner łaskawie wytrzymał jeszcze jedną rundę pytań. Znał historię swojego stowarzyszenia i wszelkie szczegóły, to było jasne jak słońce. Płynnie i precyzyjnie mówił o prześladowaniach katarów, o zniszczeniu zakonu templariuszy, egzekucji Grandiera i wielu innych historycznych wydarzeniach. Prawdę mówiąc, Jesse nie udało się zapędzić go kozi róg. Przeciwnie, to on mówił

o dawnych czarodziejach i czarownikach, o których ona nigdy nie słyszała.

Tamtego wieczoru, kiedy przyjechali do Macierzystego Domu Talamaski pod Londynem, dalsze losy Jesse zostały w znacznej mierze przypieczętowane. Nie opuszczała Macierzystego Domu przez tydzień, po czym uczyniła to tylko w tym celu, by zlikwidować swoje mieszkanie w Chelsea i wrócić do Talamaski.

Macierzysty Dom był ogromną kamienną budowlą wzniesioną w szesnastym wieku i nabytą przez

Talamaskę „zaledwie” przed dwoma stuleciami. Choć biblioteki i salony z efektownymi boazeriami urządzono w osiemnastym wieku, nie zapominając o stosownych sztukateriach i fryzach, jadalnia i liczne sypialnie zachowały styl elżbietański.

Jesse natychmiast polubiła tę atmosferę, stare meble, kamienne kominki i lśniące dębowe parkiety. Przypadli jej do gustu także spokojni szeregowi członkowie zakonu; przywitali ją serdecznie, po czym wrócili do swoich dyskusji lub lektury gazet w przestronnych, ciepło oświetlonych, dostępnych dla wszystkich salach. Bogactwo tego miejsca było zaskakujące.

Potwierdzało autentyczność roszczeń Lightnera i emanowało aurą uczciwości, jednoznaczności.

Ci ludzie byli tu tacy, za jakich się podawali.

Jednak dopiero biblioteki rzuciły ją na kolana, budząc wspomnienie tamtego tragicznego lata, kiedy to inna biblioteka i jej wiekowe skarby zostały przed nią zamknięte. Tutaj mogła oglądać niezliczone woluminy przechowujące pamięć polowań na czarownice, zawierające opisy badań złośliwych duchów, przypadków opętania, psychokinezy, reinkarnacji i tym podobnych. W

podziemiach znajdowały się muzea, pomieszczenia wypełnione tajemniczymi przedmiotami mającymi związek ze zdarzeniami nadprzyrodzonymi. Były tam skarbcze, dostępne jedynie najwyższym członkom zakonu. Perspektywa zapoznania się z tymi tajemnicami była doprawdy cudowna.

- Zawsze jest tak wiele pracy do zrobienia - rzekł niedbale Aaron. - Ależ tak, wszystkie te stare zapiski są po łacinie, sama widzisz; nie możemy oczekiwać od nowych członków, by czytali i pisali w martwym języku. W obecnej epoce to jest po prostu poza wszelką dyskusją. A w tych magazynach, widzisz, dokumentacji większości spraw nie zweryfikowano od czterech wieków...

Oczywiście Aaron wiedział, że Jesse potrafi czytać i pisać nie tylko po łacinie, ale i po grecku, w starożytnym egipskim i sumeryjskim. Nie wiedział natomiast, że Jesse znalazła coś, co zastąpiło jej utracone skarby tamtego lata. Znalazła inną Wielką Rodzinę.

Tego wieczoru wysłano samochód po ubrania Jesse i wszystkie rzeczy i, mieszkania w Chelsea, które mogły się jej przydać. Jej nowy pokój mieścił się w południowo-zachodniej części Macierzystego Domu; było to przytulne pomieszczenie z kasetonami na suficie i kominkiem w stylu Tudorów.

Jesse chciała zostać w tym domu na zawsze i Aaron o tym wiedział. W piątek, zaledwie trzy dni po przybyciu, została przyjęta do zakonu jako nowicjuszka. Dostała znaczne kieszonkowe, prywatny salonik przylegający do sypialni, szofera zawsze gotowego do pracy i wygodny stary samochód. Pracę w British Museum rzuciła najszybciej, jak się dało.

Zasady i obowiązki były jasne. Miała spędzić dwa lata na pełnowymiarowym szkoleniu, podróżując z innymi członkami zakonu, kiedy to było konieczne, jak świat długi i szeroki.

Oczywiście mogła rozmawiać o zakonie z krewnymi i przyjaciółmi. Ale wszystkie tematy, akta i związane z nimi szczegóły miały pozostać tajne. Nie wolno jej było publikować niczego o Talamasce, a nawet przyczynić się do jakiegokolwiek „publicznej wzmianki” o zakonie. Wzmianki o

konkretnych zadaniach nie mogły zawierać nazwisk ani nazw miejscowości.

Jej specjalnością miała być praca w archiwach, tłumaczenie i adaptacja starych kronik i zapisków. Przynajmniej raz w tygodniu miała pracować w muzeach, segregując różne artefakty i zabytki. Praca w terenie - śledztwa w nawiedzonych domach i tym podobne - miała jednak zawsze przeważać nad analizami.

Minął miesiąc, zanim doniosła Maharet o swojej decyzji. Otworzyła w liście całą duszę.

Uwielbiała tych ludzi i ich pracę. Oczywiście, biblioteka przypominała jej o rodzinnym archiwum w górach Sonom i jakże szczęśliwym okresie życia. Czy Maharet to rozumie?

Odpowiedź była zdumiewająca. Maharet wiedziała, czym jest zakon. Prawdę mówiąc, wydawało się, że dokładnie zna całą jego historię. Wyraziła swój podziw dla ratowania niewinnych przed stosem i innych ogromnych wysiłkach Talamaski w czasach polowań na czarownice w piętnastym i szesnastym wieku.

Z pewnością opowiedzieli Ci o swojej „podziemnej kolei”, służącej do transportu wielu oskarżonych z wioski i siół, gdzie groził im stos, do Amsterdamu, oświeconego miasta, w którym nie wierzono już w kłamstwa i przesady tamtej epoki.

Jesse nie wiedziała o tym, ale niebawem mogła potwierdzić każdy szczegół. Jednakże Maharet miała wobec Talamaski swoje zastrzeżenia:

Bez względu na to, jak bardzo podziwiam ich współczucie wobec prześladowanych, musisz wiedzieć, że nie uważam, aby ich śledztwa przynosiły jakieś nadzwyczajne rezultaty. Gwoli jasności trzeba przyznać, że duchy, upiory, wampiry, wilkołaki, wiedźmy, istoty umykające opisowi być może istnieją i niewykluczone, iż Talamasca spędzi kolejne tysiąclecie na badaniu ich, ale jakież to ma znaczenie dla gatunku ludzkiego?

Niewątpliwie w odległej przeszłości różni osobnicy miewali wizje i rozmawiali z duchami. I być może podobnie jak czarownice czy szamani, ci ludzie dokonali czegoś dla swoich plemion czy narodów. Jednak na podstawie ich prostych i zwodniczych przeżyć zbudowano złożone i wymyślne religie, nadając mityczne nazwy niejasnym bytom i tworząc niesłychany wehikuł dla heterogenicznej zabobonnej wiary. Czy nie przyniosło to więcej zła niż dobra?

Wierz mi, że bez względu na to, jak interpretuje się historię, dawno minęły czasy, gdy kontakt z duchami przynosił jakąkolwiek korzyść. Być może o sceptycyzmie przeciętnych jednostek wobec upiorów, mediów i całej tej zbieraniny decyduje prostacka, ale nieubłagana sprawiedliwość.

Nadprzyrodzone, bez względu na swą postać nie powinno ingerować w ludzką historię.

Uważam, że wyjąwszy przypadki pocieszenia paru zagubionych dusz, Talamasca gromadzi zapisy spraw, które nie są ważne i nie powinny być ważne. To ciekawa organizacja, ale nie zdoła dokonać wielkich rzeczy.

Kocham Cię. Szanuję Twoją decyzję. Jednak przez wzgląd na Twoje dobro liczę, że znużysz się

Talamaską i bardzo prędko powrócisz do normalnego życia.

Jesse zastanowiła się głęboko, zanim odpowiedziała. Było jej bardzo przykro, że Maharet nie zaaprobowwała jej wyboru. Niemniej jednak zdawała sobie sprawę, że jej decyzja jest czymś na kształt rewanzu. Maharet odsunęła ją od tajemnic rodziny; Talamasca przygarnęła ją do swojego łona.

Zapewniała Maharet w liście, że członkowie zakonu nie mają złudzeń co do doniosłości swojej pracy. Uprzedzono Jesse, że jest to działalność tajna, nie przynosząca sławy, a nawet nie zawsze dająca prawdziwą satysfakcję. Zgodziliby się w pełni z Maharet co do jej oceny mediów, duchów, zjaw.

Ale czy miliony ludzi nie uważają odkryć archeologów za równie błahe? Jesse błagała Maharet, by uwierzyła, jak to wszystko jest dla niej ważne. Na zakończenie napisała, ku swojemu wielkiemu zdumieniu, następujące słowa:

Nigdy nie zdradzę Talamasce ani słowa o Wielkiej Rodzinie. Nigdy nie powiem im o domu w górach Sonoma i dziwnych zdarzeniach, które mi się tam przytrafiły. Taka tajemnica wzbudziłaby w nich zbyt wielką ciekawość. Poczuję się do lojalności, wobec Ciebie. Ale błagam, pozwól mi pewnego dnia wrócić do domu w Kalifornii. Pozwól mi porozmawiać z Tobą o tym, co widziałam. Wiele ostatnio zrozumiałam. Miałam zadziwiające sny. Ufam jednak Twojemu sądowi w tych sprawach. Byłaś wobec mnie ogromnie szczodra i nie wątpię, że mnie kochasz. Proszę, uwierz, że i ja bardzo Cię kocham.

Odpowiedź Maharet była krótka.

Jesse, jestem ekscentryczną i upartą istotą; bardzo wiele przeżyłam. Bywa, że nie doceniam wpływu, jaki wywieram na innych. Nigdy nie powinnam była zapraszać Ciebie do swego domu; to był egoistyczny wybryk, którego nie potrafię sobie wybaczyć. Liczę na to, że zdołasz uspokoić moje sumienie. Zapomnij o tej wizycie. Nie wmawiaj sobie, że to, co tam widziałas nie istnieje, ale nie zagłębiaj się w tamte wspomnienia. Żyj swoim życiem tak, jakby nigdy nie zostało tak brutalnie zakłócone. Któregoś dnia odpowiem na wszystkie Twoje pytania, ale nigdy więcej nie stanę na drodze Twojego przeznaczenia. Gratuluję Ci nowego powołania. Zawsze możesz liczyć na moją bezwarunkową miłość.

Niebawem dołączyła do tego eleganckie prezenty. Skórzany ekwipunek podróżny i cudowne palto podbijane norkami, żeby było jej ciepło w „tym obrzydliwym angielskim klimacie”. To kraj, który „tylko druid może pokochać”, napisała Maharet.

Jesse bardzo polubiła palto, jako że norki były tylko na podbiciu i nie rzucały się w oczy, a torby podróżne służyły jej świetnie. Maharet nie przestawała pisać kilka razy do roku. Pozostała równie pomocna jak do tej pory.

Z biegiem lat to Jesse się oddaliła, jej listy były coraz krótsze i mniej regularne, jako że praca w Talamasce była tajna. Po prostu nie mogła opisywać swoich zajęć.

Nadal odwiedzała członków Wielkiej Rodziny na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Kiedy tylko kuzyni przyjeżdżali do Londynu, zwiedzała z nimi miasto lub jadła lunch. Wszystkie te kontakty były jednak sporadyczne i powierzchowne. Talamasca stała się niebawem całym życiem Jesse.

* * *

Kiedy zaczęła tłumaczenia z łaciny, ujrzała w archiwach Talamaski cały świat; zapisy rodzin mediów i pojedynczych osobników, przykłady „oczywistych” czarów, prawdziwych *maleficia* i wreszcie powtarzające się, niemniej jednak koszmarne fascynujące protokoły z autentycznych procesów czarownic, które niezmiennie dotyczyły niewinnych i bezbronnych. Pracowała dniami i nocami; wprowadzała owe dane do komputera, odzyskując bezcenny materiał historyczny z kruszących się pergaminowych kart.

W terenie otwierał się przed nią inny świat, jeszcze bardziej pociągający. W ciągu pierwszego roku pracy w Talamasce Jesse widziała przypadki nawiedzeń przez złośliwe duchy tak przerażające, że dorośli mężczyźni uciekali przed nimi na ulicę. Widziała dziecko, które za pomocą telekinezy uniosło dębowy stół i wyrzuciło go przez okno. W kompletnym milczeniu porozumiewała się z ludźmi czytającymi w myślach, którzy odbierali wszelkie przesłane im komunikaty. Widziała upiory tak wstrząsające, że wcześniej w ogóle nie uwierzyłaby w ich istnienie. Była świadkiem psychometrii, automatycznego pisania, lewitacji, transów mediumicznych - a potem, robiąc notatki, zawsze dziwiła się własnemu zaskoczeniu.

Czy nigdy się nie przyzwyczai? Nie uzna tego wszystkiego za normalne? Nawet starzy członkowie Talamaski zwierali się jej, że będąc świadkami takich zjawisk, za każdym razem przeżywają wstrząs.

Niewątpliwie mediumiczne zdolności Jesse były wyjątkowo bogate. Często wykorzystywane, rozwinęły się niebywale. Dwa lata po przyjęciu do Talamaski Jesse była wysyłana do każdego nawiedzanego domu w Europie i Stanach Zjednoczonych. Po jednym lub dwóch dniach spędzonych w ciszy i spokoju biblioteki następował tydzień w jakimś piekielnie przewiewnym korytarzu i obserwacja wizyt milczącej zjawy, która wcześniej przeraziła innych.

Jesse rzadko potrafiła ustalić wzorce zachowań tych nieproszonych gości. Prawdę mówiąc, potwierdziła tylko to, co wiedzieli wszyscy członkowie Talamaski: nie ma jednej okultystycznej teorii obejmującej całość dziwnych zjawisk, które widziała lub o których słyszała. Praca fascynowała ją, ale okazała się ogromnie frustrująca. Jesse nie była pewna, czy sama jest przy zdrowych zmysłach, kiedy zwraca się do tych „nie znających spokoju istot” czy też

„tumanowatych duchów”, jak niegdyś całkiem trafnie określił je Mael. Mimo wszystko doradzała im przenieść się w „wyższe sfery”, by szukać tam spokoju dla siebie, a tym samym zostawić w spokoju również śmiertelnych.

Było to jakieś rozwiązanie, chociaż być może zmuszało duchy do pożegnania się z jedyną formą życia, jaka im pozostała. Niewykluczone przecież, że śmierć jest absolutnym kresem istnienia -

zarówno ciała, jak i duszy - i uparte dusze nawiedzają żyjących jedynie wtedy, gdy nie chcą pogodzić

się z nicością. Jak jednak zaakceptować straszną myśl, że świat duchów jest jedynie niejasnym i chaotycznym odbiciem dawnego, prawdziwego życia przed granicą wiecznej, całkowitej ciemności?

Bez względu na to, jak było naprawdę, Jesse uporała się z niezliczonymi nawiedzeniami. A myśl o uldze, jaką zapewniła żywym, stale podnosiła ją na duchu. Rozwinęło się w niej głębokie poczucie, że prowadzi wyjątkowe życie. Ekscytujące. Nie zamieniłaby go na nic w świecie.

No, prawie na nic. Bo gdyby Maharet pojawiła się w jej progu z prośbą o powrót do warowni w górach Sonoma i o zajęcie się archiwami Wielkiej Rodziny, mogłaby spakować walizki w jednej chwili. Chociaż niewykluczone, że nie kiwnęłaby nawet palcem w bucie.

Dokonała jednak w archiwach Talamaski pewnego odkrycia, które wywołało w niej głębokie rozdarcie. Dotyczyło ono Wielkiej Rodziny.

Podczas translacji i kopiowania dokumentów o czarownicach odkryła, że Talamasca od wieków monitoruje pewne „rodziny czarownic”, których fortuny wydawały się pomnożone za sprawą nadprzyrodzonych działań, będących jednak czymś weryfikowalnym i przewidywalnym.

Współcześnie Talamasca obserwowała sporo takich rodzin! Zwykle w obrębie każdego pokolenia takiej rodziny była „czarownica”, która potrafiła tak przyciągać nadprzyrodzone moce i tak nimi manipulować, że zapewniała swoim bliskim stały przyrost bogactwa i powodzenie w doczesnych przedsięwzięciach. Świadczyły o tym zgromadzone zapiski. Ta moc była dziedziczna, związana z pewnymi fizycznymi predyspozycjami, ale nikt nie miał co do tego pewności. Niektóre z tych rodzin nie miały pojęcia o swojej przeszłości; nie podejrzewano istnienia „czarownic” w dwudziestym wieku. Chociaż Talamasca regularnie usiłowała nawiązać kontakt z tymi ludźmi, często spotykała się z odmową lub też uznawała ich działania za zbyt niebezpieczne, aby przeprowadzać śledztwo. Owe czarownice były przecież zdolne do prawdziwych *maleficia*.

Przez kilka tygodni po tym odkryciu wstrząśnięta i nie dowierzająca Jesse nie podejmowała żadnych działań. Jednak nie potrafiła przestać o tym myśleć. Ten model zbyt przypominał

Maharet i Wielką Rodzinę.

Następnie zrobiła jedyną rzecz, która nie byłaby pogwałceniem zasad lojalności. Starannie przejrzała wszystkie akta rodzin czarownic znajdujące się w archiwach Talamaski. Sprawdziła raz i drugi. Cofnęła się do najstarszych zapisków i przestudiowała je słowo po słowie.

Żadnej wzmianki o jakiejś Maharet, żadnej wzmianki o kimkolwiek związanym z Wielką Rodziną, a o kim Jesse by słyszała. Żadnego najbliższego podejrzenia.

Odczuła ogromną ulgę, ale nie była zaskoczona. Instynkt podpowiadał jej, że jest na złym tropie.

Maharet nie była czarownicą. Nie w tym znaczeniu. W tym wszystkim chodzi o coś więcej - pomyślała.

Jednak tak naprawdę nigdy się nie postarała, by wyjaśnić to do końca. Odrzucała teorie tłumaczące

wydarzenia w górach Sonoma, tak jak odrzucała wszelkie teorie. Nie raz przyszło jej na myśl, że wybrała Talamaskę, aby zgubić swą osobistą tajemnicę w chaosie tajemnic. Otoczona zjawami, złośliwymi duchami i opętanymi dziećmi coraz mniej myślała o Maharet i Wielkiej Rodzinie.

* * *

Zanim Jesse stała się pełnym członkiem zakonu, została ekspertem w dziedzinie zasad Talamaski, procedur gromadzenia protokołów śledztw, tego, kiedy i jak pomagać policji w sprawach kryminalnych oraz jak unikać wszelkich kontaktów z prasą. Szanowała Talamaskę za brak dogmatyzmu i za to, że zgromadzenie nie wymagało od swoich członków bezwzględnej wiary we wszystko, lecz jedynie uczciwości i uwagi wobec obserwowanych fenomenów.

Wzorce, podobieństwa, powtarzalność - oto, co fascynowało Talamaskę. Obfitość terminów, a zarazem elastyczność terminologii. Akta były jedynie siatką odsyłaczy splecioną na kilkanaście sposobów.

Niemniej jednak członkowie Talamaski studiowali teoretyków. Jesse czytała prace wszystkich wielkich detektywów zjawisk paranormalnych, mediów i jasnowidzów. Studiowała wszystko, co miało związek z okultyzmem.

Wiele razy myślała o radzie Maharet. To, co od niej usłyszała, było prawdą. Upiory, zjawy, media zdolne czytać myśli i telekinetycznie przesuwac przedmioty - wszystko to było fascynujące dla bezpośrednich świadków, lecz w dziejach ludzkości znaczyło bardzo niewiele.

Ani współcześnie, ani w przyszłości nie zapowiadało się żadne wielkie okultystyczne odkrycie, które zmieniłoby bieg historii.

Jesse była wciąż niesyta pracy. Pochłonęła ją podniecająca atmosfera tajnego zgromadzenia.

Była w samym łonie Talamaski i chociaż przyzwyczała się do eleganckiego otoczenia -

antycznych koronek i łóż z kolumnkami, srebrnych sztućców, służby i samochodów prowadzonych przez szoferów - sama nabrała jeszcze większej prostoty i dystansu.

W wieku trzydziestu lat była delikatną jasnoskórą kobietą o kędzierzawych rudych włosach rozdzielonych na środku głowy i długich do ramion. Wciąż pozostawała samotna. Nie używała kosmetyków ani perfum i nie nosiła biżuterii z wyjątkiem celtyckiej bransoletki. Jej ulubioną garderobą był kaszmirowy blezer i wełniane spodnie lub dzinsy, jeśli przebywała w Ameryce.

Mimo to była osobą atrakcyjną, przyciągającą nieco więcej uwagi mężczyzn, niż sama uważałaby za korzystne dla swoich spraw. Miewała romanse, ale zawsze przelotne.

Bardziej ceniła przyjaźnie z innymi członkami zakonu; miała wielu braci i wiele siostr. Dbali o nią tak jak ona o nich. Uwielbiała życie we wspólnocie. O każdej nocnej porze można było zejść na dół do oświetlonego salonu, zawsze pełnego ludzi - czytających, rozmawiających, a jeśli nawet kłócących się, to zawsze z umiarem. Można było zawędrować do kuchni, gdzie nocny kucharz był gotów przygotować wczesne śniadanie albo późną kolację, według życzenia.

Jesse mogłaby zostać z Talamaską na zawsze. Podobnie jak katolicki zakon, Talamasca opiekowała się swoimi starcami i chorymi. Umierający w zakonie mieli zapewniony wszelki luksus i wszechstronną opiekę medyczną; ostatnie chwile spędzało się wedle swojej woli: samotnie w łóżku albo w towarzystwie braci i sióstr, którzy dodawali choremu otuchy i ściskali jego dłoń. Można było też jechać do domu, do krewnych, ale większość chciała umrzeć w Macierzystym Domu. Ceremonie pogrzebowe były wystawne i pełne godności. Wielkie grupy ubranych na czarno mężczyzn i kobiet towarzyszyły każdemu pochówkowi.

Tak, ci ludzie stali się rodziną Jesse. To oczywiste, że chciała zostać z nimi na zawsze.

Ale kiedy dobiegał końca ósmy rok pobytu w zakonie, wydarzyło się coś, co miało to wszystko zmienić, coś, co w końcu doprowadziło do zerwania.

Miała już za sobą piękną kartę. Jednak w lecie 1981 roku nadal pracowała pod kierunkiem Aarona Lightnera i rzadko rozmawiała z zarządem Talamaski czy też grupą ludzi, którzy wszystkim kierowali.

Kiedy więc Dawid Talbot, przywódca zakonu, wezwał ją do swojego biura w Londynie, była zaskoczona. Dawid był mocno zbudowanym zwawym panem w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, o wiecznie radosnym sposobie bycia i włosach przyprószonych stalową siwizną. Zaproponował

Jesse kieliszek sherry i przez kwadrans rozmawiał z nią sympatycznie o niczym, zanim przeszedł do rzeczy.

Jesse zaproponowano bardzo nietypowe zadanie. Talbot wręczył jej powieść zatytułowaną „Wywiad z wampirem”.

- Chciałbym, żebyś to przeczytała - powiedział.

Jesse była zaskoczona.

- Prawdę mówiąc, już to zrobiłam - powiedziała. - Kilka lat temu. Ale co tego rodzaju beletrystyka ma wspólnego z nami?

Jesse kupiła książkę na lotnisku i przeczytała podczas długiego transkontynentalnego rejsu.

Treść, niby-opowieść wampira wysłuchana wspólnie przez młodego reportera w San Francisco, podziałała na Jesse jak zły sen. Książka niezbyt przypadła jej do gustu i wolała wyrzucić ją do kosza, niż zostawić na ławce na lotnisku, z obawy, że może po nią sięgnąć jakaś Bogu ducha winna duszyczka.

Główne postaci dzieła - zadający niesłychanego szyku nieśmiertelni - stworzyli przed wojną secesyjną w Nowym Orleanie koszmarną rodzinę i polowali tam na ludzi przez z górą pięćdziesiąt lat. Byli to: Lestat, ich przywódca i czarny charakter powieści, Louis, jego targany wyrzutami sumienia podwładny, zarazem bohater i narrator, oraz Klaudia, niesamowita wampirza córka, iście

tragiczna postać o ciele wiecznej dziewczynki, której umysł dojrzał z roku na rok. Oczywiście tematem książki było bezowocne poszukiwanie odkupienia przez Louisa, ale nienawiść Klaudii do dwóch wampirów płci męskiej, którzy stworzyli z niej monstrum, oraz późniejsze zniszczenie dziewczynki wywarło o wiele głębsze wrażenie na Jesse.

- To nie beletrystyka - wyjaśnił bez emfazy Dawid. - Niemniej cel jej stworzenia pozostaje niejasny, a fakt publikacji poważnie nas zaalarmował.

- Nie beletrystyka? - powtórzyła Jesse. - Nie rozumiem.

- Nazwisko autora to pseudonim - kontynuował Dawid - a tantiemy pobiera młody człowiek, który nigdzie długo nie zagrzewa miejsca i unika wszelkiego kontaktu z nami. Jednakże był

kiedyś reporterem, podobnie jak przeprowadzający wywiad bohater książki. Obecnie jest nieuchwytny. Twoim zadaniem będzie polecieć do Nowego Orleanu i zgromadzić dokumentację wydarzeń, które zaszły tam przed wojną secesyjną.

- Zaczekaj. Mówisz mi, że wampiry istnieją? Że te postaci: Louis, Lestat i mała Klaudia są prawdziwe?!...

- Właśnie - potwierdził Dawid. - I nie zapomnij o Armandzie, mentorze z Teatru Wampirów w Paryżu. Na pewno pamiętasz Armanda.

Jesse bez trudu przypominała sobie Armanda oraz teatr. Armand, najstarszy nieśmiertelny w powieści, miał oblicze i postać młodzieńca. Natomiast teatr był ponurą instytucją, w której podczas spektaklu zabijano ludzi na oczach nieświadomych tego widzów.

Jesse przypominała sobie upiorną atmosferę książki, a zwłaszcza fragmenty dotyczące Klaudii, która zmarła właśnie w Teatrze Wampirów, zniszczona przez sabat pod przewodnictwem Armanda.

- Dawidzie, czy dobrze cię zrozumiałam? Twierdzisz, że te istoty żyją?

- Jak najbardziej - rzekł Dawid. - Obserwujemy je od czasu naszego powstania. W zasadzie można powiedzieć, że Talamaskę stworzono w celu obserwowania tych kreatur, ale to już inna historia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w tej powiastce nie ma żadnej zmyślonej postaci; twoim zadaniem będzie udokumentować istnienie opisanego tu domu sabatowego w Nowym Orleanie oraz Klaudii, Louisa i Lestata.

Jesse wybuchła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Powaga Dawida śmieszyła ją dodatkowo. Jednak Dawid nie był zaskoczony; nie bardziej niż Aaron Lightner osiem lat temu, kiedy spotkała go po raz pierwszy.

- Znakomita postawa - rzekł Dawid z lekkim psotnym uśmiechem. - Nie chcielibyśmy, żebyś okazała nadmiar wyobraźni ani zaufania. Ten zakres badań wymaga ogromnej ostrożności, Jesse, i ścisłego trzymania się zasad. Wierz mi, kryje on wyjątkowe niebezpieczeństwa. Oczywiście, możesz w tej chwili odrzucić zadanie.

- Zaraz znowu będę się śmiać - powiedziała Jesse. Rzadko można było usłyszeć w Talamasce słowo „niebezpieczeństwo”. Widziała je tylko w aktach rodzin czarownic. Jednak Jesse bez trudu mogła uwierzyć w rodziny czarownic. Czarownice były ludźmi, a duchy mogły być podatne na manipulację. Ale wampiry?

- No cóż, podejźmy do tego inaczej - rzekł Dawid. - Zanim się zdecydujesz, zajrzyjmy do skarbca i zbadajmy pewne artefakty mające związek z tymi stworami.

Ten pomysł miał nieodparty urok. W piwnicach Macierzystego Domu znajdowało się wiele pomieszczeń, do których Jesse nie była nigdy dopuszczona. Nie zamierzała zaprzepaścić takiej okazji.

Gdy razem z Dawidem zeszli po schodach, atmosfera domu w górach Sonoma powróciła nieoczekiwanie i bardzo plastycznie. Nawet długi korytarz z rzadko rozszianymi słabymi żarówkami przypominał piwnicę Maharet. Jesse czuła rosnące podniecenie.

Szła w milczeniu za Dawidem, mijając kolejne zamknięte na klucz magazyny. Ujrzała książki, czaszkę na półce, stare łachy rzucone na podłogę, meble, obrazy olejne, kufry i sejfy, kurz.

- Wszystkie te parafernalia - rzekł z pogardliwym gestem Dawid - są w taki czy inny sposób związane z naszymi nieśmiertelnymi pijącymi krew przyjaciółmi. W istocie ten gatunek przejawia wyraźną skłonność do materializmu i pozostawia po sobie wszelkie możliwe odpadki.

Nie jest wyjątkiem, że kiedy znużą się konkretną okolicą lub tożsamością, zostawiają całe domostwa z kompletnym umeblowaniem, ubrania, nawet trumny... bardzo ozdobne i interesujące trumny. Ale jest kilka wyjątkowych rzeczy, które muszę ci pokazać. Śmiem sądzić, że będą miały rozstrzygające znaczenie.

Rozstrzygające? W tej pracy było coś rozstrzygającego? Niewątpliwie to popołudnie obfitowało w niespodzianki.

Dawid zaprowadził ją do ostatniego pomieszczenia, bardzo dużego, obwieszonego ferrotypami pokoju, w którym natychmiast zapaliły się szeregi górnych świateł.

Na ścianie w głębi ujrzała ogromne malowidło. Od razu uznała je za dzieło renesansu, prawdopodobnie weneckiego. Wykonano je półmatową farbą na desce. Miało cudowne lśnienie typowe dla tego rodzaju prac, połysk, którego nie mógłby stworzyć żaden syntetyczny środek. W

prawym dolnym rogu widniał łaciński tytuł i nazwisko twórcy.

„Kuszenie Amadeo”

Mariusz

Cofnęła się, aby dokładnie widzieć całość.

Wspaniały chór czarnoskrzydłych aniołów unosił się wokół klęczącej postaci - młodego chłopca o

kasztanowych włosach. Kobaltowe niebo w tle, widziane przez serię łuków, było oddane wspaniale, z masą złoconych chmur. Marmurową posadzkę na pierwszym planie namalowano z fotograficzną pieczołowitością. Czuło się bijący od niej chłód, widziało żyły w kamieniu.

Jednak to postaci były prawdziwą ozdobą dzieła. Wybornie wymodelowane twarze aniołów; ekstrawagancko szczegółowe linie pastelowych szat i czarnych pierzastych skrzydeł; a chłopiec...

chłopiec po prostu żył! Ciemnopiwnie oczy naprawdę błyszczały i patrzyły przed siebie. Skóra wydawała się wilgotna. Już miał poruszyć się lub przemówić.

W istocie wszystko to było zbyt realistyczne, jak na Odrodzenie. Postaci miały charakter raczej indywidualny niż typowy. Na twarzach aniołów malował się wyraz lekkiego rozbawienia, z nutką goryczy. A materiał tuniki i obcisłych spodni chłopca oddano zbyt dokładnie. Widziała nawet cery, łożkę, kurz na rękawie. Były też inne detale - suche liście rozrzucone na podłodze, dwa pędzle leżące z boku bez widocznej przyczyny.

- Kim jest ten Mariusz? - szepnęła. To imię z niczym się jej nie kojarzyło. Nigdy nie widziała włoskiego malowidła z tak wieloma niepokojącymi szczegółami. Czarnoskrzydłe anioły...

Dawid nie odpowiedział. Wskazał na chłopca.

- Chcę, żebyś mu się przyjrzała. To nie jest prawdziwy przedmiot twojego śledztwa, jedynie bardzo ważne ogniwo.

Przedmiot? Ogniwo?... Była zbyt zafrapowana obrazem.

- Spójrz na te kości w kącie, ludzkie kości pokryte kurzem; wygląda to tak, jakby ktoś tylko sprzątnął je z głównego planu. Cóż to, na Boga, znaczy?

- Tak - mruknął Dawid. - Słowo „kuszenie” zwykle kojarzy się z diabłami otaczającymi świętego.

- Właśnie - powiedziała. - I umiejętności malarza są wyjątkowe. - Im dłużej wpatrywała się w obraz, tym bardziej była niespokojna. - Skąd to macie?

- Zakon wszedł w jego posiadanie wieki temu. Nasz emisariusz w Wenecji odzyskał to ze spalonej willi nad Canale Grande. Tak przy okazji, tym wampirom stale towarzyszy ogień. To jedyny oręż, którego skutecznie używają przeciwko sobie nawzajem. Jak pamiętasz, w

„Wywiadzie z wampirem” było kilka pożarów. Louis podłożył ogień pod miejską rezydencję w Nowym Orleanie, kiedy usiłował zniszczyć swojego stwórcę i mentora, Lestata. A później spalił

Teatr Wampirów po śmierci Klaudii.

Śmierć Klaudii. Na te słowa Jesse ku swojemu zaskoczeniu lekko zadrżała.

- Przyjrzyj się jednak uważnie temu chłopcu - powiedział Dawid. - Bo to o nim teraz będziemy mówić.

Amadeo. To znaczyło „ten, którego Bóg kocha”. Tak, był piękny. Szesnasto-, może siedemnastolatek o kwadratowej, bardzo regularnej twarzy i dziwnie błagalnym spojrzeniu.

Dawid włożył jej coś do ręki. Z trudem oderwała wzrok od obrazu. Nie od razu zrozumiała, że patrzy na ferrotypię, dziewiętnastowieczną fotografię. Szepnęła po chwili:

- To ten sam chłopiec!

- Tak. I rodzaj eksperymentu - rzekł Dawid. - Zrobiono je prawdopodobnie tuż po zachodzie słońca, w oświetleniu, które mogłyby się nie sprawdzić w przypadku innego obiektu. Zauważ, że właściwie nic nie widać poza jego twarzą.

To była prawda; Jesse dostrzegła też, że uczesanie miał stosowne do tamtej epoki.

- Spójrz jeszcze na to - dodał Dawid. Tym razem podał jej stary dziewiętnastowieczny dziennik z wąskimi kolumnami druku i atramentowymi ilustracjami. Ujrzała tego samego chłopca wysiadającego z powoziku - szkic zrobiono naprędce, ale widać było, że chłopiec się uśmiecha.

- Jest tu artykuł o nim i o Teatrze Wampirów. A to angielskie czasopismo z 1789 roku, czyli całe osiemdziesiąt lat wcześniejsze. Znajdziesz w nim kolejny bardzo dokładny opis tej instytucji i tego samego młodego człowieka.

- Teatr Wampirów... - Wpatrywała się w klęczącego chłopca o kasztanowych włosach. - Ależ to Armand, postać z tej powieści!

- Właśnie. Wydaje się lubić to imię. Może we Włoszech był to Amadeo, ale stał się Armandem do osiemnastego wieku i później używał tego miana.

- Nie tak szybko, proszę - powiedziała Jesse. - Twierdzisz, że udokumentowano istnienie Teatru Wampirów? Że zrobili to nasi ludzie?

- Uczynili to starannie. Akta są ogromne i zawierają mnóstwo wspomnień na temat teatru. Mamy również dokumenty prawne posiadłości. Tu zaczyna się kolejne ogniwo naszych akt i tej powiastki, „Wywiadu z wampirem”. Właściciel teatru, który nabył go w 1789, nazywał się Lestat de Lioncourt. Jest obecnie w Paryżu posiadłość, której właściciel nazywa się tak samo.

- Czy to sprawdzona wiadomość? - zapytała Jesse.

- Wszystko to jest w aktach - powiedział Dawid - odbitki zarówno starych, jak i nowych dokumentów. Jeśli zechcesz, możesz zbadać podpis Lestata. On robił wszystko z rozmachem -

jego wspaniały podpis zajmuje połowę strony. Mamy odbitki kilku egzemplarzy. Chcemy, żebyś zabrała je ze sobą do Nowego Orleanu. W gazecie jest opis pożaru, który zniszczył teatr, identyczny z opisem Louisa. Data taka sama jak w powieści. A co do niej samej, to przeczytaj ją starannie jeszcze raz.

Pod koniec tygodnia Jesse była już w samolocie do Nowego Orleanu. Miała opatrzyć notatkami i

udokumentować jak najdokładniej treść powieści, przeszukując dokumenty praw własności, przekazania tychże praw, stare gazety, dzienniki - wszystko, co wsparłoby teorię, że postaci i wydarzenia opisane w powieści są prawdziwe.

Nadal nie wierzyła w to wszystko. Niewątpliwie coś w tym było, ale jej zdaniem ten numer polegał jednak tylko na tym, że sprytny autor powieści historycznych trafił przypadkiem na interesujące realia i wplótł je w fikcyjną opowiadanie. Bądźmy poważni, bilety teatralne, dokumenty prawne, programy i tym podobne szparęły jeszcze nie dowodzą istnienia krwiopijczych nieśmiertelnych.

Jeśli chodzi o zasady postępowania, które obowiązywały Jesse, to naprawdę można było oszaleć.

Wolno jej było przebywać w Nowym Orleanie wyłącznie od wschodu słońca do czwartej po południu. O czwartej miała udawać się na północ miasta, do Baton Rouge, i spędzać noce bezpiecznie na piętnastym piętrze nowoczesnego hotelu. Gdyby odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje albo śledzi, miała od razu szukać skupiska ludzi. Z dobrze oświetlonego, ludnego miejsca miała natychmiast zamówić rozmowę międzynarodową do Talamaski w Londynie.

Nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wolno jej było próbować „aktu nadzmysłowego postrzegania” wobec żadnego z wampirów. Zasięg ich mocy był Talamasce nieznany. Jedno było pewne: te istoty potrafią czytać w myślach. Poza tym potrafią wprowadzić ludzi w stan pomieszania umysłu. Istniały znaczące dowody ich niezwykłej potęgi. Na pewno mogły zabijać.

Niewątpliwie niektóre z nich wiedziały o Talamasce. Już kilku członków zakonu znikło podczas śledztw.

Jesse była zobowiązana do skrupulatnej lektury codziennej prasy. Talamasca miała powody, by zakładać, że Nowy Orlean był wolny od wampirów. W innym wypadku Jesse nie zostałaby tam wysłana. Jednak Lestat, Armand lub Louis mogli się pojawić tam w każdej chwili. Jeśli Jesse natrafi na artykuł o niewytłumaczalnej śmierci, ma wyjechać z miasta i nie wracać.

Jesse uznała te wszystkie środki bezpieczeństwa za śmiechu warte. Nawet sterta wzmianek o tajemniczych zgonach nie zrobiła na niej wrażenia ani nie przstraszyła. Przecież ci wszyscy ludzie mogli być ofiarami kultu satanistycznego. I byli zanadto ludzcy.

Ale Jesse zależało na tym zadaniu.

W drodze na lotnisko Dawid zapytał ją o to.

- Jeśli naprawdę trudno ci uwierzyć w moje słowa, to dlaczego zależy ci na śledztwie w sprawie tej książki?

Nie śpieszyła się z odpowiedzią.

- W tej powieści jest coś nieprzyzwoitego. Sprawia, że życie tych istot wydaje się pociągające.

Początkowo nie zdajesz sobie z tego sprawy; to nocny koszmar, z którego nie potrafisz się otrząsnąć. A potem nagle czujesz się w tym wygodnie. Chcesz w tym nadal tkwić. Nawet tragedia Klaudii nie

może cię zmusić do odwrotu.

- I?...

- Chcę udowodnić, że to jest wymysł.

To zupełnie odpowiadało Talamasce, zwłaszcza że padło z ust wyszkolonego śledczego.

Podczas długiego lotu do Nowego Jorku Jesse zdała sobie jednak sprawę, że chodzi jej o coś jeszcze, coś, o czym nie mogła powiedzieć Dawidowi. Dopiero niedawno uzmysłowiła sobie, że

„Wywiad z wampirem” przypominał jej o lecie z Maharet, chociaż nie wiedziała dlaczego. Raz za razem przerywała lekturę, myśląc o tamtych wakacjach. Przypominały się jej drobiazgi, nawet znowu o nich śniła. Te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego - powiedziała sobie. A jednak był

jakiś związek, coś pokrewnego z atmosferą książki, nastrojem, nawet z charakterem postaci i całym układem spraw - podobnym, a tak naprawdę zupełnie niepodobnym. Jesse nie mogła uchwycić i nazwać istoty tych odniesień. Jej władze umysłowe oraz pamięć były przedziwnie zablokowane.

Pierwsze dni Jesse w Nowym Orleanie były najdziwniejsze w jej całej karierze medium.

W mieście panował karaibski wilgotny klimat. Miało urodę i trwałe kolonialny koloryt, które natychmiast ją oczarowały. Gdziekolwiek się udała, wyczuwała różne niesamowitości. Całe miasto wydawało się nawiedzone. Niesamowite rezydencje sprzed wojny secesyjnej były uwodzicielsko milczące i ponure. Nawet pełne turystów ulice French Quarter emanowały zmysłową i zjawiskowo groźną atmosferą, która wiecznie sprowadzała Jesse z wyznaczonego szlaku lub zatrzymywała na długie chwile rozmarzenia na ławce przy Jackson Square.

Nie cierpiała przymusowych wyjazdów o czwartej po południu. Wielopiętrowy hotel w Baton Rouge zapewniał boski poziom amerykańskiego luksusu. Jesse całkiem się tam podobało. Jednak leniwy wdzięk Nowego Orleanu zauroczył ją bez reszty. Każdego rana budziła się z niejasnym uczuciem, że śniła o wampirach. I o Maharet.

Potem, cztery dni po rozpoczęciu śledztwa, dokonała serii odkryć, po której natychmiast złapała za słuchawkę. Na liście podatników Luizjany bezdyskusyjnie figurował niejaki Lestat de Lioncourt. Rzeczywiście w 1862 roku przejął mieszkanie przy ulicy Royal od swojego współnika, Louisa de Pointe du Lac. Ten z kolei był właścicielem siedmiu różnych nieruchomości na terenie Luizjany; jedną z nich była plantacja opisana w „Wywiadzie z wampirem”. Jesse była oszołomiona. I wniebowzięta.

Czekały ją dalsze odkrycia. Niejaki Lestat de Lioncourt był obecnie właścicielem domów rozsianych po całym mieście. Podpis tej osoby, pojawiający się w urzędowych zapiskach z lat 1895 i 1910, był identyczny z podpisami osiemnastowiecznymi.

Och, to było aż nazbyt wspaniale. Jesse bawiła się cudownie.

Od razu wybrała się, by sfotografować posiadłości Lestata. Dwie z nich, rezydencje w Garden

District, były nie zamieszkanymi ruinami z przardzewiałymi bramami. Ale pozostałe, w tym mieszkanie przy obecnej ulicy Royal - to samo, które przepisano na Lestata w 1862 roku -

wynajmowano przez miejscową agencję, która przesyłała płatności adwokatowi w Paryżu.

To było ponad siły Jesse. Telegraficznie poprosiła Dawida o pieniądze. Musi spłacić lokatorów przy ulicy Royal, gdyż to mieszkanie z pewnością zamieszkiwali kiedyś Lestat, Louis i mała Klaudia. Byli wampirami czy nie, ale mieszkali tam!

Dawid bezzwłocznie przesłał pieniądze wraz z wyraźnym zaleceniem, by nie zbliżała się do zrujnowanych rezydencji. Jesse natychmiast odpowiedziała, że już sprawdziła tamte domy. Nikt nie pojawił się w nich od lat.

Ważne było mieszkanie. Do końca tygodnia spłaciła lokatorów, którzy wyprowadzili się z radością i z pełnymi garściami gotówki. Wczesnym poniedziałkowym rankiem Jesse weszła do pustego lokalu na piętrze.

Cudowna ruina. Stare kominki, stiuki, drzwi, wszystko jak w powieści!

Zaopatrzona w śrubokręt i dłuto zaczęła od frontowych pomieszczeń. Louis opisał pożar, w którym Lestat został poważnie poparzony. No cóż, Jesse przekona się, czy był tam naprawdę jakiś pożar.

Nie minęła godzina, a znalazła spalone, belki! A murarze - błogosławieni murarze! - likwidując ślady zniszczenia, zapchali dziury gazetami z 1862 roku. Zgadzało się to idealnie z relacją Louisa. Przepisał willę na Lestata, zaplanował wyjazd do Paryża, a potem wybuchł pożar, podczas którego Louis i Klaudia uciekli.

Oczywiście Jesse starała się zachować sceptycyzm, ale postaci z książki nabierały przedziwnego realizmu. Musiałaby wyjść z domu, żeby zadzwonić do Dawida, i to wprawiło ją w rozdrażnienie. Chciała natychmiast wszystko mu opowiedzieć.

Nie wyszła jednak; przeciwnie, godzinami siedziała w salonie, napawając się plamami słońca na zniszczonym parkiecie, słuchając skrzypienia budynku. Tak stary dom nie może być cichy, nie w takim wilgotnym klimacie. Nie widziała żadnego ducha, mimo to nie czuła się samotna.

Przeciwnie, wokół panowało przytulne ciepło. Nagle ktoś nią potrząsnął, żeby się obudziła. Nie, oczywiście, że nie; nie było tam nikogo oprócz niej. Zegar wybijał czwartą.

Następnego dnia wypożyczyła odparowarkę do tapet i zajęła się innymi pokojami. Musiała dobrać się do oryginalnych warstw. Niewykluczone, że były datowane, a poza tym szukała czegoś szczególnego. Nieopodal śpiewał kanarek, może w innym mieszkaniu lub w sklepie, i świergot nie pozwalał się jej skupić. Jak cudownie. Nie zapomnijcie o kanarku. Kanarek umrze, jeśli o nim zapomnicie. Znów zasnęła.

Kiedy się obudziła, był zmierzch. W pobliżu słyszała dźwięki klawikordu. Słuchała przez długi czas, zanim otwarła oczy. To Mozart, grany bardzo szybko. Zbyt szybko, ale za to z jakim kunsztem. Ogromny zagęszczony motyw, zdumiewająca wirtuozeria. Wreszcie zmusiła się, by wstać, zapalić

światło i ponownie włączyć odparowarkę.

Urządzenie było ciężkie, gorąca woda spływała jej strużkami po ramionach. W każdym pokoju Jesse zdierała część papierowej wykładziny do surowego gipsu, a potem szła dalej. Ale buczenie sprzętu działało jej na nerwy. Miała wrażenie, że słyszy w nim głosy - śmiech rozmawiających ludzi, kogoś szepczącego z naciskiem po francusku, płacz dziecka - a może to była kobieta?

Wyłączyła to draństwo. Nic. Tylko złudzenie wywołane hałasem budzącym echa w pustym pomieszczeniu.

Wróciła do pracy, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu, z coraz większej senności ani z tego, że nic nie jadła. Przesuwała coraz dalej ciężkie urządzenie, aż nagle w połowie sypialni znalazła to, czego poszukiwała - ręczne malowidło na nagiej gipsowej ścianie.

Przez chwilę była zbyt podniecona, aby się poruszyć. Potem rzuciła się do pracy jak szalona.

Tak, to był fresk „magicznych kniei”, który Lestat zamówił dla Klaudii. Spod kapiącej odparowarki wyłaniało się coraz więcej szczegółów.

„Jednorożce, rajskie ptaki, uginające się pod ciężarem owoców drzewa nad połyskującymi potokami” - to było właśnie tak, jak opisał Louis. Wreszcie obnażyła wielki kawał fresku obiegającego wszystkie cztery ściany. Pokój Klaudii, bez wątpienia. Miała zawroty głowy. Była osłabiona z głodu. Spojrzała na zegarek. Pierwsza w nocy.

Pierwsza! Spędziła tu połowę nocy. Powinna wyjść teraz, zaraz! Po raz pierwszy złamała zasady!

A jednak nie potrafiła zmusić się do wyjścia. Mimo podniecenia była bardzo zmęczona.

Siedziała oparta o marmurową płytę kominka, światło sufitowej żarówki było ponure, a poza tym bolała ją głowa. Niemniej jednak nie odrywała wzroku od rajskich ptasząt, drobnych, cudownie oddanych kwiatów i drzew. Niebo miało barwę głębokiego cynobru, ale widniał na nim księżyc w pełni i nie było słońca, a gwiazdy rozprysły się wielką powodzią. Nadal przylegały do nich kawałeczki kutego srebra.

Po pewnym czasie dostrzegła w narożniku namalowany w tle kamienny mur, a za nim zamek.

Jak cudownie szło się przez las w jego kierunku; później przechodziło się przez starannie namalowaną drewnianą bramę i wkraczało się do królestwa innej rzeczywistości. Usłyszała w głowie pieśń, coś dawno zapomnianego, co zwykle śpiewała Maharet.

Wtem dostrzegła, że bramę namalowano na autentycznym otworze w murze!

Wyprostowała się. Widziała szpary w gipsie. Tak, kwadratowe przejście, którego nie zauważyła, mocując się z ciężką odparowarką. Uklękła przed tym fragmentem ściany i dotknęła go.

Drewniane drzwi. Natychmiast sięgnęła po śrubokręt i usiłowała je uchylić. Bez powodzenia.

Mocowała się z jedną krawędzią, potem z drugą, ale bez skutku; tylko rysowała ścianę.

Przysiadła na piętach i uważnie obejrzała to miejsce. Namalowane wrota na drewnianych drzwiach. A tam, gdzie namalowano klamkę, wytarty placek. Tak! Wyciągnęła rękę i szturchnęła lekko. Drzwi nagle się uchyliły. Proste? Proste.

Uniosła latarkę. Komórka wyłożona cedrem. Były tam różne rzeczy. Oprawiona w skórę książeczka! Coś w rodzaju różańca i lalka, bardzo stara porcelanowa lalka.

Przez chwilę nie potrafiła się zdobyć, by dotknąć tych przedmiotów. Czuła się tak, jakby miała zbecześcić grób. Unosił się tam lekki zapach. Perfumy? Nie śni, prawda? Nie, ból głowy był zbyt silny. Najpierw wyjęła z komórki lalkę.

Wedle współczesnych standardów, była prymitywna, ale jej drewniane członki połączone i uformowano fachowo. Biała sukienka i niebiesciutka szarfa gniły, rozpadały się na strzępki, ale porcelanowa główka była śliczna, wielkie błękitne oczy idealne, rozpuszczona blond peruczka nadal nietknięta.

- Klaudia - szepnęła.

Na dźwięk swego głosu zdała sobie sprawę z panującej ciszy. O tej godzinie na ulicach nie było żadnego ruchu. Tutaj skrzypiały tylko stare klepki, a na stole łagodnie migotała lampa naftowa.

Wtem skądś dobiegła muzyka klawikordu; ktoś teraz grał „Minutowy walc” Szopena z tą samą olśniewającą biegłością, którą słyszała wcześniej. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w lalkę na podółku. Chciała uczesać jej włoski, porządnie zawiązać szarfę.

Przypomniała sobie przełomowe wydarzenia z „Wywiadu z wampirem” - Klaudia zniszczona w Paryżu; Klaudia na wyłożonym ceglami podwórku, z którego nie może uciec, obezwładniona przez zabójcze światło wschodzącego słońca. Jesse poczuła głuchy wstrząs i szybkie bezgłośnie uderzenia serca tłukącego się w gardle. Klaudia przepadła, podczas gdy inni nadal egzystowali.

Lestat, Louis, Armand...

Wzdrygnęła się, patrząc na pozostałe rzeczy w komórce. Sięgnęła po książkę.

Dziennik! Karty kruszyły się, pokryte plamami, ale staromodne sepiowe pismo wciąż było czytelne, zwłaszcza gdy teraz zapalono wszystkie lampy naftowe i w pomieszczeniu zapanowała przytulna jasność. Bez problemu tłumaczyła francuski tekst. Pierwszy wpis nosił datę 21

września 1836 roku:

To jest mój urodzinowy podarunek od Louisa. Zrób z tym, co chcesz, powiedział. Może powinnam wpisywać tu okolicznościowe wierszyki, które przypadną mi do gustu, i czasem mu je czytać?

Zupełnie nie pojmuję, co znaczy słowo „urodziny”. Czy przyszedłam na świat 21 września, czy też

chodzi o tamten dzień, w którym opuściłam wszystkie ludzkie istoty, by stać się tym, kim jestem?

Moi szlachetni rodziciele są zawsze szalenie oporni, kiedy mają oświecić mnie w takich prostych sprawach. Można by pomyśleć, że roztrząsanie podobnych problemów jest w złym tonie. Louis wydaje się tak zbity z tropu, że wygląda wręcz żałośnie, po czym wraca do popołudniowej gazety. A Lestat uśmiecha się i gra mi przez chwilę Mozarta, po czym odpowiada, wzruszając ramionami: „To dzień, w którym urodziłaś się dla nas”.

Oczywiście, jak zwykle dał mi lalkę, replikę mnie samej, jak zawsze ubraną w replikę mojej najnowszej sukni. Nie ukrywa przede mną, że sprowadza te lalki z Francji. I co niby mam z nimi począć? Bawić się nimi, jakbym naprawdę była dzieckiem?

„Czy to jakieś przesłanie, ukochany ojcze? - spytałam go tego wieczoru. - Może powinnam na zawsze zostać lalką?” Jeśli pamięć mnie nie myli, przez te wszystkie lata dał mi ich trzydzieści.

A pamięć mi dopisuje. Każda lalka jest dokładnie taka jak pozostałe. Zabrakłoby mi miejsca w sypialni, gdybym je zachowała. Ale nie czynię tego. Palę je, rozbijam pogrzebaczem porcelanowe buzie. Przyglądam się, jak ogień pożera ich włosy. Nie mogę powiedzieć, by mi to sprawiało radość. W gruncie rzeczy wszystkie są piękne. I przypominają mnie. A jednak to właściwy sposób postępowania. Lalka się tego spodziewa. Tak jak i ja.

A teraz przyniósł mi kolejną i stoi w drzwiach wpatrzony we mnie, jakby zraniony moim pytaniem. Jego oblicze pokrywa tak nagły mrok, że to chyba nie może być mój Lestat.

Dobrze byłoby móc go nienawidzić. Dobrze byłoby nienawidzić ich obu. Ale pokonują mnie nie swoją siłą, lecz słabością. Są tacy kochani! I tak przystojni. *Mon Dieu*, jak te kobiety za nimi szaleją!

Kiedy tak tam stał, patrząc, jak oglądam lalkę, którą mi dał, zapytałam go ostro:

„Podoba ci się to, co widzisz?”

„Już ich więcej nie chcesz, prawda?”, szepnął.

„A ty chciałbyś, gdybyś był mną?”, zapytałam go.

Mrok jeszcze gęstsza chmurą pokrył jego lica. Nigdy nie widziałam go w takim nastroju.

Płonący żar uderzył mu do twarzy i zamrugał, jakby przez chwilę utracił zdolność widzenia, tę swoją niezrównaną zdolność widzenia. Zostawił mnie i wrócił do salonu. Udałam się za nim.

Prawdę mówiąc, nie mogłam znieść jego wyglądu, niemniej jednak poszłam za nim. „Czy podobałaby ci się, gdybyś był mną?”, spytałam.

Patrzył na mnie, jakbym go przestraszyła, jego, wysokiego mężczyznę, ja, dziecko nie sięgające mu do pasa.

„Czy uważasz, że jestem piękna?”, zapytałam go władczo.

Przeszedł obok mnie korytarzem do tylnych drzwi, ale dopędziłam go i złapałam mocno za rękaw, kiedy zatrzymał się u szczytu schodów. „Odpowiedz mi! - rzekłam mu. - Patrz na mnie.

Co widzisz?”

Był w strasznym stanie. Myślałam, że się wyrwie, zaśmieje, olśni mnie jak zwykle wybuchem wesołości. Ale zamiast to uczynić, runął przede mną na kolana, ujął mnie za ramiona i twardo pocałował w usta. „Kocham cię - szepnął. - Kocham!” A potem rzekł, jakby mnie wyklinał: Okryj jej oblicze;

me oczy olśniła;

umarła młodo.

To Webster, jestem prawie pewna. Jedna z tych sztuk, które Lestat uwielbia. Ciekawa jestem...

czy Louis będzie zachwycony tym wierszykiem? Nie potrafię znaleźć przyczyny, dla której miałoby być inaczej. Jest króciutki, ale prześliczny.

Jesse łagodnie zamknęła diariusz. Dłonie jej drżały. Przycisnęła lalkę do piersi i kołysząc się lekko, usiadła pod malowaną ścianą.

- Klaudio - szepnęła.

W głowie jej pulsowało, ale to nie miało znaczenia. Blask naftowych lamp działał tak kojąco, w przeciwieństwie do ostrego elektrycznego światła. Znieruchomiała, gładząc lalkę niemal jak ślepa, wyczuwając jedwabście miękkie włosy i sztywną wykrochmaloną sukienkę. Zegar znów bił godziny, każdy przygnębiający dźwięk odbijał się echem w pokoju. Nie wolno jej zemdleć.

Musi się jakoś podnieść. Musi zabrać pamiętnik, lalkę, różaniec i wyjść.

Nagie, prześwietlone nocą okna były jak zwierciadła. Złamane zasady. Zadzwoń do Dawida, tak, zadzwoń natychmiast do Dawida. Usłyszała dźwięk telefonu. O tej porze? To niewyobrażalne.

Telefon wciąż dzwonił. Dawid nie ma numeru tego mieszkania, ponieważ telefon... Usiłowała go zignorować, ale dzwonił i dzwonił. Niech będzie, odbierze!

Pocałowała lalkę w czoło.

- Zaraz wracam, kochanie - szepnęła.

Cholera, gdzie w tym domu jest telefon? Oczywiście, w niszy, w korytarzu. Była już blisko niego, kiedy zobaczyła przewód z wystrzępioną końcówką zwinięty wokół aparatu. Nie był

podłączony, widziała to wyraźnie. A mimo to dzwonił, słyszała go; urządzenie wydawało jeden

przeraźliwy brzęk po drugim. Lampy naftowe! Przecież w mieszkaniu nie było lamp naftowych!

W porządku, widziałaś wcześniej takie rzeczy. Nie panikuj, na miłość boską. Myśl! Ale krzyk rósł jej w gardle. Telefon nie przestawał dzwonić. Jeśli wpadniesz w panikę, stracisz panowanie nad sobą. Musisz zgasić te lampy, wyłączyć telefon! Ale lampy nie mogą być prawdziwe. I salon w głębi korytarza... te meble nie są prawdziwe! Migotanie ognia - nieprawdziwe! A ta osoba, która się tam rusza, kto to, jakiś mężczyzna? Nie patrz na niego! Zrzuciła telefon na podłogę.

Słuchawka przewróciła się mikrofonem do góry. Usłyszała cichy, kobiecy głos:

- Jesse?

W ślepej panice wróciła biegiem do sypialni, potknęła się o nogę krzesła, upadła na wykrochmaloną firankę łoża z kolumnkami. To nie jest naprawdę. Nie tu. Bierz lalkę, bierz książkę, różaniec! Wepchnęła wszystko do płóciennej torby, zerwała się na nogi i wybiegła tylną klatką schodową. Mało nie upadła, uderzywszy stopą o żelazny pręt. Ogród, fontanna... Dobrze wiesz, że tam nie ma nic oprócz chwastów. Na drodze jej wyrosła kuta w żelazie brama. To iluzja. Biegnij przez nią! Ile sił w nogach!

Senny koszmar złapał ją w swoje szpony, brzęk końskich kopyt i łoskot powozu dudniły jej w uszach, kiedy biegła po kocich łbach. Każdy niezdarny gest ciągnął się przez wieczność, ręce nie mogły znaleźć kluczyków do samochodu ani otworzyć drzwi, a potem silnik nie chciał zapalić.

Zanim dotarła do granicy French Quarter, rozekłała się i złała potem. Pędziła ulicami biednego ponurego przedmieścia w kierunku autostrady. Zatrzymana przy wjeździe, odwróciła głowę.

Tylne siedzenie puste. W porządku, nikt jej nie śledził. Torba leżała na kolanach; czuła twardą porcelanową główkę lalki na swojej piersi. Wdusiła gaz do dechy i popędziła do Baton Rouge.

Zanim dojechała do hotelu, była chora. Ledwo doszła do recepcji. Aspiryna, termometr. Proszę pomóc mi dojść do windy.

Kiedy obudziła się po ośmiu godzinach, było południe. Nadal nie wypuściła z objęć torby. Miała trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Zadzwoiła do Dawida, ale połączenie było okropne. On zadzwonił do niej; żadnej poprawy. Niemniej jednak starała się, by ją zrozumiał. Pamiętnik należał do Klaudii, nie było żadnych wątpliwości, potwierdzał wszystko! Telefon nie był

podłączony, a mimo to słyszała głos tamtej kobiety! Lampy naftowe płonęły, kiedy wybiegła z mieszkania. W mieszkaniu stały meble; na kominkach płonął ogień. Czy od tych lamp i kominków nie spłonie mieszkanie? Dawid musi coś zrobić! Odpowiadał jej, ale ledwo go słyszała. Powiedziała mu, że ma torbę, niech się nie martwi.

Kiedy otworzyła oczy, było ciemno. Obudził ją ból głowy. Zegar cyfrowy na toalecie wskazywał

wpół do jedenastej. Czuła pragnienie, straszne pragnienie, a szklanka obok łóżka była pusta. Ktoś obcy jest w pokoju - pomyślała.

Odwróciła się na plecy. Światło prześwitywało przez cienką białą zasłonę. Tak, tam. Dziecko, dziewczynka. Siedziała na krześle pod ścianą.

Jesse wyraźnie widziała zarys sylwetki - długie jasne włosy, sukienka z bufiastymi rękawami, nogi kiwające się w powietrzu, nie dotykające podłogi. Usiłowała się skupić. Dziecko...

niemożliwe. Zjawia. Nie. To coś zajmuje przestrzeń. Coś złowrogiego. Zagrożenie... Dziecko patrzyło na nią.

Klaudia!

Niezdarnie wyskoczyła z łóżka, mało się nie przewracając; nadal trzymała torbę w ramionach, kiedy wbiła się plecami w ścianę. Dziewczynka wstała. Rozległ się wyraźny odgłos kroków na dywanie. Poczucie zagrożenia wzrosło. Dziecko zbliżało się do Jesse; krąg światła padł na niebieskie oczy, okrągłe policzki, delikatne nagie ramiona.

Jesse wrzasnęła. Przyciskając torbę do siebie, rzuciła się do drzwi. Szarpała zamek i łańcuch, lękając się spojrzeć za siebie. Wydawała z siebie nie kontrolowane odgłosy. Usłyszała głosy za drzwiami i wreszcie otworzyła je, wypadając na korytarz.

Otoczyli ją ludzie; ale nadal uciekała, byle dalej od pokoju. Ktoś pomógł jej wstać, bo chyba znowu upadła. Ktoś inny podsunął jej krzesło. Płakała, na próżno starając się uspokoić, i obiema rękami ścisnęła torbę z lalką i pamiętnikiem.

Kiedy przyjechała karetka, Jesse nie pozwoliła odebrać sobie torby. W szpitalu dostała antybiotyki, środki uspokajające, tyle głupiego jasia, że każdy by zwariował. Leżała w łóżku skulona jak dziecko, z torbą pod kołdrą. Gdy tylko pielęgniarka dotknęła jej skarbu, Jesse budziła się natychmiast.

Aaron Lightner zjawił się dwa dni potem. Wciąż była chora, kiedy wsiadała do samolotu do Londynu. Aaron trzymał torbę na kolanach i był dla Jesse taki dobry, uspokajał ją, opiekował się nią, gdy spała i spała podczas długiego lotu do domu. Dopiero tuż przed samym lądowaniem zdała sobie sprawę, że znikła bransoletka, jej piękna srebrna bransoletka. Płakała cicho, z zamkniętymi oczami. Bransoleta Maela przepadła.

* * *

Odebrali jej zadanie.

Nawet nie musieli o tym mówić. Jest za młoda na taką pracę, powiedzieli, zbyt niedoświadczona. Nie powinni byli jej wysyłać. Dalsze prace są dla niej po prostu zbyt niebezpieczne. Oczywiście, dokonała niesłychanych odkryć. A nawiedzenie było niezwyklej mocy. Duch nieżywego wampira? Jak najbardziej. Dzwoniący telefon, no cóż, wielokrotnie raportowano o takich sprawach - te istoty używają przeróżnych sposobów porozumiewania się między sobą lub zastraszania żywych. Teraz należy pozwolić, by odpoczęła i przestała o tym myśleć. Inni będą kontynuować śledztwo.

W pamiętniku było jeszcze tylko kilka zapisów, nie bardziej znaczących niż to, co już przeczytała. Psychometrycy, którzy zbadali różaniec i lalkę, nie dowiedzieli się niczego. Te rzeczy będą

przechowywane z największą starannością. Jesse naprawdę musi natychmiast przestać o tym myśleć.

Jesse wyklócała się. Błagała o pozwolenie na powrót. Histeryzowała. Bez skutku. Któregoś dnia, może za dziesięć lat, może za dwadzieścia, znów powierzą jej ten obszar badań. Nikt nie wykluczał takiej możliwości, ale na razie odpowiedź brzmi „nie”. Jesse ma odpocząć, nabrać sił, zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

Zapomnieć o tym, co się wydarzyło...

Chorowała wiele tygodni. Ubrana w białe flanelowe koszule nocne, przez cały dzień siedziała w fotelu przy oknie w swoim pokoju, bez końca pijąc gorącą herbatę. Patrzyła na delikatną ciemną zieleń parku, na kolorowe plamy przesuwane się bezszelestnie po odległej szutrowej drodze.

Jaka cudowna cisza. Przynoszono jej smakołyki do jedzenia lub picia. Zjawiał się Dawid i rozmawiał z nią łagodnie o wszystkim, tylko nie o wampirach. Aaron zapełnił pokój kwiatami.

Przychodzili też inni.

Rozmawiała mało albo wcale. Nie potrafiła im wytłumaczyć, jak bardzo została zraniona, ani opowiedzieć o tym dawno minionym lecie, kiedy odsunięto ją od innych sekretów, innych tajemnic, innych dokumentów zamkniętych w sejfach. Wciąż jedna i ta sama historia. Dostrzegła coś o nieoszacowanej wartości i tyle osiągnęła, że zatrzęsnięto jej drzwi przed nosem.

Nigdy nie zrozumie, co widziała i czego doświadczyła. Musi zachować dla siebie swoje żale.

Czemu nie zdecydowała się sięgnąć po słuchawkę, odezwać się, posłuchać głosu?

A dziecko, czego chciał duch tego dziecka? Chodziło o pamiętnik czy o lalkę? Nie, Jesse było pisane znaleźć jedno oraz drugie i zabrać ze sobą! A jednak odwróciła się od owej zjawy! Ona, która zwracała się do tak wielu bezimiennych istot, która w mrocznych pokojach odważnie rozmawiała z niewyraźnie migocącymi zjawami, kiedy inni uciekali w panice. Ona, która niezmiennie zapewniała innych: te istoty, bez względu na to, kim są, nie mogą zrobić krzywdy!

Błagała o jeszcze jedną szansę. Przemyślała wszystko, co zaszło. Musi wrócić do Nowego Orleanu. Dawid i Aaron milczeli. Wreszcie Dawid podszedł i objął ją ramieniem.

- Jesse, moja droga - szepnął. - Kochamy cię. Ale przede wszystkim nie możemy łamać zasad postępowania.

Nocą śniła o Klaudii. Pewnego razu obudziła się o czwartej, podeszła do okna i spojrzała na park, usiłując zobaczyć coś więcej niż przestrzeń rozjaśnioną mdłymi światłami z niższych okien.

Daleko pod drzewami było dziecko, drobna postać w czerwonej pelerynce z kapturem, spoglądająca ku niej w górę. Zbiegła po schodach po to tylko, by z nadejściem szarego poranka ocknąć się na pustym mokrym trawniku.

Na wiosnę posłano ją do Nowego Delhi.

Miała udokumentować przypadki reinkarnacji, oświadczenia małych Hindusów utrzymujących, że pamiętają swoje poprzednie życie. Doktor Ian Stevenson dokonał już obiecujących odkryć w tej dziedzinie. Jesse miała podjąć na rzecz Talamaski niezależne badania, które mogły przynieść równie owocne rezultaty.

W Delhi przywitali ją dwaj starsi członkowie zakonu. W starej brytyjskiej rezydencji, którą zajmowali, od razu poczuła się jak w domu. Po pewnym czasie pokochała tę pracę, a po pierwszych wstrząsach i pokonaniu drobnych niedogodności pokochała również Indie. Do końca roku była znowu szczęśliwa - i skuteczna.

Zdarzyło się jeszcze coś, prawdziwy drobiazg, niemniej jednak dobra wróżba. W kieszeni starej torby - tej, którą Maharet przysłała jej wiele lat temu - znalazła srebrną bransoletę Maela.

Tak, miała szczęście.

Ale nie zapomniała o tym, co się wydarzyło. Bywały noce, gdy widziała wizerunek Klaudii tak wyraźnie, że musiała wstawać i zapalać wszystkie lampy w pokoju. Innymi razy miewała wrażenie, że na ulicach miasta widzi wokół siebie dziwne bladolice istoty, zupełnie jak postaci z

„Wywiadu z wampirem”. Czuła się obserwowana.

Ponieważ nie mogła opowiedzieć Maharet o tej dziwnej przygodzie, jej listy stały się jeszcze bardziej lakoniczne i powierzchowne. Mimo to Maharet była wierna jak zawsze. Kiedy członkowie rodziny przybyli do Delhi, odwiedzili Jesse. Utrzymywali z nią kontakty. Przesyłali zawiadomienia o ślubach, urodzinach, pogrzebach. Błagali o odwiedziny w czasie świąt.

Matthew i Maria pisali z Ameryki, prosząc, by nie zwlekała z przyjazdem do domu. Było im jej brak.

* * *

Jesse spędziła w Indiach cztery szczęśliwe lata. Udokumentowała trzysta indywidualnych przypadków zdumiewających reinkarnacji. Pracowała z najdoskonalszymi śledczymi zjawiskami parapsychologicznymi, jakich kiedykolwiek poznała. Praca wciąż dawała jej satysfakcję, niemal poczucie komfortu.

Jesienią następnego roku wreszcie uległa Matthew i Marii. Obiecała przyjechać na miesiąc do Stanów. Byli w siódmym niebie.

Rodzinne spotkanie okazało się ważniejsze, niż się tego spodziewała. Wzruszył ją widok starego nowojorskiego mieszkania. Uwielbiała późne kolacje ze swoimi przybranymi rodzicami, którzy nie wypytywali jej o pracę. Pozostawiona sama sobie podczas dnia, umawiała się na lunch z dawnymi przyjaciółmi z college'u albo odbywała długie samotne spacerunki przez tętniący życiem miejski krajobraz budzący wspomnienia dziecięcych marzeń, nadziei i smutków.

* * *

Dwa tygodnie po przyjeździe ujrzała na wystawie księgarni „Wampira Lestata”. Przez chwilę myślała, że ma zwidy. To niemożliwe. A jednak książka leżała przed jej nosem. Sprzedawca poinformował ją, że ukazała się płyta pod tym samym tytułem, niebawem w San Francisco odbędzie się koncert. Wracając do domu, Jesse kupiła w sklepie muzycznym bilet oraz płytę.

Przez cały dzień leżała samotnie u siebie w pokoju, czytając książkę. Czuła się tak, jakby koszmar „Wywiadu z wampirem” powrócił i po raz kolejny nie mogła się z niego otrząsnąć. A równocześnie każde słowo budziło w niej dziwne echo. Tak, jesteście prawdziwi, wy wszyscy -

huczało jej w głowie. Jakże krętymi ścieżkami toczyła się fabuła powieści, od rzymskiego domu sabatowego Santina, przez wyspiarską kryjówkę Mariusza i druidyjski gaj Maela; i wreszcie Ci Których Należy Mieć w Opiece, żywi, a jednocześnie twardzi i biali jak marmur.

Ach, tak, ona dotknęła tego kamienia! Spojrzała w oczy Maela; czuła w swojej dłoni dłoń Santina. Widziała malowidło Mariusza w skarbcu Talamaski!

Kiedy zamknęła oczy do snu, widziała Maharet na balkonie domu w górach Sonoma. Księżyc świecił wysoko nad czubkami sekwoi, a ciepłe nocne powietrze wydawało się pełne niepojętej tajemnicy i grozy. Byli tam Eryk i Mael, a także inni, których spotkała tylko na kartach książki Lestata. Wszyscy należeli do tego samego plemienia; jarzące się oczy, błyszczące włosy, skóra pozbawiona porów, lśniąca substancja. Wodziła palcami po srebrnej bransolecie, tysięczny raz wyczuwając celtyckie symbole bogów i bogiń, do których druidowie przemawiali niegdyś w leśnych gajach podobnych do więzienia Mariusza. Ilu ogniw brakuje, by mogła połączyć te ezoteryczne twory wyobraźni z niezapomnianym latem?

Niewątpliwie jednego. Samego Wampira Lestata. W San Francisco, kiedy zobaczy go i dotknie, pozna ostatnie ogniwo. Pozna odpowiedź na wszystkie pytania.

Zegar tykał. Jej lojalność wobec Talamaski umierała. Nie mogła im nic zdradzić. Jakież to tragiczne, bo przecież byłiby ogromnie, bezinteresownie przejęci; nie zwątpiliby w żadne jej słowo.

Było dawno minione popołudnie. Znowu się tam znalazła. Schodziła krętymi schodami do piwnicy Maharet. Czy zdoła otworzyć drzwi? Spójrz. Zobacz to, co zobaczyłaś wtedy. Na pierwszy rzut oka nic strasznego - jedynie ci, których znała i kochała, śpiący w mroku, śpiący.

Mael leży na podłodze jak martwy, a Maharet siedzi pod ścianą sztywno jak posąg. Ma otwarte oczy!

Obudziła się roztrzęsiona, z rozpaloną twarzą; pokój wokół był zimny i ciemny.

- Miriam - powiedziała głośno. Panika stopniowo ustępowała. Jesse zbliżyła się do nich jeszcze bardziej, pełna wielkiego lęku. Dotknęła Maharet. Była zimna, zeszywniała. Mael martwy!

Reszta była ciemnością.

Znów jest w Nowym Jorku. Leży w łóżku z książką w ręce. Miriam nie przyszła. Jesse powoli wstała i podeszła do okna.

Przed sobą, w brudnej szarówce popołudnia ujrzała zjawę wysokiego domu Stanforda White'a.

Jesse wpatrywała się w niego, dopóki nie rozpląnął się stopniowo w niewyraźnym świetle.

Z okładki płyty stojącej na toalecie uśmiechał się do niej Wampir Lestat.

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie tragiczną parę Tych Których Należy Mieć w Opiece.

Niezniszczalni król i królowa na egipskim tronie, dla których Wampir Lestat śpiewał swoje hymny. Ujrzała jaśniejącą wśród cieni białą twarz Maharet. Alabaster. Kamień zawsze pełen światła.

Zapadał nagły jesienny zmierzch, mgliste popołudnie ginęło w ostrych światłościach wieczoru.

Ruch samochodowy wypełniał ulice, hałas odbijał się echem od ścian budynków. Czy w Nowym Jorku zawsze było tak głośno? Oparła czoło o szybę. Kątem oka widziała dom Stanforda White'a. Wewnątrz poruszały się jakieś postaci.

* * *

Następnego popołudnia wyjechała z Nowego Jorku starym kabrioletem Matta. Zapłaciła mu, mimo że się wzbraniał. Wiedziała, że nigdy nie odda mu samochodu. Potem uściskała rodziców i tonem tak lekkim, na jaki potrafiła się zdobyć, powiedziała im wszystko, co w głębi serca zawsze chciała im przekazać.

Tego samego dnia wysłała ekspres do Maharet, załączając obydwie „wampirze” powieści.

Wyjaśniła, że porzuciła Talamaskę, że jedzie na zachód, na koncert Wampira Lestata i chce zatrzymać się w domu w górach Sonoma. Musi spotkać się z Lestatem, to sprawa najwyższej wagi. Czy stary klucz będzie pasował do zamka? Czy Maharet pozwoli, żeby się tam zatrzymała?

Pierwszej nocy, w Pittsburgu, śniła o bliźniaczkach. Ujrzała dwie kobiety klęczące przed ołtarzem. Ujrzała usmażone ciało gotowe do zjedzenia. Ujrzała jedną bliźniaczkę podnoszącą misę z sercem, drugą - misę z mózgiem. Potem żołnierzy, świętokradztwo.

Zanim dotarła do Salt Lake City, śniła o bliźniaczkach trzy razy. Widziała niejasną i przerażającą scenę gwałtu. Widziała jedną z sióstr rodzącą dziecko. Widziała ukrycie niemowlęcia, kiedy bliźniaczki znów były ścigane i wzięte w niewolę. Czy zostały zabite? Nie potrafiła powiedzieć. Te rude włosy. Gdyby tylko mogła ujrzeć ich twarze, oczy! Te rude włosy dręczyły ją.

Dopiero kiedy zadzwoniła do Dawida z automatu przy szosie, dowiedziała się, że inni też mieli te sny - ludzie o zdolnościach parapsychologicznych na całym świecie. Wszystkie one miały związek z Wampirem Lestatem. Dawid nakazał Jesse natychmiastowy powrót do domu.

Jesse próbowała wszystko mu wytłumaczyć. Jedzie na koncert, by zobaczyć Lestata na własne oczy. Musi to zrobić. Ma więcej do powiedzenia, ale teraz jest na to za późno. Dawid musi jej wybaczyć.

- Nie rób tego, Jessico - powiedział. - To, co się dzieje, nie jest prostą sprawą do odfajkowania w

archiwach. Musisz wrócić; jesteś tu potrzebna. Jesteś tu rozpaczliwie potrzebna. To nie do pomyślenia, żebyś próbowała tego „aktu nadzmysłowego postrzegania” na własną rękę. Jesse, usłuchaj tego, co do ciebie mówię.

- Nie mogę wrócić, Dawidzie. Zawsze was kochałam. Kochałam was wszystkich. Ale powiedz mi. To ostatnie pytanie, jakie ode mnie usłyszysz. Dlaczego sam nie jedziesz?

- Jesse, ty mnie nie słuchasz.

- Dawidzie, chcę prawdy. Powiedz mi prawdę. Czy kiedykolwiek w nie wierzyłeś? Czy też zawsze to była sprawa artefaktów, malowideł w skarbcach, rzeczy, które można zobaczyć i wziąć do ręki! Wiesz, o czym mówię, Dawidzie. Pomyśl o katolickim księdzu, który dokonuje konsekracji podczas mszy. Czy naprawdę wierzy w to, że Chrystus jest na ołtarzu? Czy też ważne są jedynie kielich, wino i śpiew chóru?

Och, ależ jest nieuczciwa! Tyle przed nim ukrywała, a jednocześnie tak bardzo naciskała. Jego odpowiedź nie sprawiła jej zawodu.

- Jesse, mylisz się. Wiem, do czego są zdolne te stwory. Zawsze o tym wiedziałem. Nigdy nie miałem w tej sprawie najmniejszych wątpliwości i z tego względu żadna siła nie skłoniłaby mnie do uczestniczenia w tym koncercie. To właśnie ty nie możesz zaakceptować prawdy. Musisz zobaczyć, żeby uwierzyć! Jesse, nie lekceważ niebezpieczeństwa. Lestat jest tym, za kogo się podaje, i będą tam też inni, nawet jeszcze bardziej niebezpieczni, którzy mogą cię rozpoznać i skrzywdzić. Przejrzyj na oczy i zrób to, co ci mówię. Natychmiast wracaj do domu.

Co za rozdzierająca i bolesna sytuacja. On usiłował nawiązać z nią kontakt, a ona tylko mówiła mu „żegnaj”. Obiecywał, że opowie jej „całość”, że otworzy przed nią akta, zapewniał, że wszyscy potrzebują jej w tej właśnie sprawie.

Jednak ona myślała o czymś innym, o tym, że sama nie może opowiedzieć mu swojej „całości”, i stąd jej cierpienie. Znów ogarnęła ją senność; sen zamajaczył ponuro na obrzeżach jej świadomości, kiedy odłożyła słuchawkę. Ujrzała miski, trupa na ołtarzu, ich matkę. Tak, ich matkę. Czas spać. Sen tego chce. A potem w drogę.

* * *

Droga numer 101. Godzina dziewiętnasta trzydzieści pięć. Za dwadzieścia pięć minut zacznie się koncert.

Właśnie przejechała górską przełęcz na Waldo Grade i ujrzała cudowny widok - zatłoczony miejski horyzont San Francisco nad wzgórzami, a dalej czarną tafłę lśniącej wody. Wieże Golden Gate wystrzeliły w niebo, lodowaty wiatr z zatoki mroził nagie dłonie zaciśnięte na kierownicy.

Czy Wampir Lestat będzie na czas? Myśl, że nieśmiertelny stwór będzie na czas, wzbudziła w niej śmiech. No cóż, ona sama będzie na czas; podróż prawie się skończyła.

Wszelki smutek ustąpił, uciekła tęsknota za Dawidem i Aaronem, a także za tymi, których kochała.

Nie smuciła się też z powodu Wielkiej Rodziny. Czuła tylko wdzięczność wobec nich wszystkich. A może jednak Dawid miał rację. Może nie zaakceptowała zimnej, przerażającej istoty rzeczy, a jedynie wślizgnęła się do królestwa wspomnień i duchów, bladych stworów, które były prawdziwą substancją snów i szaleństwa.

Przed sobą miała fantom domu Stanforda White'a i nie było ważne, kto tam mieszkał. Zostanie przywitana serdecznie. Próbowano jej to powiedzieć od pierwszej chwili, którą zachowała w pamięci.

CZEŚĆ II

Wigilia Wszystkich Świętych

Bardzo niewiele

bardziej zasługuje na nasze zachody,

niż zrozumienie

talentu Materii.

...

Pszczoła, żywa pszczoła

tlucze o szybę, usiłuje się wydostać, skazana na swój los,

ona nie rozumie.

Stan Rice wiersz bez tytułu z tomu „Ewolucja świni” (1976)

Daniel

Długi kręty westybul pełen kolorowej ludzkiej masy ocierającej się o wyprane z kolorów ściany.

Tłum nastolatków w halloweenowych kostiumach napływał frontowymi drzwiami; pęczniały kolejki do stoisk z blond perukami i czarnymi satynowymi pelerynami - Kły, pięćdziesiąt centów para! - i programami na kredowym papierze. Wszędzie, gdzie spojrzał, białe twarze, wymalowane oczy i usta. A gdzieś grupki ludzi obojga płci starannie przebrane w autentyczne dziewiętnastowieczne stroje; makijaże i koafiury bez zarzutu.

Kobieta w aksamitach wyrzuciła w górę wielką fontannę zeschniętych płatków róż. Namalowana krew spływała po jej sinych policzkach. Wybuchy śmiechu.

Czuł w powietrzu zapachy szminki i piwa, tak obce jego zmysłom; czuł woń zgnilizny. Bijące wokół serca uderzały cudownym gradem o jego delikatne błony bębenkowe.

Musiał głośno się roześmiać, ponieważ poczuł na ramieniu ostre uszczyknięcie Armanda.

- Danielu!

- Przepraszam, szefie - szepnął. Zresztą i tak nikt nie zwracał na to uwagi; każdy śmiertelny w zasięgu wzroku był przebrany; a kim byli Armand i Daniel, jeśli nie tylko dwoma bladymi, nie wyróżniającymi się w ścisku ludźmi w czarnych swetrach i dzinsach, z ciemnymi szklami na oczach i włosami częściowo ukrytymi pod żeglarskimi czapeczkami z niebieskiej wełny. - O co chodzi? Nie mogę roześmiać się głośno, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko jest takie śmieszne?

Armand był rozkojarzony; znów nasłuchiwał. Daniel nie potrafił wbić sobie do głowy, że powinien się bać. Miał wreszcie to, na czym mu zależało. Nie jesteście już moimi braćmi i siostrami!

- Trzeba cię sporo nauczyć - powiedział mu wcześniej Armand. To było podczas polowania, uwodzenia, zabijania, powodzi krwi płynącej przez nienasycone serce. Nienaturalne stało się jego prawdziwą naturą po nieporadnym lęku pierwszego morderstwa, gdy w ciągu kilku sekund przeszedł od drżenia i poczucia winy do ekstazy. Czerpał życie pełnymi haustami. Ocknął się spragniony.

A pół godziny wcześniej połknęli dwie wyborne małe uciekiniarki w ruinach szkoły przy parku; dzieciaki mieszkaly tam w wynajmowanych pokojach, ze śpiworami, łachmanami i małymi pojemnikami paliwa turystycznego do gotowania odpadków kradzionych z wielkich pojemników na śmieci przy Haight-Ashbury. Tym razem żadnych oporów. Tylko pragnienie, rosnące poczucie doskonałości, nieuchronność tego, co się robiło, nadprzyrodzona pamięć bezbłędnego smaku. I pośpiech. Jednak robienie tego z Armandem było artyzmem nie mającym żadnego związku z pośpiechem wcześniejszej nocy, kiedy to liczył się tylko czas.

Armand spokojnie stał na czatach przed budynkiem czekając „na tych, którzy chcieli umrzeć”; taki był jego ulubiony sposób załatwiania sprawy; przybywali wzywani bez słów. Śmierć mieli pogodną. Dawno temu próbował zademonstrować tę sztukę Louisowi, ale ten uznał ją za niesmaczną.

Oczywiście, zabłąkiwali się tam przyodziani w dzins cherubini, wchodzący bocznymi drzwiami jak zahipnotyzowani przez szczurołapa.

- Tak, przyszedłeś, wiedzieliśmy, że przyjdiesz... - witały ich głuche, pozbawione wyrazu głosy, prowadząc schodami w górę, do salonu ozdobionego kocami z demobilu na hamakach.

Umierali na tym śmietniku w świetle reflektorów samochodowych sączącym się przez splekaną dyktę.

Pałące brudne ramiona na szyi Daniela; smród haszu w jej włosach; ledwo mógł wytrzymać ten taniec, jej biodra przy swoich; potem wbił kły w ciało.

- Kochasz mnie, wiesz, że mnie kochasz - powiedziała. A on z czystym sumieniem odpowiedział

„tak”. Czy wiecznie będzie tak dobrze? Złapał ją za podbródek, odepchnął w tył głowę, aż śmierć jak zwinięta pięść pomknęła mu w dół gardła, do trzewi, gorąco rozprzestrzeniało się, napływało do lędźwi i mózgu.

Kiedy rozwarł ramiona, upadła bezwładnie. Za dużo i nie dosyć. Przez chwilę rył paznokciami ścianę, myśląc, że ona również składa się z ciała i krwi, a w takim razie ona również może być jego. Potem przeżył ogromny wstrząs, poczuwszy, że już nie jest głodny. Był napełniony, całkowity i noc czekała, jak stworzona z czystego światła, a ona była martwa, zwinięta w kłębek jak śpiący noworodek na zbrukanej podłodze. Armand nieruchomo jaśniał w mroku; obserwował.

Naprawdę trudne było pozbywanie się ciała. Poprzedniej nocy odbyło się to bez jego udziału, kiedy łkał, przepelniony szczęściem nowicjusza. Tym razem Armand powiedział:

- Żadnych śladów to znaczy żadnych śladów.

Więc udali się razem, by pogrzebać je głęboko pod podłogą starej kotłowni, po czym starannie ułożyli z powrotem kamienne płyty. Jakie to obrzydliwe, dotykać w ten sposób trupa.

Przemknęło mu przez głowę: - Kim oni byli? - Dwa upadłe byty w otchłani. Żadnego więcej

„teraz”, żadnego przeznaczenia. A szloch usłyszany poprzedniej nocy? Czy ktoś jej szukał?

Wtedy rozplakał się nagle. Usłyszawszy własny szloch, podniósł rękę i dotknął spływających łez.

- Jak myślisz, co to jest? - zapytał z naciskiem Armand, pomagając mu ułożyć płyty. -

Szmatławie powieściidło? Nie nakarmisz się, jeżeli nie potrafisz tego ukryć.

Budynek mrowił się od łagodnych, nieświadomych istot ludzkich, kiedy wychodzili przez wyłamane drzwi na boczną uliczkę. Nie jesteście już moimi braćmi i siostrami. Lasy zawsze były pełne tych łagodnych, sarnookich stworzeń, których serca były dla strzały, kuli, oszczepu.

Wreszcie ujawniam moje prawdziwe oblicze: zawsze byłem myśliwym.

- Czy teraz jestem taki, jaki powinienem być? - zapytał Armanda. - Jesteś szczęśliwy? - Haight Street, dziewiętnasta trzydzieści pięć. Samochody zderzak w zderzak, narkomani wrzeszczą na rogu. Czemu po prostu nie poszli na koncert? Hala już otwarta. Nie mógł wytrzymać oczekiwania.

Armand wytłumaczył mu, że nieopodal, przecnicę za parkiem, jest dom sabatowy, wielka, zrujnowana rezydencja, i niektórzy z nich nadal się tam płaczą, planując spisek, który ma doprowadzić do zniszczenia Lestata. Armand chciał zajrzeć tam na chwilę.

- Szukasz kogoś? - spytał wtedy Daniel. - Odpowiedz mi, jesteś ze mnie zadowolony czy nie?

Co takiego zobaczył w twarzy Armanda? Nagły przebłysk rozbawienia, pożądania? Popędzany przez Armanda, szedł brudnymi, zaśmieconymi chodnikami. Mijał bary, sklepy pełne śmierdzących starych ciuchów, kluby o podejrzanym reputacji ze złoconymi napisami na zatłuszczonych oknach; złocone drewniane łopatki wentylatorów meły dym i ludzkie wyziewy, a sosny w doniczkach umierały powolną śmiercią w ciepłym półmroku. Obok pierwszych dzieci...

- Smakołyk albo zrobimy psikusa! -

...w taftowych błyszczących kostiumach.

Armad zatrzymał się, natychmiast otoczony małymi zadartymi buziami w tandetnych maskach duchów, potworów i wiedźm; przepiękne ciepło wypełniło jego piwne oczy; rzucił pełne garście błyszczących srebrnych dolarów do małych torebek, a potem wziął Daniela pod ramię i poprowadził go dalej.

- Nie żałuję tego, co się z tobą stało - szepnął z nagłym zniewalającym uśmiechem, nadal pełen ciepła. - Jesteś moim pierworodnym - powiedział. Czy coś złapało go za gardło? Nagle rozejrzał się na boki, jakby poczuł się osaczony. Otrząsnął się. - Cierpliwości. To ja boję się za nas dwóch, pamiętasz?

Och, pomknijmy razem do gwiazd! Nic nie może nas zatrzymać. Wszystkie duchy biegające po tych ulicach są śmiertelne!

Wtedy dom sabatowy wyleciał w powietrze.

Usłyszał wybuch, zanim go zobaczył - a potem był tylko toczący się wał płomienia i dymu oraz pisk, którego nigdy wcześniej nie słyszał; wrzaski nie z tego świata przypominające trzask cynfolii w ogniu. Kudłate ludzkie istoty rzuciły się oglądać pożar.

Armand wypchnął Daniela z ulicy w zatęchłe wąskie wnętrze sklepu monopolowego. Jadownicie żółte światło i smród tytoniu; śmiertelni obojętni na pobliskie płomienie czytali czasopisma eksponujące na błyszczącym papierze nagie kobiety. Armand przepchnął go do końca wąskiego korytarzyka. Minęli staruszkę kupującą karton mleka i dwie puszki jedzenia dla kotów. Nie było stamtąd drogi ucieczki.

Ale jak można było się ukryć przed czymś, co przetaczało się nad głowami, przed ogłuszającym hałasem, którego śmiertelni nie mogli nawet usłyszeć? Zakrył uszy dłońmi, ale to na nic. Na zewnątrz, w bocznych uliczkach widział szalejącą śmierć, stworzenia podobne sobie biegnące przez śmietniki i podwórka, łapane, palone podczas ucieczki. Widział to w rozbłyskach. A potem nic, tylko cisza dzwoniąca w uszach, dzwonki i pisk kół świata śmiertelnych.

Mimo wszystko był zbyt zachwycony, aby się bać. Każda sekunda była wiecznością, każdy kryształ szronu na drzwiach lodówki wydawał się piękny. Oczy staruszki z mlekiem w dłoni błyszczały jak dwie odrobiny kobaltu.

Twarz Armanda pod maską ciemnych okularów straciła wszelki wyraz; stał z rękami w kieszeniach spodni. Zajazgotał dzwonek przy drzwiach, wszedł młody mężczyzna, kupił butelkę niemieckiego piwa i wyszedł.

- Skończyło się, tak!

- Na razie - odpowiedział Armand.

Odezwał się, dopiero gdy weszli do taksówki.

- To wiedziało, że tu jesteśmy; słyszało nas.

- W takim razie dlaczego?...

- Nie wiem. Wiem tylko, że wiedziało o naszej obecności. Wiedziało, zanim znaleźliśmy schronienie.

* * *

Był w zatłoczonym westybulu; strasznie mu się to podobało, kiedy tłum niósł ich coraz bliżej wewnętrznych drzwi. Daniel nie mógł nawet unieść ramion, taki był ścisk, a jednak inni młodzi ludzie zostawili go w tyle, potrącając łokciami; te wstrząsy były rozkoszne; roześmiał się kolejny raz, widząc na ścianach ogromne plakaty Lestata.

Poczuł na plecach dotknięcie palców Armanda; uchwycił subtelną zmianę w całym jego ciele.

Daleko przed nimi była ruda kobieta; mierzyła ich wzrokiem, sunąc do otwartych drzwi.

Daniel poczuł ciepły, łagodny wstrząs.

- Armandzie, rude włosy. - Tak bardzo podobne do włosów bliźniaczek ze snu! Wydawało mu się, że jej zielone oczy przeszywają go na wskroś, kiedy mówił: - Armandzie, bliźniaczki!

Wtedy jej twarz znikła; kobieta odwróciła się i zginęła w sali.

- Nie - szepnął Armand, nieznacznie potrząsając głową. Dostał ataku zimnej furii. Jego oczy miały ten drętwy szklisty wyraz, zawsze obecny, kiedy był głęboko obrażony. - Talamasca -

szepnął z lekką, nietypową dla siebie pogardą.

- Talamasca. - To słowo wydało się Danielowi piękne. Talamasca. Uświadomił sobie, że pochodzi z łaciny, podzielił je na części. Nagle z zasobów pamięci przyplęnęło znaczenie:

„zwierzęca maska”. Stare określenie czarownicy albo szamana.

- Ale co to znaczy? - spytał.

- To znaczy, że Lestat jest głupcem - powiedział Armand. W jego oczach pojawił się błysk głębokiego bólu. - Ale teraz to nie ma znaczenia.

Khayman

Khayman przyglądał się z podcieni, jak samochód Wampira Lestata minął bramę i wjechał na parking. Khayman był niemal niewidoczny, nawet w stylowym dzinsowym płaszczu i spodniach zdjętych ze sklepowego manekina. Nie potrzebował srebrnych okularów; jego oczy i jego błyszcząca skóra nie wyróżniały się w tłumie. Wszędzie wokół widział na twarzach maski i malunki, blask, gazę

i kostiumy naszywane cekinami.

Zbliżył się do Lestata, jakby płynąc pomiędzy wijącymi się ciałami młodzieży oblegającej samochód. W końcu dojrzał jasne włosy tego stworzenia, a potem jego fiołkowe oczy; patrzył, jak Lestat uśmiecha się i rozsyła pocałunki swoim wielbicielom. Ależ urok miał ten czart. Sam prowadził auto, cisnąc gaz i napierając zderzakiem na tych delikatnych małych śmiertelnych, nie przestając flirtować, puszczać perskie oczka, uwodzić. Jakby on sam i stopa na pedale gazu nie były ze sobą połączone.

Uniesienie. Triumf. Oto, co Lestat czuł i wiedział w tej chwili. Nawet jego oporny ciemnowłosy towarzysz, Louis, siedzący obok niego w samochodzie i nieśmiało patrzący na wrzeszczące dzieciaki, jakby były rajsakimi ptakami, nie rozumiał istoty wydarzeń.

Żaden nie wiedział o przebudzeniu królowej. Żaden z nich nie znał snów o bliźniaczkach. Ich ignorancja była oszałamiająca, a ich młode umysły jakże łatwe do przejrzenia. Oto Wampir Lestat, który całkiem zgrabnie ukrywał się aż do dzisiejszej nocy, był gotów walczyć z każdym.

Prezentował swoje myśli i intencje jak medal.

- Polujcie na nas! - Oto, co powiadał głośno swoim fanom, chociaż nie mogli go słyszeć. -

Zabijcie nas. Jesteśmy złem. Jesteśmy niedobrzy. Teraz możecie się radować i śpiewać z nami; ale kiedy zrozumiecie, no cóż, wtedy koniec zabawy. I pamiętajcie, że nigdy was nie okłamywałem.

Oczy Lestata i Khaymana spotkały się na krótką chwilę. - Chcę być dobry! Umrę, żeby to osiągnąć! - rozległ się bezgłośny krzyk. Nie wiadomo jednak, kto lub co usłyszało tę deklarację.

Louis, obserwujący, cierpliwy, był tu z racji czystej i prostej miłości. Ci dwaj odnaleźli się za ledwie zeszłej nocy i było to doprawdy niezwykle spotkanie. Louis poszedłby za Lestatem na kraj świata, oddałby życie, gdyby Lestat stracił swoje. Ich lęki i nadzieje tej nocy były rozpaczliwie ludzkie.

Nie domyślali się nawet, że gniew królowej jest tuż-tuż, że niecałą godzinę temu spaliła dom sabatowy w San Francisco, że haniebnej pamięci tawerna wampirów przy Castro Street właśnie płonie, a królowa ściga tych, którzy z niej uciekają.

Cóż, wielu krwiopijców rozproszonych w tłumie również nie znało tych prostych faktów. Byli zbyt młodzi, aby usłyszeć ostrzeżenia starszyny, i krzyki skazanych na zagładę. Sny o bliźniaczkach tylko wytrąciły ich z równowagi. Wbijali wzrok w Lestata, opętani nienawiścią lub religijnym zapałem. Byli gotowi zniszczyć go lub wynieść na ołtarze. Nie wyobrażali sobie bliskiego niebezpieczeństwa.

Ale co z samymi bliźniaczkami? Jaki był sens snów?

Khayman obserwował samochód, torujący sobie drogę na zaplecze sceny, a potem przeniósł

wzrok w górę, na punkciki światła ponad mgłą opinającą miasto. Wydawało mu się, że czuje bliskość swojej dawnej władczyni.

Zawrócił w kierunku widowni i skupiony przedzierał się przez tłum. Gdyby zapomniał o swojej sile,

spowodowałby katastrofę w takim ścisku, narobiłby siniaków i połamałby kości, nawet tego nie czując.

Po raz ostatni spojrział na niebo i wszedł do środka, z łatwością zamroczywszy bileterkę, kiedy mijał kołowrót. Skierował się do najbliższych schodów.

Widownia była prawie pełna. Rozejrzał się z namysłem, smakując tę chwilę tak samo, jak smakował wszystko. Hala sama w sobie była żadna, ot, skorupa zatrzymująca światło i dźwięk -

całkowicie nowoczesna i beznadziejnie brzydka.

Jakże piękni byli ci śmiertelni - tryskający zdrowiem, z kieszeniami pełnymi złota; same zdrowe ciała, których nigdy nie naruszyły robaki choroby, których żadna kość nie była nigdy złamana.

W istocie, to miasto zdumiewało Khaymana. To prawda, że w Europie widział niewyobrażalne bogactwo, ale nic nie mogło się równać z nieskazitelną powierzchownością tego małego, przeludnionego miejsca i jego wiejskich okolic. Niewielkie domki z ozdobnymi tynkami były pełne nieopisanych luksusów, tutejsze szosy blokowały przepiękne automobile, biedacy podejmowali swoje pieniądze z bankomatów za pomocą plastikowych kart. Żadnych slumsów, miasto było pełne niebotycznych wieżowców i bajecznych hoteli, rezydencji, a zarazem, otoczone morzem, górami i połyskliwymi wodami zatoki, sprawiało wrażenie nie tyle metropolii, ile kurortu, zacisza oddalonego od światowych bolączek i brzydoty.

Nic dziwnego, że właśnie tutaj Lestat zdecydował się rzucić rękawicę. Te rozpieszczone dzieci były na ogół dobre, nie zranione ani nie osłabione przez życie. W obliczu prawdziwego zła mogły się okazać idealnymi wojownikami, gdyby tylko zdały sobie sprawę, że maska i jej nosiciel są jednym i tym samym. Obudźcie się i poczujcie krew, młodziki.

Jednak czy będzie na to czas?

Wielki plan Lestata, choćby i najwspanialszy, mógł być jeszcze w powijakach; a królowa na pewno miała swój własny i Lestat nic o nim nie wiedział.

Khayman skierował się ku szczytowi hali, do ostatniego rzędu drewnianych krzeseł, w którym zasiadał wcześniej. Usadowił się wygodnie na swym dawnym miejscu, odpychając na bok dwie

„wampirze książki”, które leżały nie zauważone na podłodze.

Dawno temu pochłonął zarówno testament Louisa: „Strzeżcie się, oto pustka”, jak i opowieść Lestata: „To i to, i to, a wszystko pozbawione znaczenia”. Dzięki nim zrozumiał wiele rzeczy i teraz był całkowicie pewien intencji Lestata. Książka nie opowiedziała jednak niczego o tajemnicach bliźniaczk.

Prawdziwe intencje królowej nadal pozostawały dla niego niepojęte.

Uśmierciła setki krwiopicców na całym świecie, innych jednak zostawiła nie tkniętych.

Nawet Mariusz żył. Niszcząc świątynię, ukarała go, ale nie zabiła, co byłoby proste. Wzywał

starszyznę ze swojego lodowego więzienia, ostrzegał, błagał o pomoc. Khayman bez wysiłku wyczuł dwójkę nieśmiertelnych podążających na wezwanie Mariusza, chociaż jedno z nich, dziecko Mariusza, nie mogło go nawet słyszeć. Tej samotnicze, silnej istocie, było na imię Pandora. Santino nie miał jej mocy, ale słyszał głos Mariusza, gdy usiłował dotrzymać jej kroku.

Niewątpliwie królowa mogła ich zniszczyć, gdyby tego chciała. Mimo to podążali wciąż przed siebie, widoczni, słyszalni, a jednak nie napastowani.

Co skłaniało królową do takich wyborów? Z pewnością na sali byli też inni, których oszczędziła w jakimś celu...

Daniel

Dotarli do drzwi i musieli już tylko przepchnąć się kilkumetrową wąską rampą na gigantyczny otwarty owal parteru.

Coraz rzadszy tłum toczył się we wszystkich kierunkach jak szklane kulki. Daniel szedł ku środkowi, zahaczywszy palce o pasek Armanda; przeczesywał wzrokiem podkowę widowni i wznoszące się do sufitu rzędy siedzeń. Wszędzie śmiertelni; mrowili się na betonowych stopniach, zwisali na żelaznych balustradach albo płynęli wokół niego rojnym tłumem.

Nagle usłyszał hałas przypominający basowy warkot miażdżącej maszyny, i poczuł, jak zaciera się ów obraz świata. W tej chwili celowej utraty zdolności normalnego widzenia, ujrzał innych.

Ujrzał prostą niezbywalną różnicę między żywymi i umarłymi. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie dostrzegał pokrewne sobie istoty ukryte w ludzkim lesie, a jednocześnie połyskujące jak ślepie puchacza w blasku księżyca. Żadna farba ani okulary, miękki kapelusz czy peleryna z kapturem nie mogły ukryć jednych przed drugimi, za nic w świecie. Wyróżniali się nie tylko niezwykłym poblaskiem twarzy lub dłoni, lecz raczej powolną zwinnością ruchów, jakby byli bardziej z ducha niż z ciała.

Ach, bracia i siostry, nareszcie! - zawołał bezgłośnie z głębi duszy.

Wyczuwał jednak nienawiść. Wręcz podłą nienawiść! Oni kochali i jednocześnie potępiali Lestata. Kochali sam akt nienawiści, karania. Nagle zetknął się wzrokiem z potężną kreaturą o tłustych włosach, która obnażyła kły w ohydny grymasie, a potem ze zdumiewającą otwartością odsłoniła swój plan. Z dala od ciekawskich oczu śmiertelnych rozczłonkują Lestata; odrąbią mu głowę, a resztki cisną na stos nad brzegiem morza. To będzie koniec potwora i jego legendy.

Jesteś z nami czy przeciwko nam? - padło bezsłowne pytanie.

Daniel wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nigdy go nie zabijecie - powiedział.

Nagle dostrzegł pod peleryną stwora zaostrzoną kosę. Bestia odwróciła się i znikła. Daniel przebił wzrokiem oleiste strumienie światła. Jedno z nich wie! - przemknęło mu przez głowę. -

Wie o wszystkich tajemnicach! - Ogarnęły go zawroty głowy, poczuł się na granicy szaleństwa.

Dłoń Armanda zacisnęła się na jego ramieniu. Dotarli do samego środka parteru. Tłum gęstniał z każdą sekundą. Śliczne dziewczyny w czarnych jedwabnych sukniach napierały na prostackich motocyklistów w zniszczonych czarnych skórach. Miękkie pióra musnęły policzek Daniela; zobaczył czerwonego diabła z wielkimi rogami, kościstą trupa twarz zwieńczoną złotymi kędziorami i grzebieniami z pereł. W sinym półmroku wybuchały rzadkie okrzyki. Motocykliści wyli jak wilki; ktoś wrzasnął ogłuszająco:

- Lestat! - i inni natychmiast podjęli to wołanie.

Armand miał na twarzy wyraz zagubienia świadczący o głębokiej koncentracji, jakby to, co widział, nie miało dla niego żadnego znaczenia.

- Pół minuty - szepnął Dawidowi do ucha - zaledwie pół minuty i jeden czy dwóch ze starszyny może zniszczyć naszą resztę.

- Gdzie są, powiedz, gdzie?

- Słuchaj. I uważaj na siebie. Przed nimi nie ma ucieczki.

Khayman

Dziecko Maharet. Jessica. - Khayman nie był przygotowany na taką wiadomość. - Chron dziecko Maharet. Wymknij się stąd.

Otrząsnął się, wyostrzył zmysły. Znów słyszał Mariusza, usiłującego dotrzeć do młodych, nie wyczulonych uszu Wampira Lestata, który puszył się i paradował przed pękniętym lustrem za sceną. „Dziecko Maharet, Jessica”; co to mogło znaczyć? Niewątpliwie odnosiło się do śmiertelnej kobiety.

Znowu napłynął nieoczekiwany komunikat jakiegoś potężnego, lecz odsłoniętego umysłu: -

Zaopiekuj się Jesse. Zatrzymaj Matkę... - Nie były to jednak słowa, lecz tylko błysk duszy, iskrzący się przekaz.

Wzrok Khaymana wolno przesunął się po balkonach naprzeciwko, po rojnym parterze. W jakimś odległym zakątku błąkał się wiekowy starszy, pełen lęku przed królową, niemniej jednak spragniony ponad wszystko widoku jej oblicza. Przybył tu, by umrzeć, ale chciał jeszcze w ostatniej chwili zakosztować tego szczęścia.

Khayman zamknął oczy, by odsunąć od siebie tę wiadomość.

Wtedy usłyszał znowu: - Jessica, moja Jessica. - I płynące za tym z głębi duszy wołanie, wiedza Maharet! Nagle ujrzał Maharet na ołtarzu miłości, wiekową i białą jak on sam. Doznał

przenikliwego bólu, opadł bezsilnie na drewniane siedzenie i opuścił głowę. Następnie znowu omiół wzrokiem stalowe krokwie, brzydką płataninę czarnych przewodów i pordzewiałych cylindrycznych reflektorów. - Gdzie jesteś? - zapytał w myślach.

Tam, w głębi, pod przeciwległą ścianą ujrzał postać, która słała te myśli. Ach, najstarszy z widzianych do tej pory, gigantyczny nordycki krwio pijca o długich jasnych włosach, wysuszony na wiór, przebiegły, odziany w szorstką niewyprawną skórę. Krzaczaste brwi i małe, głęboko osadzone oczy nadawały jego twarzy wyraz ponurego zamyślenia.

Ta istota śledziła drobną śmiertelną, która przedzierała się przez tłum parteru. Jesse, ludzka córka Maharet.

Oszalały, nie wierzący własnym oczom Khayman skoncentrował się na drobnej kobiecie. Oczy zasnuły mu się mgłą łez, kiedy dojrzał owo zdumiewające podobieństwo. Te same długie, ogniście rude włosy Maharet, kręcone i gęste, ta sama wysoka ptasia figura, te same mądre i ciekawe oczy, rozglądające się wkoło, gdy poddawała się naporowi tłumy i obracała w kółko.

Profil Maharet. Skóra Maharet, tak blada i prawie świetlista, zupełnie jak wyściółka morskiej muszli.

Nagle ożyła pamięć, zobaczył skórę Maharet przez sieć swoich ciemnych palców. Kiedy podczas gwałtu obracał na bok jej głowę, czubkami palców dotknął delikatnych fałdek powiek.

Niecały rok później wydłubali jej oczy, a on był przy tym, wspominając tamten moment, dotyk jej skóry. Tak, wspominał, dopóki nie złapał jej gałek ocznych i...

Zadygotał. Poczul ostry ból w płucach. Pamięć nie chciała go zawieść. Nie ucieknie od tamtej chwili, nie stanie się szczęśliwym błaznem, który niczego nie pamięta.

Dziecko Maharet, jak najbardziej. Jak to możliwe? Przez ile pokoleń przetrwała ta uroda, aby znowu rozkwitnąć w drobnej kobiecie, która z uporem przesuwała się ku scenie w głębi hali?

Oczywiście, to wcale nie było niemożliwe. Szybko sobie to uświadomił. Być może trzystu przodków dzieliło tę kobietę i tamto popołudnie, kiedy nałożył na siebie naszyjnik króla i zszedł

z podwyższenia, aby dokonać królewskiego gwałtu. Może nawet było ich mniej. Zaledwie ułamek tego tłumy, aby ująć to bardziej plastycznie.

Jednak, co bardziej zdumiewające, Maharet znała swoich potomków, i wiedziała, że ta kobieta jest jednym z nich. Wysoki blond krwio pijca natychmiast udostępnił ten fakt.

Khayman uważnie przetrząsnął umysł nordyka. Maharet żywa; Maharet strażniczką swojej śmiertelnej rodziny; Maharet - wcielenie nieobjętej mocy i woli; Maharet, która nie wyjaśniła mu, temu jasnowłosemu słudze, snów o bliźniaczkach, ale zamiast tego posłała go tu z poleceniem, by uratował Jessikę.

Ach, ona żyje - pomyślał Khayman. - Żyje, a jeśli ona żyje, żyją obie rude siostry!

Przetrząsał umysł stwora jeszcze dokładniej, wniknął w niego jeszcze głębiej, lecz odnalazł

wyłącznie zacieklą opiekuńczość. Tamten chciał uratować Jesse nie tylko przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony Matki, ale przed wszystkim, co było w tym miejscu, tu bowiem Jesse mogła dojrzeć to, czego nikt nie potrafiłby wytłumaczyć.

Ach, jakże nienawidził Matki ten wysoki jasnowłosy stwór o postawie jednocześnie wojownika i kapłana. Nienawidził jej za to, że przerwała beztroskę jego ponadczasowej i melancholijnej egzystencji; i za to, że jego smutna, słodka miłość do tej kobiety, Jessiki, była silniejsza niż niepokój o samego siebie. Znał rozmiary zniszczenia, wiedział, że krwio pijcy od krańca do krańca kontynentu byli unicestwieni, poza nieliczną garstką, w większości obecną pod tym dachem i nawet nieświadomą zagrożenia.

Znał sny o bliźniaczkach, ale ich nie rozumiał. Przecież nigdy nie poznał rudowłosych sióstr; tylko jedna ruda piękność rządziła jego życiem. Khayman po raz kolejny zobaczył twarz Maharet, przesuwający się wizerunek łagodnych, zmęczonych ludzkich oczu, spoglądających z porcelanowej maski: - Maelu, nie pytaj o nic więcej. Ale zrób to, o co proszę - mówiła.

Cisza. Nagle krwio pijca zdał sobie sprawę, że jest śledzony. Nieznacznie rozejrzał się po hali, szukając intruza.

Jak to często bywa, zdradziło go imię. Poczuł, że został rozpoznany. Khayman natychmiast rozpoznał jego imię, połączył je z Maelem z kart Lestata. Niewątpliwie to był ten sam kapłan druid, który zwabił Mariusza do świętego gaju, gdzie uczynił go jednym ze swoich pobratymców i skąd wysłał go do Egiptu na poszukiwanie Matki i Ojca.

Tak, to ten sam Mael. Rozpoznanie obudziło w nim wściekłość.

Po wybuchu furii wszystkie jego myśli i uczucia znikły. Khayman musiał przyznać, że był to imponujący pokaz mocy. Rozluźnił się, aby tamten nie mógł go znaleźć. Wyszukał w tłumie kilkanaście białych twarzy, ale nie Khaymana.

Tymczasem sprytna Jessica dotarła do celu swojej wędrówki. Kucając, przecisnęła się pomiędzy muskularnymi motocyklistami, którzy uznali przestrzeń przed sceną za własną, i wstała, wspierając się na listwie okrążającej drewnianą platformę.

Na rękę kobiety błysnęła srebrna bransoleta. Zapewne był to sztylecik przebijający mentalną tarczę Maela, na krótko ujawnił on bowiem swoje myśli i miłość.

Jemu również pisana jest śmierć, jeśli nie zmańdrzeje - pomyślał Khayman. Niewątpliwie jego mentorką była Maharet i być może wykarmiła go jej potężna krew; niemniej jednak jego serce pozostało niezdiscyplinowane, a temperament nie znosił kontroli, to rzucało się w oczy.

Wtem kilka metrów za Jesse zawirowały barwy i dźwięki. Khayman wyszpiegował kolejną intrygującą postać, o wiele młodszą, niemniej jednak równie potężną jak Mael.

Khayman szukał jego imienia, ale umysł przybysza był idealnie pusty; nie odsłaniał nawet

minimalnego przebłysku tożsamości. Kiedy umarł, był chłopcem, chłopcem o prostych ciemnokasztanowych włosach i ogromnych oczach. Nagle okazało się, że łatwo jest poznać imię tej istoty od Daniela, jego świeżo narodzonego pisklaka stojącego obok. Armand. A pisklę, Daniel, było świeżutkim umarłym. Wszystkie drobne molekuły jego ciała tańczyły pobudzone niewidzialną demoniczną chemią.

Armand natychmiast przypadł Khaymanowi do gustu. Z pewnością był to ten sam Armand, którego opisali zarówno Louis, jak i Lestat - nieśmiertelny w ciele chłopca. A to znaczyło, że liczył sobie nie więcej niż pięćset lat. Niemniej jednak zasłonił się całkowicie. Wydawał się przebiegły, zimny, do tego wyzbyty buńczuczności - i jako taki unikał rozgłosu. Czując bezbłędnie, że jest obserwowany, skierował w górę wielkie piwne oczy i natychmiast wbił je w odległą sylwetkę Khaymana.

- Nic złego nie grozi tobie ani twojemu młodemu - szepnął Khayman; jego wargi kształtowały i kontrolowały myśli. - Jam nieprzyjaciel Matki.

Armand usłyszał, ale nie odpowiedział. Bez względu na to, jak wielką grozę wzbudził w nim widok tak starego pobratymca, zamaskował się całkowicie. Można by pomyśleć, że spoglądał na ścianę nad głową Khaymana, na nieprzerwany potok śmiejących się i krzyczących dzieci, spływający schodami z najwyższych drzwi.

Ta zwodniczo młoda, pięćsetletnia istota nieoczekiwanie wbiła oczy w Maela, gdy chudzielec poczuł kolejną nieodpartą falę zatroskania swoją delikatną Jesse.

Khayman rozumiał tego Armanda. Rozumiał go i polubił bez zastrzeżeń. Kiedy znowu napotkał

jego spojrzenie, potwierdziło się wszystko, co napisano o tej postaci w dwóch skromnych opowiadaniach, dopełnione jej wrodzoną prostotą. Samotność, którą Khayman czuł w Atenach, odezwała się z całą mocą.

- Jakbym widział własną prostą duszę - szepnął Khayman. - Jesteś zagubiony w tym wszystkim, ponieważ znasz teren zbyt dobrze. Dokądkolwiek zajdziesz, wrócisz do tych samych gór, do tej samej doliny.

Żadnej odpowiedzi. Oczywiście. Khayman wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Nie ukrywał

przed Armandem, że jest gotów dać mu wszystko, co ma.

Powinien pomóc tym dwóm, którym może jest sądzone zasnąć snem nieśmiertelnych do następnego zachodu słońca. A przede wszystkim powinien znaleźć Maharet, cieszącą się bezgraniczną wiernością zacieklego, nieufnego Maela.

- Jam nieprzyjaciel Matki - rzekł do Armanda, lekko ruszając wargami. - Mówiłem ci. Trzymaj się tłumu śmiertelnych. Ona wypatrzy cię, kiedy tylko się oddalisz. To wszystko.

Twarz Armanda pozostała nie zmieniona. Towarzyszące mu pisklę było szczęśliwe, pławiąc się w otaczającym je zgiełku. Nie znało lęku, planów ani marzeń. Bo i skąd? Było pod opieką potężnego

stworzenia. Miało więcej szczęścia, piekielnie więcej niż reszta.

Khayman wstał. Dosyć tego wszystkiego, a przede wszystkim samotności. Zbliży się do któregoś z tych dwóch, Armanda lub Maela. Tego właśnie było mu potrzeba w Atenach, kiedy zaczęło się to całe cudowne przypominanie i rozpoznawanie - żeby mieć przy sobie kogoś takiego jak on sam. Żeby móc do niego przemówić, dotknąć go... cokolwiek.

Szedł górnym korytarzem okrążającym całą halę oprócz części za sceną, zajętej przez gigantyczny ekran wideo.

Posuwał się z powolnym, ludzkim wdziękiem, uważając, by nie zmiażdżyć śmiertelnych, którzy pchali się na niego. Ta powolność była mu również potrzebna, by Mael mógł zwrócić na niego uwagę.

Wiedział instynktownie, że jeśli zaskoczy tę dumną i kłótliwą kreaturę, może to być odebrane jako obelga nie do wybaczenia. Przyspieszył więc dopiero wtedy, kiedy Mael zauważył jego nadejście.

Mael nie potrafił ukryć lęku, tak jak Armand. Poza Maharet nigdy nie napotkał krwiopijcy w wieku Khaymana; miał przed sobą potencjalnego przeciwnika. Khayman przywitał go równie ciepło jak Armanda, ale stary wojownik nie zmienił postawy.

Widownia była już pełna i halę zamknięto; na zewnątrz dzieciaki krzyczały i tłukły w drzwi.

Khayman usłyszał piski i czkawkę policyjnych radiotelefonów.

Wampir Lestat i jego poplecznicy stali przy otworach w wielkiej serżowej kurtynie, obserwując publiczność.

Lestat objął i ucałował w usta swojego towarzysza, Louisa, podczas gdy jego śmiertelni muzycy otoczyli ich kołem, trzymając się za ramiona.

Khayman zatrzymał się, wyczuwając roznamiętnienie tłumu.

Jessica oparła się ramionami o brzeg sceny. Złożyła podbródek na dłoniach. Ogromni mężczyźni w lśniących czarnych skórach napierali na nią brutalnie, bezmyślni i rozochoceni alkoholem, ale nie mogli jej odepchnąć.

Gdyby Mael spróbował czegoś podobnego, też by mu się nie udało.

Kiedy Khayman patrzył na nią, dotarł do niego wyraźny sygnał; jedno, jedyne słowo.

Talamasca. Ta kobieta należała do nich, była członkiem stowarzyszenia.

Nieemożliwe - pomyślał nie po raz pierwszy, a potem roześmiał się, uświadamiając sobie własną naiwność. To była noc niespodzianek, nieprawdaż? Mimo to zaskoczyła go myśl, że Talamasca przetrwała od czasów, gdy dowiedział się o jej istnieniu. Było to wieki temu; igrał wówczas z jej członkami, zadręczał ich, a potem odwrócił się do nich plecami, powodowany litością wobec

fatalnej kombinacji niewinności i ignorancji.

Ach, jakim upiorem jest pamięć! Oby przeszłość runęła w zapomnienie! Widział twarze tych wagabundów, tych świeckich mnichów z Talamaski, którzy tak niezdarnie uganiaли się za nim po Europie i zapisywali skrawki wiadomości w wielkich, oprawnych w skórę księgach, skrzypiąc gęsiami piórami do późna w noc. W tamtym krótkim przeblysku świadomości nosił imię Benjamin; nazwali go diabłem Beniaminem, kreśląc imię wymyślnym łacińskim pismem i śląc zwierzchnikom w Amsterdamie epistoły na szeleszczących pergaminach z wielkimi woskowymi pieczęciami.

Traktował to jak zabawę; kradł im te listy i dopisywał uwagi; straszył ich; wyczołgiwał się nocą spod łóżek, łapał ich za gardło i potrząsał nimi; to była frajda, a co nie było frajdą? Kiedy się kończyła, zawsze tracił pamięć.

A jednak lubił ich; nie byli egzorcystami czy polującymi na czarownice kapłanami albo czarodziejami pragnącymi zakuć go w łańcuchy i kontrolować jego moc. Przyszło mu nawet do głowy, że kiedy przyjdzie czas na sen, wybierze piwnice pod ich zapleśniałym Macierzystym Domem. Mimo że dokuczliwie ciekawi, nigdy by nie zdradzili.

Pomyśleć, że zakon przetrwał, równie uparcie trzymając się życia jak Kościół, i że ta śliczna śmiertelna z błyszczącą bransoletą na ręce, ukochana Maharet i Maela, była jedną z nich. Nic dziwnego, że przepychała się do czołowych szeregów jak do pierwszego stopnia przed ołtarzem.

Khayman zbliżył się do Maela, ale zatrzymał się jakieś dwa metry od niego, oddzielony bezustannie sunącym tłumem. Uczynił to z szacunku dla obaw Maela i wstydu wywołanego tym strachem. Ostatecznie więc to Mael podszedł do niego, pokonując dzielący ich dystans.

Niespokojny tłum mijał ich, jakby byli ścianą. Mael przysunął się do Khaymana, co z jego strony było powitaniem, dowodem zaufania. Rozejrzał się po hali; wszystkie siedzące miejsca były zajęte, a parter stał się mozaiką migocących kolorów, błyszczących włosów i drobnych, zaciśniętych pięści. Potem wyciągnął rękę i dotknął Khaymana, jakby nie potrafił się od tego powstrzymać. Czubkami palców musnął grzbiet jego dłoni. Khayman stał nieruchomo, nie oponując przeciwko temu małemu badaniu.

Ileż to razy widział takie gesty u nieśmiertelnych młodzików chcących własną ręką dotknąć ciała starszego. Czy jakiś chrześcijański święty nie wsunął dłoni w bok Chrystusa, ponieważ nie wystarczył mu widok ran? Khayman uśmiechnął się na myśl o bardziej przyziemnym porównaniu do dwóch obwąchujących się brytanów.

Armand pozostał niewzruszony na samym dole, nie odrywając od nich wzroku. Zapewne dostrzegł pogardliwe spojrzenie Maela, ale nie dał tego po sobie poznać.

Khayman odwrócił się i obdarzył Maela uściskiem i uśmiechem, ale wystraszył go tylko, co sprawiło, że poczuł głębokie rozczarowanie. Cofnął się grzecznie. Przez chwilę był głęboko zmieszany. Popatrzył na Armanda, pięknego Armanda, który spotkawszy się z nim wzrokiem, okazał zupełną obojętność. Nadszedł czas, by wyjawic powód swojego przybycia.

- Musisz wzmacnić swą tarczę, przyjacielu - wyjaśnił łagodnie Maelowi. - Nie pozwól, by miłość do tej dziewczyny zdradziła twoją obecność. Będzie idealnie zabezpieczona przed naszą królową, jeśli unikniesz myśli o jej pochodzeniu i protektorce. To imię jest dla królowej anatema.

Zawsze tak było.

- A gdzie jest królowa? - spytał Mael. Lęk znów dał znać o sobie, wraz z gniewem, potrzebnym, aby go zwalczyć.

- Blisko.

- Tak, ale gdzie?

- Nie mogę powiedzieć. Spaliła ich tawernę i poluje na resztki hołoty, które pozostały na zewnątrz. Nie śpiesz się ze swoimi ofiarami. Dowiedziałem się tego z ich umysłów.

Khayman widział drzenie Maela. Dostrzegał subtelne zmiany świadczące o jego rosnącym gniewie. Świetnie. Lęk wypalił się w spiekocie gniewu. Ależ jest porywczy. Jego umysł nie dostrzegał subtelności.

- Dlaczego mnie ostrzegasz - zapytał ostro Mael - jeśli ona może usłyszeć każde nasze słowo?

- Ależ nie sądzę, by mogła - odparł spokojnie Khayman. - Jestem z Pierwszego Plemienia, przyjacielu. Jedynie dalecy kuzyni są obciążeni tym przekleństwem, że słyszą innych krwiopijców, tak jak my śmiertelnych. Ja nie potrafiłbym odczytać jej myśli, gdyby stała obok i moje myśli także są przed nią zamknięte, bądź tego pewien. Tak było z nami wszystkimi u początku.

Jasnowłosy gigant był tym wyraźnie zafascynowany. Więc Maharet nie mogła słyszeć Matki!

Nie przyznała mu się do tego.

- Nie - potwierdził Khayman - i Matka może wiedzieć o jej myślach tylko za pośrednictwem twoich, więc bądź tak miły i strzeż ich. Teraz mów do mnie głośno, jak człowiek, gdyż to miasto jest dżungłą człowieczych głosów.

Mael zastanawiał się, marszcząc brwi. Wpatrywał się w Khaymana takim wzrokiem, jakby zamierzał go uderzyć.

- Czy to oznacza jej klęskę?

- Zapamiętaj, że nadmiar może być przeciwieństwem treści - rzekł Khayman, przy tych słowach oglądając się na Armanda. - Ona, która słyszy wielość głosów, może nie usłyszeć jednego. A ta, która słucha pilnie jednego głosu, musi zamknąć uszy na inne. Jesteś dość stary, by znać tę sztuczkę.

Mael nie odpowiedział, ale najwyraźniej zrozumiał. Dar telepatii i dla niego był zawsze przekleństwem, bez względu na to, czy narzucały mu się głosy krwiopijców czy ludzi.

Khayman skinął lekko głową. Dar telepatii. Co za sympatyczne określenie szaleństwa, które ogarnęło go eony temu, po latach słuchania, leżenia bez ruchu pod kurzem, w czeluści zapomnianego egipskiego grobowca, słuchania płaczu świata bez wiedzy o sobie samym i swojej kondycji.

- Podzielam twój punkt widzenia, przyjacielu - rzekł. - Przez dwa tysiące lat odpychałeś te głosy, podczas gdy królowa mogła w nich tonąć. Wygląda na to, że Wampir Lestat przekrzyczał

wrzawę; zapewne tak pstryknął palcami, że zauważyła go kątem oka. Ale nie przeceniaj kreatury, która tak długo siedziała bez ruchu. Nic nie zyskasz, myśląc w ten sposób.

To nieco zaskoczyło Maela, chociaż dostrzegł logikę rozumowania Khaymana. Armand pozostał skupiony.

- Nie jest wszechwładna - ciągnął Khayman - bez względu na to, czy wie o tym czy nie. Zawsze zachowywała się jak ktoś, kto wyciąga ręce po gwiazdkę z nieba, by zaraz potem cofnąć ją w przerażeniu.

- Czy to możliwe? - spytał Mael. Pochylił się podniecony. - Jaka jest naprawdę?

- Miała ogrom marzeń i wielkich ideałów. Była jak Lestat. - Khayman wzruszył ramionami. -

Jak ten blondyn na dole, który jest gotowy być dobry, czynić dobro i przytulić do serca spragnionych wyznawców.

Mael uśmiechnął się zimno, cynicznie.

- Co ona, do diabła, zamierza? - spytał. - Więc to on obudził ją tymi koszmarnymi piosenkami.

Dlaczego nas niszczy?

- Ma jakiś cel, możesz być tego pewny. Nasza królowa zawsze ma jakiś cel. Ona nie potrafi kiwnąć palcem bez potrzeby. A musisz wiedzieć, że my tak naprawdę nie zmieniamy się z czasem; jesteśmy jak kwiaty, które się nie rozwijają. My jedynie stajemy się bardziej sobą. -

Kolejny raz zerknął na Armanda. - Jeśli chodzi o jej cel, mogę ci służyć jedynie spekulacjami...

- Dobrze, chcę je znać.

- Ten koncert się odbędzie, ponieważ Lestat tego chce. A później ona wymorduje następne istoty z naszego gatunku. Niektórych jednak oszczędzi, by służyli jej celom lub, być może, aby byli świadkami.

Khayman wpatrywał się w Armanda. Jego pozbawiona wyrazu twarz jaśniała cudowną mądrością, podczas gdy pobrużdżona, zatroskana twarz Maela - nie. Który z nich jednak rozumie najwięcej? Mael roześmiał się krótko, gorzko.

- Aby byli świadkami? - powtórzył za Khaymanem. - Nie sądzę. Myślę, że ona jest bardziej prostacka. Po prostu oszczędzi tych, których kocha Lestat.

To nie przyszło na myśl Khaymanowi.

- Rozważ to - rzekł Mael wciąż tą samą ostro akcentowaną angielszczyzną. - Louis, towarzyszy Lestata. Czyż nie żyje? A Gabriela, matka czarta, jest na wyciągnięcie dłoni, czeka na spotkanie z synem, kiedy tylko rozsądek na to pozwoli. A Armand, ten tam na dole, który tak bardzo przypadł ci do gustu, zapewne znów spotka się z Lestatem, więc też żyje, a wraz z nim wyrzutek, który wydał tę przeklętą książkę, którego inni rozdarliby na strzępy, gdyby tylko wiedzieli...

- Nie, w tym z pewnością chodzi o coś więcej - powiedział Khayman. - Niektórych z nas nie może zabić. A imiona tych, którzy zdążają teraz do Mariusza, zna jedynie Lestat.

Wyraz twarzy Maela uległ lekkiej zmianie; kiedy zwęził oczy, pojawił się na niej głęboki ludzki rumieniec. Khayman zrozumiał, że Mael udałby się do Mariusza, gdyby tylko mógł. Udałby się już tej nocy, gdyby tylko Maharet zechciała chronić Jessicę. Teraz usiłował usunąć imię Maharet ze swoich myśli. Bał się Maharet, bardzo się bał.

- Starasz się ukryć to, co wiesz - powiedział Khayman. - A właśnie to musisz mi wyjawiać.

- Nie mogę - rzekł Mael. Między nimi wyrósł mur nie do pokonania. - Ja nie słyszę odpowiedzi, jedynie rozkazy, przyjacielu. Moją misją jest przeżyć tę noc i zabrać stąd swoją podopieczną.

Khayman zamierzał naciskać, żądać, lecz nie zrobił tego. Poczł subtelną zmianę otaczającej go atmosfery, zmianę drobną, a równocześnie tak wyrazistą, że nie potrafił jej nazwać.

Ona się zbliżała. Była coraz bliżej hali. Poczł, jak sam wysnuwa się z ciała i staje czystym słuchaniem; tak, to była ona. Wszystkie dźwięki nocy powstały, aby go zmylić, ale uchwycił ten basowy, nieredukowalny odgłos, którego nie potrafiła stłumić, odgłos jej oddechu, bicia serca, siły, z jaką rozcinała przestrzeń, sunąc z niebywałą i nienaturalną prędkością, powodując nieunikniony zamęt w widzialnym i niewidzialnym świecie.

Mael wyczuł to, podobnie Armand. Zareagował nawet młodzik u boku Armanda, chociaż wielu młodych okazało obojętność. Nawet niektórzy bardziej receptywni śmiertelni czuli coś i byli rozkojarzeni.

- Muszę iść, przyjacielu - powiedział Khayman. - Pamiętaj moją radę. Na razie nie można nic więcej powiedzieć.

Była bardzo blisko. Niewątpliwie przeczesywała umysły; słuchała.

Poczł pierwszy neodparty impuls, by ją zobaczyć, przeszukać umysły tych nieszczęsnych duszyczek na dworze, których oczy mogły o nią zawadzić.

- Do widzenia, przyjacielu - rzekł. - Twoje towarzystwo nie przyniesie mi nic dobrego.

Mael popatrzył na niego zmieszany. Armand przygarnął do siebie Daniela i ruszył ku skrajowi tłumu.

Nagle w hali zapanowała ciemność; Khayman przez ułamek sekundy pomyślał, że to jej czary, że teraz nastąpi jakiś groteskowy i mściwy sąd.

Ale śmiertelne dzieci wokół niego znały rytuał. Zaczął się koncert! W hali rozległy się dzikie wrzaski, okrzyki i tupanie, po czym dał się słyszeć wielki wspólny ryk. Khayman poczuł drzenie pod stopami.

Pojawiły się małe płomyki, gdy śmiertelni zapalili zapałki i zapalniczki. Piękna senna iluminacja oświetliła wiele tysięcy poruszających się postaci. Wrzaski przeszły w chóralne zawrodoenie dobiegające ze wszystkich stron.

- Nie jestem tchórzem - szepnął nagle Mael, jakby nie mogąc zachować milczenia. Ujął

Khaymana za ramię, a następnie puścił, jakby mierzyła go twardość jego ciała.

- Wiem - rzekł Khayman.

- Pomóż mi. Pomóż Jessice.

- Nie wymawiaj więcej tego imienia. Pamiętaj, co ci powiedziałem, trzymaj się od niej z daleka.

Jesteś pokonany, druidzie. Pamiętaj? Czas walczyć przebiegłością, nie wściekłością. Trzymaj się stada śmiertelnych. Pomogę ci, jeśli będę mógł.

Było jeszcze tak dużo do powiedzenia! Mów, gdzie jest Maharet! Jednak było na to za późno.

Odwrócił się i ruszył przed siebie ku pustej przestrzeni nad długim wąskim ciągiem betonowych schodów.

Na ciemnej scenie wśród przewodów i głośników pojawili się śmiertelni muzycy spieszący do instrumentów leżących na podłodze.

Wampir Lestat wyruszył dziarskim krokiem zza kurtyny; jego czarna peleryna rozwinęła się jak skrzydła, kiedy podszedł do samego skraju podium. Stał z mikrofonem w dłoni niewiele ponad pół metra od Jessiki.

Tłum wpadł w ekstazę. Klaskanie, wycia, pohukiwania przeszły w hałas, jakiego Khayman nigdy nie słyszał. Wbrew sobie roześmiał się na widok tego głupiego zapału i drobnej uśmiechniętej figurki tam w dole, która uwielbiała to bezgranicznie i roześmiała się wraz z nim.

Błysk białego światła zalał małą scenę. Khayman wbił wzrok nie w wystrojone jak lalki drobne postaci drepczące po estradzie, ale w gigantyczny ekran wznoszący się za nimi pod sam dach.

Przed Khaymanem zajaśniał wysoki na dziesięć metrów wizerunek Wampira Lestata.

Uśmiechnął się, uniosł ramiona i potrząsnął jasną grzywą, po czym odrzucił głowę do tyłu i zawył.

Tłum falował w delirium, budowla zadudniła; uszy wszystkich wypełniło wycie. Potężny głos Wampira Lestata zagłuszył wszystkie inne dźwięki w hali.

Khayman zamknął oczy. Szukał w sercu monstrualnego krzyku Wampira Lestata odgłosów Matki, ale nie potrafił ich odnaleźć.

- Moja królowo - szepnął, na próżno przeczesując umysły. Czy stała gdzieś tam, na trawiastym stoku, wsłuchana w muzykę swojego trubadura? Poczł łagodną morską bryzę i ujrzał

bezwieżdne niebo, tak jak śmiertelni czują i widzą te zjawiska. Światła San Francisco, gwiazdziste wzgórza i jaśniejące słupy mostu były jak latarnie morskie tej wielkowiejskiej nocy przypominającej bezładną ucieczkę galaktyk.

Zamknął oczy. Wyobraził ją sobie taką, jaka była na ulicach Aten, gdy przyglądała się tawernie płonącej wraz z jej dziećmi; zniszczona peleryna wisiała luźno na ramionach, kaptur zsunął się z włosów zaplecionych w warkoczyki. Ach, wydawała się Królową Niebios, jak kiedyś, przewodnicząc nie kończącym się modłom, pozwalała się nazywać. Jej oczy były lśniące i puste, usta miękkie, niewinne. Czysta słodycz tego oblicza była nieskończenie piękna.

Ta wizja przeniosła go wstecz przez wieki do mrocznej i strasznej chwili, kiedy z bijącym sercem stawiał się, on, człek śmiertelny, by wysłuchać jej woli - jego królowej, teraz przeklętej, poświęconej księżycowi i demonowi w jej żarłocznej krwi, jego królowej, która nie zezwalała nawet na bliskość jasnych lamp. Jakże była podniecona, gdy miotła się po ceglanej podłodze pośród kolorowych ścian pełnych namalowanych milczących wartowników.

- Te bliźniaczki - powiedziała - te niegodziwe siostry śmiały wyrzec takie obrzydliwości.

- Ulituj się - błagał. - Nie zamierzały wyrządzić krzywdy, przysięgam, że mówiły prawdę.

Wypuść je, wasza wysokość. One nie mogą już niczego zmienić.

Och, jakże współczuł im wszystkim! Bliźniaczkom i tkniętej chorobą władczyni.

- Tak, ale rozumiesz, musimy sprawdzić te ich oburzające kłamstwa - powiedziała. - Musisz się zbliżyć, mój wierny rządco, który zawsze służyłeś mi z takim oddaniem...

- Moja królowo, moja ukochana królowo, czego pragniesz ode mnie?

Wciąż z tym samym uroczym wyrazem twarzy uniosła lodowate dłonie do jego gardła i nagle złapała go z przerażającą mocą. Jak porażony ujrzał, że z jej oczu znikł wszelki wyraz, a usta się rozchyliły. Kiedy uniosła się na palce ze zjawiskowym wdziękiem nocnego koszmaru, ujrzał dwa drobne kły. Nie - zakrzyczał w myślach. - Nie zrobisz mi tego! Moja królowo, to ja, Khayman!

Winien przepaść dawno temu, jak wielu krwiopijców od tamtej pory. Winien zniknąć bez śladu, jak nieprzeliczone istoty rozłożone na proch w ziemi wszystkich lądów i narodów. Nie przepadł

jednak; bliźniaczki - a przynajmniej jedna z nich - też żyły.

Czy wiedziała o tym? Czy znała te koszmarne sny? Czy odbierała je z innych umysłów? Czy też podróżowała przez całą noc wokół świata, nie śniąc i nie spoczywając, zawzięcie wykonując wciąż to samo zadanie od chwili zmartwychwstania?

One żyją, moja królowo, one żyją w tej jednej, jeśli nie w dwóch. Wspomnij stare proroctwo! -

zawołał do niej w myślach. Gdyby tylko mogła słyszeć jego głos!

Otworzył oczy. W jednej chwili powrócił do teraźniejszości, do tego skostniałego czegoś, będącego jego ciałem. Muzyka przeniknęła go bezlitosnym rytmem, błyskające światła oślepiały.

Odwrócił się i wsparł dłońią o ścianę. Nigdy nie był tak zanurzony w dźwięku. Czuł, że traci świadomość, ale głos Lestata przywołał go z powrotem.

Przesłaniając palcami oczy, spojrział w dół na ogniście białą scenę. Patrzcie no, diabeł tańczy i śpiewa z niekłamana radością! Khayman wbrew sobie poczuł się wzruszony.

Potężny tenor Lestata nie potrzebował elektrycznego wzmocnienia. Nawet nieśmiertelni rozsiani między swymi ofiarami śpiewali razem z nim, tak zaraźliwa była jego pasja. Gdziekolwiek Khayman spojrział, widział zarówno śmiertelnych, jak i nieśmiertelnych pochłoniętych zabawą.

Ciała wiły się wraz z ciałami na scenie. Głosy brzmiały z coraz większą siłą.

Gigantyczna twarz Lestata zajęła cały ekran; jego niebieskie oko spojrzęło na Khaymana i mrugnęło.

- CZEMU MNIE NIE ZABIJECIE?! WIECIE, KIM JESTEM!

Śmiech Lestata zagłuszył ostry łomot gitar.

- CZY JESTEŚCIE ŚLEPI NA ZŁO, SKORO GO NIE POZNAJECIE?

Ach, co wiara w dobro, w heroizm. Khayman widział to nawet w jego oczach, szary cień tragicznej potrzeby. Lestat odrzucił głowę do tyłu i zaryczał; tupął i wył; spoglądał w krokwie, jakby to był firmament.

Khayman zmusił się, by ruszyć z miejsca; nie mógł tu zostać. Niezdarnie brnął do drzwi, dusząc się w ogłuszającym hałasie. Nawet jego poczucie równowagi było zachwiane. Miażdżące dźwięki goniły go po klatce schodowej, ale przynajmniej uchronił się przed błyskającymi światłami. Oparty o ścianę, usiłował przejrzeć na oczy.

Czuł zapach krwi. Czuł głód wielu krwiopijców i puls muzyki przenikający drewno i gips.

Ruszył dalej w dół, nie słysząc własnych kroków na betonie i wreszcie osunął się na wyludniony podest. Skurczony objął nogi ramionami i pochylił głowę.

Ta muzyka była jak muzyka z przeszłości, kiedy wszystkie pieśni były pieśniami ciała, a pieśni umysłu jeszcze nie wynaleziono.

Ujrzał siebie w tańcu; ujrzał króla - śmiertelnego króla, którego tak uwielbiał - jak obraca się i podskakuje; usłyszał dudnienie bębnow i zawodzenie piszczałek; król podał Khaymanowi piwo.

Stół uginał się pod pieczoną dziczyzną i błyszczącymi owocami, dymił bochnami chleba.

Królowa siedziała na złotym tronie; nieskazitelna i pogodna śmiertelna kobieta z drobnym różkiem perfumowanego wosku na czubku kunsztownej fryzury; wosk rozpływał się w ciepłe i nasycił wonnością zaplecione warkocze.

Wtem ktoś włożył mu do ręki trumienkę krążącą pośród uczujących; małe upomnienie: jedz, pij, śmierć czeka bowiem nas wszystkich.

Ścisnął ją mocno w ręce; czy powinien przekazać ją królowi?

Nagle poczuł na twarzy królewskie usta.

- Tańcz, Khaymanie. Pij. Jutro pomaszerujemy na północ, by wyróżnić resztki ludożerców.

Król nawet nie spojrzał na trumienkę; odebrał ją, wsunął ją w dłonie królowej, a ona, nie patrząc, dała ją komuś następnemu.

Resztki ludożerców. Jakże proste wydawało się to wszystko, jakże słuszne. Dopóki nie ujrzał bliźniaczków klęczących przed ołtarzem.

Łomot bębnow zagłuszył głos Lestata. Śmiertelni mijali Khaymana, ledwo zauważając skuloną postać; krwio pijcy mijali go biegiem, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Lestat śpiewał o Dzieciach Ciemności ukrytych pod cmentarzem zwanym z zabobonnym lękiem Les Innocents; Niewiniątka.

W światło

Weszliśmy

Moi bracia i siostry!

ZABIJCIE NAS!

Moi bracia i siostry!

Podniósł się ospale. Chwiał się na nogach, ale szedł przed siebie, w dół, aż znalazł się w westybulu, gdzie hałas był nieco mniejszy, odpoczywał w pobliżu wewnętrznych drzwi, wdychając chłodne powietrze.

Powoli ogarniał go spokój; nagle zauważył dwóch śmiertelnych mężczyzn, którzy zatrzymali się nieopodal i patrzyli na niego, stojącego pod ścianą z rękami w kieszeniach i zwieszoną głową.

Ujrzał siebie ich oczyma. Wyczuł ich obawę, zmieszaną z nagłym niepowstrzymanym poczuciem triumfu. Ci ludzie wiedzieli o jego rodzie i żyli dla chwil takich jak ta, a jednak lękali się ich śmiertelnie i tak naprawdę mieli nadzieję, że nigdy nie nadejdą.

Powoli uniósł głowę. Stali jakieś sześć metrów dalej, obok zatłoczonego stoiska z napojami i słodyczami, jakby miało ono ich ukryć - angielscy dżentelmeni jak się patrzy. Mieli już swoje lata. Ich mocno pobrużdżone twarze i wieczorowe ubiory bez pyłka na rękawach, znakomicie uszyte szare płaszcze, wykrochmalone kołnierzyki i błyszczące supły jedwabnych krawatów były tu całkowicie nie na miejscu. Pośród obwieszanej błyskotkami młodzieży, która nie mogła ustać w miejscu, chłonąc barbarzyński hałas i mieląc ozorami, wyglądali na podróżników z innego świata.

Przyglądali mu się z takim naturalnym dystansem, jakby uprzejmość nie pozwalała im na lęk. To starszyzna Talamaski; szukają Jessiki.

Znacie nas? - zapytał ich w myślach. - Ależ oczywiście, że tak. To nic złego. Nie dbam o was.

Jego przesłane w milczeniu słowa sprawiły, że ten, który nazywał się Dawid Talbot, cofnął się o krok. Zaczął szybciej oddychać, pot wystąpił mu na czoło i dolną wargę. Mimo to wciąż zachowywał się elegancko, z opanowaniem. Zmrużył oczy, jakby nie ulegał oślepiającemu blaskowi tego, co widział, jakby rozróżniał w jasności tańczące drobne molekuly.

Jak skromny wydawał się zasięg ludzkiego życia; wystarczyło spojrzeć na tego kruchego mężczyznę, którego wykształcenie i uprzejmość jedynie zwiększały wszelkie ryzyko. Tak łatwo było odmienić treść jego myśli, jego oczekiwań. Czy powinien powiedzieć im, gdzie jest Jesse?

Czy powinien się wtrącać? Wiedział, że nie ma to żadnego znaczenia.

Czuł, że obawiają się zarówno odejść, jak i pozostać, że zatrzymał ich prawie tak, jakby ich zahipnotyzował. Można by rzec, że to szacunek przykuwał ich do miejsca; nie mogli oderwać od niego oczu. Zrozumiał, że musi im coś zaoferować, choćby tylko po to, by skończyć to okropne badanie.

Nie idźcie do niej - przekazał im. - Jeśli to zrobicie, będziecie głupcami. Ona ma teraz innych, mnie podobnych opiekunów. Najlepiej ją zostawcie. Ja bym tak zrobił na waszym miejscu.

Ciekawe, jaką to wszystko przybierze postać w archiwach Talamaski? Którejś nocy będzie mógł się tego dowiedzieć. Do jakiego nowocześnie urządzonego pomieszczenia przenieśli swoje dokumenty i skarby?

Beniamin, diabeł - przedstawił im się bez słów. - Oto moje imię. Znacie mnie?

Uśmiechnął się do siebie. Opuścił głowę, wbił wzrok w ziemię. Nie wiedział, że jest aż tak próżny. I nagle stało mu się obojętne, co ta chwila dla nich znaczy.

Myślał apatycznie o tamtych dawnych czasach we Francji, kiedy zabawiał się z ich pobratymcami. „Pozwól nam tylko przemówić do ciebie!”, błagali. Okryci kurzem uczeni o bladych oczach wiecznie otoczonych czerwonymi obwódkami, w znoszonych aksamitnych strojach, jakże nie przypominali tych dwóch wytwornych dżentelmenów, dla których okultyzm był sprawą nauki, nie filozofii. Beznadziejność tamtej epoki nagle go przeraziła; ale beznadziejność obecnej była równie przerażająca.

Odejdźcie - rozkazał im w myślach.

Nie musiał podnosić wzroku, by zobaczyć, że Dawid Talbot skinął głową i wycofał się wraz ze swoim towarzyszem. Zerkając przez ramię, oddalili się krętym westybulem i weszli do głównej sali.

Khayman był znowu sam, otoczony rytmiczną muzyką, i zadawał sobie pytanie, dlaczego się tu zjawił, dlaczego marzył o tym, by jeszcze raz zapomnieć, i dlaczego pragnął znaleźć się w cudownym miejscu, pełnym ciepła i śmiertelnych ludzi nie wiedzących, kim jest, pełnym elektrycznych żarówek migocących pod wypłowiałymi chmurami oraz nie kończących się miejskich chodników, po których można chodzić do świtu.

Jesse

- Zostaw mnie, ty sukinsynu! - Jesse kopnęła mężczyznę, który objął ją w pasie i odsunął przed sceny. - Ty draniu! - Zgięty w scyzoryk z powodu przenikliwego bólu w stopie nie sprostał

nagłemu pchnięciu. Wywinął koźła i rozłożył się na podłodze.

Już pięć razy oderwano ją od podium. Skuliła się i rozbiła niewielki zlepek, który zajął jej miejsce; jak ryba ocierała się o czarne skórzane kurtki i ponownie się prostując, złapała za barierę z nie malowanego drewna, chwyciła w jedną rękę dekoracyjną tkaninę i zwinęła ją w linę.

W migającym świetle ujrzała Wampira Lestata skaczącego wysoko w górę i spadającego z łomotem na deski; jego głos znów wzbił się ponad rejwach, bez pomocy mikrofonu wypełnił

audytorium; gitarzyści wili się wokół niego jak małe diabełki.

Krew ciekła drobnymi strumyczkami po białej twarzy jak z Chrystusowej korony cierniowej, długie jasne włosy zawirowały w powietrzu, kiedy zrobił pełny obrót, a czarny krawat rozluźnił

się i opadł. Blade, krystalicznie niebieskie oczy zaszklily się i nabiegły krwią, kiedy wykrzykiwał

blahe słowa piosenek.

Jesse poczuła, jak serce wali jej o zębra, kiedy wpatrywała się w niego, w rozkołysane biodra, materiał ciasnych czarnych spodni opinający potężne mięśnie ud. Znów skoczył w górę, wznosił

się bez żadnego wysiłku, jakby był gotów wzlecieć pod sam sufit.

Tak, widzisz to i nie ma mowy o żadnej pomyłce! Nie ma żadnego innego wytłumaczenia!

Otarła nos. Znów płakała. Musi go dotknąć, do cholery! W zamroczeniu przyglądała się, jak wali butem w podłogę przy trzech ostatnich huczących nutach piosenki, a muzycy kiwają się w przód i w tył, rozgrzewając tłum, i rzucają na boki głowami. Ich głosy ginęły w jego głosie, kiedy próbowali dotrzymać mu kroku.

Boże, ależ on to uwielbiał! Nie było w tym ani cienia udawania. Pławił się w okazywanym mu zachwycie. Kapał się w nim jak we krwi.

A teraz, gdy przeszedł do szaleńczego początku następnej piosenki, zdarł z siebie czarną aksamitną pelerynę, zakręcił nią z rozmachem nad głową i cisnął daleko w widownię. Tłum zawył nieludzko i zakołysał się. Jesse poczuła czyjeś kolana na plecach, but ześlizgujący się po jej pięcie, ale właśnie w tej chwili otworzyła się przed nią szansa, ochroniarze zeskoczyli bowiem ze sceny, by opanować zamieszanie.

Mocno wsparła się na obu rękach, wybiła się w górę, upadła na brzuch i zerwała się na nogi.

Pobiegła do tańczącej postaci, która nagle skrzyżowała z nią wzrok.

- Ty, ty! Ty! - zawołała. Kącikiem oka dostrzegła zbliżającego się ochroniarza. Rzuciła się całym ciałem na Wampira Lestata. Zamknęła oczy, kurczowo zacisnęła ramiona wokół jego bioder. Złożyła twarz na jego jedwabistej, lodowato zimnej piersi. Wtedy poczuła smak krwi na wardze!

- Prawdziwy! - szepnęła. Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi, ale nie rozluźniła uścisku. Tak, skóra Maela była jak ta skóra i skóra Maharet, i ich wszystkich. Tak, taka jak ta! To nie był człowiek. Trzymała go w ramionach, wiedziała o wszystkim i było już za późno, żeby ją zatrzymać!

Lewą ręką chwyciła gęstą grzywę jego włosów, a kiedy otworzyła oczy, ujrzała, że uśmiecha się do niej, ujrzała pozbawioną porów lśniącą białą skórę i drobne kły.

- Ty diable! - szepnęła. Śmiała się jak szalona, płakała i śmiała się.

- Kocham cię, Jessico - odpowiedział jej szeptem, uśmiechając się do niej, jakby się drażnił; wilgotne jasne włosy opadały mu na oczy.

Zaskoczona poczuła jego uścisk, a potem podrzucił ją na swoje biodro i obrócił w koło.

Wrzeszczący muzycy rozmyli się w jedną smugę; światła były bryzgami bieli i czerwieni.

Jęczała, ale nie odrywała od niego wzroku; tak, jego oczy były prawdziwe. Trzymała się go rozpaczliwie, w obawie, że zamierza cisnąć ją wysoko w powietrze nad głowami tłumu. On jednak postawił ją na scenie, pochylił głowę, jego włosy omiotły jej policzek i poczuła jego usta na swoich.

Pulsująca muzyka stała się niewyraźna, jakby Jesse zanurzyła się w morzu. Czuła, że jego oddech przenika ją, gładkie palce przesunęły się w górę jej szyi. Jej piersi odbierały bicie jego serca, a głos przemawiał do niej czysto, tak jak tamten głos dawno temu, znany głos, rozumiejący jej pytania i wiedzący, że nie mogą pozostać bez odpowiedzi.

To zło, Jesse - powiedział głos. - Zawsze o tym wiedziałaś.

Ręce odciągnęły ją w tył. Ludzkie ręce. Oddzielano ją od niego. Krzyknęła przeraźliwie.

Wpatrywał się w nią osłupiały. Sięgał głęboko, głęboko w swoje sny, szukając czegoś, o czym ledwo pamiętał. Stypa; rudowłose bliźniaczki klęczące po obu stronach ołtarza. Trwało to nie dłużej niż ułamek sekundy, a potem przepadło; stał oszołomiony, po czym znów przywołał na twarz bezosobowy uśmiech, będący jak jedno ze światel, które nieustannie ją osłepiały.

- Piękna Jesse! - powiedział, unosząc dłoń jakby w pożegnaniu. Niesiono ją daleko od niego, poza scenę.

Kiedy postawiono ją na nogi, śmiała się.

Jej biała koszula była poplamiona krwią. Na dłoniach także widniały blade smugi słonej krwi.

Znała ten smak. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się; jakie to było dziwne, nie słyszała swego śmiechu, tylko czuła przebiegające ją drzenie, czuła, że płacze i śmieje się równocześnie.

Ochroniarz powiedział coś do niej, coś chamskiego, groźnego. Ale to się nie liczyło.

Tłum znów ją ogarnął. Po prostu połknął ją, bił w nią jak fala, odrzucił ze środka. Ciężki but miażdżył jej stopę. Potknęła się, obróciła i została jeszcze gwałtowniej pchnięta w stronę drzwi.

To jest bez znaczenia. On wie! - dźwięczało w jej myślach. Wie o tym wszystkim. Miała zawroty głowy. Nie ustałaby prosto, gdyby nie napierające na nią ramiona. Nigdy nie czuła równie cudownego braku zahamowań. Nigdy nie czuła takiego rozładowania napięcia.

Nie było końca szalonej kakofonii dźwięków; twarze błyskały i znikwały w falach kolorowego światła. Czuła zapach marihuany i piwa; czuła pragnienie. Tak, coś do picia, coś zimnego. Ależ pragnienie. Znów podniosła rękę, zlizwała krew i sól. Delikatne cudowne drzenie zapowiadało nadejście snów. Znów polizowała krew i zamknęła oczy.

Nagle poczuła, że jest na otwartej przestrzeni. Nikt jej nie popychał. Podniosła wzrok i zobaczyła, że jest przy wyjściu, na wąskiej trzymetrowej rampie prowadzącej w dół do westybulu. Tłum był za nią, nad nią. Nareszcie mogła odpocząć. Była cała i zdrowa.

Opierając się dłonią o zatłuszczoną ścianę, przeszła po warstwie papierowych kubków. Opuściła głowę i odpoczywała; brzydkie światło z westybulu świeciło jej w oczy. Na czubku języka czuła smak krwi. Znów zbierało się jej na płacz. Przez chwilę nie było przeszłości ani teraźniejszości i cały świat się zmienił, od najprostszej rzeczy do najważniejszej. Bujwała w obłokach, jakby na szczytach największego uspokojenia i akceptacji, jakie kiedykolwiek знаła. Och, gdyby tylko mogła opowiedzieć to wszystko Dawidowi; gdyby tylko mogła podzielić się tym wielkim i obezwładniającym sekretem.

Coś ją dotknęło. Coś wrogiego. Odwróciła się niechętnie i zobaczyła u swojego boku ogromną postać. Co to? - zapytała w myślach. Usiłowała przyjrzeć się jej dokładnie.

Koścista budowa, czarne przylizane włosy, czerwona szminka na brzydkich ustach, ale skóra...

skóra ta sama. I kły. Nieludzkie kły.

Talamasca?

To był syk, bezsłowne pytanie, po którym dostała uderzenie w mostek. Instynktownie uniosła ręce, skrzyżowała je na piersiach, zaplotła palce na ramionach.

Talamasca?

Pytanie bezdźwięczne, niemniej jednak zadane z ogłuszającym gniewem.

Cofnęła się, ale jego dłoń złapała ją, palce wgryzły się w kark. Usiłowała krzyczeć, ale została uniesiona w powietrze.

A potem leciała przez westybul, krzycząc, aż uderzyła głową w ścianę.

Czerń. Zobaczyła ból. Błyskał żółto, potem biało i wędrował w dół kręgosłupa, po czym rozszedł się w kończynach jakby milionami gałązek. Straciła wszelką władzę nad swoim ciałem.

Uderzyła o podłogę, paraliżujący ból dosięgnął jej znowu, tym razem czuła go na twarzy i we wnętrzu otwartych dłoni, aż wreszcie przewróciła się na plecy.

Nic nie widziała. Miała zamknięte oczy, ale nie potrafiła ich otworzyć. Słyszała głosy, krzyki ludzi, gwizdek, a może dzwonek? Rozległ się grzmiący hałas, kolejny aplauz tłumu. W pobliżu byli ludzie.

Ktoś powiedział blisko jej ucha:

- Nie dotykajcie jej. Ma złamany kark!

Złamany? Czy można mieć złamany kark i żyć?

Ktoś położył jej dłoń na czole. Ale tak naprawdę czuła tylko przelotne łaskotanie, jakby była bardzo zziębnięta, jakby brnęła przez śnieg i utraciła wszelkie czucie. Nie widzę - powiedziała w myślach.

- Słuchaj, skarbie - odezwał się młody męski głos; jeden z tych głosów, które możesz usłyszeć w Bostonie, Nowym Orleanie, Nowym Jorku. Strażak, gliniarz, ratownik. - Zaopiekujemy się tobą.

Karetka jest w drodze. Teraz leż spokojnie, skarbie, nie martw się.

Ktoś dotknął jej piersi. Nie, wyjmowano jej karty z kieszeni. Jessica Miriam Reeves. Tak.

Stała obok Maharet i razem spoglądały na gigantyczną mapę z tymi wszystkimi światełkami.

Wszystko rozumiała. Jesse zrodzona z Miriam, zrodzonej z Alice, zrodzonej z Carlotty, zrodzonej z Jane Marie, zrodzonej z Anne, zrodzonej z Janet Belle, zrodzonej z Elizabeth, zrodzonej z Louise,

zrodzonej z Frances, zrodzonej z Friedy, zrodzonej...

- Gdyby pan był łaskaw, jesteśmy jej przyjaciółmi...

Dawid!

Podnosili ją; słyszała swój krzyk, ale przecież nie miała zamiaru krzyczeć. Znów zobaczyła ekran i wielkie drzewo imion.

- Frieda zrodzona z Dagmary, zrodzonej...

- Teraz uwaga, uwaga! Niech to szlag!

Powietrze się zmieniło; stało się chłodne i wilgotne, owionęło jej twarz; potem straciła wszelkie czucie w dłoniach i stopach. Czowała jedynie powieki, ale nie potrafiła nimi poruszyć.

Maharet mówiła do niej:

- ...wyszła z Palestyny do Mezopotamii, a potem powoli przez Azję Mniejszą i Rosję do Europy Wschodniej. Rozumiesz?

To był albo karawan, albo karetka; wydawało się, że jak na to drugie, było tu zbyt cicho, a syrena, chociaż przeciągle zawodziła, była zbyt daleko. Co się stało z Dawidem? Nie opuściłby jej przecież. Ale jak Dawid się tu znalazł? Powiedział, że nic nie mogłoby go tu ściągnąć.

Dawida tam nie było. Musiała to sobie wyobrazić. I co dziwne, Miriam też tam nie było.

- Święta Mario, Matko Boża... teraz i w godzinie śmierci naszej...

Słuchała; pędzili przez miasto; czuła, że skręcają; ale gdzie jest jej ciało? Nie czuła go. Złamany kark. To z pewnością znaczyło, że jest trupem.

Co to jest, to światło, które widziała w dżungli? Rzeka? Zbyt wielkie na rzekę. Jak ją przebyć?

Przecież to nie Jesse szła przez dżunglę, a potem brzegiem rzeki. To ktoś inny. A jednak widziała przed sobą dłonie, jakby to były jej własne; odsuwały pnącza i mokre, ociekające wodą liście.

Kiedy spojrzała w dół, widziała rude włosy, kędzierzawe strąki rudych włosów pełne kawałków liści i grudek ziemi...

- Słyszysz mnie, skarbie? Jesteśmy przy tobie. Zajmujemy się tobą. Twoi przyjaciele są w samochodzie za nami. Nie martw się.

Wciąż mówił, ale gubiła wątek. Słyszała tylko ton głosu - ton kochającej troski. Czemu tak jej współczuł? Nawet jej nie znał. Nie rozumiał, że krew na koszuli nie jest jej? Krew na dłoniach?

Pomyślała: - Winna. - Lestat usiłował jej powiedzieć, że to jest złe, ale to było nieważne, nie

więzało się z całością. Rzecz nie w tym, że nie dbała o to, co dobre, a co złe; rzecz w tym, że w tej chwili co innego było ważniejsze. Pomyślała: - Wiedział. - I mówił tak, jakby zamierzała coś zrobić, a tymczasem ona nie zamierzała nic zrobić.

To dlatego umieranie było całkiem fajne. Gdyby tylko Maharet zrozumiała. Pomyśleć, że Dawid jest z nią, w samochodzie z tyłu. W każdym razie znał część prawdy i założył jej teczkę: „Reeves Jessica”. Będzie więcej dowodów. „Jeden z naszych oddanych członków, bez wątpienia w wyniku... niesłuchanie niebezpieczne... w żadnym wypadku nie powinna dokonywać aktu postrzegania nadzmysłowego...”

Znów ją przynosili. Znów zimne powietrze, opary benzyny i eteru. Wiedziała, że tuż po drugiej stronie tego paraliżu, tej ciemności, jest okropny ból, że najlepiej leżeć bez ruchu i nie próbować się tam dostać. Niech ją transportują; niech wiozą ją wózkami przez korytarz.

Ktoś płacze. Dziewczynka.

- Słyszysz mnie, Jessico? Wiedz, że jesteś w szpitalu i robimy dla ciebie wszystko, co jest możliwe. Twoi przyjaciele, Dawid Talbot i Aaron Lightner są w pobliżu. Powiedzieliśmy im, że nie wolno ci się poruszyć...

Oczywiście. Kiedy złamiesz kark, to albo nie żyjesz, albo umierasz, kiedy się ruszysz. Na tym to polega. Dawno temu widziała w szpitalu dziewczynę ze złamanym karkiem przywiązaną do wielkiej aluminiowej ramy. Co jakiś czas pielęgniarka przesuwiała ramę, zmieniając pozycję dziewczyny. Czy ze mną też tak będzie?

Znów mówił, ale tym razem z większej odległości. Szła przez dżunglę trochę szybciej, żeby się zbliżyć, żeby nie przeszkadzał jej hałas rzeki. Mówił...

- ...oczywiście, że możemy to wszystko zrobić, możemy przeprowadzić testy, oczywiście, ale zrozumcie, co do was mówię, ona jest w agonii. Ma kompletnie zmiądzony tył czaszki. Rozległe uszkodzenia mózgowia są wyraźne, tak że w przeciągu kilku godzin mózg zacznie nabrzmiwać, jeśli będzie to trwało kilka godzin...

Draniu, zabiłeś mnie. Rzuciłeś mnie o ścianę. Gdybym mogła czymś ruszyć - powiekami, ustami. Jestem uwięziona tu, w środku. Nie mam już ciała, a mimo to jestem w nim uwięziona!

Kiedy byłam mała, często myślałam, że taka będzie śmierć. Będziesz uwięziona jak w grobie w swojej głowie, bez oczu, żeby widzieć, i bez ust, żeby krzyczeć. I będą mijały lata.

A może będziesz błąkać się w królestwie półmroku z bladymi demonami, myśląc, że żyjesz, podczas gdy naprawdę będziesz martwa? Dobry Boże, muszę wiedzieć, od kiedy nie żyję. Muszę wiedzieć, kiedy się to zaczęło!

Na ustach poczuła niezwykle słaby dotyk. Coś wilgotnego, mokrego, coś rozchylającego jej wargi. Ale tu nie ma nikogo, prawda? Oni są na korytarzu, a pokój jest pusty. Wiedziałyby, gdyby ktoś tu był. A jednak czuła jakiś smak, ciepły płyn napływający do ust.

Co to jest? - spytała bezgłośnie. - Co mi dajecie? Nie chcę stracić przytomności.

Śpij, moja kochana.

Nie chcę. Chcę czuć, kiedy będę umierać. Chcę wiedzieć!

Płyn wypełniał jednak jej usta, a ona przełykała. Mięśnie przełyku ożyły. Cudowny jest ten słony smak. Znała go! Znała to cudowne mrowienie. Ssała mocniej. Czuła, jak skóra twarzy ożywa i czuła owiewające ją powietrze. Czuła powiew wiatru w pokoju. Cudowne ciepło przesuwało się w dół kręgosłupa. Przesuwało się wzdłuż nóg i rąk, dokładnie szlakiem bólu, i życie wracało do wszystkich członków.

Śpij, ukochana - powiedział bezgłośny głos.

Mrowienie odezwało się na ciemieniu, dotarło do korzonków włosów.

Kolana miała poobijane, ale nie czuła bólu nóg i mogła znów chodzić; czuła prześcieradło pod ręką. Chciała sięgnąć ręką do poręczy, ale było na to za wcześnie, za wcześnie na ruch.

Ktoś ją podniósł.

Teraz najlepiej było spać. Jeśli to śmierć... no to co, była całkiem fajna. Głosy ludzi, które ledwo słyszała, nie miały już znaczenia. Wydawało się, że Dawid ją woła. Czego od niej chce? Żeby umarła? Lekarz groził, że wezwie policję. Policja w niczym już nie pomoże. To było niemal śmieszne.

Schodzili coraz bardziej w dół schodów. Czuła cudowne zimne powietrze.

Odgłosy ruchu ulicznego nasiliły się; obok przejechał z warkotem autobus. Poprzednio nigdy nie lubiła tych hałasów, ale teraz były jak wiatr, tak czyste. Znów kołysano ją lekko, łagodnie, jakby była w kołysce. Poczowała nagły zryw samochodu, a potem gładki, swobodny pęd. Miriam była tu i chciała, żeby Jesse na nią spojrzęła, ale ona czuła się teraz zbyt zmęczona.

- Nie chcę iść, mamo.

- Jesse, proszę. Nie jest za późno. Wciąż możesz przyjść! - Wołała tak, jak Dawid: - Jessico.

Daniel

Daniel wreszcie zrozumiał. Bładolicy bracia i siostry krążą wokół siebie, mierzą się wzrokiem, nawet grożą sobie nawzajem, ale nikt nic nie robi. Zasada była prosta i bezwzględna; nie zostawiać żadnych dowodów świadczących o naszej kondycji - żadnych ofiar, ani jednej komórki naszej wampirzej tkanki.

Lestat miał być jedyną ofiarą i mord zaplanowano z całą starannością. Śmiertelni nie mieli zobaczyć kos, chyba że w ostateczności. Porwać drania, kiedy będzie próbował uciec, taki był

plan; zniszczyć go tylko w obecności wtajemniczonych. Jeśli będzie się opierał, umrze na oczach swoich fanów; należy wówczas zniszczyć ciało tak, by nic z niego nie zostało.

Daniel śmiał się do rozpuku. Już sobie wyobrażał, jak Lestat potulnie godzi się na te zamierzenia.

Śmiał się prosto w ich zawzięte gęby. Bładziuchne jak orchidee złośliwe duszyczki, które napełniły halę, kipiąc złością, zazdrością, chciwością. Można by pomyśleć, że nienawidzili Lestata choćby z powodu jego wyzywającej urody.

Daniel wreszcie oderwał się od Armanda. Czemu nie?

Nikt nie mógł go skrzywdzić, nawet groźnie patrząca kamienna postać, którą widział w cieniach, tak twarda i stara, że wygląda jak legendarny Golem. Cóż to za niesamowity stwór, ta kamienna kreatura wpatrzona w śmiertelną kobietę leżącą ze złamanym karkiem, tę rudą, przypominającą bliźniaczki ze snu. Pewnie zrobił to jakiś głupi człowiek, złamał jej kark jak zapałkę. A ten jasnowłosy wampir w jelenich skórach przeciskający się do miejsca wypadku też wyglądał

niesamowicie, żyły nabrzmiały mu na karku i na dłoniach, kiedy dotarł do tej biednej ofiary.

Armand z niezwykłym wyrazem twarzy przyglądał się ludziom zabierającym rudą kobietę, jakby, nie wiedząc czemu, uważał, że powinien interweniować; być może ten niby-Golem stojący bez ruchu napawał go niepokojem. Wreszcie wepchnął z powrotem Daniela w śpiewający tłum. Nie było jednak powodu do strachu. To miejsce, ta katedra dźwięku i muzyki była ich sanktuarium.

Lestat był Chrystusem na katedralnym krzyżu. Jak opisać jego wszechwładny i irracjonalny autorytet? Miałby okrutną twarz, gdyby zachwyty i wylewna radość nie czyniły jej dziecinną.

Wymachiwał pięściami, jakby walczył z cieniem, wrzeszczał, błagał, wył pod adresem nieugiętych mocy, cały czas śpiewając o swoim upadku - Lelio, bulwarowy aktorzyzna, przepoczwarzony w nocnego stwora wbrew swojej woli!

Jego tenor zdawał się kompletnie odcieleśniony, gdy relacjonował klęski, zmartwychwstania, pragnienia, których żaden potop krwi nigdy by nie ugasił.

- Czyż nie jestem diabłem w was wszystkich! - krzyczał nie do rozkwitających w blasku księżyca potworów, ale do śmiertelnych, którzy go uwielbiali.

Nawet Daniel wrzeszczał, ryczał, skakał w górę, potwierdzając te słowa, chociaż na dobrą sprawę nic nie znaczyły; chodziło tylko o nagą moc sprzeciwu i wyzwania Lestata, przeklinającego niebiosy w imieniu tych, którzy kiedykolwiek zakosztowali losu wyrzutka, wszystkich tych, którzy kiedykolwiek dopuścili się gwałtu, aby potem w poczuciu winy i wyrządzanego zła zwrócić się przeciwko swojej krwi.

W najbardziej wzniosłych chwilach Daniel miał wrażenie, że osiągnięcie nieśmiertelności w przededniu tej wielkiej mszy było jakimś znakiem losu. Wampir Lestat był bogiem lub też kimś mu podobnym. Gigant na ekranie wideo błogosławił wszystko, czego Daniel kiedykolwiek pożył.

Jak inni mogli się opierać? Z pewnością uniesienie przyszej ofiary rozpałało ich do szaleństwa.

Zasadnicze przesłanie wszystkich tekstów było następujące: Lestat ma dar, przyrzeczony każdemu; Lestata nie można zabić. Zasmakował cierpień, które na niego spadły, i wyłonił się tym silniejszy. Połączyć się z nim znaczyło żyć wiecznie.

Oto jest ciało moje. Oto jest krew moja.

Nienawiść wrzała jednak pośród wampirzych braci i sióstr. Kiedy koncert zmierzał ku finałowi, Daniel poczuł ją żywo - smród bijący od tłumu, syk coraz mocniej przebijający się spod brzmienia muzyki.

Zabić boga. Rozerwać na strzępy. Niech śmiertelni wierni robią to, co zawsze - oplakują w jego postaci tych, którym sądzona jest śmierć.

- Idziemy, jest po mszy.

Zapaliły się światła na widowni. Fani uderzyli na drewnianą scenę, rozerwali czarną serżową kurtynę w pogoni za uciekającymi muzykami.

Armand złapał Daniela za ramię.

- Bocznymi drzwiami - powiedział. - Nasza jedyna szansa to dopaść go szybko.

Khayman

Nastąpiło to, czego się spodziewał. Uderzyła najpierw na tych, którzy uderzyli na niego. Lestat wyszedł tylnymi drzwiami i z Louistem u boku pędził do swojego czarnego porsche, kiedy skrytobójcy rzucili się na niego. Wydawało się już, że nieregularny krąg się zamknie, kiedy naraz pierwszy kosiarz stanął w płomieniach. Tłum wpadł w panikę, przerażone dzieci pędziły na oślep we wszystkich kierunkach. Następny nieśmiertelny napastnik zajął się ogniem. I następny.

Khayman przywarł do ściany, podczas gdy niezdarne ludzkie istoty mijaly go w pędzie. Widział, jak elegancka krwiopijczyni nie zauważona przecina tłum, wślizguje się za kierownicę samochodu, krzykiem popędzając Louisa i Lestata, żeby do niej dołączyli. To była Gabriela, matka czarta. To oczywiste, że nie tknął jej zabójczy ogień. W błękitnych oczach nie było ani okruszyny strachu, kiedy przygotowywała pojazd szybkimi, zdecydowanymi gestami.

Tymczasem Lestat rozwścieczony, oszalały, pozbawiony szansy walki wsiadł wreszcie do samochodu, ponieważ inni go do tego zmusili.

A gdy porsche brnęło przez rozbiegany tłum młodzieży, płomienie dosięgały krwiopijców. Ich krzyki, gorączkowe przekleństwa, ostateczne pytania rosły w koszmarnym, niesłyszalnym dla ludzkiego ucha chórze.

Khayman zakrył twarz. Porsche przebyło połowę drogi do bramy, zanim zatrzymał je tłum.

Syreny wyły, wyrzaskiwano rozkazy; dzieci padały z połamanymi kończynami. Śmiertelni krzyczeli z żalu i przerażenia.

Znajdź Armanda - pomyślał Khayman. Ale po co? Wszędzie, gdzie spojrzał, wirowały wielkie pochodnie oranżowo-niebieskiego ognia, bielejące w nagłym żarze, kiedy tamci uwalniali się od szerniałych ubrań, osuwających się na chodniki. Jak wejść między ogień i Armanda? Jak uratować młodego Daniela?

Popatrzył ku odległym wzgórzom, na drobną postać jaśniejącą na ciemnym niebie, nie zauważoną przez tych, którzy uciekali z wrzaskiem i wołaniem o pomoc.

Nagle poczuł żar; dotykał go jak wtedy w Atenach. Poczuł, jak tańczy u jego stóp, oczy zasły mu łzami. Mimo to niewzruszony wpatrywał się w odległe źródło tego doznania. A potem z przyczyn, których być może nie miał nigdy pojąć, zdecydował się nie odpychać ognia, lecz sprawdzić, co żywioł może mu uczynić. Każde włókno jego jestestwa mówiło mu - Odepchnij go. - A jednak pozostał bez ruchu, wyprany z myśli, czując kapiący pot. Ogień okrążył go, objął, a następnie cofnął się i zostawił go w spokoju, zimnego i zranionego ponad wszelkie, najdziksze nawet wyobrażenie. Wyszeptał cichą modlitwę: - Oby bliźniaczki cię zniszczyły.

Daniel

Pozar! - Daniel poczuł smród zjełczanego tłuszczu i równocześnie zobaczył płomienie wybuchające wśród tłumu. Jaką osłonę zapewniało teraz zbiorowisko? Ogień tryskał małymi eksplozjami, podczas gdy grupki oszalałych nastolatków bezładnie usiłowały się od nich oddalić.

Ludzie biegali bezsensownie w kółko, wpadając jedni na drugich.

Ten dźwięk. Daniel usłyszał go znowu. Przesuwał się nad ich głowami. Armand ciągnął go do budynku. To bez sensu, i tak nie dostaną się do Lestata. Nie mieli kryjówek. Armand wrócił do hali, wciąż ciągnąc Daniela za sobą. Para przerażonych wampirów wybiegła z drzwi i eksplodowała słupami ognia.

Ogarnięty grozą Daniel patrzył na szkielety rozpływające się w bladożółtej poświacie. W głębi opustoszałej widowni kolejna uciekająca postać zajęła się upiornymi płomieniami. Wijąc się, padła na betonową podłogę; z pustego ubrania uniósł się dym, kałuża tłuszczu zalała beton i wyschła na oczach Daniela.

Znów pobiegli ku uciekającym śmiertelnym, tym razem do odległej bramy, od której dzieliło ich wiele metrów asfaltowej nawierzchni.

Przemieszczali się tak szybko, że stopy Daniela nie dotykały ziemi. Świat zmienił się w kolorową smugę. Nawet żalosne wrzaski przerażonych fanów dobiegały z daleka, złagodzone.

Wtem zatrzymali się przy bramie, w tej samej chwili, w której czarne porsche Lestata wypadło z parkingu i przemknęło na ulicę. Zniknęło im z oczu po kilku sekundach, sunąc jak pocisk ku autostradzie, na południe.

Armand nie usiłował go dopędzić; zdawał się nawet go nie dostrzegać. Stał przy bramie i patrzył

ponad głowami tłumu i wygiętym dachem hali ku odległemu horyzontowi. Niesamowity, telepatycznie słyszany dźwięk był ogłuszający. Przesłonił wszystkie inne dźwięki świata, pochłonął wszelkie doznania.

Daniel musiał zakryć uszy rękoma, nie potrafił opanować drżenia nóg. Czuł, że Armand jest blisko, ale przestał cokolwiek wiedzieć. Wiedział jednak, że jeśli to ma nastąpić, to właśnie teraz.

Jednak nie czuł strachu, nadal bowiem nie mógł uwierzyć we własną śmierć; sparaliżowały go pomieszanie i zdumienie.

Dźwięk rozplątał się stopniowo. Odrętwiały Daniel powoli przejrzał na oczy; rósł przed nim wielki kształt wozu strażackiego z drabiną; strażak krzychał, żeby odszedł od bramy. Buczenie syren było, jak dźwięk z innego świata, przesywało skronie niewidzialnymi igłami.

Armand łagodnie odsunął go z drogi. Wystraszeni ludzie pędzili obok jak unoszeni wiatrem.

Daniel słaniał się na nogach, ale Armand go podtrzymał. Znaleźli się w ciepłej masie śmiertelnych, za ogrodzeniem, wślizgując się między gapiów oglądających zamieszanie zza drucianej siatki.

Setki nadal uciekały. Przerażliwy dysonans syren zagłuszył ich krzyki. Wozy strażackie pędziły przez bramę, mijając rozproszonych śmiertelnych. Jednak wszystkie te odgłosy były wątle i dalekie, nadal przygłuszane gasnącym nadprzyrodzonym dźwiękiem. Armand przyłgnął do siatki, zamknął oczy, przycisnął czoło do metalu. Siatka drżała, jakby ona jedna mogła słyszeć stwora tak, jak oni go słyszeli.

Dźwięk zgasł.

Zapanowała lodowata cisza, cisza po wstrząsie, pustka. Chociaż pandemonium trwało dalej, już ich nie obejmowało.

Byli osamotnieni; śmiertelni rozbiegali się na boki, zderzali się ze sobą, pędzili dalej, a w powietrzu unosiły się uparte nadprzyrodzone krzyki przypominające trzask płonącej folii aluminiowej; kolejne śmierci, ale gdzie?

Przecięli ulicę, ramię w ramię, nie śpiesząc się. Poszli dalej ciemną boczną ulicą, mijając podniszczone domy z ozdobnymi tynkami i tanie narożne sklepiki.

Szli i szli. Noc była zimna i spokojna, a odgłosy syren dalekie, nieomalże żałobne.

Kiedy dotarli do szerokiego, oślepiającego jasnością bulwaru, ujrzeni rozklekotany trolejbus skąpany w zielonkawym świetle. Wydawał się zjawą jadącą ku nim przez pustkę i ciszę. Zalewie kilku osamotnionych pasażerów patrzyło przez zasmużone, brudne okna. Kierowca wyglądał, jakby był pogrążony we śnie.

Armand uniósł zmęczone oczy, jakby chciał odprowadzić pojazd wzrokiem. Jednak ku zdumieniu

Daniela trolejbus zatrzymał się, żeby ich zabrać.

Weszli do środka i nie kupując biletów, opadli na długą, pokrytą skórą ławę. Kierowca ani na chwilę nie oderwał oczu od szyby. Armand siedział bokiem do okna, tępo wpatrując się w czarną gumową wykładzinę. Miał zmierzwiłone włosy i smugę sadzy na policzku. Zagubiony w myślach, wydawał się całkowicie nieświadomy tego, co robi.

Daniel spoglądał na otaczających go bezbarwnych śmiertelnych. Kobieta o twarzy jak suszona śliwka i ustach wąskich jak szrama odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem; pijany mężczyzna chrapał, zwiesiwszy głowę na piersi; kobieta z malutką główką o zlepionych włosach trzymała na kolanach gigantycznego niemowlaka, którego skóra była jak guma do żucia. Niech to diabli, w nich wszystkich było coś okropnie nie w porządku. Na tylnym siedzeniu tkwił trup mężczyzny z półprzymkniętymi powiekami i śladami śliny na podbródku. Czy nikt nie widzi, że on nie żyje?

Na podłodze zasychała śmierdząca uryna.

Dłonie Daniela wyglądały martwo, trupio. Kierowca obracający kierownicę wydawał się umarlakiem z żywym jednym ramieniem. Czy to halucynacja? Autobus do piekła?

Nie. Jedynie trolejbus, jeden z miliona podobnych, jakie widział w życiu, wiozący nocą przez miasto zmęczonych wykolejeńców. Nagle Daniel mało nie wybuchnął głośnym śmiechem, myśląc o trupie z tyłu i o ludziach jadących ot, tak sobie, i o tym, jak to wszystko wyglądało w tym świetle, ale poczucie grozy natychmiast wróciło.

Cisza działała mu na nerwy, podobnie jak powolne kołysanie autobusu; przygnębiała go parada ruder; widok bezsilnej twarzy i pustego wzroku Armanda był nie do zniesienia.

- Wróci po nas? - spytał. Nie mógł tego już znieść.

- Wiedziała, że tam byliśmy - rzekł Armand cichym, matowym głosem. - Pominęła nas.

Khayman

Wycofał się na wysoki trawiasty stok, za którym rozciągał się widok na zimny Pacyfik.

Miał przed sobą panoramę całości; śmierć w oddali, zagubioną w światłach, a piskliwe wycia nadprzyrodzonych dusz mieszały się z zagęszczonymi odgłosami ludzkiego miasta.

Uciekające przed diabłami porsche Lestata wypadło z autostrady. On sam wyszedł z pogruchotanego auta bez szwanku, złaźniony walki; ale ogień znów uderzył w tych, którzy go otoczyli, rozpraszając ich lub zabijając.

Wreszcie pozostawiony samemu sobie z Louisem i Gabrielą, zgodził się wycofać, niepewny, kto lub co go chroni.

Bez wiedzy całej trójki królowa udała się w pogoń za jego nieprzyjaciółmi.

Nad dachami przesuwała się jej moc, niszcząc tych uciekających, którzy usiłowali się ukryć, i tych, którzy w pomieszeniu i rozpaczycy pozostali przy zamartwych towarzyszach.

Noc cuchnęła spalenizną; po zawodzących upiorach zostały na pustych chodnikach jedynie zniszczone ubrania. Poniżej, pod łukowymi lampami opustoszałych parkingów policjanci na próżno szukali ciał, a strażacy na próżno szukali ofiar, którym mogliby pomóc. Śmiertelna młodzież krzyczała żałośnie.

Opatrzono drobne rany; tym, którzy wciąż byli w szoku, podano środki nasenne i odwieziono do szpitali. Jakże skuteczne były służby publiczne w tej zamożnej epoce. Gigantycznymi wężami strażackimi oczyszczono parkingi, zmyto spopielone szmaty i szczątki.

Drobne istoty kłóciły się i przysięgały, że były świadkami całopaleń. Nie było jednak żadnych dowodów. Ofiary zostały całkowicie zniszczone.

Właśnie oddalała się od hali, przeszukując najgłębsze rozpadliny miasta. Jej moc mijała rogi ulic i wkraczała do domów przez okna i drzwi. Gdziekolwiek się pojawiła, wybuchał mały płomień, jak przy potarciu siarkowej zapałki.

Noc uspokajała się. Tawerny i sklepy zamykały swoje podwoje, mrugając w gęstniejącym mroku. Słabł ruch uliczny.

Starszego, który pragnął ujrzeć jej twarz, dopadła na ulicach North Beach; spaliła go powoli, czołgającego się chodnikiem. Jego kości zamieniły się w popiół, mózg w ostatniej chwili stał się masą rozżarzonych węgielków. Innego zwała z nóg na wysokim płaskim dachu, tak że pikował

w dół niczym gwiazda z rozmiotanego nieba. Kiedy było po wszystkim, puste ubranie uniosło się w górę jak czarny papier.

Lestat udał się na południe, do swojego azylu w Carmel Valley. Triumfujący, pijany miłością do Louisa i Gabrieli, rozprawiał o starych czasach i nowych marzeniach, najwyraźniej obojętny na całą masakrę.

- Maharet, gdzie jesteś? - szepnął Khayman. Noc nie przyniosła mu odpowiedzi. Jeśli Mael był nieopodal i jeśli słyszał wołanie, nie potwierdził tego. Biedny, oszalały z rozpaczycy Mael, który odsłonił się całkowicie po ataku na Jessicę. On również mógł zostać zamordowany, gdy patrzył bezradnie, jak karetka uwozi mu Jesse.

Khayman nie mógł go znaleźć.

Przeczesał nabijane punktami świateł wzgórze i głębokie doliny, w których bicie serc było jak gromowy szept.

- Czemu byłem świadkiem tego wszystkiego? - Czemu sny mnie tu przywiodły?

Wsluchiwał się w śmiertelny świat.

Rozgłoszenie radiowe gaworzyły o satanistach, zamieszkach, przypadkowych pożarach, masowych halucynacjach. To było jednak wielkie miasto, mimo że zajmowało niewielki obszar.

Racjonalne umysły już przefiltrowały i zlekceważyły wydarzenie. Tysiące niczego nie zauważyły. Inni powoli i pracowicie odtworzyli w pamięci nieprawdopodobne rzeczy, których byli świadkami. Wampir Lestat był człowiekiem, gwiazdą rocka i nikiem więcej; jego koncert był

okazją do dającej się przewidzieć, chociaż nie kontrolowanej histerii.

Być może zniweczenie marzeń Lestata było częścią planu królowej. Zmieść jego nieprzyjaciół z powierzchni ziemi, zanim spruje się pajęczy welon ludzkich przypuszczeń. Jeśli tak się sprawy miały, czy wreszcie ukarze jego samego?

Khayman nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Objął wzrokiem uspioną ziemię. Napływała oceaniczna mgła, osadzając się różnymi warstwami poniżej szczytów wzgórz. W tych pierwszych godzinach po północy wszystko miało słodki, bajeczny smak.

Skoncentrował swoją moc i opuścił więzienie ciała. Wysłał z siebie zdolność widzenia, jak wędrujące ka zmarłego Egipcjanina, by dojrzeć tych, których Matka oszczędziła, i zbliżyć się ku nim.

- Armandzie - rzekł na głos. Światła miasta przygasły. Poczul jasność i ciepło innego miejsca i oto Armand był przed nim.

Razem ze swoim pisklęciem, Danielem, przybył bezpiecznie do rezydencji, w której zasnę nie napastowani w piwnicy pod podłogą. Młodzik tańczył sennie w ogromnych, wystawnych pomieszczeniach, a w jego głowie rozbrzmiewały teksty i rytmy Lestata. Armand wpatrywał się w noc, z twarzą pozbawioną wyrazu jak poprzednio. Zobaczył Khaymana! Zobaczył go stojącego bez ruchu na odległym wzgórzu, niemniej na tyle blisko, że mógł go dotknąć. W milczeniu, niewidzialni, uważnie przyglądali się sobie nawzajem.

Khayman był rozpaczliwie samotny, lecz w oczach Armanda zabrakło uczucia, zaufania, serdecznego przywitania.

Poszukiwał więc dalej, wyzwalając z siebie jeszcze większą siłę, wznosząc się wyżej i wyżej i tak oddalając się od ciała, że przez chwilę nie potrafił go odnaleźć. Udał się na północ, wzywając imiona Pandory i Santina.

Ujrzał ich na śnieżnych lodowych polach, dwie czarne figurki wśród nieskończonej bieli - ubiór Pandory poszarpał wiatr, jej oczy pełne krwawych łez szukały niewyraźnych zarysów warowni Mariusza. Rada była obecności Santina, podróżnika absurdalnie odzianego w delikatne aksamity.

Długa bezsenna noc, w trakcie której Pandora krążyła po świecie, wsączyła ból w całe jej ciało i niemal ją załamała. Wszystkie stworzenia muszą spać, muszą śnić. Jeśli wkrótce nie odpocznie w jakimś ciemnym zakątku, nie zdoła zwalczać głosów, obrazów, szaleństwa. Nie chciała znów wzbijać się w powietrze, a Santino, który nie potrafił dokonać takich czynów, szedł za nią.

Lgnął do niej, zdany jedynie na jej siłę; jego serce było obolałe, poranione przenikliwymi wrzaskami tych, których zniszczyła królowa. Gdy poczuł łagodne muśnięcie spojrzenia Khaymana, ciaśniej owinał wokół twarzy czarną opończę. Pandora nie poświęciła temu najmniejszej uwagi.

Khayman odleciał. Ich fizyczna bliskość, ich wspólnota sprawiały mu ból.

W rezydencji na wzgórzu Daniel poderznął gardło wierzgajacemu szczurowi i upuścił krew do kryształowego pucharu.

- Sztuczka Lestata - rzekł, oceniając pod światło rubinowy płyn. Armand siedział nieruchomo przy kominku, przyglądając się czerwonemu klejnotowi w rżniętym szkłe, które Daniel z uwielbieniem podniósł do ust.

Khayman powrócił w noc, znów szybując wyżej, hen, daleko od świateł miasta, jakby po wielkiej orbicie.

Maelu, odpowiedz mi - wzywał go. - Daj mi znać, gdzie jesteś. - Czy zimny promień wściekłości Matki uderzył również jego? Czy też tak głęboko rozpaczal za Jessicą, że nie słyszał niczego i nikogo? Biedna Jessicą, olśniona cudami, powalona w mgnieniu oka przez byle pisklaka, zanim ktokolwiek zdołał temu zapobiec.

Dziecko Maharet, moje dziecko! - pomyślał.

Khayman lękał się tego, co mógł zobaczyć, lękał się tak, że nie szukał sposobności zmiany stanu rzeczy. Być może druid po prostu jest dla niego teraz zbyt silny; ukrył siebie i swoją podopieczną przed wszystkimi oczami i wszystkimi umysłami. Być może jednak królowa dopięła swego i było już po wszystkim.

Jesse

Tak tu cicho. Leżała na łożu zarazem twardym i miękkim, a jej ciało było bezwładne jak szmaciana lalka. Uniesiona dłoń natychmiast opadała, a Jesse wciąż widziała jedynie niewyraźne zarysy, które mogły być złudzeniem.

Na przykład te kaganki wokół; starożytne gliniane kaganki w kształcie ryb napełnione olejem i nasycające pokój gęstą kadzidlana wonią. Czy to zakład pogrzebowy?

Znów powróciła myśl, że nie żyje, że jest uwięziona w ciele, a jednocześnie bezwolna. Usłyszała dziwny odgłos; co to? Słyszała odgłos nożyczek. Ktoś strzygł ją na zapałkę, metalowe ostrza wędrowały po skórze czaszki. Czują je nawet w brzuchu.

Nagle wyrwano jej drobny włosik rosnący na twarzy, jeden z tych denerwujących włosów, których kobiety tak nie cierpią. Robiono jej toaletę do trumny, no nie? Dlaczego bowiem obchodzono się z nią tak pieczołowicie, unosząc jej dłoń i tak starannie oglądając paznokcie?

Ból znów uderzył, elektryczny prąd śmigający w dół pleców; krzyknęła. Była wciąż w tym samym

pokoju, zajmowała łóżko na skrzypiących łańcuchach.

Ktoś w pobliżu głośno westchnął. Usiłowała zobaczyć tego kogoś, ale znów dostrzegła tylko lampy. Przy oknie stała jakaś postać. To Miriam. Przyglądała się jej.

- Gdzie? - Rozglądał się zaskoczony, usiłując dojrzeć zjawę. Czy nie zdarzyło się to już kiedyś?

- Dlaczego nie mogę otworzyć oczu? - spytała. On mógłby patrzeć całą wieczność i nigdy nie zobaczyłby Miriam.

- Masz otwarte oczy - powiedział. Jaki bezbronny i czuły był jego głos. - Nie mogę dać ci więcej, bo musiałbym dać wszystko. Nie jesteśmy uzdrowicielami, lecz mordercami. Czas zdecydować, czego chcesz. Nie ma nikogo, kto by mi pomógł.

Nie wiem, czego chcę - odparła w myślach. - Wiem tylko, że nie chcę umrzeć! Nie chcę przestać żyć. - Jacy z nas tchórze, jacy kłamcy. Przez całą drogę wiodącą do tej nocy towarzyszył jej wielki, beznadziejny smutek, a jednak teraz pojawiła się jakaś sekretna nadzieja! Nadzieja, że nie tylko zobaczy, ale dowie się, stanie się częścią...

Chciała to wytłumaczyć, wyrazić w starannie dobranych słowach, ale ból powrócił, płonąca gałęzią smagnął kręgosłup, wlał się w nogi. A potem nastąpiło błogosławione odrętwienie.

Wydawało się, że pokój, którego nie mogła widzieć, stał się ciemniejszy i płomyki starożytnych kaganków znów zaczęły kopcić. Za oknami szeptał las, wijący się w ciemności. Chociaż dłoń Maela wciąż spoczywała na jej nadgarstku, uścisk nagle osłabł; przestała go czuć.

- Jesse!

Potrząsnął nią oburącz i błyskawica bólu roztrzaskała ciemność. Wrzasnęła przez zaciśnięte zęby. Miriam przeszywała ją kamiennym wzrokiem i wciąż milczała, stojąc przy oknie.

- Maelu, zrób to! - krzyknęła Jesse.

Zebrała wszystkie siły i usiadła. Ból nie miał kształtu ani granic; krzyk dusił się w niej w środku.

A jednak otworzyła oczy, naprawdę je otworzyła. W odbitym świetle zobaczyła zimny, nie wybaczący wzrok Miriam. Ujrzała postać Maela pochylonego nad jej łóżkiem. A potem zwróciła się ku otwartym drzwiom. Nadchodziła Maharet. Lekka i gibka, weszła po schodach; długa suknia falowała z tajemniczym szelestem.

Och, nareszcie po tych wszystkich latach, po tych długich latach! Jesse widziała przez łzy, jak Maharet wchodzi w krąg światła; ujrzała promieniującą twarz i płonące jasnością włosy. Maharet gestem nakazała Maelowi, by je zostawił.

Zbliżyła się do łóżka. Uniosła dłonie do góry, jakby w geście zaproszenia; uniosła je tak, jakby przyjmowała niemowlę.

- Tak, uczynić to.

- W takim razie, moja droga, pożegnaj się z Miriam.

* * *

Za dawnych czasów w Kartaginie panował przerażający kult. Ludność składała niemowlęta w ofierze wielkiemu posągowi z brązu, Baalowi. Kładziono małe ciała na wyciągniętych ramionach posągu, a gdy te, uruchamiane sprężynami, podnosiły się, dzieci wpadały do ryczącego ogniem boskiego brzucha.

Po zniszczeniu Kartaginy jedynie Rzymianie przechowali starą opowieść, a w miarę stuleci mądrzy ludzie przestali w nią wierzyć. To całopalenie wydawało się zbyt straszne. Jednak gdy archeolodzy przystąpili do pracy, odkryli mnóstwo kości małych ofiar, całe nekropolie drobnych szkieletów.

Świat dowiedział się, że stara legenda była prawdziwa; że lud Kartaginy oddawał swoich potomków bogowi i bez sprzeciwu patrzył, jak krzycząc, staczali się w ogień. Tak nakazywała religia.

Jesse pomyślała o tamtej starej legendzie, gdy Maharet uniosła ją i dotknęła ustami jej szyi.

Ramiona Maharet były niczym ramiona boga Baala i przez jedną ognistą chwilę Jesse zaznała niewypowiedzianych katuszy.

Nie ujrzała jednak własnej śmierci; to była śmierć innych - dusze palonych żywcem wampirów wirowały coraz wyżej, byle dalej od grozy i fizycznego bólu, od płomieni zżerających nadprzyrodzone ciała. Słyszała krzyki i ostrzeżenia; widziała ich oślepiające oblicza, gdyż zachowywali oni ludzkie kształty, zatraciwszy ich materialność; czuła, jak przechodzą z nędzy i rozpaczki w niewiadome; słyszała pierwsze nuty ich pieśni.

Wizja zbladła i rozplynęła się jak muzyka na pół usłyszana i na pół zapamiętana. Była bliska śmierci; jej ciało przepadło, przepadł też wszelki ból, a razem z nim wszelkie poczucie ciągłości i niepokoju.

Znalazła się na rozstłonecznionej polanie; na ołtarzu leżała jej matka.

- Chwała cię - rzekła Maharet. - W ciebie rozpoczyna się wszelka mądrość. Strzeż się istoty bezcielesnej. Strzeż się bogów, strzeż się idei, strzeż się diabła.

Napływająca krew sunęła każdym włóknem ciała, ożywiała członki i na zawsze zakotwiczyła duszę w materii; Jesse odzyskiwała nogi i ramiona, żar kłuł ciało wijące się z głodu.

Leżały wpółobjęte, niczym jedno wilgotne i splątane stworzenie o przemieszanych włosach; twarda skóra Maharet stawała się cieplejsza i bardziej miękka, a Jesse wtuliła twarz w jej szyję i wgrzyzała się w źródło, przeszywana pulsującą ekstazą.

Nagle Maharet odsunęła się i ułożyła głowę Jesse na poduszce. Zakryła jej oczy i drobnymi, ostrymi jak żyłotka zębami przecięła skórę; Jesse poczuła, że traci wszystko, co przyjęła, że znów jest wysysana. To wrażenie opróżniania, pożerania, redukowania do zera było jak świst wiatru!

- Pij jeszcze raz, moja kochana.

Powoli otworzyła oczy; ujrzała białe gardło i białe piersi; złapała rękami za szyję i tym razem to ona rozerwała skórę. A kiedy pierwszy strumyczek krwi dosięgnął języka, zawładnęła Maharet, która była jej całkowicie uległa; piersi Maharet starły się z jej piersiami, usta z jej twarzą, gdy Jesse ssła krew coraz mocniej i mocniej. Jesteś moja, jesteś całkowicie i bez reszty moja -

huczało jej w głowie. Wszystkie wizerunki, głosy, wizje przepadły.

Spały czy też drzemały wtulone jedna w drugą. Rozkosz utraciła niepokojący blask; oddychanie znowu oznaczało czucie; dotknięcie gładkiej pościeli lub jedwabistej skóry Maharet było jak odrodzenie.

Pachnący wiatr przemknął przez pokój. Z lasu napłynęło wielkie westchnienie. Koniec z Miriam, koniec z duchami królestwa półmroku zatrzymanymi między życiem a śmiercią.

Znalazła dom, swój wieczny dom.

Kiedy zamknęła oczy, ujrzała, jak tamta istota w dżungli zatrzymuje się i spogląda ku nim, a ujrawszy dwie przytulone do siebie kobiety, dwie kobiety o rudych włosach, zawraca i rusza w ich stronę.

Khayman

W Carmel Valley zapanował błogi spokój. Jakże szczęśliwy był mały sabat w tym domu; jakże szczęśliwi byli Lestat, Louis i Gabriela. Lestat pozbył się brudnego ubrania i znów roztaczał

blask w swych wampirzych szatach, okryty czarną aksamitną peleryną przerzuconą niedbale przez ramię. Pozostali także byli niezwykle ożywieni. Gabriela z niedbale rozczesanymi jasnymi włosami rozmawiała swobodnie i z pasją, a Louis, wampir o sercu człowieka, milczący, a równocześnie niezwykle podekscytowany obecnością tamtych dwojga, oczarowany ich najprostszymi zachowaniami.

W innych okolicznościach Khayman byłby głęboko poruszony takim szczęściem. Jakże pragnąłby pogłodzić ich dłonie, zajrzeć im w oczy, powiedzieć, kim jest i co widział. Po prostu chciałby być z nimi.

Jednak noc nie dobiegła jeszcze końca, a ona była blisko.

Niebo blakło i słaby oddech brzasku całował pola. Świt budził zwierzęta. Nawet drzewa poruszyły się, rozwijając liście z nieskończoną powolnością.

Khayman stał pod jabłonią, patrząc na zmienne barwy cieni i słuchając odgłosów poranka. Ona była w pobliżu, to nie ulegało wątpliwości.

Ukryła się przebiegle, wykorzystując swoją moc. Jego jednak nie mogła zwieść. Obserwował, czekał; słuchał śmiechów i rozmów małego sabatu.

Lestat uściskał matkę w progu. Otoczona szarością brzasku, idąca sprężystym krokiem w zakurzonych, zaniedbanych szatach koloru khaki, z grubymi jasnymi włosami zaczesanymi do tyłu, była niczym wizerunek swobodnego wędrowca. A czarnowłosa, ten piękny, Louis, był przy niej.

Khayman przyglądał się im, gdy przecięli trawnik; kobieta zmierzała przez otwarte pole ku lasowi, gdzie zamierzała ułożyć się do snu, a mężczyzna wszedł w zimny chłód małej przybudówki. Było w nim coś niezwykle wyrafinowanego, nawet gdy wślizgiwał się pod parkiet i gdy kładł się tam, jakby do grobu, natychmiast zapadając w całkowitą ciemność.

A kobieta ze zdumiewającą siłą wykopała głęboką kryjówkę; liście przykryły miejsce, jakby nikt nigdy, go nie dotknął. Ziemia ukryła jej wyciągnięte dłonie i zgiętą głowę. Zanurkowała w sny o bliźniaczkach, w obrazy dżungli i rzeki, których nigdy nie będzie pamiętała.

Jak do tej pory, wszystko w porządku. Khayman nie chciał, by umarli, spłonęli. Wyczerpany stał wsparty o pień jabłonki, otulony ostrą wonią zielonych owoców.

Dlaczego ona się tu znalazła? Gdzie się ukrywała? Kiedy otworzył się na jej obecność, dobiegł go niski przenikliwy dźwięk; wydawało się, że to jakiś silnik z nowoczesnego świata, wydający swoisty szept - świadectwo niewyczerpanej siły i zabójczej mocy.

Wreszcie i Lestat wyszedł z domu i pośpieszył do swego leża pod akacją na stoku. Zszedł po stopniach do wilgotnej komory.

Tak więc wszyscy zasnęli w spokoju, w spokoju aż do godzin wieczornych, kiedy on oznajmi im złe wieści.

Słońce zbliżyło się do horyzontu; pojawiły się pierwsze promienie, które zawsze odbierały mu ostrość wzroku. Skupił się na łagodnych, coraz głębszych kolorach sadu, a reszta świata zatraciła swoje linie i kształty. Przymknął na chwilę oczy, zdając sobie sprawę, że musi ukryć się w domu, wyszukać sobie jakieś chłodne i cieniste miejsce, gdzie śmiertelni nie będą go napastować.

A gdy słońce zajdzie, a oni się obudzą, opowie im, co wie; opowie im o innych. Z nagłym przenikliwym bólem pomyślał o Maelu i Jesse, którzy przepadli, jakby ziemia ich pochłonięła.

Przypomniawszy sobie Maharet i zebrało mu się na płacz. Ruszył w kierunku domu. Słońce grzało mu plecy, ręce i nogi stały się ciężkie. Dziś wieczór, bez względu na to, co się stanie, nie będzie sam. Będzie z Lestatem i jego przyjaciółmi, a jeśli odwrócą się do niego plecami, odszuka Armanda i uda się na północ, do Mariusza.

Nagle usłyszał głośny trzask i huk. Odwrócił się, zasłaniając oczy przed wstającym słońcem. Z

leśnego runa wystrzelił wielki pióropusz ziemi. Akacje zakołysały się jak w podmuchu huraganu, konary zatrzeszczały, korzenie wynurzały się z ziemi, a pnie padały bezwładnie.

Królowa uniosła się w dzikim pędzie, okryta ciemną falą wzdętych wiatrem szat; trzymając w

ramionach bezwładne ciało Lestata, skierowała się na zachód, byle dalej od wschodzącego słońca.

Khayman nie potrafił powstrzymać głośnego okrzyku, którego echo rozległo się nad znieruchomiłą doliną. A więc zabrała swojego kochanka.

Och, biedny kochanek, och biedny złotowłosy królewicz...

Nie było czasu na myślenie, na działanie ani na wsłuchiwanie się we własne serce; skierował się ku domowi; słońce dosięgło chmur i horyzont zamienił się w inferno.

* * *

Daniel poruszył się w ciemności. Sen unióśł się jak koc, który już, już miał go otulić. Ujrzał

lśniące oczy Armanda i usłyszał jego szept:

- Zabrała go.

Jesse zajęczała głośno. Nieważka unosiła się w perłowej pomroce. Ujrzała dwie postaci wirujące niby w tańcu - Matkę i Syna. Byli jak święci spływający z fresków na suficie kościoła. Jesse wyszeptała:

- Matka.

* * *

W głębokim grobie pod lodem spali objęci Pandora i Santino. Pandora usłyszała ten dźwięk.

Usłyszała krzyk Khaymana. Ujrzała Lestata z zamkniętymi oczami i odrzuconą do tyłu głową, unoszonego w ramionach Akaszy, która utkwiała swe czarne ślepia w jego twarzy. Serce Pandory zastygło ze zgrozy.

* * *

Mariusz zamknął oczy. Nie potrafił już utrzymać otwartych powiek. Ponad nim wyły wilki; wiatr szarpał stalowym dachem warowni. Słabe promienie słońca przenikały zadymkę, jakby zapalając śnieg. Mariusz czuł paraliżujący żar, który przenikał przez pokłady lodu.

Dojrzał śpiącego Lestata w jej ramionach; dojrzał, jak wznoszą się ku niebu.

- Strzeż się, Lestacie - szepnął ostatnim świadomym tchem. - Niebezpieczeństwo.

* * *

Khayman wyciągnął się na zimnej podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Sen przyszedł od razu, łagodny jedwabisty sen o letniej nocy w cudownym rozświetlonym mieście pod wielką kopułą nieba; byli razem, wszyscy nieśmiertelni, których imiona znał i których tulił teraz do serca.

CZEŚĆ III

Jak było na początku, teraz, zawsze...

Ukryj mnie

przede mną.

Napełnij te

dziury oczami,

bo moje już nie

moje. Ukryj

mą głowę i chęci,

bo jestem zły,

tak martwy za życia,

tak pełen czasu.

Bądź skrzydłem

i zasłoń moje ja

przed żądzą,

by rybą na haku

być.

To ciepłe

wino

z robaka

słodkie jest na oko

i moje ja oślepia.

I serce me też

ukryj, bo

w tempie tym

i je wrąbię

na czas.

Stan Rice „Kanibal” z tomu „Owieczka nie byle jaka” (1975)

Rozdział pierwszy

Opowieść Lestata - w ramionach bogini

Nie potrafię powiedzieć, kiedy się obudziłem, kiedy po raz pierwszy odzyskałem przytomność.

Zapamiętałem, że byliśmy razem bardzo długo, że pożerałem krew Akaszy zachłannie jak zwierzę, że Enkil został unicestwiony i ona jedna zachowała pierwotną moc, i że dzięki niej tyle widziałem i rozumiałem, iż płakałem jak dziecko.

Dwieście lat temu, kiedy piłem z niej w sanktuarium, krew była milcząca, niesamowicie i wzniośle milcząca. Teraz zawierała nieprawdopodobny potok obrazów - zachwycających mózg, tak jak sama krew zachwycała ciało; poznałem prawdę o wszystkim, co się stało; widziałem, jak inni umierali jeden po drugim straszną śmiercią.

A potem słyszałem głosy; ich gwar narastał i cichł, wydawałoby się bez powodu, jak szemrzący chór w pieczarze.

Chyba był taki moment przytomności, w którym udało mi się wszystko to połączyć - koncert rockowy, dom w Carmel Valley, jej promienną twarz przed moją; i świadomość, że jestem w tym mrocznym, zaśnieżonym miejscu. Kiedyś ją obudziłem; lub raczej, mówiąc jej słowami,

„podsunałem jej powód, by wstać”. Powód, by się odwrócić i popatrzeć na tron, na którym dawniej siedziała, i zrobić kilka pierwszych chwiejnych kroków.

Czy wiesz, co to znaczyło, podnieść dłoń i widzieć, jak porusza się w świetle? - słyszałem bezgłośnie słowa. - Czy wiesz, co to znaczyło, usłyszeć dźwięk swego własnego głosu odbijającego się echem w tej marmurowej komorze?

Czyżbyśmy tańczyli w ciemnym, pokrytym śniegiem lesie, czy też tylko obejmowaliśmy się bez końca?

Wydarzyły się straszne rzeczy, jak świat długi i szeroki; straszliwe rzeczy. Egzekucje tych, którzy nigdy nie powinni byli się urodzić. Pomioty zła - tak ich nazwała. Masakra podczas koncertu to był już tylko koniec.

A mimo wszystko byłem w jej ramionach wśród lodowatej ciemności, czułem znajomy zapach wiatru i jej krew była znowu moja, zniewalała mnie. Kiedy się odsunęła, poczułem nieznośny ból. Musiałem się otrząsnąć, musiałem się dowiedzieć, czy Mariusz żyje czy też nie, czy Louis i Gabriela zostali

oszczędzeni. Musiałem jakoś się odnaleźć.

Ale te głosy, ten rosnący gwar głosów śmiertelnych z bliska i z daleka! Odległość nie miała znaczenia. Miarą była intensywność. Słyszałem milion razy lepiej niż dawniej, kiedy to mogłem zatrzymać się na ulicy i słuchać tak długo i tak uważnie, jak chciałem słuchać, jak lokatorzy jakiegoś ciemnego budynku, każdy w swojej klatce, rozmawiają, modlą się, myślą.

Przemówiła w nagłej ciszy:

- Gabriela i Louis są bezpieczni. Mówiłam ci o tym. Czy sądzisz, że zraniłabym tych, których kochasz? Patrz w moje oczy i słuchaj tylko tego, co ja mówię. Oszczędziłam o wiele więcej istot, niż było konieczne. Uczyniłam to w równej mierze dla ciebie jak i dla siebie, żebym mogła przeglądać się w nieśmiertelnych oczach, słyszeć przemawiające do mnie głosy moich dzieci.

Wybrałam tych, których kochasz, tych, z którymi się spotkasz. Nie mogłam cię pozbawić tej pociechy. Teraz jednak jesteś ze mną i musisz zobaczyć i poznać to, co jest ci przeznaczone.

Musisz posiadać odwagę równą mojej.

Nie mogłem tego znieść, tych wizji, które mi podsuwała. Czy moment przerażającej śmierci Małej Jenks to był rozpaczliwy sen, ciąg obrazów migocących w gasnącym mózgu? Nie mogłem tego wytrzymać. I Laurent, mój stary towarzysz Laurent gasnący w płomieniach na chodniku; a po drugiej stronie świata Feliks, którego również znałem z Teatru Wampirów, pędzony przez zaułki Neapolu, płonący i wreszcie wpadający do morza. I inni, tak wielu innych na całym świecie; płakałem nad nimi, płakałem nad nimi wszystkimi. Jakże oni cierpieli.

- Co za życie. - Na myśl o Małej Jenks łzy znowu napłynęły mi do oczu.

- Dlatego właśnie pokazałam ci to wszystko - odparła. - To musiało się skończyć. Nie ma już Dzieci Ciemności. Teraz są tylko anioły.

- A pozostali? - spytałem. - Co się stało z Armandem? - I znów odezwały się głosy, ciche murmurando rosnące do ogłuszającego ryku.

- Zbliź się, mój książę - szepnęła. Znowu zapadła cisza. Ujęła moją twarz w swoje dłonie. Czarne oczy powiększyły się, biała twarz nagle stała się miękka i prawie łagodna. - Jeśli tak bardzo chcesz, ukazę ci tych, którzy nadal żyją, tych, których imiona staną się legendą razem z twoim i moim.

Legendą? - powtórzyłem w myślach.

Odwróciła nieznacznie głowę; kiedy zamknęła oczy, wydawało się, że nastąpił cud, na pozór bowiem życie z niej uszło. Nieżywe i idealne stworzenie o delikatnych, cudownie wywiniętych rzęsach. Patrzyłem na jej gardło, na blady błękit arterii pod skórą, nagle widoczny, jakby celowo uwydatniony dla moich oczu. Ogarnęła mnie niepowstrzymana żądza. Bogini jest moja! Wziąłem ją szorstko, z siłą, która sprawiłaby ból śmiertelnej kobiecie. Lodowata skóra wydawała się nie do przeniknięcia, ale moje zęby rozdarły ją i trysnęło we mnie gorące źródło.

Głosy wróciły, ale ucichły na mój rozkaz. A potem nie było nic poza cichym szumem krwi i powolnym biciem jej serca tuż przy moim.

Ciemność. Piwnica wyłożona cegłami. Dębowa trumna wypolerowana do znakomitego połysku.

Złote zamki. Czarodziejska chwila; zamki otwarły się, jakby obrócone niewidzialnym kluczem.

Uniesione wieko odsłoniło satynową wyściółkę. Rozszedł się lekki zapach wschodnich perfum.

Na białej satynowej poduszce ujrzałem Armanda, serafina z długimi kasztanowymi lokami, z głową obróconą na bok i oczami bez wyrazu, jakby wiecznie zdumionymi. Wydostał się trumny powolnymi, eleganckimi ruchami; naszymi ruchami, tylko my bowiem wstajemy z trumien.

Ujrzałem, jak zamyka wieko i krocząc po wilgotnej podłodze z cegieł, zbliża się do innej trumny.

Otworzył ją czcياً jak kufer z rzadkim skarbem. W środku leżał młody mężczyzna, bez życia, a jednak pogrążony we śnie, śnił o rudowłosej kobiecie idącej przez dżunglę, kobiecie, której nie mogłem wyraźnie zobaczyć. A potem nastąpiła przedziwna scena; coś, co już kiedyś przemknęło mi przed oczami, ale gdzie to było? Dwie kobiety klęczą przed ołtarzem. Tak, wydawało mi się, że to ołtarz...

Stężała, napięła się. Naparła na mnie jak posąg Dziewicy, gotowa mnie zmiążdżyć. Zachwiałem się; wydawało mi się, że słyszę, jak wymawia moje imię. Krew trysnęła kolejną falą i ciało znów przeniknął dreszcz rozkoszy; nie było ziemi, nie było ciężenia.

Znów ceglana piwnica. Na ciało młodego mężczyzny padł cień. Ktoś wszedł do piwnicy i położył dłoń na ramieniu Armanda. To ktoś znajomy, o imieniu Mael. Chodźcie - powiedział.

Dokąd ich zabiera?

Purpurowy wieczór w sekwojowym lesie. Gabriela idzie przez las, jak to ona, swobodna, wyprostowana, niepowstrzymana, o oczach jak dwa odłamki szkła, nie zdradzających żadnej jej myśli; a obok Louis, jakże wzruszająco cywilizowany na tym pustkowiu, jak żałośnie nie pasujący do otoczenia. Wampirze przebranie z poprzedniego wieczoru poszło w ką; jednak mimo widocznych śladów niedawnych przejść wciąż wyglądał na dżentelmena. Niedobrana z nich para. Czy Gabriela to rozumie? Czy się nim zaopiekuje? Oboje się boją, boją się o mnie!

Skrawki nieba nad ich głowami przywdziewały barwę białej porcelany; światło spływało szlakiem masywnych pni niemal do korzeni drzew. W cieniu chlupotała struga. Znów ujrzałem Gabriellę, jak wchodzi do wody, mocząc wysokie skórzane buty. Dokąd oni idą? I kim jest ten ktoś, kto im towarzyszy, kogo zobaczyłem, dopiero gdy Gabriela odwróciła się, by na niego spojrzeć? - mój Boże, co za twarz, jakże tchnąca spokojem. Wiekowy, potężny, a jednak pozwolił tej dwójce młodych iść przed sobą. Między drzewami ujrzałem polanę, a na niej dom.

Na wysokiej kamiennej werandzie stoi ruda kobieta; czy to ta, którą widziałem w dżungli? Twarz pozbawiona wyrazu, jak twarz tego mężczyzny z lasu, który teraz właśnie na nią patrzy; twarz jak oblicze mojej królowej.

Niech się spotkają - rzekłem w myślach. Z westchnieniem ssalem kolejną falę krwi. - Wtedy wszystko stanie się prostsze. - Kim oni jednak są, ci starożytni, te stwory o obliczach tak wypranych z uczuć?

Obraz zmaćił się. Tym razem głosy objęły nas łagodnym wirem; szepty, krzyki. Przez chwilę chciałem słuchać, próbowałem oddzielić od monstrialnego chóru jedną ulotną śmiertelną pieśń.

Wyobraźcie to sobie: głosy zewsząd, z gór Indii, z ulic Aleksandrii, z przysiółków bliskich i dalekich.

Otwierała się jednak kolejna wizja.

Mariusz. Wspinał się po złanej krwią ścianie rozkruszonego lodu, wspomagany przez Pandorę i Santina. Właśnie udało im się dotrzeć do popękanej półki na dolnej kondygnacji. Zasnęta krew grubym kożuchem zakrywała połowę twarzy Mariusza; był zły, zgorzkniały, jego oblicze utraciło wszelki wyraz, długie jasne włosy zlepiała krew. Szedł, kulejąc, po kręconych schodach, a Pandora i Santino wspinali się za nim. Kiedy Pandora spróbowała mu pomóc, brutalnie odtrącił

jej dłoń.

Wiatr. Dotkliwie zimno. Dom Mariusza jakby rozdarty trzęsieniem ziemi, wydany na pastwę żywiołów. Tafle szkła roztrzaskały się na drobne niebezpieczne odłamki; rzadkie okazy pięknych ryb tropikalnych zamarzyły na piaszczystym dnie wielkiego rozbitego akwarium. Śnieg pokrył

meble i zalegał całymi zaspami przy regałach, posągach, półkach na dokumenty i płyty. W

klatkach leżały martwe ptaki. Zielonolistne rośliny obrosły lodowymi soplami. Mariusz wpatrywał się w ryby leżące na wąskiej bryle brudnego lodu na dnie akwarium i w wielkie zeschnięte wodorosty, przysypane błyszczącymi kawałkami szkła.

Wtedy właśnie ujrzałem, jak powraca do zdrowia; siniaki zaczęły blednąć, twarz odzyskiwała naturalny kształt. Ból nogi ustępował. Mariusz ogarnięty furją, wpatrywał się w niebiesko-srebrne rybki, a potem skierował wzrok ku niebu, ku białej zawiei, która niemal przesłoniła gwiazdy. Otarł z twarzy i włosów płatki zakrzepłej krwi.

Tysiące pergaminowych kart rozpięzchły się na wietrze. W zrujnowanym salonie łagodnie wirował wiatr. Mariusz wsparł się na miedzianym pogrzebaczku jak na lasce i wyjrzał ponad zburzoną ścianą na wyjące w klatce głodne wilki. Nie dostały nic do jedzenia, od kiedy ich pan został zasypany. Ach, ten odgłos wilczego wycia! Santino usiłował przekonać Mariusza, że muszą już iść, że w sekwojowym lesie czeka na nich pewna kobieta, tak stara jak Matka, że spotkanie nie może się rozpocząć, dopóki oni się nie zjawią. Przeszył mnie prąd niepokoju. Co to za spotkanie? Mariusz zrozumiał, ale nic nie odpowiedział. Wsłuchiwał się w wilcze głosy...

Śnieg i wilki. Śniłem o wilkach. Czułem, że cofam się głęboko we własne myśli, w moje sny i wspomnienia. Ujrzałem wilczą watahę pędzącą po czystym śniegu.

Ujrzałem siebie samego jako młodzieńca, który podejmuje z nimi walkę - dwieście lat temu w środku

zimny wilcze stado pojawiło się w wiosce mojego ojca. Ja, śmiertelny człowiek, byłem tak blisko śmierci, że prawie czułem jej woń. Zabiłem wilki, jednego po drugim. Ach, ten brutalny młodzieńczy wigor, czysta siła bezmyślnego, zachłannego życia! Zamarznięta dolina, moje psy i koń zagryzione. Jednak przede wszystkim zapamiętałem widok śniegu pokrywającego góry, moje góry, moją ojczyznę.

Otworzyłem oczy. Wypuściła mnie i musiałem cofnąć się o krok. Po raz pierwszy zrozumiałem, gdzie naprawdę jesteśmy - nie poza rzeczywistością i czasem, ale w realnym miejscu, i to w miejscu, które niegdyś, na co wszystko wskazywało, było moje.

- Tak - szepnęła. - Rozejrzyj się.

Wystarczyło mi wciągnąć powietrze w płuca, posmakować zapach wiatru, abym wiedział, gdzie jestem, a gdy odzyskałem wzrok, zobaczyłem wysokie zniszczone blanki i wieżę.

- To dom ojca! - szepnąłem. - Zamek, w którym się urodziłem.

Bezruch. Śnieg lśni bielą na starej posadzce. Staliśmy w miejscu, w którym kiedyś był wielki hol. Strasznie było ujrzeć go w ruinie, pomyśleć, że był opuszczony przez tak długi czas. Stare kamienie wydawały się miękkie jak ziemia; tu niegdyś był stół, długi stół pamiętający czasy krzyżowców, a tam paszcza paleniska i drzwi frontowe.

Śnieg przestał padać. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem gwiazdy i wieżę, która zachowała swój kształt, dźwigając się kilkadziesiąt metrów nad zawalony dach, chociaż cała reszta była wydrążoną skorupą. Dom ojca...

Lekkim krokiem odeszła ode mnie po migotliwej bieli podłogi, powoli zatoczyła krąg, odrzuciwszy do tyłu głowę, jakby w tańcu.

Poruszać się, dotykać rzeczy namacalnych, przechodzić z królestwa snów do realnego świata - o tych wszystkich radościach mówiła wcześniej. Kiedy się jej przyglądałem, zabrakło mi tchu. Na jej szatach nie było śladów czasu: czarna jedwabna peleryna, suknia układająca się w jedwabiste fałdy, łagodnie wirujące wokół szczupłej sylwetki. Od brzasku historii kobiety przywdziewały takie szaty i wciąż je noszą w salach balowych tego świata. Chciałem znów ją objąć, ale zabroniła mi delikatnym gestem. Co takiego rzekła?

- Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Czy wiesz, kiedy zdałam sobie sprawę, że on nie może mnie już zatrzymać? Czy uwierzysz, że gdy stanęłam przed krzesłem tronowym, on nawet nie drgnął?

Nie zareagował w żaden sposób!

Odwróciła się z uśmiechem, blade światło niebios padło na cudowne linie twarzy, na wydatne kości policzkowe i łagodnie zaokrąglony podbródek. Wyglądała na żywą, całkiem żywą.

A potem znikła!

- Akaszo!

- Chodź do mnie - powiedziała.

Daleko, na samym końcu holu zobaczyłem jej drobną postać stojącą u wejścia do wieży. Ledwo rozróżniałem rysy twarzy, lecz dostrzegłem w głębi czarny prostokąt otwartych drzwi.

Zacząłem iść w jej stronę.

- Nie - powiedziała. - Czas użyć siły, którą ci dałam. Po prostu przybądź!

Nie ruszyłem się. Mój umysł był czysty. Widziałem jasno i wiedziałem, co miała na myśli, ale bałem się. Zawsze byłem sprinterem, skoczkiem, magikiem. Nadzwyczajna szybkość, która zaskakiwała śmiertelnych, nie była dla mnie niczym dziwnym. Ona jednak domagała się wyczynu innego rodzaju. Miałem opuścić miejsce, w którym stałem, i z niepojętą szybkością znaleźć się obok niej. Taki czyn wymagał poddania się.

- Tak, poddaj się - rzekła łagodnie. - Przybywaj.

Przez chwilę patrzyłem na nią w napięciu, widziałem jej białą dłoń jaśniejącą na brzegu zniszczonych drzwi. Nagle podjąłem decyzję. Porwał mnie huragan pełen hałasu i przypadkowych sił. I wtem znalazłem się przy niej! Cały drżałem, bolała mnie skóra na twarzy, ale jakież to miało znaczenie! Spojrzałem w oczy Akaszy i uśmiechnąłem się.

Była piękna, tak bardzo piękna! Bogini o długich czarnych włosach zaplecionych w warkocze.

Porwałem ją w ramiona i pocałowałem, czując, jak jej chłodne usta uginają się lekko pod moimi wargami.

Wtem zdałem sobie sprawę, że popełniam bluźnierstwo. Zachowałem się jak wtedy w świątyni, kiedy też ją całowałem. Chciałem wygłosić jakieś przeprosiny, ale nie mogłem oderwać oczu od jej gardła, znów głodny krwi. Opanowała mnie żądza, której nie mogłem ugasić; przecież to była Akasza, która mogła mnie zniszczyć w jednej chwili i bez żadnego wysiłku, gdyby tylko tego zapragnęła. Tak właśnie postąpiła z innymi. Niebezpieczeństwo wywołało we mnie mroczne podniecenie. Zaciśnąłem palce na jej ramionach, czując, jak jej ciało niesłychanie delikatnie ustępuje pod moim dotykiem. Obsypałem ją pocałunkami. W tych pocałunkach była krew.

Cofnęła się i położyła mi palec na ustach. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez drzwi wieży. Przez zburzony dach i wielką dziurę w posadzce najwyższego piętra widziałem światło gwiazd.

- Czy widzisz? - spytała. - Widzisz tę komnatę na samej górze? Schody się zawaliły. Jest nieosiągalna dla wszystkich poza tobą i mną, mój książę.

Zacząła się powoli unosić, przez cały czas nie odrywając ode mnie oczu. Czysty jedwab jej szaty wzdał się lekko, a peleryna zmarszczyła się, jakby w słabym powiewie. Patrzyłem w osłupieniu, jak wznosi się coraz wyżej, jak przesuwa się przez dziurę i staje na skraju podłogi.

Kilkadziesiąt metrów! Nie zdołałem tego dokonać...

- Przybądź do mnie, mój książę - rzekła. Jej miękki głos niósł się przez pustkę. - Zrób to, co już raz zrobiłeś. Zrób to szybko i jak często mówią śmiertelni: „nie patrz w dół”. - Rozległ się jej srebrzysty śmiech.

Załóżmy, że wzbiję się na jedną piątą wysokości. To byłby dobry skok, powiedzmy, na wysokość trzypiętrowego budynku, co było dla mnie całkiem łatwe, ale czy potrafiłbym skoczyć wyżej... Poczulem zawrót głowy. Ogarnęła mnie niemoc i dezorientacja. Jakim cudem się tutaj znaleźliśmy? Znow wszystko wirowało. Widziałem ją, ale jak we śnie; przeszkadzały mi głosy.

Nie chciałem utracić tej chwili. Chciałem pozostać w kontakcie z nią i nie stracić wszystkich następnych i wcześniejszych chwil, pragnąłem zrozumieć je na moich warunkach.

- Lestacie! - szepnęła. - Teraz. - Jakże czuły był ten drobny, ponaglący gest.

Zrobiłem to, co poprzednio; popatrzyłem na nią i zdecydowałem, że powinienem natychmiast być przy niej.

Znow huragan i miękkie uderzenie powietrza; wyrzuciłem ramiona w górę i walczyłem z jego oporem. Chyba dostrzegłem dziurę w klepkach, kiedy je mijałem, i nagle stałem obok niej, wstrząśnięty, przerażony, że upadnę.

Śmiałem się, ale chyba dostałem lekkiego bzika. Płakałem.

- Jak to się stało? - zapytałem. - Muszę wiedzieć, jak tego dokonałem.

- Znasz odpowiedź - rzekła. - Nieuchwytna moc, która cię ożywia, jest znacznie potężniejsza niż kiedyś. Poruszyła cię, jak zawsze tobą poruszała. Czy to będzie krok czy lot, to tylko sprawa skali.

- Chcę znowu spróbować - powiedziałem.

Roześmiała się bardzo cicho, ale szczerze.

- Rozejrzyj się po tej komnacie - rzekła. - Pamiętasz ją?

- Za młodu stale tu przebywałem. - Skinąłem głową.

Odsunąłem się od niej. Ujrzałem stosy zniszczonych mebli - ciężkie ławy i stolce, które niegdyś zapełniały nasz zamek; średniowieczna robota, tak prosta i mocna, że prawie niezniszczalna, podobnie jak drzewa padające w kniei i pozostające tam przez wieki, omszałe pnie tworzące mostki nad strumieniami. A więc te sprzęty nie zgniły. Zachowały się nawet stare szkatuły i broń.

O tak, stara broń, upiór minionej sławy. W kurzu dojrzałem słaby przebłysk koloru. To były arrasy, lecz doszczętnie zniszczone. Podczas rewolucji zapewne przyniesiono je tu na przechowanie, po czym schody się zapadły.

Podszedłem do jednego z wąskich okienek i wyjrzałem na dwór. Głęboko w dole, przytulone do stoku góry, mrugały rzadko rozsiane, lecz wyraźnie elektryczne światła miasteczka.

Serpentynami piał się samochód. Ach, nowoczesny świat był tak blisko, a równocześnie daleko.

Zamek był duchem samego siebie.

- Czemu mnie tu sprowadziłaś? - zapytałem. - Widok tej komnaty jest dla mnie tak bolesny.

- Popatrz na te zbroje - powiedziała. - Na to, co leży u twoich stóp. Pamiętasz, co zabrałeś ze sobą tamtego dnia, którego poszedłeś zabijać wilki?

- Tak. Pamiętam.

- Popatrz jeszcze raz. Ja dam ci nową broń, nieskończenie bardziej potężną, którą będziesz zabijał dla mnie.

- Zabijał?

Spojrzałem na stojak z bronią. Była zniszczona i zardzewiała, oprócz znakomitego obosiecznego miecza, należącego do ojca, który dostał go od swego ojca, który dostał go od swego ojca, i tak dalej i dalej wstecz aż do czasów świętego Ludwika. Miecz pana na włościach, którego ja, jego siódmy syn, użyłem tamtego poranka, kiedy niczym średniowieczny książę wyprawilem się na wilki.

- Kogo mam zabijać? - spytałem.

Przysunęła się bliżej. Jak nieskończenie słodka była jej twarz, jakże promieniowała niewinnością. Zmarszczyła brwi; na jej czole przez krótką chwilę zagościła pionowa zmarszczka, po czym wyraz łagodności powrócił.

- Zmusiłabym cię, byś słuchał mnie bez żadnych pytań - rzekła łagodnie. - Później zrozumiałbyś wszystko. Ale to nie w twoim stylu.

- Zgadza, się - przyznałem. - Nigdy nie potrafiłem być posłuszny, nie na długo.

- Cóż za odwaga - powiedziała z uśmiechem.

Z wdziękiem otworzyła prawą dłoń; nagle pojawił się w niej miecz. Miałem wrażenie, jakby broń przesunęła się ku niej za sprawą drobnej zmiany atmosfery, niczego więcej. Wpatrywałem się weń, w ozdobioną klejnotami pochwę i wielką rękojeść z brązu mającą oczywiście kształt krzyża. Nadal wisiał przy nim pas z twardej skóry i kutej stali, kupiony przeze mnie pewnego dawno minionego lata.

To był monstrualny oręż, służący zarówno do cięcia, jak i do kłucia. Pamiętałem jego ciężar, ból ramienia, o który przyprawiła mnie długa walka z nacierającymi wilkami. Podczas bitwy rycerze często trzymali takie miecze oburącz.

Jednak cóż ja wiedziałem o bitwach? Nie byłem rycerzem. Walczyłem tylko z dziką zwierzyną.

To był mój jedyny moment śmiertelnej chwały, i co mi dał? Admirację przeklętego krwiopijcy, który

wybrał mnie na swojego następcę.

Wsunęła mi miecz do rąk.

- Teraz nie jest już ciężki, mój książę - powiedziała. - Jesteś nieśmiertelny. Naprawdę nieśmiertelny. Moja krew jest w tobie. I użyjesz dla mnie swojej nowej broni, jak kiedyś używałeś tego miecza.

Kiedy go dotknąłem, przeszedł mnie gwałtowny dreszcz, jakby krył żywą pamięć chwil, których był świadkiem. Znów ujrzałem wilki i siebie stojącego w szerniałym, złodowaciałym lesie, gotowego zabijać.

I ujrzałem siebie rok później w Paryżu, umarłego, nieśmiertelnego potwora. Tamten wampir nazwał mnie „Zabójcą wilków”. Wybrał mnie ze stada pospólstwa, dlatego że pokonałem te przeklęte zwierzęta! I dlatego, że zimą w Paryżu dumnie nosiłem na sobie ich skóry.

Jakże mogłem wciąż czuć taką gorycz? Czyżbym chciał umrzeć i zostać pochowany na wiejskim cmentarzu? Spojrzałem na pokryty śniegiem stok wzgórza. Czy to nie powtórka z przeszłości?

Czy nie byłem kochany właśnie za to, jaki byłem w tamtych wczesnych, bezmyślnych i śmiertelnych latach? Powtórzyłem pytanie:

- Kogo lub co będę zabijał?

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Nie po raz pierwszy myślałem o tym żalonym stworzonku, Małej Jenks, i o wszystkich krwiopijcach, którzy byli już martwi. A mnie zachciało się z nimi wojować, zachciało mi się małej wojenki. Teraz wszyscy już nie żyją. Wszyscy, którzy odpowiedzieli na wojenne zawołanie, nie żyli. Ujrzałem płonący dom sabatowy w Istambule; ujrzałem starszego, którego dopadła i z wolna spaliła; i innego, który walczył i ją przeklinał. Znów płakałem.

- Tak, zabrałam ci widownię - powiedziała. - Spaliłam arenę, na której pragnąłeś błyszczeć.

Zgarnęłam tę bitwę dla siebie! Ale czy nie rozumiesz, że ofiarowuję ci wspanialsze rzeczy niż to, o czym kiedykolwiek śniłeś? Ofiarowuję ci świat, mój książę.

- Jakim cudem?

- Przestań ronić łzy nad Małą Jenks i nad sobą. Pomyśl o śmiertelnych, nad którymi winieneś płakać. Wyobraź sobie tych, którzy cierpieli przez długie koszarne wieki: ofiary głodu, ubóstwa i nieustannego gwałtu. Ofiary nie kończącej się niesprawiedliwości i nie kończących się starć.

Jak możesz łkać nad rasą potworów, która na oślep i bez celu zastawiała diabelskie pułapki na każdego napotkanego śmiertelnego!

- Wiem. Rozumiem...

- Czyżby? Czy też jedynie wycofujesz się, aby grać w swoje symboliczne gry? Symbol zła w twojej muzyce to zero, mój książę, kompletne zero.

- Czemu nie zabiłaś mnie razem z innymi? - spytałem wojowniczo, żałośnie. Ująłem miecz w prawą dłoń. Wyobrażałem sobie na nim zaschłą wilczą krew. Wysunąłem ostrze z pochwy. Tak, to krew wilków. - Jestem nie lepszy niż oni, prawda? Czemu miałabyś oszczędzić kogoś z nas?

Ogarnął mnie nagły lęk, straszliwy lęk o Gabrieleę, Louisa i Armanda. O Mariusza. Nawet o Pandorę i Maela. Lęk o siebie samego. Nie urodziło się takie stworzenie, które nie walczyłoby o swoje życie, nawet wtedy, kiedy dla tego życia nie znajduje usprawiedliwienia. Chciałem żyć; zawsze chciałem.

- Chcę, żebyś mnie kochał - szepnęła czule. Co za głos. Jakże przypominał głos Armanda, głos, który potrafi cię pieścić swoim brzmieniem, który wciąga cię w siebie. - Tak więc nie śpieszę się.

- Położyła mi dłonie na ramionach i popatrzyła w oczy. - Zrozum. Jesteś moim instrumentem! I inni nim będą, jeśli są mądrzy. Nie pojmujesz? To wszystko było zaplanowane... twoje przyście, moje przebudzenie. Teraz mogą wreszcie się spełnić nadzieje tysiącleci. Spójrz na miasteczko w dole i na ten zrujnowany zamek. To może być Betlejem, mój książę, mój zbawco. I razem zrealizujemy najdawniejsze marzenia świata.

- Ale jak? - Czy wiedziała, jak bardzo się boję? Jej słowa sprawiły, że zwyczajny strach przerodził się w grozę. Na pewno to wiedziała.

- Ach, jesteś tak silny, książątko. I nie ulega wątpliwości, że jesteś mi przeznaczony. Nic cię nie pokona. Lękasz się i nie lękasz zarazem. Przez wiek obserwowałam cię, jak cierpisz, słabniesz i wreszcie zanurzasz się w ziemi, by spać, po czym patrzyłam, jak powstajesz; to był dokładny wizerunek mojego zmartwychwstania.

Skloniła głowę, jakby nasłuchiwała dźwięków dochodzących z daleka. Ja też je słyszałem, być może dlatego, że ona była do tego zdolna. Były coraz głośniejsze, ich gwar dzwonił mi w uszach.

Po chwili odepchnąłem je, zniecierpliwiony.

- Jesteś bardzo silny - powiedziała. - Te głosy nie zdołają wciągnąć cię w siebie, ale nie ignoruj ich mocy; zdolność ich słyszenia jest równie ważna jak wszelkie inne twoje talenty. One modlą się do ciebie, jak zawsze modliły się do mnie.

Rozumiałem, co chce mi powiedzieć, ale nie chciałem słyszeć ich modlitw; cóż bowiem mogłem zrobić? Cóż wspólnego miały modlitwy ze stworzeniem mojego pokroju?

- Przez wieki były mi jedynym pocieszeniem - kontynuowała. - Słuchałam ich godzinę, tydzień, rok; początkowo wydawało mi się, że te głosy tkają mi całun, który przykryje mnie, pogrzebie jak martwą, i że wtedy stanę się martwa. Po jakimś czasie nauczyłam się słuchać uważniej.

Nauczyłam się wybierać jeden głos spośród wielu, tak jak ze sztuki płótna wybiera się pojedynczą nić. Słuchając tego jedynego głosu, poznałam triumf i klęskę pojedynczej duszy.

Przyglądałem się jej bez słowa.

- A potem, w miarę upływu lat, posiadałam większą moc; niewidzialna opuszczałam swoje ciało i udawałam się do tego jednego śmiertelnego, w którego głos się wsłuchiwałam, aby patrzeć jego oczyma. Chodziłam w jego ciele. Chodziłam w blasku słońca i w ciemności, cierpiałam, głodowałam, poznałam ból. Czasem przebywałam w ciałach nieśmiertelnych, tak jak byłam w ciele Małej Jenks. Często chodziłam z Mariuszem. Z samolubnym, próżnym Mariuszem, tym, który mylił chciwość z czcią, który jest nieodmiennie oślepiiony dekadentkami twórcami życia, równie samolubnymi jak on sam. Och, nie cierp tak. Kochałam go, wciąż go kocham; troszczył

się o mnie, był moim opiekunem. - Przez chwilę w jej głosie zabrzmiała gorycz. - Ale częściej chodziłam z tym, którego kroki wiodły między biednych i pogrążonych w żalu. Pragnęłam życia w całej jego nagiej surowości.

Zatrzymała się; zmarszczyła brwi, a w jej oczach pojawiły się łzy. Znałam moce, o których mówiła, ale bardzo słabo. Bardzo chciałam ją pocieszyć, ale kiedy wyciągnąłem rękę, gestem nakazała mi powściągliwość.

- Zapominałam, kim jestem, gdzie jestem - kontynuowała. - Bywałam tym stworzeniem, którego głos wybrałam. Czasem trwało to całe lata. Potem wracała groza, gdy uprzytomniłam sobie, że jestem nieruchomą, bezwolną istotą skazaną na wieczny pobyt na złotym tronie! Czy zdajesz sobie sprawę z grozy, jaką wywołuje nagła świadomość takiego stanu rzeczy, tego, że wszystko, co widziałeś i słyszałeś, było jedynie iluzją, obserwacją innego życia? Wracałam do siebie.

Stawałam się na powrót tym, co teraz widzisz, idolem, który czuł i myślał.

Skinałem głowę. Wieki temu, kiedy moje oczy po raz pierwszy spoczęły na niej, wyobraziłem sobie tkwiące wewnątrz, niewysłowione cierpienie. Wyobraziłem sobie ból, którego nie wyrażała kamienna twarz. Miałem rację.

- Wiem, że on cię tu trzymał - powiedziałem. Miałem na myśli Enkila, który został już unicestwiony. Upadły idol. Wspomniałem tę chwilę w świątyni, kiedy piłem z Akazy, a on podszedł, zgłaszając swoje prawa, i niemal mnie wykończył. Czy wiedział, co czyni? Czy też wszelkie władze umysłowe opuściły go już wtedy?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Jej oczy tańczyły, kiedy spoglądała w mrok. Śnieg znów padał, wirował prawie czarodziejsko, chwytając światło gwiazd i księżyca i rozpraszając je po całym świecie.

- To, co się stało, było przeznaczone - odpowiedziała wreszcie. - Miałam przejść przez tamte lata, coraz bardziej rosnąc w siłę, tak że w końcu nikt... nikt nie będzie mi równy. - Urwała, jakby na krótko opuściła ją pewność siebie; ale to była tylko chwila. - Mój biedny ukochany król, mój towarzysz w nieznośnym bólu, był jedynie instrumentem. Tak, jego umysł szezł. Ale ja go nie zniszczyłam, nie, doprawdy. Wchłonęłam w siebie to, co z niego pozostało. Czasami byłam równie pusta i równie milcząca, równie wyzbyta woli snu jak on sam. Tyle że dla niego nie było powrotu. On utracił swoje ostatnie wizje. Nie nadawał się już do niczego. Umarł dobrą śmiercią, ponieważ

dodał mi siłę. To także było przesądzone, mój książę. Wszystko to było przesądzone od początku do końca.

- Ale jak? Przez kogo?

- Przez kogo? - Znow się uśmiechnęła. - Nie pojmujesz? Nie musisz szukać przyczyny wszystkiego. Ja jestem spełnieniem i od tej pory ja będę przyczyną. Teraz nikt i nic nie może mnie powstrzymać. - Na chwilę jej twarz stwardniała i znow pojawiło się wahanie. - Stare klątwy nic nie znaczą. W milczeniu osiągnęłam taką moc, że żadna siła w naturze nie może mnie zniszczyć. Nawet pierwsze plemię nie może mnie zniszczyć, chociaż spiskowało przeciwko mnie. Tym latom było sądzone minąć przed twoim nadejściem.

- Jak to zmieniłem?

Zbliżyła się o krok. Objęła mnie ramieniem, które przez chwilę było miękkie, jakby nie stworzone z tej jej właściwej tylko materii. Byliśmy po prostu dwoma istotami stojącymi blisko siebie, a ona wydawała mi się nieopisanie cudowna, czysta i nie z tego świata. Znow poczułem straszliwą żądzę krwi. Schyliłem się, by pocałować ją w szyję, posiąść, jak posiadałem tysiące śmiertelnych kobiet, chociaż ona była boginią o niezmiernie mocy. Czułem, jak moje pragnienie rośnie i osiąga swój szczyt.

Akaszka znow położyła mi palec na ustach, jakby mówiła: „Zachowaj spokój”.

- Czy pamiętasz, jak byłeś chłopcem? - zapytała. - Wróć pamięcią do chwil, gdy błagałeś ich, żeby posłali cię do szkoły klasztornej. Czy pamiętasz, czego uczyli cię bracia? Pamiętasz modlitwy, hymny, godziny w bibliotece, czas spędzony w kaplicy na samotnych modlitwach?

- Oczywiście, że pamiętam. - Znow poczułem napływające łzy. Widziałem to tak wyraźnie: bibliotekę w klasztorze i uczących mnie mnichów, przekonanych, że zostanę księdzem. Ujrzałem małe zimne cele z drewnianymi pryzkami; ujrzałem klasztor i ogród za woalem różanego cienia.

Nie chciałem myśleć o tamtych czasach, ale pewne rzeczy nigdy nie odejdą w zapomnienie.

- Czy pamiętasz pewien ranek, kiedy wszedłeś do kaplicy, ukląkłeś na nagiej marmurowej podłodze i rozkrzyżowawszy ramiona, powiedziałeś Bogu, że zrobisz wszystko, jeśli tylko uczyni cię dobrym?

- Tak, dobrym... - W moim głosie zabrzmiała gorycz.

- Powiedziałeś, że jesteś gotów cierpieć męki, niewypowiedziane katusze, i że to wszystko nie będzie miało znaczenia, bylebyś tylko stał się kimś dobrym.

- Tak, pamiętam... - Ujrzałem starych świętych; usłyszałem hymny, na dźwięk których pękało mi serce. Przypominałem sobie ranek, gdy zjawili się moi bracia, żeby zabrać mnie do domu, a ja błagałem ich na kolanach, by pozwolili mi zostać.

- A potem, kiedy straciłeś swą niewinność i wyruszyłeś gościńcem do Paryża, pragnąłeś tego samego; kiedy tańczyłeś i śpiewałeś dla tłumów na bulwarach, chciałeś być dobry.

- Byłem dobry - rzekłem, zacinając się. - Dobrą rzeczą było przynosić im radość i przez krótką chwilę to czyniłem.

- Tak, radość - szepnęła.

- Nigdy nie potrafiłem wytłumaczyć mojemu przyjacielowi, Nicolasowi, tego, że to tak ważne...

wierzyć w pojęcie dobra, nawet jeśli to my sami je tworzymy. Tak naprawdę ono nie jest naszym tworem. Po prostu jest, prawda?

- O tak, po prostu jest - powiedziała. - Jest, ponieważ je wprowadziliśmy.

Co za smutek. W milczeniu przyglądałem się padającemu śniegowi. Ująłem ją za rękę i poczułem jej wargi na moim policzku.

- Urodziłeś się dla mnie, mój książę - powiedziała. - Zostałeś poddany próbom i udoskonalony.

A kiedy w tamtych pierwszych latach wszedłeś do sypialni matki i wprowadziłeś ją ze sobą w świat żywych umarłych, dokonałeś jedynie prefiguracji mojego przebudzenia. Ja jestem twoją prawdziwą matką, Matką, która nigdy cię nie porzuci; ja również umarłam i narodziłam się powtórnie. Mój książę, wszystkie religie świata śpiewają o tobie i o mnie.

- Jakim cudem? Jak to możliwe?

- Ależ wiesz jak. Wiesz! - Odebrała mi miecz i długo patrzyła na stary pas, gładząc go dłonią, a potem cisnęła na stos zardzewiałego żelastwa ostatnie szczątki mojego śmiertelnego życia. Wiatr dotknął ich i przesuwał je powoli po przyprószonej śniegiem posadzce, aż przepadły.

- Porzuć stare iluzje i lęki - powiedziała. - Nie większy z nich użytek niż z tej starej broni.

Razem przekazujemy mity Świata na rzeczywistość.

Przeszył mnie chłód, mroczny chłód niewiary i zamętu, ale jej uroda pokonała wszystko.

- Klęcząc w kaplicy, chciałeś być świętym - rzekła. - Teraz ze mną będziesz bogiem.

Na końcu języka miałem słowa protestu; byłem przestraszony; ogarnęło mnie jakieś niedobre przeczucie. Co mogły znaczyć jej słowa?

Wtedy objęła mnie i wznieśliśmy się ponad wieżę. Ostry wiatr szczypał mi powieki, więc odwróciłem się ku niej, chwyciłem w pasie i wtuliłem twarz w jej szyję.

Cichy głos kazał mi spać. Miną godziny, zanim słońce skryje się za lądem, ku któremu zdążaliśmy, a który miał być miejscem pierwszej lekcji.

Nagle znów się rozszlochałem, Ignąc do niej, rozszlochałem się, ponieważ byłem zagubiony, a tylko w niej miałem oparcie. Ogarniała mnie groza na myśl o tym, czego ode mnie zażąda.

Rozdział drugi

Opowieść Mariusza - spotkanie

Spotkali się znowu na skraju sekwojowego lasu. Ich ubrania były w strzępach, oczy - załzawione od wiatru. Pandora stała po prawej ręce Mariusza, Santino po lewej. Wychudły Mael podążał im na spotkanie, sadząc susami po skoszonej trawie. W milczeniu objął Mariusza.

- Witaj, stary przyjacielu - rzekł Mariusz słabym głosem. Wyczerpany starożytny patrzył na rozjaśnione okna domu. Za widoczną częścią budowli o ostrych dachach i małych okienkach na poddaszu wyczuwał ukrytą wewnątrz góry wielką strukturę.

Cóż tam na niego czekało? Co czekało ich wszystkich? Gdyby miał chociaż cień zapału; gdyby tylko zdołał odzyskać skrawek swojej duszy.

- Jestem znużony - wyznał Maelowi. - Podróż wyssała ze mnie wszystko. Pozwól mi jeszcze chwilę odpocząć. Zjawię się później.

Mariusz, w przeciwieństwie do Pandory, która nie cierpiała latania, akceptował moc przemieszczania się w powietrzu, ale nieodmiennie płacił za to wyczerpaniem. W tę wyjątkową noc był tak bezbronny, że musiał przez chwilę nieprzerwanej ciszy poczuć ziemię pod stopami, wchłonąć zapach lasu i przyjrzeć się odległemu domowi. Włosy miał zmierzwiłone od wiatru i wciąż zlepione krwią. Prosta kurtka i spodnie z szarej wełny, które zabrał z ruin swojego domu, ledwo go grzały. Otulił się szczelniej grubą czarną peleryną, chociaż noc nie była tu chłodna; wciąż jednak był zziębnięty i obolały od wiatru.

Maelowi nie podobało się jego wahanie, lecz musiał się z nim pogodzić. Podejrzliwie spoglądał na Pandorę, której nigdy nie ufał, a potem z otwartą wrogością na Santina, zajętego otrzepywaniem czarnego stroju i doprowadzaniem do porządku starannie przystrzyżonych czarnych włosów. Czując na sobie wzrok Maela, Santino zjeżył się, a tamten szybko odwrócił

wzrok.

Mariusz stał nieruchomo, zasluchany i zamyślony. Czuł, jak się kończy proces uzdrawiania ciała. To zdumiewające, że ponownie odzyska pełną moc. W przeciwieństwie do śmiertelnych, którzy uczą się, że z roku na rok są coraz starsi i słabsi, nieśmiertelni muszą się nauczyć, że z czasem stają się silniejsi, niż kiedykolwiek marzyli. W tej chwili doprowadzało go to do szaleństwa.

Minęła zaledwie godzina od chwili, gdy Santino i Pandora pomogli mu wydobyć się z lodowatej czeluści, a już miał wrażenie, że nigdy się nie zdarzyło owych dziesięć dni i nocy, gdy utkwiał

tam, zmiażdżony i bezradny, nawiedzany raz za razem przez koszarne sny o bliźniaczkach.

Niemniej jednak nic już nie będzie takie, jak było.

Bliźniaczki. Rudowłosa kobieta czekała w domu. Powiedział mu to Santino. Mael także o tym

wiedział. Kim ona jest? Dlaczego nie chciał znać odpowiedzi na tak wiele pytań? Czemu była to najbardziej ponura godzina w jego życiu? Ciało niewątpliwie w pełni odzyskało zdrowie, ale co uzdrowi duszę?

Armand jest w tym przedziwnym drewnianym domu u stóp góry? Znow go spotka po tak długim czasie? Santino powiedział mu o Armandzie i o tym, że Louis i Gabriela również zostali oszczędzeni.

Mael obserwował go uważnie.

- On czeka na ciebie - powiedział. - Twój Amadeo. - Wyrzekł to tonem pełnym szacunku, pozbawionym nuty cynizmu lub zniecierpliwienia.

Z wielkiego skarbcza pamięci, który Mariusz nosił ze sobą wszędzie, wyłoniło się zadziwiająco wyraźne, chociaż tak odległe wspomnienie: Mael przybywa do weneckiego *palazzo* w świetnych latach piętnastego wieku, kiedy Mariusz i Armand zaznali wielkiego szczęścia, i widzi śmiertelnego chłopca pracującego z innymi czeladnikami przy ściennym malowidle, które Mariusz niedawno zostawił mniej wprawnym dłoniom. Dziwnie, jak żywo pamięta zapachy tempery, świec i tę znajomą woń - całkiem miłą we wspomnieniu - która przenikała całą Wenecję, woń zgnilizny, bijącą z ciemnych, stojących wód kanałów.

- A więc stworzysz go? - spytał Mael z prostą bezpośredniością.

- Kiedy nadejdzie czas - odparł wymijająco Mariusz - kiedy nadejdzie czas.

Niecały rok później popełnił mały błąd.

- Chodź w moje ramiona, młodziku, nie mogę już żyć bez ciebie.

Teraz wpatrywał się w daleki dom. Mój świat drży w posadach, a ja myślę o nim, o moim Amadeo, moim Armandzie - kołatało mu w głowie. Uczucia, których doświadczał, były zarazem tak słodkie i gorzkie jak przemieszane orkiestrowe melodie ostatnich wieków, tragiczne akordy Brahmsa lub Szostakowicza.

Nie czas jednak, by delektować się spotkaniem. Nie czas, by cieszyć się ciepłem tej chwili i mówić Armandowi to wszystko, co chciał mu powiedzieć.

Czuł coś znacznie bardziej bolesnego niż gorycz. Powinienem był zniszczyć Matkę i Ojca -

myślał. - Powinienem był zniszczyć nas wszystkich.

- Dzięki bogom, że tego nie zrobiłeś - rzekł Mael.

- A dlaczego? - spytał z mocą Mariusz. - Powiedz mi dlaczego?

Pandora zadygotała. Poczul jej rękę obejmującą go w pasie. Co wprawiało go w taką złość?

Odwrócił się do niej gwałtownie, chcąc ją uderzyć, odepchnąć, ale gdy na nią spojrział, powstrzymał

się. Nawet na niego nie patrzyła; sprawiała wrażenie nieobecnej i tak załamanej, że tym mocniej poczuł własne wyczerpanie. Chciało mu się płakać. Pomyślność Pandory zawsze miała zasadnicze znaczenie dla jego przetrwania. Nie potrzebował jej obecności - wręcz przeciwnie - ale musiał wiedzieć, gdzie jest, jak sobie radzi i że zawsze mogą się spotkać. To, co teraz ujrzał i co widział już wcześniej, napełniło go złymi przeczuciami. Jeśli on czuł gorycz, to Pandora czuła rozpacz.

- Chodź - powiedział Santino z dworską uprzejmością - oni czekają.

- Wiem - odparł Mariusz.

- Ach, cóż z nas za trio! - szepnęła nagle Pandora. Była wyczerpana, osłabiona, spragniona snu i snów, niemniej jednak opiekuńczym gestem mocniej objęła Mariusza.

- Dam sobie radę bez pomocy, dziękuję ci. - Nigdy nie bywał tak zjadliwy, i to wobec tej najbardziej kochanej.

- No to idź - powiedziała. Przez sekundę poczuł jej dawne ciepło, dostrzegł nawet znajomy przeblysł pocucia humoru. Pchnęła go lekko, po czym ruszyła sama w kierunku domu.

Żrący kwas. Jego myśli zamieniły się w żrący kwas. W niczym nie zdoła pomóc tym nieśmiertelnym. Mimo to kroczył wraz z Maelem i Santino ku światłu bijącemu z okien.

Sekwojowy las był coraz rzadszy i ustępował cieniom; nie drżał nawet liść. Powietrze było tu dobre, ciepłe, pełne świeżych woni i wyzbyte przenikliwego ukłucia Północy.

Armand. Chciało mu się płakać.

Wtem ujrzał kobietę, która wyszła przed próg domu. Długie rude kędziory, na których zatrzymywało się światło padające z holu, nadawały jej wygląd sylfidy.

Nie zatrzymał się, chociaż wiedział, że niewątpliwie powinien się nieco bać. Z pewnością była w wieku Akaszy. Jasne brwi niemal zlewały się z promienną twarzą. A jej oczy... Jej oczy naprawdę nie były jej oczami. Zostały zabrane śmiertelnej ofierze i już ją zawodziły; nie widziała go więc zbyt dobrze. Ach, to była oślepią bliźniaczka ze snów. Ból raził jej delikatne nerwy biegnące do skradzionych oczu.

Pandora zatrzymała się u stóp schodów.

Mariusz minął ją i wszedł na werandę. Zatrzymał się przed rudowłosą, podziwiając jej wzrost -

była tak strzelista jak on sam - i znakomitą symetrię zastygłej twarzy. Miała na sobie powiewną szatę z czarnej wełny z wysokim kołnierzykiem i kontrafałdami na rękawach. Materiał opadał

długimi luźnymi klinami od wąskiego czarnego paska z plecionej skóry opinającego suknię tuż poniżej drobnych piersi. Był to naprawdę śliczny strój; podkreślał świetlistość cery i uduchowiony wyraz twarzy, która wydawała się maską jaśniejącą wewnętrznym światłem w obramowaniu rudych włosów.

Budziła jednak podziw czymś więcej niż urodą, którą zapewne niewiele się zmieniła przez sześć tysięcy lat. Wigor tej niewiasty był zdumiewający. Roztaczała aurę nieskończonej mocy i przemożnej groźby. Czy była istotą prawdziwie nieśmiertelną, która nigdy nie śpi, nigdy nie zastyga w milczeniu, nigdy nie ucieka w szaleństwo? Czy z niezmiennie trzeźwym umysłem podąża równym krokiem przez tysiąclecia, odkąd przyszła na świat?

Taka mu się odsłoniła. Ile było w tym prawdy - nie wiadomo.

Widział niezmierną siłę niby rozżarzone światło, a zarazem dostrzegał niesłychaną bezpośredniość i ogromną chłonność bystrego umysłu.

Jednakże jak odczytać jej nastrój? Jak się dowiedzieć, co naprawdę czuje?

Emanowała głęboką, łagodną kobiecością, nie mniej tajemniczą niż wszystko, co się z nią łączyło; była w niej delikatna bezbronność, którą wyczuwał jedynie u kobiet, chociaż czasem także u bardzo młodych mężczyzn. Owa wrażliwość zapowiedziana w snach przepełniała jej oblicze; teraz była niewidzialna, ale nie mniej realna. W innych okolicznościach byłby nią oczarowany; teraz jedynie zarejestrował jej obraz, tak jak i przepięknie przycięte, pomalowane na złoto paznokcie i biżuterię na dłoniach.

- Przez te wszystkie lata wiedziałaś o moim istnieniu - rzekł uprzejmie w klasycznej łacinie. -

Wiedziałaś, że strzegę Matki i Ojca. Czemu nie przybyłaś do mnie? Czemu nie powiedziałaś mi, kim jesteś?

Zastanawiała się długo, zanim odpowiedziała, z nagłą spoglądając po pozostałych, którzy zbliżyli się do niego.

Santino bał się jej śmiertelnie, chociaż doskonale ją znał. Mael także się bał, chociaż może trochę mniej. W rzeczy samej, wyglądało na to, że ją kocha i jest do niej przywiązany, a zarazem w jakiś sposób podporządkowany. Pandora okazywała jedynie niechęć. Nawet przysunęła się do niego, jakby chcąc zaznaczyć, że trzyma jego stronę bez względu na to, co postanowi.

- Tak, wiedziałam o tobie - przemówiła nagle kobieta. Używała współczesnej angielszczyzny.

Był to niewątpliwie głos bliźniaczki ze snu, ślepej bliźniaczki, która wykrzyczała imię niemej siostry, Maharet, kiedy gniewny tłum zamykał je w kamiennych trumnach.

Nasze głosy tak naprawdę nigdy się nie zmieniają - pomyślał Mariusz. Jej głos był młody, słiczny. Kiedy znów przemówiła, była w nim łagodna powściągliwość.

- Mogłabym zniszczyć twoje sanktuarium, gdybym się zjawiała - rzekła. - Mogłabym pogrzebać króla i królową pod morskim dnem. Mogłabym nawet ich unicestwić, a czyniąc to, unicestwić nas wszystkich. Nie chciałam tego, więc nie uczyniłam nic. Czegoś się po mnie spodziewał? Nie mogłam zdjąć ciężaru z twoich barków. Nie mogłam ci pomóc, więc nie przybyłam.

To była lepsza odpowiedź, niż mógł się spodziewać. Nie sposób było nie lubić tej istoty. Jednak był

to dopiero początek, a jej odpowiedź nie zawierała całej prawdy.

- Nie? - zapytała. Przez moment na jej obliczu ukazała się siatka subtelnych linii, znamię dawnego człowieczeństwa. - A co to jest cała prawda? To, że nie zawdzięczałam ci niczego, a już w żadnym wypadku wiedzy o mojej egzystencji, i że impertynencko zasugerowałeś, iż powinnam ci się ujawnić? Widziałam tysiące takich jak ty. Wiem, od kiedy datuje się twoje istnienie. Wiem, kiedy przepadniesz. Kim jesteś dla mnie? Spotkaliśmy się, bo musieliśmy. Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wszystkie żywe istoty są w niebezpieczeństwie! Może kiedy się to wszystko skończy, będziemy się nawzajem kochać i szanować, a może nie. Może wszyscy będziemy martwi.

- Niewykluczone - rzekł ze spokojem. Nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Podobało mu się jej obejście i szorstkość jej słów.

Wiedział z doświadczenia, że epoka, w której na świat przychodzą śmiertelni, odciska na nich niezatarte piętno. Dostrzegał je również u tej starożytnej istoty, której słowa zachowały prostotę dzikuski, chociaż tembr głosu miała delikatny.

- Nie jestem sobą - dodał z wahaniem. - Nie wyszedłem z tego obronną ręką, chociaż powinienem był. Moje ciało jest uzdrowione... to cud powszedni - dorzucił szyderczo. - Ale nie pojmuję mojego obecnego spojrzenia na rzeczywistość. Goryczy, woalu... - Urwał.

- Woalu ciemności - zakończyła za niego.

- Właśnie. Życie nigdy nie wydawało mi się tak pozbawione sensu - dodał. - Nie myślę teraz o nas. Chodzi mi... posłużę się twoimi słowami... o wszystkie żywe istoty. To żart, prawda?

Świadomość jest rodzajem żartu.

- Nie - powiedziała. - To nie tak.

- Nie zgadzam się z tobą. Zamierzasz traktować mnie protekcyjnie? W takim razie opowiedz mi, ile tysięcy lat przeżyłaś przed moim urodzeniem? Ile z tego, co ty wiesz, jest mi nie znane? -

Znów pomyślał o swoim uwięzieniu, o katuszach przeżytych pod lodem, o bólu przeszywającym członki. Pomyślał o nieśmiertelnych głosach, które mu odpowiadały; o ratownikach, którzy parli ku niemu, by jeden po drugim ginąć w ogniu Akaszy. Nie widział, jak umierali, ale słyszał to! A co przynosił mu sen? Majaki o bliźniaczkach.

Nagle ujęła jego prawą rękę w swoje dłonie. Miał wrażenie, że uchwyciły go tryby jakiejś maszyny. Wielu młodziaków doświadczało tego w kontakcie z nim samym i oto przyszła chwila, w której przypadła mu rola słabszego.

- Mariuszu, jesteś nam teraz niezbędny - rzekła ciepło, jej oczy zamigotały przez chwilę w żółtym świetle padającym z drzwi i z okien.

- Na miłość boską, do czego?

- Nie żartuj. Wejdz. Musimy porozmawiać.

- O czym? - opierał się. - O tym, dlaczego Matka pozwoliła nam żyć? Znam odpowiedź na to pytanie i budzi ona tylko mój śmiech. Ciebie nie może zabić, to oczywiste, a nas... nas oszczędziła, dlatego że Lestat tego chce. Zdajesz sobie z tego sprawę, nieprawdaż? Przez dwa tysiące lat opiekowałem się nią, ochraniałem ją, oddawałem jej cześć i teraz mnie oszczędziła, bo kocha dwustuletnie pisklę imieniem Lestat.

- Nie bądź tego taki pewny! - rzekł nagle Santino.

- Tak - potwierdziła kobieta. - To nie jest jedyny powód. Musimy rozważyć wiele innych spraw...

- Wiem, że masz rację - powiedział. - Ale brak mi hartu ducha. Widzisz, moje złudzenia przepadły; nawet nie wiedziałem, że były złudzeniami. Myślałem, że zdobyłem taką mądrość! Z

niej czerpałem główny powód do dumy. Przystawałem z wiecznymi bytami. A kiedy ujrzałem ją stojącą przy tronie, wiedziałem, że ziściły się moje największe nadzieje i marzenia! Ona żyła w tym ciele. Żyła, podczas gdy ja odgrywałem rolę akolity, niewolnika, wiecznego strażnika jej grobu!

Dlaczego starał się jej to wyjaśnić? Przypomniawszy sobie szyderczy uśmiech Akaszy, drwiące słowa, spadający lód. Potem była tylko zimna czerń i bliźniaczki. Ach tak, bliźniaczki. One były najistotniejsze w tym wszystkim, przede wszystkim one; nagle zrozumiał, że tamte sny rzuciły na niego urok. Powinien był wcześniej o to zapytać. Popatrzył na nią i wydało mu się, że sny nagle ją otoczyły, przeniosły z teraźniejszości w tamte surowe czasy. Zobaczył blask słońca; zobaczył

trupa matki; zobaczył bliźniaczki pochylone nad trupem. Tak wiele niewiadomych...

- Jaki związek mają te sny z obecną katastrofą? - zapytał podniesionym głosem. Był wobec nich zupełnie bezbronny.

Kobieta długo mierzyła go wzrokiem, zanim odpowiedziała.

- Powiem ci tyle, ile wiem, ale musisz się uspokoić. Zachowujesz się tak, jakbyś odzyskał młodość. Cóż to musi być za przekleństwo.

- Ja nigdy nie byłem młody - roześmiał się. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Szalejesz i rozpaczasz. A ja nie mogę cię pocieszyć.

- A gdybyś mogła, pocieszyłabyś mnie?

- Tak.

Roześmiał się cicho, a kobieta z niesłychaną łagodnością otworzyła przed nim ramiona. Ten gest wstrząsnął nim, nie dlatego, że był tak niezwykły, ale dlatego, że często widział w snach, jak w ten właśnie sposób obejmowała siostrę.

- Mam na imię Maharet - powiedziała. - Nazywaj mnie tak i pozbadź się nieufności. Wejdźmy do mojego domu.

Pochyliła się i lekko ujęła w dłonie jego twarz, całując go w policzek. Rude włosy musnęły jego skórę, przyprawiając go o zawrót głowy. Perfumy unoszące się z jej szat odurzały go; ich lekki, orientalny aromat budził pamięć kadzidła, nieodłącznie związanego ze świątynią.

- Maharet - rzekł gniewnie. - Jeśli jestem wam niezbędny, dlaczego nie przybyłaś po mnie, kiedy leżałem w tej lodowej czeluści? Czy ona mogła powstrzymać ciebie?

- Mariuszu, przybyłam - powiedziała. - Teraz jesteś z nami. - Czy myślisz, że próżnowałam podczas tych nocy, kiedy nasza rasa była eksterminowana? Jak świat długi i szeroki, mordowała tych, których znałam lub kochałam. Nie mogłam być wszędzie. Krzyki docierały do moich uszu z każdego zakątka ziemi. Miałam też własne poszukiwania, własną zgryzotę... - Nagle przerwała.

Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec; ciepło napływającej krwi przywróciło twarzy wyrazistość. Cierpiała ból, zarówno fizyczny, jak i psychiczny, a jej oczy zaszyły błoną krwawych łez. Cóż za dziwna istota, łącząca wrażliwość oczu z niezniszczalnością ciała. Emanowała cierpieniem, którego nie mógł znieść, było ono bowiem spowodowane tamtymi snami na jawie.

Wtem nagle i niespodziewanie zdał sobie sprawę...

- To nie ty posyłasz nam sny! - szepnął. - Nie ty jesteś źródłem.

Nie odpowiedziała.

- Bogowie, gdzie jest twoja siostra! Co to wszystko znaczy?

Zgięła się lekko, jakby dźgnął ją w serce. Próbowwała zasłonić przed nim swój umysł, ale ów nieznośny ból był nie do ukrycia. W milczeniu wpatrywała się w Mariusza, ogarniając wzrokiem całą jego twarz i postać, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że dokonał niewybaczalnego włamania.

Czuł strach, podobnie jak Mael i Santino, którzy nie śmieli się odezwać. Pandora jeszcze bardziej zbliżyła się do niego i lekko ściskając dłoń, przekazała ostrzegawczy sygnał.

Dlaczego był tak brutalny, tak niecierpliwy? „Własne poszukiwania, własna zgryzota...” Niech to wszystko piekło pochłonie!

Zamknęła oczy i delikatnie przycisnęła powieki dłońmi, jakby chciała odpędzić ból.

- Maharet - rzekł cicho Mariusz. - Trwa wojna, a my stoimy na polu walki, ciskając wyzwiska.

Mój jad był najbardziej gryzący. Chcę tylko zrozumieć.

Patrzyła na niego, wciąż z pochyloną głową, osłaniając twarz dłonią. Jej spojrzenie było ostre, niemal zjadliwe. Mimo to wpatrywał się jak zafascynowany w delikatne krzywizny jej palców, pomalowane paznokcie, pierścionki z rubinami i szmaragdami, które błysnęły zniecka, jakby

muśnięte elektrycznym światłem.

Przemknęła mu przez głowę okropna myśl: że jeśli nie przestanie robić z siebie takiego cholernego idioty, może nigdy nie ujrzeć Armanda. Ona go stąd przepędzi albo zrobi coś gorszego... A tak bardzo pragnął - zanim się to skończy - ujrzeć Armanda.

- Wejdz, Mariuszu - powiedziała nagle uprzejmie, wybacząco. - Chodź ze mną i połącz się ze swoim dawnym dzieckiem, a następnie spotkamy się z tymi, którzy mają te same pytania. Wtedy zaczniemy.

- Tak, moje dawne dziecko... - zamruczał. Znow poczuł tęsknotę za Armandem, która przypominała muzykę, skrzypcowe frazy Bartoka odgrywane w odległym i bezpiecznym miejscu, gdzie było nieskończenie dużo czasu do słuchania. Nienawidził Maharet, nienawidził

ich wszystkich. Nienawidził samego siebie. Druga bliźniaczka, gdzie jest druga bliźniaczka? W

jego myślach przebłykiwały obrazy rozgrzanej dżungli, porwane liany i młode drzewka pękające pod stopami. Starał się myśleć logicznie, ale na próżno. Zatrula go nienawiść.

Wiele razy był świadkiem, jak to czarne zaprzeczenie istnienia dochodziło do głosu u śmiertelnych. Słyszał, jak najmądrzejsi z nich mówili: „Nie warto żyć” i nigdy nie wiedział, o czym bredzą. Zrozumiał to dopiero teraz.

Jak przez mgłę widział, że zwróciła się ku jego towarzyszom. Witała Santina i Pandorę w swoim domu.

Niczym w transie patrzył, jak obraca się i wskazuje mu drogę. Miała długie włosy, opadające wielką masą miękkich rudych splotów. Poczul wielką ochotę, by ich dotknąć, sprawdzić, czy są naprawdę tak miękkie. To niezwykle, że w takiej chwili mogło go zająć coś tak ślicznego i sprawić, że poczul się tak błogo, jakby nic się nie stało, jakby na świecie było dobrze. Znow ujrzal nietkniętą świątynię; świątynię w środku jego świata. Ach, ten idiotyczny ludzki mózg -

pomyślał - jakże on chwyta się byle czego. Pomyśleć, że Armand jest tak blisko, czeka...

Poprowadziła ich przez amfiladę obszernych, oszczędnie meblowanych pokoi. Mimo całej jego otwartości w domu panowała atmosfera cytadeli; u powały umocowano potężne belki, kominki płonące wysokim ogniem były otwartymi kamiennymi paleniskami.

Jakże był podobny do starych europejskich świątyn w tamtych mrocznych wiekach, kiedy rzymskie drogi popadły w ruinę, język łaciński - w zapomnienie, a stare wojownicze plemiona znow podniosły głowy. Ostatecznie triumfatorami zostali Celtowie. To oni podbili Europę, a feudalne zamki były nie większe niż obozowiska. Nawet w nowoczesnych państwach przetrwały raczej celtyckie zabobony niż rzymska logika.

Urządzenie tego domu wskazywało jednak na czasy jeszcze wcześniejsze. Ludzie zamieszkiwali takie posiadłości przed wynalezieniem pisma; żyli wówczas w takich właśnie domach z gliny i drewna, wśród rzeczy ręcznie tkanych lub kutych.

Dom przypadł mu do gustu. Ach, znów ten idiotyczny mózg - pomyślał. - Żeby w takiej chwili zajmować się estetyką. - Jednak domy budowane przez nieśmiertelnych zawsze go intrygowały; a ten był jakby stworzony do tego, by go powoli zwiedzać, poznawać dzień po dniu.

Minęli stalowe drzwi prowadzące na górę. Woń surowej ziemi zamknęła go w swojej kapsule.

Szli korytarzami o ścianach wyłożonych blachą. Słyszał generatory, komputery, cały słodki elektryczny szum, który sprawiał, że kiedyś czuł się tak bezpiecznie we własnym domu.

Wspinali się żelaznymi schodami. Wiły się i zakręcały wiele razy, a Maharet prowadziła ich coraz wyżej. Szorstkie nagie ściany odsłoniły trzewia góry, głębokie żyły kolorowej gliny i skały.

Rosły tam małe paprocie; ale skąd biło światło? Wysoko w górze był świetlik, małe przebicie do nieba. Z ulgą zerknął na ten nikły przebłysk.

Wreszcie dotarli do szerokiego podestu i weszli do małego ciemnego pokoju, a stamtąd przez otwarte drzwi do dużo większego pomieszczenia, gdzie czekali inni; Mariusz na chwilę odwrócił

wzrok, oślepiony jasnym błyskiem odległego kominka.

Coś czekało na niego w tym pokoiku; tę obecność mógł wykryć tylko w najprostszym sposobie.

Czuł ją za swoimi plecami. A gdy Maharet weszła do wielkiej sali, zabierając ze sobą Pandorę, Santina i Maela, wszystko zrozumiał. Nabrawszy sił, wziął głęboki oddech i zamknął oczy.

Jakże trywialna wydawała się cała jego gorycz; pomyślał o tej istocie, której egzystencja przez całe wieki była nieprzerwanym cierpieniem; której młodość ze wszystkimi jej pragnieniami stała się prawdziwie wieczna; istocie, której nie zdołał uratować ani udoskonalić. Przez lata ileż razy marzył o ponownym spotkaniu; zawsze brakowało mu odwagi, a teraz mieli się wreszcie spotkać na tym polu bitewnym, w chwili zniszczenia i wstrząsu.

- Miłości moja - szepnął. Nagle poczuł się oczyszczony, jak wcześniej, kiedy wlatywał ponad śnieżne pustkowia, w królestwo obojętnych chmur. Nigdy nie wypowiedział tych słów bardziej od serca. - Mój piękny Amadeo.

Kiedy wyciągnął dłoń, poczuł dotknięcie dłoni Armanda.

To nadprzyrodzone ciało nadal było miękkie, jakby ludzkie, a zarazem chłodne i tak delikatne.

Nie potrafił powstrzymać łez. Płakał. Gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą chłopcę postać.

Och, jakże cudowny był wyraz jego twarzy. Ileż miał w sobie otwarcia, ileż przyzwolenia.

Mariusz otworzył ramiona.

Wieki temu, w weneckim *palazzo*, starał się uchwycić w niezniszczalnym pigmentcie jakoś tej

miłości. Do czego sprowadziła się nauka wyniesiona z tamtych chwil? Że na całym świecie żadne dwie dusze nie kryją tej samej tajemnicy, tego samego daru oddania się czy wyrzeczenia.

W zwykłym zranionym dziecku odnalazł takie połączenie smutku i wdzięcznej prostoty, które na zawsze złamało mu serce. Ta istota go rozumiała! Ta istota kochała go jak nikt nigdy.

Przez łzy dostrzegł, że nie czeka go ani wyrzut, ani nagana za wielki nieudany eksperyment.

Ujrzał twarz, którą malował, teraz lekko pociemniałą i wzbogaconą o coś, co naiwnie zwał mądrością; ujrzał tę samą miłość, na którą liczył bez zastrzeżeń podczas nocy zatraty.

Gdyby tylko mogli poszukać spokoju - jakiegoś ciepłego zaciszego miejsca pośród strzelistych sekwoi - i gdyby mogli rozmawiać tam przez długie noce, przez nikogo nie ponaglani. Jednak inni czekali; tym bardziej cenne były te chwile i tym bardziej smutne.

Uściskał mocno Armanda. Ucałował jego usta i długie luźne włosy włóczęgi. Z pożądaniem pogładził ramiona. Spojrzał na wąską białą dłoń, którą trzymał w swojej własnej. Każdy szczegół usiłował zachować na wieczność na płótnie; każdy szczegół z pewnością pamiętał w chwili śmierci.

- Oni czekają, prawda? - spytał. - Mamy zaledwie kilka chwil.

Armand nie zdradził swych myśli, skinął tylko głową.

- To wystarczy - rzekł cichym, ledwo słyszalnym głosem. - Zawsze wiedziałem, że kiedyś się spotkamy.

Och, te wspomnienia, które budził ów głos. *Palazzo* z kasetonowymi stropami, łoża udrapowane czerwonym aksamitem. Chłopięca postać wbiegająca po marmurowej klatce schodowej, twarz zarumieniona od zimowego wiatru bijącego od Adriatyku, piwne oczy płonące ogniem.

- Nawet w chwilach największego niebezpieczeństwa - mówił dalej ten głos - wiedziałem, że się spotkamy, zanim będę mógł swobodnie zdecydować o swojej śmierci.

- Swobodnie zdecydować o swojej śmierci? - powtórzył Mariusz. - To możemy zrobić zawsze, prawda? Musimy mieć tylko dość odwagi, jeśli to rzecz właściwa.

Armand myślał chwilę. Łagodny dystans widoczny na jego twarzy znów wzbudził smutek Mariusza.

- Tak, to prawda - powiedział Armand.

- Kocham cię - szepnął nagle Mariusz z żarliwością śmiertelnego człowieka. - Zawsze cię kochałem. Żałuję, że w tej chwili nie wierzę w coś innego niż miłość, ale nie potrafię.

Przerwał im jakiś szmer. To Maharet podeszła do drzwi.

Mariusz objął Armanda ramieniem. Nastąpiła między nimi chwila milczenia i ostatecznego zrozumienia. A potem udali się za Maharet do potężnej sali w szczycie góry.

Była cała ze szkła, z wyjątkiem jednej ściany i żelaznego okapu zwisającego z powały nad płonącym ogniskiem. Mariusz nie widział żadnego źródła światła poza żarem ognia, a wysoko nad głową dostrzegł ostre czubki monstrualnych sekwoi i bezbarwne niebo Pacyfiku, a na nim rzadkie chmury i tchórzliwe gwiazdki.

Było to cudownie piękne, chociaż nie przypominało nieba nad Zatoką Neapolitańską lub widzianego z komina Annapurny czy też z pokładu jachtu płynącego po czerniejącym morzu.

Sam jego bezmiar był piękny i pomyśleć tylko, że zaledwie przed chwilą on, Mariusz, był tam, wysoko, unosił się w mroku, widziany jedynie przez towarzyszy podróży i same gwiazdy. Znowu poczuł radość, kiedy popatrzył na rude włosy Maharet. Nie smutek jak wtedy, kiedy myślał o Armandzie przy swoim boku, lecz przenikającą wszystko, bezinteresowną radość, bodziec do dalszego życia.

Nagle zrozumiał, że nie może dłużej pławić się w goryczy i żalu; że brak mu do tego wytrwałości i jeśli ma odzyskać szacunek do samego siebie, to powinien szybko wziąć się w garść.

Przywitał go śmieszek, przyjazny, nie natarczywy, chociaż może nieco pijacki, śmiech pisklęcia, któremu brak rozsądku. Uśmiechnął się na znak, że nie czuje się urażony, i zerknął na rozbawionego Daniela, anonimowego „chłopaka” z „Wywiadu z wampirem”. Szybko zdał sobie sprawę, że jest to jedyne dziecko, jakie stworzył Armand. Dobrze sobie poczynało na początku Diabelskiej Drogi to tryskające energią i budzące sympatię stworzenie, wzmocnione wszystkim, co Armand miał do zaoferowania.

Szybko przyjrzał się innym zgromadzonym wokół okrągłego stołu.

Po prawej, w pewnej odległości siedziała Gabriela, blondynka z warkoczami opadającymi na plecy, o oczach pełnych nie ukrywanego niepokoju; obok niej Louis, otwarty i pasywny jak zawsze, wpatrujący się w Mariusza bez słowa, jakby poddawał go naukowej obserwacji lub składał mu hołd, czy też jakby czynił jedno i drugie równocześnie; potem jego ukochana Pandora o falujących kasztanowych włosach luźno opadających na ramiona i nadal sperlonych drobnymi kroplami stającego szronu. Wreszcie Santino; siedział obok niej, jak zawsze opanowany; wszelki kurz i brud znikł z doskonale skrojonego aksamitnego stroju.

Po jego lewej ręce siedział Khayman, inny starożytny osobnik, który przedstawiał się w milczeniu i bez wezwania, iście przerażająca istota o twarzy gładziej nawet niż oblicze Maharet.

Mariusz przyłapał się na tym, że nie może oderwać od niego oczu. Twarze Matki i Ojca nigdy go tak nie zaskoczyły, chociaż oni również mieli czarne oczy i krucze włosy. To chyba ten uśmiech był tak niezwykły, otwartość i przystępność wciąż malujące się na twarzy mimo upływu lat.

Wyglądał jak mistyk lub święty, chociaż był zajadłym mordercą. Ostatnie uczyty z ludzkiej krwi nieco zmiękczyły jego skórę, dodając policzkom lekkiego rumieńca.

Mael o rozwichrzonych włosach i nieporządny jak zawsze, zajął miejsce po lewej Khaymana. A obok inny starożytny, Eryk, mający ponad trzy tysiące lat wedle rozeznania Mariusza, wychudły i o myląco delikatnym wyglądzie, liczący sobie może trzydziestkę w chwili śmierci. Jego łagodne piwne oczy z namysłem oceniały Mariusza. Miał na sobie ręcznie szyte ubranie, wyborną replikę masowej konfekcji noszonej obecnie przez ludzi interesu.

Kim jednak jest tamta istota? Ta siedząca po prawej Maharet, naprzeciwko Mariusza, w głębi?

Tak, ona naprawdę wywołała w nim szok. Kiedy popatrzył na zielone oczy i włosy barwy jasnej miedzi, w pierwszym odruchu wziął ją za drugą bliźniaczkę.

Bez wątplenia żyła jeszcze wczoraj. Nie mógł znaleźć wytłumaczenia dla jej siły, jej kruchej bieli, przeszywającego spojrzenia, a także emanującej z niej przemożnej telepatycznej mocy, kaskady mrocznych i wyraziście zarysowanych obrazów, nad którą chyba nie panowała. Z

nieślychaną dokładnością widziała obraz jego ukochanego Amadeo, czarnoskrzydłe anioły otaczające pogrążonego w modlitwie chłopca. Mariusza przeszedł dreszcz.

- Mój obraz w krypcie Talamaski? - szepnął i roześmiał się ordynarnie, jadowicie. - A więc tam jest!

Przestraszył ją; nie zamierzała ujawniać swoich myśli. Lękając się o Talamaskę i beznadziejnie zmieszana, pogrążyła się w sobie. Jej ciało jakby zmałało, a jednocześnie podwoiło swoją moc.

Potwór. Potwór o zielonych oczach i delikatnych kościach. Urodzona wczoraj, tak, dokładnie; miała w sobie żywą tkankę. Nagle dowiedział się o niej wszystkiego. Ta istota imieniem Jesse została stworzona przez Maharet, była jej autentycznym potomkiem, a teraz pisklęciem swojej prawiecznej matki. Siła tego zjawiska wprawiła go w zaskoczenie i z lekka przestraszyła. Krew płynąca żyłami tej młódki miała niewyobrażalny potencjał. Była absolutnie wyzbyta pragnienia, a jednocześnie tak naprawdę nie była martwa.

Musiał zakończyć tę bezlitosną i wścibską ocenę. Przecież czekano na niego. Jednak podświadomie zadawał sobie pytanie, gdzie są teraz jego śmiertelni potomkowie, nasienie jego kuzynów i kuzynek, których tak kochał, kiedy był żywym stworzeniem? To prawda, że przez setki lat śledził ich losy; jednak nie potrafił już ich rozpoznać, nie rozpoznawał już samego Rzymu. Pozwolił, żeby zapadli się w mrok, tak jak sam Rzym. Lecz z pewnością wśród istot przemierzających ziemię były i takie, które miały w żyłach krew jego rodziny.

Nadal wpatrywał się w rudowłosą młódkę. Jakże przypominała swą wielką matkę; wysoka, a jednak o cienkich kościach, piękna, a jednak bezwzględna. Jest w tym jakiś wielki sekret, coś związanego z krwią przodków, z rodziną... - pomyślał. Miała na sobie ciemne ubranie w starożytnym stylu. Dłonie utrzymane bez zarzutu, ani śladu perfum czy makijażu.

Wszyscy byli na swój sposób wspaniali. Wysoki, mocno zbudowany Santino, o błyszczących czarnych oczach i zmysłowych ustach, elegancki w księżych czerniach. Nawet niechlujny Mael tchnął bestialską i przytłaczającą aurą, kiedy płonącymi oczami wpatrywał się w prawieczną kobietę zarazem z miłością i nienawiścią. Anielskie oblicze Armanda umykało wszelkim opisom, a chłopięcy

Daniel, zjawiskowa postać, urzekał ciemnymi włosami i błyszczącymi fiołkowymi oczami.

Czy nikt, kto zyskał nieśmiertelność, nie mógł być brzydki? Czy też to czarna magia sprawiała, że wszystko, co złożono w ofierze, stawało się piękne? Gabriela jednak za życia z pewnością była uroczym stworzeniem, dysponując całą odwagą syna i wyzbyta jego impulsywności, a Louis, no cóż, Louis został oczywiście wybrany dla swego cudownego oblicza i głębi zielonych oczu. Został wybrany ze względu na niepoprawnie trzeźwą zachłanność, którą teraz okazywał.

Wyglądał między nimi na zgubionego człowieka; twarz miał złagodzoną rumieńcem i uczuciami, ciało bezbronne, oczy błędzące i smutne. Nawet Khayman, mimo iż przerażający, niewątpliwie prezentował doskonałość oblicza i kształtów.

Gdy patrzył na Pandorę, widział ją żywą i śmiertelną, widział zapalczywą kobietę, która przybyła do niego wiele eonów temu przez czarne jak atrament ulice Antiochii, błagając o dar nieśmiertelności; nie, ona nie była błędzącą myślami melancholijną istotą, siedzącą bez ruchu w prostych biblijnych szatach, wpatrującą się przez wielkie panoramiczne okno w galaktyki błędzące za gęstniejącymi chmurami.

Nawet Eryk, wybielony przez setki lat i lekko promieniejący, zachował podobnie jak Maharet aureę szalenie ludzkich uczuć był tym bardziej pociągający z racji uwodzicielskiego androgynicznego wdzięku.

Prawdę mówiąc, Mariusz nigdy nie widział takiego towarzystwa - zgromadzenia nieśmiertelnych w każdym wieku, od nowo narodzonego do najbardziej wiekowego, wyposażonych bez wyjątku w niepoliczalne moce i słabości; a wśród nich ten szalejący radośnie młodzik, umiejętnie stworzony przez Armanda dzięki całej nietkniętej cnocie jego dziewiczej krwi. Mariusz wątpił, aby taki sabat zebrał się kiedykolwiek wcześniej.

Czy on sam pasował do tego otoczenia, on, najstarszy w swoim starannie kontrolowanym wszechświecie, w którym prawieczni byli milczącymi bogami? Wiatr oczyścił z zaschniętej krwi jego twarz i opadające na ramiona włosy. Długa czarna peleryna była mokra od śniegów, z których się wydobył. Gdy zbliżał się do stołu, czekając w wojowniczym nastroju na zaproszenie Maharet, pochlebiał sobie, że jest potworem dorównującym pozostałym, o lodowatych oczach płonących wrogością, która spalała go od środka.

- Proszę - rzekła łaskawie Maharet. Wskazała pusty fotel obok siebie, jedno z dwóch honorowych miejsc u szczytu stołu.

Fotel był wygodny, w przeciwieństwie do wielu współczesnych mebli. Wygięte oparcie służyło plecom, a poręcz - rękom. Armand zajął miejsce po jego prawej stronie.

Maharet usiadła w ciszy. Złożyła dłonie na wypolerowanym do połysku drewnianym blacie i pochyliła głowę, jakby zbierając myśli.

- Czy nikt poza nami nie przetrwał? - zapytał Mariusz. - Nikt oprócz królowej, łobuzerskiego księcia i... - Zawiesił głos.

Pozostali poruszyli się, zmieszani, ale milczący. Gdzie jest niema bliźniaczka? Czy to tajemnica?

- Tak - odparła sucho Maharet. - Nikt, z wyjątkiem królowej, łobuzerskiego księcia i mojej siostry. Tak, tylko my przetrwaliśmy; lub inaczej: poza nami nie przetrwał nikt, kto by się liczył.

Przerwała, jakby czekając na efekt swych słów. Ze spokojem przyjrzała się zgromadzeniu.

- Gdzieś, daleko, mogą być inni... starsi, którzy postanowili trzymać się z boku. Ona nadal ich ściga, więc ich los jest przesądzony. Spośród tych, którzy mogli wpływać na przeznaczenie, których decyzje czy zamiary się liczyły, pozostaliśmy tylko my.

- A mój syn? - powiedziała Gabriela. Jej ostry, pełen emocji głos zdradzał lekceważenie obecnych. - Czy nikt z was nie powie mi, co z nim zrobiła i gdzie on jest? - Patrzyła to na kobietę, to na Mariusza, bez lęku i z desperacją. - Z pewnością macie taką moc, że możecie się dowiedzieć, gdzie on jest.

Jej podobieństwo do Lestata wzruszyło Mariusza. Niewątpliwie to z niej łobuzerski książę czerpał siłę. Był w niej jednak chłód, zupełnie obcy Lestatowi.

- Jest z nią, już ci powiedziałem - rzekł Khayman niskim, spokojnym głosem. - A ona nic więcej nie chce wyjawić.

Gabriela wyraźnie mu nie wierzyła. Zapragnęła uchylić się od dalszej obecności na spotkaniu, opuścić to miejsce, odejść samotnie. Pozostałych nic nie oderwałoby od stołu. Było jasne, że nie czuła się z nimi związana.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię - powiedziała Maharet - jako że jest to sprawa najwyższej wagi.

Oczywiście, Matka potrafi się sprawnie maskować. Jednak my od pierwszych wieków nigdy nie potrafiliśmy porozumiewać się myślowo z Matką i Ojcem czy też między sobą. Jesteśmy po prostu zbyt blisko źródła mocy, która decyduje o naszej kondycji. Jesteśmy równie głusi i ślepi na siebie nawzajem, jak mistrz i pisklę w waszym przypadku. Dopiero z czasem, tworząc następnych krwiopijców, zdobywali oni moc bezsłownego porozumiewania się między sobą, którą my zawsze dysponowaliśmy wobec śmiertelnych.

- W takim razie Akasza nie może cię znaleźć - rzekł Mariusz. - Ani ciebie, ani Khaymana... jeśli nie jesteście z nami.

- Zgadza się. Jeśli nie zobaczy nas w waszych myślach, będzie bezradna. Podobnie my możemy zobaczyć ją tylko za pośrednictwem innych umysłów. Oczywiście z wyjątkiem pewnego dźwięku, który słyszymy czasem, gdy zbliża się jakiś gigant, dźwięku związanego z wielkim natężeniem mocy, oddechu i krwi.

- Tak, to wyjątkowy dźwięk - zamruczał cicho Daniel. - Straszny i nieustający.

- Czy nie ma takiego miejsca, gdzie my moglibyśmy się przed nią ukryć? - zapytał Eryk. - My, których ona może usłyszeć i zobaczyć? - Mówił głosem młodego człowieka, z nieokreślonym akcentem, pięknie wymawiając każde słowo.

- Wiesz, że nie ma - powiedziała Maharet z wyraźną nutą wyrozumiałości. - Ale szkoda czasu na rozmowy o ukrywaniu się. Jesteśmy tu albo dlatego, że ona nie może nas zabić, albo dlatego, że podjęła taką decyzję. Trudno. Nie mamy wyjścia.

- A może ona jeszcze nie skończyła - rzekł z obrzydzeniem Eryk. - Może w jej piekielnym umyśle nie zapadła jeszcze decyzja, kto ma umrzeć, a kto żyć!

- Myślę, że jesteście tu bezpieczni - stwierdził Khayman. - Każdy z obecnych był wydany na jej łaskę i niełaskę, czy nie tak?

Właśnie że nie tak, pomyślał Mariusz. Wcale nie wydawało mu się jasne, czy Eryk był wydany na łaskę i niełaskę Matki; podróżował przecież, jak się wydawało, w towarzystwie Maharet.

Spojrzenia tych dwojga właśnie się spotkały i nastąpiło między nimi jakieś krótkie, bezsłowne, ale nie telepatyczne porozumienie. Mariusz pojął, że to Maharet stworzyła Eryka i nikt nie wiedział na pewno, czy nie stał się dla Matki zbyt potężny. Maharet poprosiła o spokój.

- Potrafisz czytać w umyśle Lestata, prawda? - zapytała Gabriela. - Czy nie możesz ich w ten sposób zlokalizować?

- Nawet ja nie zawsze potrafię pokonywać ogromne odległości samym umysłem - odpowiedziała Maharet. - Gdyby przetrwali inni krwiopijcy, którzy przechwyciliby myśli Lestata i przekazali je mnie, no cóż, wtedy oczywiście odnalazłabym go w mgnieniu oka. Jednak nikt z nich się nie zachował. A Lestat zawsze potrafił się maskować; to jego wrodzona umiejętność, normalna u osobników silnych, samowystarczalnych i agresywnych. Bez względu na to, gdzie jest, instynktownie odcina nam dostęp do swoich myśli.

- Ona go zabrała - powiedział Khayman. Wyciągnął dłoń i przykrył nią dłoń Gabrieli. - Odkryje nam wszystko, kiedy będzie gotowa. A jeśli wcześniej zdecyduje się skrzywdzić Lestata, nikt z nas nie zdoła temu zapobiec.

Mariusz mało się nie roześmiał. Ci przedwieczni chyba uważali, że absolutne prawdy są pocieszeniem. Co za dziwaczne połączenie żywotności i pasywności. Czy tak było u brzasku historii? Ludzie, wyczuwając coś nieuchronnego, stali jak posągi i godzili się na to? Trudno mu było zrozumieć taką postawę.

- Matka nie skrzywdzi Lestata - uświadomił Gabrieli i wszystkim. - Kocha go. Jest to w istocie miłość taka jak każda inna. Nie skrzywdzi go, bo nie chce skrzywdzić sama siebie. Założę się, że zna wszystkie jego sztuczki tak jak my je znamy. Lestat nie zdoła jej sprowokować, chociaż zapewne jest tak głupi, że spróbuje.

Gabriela lekko skinęła głową, uśmiechając się nieznacznie i smutno. Była głęboko przekonana, że Lestat potrafi sprowokować każdego, mając odpowiednio dużo czasu i możliwości; ale nie powiedziała tego na głos.

Nie była ani pocieszona, ani zrezygnowana. Odchyliła się w fotelu i patrzyła ponad głowami

wszystkich, jakby przestali dla niej istnieć. Nie czuła żadnych zobowiązań wobec tej grupy; była związana jedynie z Lestatem.

- W takim razie - rzekła chłodno - odpowiedzcie mi na zasadnicze pytanie: jeśli zniszczę tego potwora, który porwał mojego syna, czy wszyscy zginiemy?

- Jak, u diabła, zamierzasz ją zniszczyć? - spytał zdumiony Daniel.

Eryk parsknął szyderczo.

Gabriela spojrzała lekceważąco na Daniela, a Eryka zignorowała.

- No cóż, czy stary mit mówi prawdę? - zwróciła się do Maharet. - Jeśli sprzątnę tę sukę, jak się to mówi dzisiejszym slangiem, to czy sprzątnę też nas wszystkich?

Lekki śmiech rozległ się wśród zebranych, a Maharet skinęła głową, uśmiechając się przy tym na znak potwierdzenia.

- Tak. Próbowano tego za dawnych czasów. Próbowano tego wielu głupców-niedowiarków.

Duch, który w niej zamieszkuje, ożywia nas wszystkich. Zniszcz gospodarza, zniszczysz moc.

Młodziki umrą najpierw, starsi zmarnieją powoli, najstarsi być może przetrwają. Jednak ona jest królową potępionych i potępieni bez niej nie przeżyją. Enkil był tylko jej małżonkiem, więc to jest bez znaczenia, że go zamordowała i wypila jego krew do ostatniej kropli.

- Królowa potępionych - szepnął Mariusz. W głosie Maharet zabrzmiało coś dziwnego, jakby ożyły w niej wspomnienia, bolesne i straszne, nie zatarte przez czas, niezmacone jak owe sny.

Znów zdał sobie sprawę z prostoty i surowości tych prawiecznych jestestw, które być może uważały, że język i wszelkie myśli są zbyt skomplikowane.

- Gabrielo - odezwał się Khayman - nie możemy pomóc Lestatowi. Musimy spożytkować ten czas na ułożenie planu. - Po czym zwrócił się do Maharet. - Co z tymi snami? Chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego wciąż nas nawiedzają?

Zapadła cisza. Sny dotknęły wszystkich, chociaż Gabriela do tego wieczoru nie zastanawiała się nad nimi, a Louis, wystraszony przez Lestata, całą siłą woli starał się o nich nie myśleć. Nawet Pandora, która twierdziła, że nie przeżyła ich osobiście, opowiedziała Mariuszowi o ostrzeżeniach Azima. Santino nazwał je straszliwymi transami, przed którymi nie było ucieczki.

Mariusz zrozumiał, że na najmłodszych - Jesse i Daniela - rzucały trujący czar, prawie tak bolesny jak dla niego.

Maharet nie odpowiadała. Ból oczu dokuczał jej coraz bardziej. Mariusz odbierał go jak bezdźwięczną wibrację. Czuł spazmy delikatnych nerwów Maharet.

Pochylił się i złożył ręce na stole.

- Maharet, to twoja siostra posyła te sny. Czy to prawda?

Brak odpowiedzi.

- Gdzie jest Mekare? - naciskał.

Znów milczenie.

Czuł jej ból. Bardzo żałował, po raz kolejny bardzo żałował własnej nieoględności. Jednak jeśli obecni mają mieć z jego obecności jakiś pożytek, musi doprowadzić do podjęcia takiej czy innej decyzji. Znów pomyślał o Akaszy w świątyni, chociaż nie wiedział dlaczego. Pomyślał o jej uśmiechu. Pomyślał o Lestacie - opiekuńczo, z rozpaczą. Lestat był jednak teraz tylko symbolem.

Symbolem samego siebie. Ich wszystkich.

Maharet przyglądała mu się przedziwnie, jakby był dla niej tajemnicą. Potem spojrzała na innych i wreszcie przemówiła spokojnie:

- Byliście świadkami tego, jak nas rozdzielono. Wszyscy byliście świadkami. Widzieliście to w snach. Widzieliście, jak tłuszcz otoczyła mnie i moją siostrę; widzieliście, jak nas rozłączono i zamknięto w kamiennych trumnach, Mekare niezdolną do krzyku, z uciętym językiem, mnie z wyklutymi oczami, niezdolną popatrzeć na nią ostatni raz.

Widziałam ją poprzez myśli tych, którzy nas krzywdzili. Wiedziałam, że zaprowadzono nas na brzeg morza - Mekare na zachodni, mnie na wschodni.

Dziesięć nocy płynęłam zdana na łaskę fal i wiatru, zamknięta żywcem w kamiennej trumnie.

Wreszcie, kiedy tratwa zatonała i woda uniosła kamienne wieko, byłam wolna. Ślepa, umierająca z głodu, popłynęłam do brzegu i pierwszemu biednemu śmiertelnikowi, którego spotkałam, ukradłam oczy, by widzieć, i krew, by żyć.

A Mekare?... Rzucono ją do wielkiego zachodniego oceanu - na wody płynące ku krawędzi świata.

Mimo to szukałam jej od pierwszej nocy; szukałam w Europie, w Azji, w dżunglach południa i na zamarzniętych lądach północy. Szukałam jej wiek po wieku, i wreszcie, kiedy przebyłam zachodni ocean, śmiertelni również podjęli moje zabiegi w Nowym Świecie.

Nie znalazłam siostry. Nie znalazłam istoty śmiertelnej ani nieśmiertelnej, która by ją widziała lub słyszała jej imię. Dopiero w tym stuleciu, po drugiej wojnie światowej, w górskich dżunglach Peru samotny archeolog odkrył na ścianie płytkiej jaskini niepodważalne dowody obecności mojej siostry, obrazki wykonane jej ręką - prymitywne kolorowe figury, które opowiadały o naszym wspólnym życiu i o cierpieniach znanych wam wszystkim.

Te rysunki wryto na skale sześć tysięcy lat temu. Wtedy właśnie odebrano mi moją siostrę. Nie

znaleziono żadnych innych dowodów jej istnienia.

Mimo to nigdy nie rozstałam się z nadzieją, że ją odnajdę. Zawsze wiedziałem, jak potrafią to tylko bliźniaczki, że nadal przemierza tę planetę, że nie jestem tu sama.

W ciągu dziesięciu ostatnich nocy po raz pierwszy odnalazłam dowód, że wciąż jest ze mną.

Pojawiła mi się we śnie.

To są myśli Mekare; to są obrazy Mekare; rozgoryczenie i ból Mekare.

Cisza. Oczy wszystkich były utkwione w Maharet. Mariusz był spokojny, ale zdumiony.

Obawiał się, że znowu przyjdzie mu zabrać głos, ale to, co usłyszał, było gorsze, niż się spodziewał, i z przeraźliwą jasnością pojmował, co może po tym nastąpić.

Źródłem tych snów nie mógł być świadomy osobnik, który przeżył tysiąclecia; pochodziły raczej od kogoś o umysłowości zwierzęcia, dla kogo pamięć była jedynie bodźcem do działania, nie kwestionowanym, ale i nie rozumianym. To tłumaczyłoby ich wyrazistość, a także ich powtarzalność.

A niewyraźne wizje osoby idącej przez dżunglę to był obraz samej Mekare.

- Tak - natychmiast potwierdziła Maharet. - „Przez dżunglę. Idzie” - szepnęła. - To słowa umierającego archeologa, które napisał na świstku papieru i zostawił dla mnie. „Przez dżunglę.

Idzie”. Ale gdzie?

- W takim razie sny nie są celowo wysyłaną informacją. - Louis przerwał ciszę. W jego głosie słychać było lekki francuski akcent. - To mogą być po prostu krzyki torturowanej duszy.

- Nie. To celowe informacje - sprzeciwił się Khayman. - To ostrzeżenia. Są skierowane w równej mierze do nas, jak i do Matki.

- Ale jak możesz być tego pewien? - zapytała go Gabriela. - Nie wiemy, co ona teraz myśli ani nawet czy wie, że tu jesteśmy.

- Widziałam ją - wtrąciła dyskretnie znaczącym tonem Jesse, spoglądając na Maharet. -

Przekroczyła wpław wielką rzekę, przybywa. Widziałam ją! Nie, to nie tak. Widziałam to tak, jakbym nią była.

- Tak - potwierdził Mariusz. - Jej oczyma!

- Kiedy spuściłam wzrok, widziałam jej rude włosy - powiedziała Jesse. - Widziałam, jak dżungla ustępuje z każdym jej krokiem.

- Te sny muszą być przesłaniem - rzekł z nagłym zniecierpliwieniem Mael. - W innym wypadku

dla czego byłyby tak silne? Nasze prywatne myśli nie są obdarzone taką mocą. Ona unosi głos; ona chce, żeby ktoś dowiedział się, co ona myśli...

- A może jest opętana obsesją - powiedział Mariusz. - I dąży ku jakiemuś celowi. - Urwał. -

Żeby połączyć się z tobą, ze swoją siostrą! Czego innego mogłaby pragnąć?

- Nie - rzekł Khayman. - To nie jest jej cel. - Znowś spojrzał na Maharet. - Ona obiecała coś Matce i o tym właśnie mówią te sny.

Maharet przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu; wydawało się, że ta dyskusja o siostrze prawie przekraczała jej siły, niemniej jednak bez słów podjęła kolejną ciężką próbę.

- My byliśmy tam na początku - oznajmił Khayman. - Byliśmy pierwszymi dziećmi Matki i w tych snach jest zawarta opowieść o tym, jak to się zaczęło.

- W takim razie musisz nam powiedzieć... wszystko - rzekł Mariusz z całą łagodnością, na jaką potrafił się zdobyć.

- Tak - westchnęła Maharet. - Powiem. - Spojrzała na każdego po kolei i wróciła wzrokiem do Jesse. - Muszę opowiedzieć ci całą historię, żebyś zrozumiała, czemu nie możemy zapobiec.

Widzisz, to nie jest jedynie historia początku. To być może również historia końca. - Nagle westchnęła, jakby ta wizja przerastała jej siły. - Nasz świat nigdy nie widział takiego poruszenia -

wyznała, patrząc na Mariusza. - Muzyka Lestata, przebudzenie Matki, tak wiele zgonów.

Opuściła wzrok, jakby znowś zbierając siły. A potem popatrzyła na Khaymana i Jesse, których kochała najbardziej.

- Nigdy wcześniej o tym nie opowiadałam - rzekła, jakby prosząc o wyrozumiałość. - Widzę to teraz jak mitologię, wiedzę twardą i prostą, pochodzącą z tych czasów, kiedy byłam żywą istotą, kiedy mogłam oglądać słońce. W tej mitologii są zakorzenione wszystkie znane mi prawdy. A gdy się cofniemy, może znajdziemy przyszłość i sposób jej zmiany. Najmniej liczymy na to, że znajdziemy wyjaśnienia.

Zapadła głęboka cisza. Wszyscy w pełnym szacunku milczeniu czekali na pierwsze słowa.

- Na początku - powiedziała - moja siostra i ja byliśmy czarownicami. Rozmawialiśmy z duchami i duchy kochały nas. Aż ona przysłała do naszego kraju żołnierzy.

Rozdział trzeci

Opowieść Lestata - Królowa Niebios

Wypuściła mnie. Natychmiast zacząłem spadać w dół; wiatr wył mi w uszach. Ale najgorsze było to, że niczego nie widziałem! Usłyszałem, jak mówi do mnie:

- Wznieś się.

Przeżywałem chwilę całkowitej bezradności. Spadałem na ziemię i nic nie mogło mnie uchronić; wtedy zadarłem głowę do góry. Oczy mnie piekły, chmury zamykały się nade mną i przypomniałem sobie wieżę i uczucie towarzyszące wznoszeniu się. Podjąłem decyzję. W górę! -

rozkazałem w myślach. Opadanie ustało natychmiast.

Miałem wrażenie, że pochwycił mnie prąd powietrza. W jednej chwili uniosłem się kilkadziesiąt metrów, a potem chmury znalazły się pode mną - białe, ledwo widoczne światło. Zdecydowałem, że będę unosił się w miejscu. Dokąd zresztą miałem się udać? Mógłbym otworzyć w pełni oczy i widzieć mimo wiatru, ale bałem się bólu.

Słyszałem jej śmiech - w mojej głowie albo nad nią, nie wiem. Słyszałem jej głos:

- Rusz się, mój książę, wyżej!

Odwróciłem się i wystrzeliłem w górę; wtedy ujrzałem ją nadlatującą. Odzież furkotała, spowijając całą jej postać, wiatr łagodnie unosił ciężkie warkocze.

Złapała mnie i ucałowała. Staralem się uspokoić, trzymając się jej i patrząc w dół. Przez szpary w chmurach widziałem góry, pokryte śniegiem i oślepiające w blasku księżyca, z wielkimi sinymi zboczami ginącymi w głębokich kotlinach niezgłębionego śniegu.

- Podnieś mnie teraz - szepnęła mi do ucha. - Zanieś mnie na północny zachód.

- Nie wiem, gdzie to jest.

- Ależ wiesz. Ciało wie. Twój umysł. Nie pytaj gdzie. Powiedz im, że to tam, dokąd pragniesz się udać. Znasz zasady. Kiedy poderwałeś swoją strzelbę i patrzyłeś na biegnącego wilka, nie obliczałeś dystansu ani szybkości kuli; strzeliłeś, a wilk padł.

Znów uniosłem się z tą samą niewiarygodną pewnością siebie, a potem zdałem sobie sprawę, że Akasza zaciążyła mi w ramionach.

Nie spuszczała ze mnie wzroku, ponaglała do dalszej podróży. Uśmiechnąłem się, a może się roześmiałem. Uniosłem ją i ucałowałem, kontynuując nieprzerwany wzlot. Ku północnemu zachodowi - rozkazałem sobie. To jest na prawo, jeszcze raz na prawo i wyżej. Mój umysł

wiedział o tym, znał terytorium, nad którym się przemieszczaliśmy. Zrobiłem ciasny zręczny zwrot, a potem następny; obracałem się, przyciskając ją do siebie, wręcz zachwycony ciężarem jej ciała i naporem piersi. Jej usta znów delikatnie spoczęły na moich.

- Słyszysz? - zapytała, przysuwając je do mojego ucha.

Słuchałem; początkowo wiatr wymazywał wszystko, a potem dobiegł mnie głuchy chór z ziemi, monotonny śpiew ludzkich gardeł. Słyszałem modlitwy w jakimś azjatyckim języku, najpierw z

niesłychanej dali, a potem z bardzo bliska. Rozróżniłem dwa dźwięki. Pierwszy wydawała długa procesja wiernych śpiewających dla dodania sobie ducha, mimo znużenia i zimna brnących przez górskie przełęcze i zbocza. A z wnętrza jakiegoś budynku dochodził głośny ekstatyczny chór, zawodzący bez opamiętania, zagłuszający brzęk cymbałów i łomot bębnow.

Przytuliłem jej głowę do siebie i spojrzałem w dół, ale chmury zamieniły się w gęsty biały pokrowiec. Mimo to za pośrednictwem umysłów wiernych widziałem roziskrzony dziedziniec i świątynię o marmurowych łukach i rozległych wymalowanych pomieszczeniach. Procesja wiła się w kierunku świątyni.

- Chcę to zobaczyć! - powiedziałem. Nie odpowiedziała, ale też nie zatrzymała mnie, kiedy zanurkowałem w dół, wyciągając się w powietrzu jak lecący ptak i opadając bez ustanku, aż znaleźliśmy się w środku chmur. Znow stała się lekka, jakby nic nie ważyła.

Kiedy opuściliśmy morze bieli, zobaczyłem w dole, na pagórkowatym terenie pod krętymi murami, połyskliwą świątynię, jakby miniaturowy gliniany model samej siebie. Smród płonących ciał unosił się ze stosów pogrzebowych. Ku temu skupisku dachów i wież jak okiem sięgnąć szli góorskimi niebezpiecznymi ścieżkami mężczyźni i kobiety.

- Powiedz mi, kto jest w środku, mój książę - rozkazała. - Powiedz mi, kto jest bogiem tej świątyni.

Zobacz! - wydałem w myślach rozkaz. - Zbliź się.

Stara sztuczka, ale natychmiast zacząłem spadać. Wrzasnąłem straszliwie. Złapała mnie.

- Uważaj, mój książę - napomniała mnie, przytrzymując.

Myślałem, że serce mi pęknie.

- Nie możesz opuścić ciała, by zajrzeć do świątyni, i równocześnie lecieć. Spójrz oczami śmiertelnych, jak to robiłeś przedtem.

Nadal się trząsałem, ściskając ją kurczowo.

- Jeśli się nie uspokoisz, znowu cię puszcę - rzekła łagodnie. - Powiedz swojemu sercu, czego chcesz.

Westchnąłem ciężko. Nagle poczułem ból całego ciała, spowodowany siłą wiatru. Oczy znowu piekły mnie mocno i nic nie widziałem. Starąłem się pokonać te drobne dolegliwości lub raczej zignorować je, jakby nie istniały. Złapałem ją mocno i ruszyłem w dół, powiadając sobie, że ma się to odbywać powoli, a potem jeszcze raz spróbowałem odnaleźć umysły śmiertelnych. Wtedy zobaczyłem to, co oni widzieli: złoczone ściany, zdobione łuki, wszystkie powierzchnie pyszniące się dekoracjami; poczułem woń kadzideł zmieszana z zapachem świeżej krwi. W niewyraźnych przeblyskach ujrzałem jego, „boga świątyni”.

- Wampir - szepnąłem. - Ssący krew wampir. Przyciąga ich do siebie i morduje, kiedy mu się spodoba. Ten pałac cuchnie śmiercią.

- Będzie tu więcej śmierci - szepnęła, całując czuję moją twarz. - Teraz bardzo szybko, tak szybko, żeby oczy śmiertelnych nie zdążyły cię dojrzeć. Sprowadź nas na dół, na dziedziniec obok stosu pogrzebowego.

Przysięgam, stało się to, zanim podjąłem decyzję; wystarczyło mi zaledwie rozważyć tę myśl!

Już uderzałem o szorstką gipsową ścianę, już miałem pod stopami twarde kamienie; byłem cały rozdygotany; w głowie mi się kręciło, wnętrzności skręcały się z bólu. Ciało chciało nadal spadać przez zwartą skałę.

Osuwając się pod ścianą, usłyszałem śpiewy, zanim cokolwiek ujrzałem. Czułem zapach ognisk i płonących trupów; potem zobaczyłem płomienie.

- To było bardzo niezdarne, mój książę - rzekła łagodnie. - O mało nie uderzyliśmy w mur.

- Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło.

- Ach, oto klucz - powiedziała - słowo „dokładnie”. Duch w tobie wypełni polecenia szybko i do końca. Zastanów się nad tym. Kiedy spadasz, nie przestajesz słyszeć i widzieć; następuje to po prostu szybciej, niż sądzisz. Czy wiesz, która reguła mechaniki sprawia, że możesz pstryknąć palcami? Nie, nie wiesz. A jednak potrafisz; to zrobić. Nawet dziecko to potrafi.

Skinałem głową. Zasada była jasna jak słońce.

- To jedynie sprawa stopniowania - powiedziałem.

- Oraz poddania się, wyzbytego strachu poddania.

Skinałem głową. Prawdę mówiąc, chciałem paść na miękkie łożo i spać. Zamrugałem na widok buchającego wysoko ognia i ciał czerniejących w płomieniach. Jedno z nich nie było martwe; ujrzałem unoszące się ramię i zaciśnięte palce. Biedaczysko. Już po wszystkim.

Musnęła mnie dłonią po policzku. Dotknęła ust, wygładziła zmierzwiłone włosy.

- Nigdy nie miałeś nauczyciela, prawda? - zapytała. - Magnus osierocił cię w dniu stworzenia, ojciec i bracia byli durniami, a twoja matka nie cierpiała swoich dzieci.

- Zawsze byłem sam sobie nauczycielem - rzekłem sucho. - I muszę wyznać, że zawsze byłem też swoim ulubionym uczniem.

Śmiech.

- Może był jakiś mały spisek między uczniem i nauczycielem. Sam jednak przyznałeś, że nigdy nie było nikogo innego.

Uśmiechała się do mnie. W jej oczach igrał ogień. Twarz miała świetlistą, przerażająco piękną.

- Poddaj się - powiedziała. - Nauczę cię rzeczy, o jakich nigdy ci się nie śniło. Nigdy nie poznałeś bitwy. Prawdziwej bitwy. Nigdy nie zasmakowałeś czystości słusznej sprawy.

Nie odpowiedziałem. Czulem zawroty głowy, nie tylko z racji długiej podróży w powietrzu, ale także pod wpływem łagodnej pieszczoty jej słów i bezdennej czerni oczu. Miało się wrażenie, że źródłem jej urody jest słodycz i spokój nieruchomego spojrzenia, nawet wtedy, kiedy rysy tej połyskliwej białej twarzy zmieniły się nagle w uśmiechu lub pod wpływem subtelnego wzburzenia. Wiedziałem, że jeśli na to pozwolę, niebawem będę przerażony rozwojem wydarzeń.

Ona z pewnością o tym wiedziała. Znow wzięła mnie w ramiona.

- Pij, książę - szepnęła. - Nabierz sił, które musisz mieć, które nakazuję ci mieć.

Nie wiem, jak długo to trwało. Kiedy się odsunęła, byłem przez chwilę otumaniony, potem jasność zatriumfowała jak zwykle. Monotonna muzyka wciąż dudniła za ścianami świątyni.

- Azim! Azim! Azim!

Kiedy pociągnęła mnie za sobą, wydawało mi się, że moje ciało istnieje już tylko we wspomnieniu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że mam twarz, kości, jakieś materialne „ja”; ale ta skóra, to doznanie! Były kompletnie nowe. Co ze mnie zostało?

Drewniane drzwi otworzyły się przed nami jak zaczarowane. Bezszelestnie wkroczyliśmy do długiego korytarza z białymi marmurowymi pilastrami i ozdobnymi łukami, stanowiącego jedynie obrzeże gigantycznej sali. Wypełniali ją oszaleli, wrzeszczący wierni, którzy nawet nas nie czując ani nie dostrzegając naszej obecności, dalej tańczyli, śpiewali, podskakiwali w nadziei, że ujrzą swojego jednego jedynego boga.

- Trzymaj się mojego boku, Lestacie - powiedziała. Jej głos przeszył upiorną wrzawę, jakby dotknęła mnie aksamitna rękawiczka.

Tłum rozdzielił się gwałtownie, rozepchnięty na prawo i lewo. Wrzaski natychmiast zastąpiły śpiewy; w sali zapanował chaos, kiedy przed nami otworzyła się ścieżka wiodąca ku środkowi pomieszczenia. Cymbały i bębny zamilkły; otoczyły nas jęki i zduszone, żalodne okrzyki.

Rozszedł się jeden wielki szmer zachwytu. To Akasza wystąpiła na otwartą przestrzeń i odrzuciła czarny welon.

Wiele metrów dalej, na środku ozdobnej posadzki, stał krwawy bóg, Azim, odziany w czarny jedwabny turban i szatę obsypaną klejnotami. Kiedy spojrzał na Akaszę i na mnie, wściekłość wykrzywiła mu twarz.

Rozległy się modlitwy; chrapliwy głos zaintonował hymn ku czci „wiecznej macierzy”.

- Milczeć! - rozkazał Azim. Nie znałem tego języka, ale rozumiałem, co mówił.

W jego głosie słyszałem odgłos ludzkiej krwi; widziałem, jak mknie jego zębami. W istocie nigdy nie

spotkałem wampira ani nawet zwyczajnego krwio pijcy tak opitego krwią; z pewnością dorównywał wiekiem Mariuszowi, jednakże jego skóra miała ciemnozłoty połysk. Cały był

pokryty cienką warstwą krwi.

- Jak śmiałaś wejść do mojej świątyni! - powiedział; nie miałem pojęcia, w jakim języku przemawia, ale telepatia znów sprawiła, że znakomicie go rozumiałem.

- Teraz umrzesz! - rzekła Akasza nieskończenie łagodnym tonem. - Ty, który zwiódłeś tych niewinnych biedaków, który pasłeś się ich życiem i krwią jak spęczniała pijawka.

Z tłumu rozległy się wrzaski wiernych błagające o litość. Azim powtórnie nakazał im milczenie.

- Jakim prawem potępiasz mój kult - zawołał, wskazując nas palcem - ty, która milczałaś, siedząc na tronie od początku czasu.

- Czas nie zaczął się wraz z tobą, mój przeklęty piękniś - odparła Akasza. - Byłam stara, kiedy się urodziłeś. Teraz powstałam, aby rządzić tak, jak było mi sądzone, a ty umrzesz, żeby twój lud miał nauczki. Jesteś moim pierwszym wielkim męczennikiem. Umrzesz w tej chwili!

Usiłowałem podbiec do niej, a ja próbowałem stanąć między nimi; wszystko jednak nastąpiło tak szybko, że nawet wzrok za tym nie nadążał. Złapała go jakimś niewidzialnym sposobem i cisnęła przed siebie. Azim prześlizgnął się po marmurowej posadzce i zachwiał, niemal padając, a potem zatańczył, łapiąc równowagę.

Z jego gardła wydobył się charkot i krzyk. Najpierw zapaliło się jego odzienie, a potem dym wzbil się z niego samego, siny, cienki, wijący się w mroku. Przerażony tłum zaczął wyć i pisać, a Azim wił się, pożerany przez płomień. Nagle wyprostował się, wbił w nią spojrzenie i rzucił się ku niej z wyciągniętymi rękami.

Chciałem ją osłonić własnym ciałem, ale szybkim ruchem ręki pchnęła mnie w ludzki rój.

Znalazłem się wśród półnagich ciał, usuwających mi się z drogi, kiedy łapałem równowagę.

Po chwili ujrzałem go skulonego niecały metr od niej, bryzgającego śliną i usiłującego pokonać jakąś niewidzialną i niezwyciężoną moc, która broniła mu do niej dostępu.

- Giń, przeklęty! - zawołała. - Idź w czeluść zatracenia, którą teraz dla ciebie tworzę.

Głowa Azima rozpękała się. Ze zgruchotanej czaszki buchnęły dym i płomień. Jego oczy szerniały, a całe ciało zapłonęło w jednym błysku. Padł, zachowując ludzkie kształty, grożąc jej pięściami i podwijając nogi, jakby zamierzał znów się podnieść. Potem jego postać znikła w wielkim oranżowym błysku.

Panika opanował tłum, tak jak wtedy, na koncercie, kiedy wybuchł płomień, a Gabriela, Louis i ja uciekliśmy.

Jednak tu histeria była znacznie groźniejsza. Ciała rozbijały się o wysmukłe marmurowe pilastry. Ci, którzy upadli, byli natychmiast miażdżeni przez tłum pędzący do drzwi.

Akaszka wykonała pełny obrót, jej ubiór uniósł się w krótkim tańcu czarnych i białych jedwabii, a ludzie padali w konwulsjach na podłogę, jakby powaleni niewidzialną dłonią. Kobiety patrzące na powalone ofiary wyły i rwały włosy z głowy.

Niemal natychmiast pojąłem, co się dzieje. Zabijała mężczyzn, nie ogniem, lecz jakimś niewidzialnym uderzeniem w główne narządy. Kiedy ginęli, krew tryskała im uszami i oczami.

Kilka rozwścieczonych kobiet rzuciło się na nią, ale spotkał je identyczny los. Atakujący mężczyźni ginęli natychmiast.

Wtedy usłyszałem w głowie jej głos:

- Zabij ich, Lestacie. Wybij samców do nogi.

Byłem sparaliżowany. Stałem obok niej, na wypadek, gdyby któryś się zbliżył. Byli jednak bez szans; oglądałem coś gorszego niż senna zmora, niż te głupie koszmary, w których uczestniczyłem przez całe moje przeklęte życie.

Nagle znów stała przede mną, ściskając mnie za ramiona. Jej miękki głos był jedynym dźwiękiem, który opływał mój mózg:

- Mój księżę, miłości moja. Zrobisz to dla mnie. Wybij samców, tak by legenda o tym, jak zostali ukarani, przerosła legendę tej świątyni. To kaci krwawego boga. Kobiety są bezradne.

Ukarz samców w moim imieniu.

- Och, proszę, nie żądaj tego ode mnie - szepnąłem. - To nieszczęśni ludzie!

Tłum stracił ducha. Ci, którzy uciekli na tylny dziedziniec, znaleźli się w pułapce. Trupy leżały wszędzie wokół nas, podczas gdy nieświadoma niczego masa u bram wydawała żalosne okrzyki.

- Akaszo, proszę, pozwól im odejść - powiedziałem. Czy kiedykolwiek w życiu błagałem o coś tak jak teraz? Co to biedne istoty miały z nami wspólnego?

Przysunęła się bliżej. Jej czarne oczy zasłoniły mi cały świat.

- Miłości moja, to boska wojna. Nie obrzydliwe karmienie się ludzkim życiem, jak robiłeś noc po nocy, bez planu i żadnego powodu poza chęcią przetrwania. Teraz zabijaj w moim imieniu i dla mojej sprawy; daję ci największą wolność, jaką kiedykolwiek otrzymał człowiek: mówię ci, że zabijanie twoich śmiertelnych braci jest słuszne. Użyj nowej mocy, którą ci dałam. Wybieraj ofiary jedną po drugiej, używaj niewidzialnej mocy lub siły rąk.

W głowie mi wirowało. Czy miałem taką moc, by wybić mężczyzn tu, na miejscu? Rozejrzałem się po zadymionej sali, pełnej woni kadzideł wzbijającej się z czar oraz skotłowanych ciał.

Ogarnięci zgrozą mężczyźni i kobiety szukali ratunku we wzajemnych objęciach; inni wczolgiwali się w kąty, jakby mogli tam być bezpieczni.

- Ich życie nie ma już sensu, może tylko posłużyć innym za nauczkę - powiedziała. - Czyń, jak rozkazuję.

Wtedy chyba miałem wizję; z pewnością bowiem nie było to nic płynącego z mojego serca lub umysłu; ujrzałem przed sobą cienką wysuszoną postać; zagryzłem zęby, przesywając ją wzrokiem, koncentrując zaciekłość i złość jak promień lasera, a wtedy ofiara uniosła się nad podłogą i przeleciała w tył, bryzgając krwią z ust i bez życia padła na podłogę. To było jak spazm, a równocześnie nastąpiło bez wysiłku, jak krzyk, jak niewidzialne i potężne przerzucenie głosu nad wielką przestrzenią. Słyszałem w głowie głos:

- Tak, zabij ich. Mierz w czułe organy; rozszarpuj ich; wytaczaj z nich krew. Wiesz, że zawsze tego chciałeś. Zabijaj, jakby byli niczym, niszczone bez skrępowań i wahania!

To była prawda, całkowita prawda; ale było to też zakazane, zakazane jak nic na świecie...

Znów ten bezcielesny głos:

- Miłości moja, to tak powszechne jak głód; tak powszechne jak czas. Teraz masz moją moc i mój rozkaz. Ja i ty wyznaczymy kres tej żądzy za pomocą naszych czynów.

Młody człowiek runął na mnie oszalały, wyciągając dłonie, by złapać mnie za gardło.

- Zabij go - powiedział głos Akaszy w mojej głowie.

Przeklinał mnie, kiedy odepchnąłem go niewidzialną mocą, czując spazm głęboko w gardle i brzuchu, a potem nagły uścisk w skroniach; czułem, jak to go dotyka, jak wylewa się ze mnie, czułem to tak namacalnie, jakbym przenikał mu czaszkę palcami i wyciskał mózg. Oglądanie tego byłoby obrzydliwe, ale nie było takiej potrzeby. Wystarczyło mi tylko, że widziałem, jak krew bucha mu z ust i z uszu i jak spływa po nagim torsie.

Och, miała rację, jak zawsze, bo pragnąłem tego bez opamiętania! Marzyłem o tym w moich najwcześniejszych śmiertelnych latach! Sama czysta rozkosz zabijania, zabijania ich pod wszystkimi imionami, które brzmiały jednakowo - nieprzyjaciel - zabijania tych, którzy na to zasługiwali, tych, którzy po to się rodzili, zabijania z pełną mocą, podczas gdy moje ciało zamieniało się w jeden twardy mięsień, zęby były zaciśnięte, a nienawiść i niewidzialna siła stapiały się w jedno.

Pierzchali we wszystkich kierunkach, ale to tym bardziej mnie rozpłomieniło. Przyciągałem ich z powrotem, rozbijałem o ściany. Mierzyłem niewidzialnym jęzorem w serca i słyszałem, jak pękają. Obracałem się wkoło nie raz i nie dwa, celując starannie, jednocześnie w tego i w tamtego, i w jeszcze jednego, który biegł przez próg, i w jeszcze jednego, który pędził

korytarzem, i w jeszcze jednego, który zerwał lampę z łańcuchów, głupiec, i rzucił we mnie.

Z odświeżającą łatwością goniłem ich po odległych komnatach świątyni, po stosach złota i srebra,

rzucałem ich na plecy jakby długimi niewidzialnymi palcami, a potem zaciskałem je na ich arteriach, aż krew tryskała z pękających ciał.

Część kobiet zbiła się w kłęb i łkała; inne uciekły. Depcząc po trupach, słyszałem trzask kości.

Zdałem sobie sprawę, że ona też zabija, że robimy to razem i że sala jest pełna kalek i umarłych.

Gęsty, cuchnący odór krwi przenikał wszystko; wszędzie rozlegały się słabnące, rozpaczliwe krzyki.

Jakiś wielkolud runął na mnie z wybałuszonymi oczami i usiłował mnie zatrzymać wielkim, krzywym mieczem. Rozwścieczony wyrwałem mu oręż i odrąbałem głowę. Ostrze przeszło przez kość, pękając, po czym głowa oraz złamana klinga upadły u moich stóp.

Kopnięciem utorowałem sobie drogę. Wyszedłem na korytarz i spojrzałem na tych, którzy cofali się przede mną, ogarnięci grozą. Postradałem sprawność umysłu, postradałem sumienie.

Gonienie ofiar stało się bezmyślną zabawą. Osaczałem ich, odrzucałem kobiety, za którymi się chowali lub które same podjęły żalosne próby osłonięcia ich, i kierowałem moc we właściwe miejsce, pompując ją, aż nieruchomieli.

Frontowa brama! Słyszałem wołanie Akaszy. Mężczyźni na dziedzińcu byli martwi; kobiety płakały, rwąc sobie włosy z głów. Szedłem przez ruiny świątyni, mijając płaczki i zmarłych, nad którymi rozpaczały. Tłum przy wrotach klęczał w śniegu, nieświadomy tego, co wydarzyło się wewnątrz, i błagał rozpaczliwie.

- Dopuszczcie nas do sali pana, dopuszczcie nas do wizerunku i głodu pana!

Na widok Akaszy uderzyli w jeszcze głośniejszy ton. Kiedy zamki puściły i wrota się rozwarły, wyciągali ręce, by dotknąć jej szat.

Wiatr wył na przełęczy; dzwon na wieży dźwięczał pusto, słabo.

Znów słałem ich pokotem na ziemię, miażdżąc mózgi, serca i arterie. Nawet wiatr cuchnął

krwią. Głos Akaszy przebił się przez straszliwy wrzask, nakazując kobietom, by się wycofały.

Zabijałem tak szybko, że przestałem to widzieć. Mężczyźni. Mężczyźni muszą umrzeć.

Śpieszyłem się ku ostatecznemu rozwiązaniu, żeby każde stworzenie płci męskiej, które się poruszało, drgnęło lub zajęczało, zostało zabite.

Szedłem krętym szlakiem jak anioł z niewidzialnym mieczem. Aż wreszcie padli na kolana na całej długości zbocza i czekali na śmierć. Godzili się na nią z upiorną biernością!

Niespodziewanie poczułem jej uścisk, chociaż nie było jej nigdzie w pobliżu. W głowie usłyszałem słowa:

- Dobra robota, mój książę.

Nie mogłem się zatrzymać. To niewidzialne coś stało się teraz częścią mnie samego. Nie mogłem tego cofnąć i ukryć w sobie. Ona jednak uwięziła mnie w bezruchu i wtedy ogarnął mnie wielki spokój, jakby wstrzyknięto mi w żyły narkotyk. Wreszcie się uspokoilem, moc skupiła się we mnie, stała częścią mnie i niczym więcej.

Odwrociłem się powoli. Popatrzyłem na czyste śnieżne wierzchołki, na idealnie czarne niebo i długie pasmo trupów ścielącej się na szlaku od wrót świątyni. Kobiety lgnęły jedna do drugiej, łkając i nie wierząc własnym zmysłom albo wydając ciche, straszliwe jęki. Czulem woń śmierci jak nigdy dotąd; opuściłem wzrok na strzępki ciała i strugi posoki plamiące moją odzież. A moje ręce! Moje ręce były niezwykle białe i czyste. Nie - pomyślałem - nie zrobiłem tego! Nie ja. Nie zrobiłem tego. Moje ręce są czyste!

Och, ale przecież zrobiłem to! Kimże jestem, jeśli byłem do tego zdolny? Tym, który uwielbiał to robić, uwielbiał wbrew rozsądkowi, uwielbiał, jak ludzie zawsze to uwielbiali, dążąc do absolutnej wolności wojny...

Wydawało się, że zapadła cisza.

Jeśli nawet jakieś kobiety płakały, to ja ich nie słyszałem. Nie słyszałem też wiatru. Poruszałem się, chociaż nie wiedziałem jak. Ukląkłem i wyciągnąłem dłoń ku ostatniemu mężczyźnie, którego zabiłem, leżącemu na śniegu jak połamana wiązka patyków; przeciągnąłem dłonią po zakrwawionych ustach, rozsmarowałem krew na rękach i przycisnąłem je do twarzy.

Przez dwieście lat nie zdarzyło mi się zabić i nie posmakować krwi, nie wziąć jej w siebie razem z życiem. To straszny czyn. W ciągu tych upiornych chwil umarło więcej, niż kiedykolwiek posłałem do przedwczesnych grobów. Stało się to tak łatwo, jak się myśli i oddycha. Och, żadna pokuta tego nie wymaże! Żadne usprawiedliwienie nie zatrze!

Stałem wpatrzony w swe zakrwawione palce i w śnieg; łkałem, chociaż jednocześnie byłem na siebie wściekły. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że nastąpiła jakaś zmiana. Coś działo się wokół mnie i miałem takie wrażenie, jakby zimne powietrze się ogrzało, a wiatr ucichł i zostawił w spokoju strome zbocze.

Zmiana objęła również mnie, łagodząc niepokój i nawet spowalniając bicie serca.

Płacze ustały! Kobiety szły dwójkami i trójkami w dół szlaku, jakby w transie, mijając umarłych. Można by pomyśleć, że rozlega się słodka muzyka i ziemia nagle obrodziła wiosennym kwieciami wszelkiego koloru i kształtu, a powietrze stało się wonne ponad wszelkie wyobrażenie.

Jednak czy naprawdę nic się nie stało? Kobiety mijaly mnie w poblasku przygaszonych kolorów, w szmatach i jedwabiach, w ciemnych płaszczach. Otrząsnąłem się. Musiałem myśleć trzeźwo!

Nie czas na dezorientację. Ta moc i te trupy nie były snem i nie mogłem, nie mogłem poddać się przemożnemu ukojeniu i spokojowi.

- Akaszo! - szepnąłem.

Podniosłem wzrok, nie dlatego że chciałem, ale dlatego, że musiałem, i ujrzałem ją stojącą na dalekim wzniesieniu, a kobiety, młode i stare, szły ku niej. Niektóre były tak osłabione z zimna i głodu, że inne musiały je nieść.

Zapadła cisza.

Akasza bez słów zwróciła się do zgromadzonych. Może używała ich języka, a może uczyniła to inaczej, bez związku z żadnym konkretnym językiem. Nie potrafię powiedzieć.

Oszołomiony patrzyłem, jak wyciąga ku nim ramiona. Czarne włosy opadały jej na plecy, a fałdy prostej szaty ledwo się poruszały w lekkim wietrze. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego jak ona. Jej uroda nie stanowiła tylko sumy fizycznych zalet, lecz była w jej czystym pogodnym spokoju, w samej esencji jej istoty, którą dostrzegałem duszą mojej duszy.

Kiedy mówiła, ogarnęła mnie cudowna euforia.

- Nie lękajcie się - rzekła im. - Nastął kres panowania waszego boga i teraz możecie wrócić ku prawdzie.

Wśród wiernych rozległy się ciche hymny. Niektóre kobiety upadły przed nią na kolana. To chyba sprawiało jej przyjemność, a z pewnością nie miała nic przeciwko temu.

- Teraz musicie wrócić do wiosek - rzekła. - Musicie opowiedzieć tym, którzy wiedzieli o bogu krwi, że umarł. Zniszczyła go królowa niebios i zniszczy ona wszystkich mężczyzn, którzy nadal w niego wierzą. Królowa sprowadzi na ziemię nowe panowanie pokoju. Śmierć czeka tych mężczyzn, którzy znęcali się nad wami, ale musicie poczekać na mój znak.

Kiedy przerwała, znów rozległy się hymny o Królowej Niebios, Bogini, Dobrej Matce. Stara liturgiczna pieśń śpiewana w tysiącach języków na całym świecie znajdowała nową formę.

Otrząsnąłem się. Zrobiłem to świadomie. Musiałem zrozumieć ten urok! To była sztuczka mocy, tak jak zabijanie było sztuczką mocy - czymś definiowalnym i dającym się zmierzyć, a jednak nadal czułem się odurzony jej widokiem, hymnami, pieszczącym uściskiem tego uczucia, że wszystko jest dobrze, wszystko jest takie, jak być powinno. Wszyscy jesteśmy bezpieczni.

Z rozjaśnionych słońcem głębokich pokładów śmiertelnej pamięci powrócił dzień podobny do wielu innych wcześniej, kiedy w maju w naszej wiosce koronowaliśmy posążek Maryi Dziewicy wśród rzędów słodko pachnących kwiatów, przy wtórze cudownych pieśni. Ach, cóż to był za uroczy moment, kiedy podnoszono koronę białych lilii i wkładano ją na osłoniętą welonem głowę Maryi. Wieczorem wracałem do domu, śpiewając te hymny. W starej książeczce do nabożeństwa znalazłem obrazek Dziewicy i nappełnił mnie takim zachwytem i cudownym religijnym zapałem, jaki czułem teraz.

Z jeszcze dalszej głębi mojego „ja”, stamtąd, dokąd słońce nigdy nie zajrzało, napłynęła myśl, że

jeśli wierzę w nią i w to, co mówi, to w takim razie ten czyn, którego nie sposób opisać, ta rzeźnia, której dokonałem na kruchych i bezbronnych śmiertelnych, będzie jakoś odkupiona.

„Teraz zabijaj w moim imieniu i dla mojej sprawy; daję ci największą wolność, jaką kiedykolwiek otrzymał człowiek: mówię ci, że zabijanie twoich śmiertelnych braci jest słuszne”.

- Idźcie - rzekła. - Opuśćcie na zawsze świątynię. Zostawcie zmarłych śniegowi i wiatrowi.

Powiedzcie ludziom, że nadchodzi nowa era, w której mężczyźni, którzy sławią śmierć i zabijanie, zbiorą swoje żniwo; a era pokoju będzie wasza. Wróć do was. Wskażę wam drogę.

Oczekujcie mojego przyjścia. Wtedy powiem wam, co musicie uczynić. Na razie wiercie we mnie i w to, co ujrzałyście. I powiedzcie innym, by też uwierzyli. Niech mężczyźni przybędą i ujrzą to, o czym im opowiecie, a wy czekajcie na znaki ode mnie.

Ruszyły razem, aby spełnić jej polecenie; zbiegły górkim szlakiem ku wiernym, którzy uciekli przed masakrą; ich wołania - przenikliwe i ekstatyczne - rozległy się w śnieżnej pustce.

Wysoko na wzgórzu dzwon świątynny wydał kolejny głuchy dźwięk. Wiejący w dolinie wiatr szarpał skąpym odzieniem umarłych. Zaczął padać śnieg; stopniowo gęstniał, zakrywając brązowe kończyny i twarze, twarze z otwartymi oczami.

Dobre samopoczucie odpłynęło. Trzeba było stanąć twarzą w twarz z ponurą rzeczywistością. Te kobiety, to nawiedzenie... Trupy na śniegu! Niezaprzeczalne dowody mocy, niszczycielskiej i niepowstrzymanej.

Łagodny dźwięk złamał ciszę; to był odgłos przedmiotów roztrzaskujących się w wyniosłej świątyni, spadających i pękających na kawałki.

Pękały dzbany z oliwą, przewracały się kadzielnice. Ogień rozprzestrzenił się z cichym szeptem. Wreszcie ujrzałem dym, gęsty, czarny, bijący z dzwonnicy i znad całego tylnego muru.

Dzwonnica zadrżała; wielki huk odbił się echem od dalekich skalnych zboczy; a potem posypały się głązy i dzwonnica runęła w dolinę, a dzwon z ostatnim uderzeniem serca znikł w puszystej białej przepaści.

Ogień pożarł świątynię.

Nie mogłem oderwać od niej oczu, chociaż zachodziły mi łzami od dymu pędzonego w dół

szlaku wraz z drobinami popiołu i sadzy.

Mimo padającego śniegu nie było mi zimno. Nie byłem też wyczerpany po trudzie zabijania.

Natomiast moje ciało stało się bielsze niż kiedykolwiek. Nabierałem powietrza tak umiejętnie, że nie słyszałem swojego oddechu; nawet serce biło mi łagodniej, równiej. Tylko dusza była posiniaczona i obolała.

Po raz pierwszy w życiu, zarówno śmiertelnym, jak i nieśmiertelnym, bałem się, że mogę umrzeć. Obawiałem się, że ona może mnie zniszczyć, i to nie bez powodu, gdyż wiedziałem, że już nigdy nie powtórzę tego, co zrobiłem. Nie mogłem być częścią jej planu. Modliłem się, żebym nie był do tego zmuszony, żebym miał siłę odmówić.

Poczułem jej dłonie na moich ramionach.

- Odwróć się i spójrz na mnie, Lestacie - rzekła.

Wykonałem jej polecenie. Oto miałem przed sobą najbardziej uwodzicielskie piękno, jakie kiedykolwiek wiedziałem.

- Jestem twoja, miłości moja - mówiła bez słów. - Jesteś moim jedynym towarzyszem, moim najdoskonalszym instrumentem. Wiesz o tym, czyż nie tak?

Znów przywołałem na pomoc rozsądek. Gdzie jesteś, Lestacie! Czy zamierzasz uchylić się przed otwarciem swojego serca?

- Akaszo, pomóż mi - szepnąłem. - Powiedz mi, czemu chciałaś, żebym zabijał? Co miały znaczyć tamte słowa, że mężczyźni będą ukarani? Że na ziemi zapanuje pokój? - Jakże głupio brzmiały moje słowa. Patrząc w jej oczy, nadal wierzyłem, że jest boginią. Miałem wrażenie, że wysysa ze mnie przekonanie o własnej słuszności, jakby to była tylko krew.

Nagle zatrząsałem się ze strachu. Po raz pierwszy odczułem, co znaczy „trząść się ze strachu”.

Wreszcie wyrzuciłem z siebie:

- W imię jakiej moralności?

- W imię mojej moralności! - odpowiedziała, a jej nieznaczny uśmiech był równie piękny jak uprzednio. - Ja stoję za tym wszystkim, ja jestem powodem, usprawiedliwieniem, prawem! -

Gniew sprawił, że miała lodowaty głos, ale jej oblicze pozostało nieruchome i słodkie. - Teraz posłuchaj mnie, piękny. Kocham cię. Obudziłeś mnie z długiego snu i dla wielkiej sprawy; wystarczy mi spojrzeć na ciebie, by zakosztować radości, wystarczy mi zobaczyć światło twoich niebieskich oczu, usłyszeć dźwięk twojego głosu. Widok twojej śmierci sprawiłby mi ból, jakiego nie potrafiłbyś pojąć. Wzywam jednak gwiazdy na świadków, pomożesz mi w mojej misji lub będziesz jedynie instrumentem początku, jak Judasz dla Jezusa Chrystusa. I zniszczę cię, jak Chrystus zniszczył Judasza, kiedy tylko przestaniesz być użyteczny.

Opanowała mnie furia. Nie potrafiłem się powstrzymać. Lęk niezwykle szybko przerodził się w gniew, wszystko we mnie wrzało.

- Jak śmiesz mówić takie rzeczy! - powiedziałem. - Jak możesz wysyłać te nieświadome niczego dusze, napoiwszy je szalonymi kłamstwami!

Przypatrywała mi się w milczeniu z posagową twarzą; wydawało się, że mnie zmiecie.

Pomyślałem: - No cóż, nastąpiła ta chwila. Umrę jak Azim. Nie uratuję Gabrieli ani Louisa. Nie uratuję Armanda. Nie będę walczył, bo to na nic. Nie poruszę się, kiedy to nastąpi. Może zagłębię się mocno w sobie, jeśli będę musiał uciec przed bólem. Znajdę jakąś iluzję, jak zrobiła to Mała Jenks, i będę się jej kurczowo trzymał, aż przestanę być Lestatem.

Nie poruszyła się. Ogień na wzgórzu nadal płonął, a śnieg gęstniał.

- Naprawdę nie boisz się niczego? - powiedziała.

- Boję się ciebie.

- Och, nie, nie sędzę.

- Boję się - skinąłem głową. - Powiem ci, kim jestem naprawdę. Robakiem na obliczu ziemi.

Niczym więcej. Obmierzłym zabójcą ludzkich istot. Ale ja wiem, kim jestem! Nie udaję kogoś innego! Powiedziałaś tym nieświadomym ludziom, że jesteś Królową Niebios! Jak zamierzasz odkupić te słowa i do czego one doprowadzą głupie i niewinne umysły?

- Co za arogancja - powiedziała łagodnie. - Co za niewiarygodna arogancja. A mimo to kocham cię. Kocham twoją odwagę, nawet lekkomyślność, która zawsze była twoim zbawieniem.

Kocham nawet twoją głupotę. Nie rozumiesz? Nie ma takiej obietnicy, której bym nie dotrzymała! Ze mną umrą mity! Ja jestem Królową Niebios. I niebiosy wreszcie zapanują na ziemi. Wystarczy mi powiedzieć, kim jestem, i tym jestem!

- O Panie, o Boże - szepnąłem.

- Nie wymawiaj tych pustych słów. One nigdy nie znaczyły nic dla nikogo! Stoisz w obliczu jedynej bogini, jaką kiedykolwiek znałeś! Jesteś jedynym bogiem, jakiego ci ludzie kiedykolwiek poznają! No cóż, teraz musisz myśleć jak bóg, mój piękny. Musisz sięgnąć poza swoje egoistyczne ambicje. Nie pojmujesz, co się stało?

- Nic nie wiem - potrząsnąłem głową. - Wpadam w szaleństwo.

- Jesteśmy spełnieniem ich marzeń, Lestacie. - Roześmiała się, odrzucając głowę. - Nie możemy ich zawieść. Jeśli to zrobimy, prawda, którą żyje ziemia pod naszymi stopami, będzie zdradzona.

Odwróciła się ode mnie. Wróciła na kopczyk przykrytych śniegiem kamieni, na którym stała poprzednio. Patrzyła w dolinę, na szlak wykuty w skale, na powracających pielgrzymów.

Słyszałem krzyki odbijające się echem od góry. Słyszałem mężczyzn umierających tam w dole, kiedy niewidzialna uderzyła ich swoją mocą, wielką, uwodzicielską mocą. Słyszałem kobiety bredzące o cudach i wizjach. A potem podniósł się wielki, obojętny wiatr, pochłaniając wszystko.

Przez chwilę widziałem jej połyskliwą twarz. Podeszła ku mnie. Pomyślałem, że to znowu nadchodzi śmierć, że wracają wilki i że nie mam się gdzie schować; wtedy zamknąłem oczy.

Kiedy się obudziłem, byłem w małym domu. Nie wiedziałem, jak się tam znalazłem ani kiedy odbyła się rzeź w górach. Zatonąłem w głosach i od czasu do czasu nachodził mnie sen, straszliwy, a jednak znajomy sen. W tym śnie widziałem dwie rude kobiety. Klęczały przy ołtarzu, na którym złożono trupa w oczekiwaniu na jakiś rytuał, jakiś bardzo ważny obrzęd.

Rozpaczliwie starałem się zrozumieć sens snu, wydawało mi się bowiem, że wszystko od tego zależy; nie wolno mi go było znowu zapomnieć.

Jednak po chwili wszystko się rozplynęło. Pojawiły się głosy i niechciane obrazy; rzeczywistość była zbyt natrętna.

Leżałem w ciemnym i brudnym pomieszczeniu pełnym plugawych woni. Wszystkie rudery wokół były zamieszkałe przez wynędzniałych śmiertelnych, żyjących z dziećmi płaczącymi z głodu, wśród smrodu smażonych ryb i przypalonego tłuszczu.

Toczyła się tam wojna, nie pogrom na górskim stoku, ale prawdziwa, staromodna dwudziestowieczna wojna. Z umysłów cierpiących wychwytywałem obrazy czepiające się pamięci jak lepki śluz - nie kończąca się panoramę rzezi i zagrożenia - spalone autobusy, ludzie uwięzieni w środku i tłukący w okna, eksplodujące ciężarówki, kobiety i dzieci uciekające przed ogniem karabinów maszynowych.

Leżałem na podłodze, jakby ktoś mnie tam cisnął. Akasza stała w drzwiach, ciasno owinięta peleryną aż po same oczy, wytyżając oczy w mroku.

Kiedy wstałem i podszedłem do niej, zobaczyłem błotnistą uliczkę pełną kałuż i szereg ruder, z których część przykryto blaszanymi dachami, a inne zaledwie namokniętymi gazetami. Pod ścianami spali brudni ludzie, od stóp do głów otuleni w szmaty, jakby w całuny. To nie byli umarli i szczury, przed którymi się bronili, wiedziały o tym. Szczury skubały zawoje, a ludzie rzucali się i dygotali przez sen.

Było gorąco i żar potęgował panujący smród uryny, odchodów, wymiocin umierających dzieci.

Czułem nawet głód tych maleństw, płaczących w spazmach. Czułem głęboki morski zapach rynsztoków i dołów kloacznych.

To nie była wioska, a tylko skupisko chat i szop. Trupy leżały między ruderami. Szerzyła się zaraza... Starcy i chorzy siedzieli w ciemności, milcząc, nie śniąc o niczym lub być może o śmierci, czyli również o nicości, podczas gdy dzieci płakały.

Z uliczki przywlekło się małe dziecko z wzdętym brzuchem, rozkrzyczane i pocierające drobną piąstką spuchnięte oko.

Chyba nie zauważyło nas w ciemności. Szło od drzwi do drzwi, coraz dalej, jego gładka brązowa skóra lśniła w słabych błyskach kuchennych ognisk.

- Gdzie jesteśmy? - spytałem.

Kiedy odwróciła się i łagodnie pogładziła mnie po głowie i po twarzy, byłem zaskoczony.

Poczułem ulgę. Jednak cierpienia, na które patrzyłem, były zbyt wielkie, żeby ta ulga mogła mieć znaczenie. A więc Akasza mnie nie zniszczyła; przywiodła mnie do piekła. W jakim celu?

Wszędzie wokół czułem nędzę i rozpacz. Co mogło odmienić cierpienia tych biedaków?

- Mój biedny wojowniku - powiedziała. Oczy miała pełne krwawych łez. - Nie wiesz, gdzie jesteśmy? Czy mam ci wyrecytować litanię tych nazw? - Mówiła powoli, z ustami przy moim uchu. - Kalkuta, jeśli sobie życzysz, lub Etiopia czy też ulice Bombaju; te biedne dusze mogą być wieśniakami z Cejlonu, Pakistanu lub Nikaragui. Nie ma znaczenia, co to jest; ważne, ile tego jest, ważne, że istnieje wokół oaz waszych lśniących zachodnich miast. To trzy czwarte świata!

Otwórz oczy, ukochany, posłuchaj ich modlitw, posłuchaj milczenia tych, którzy nauczyli się nie modlić o nic, bo nicość zawsze była ich udziałem, bez względu na to, jakie jest imię ich narodu, miasta, plemienia.

Wyszliśmy razem na błotnistą ulicę; mijaliśmy przyzmy nawozu i brudne kałuże, głodujące psy i szczury przebiegające drogę. Jaszczurki wiły się pośród kamieni. Czerń mrowiła się komarami.

Włóczędzy spali w długim rowie obok pełnego rynsztoka. Dalej, w bagnie, gniły trupy, rozdęte i zapomniane.

Daleką szosą jeździły ciężarówki, ich łomot przeszywał duchotę i żar jak burzowy grom. Nędza i rozpacz tej okolicy zatruwały mnie jak gaz. To był poszarpany skraj Ogrodu Bestii w świecie, w którym nadzieja nie mogła zakwitnąć. To był ściek.

- Co możemy zrobić? - szepnąłem. - Czemu tu przybyliśmy? - Znow nie mogłem pozbierać myśli w obliczu jej urody, tchnienia współczucia, które nagle mi się udzieliło i sprawiło, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Możemy odzyskać świat - powiedziała - tak jak ci mówiłam. Możemy sprawić, że mity staną się rzeczywistością i przyjdzie czas, kiedy to, że ludzie kiedykolwiek zaznali takiego poniżenia, stanie się tylko mitem. Postaramy się o to, miłości moja.

- Tylko oni mogą temu zaradzić. To nie tylko ich obowiązek, to ich prawo. Jak możemy im pomóc, nie prowadząc zarazem do katastrofy?

- Zadbamy, by do niej nie doszło - rzekła ze spokojem - ale ty wciąż nie rozumiesz. Nie zdajesz sobie sprawy z siły, którą posiadasz. Nic nie może nas zatrzymać. Zastanów się dobrze. Nie jesteś jeszcze gotowy i nie będę więcej cię przymuszać. Kiedy znów będziesz dla mnie zabijał, musisz mi wierzyć bez zastrzeżeń i być przekonany bez zastrzeżeń. Bądź pewien, że cię kocham i wiem, że serce nie może się niczego nauczyć w ciągu jednej nocy. Ucz się jednak - patrz i słuchaj.

Wróciła na ulicę. Przez chwilę była jedynie szczupłym kształtem poruszającym się wśród cieni.

Nagle usłyszałem, jak w szopach budzi się życie, i zobaczyłem wyłaniające się kobiety i dzieci.

Spiące postaci zaczęły się poruszać. Cofnąłem się w ciemność.

Dygotałem. Rozpaczliwie chciałem coś zrobić, błagać ją o cierpliwość!

Znów udzieliło mi się wrażenie spokoju, nastrój idealnego szczęścia i znów sięgnąłem wspomnieniem do francuskiego kościółka z czasów mojego dzieciństwa, do chwili, kiedy zaczęły się śpiewy. Przez łązy ujrzałem rozmigotany ołtarz. Zobaczyłem wizerunek Maryi Dziewicy, jaśniejący kwadrat złota nad kwiatami; usłyszałem „Zdrowaś Maria”, szeptane, jakby to było zaklęcie. Pod łukami Notre Dame usłyszałem księży śpiewających „Salve Regina”.

Jej głos rozbrzmiał czysto, niepowstrzymanie jak poprzednio, jakby rozlegał się w mojej głowie, a do śmiertelnych z pewnością dotarł z tą samą nieodpartą mocą. Sam rozkaz był bez słów; a jego istota była poza wszelką dyskusją - rozpoczyna się nowy porządek, nowy świat, w którym poniewierani i ranni znajdą wreszcie pokój i sprawiedliwość. Kobiety i dzieci zostały wezwane do powstania i zabicia wszystkich mężczyzn w tej wiosce. Wszyscy mężczyźni poza jedynym na sto powinni być zabici i wszystkie niemowlęta płci męskiej, poza jedynym na sto, również natychmiast miały być zabite. Kiedy się to stanie, na całej ziemi wzdłuż i wszerz zapanuje pokój; nie będzie więcej wojen, zapanuje sytość i dostatek.

Groza spętała mi język i członki. Ogarnięty paniką słyszałem oszalałe wrzaski kobiet. Śpiący włóczędzy wokół mnie rozwijali szmaty tylko po to, by natychmiast umrzeć tak, jak na moich oczach umierali mężczyźni w świątyni Azima.

Ulica rozbrzmiewała krzykami. Wśród cieni i błysków widziałem uciekających ludzi, mężczyzn wybiegających z domów i natychmiast padających w błoto. Na drodze ciężarówki stawały w płomieniach, opony piszczały, kiedy kierowcy tracili panowanie nad kierownicami. Metal wbijał

się w metal, wybuchały baki z paliwem; noc była pełna oranżowego światła. Pędząc od domu do domu, kobiety osaczały mężczyzn i tłukły ich wszystkim, co im wpadło w ręce. Czy to osiedle z szop i ruder widziało kiedyś taką witalność jak teraz, w imię śmierci?

A ona, Królowa Niebios, uniosła się ponad blaszanymi dachami, wyraźna delikatna postać jaśniejąca na tle chmur, jakby była z białego dymu.

Zamknąłem oczy i odwróciłem się do ściany, zaciskając palce na luźnym kamieniu. Pomyśleć, że ona i ja byliśmy tak materialni jak ten kawałek skały. A jednak nie byliśmy z tego świata.

Nigdy. I nie tu było nasze miejsce! Nie mieliśmy prawa.

Nawet płacząc, byłem w słodkim objęciu rzuconego przez nią uroku; miałem słodkie senne wrażenie, że otaczają mnie kwiaty, słyszałem powolną muzykę o nieodparcie zachwycającym rytmie, czułem ciepłe powietrze napływające do płuc; dotykałem starych kamiennych płyt pod stopami.

Przede mną, niczym w doskonałej halucynacji, rozpościerały się łagodne zielone wzgórza - świat bez wojny i nędzy. Kobiety przechadzały się wolne i bez lęku, kobiety, które nawet prowokowane, nie uciekają się do gwałtu, tak bliskiego sercu każdego mężczyzny.

Wbrew woli ociągałem się z opuszczeniem tego świata, ignorując łomot ciał padających na mokrą ziemię oraz ostatnie przekleństwa i okrzyki zabijanych.

W wielkich sennych przeblyskach widziałem całe miasta przemienione; widziałem ulice wolne od strachu przed bezsensownym zniszczeniem; miasta, gdzie ludzie żyli bez lęku i rozpacz.

Domy nie były już fortecami; ogrody nie potrzebowały murów.

- Och, Mariuszu, pomóż mi - szepnąłem, a słońce spływało na trzypasmowe jezdnie i nie kończące się zielone pola. - Błagam, błagam, pomóż mi.

Potem wstrząsnęła mną inna wizja, wypierając rzucony urok. Znów zobaczyłem pola, ale nie było słońca; nie było to żadne realne miejsce. Oglądałem je oczami kogoś lub czegoś pędzącego z niewiarygodną prędkością. Ale kim był ów ktoś? Jaki był cel jego wędrówki? Kto wysyłał tę wizję, potężną, nie dającą się zignorować? Dlaczego?

Przepadła tak szybko, jak się pojawiła.

Powróciłem pod walącą się arkadę pałacu, pomiędzy rozrzucone trupy; patrzyłem przez łukowate wejście na biegnące postaci; słyszałem piskliwe okrzyki zwycięstwa i triumfu.

- Wyjdź, mój wojowniku, abym mogła cię zobaczyć - powiedział mi jej głos. - Chodź do mnie.

Stała przede mną z wyciągniętymi ramionami. Przez chwilę stałem nieruchomy, a potem podszedłem do niej, oszołomiony i posłuszny, czując na sobie pełne czci spojrzenia kobiet. Kiedy zesliśmy się z Akaszą, upadły na kolana. Jej dłonie zacisnęły się zbyt mocno; czułem łomot swego serca. Akaszo, to kłamstwo, straszne kłamstwo - mówiłem do niej w myślach. - Zło tu zasiane będzie kwitło przez wiek.

Nagle świat się zakołysał. Już nie staliśmy na ziemi. Obejmowała mnie i wznosiliśmy się nad blaszane dachy, a kobiety w dole biły pokłony i machały rękami, dotykając czołami błota.

- Oto cud, oto Matka, oto Matka i Jej Anioł...

W jednej chwili wioska stała się tylko dalekim skupiskiem srebrnych dachów, a cała ta nędza - zastygła magiczną sztuczką. Po raz kolejny podróżowaliśmy na skrzydłach wiatru.

Obejrzałem się za siebie, próbując rozpoznać miejsce - ciemne bagna, światła pobliskiego miasta, cienki pasek szosy, na której nadal płonęły przewrócone ciężarówki. Ona miała rację, to naprawdę nie miało znaczenia.

Cokolwiek miało się stać, właśnie się zaczęło, i nie wiedziałem, kto mógłby to zatrzymać.

Rozdział czwarty

Rzecz o bliźniaczkach (I)

Kiedy Maharet zamilkła, wszystkie oczy spoczęły na niej. Znow zaczęła mówić. Słowa płynęły z jej ust spontanicznie, chociaż opowiadała powoli i z namysłem. Nie była smutna, gdyż rekonstrukcja dawnych wydarzeń dawała jej kolejną okazję, by się nad nimi zastanowić.

- Otóż kiedy mówię, że siostra i ja byłyśmy czarownicami, mam na myśli to, że odziedziczyłyśmy po naszej matce... jak ona odziedziczyła po swojej... moc porozumiewania się z duchami, korzystania z ich usług i w drobnych, i ważnych sprawach. Potrafiłyśmy wyczuć ich obecność... duchy są przeważnie niewidzialne dla ludzkich oczu... i one garnęły się do nas.

Takie osoby jak my były wielce szanowane przez nasz lud, proszono je o rady, cuda i przepowiadanie przyszłości, a czasem o uspokojenie duchów zmarłych.

Byłyśmy uważane za istoty dobre i miałyśmy swoje miejsce w porządku rzeczy.

Jak mi wiadomo, czarownice były zawsze. Teraz też są, chociaż większość z nich nie wie, jaką ma moc i jak jej używać. Ponadto są tak zwani jasnowidze czy media albo nawet detektywi zjawisk nadmysłowych. Ci ludzie, z niepojętych powodów intrygują duchy, które lgną do nich jak muchy do miodu. A chcąc zwrócić ich uwagę, duchy sięgają po wszelkie możliwe sztuczki.

Co do samych duchów, to wiem, że ciekawi was ich natura i właściwości i że żadne z was nie wierzy w opowieść Lestata o tym, jak zostali stworzeni Matka i Ojciec. Nie jestem pewna, czy sam Mariusz w to wierzył, kiedy opowiadał tę starą historię lub kiedy przekazywał ją Lestatowi.

Mariusz skinął głową. Zawsze miał liczne wątpliwości. Maharet poprosiła jednak o cierpliwość.

- Bądźcie dla mnie wyrozumiali - powiedziała. - Opowiem wam wszystko, co wiedzieliśmy o duchach, a co pokrywa się z tym, co wiem o nich teraz. Oczywiście, to zrozumiacie, że inni mogą inaczej nazywać te jestestwa. Mogą określać je raczej w poetyce języka nauki, przeciwnie niż ja to czynię.

Duchy zwracały się do nas jedynie telepatycznie. Jak powiedziałam, były niewidzialne, ale wyczuwalne; miały wyraźnie określone osobowości i nasza rodzina czarownic przez wiele pokoleń nadawała im różne imiona.

Odwiecznym zwyczajem czarowników dzieliliśmy je na dobre i złe, ale nic nie wskazuje na to, by one same miały poczucie dobra i zła. Złe duchy były otwarcie wrogie wobec ludzi i lubiły płatać złośliwe figle, takie jak rzucanie kamieniami, sprowadzanie wiatru i uprzykrzanie życia na inne sposoby. Duchy, które nawiedzają ludzi, są często złe; a te które nawiedzają domy i są nazywane poltergeistami, również należą do tej kategorii.

Dobre duchy potrafiły kochać i zazwyczaj same chciały być kochane. Rzadko zdobywały się na złośliwości z własnej woli. Odpowiadały na pytania związane z przeszłością, opowiadały nam, co dzieje się w odległych miejscach, a dla bardzo potężnych czarownic, takich jak moja siostra i ja, były gotowe wykonać największą i najbardziej wyczerpującą sztuczkę: potrafiły Sprowadzać wiatr.

Jednak jak widzicie, takie określenia jak „dobry” i „zły” nie odnosiły się do istoty tych bytów.

Dobre duchy były użyteczne, złe - niebezpieczne i szarpiące nerwy. Zwracanie uwagi na złe duchy - zachęcanie ich do pozostania - było dopraszaniem się nieszczęścia, jako że w istocie nie dawały się kontrolować.

Masa dowodów świadczyła o tym, że te tak zwane złe duchy zazdrościły nam jednoczesnego posiadania ciała i duszy, możliwości rozkoszowania się mocami fizycznymi z zachowaniem duchowej umysłowości. Jest bardzo prawdopodobne, że ta cielesno-duchowa mieszanka niezwykle intryguje duchy i jest dla nich magnesem; ale też drażni ona złe duchy, one bowiem chciałyby zaznać rozkoszy cielesnych, a nie mogą. Dobre duchy nie doznają takich przykrości.

Na pytania o ich pochodzenie duchy odpowiadały nam, że istnieją od zawsze. Chwały się, że obserwowały, jak ludzie przemieniali się ze zwierząt w to, czym są teraz. Nie wiedzieliśmy, co chcą osiągnąć takimi uwagami. Myśleliśmy, że żartują albo po prostu kłamią. Ale z drugiej strony badanie ludzkiej ewolucji prowadzi do wniosku, że duchy były świadkiem tego rozwoju.

Pytane o swoją naturę - o to, jak zostały stworzone i przez kogo - no cóż... nigdy nie odpowiedziały. Nie sędzę, by rozumiały, o co chodzi. Wydawały się obrażone lub nawet lekko wystraszone, a czasem uznawały całą rzecz za zabawną.

Uważam, że któregoś dnia pojawi się naukowe wytłumaczenie tych zjawisk. Jest to, moim zdaniem, wyrafinowana równowaga materii i energii, tak samo czarodziejska jak elektryczność lub fale radiowe, kwarki lub atomy, czy też głos w słuchawce telefonicznej - zjawiska, które wydawałyby się nadprzyrodzone zaledwie dwieście lat temu. Co prawda, poetyka języka nowoczesnej nauki pomogła mi lepiej je zrozumieć niż jakiegokolwiek filozoficzne narzędzie.

Niemniej jednak instynkt sprawia, że trzymam się mojego starego języka.

Mekare utrzymywała, że czasem je widzi i że są to maleńkie materialne rdzenie i wielka ilość wirującej energii, co porównywała do burzy z piorunami i wiatrem. Mówiła, że w morzu pływają stwory ukształtowane równie egzotycznie, a owady też przypominają duchy. Zawsze widziała je nocą i nigdy dłużej niż sekundę, a i to jedynie wtedy, kiedy były rozwścieczone.

Powiała, że są gigantycznych rozmiarów, ale to samo mówiły i one. Mówiły, że nie potrafimy sobie wyobrazić, jakie są wielkie, ale też uwielbiały się przechwalać. Kiedy się ich słuchało, trzeba było odsiewać ziarno od plew.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że potrafią oddziaływać na świat fizyczny z wielką mocą. Jak inaczej poltergeisty przesuwałyby przedmioty? I jak inne duchy ściągałyby chmury, by sprowadzić deszcz? Jednakże mimo wielkiej energii, którą dysponują, ich dokonania są bardzo skąpe. Kiedy się to rozumiało, miało się nad nimi kontrolę. Potrafią zrobić tylko tyle i nic więcej i dobra czarownica zawsze doskonale to wiedziała.

Bez względu na to, jaki jest materialny zarys tych jestestw, nie mają wyraźnych biologicznych potrzeb. Nie starzeją się, nie zmieniają. A klucz pozwalający zrozumieć ich dziecięce i kapryśne usposobienie jest następujący: nie potrzebują niczego robić; poruszają się bez celu, nieświadome czasu, bo nie mają potrzeby o niego dbać, i robią, na co tylko im przyjdzie ochota. Niewątpliwie

widzą nasz świat, będąc jego częścią, ale nie potrafię zgadnąć, jak go widzą.

Nie mam pojęcia, dlaczego czarownice ich fascynują bądź interesują. Ale tak właśnie jest: gdy widzą czarownicę, biegną do niej, ujawniają się, a kiedy ta zwróci na nie uwagę, czują się niebywale zaszczycone. Są na rozkazy, aby zdobyć więcej uwagi, a w niektórych przypadkach -

miłość.

W miarę zacieśniania się kontaktów są gotowe z miłości do czarownic skupić się na różnych zadaniach. To je wyczerpuje, ale zarazem są wniebowzięte, gdy mogą zrobić na ludziach wrażenie.

Wyobraźcie sobie, ile mają uciechy, słuchając modlitw i próbując na nie odpowiedzieć, kręcąc się przy ołtarzach i wywołując gromy po złożeniu ofiary. Kiedy jasnowidz wywołuje ducha zmarłego przodka, by porozmawiał ze swoimi potomkami, są w siódmym niebie, plotą, podszywając się pod zmarłego, chociaż oczywiście nim nie są; telepatycznie czerpią informacje z głowy potomków, aby tym bardziej ich zwodzić.

Z pewnością wszyscy znacie wzorzec ich zachowania. Wciąż wygląda tak samo, jak w tamtych czasach. Inna jest jednak postawa ludzi wobec tego, co one robią, i ta różnica ma podstawowe znaczenie.

Kiedy obecnie duch nawiedza dom i wygłasza przepowiednie, korzystając ze strun głosowych pięcioletniego dziecka, nikt w to nie wierzy oprócz naocznych świadków. Nie staje się to podstawą wielkiej religii.

Wygląda na to, że człowiek z czasem uodpornił się na takie zjawiska; być może znalazł się na wyższym szczeblu ewolucji i wyglupy duchów już nie mieszają mu w głowie. A chociaż religie wciąż trwają - stare religie, wyrosłe z bardziej mrocznych epok - szybko tracą wpływ wśród warstw oświeconych.

O tym jednak później. Pozwólcie, że teraz będę nadal opisywać cechy czarownicy, jako że wiąże się to ze mną i moją siostrą oraz z tym, co się nam przytrafiło.

W naszej rodzinie cechy te przechodziły z pokolenia na pokolenie. Może to coś fizycznego, jako że przejawiało się w linii żeńskiej i niezmiennie objawiało takimi fizycznymi atrybutami jak zielone oczy i rude włosy. Jak wszyscy wiecie - dowiedziawszy się w taki czy inny sposób od chwili przybycia do tego domu - moje dziecko, Jesse, było czarownicą. Podczas pracy w Talamasce dzięki swym talentom przynosiła spokój ludziom prześladowanym przez duchy i upiory.

Oczywiście, upiory są też duchami. Są to niewątpliwie duchy tych, którzy byli ludźmi; podczas gdy duchy, o których mówię, są czymś zupełnie innym. Jednakże niczego nie można być w tej sprawie zbyt pewnym. Bardzo stary ziemski upiór może zapomnieć, że kiedykolwiek był żywą istotą. Niewykluczone, iż bardzo złośliwe duchy to upiory i dlatego są tak głodne rozkoszy ciała; a kiedy opętają jakąś biedną ludzką istotę, rzygają sprośnościami. Dla nich ciało jest plugastwem i chcą zmusić ludzi, by wierzyli, że erotyczne rozkosze są złem równie jak ono niebezpiecznym i niedobrym.

Tak naprawdę jednak, biorąc pod uwagę skłonność duchów do kłamstwa, nie ma sposobu, by dowiedzieć się, dlaczego postępują tak, a nie inaczej, oczywiście zwłaszcza wtedy, kiedy nie chcą nic powiedzieć. Być może ich obsesja na punkcie erotyki jest zaczerpnięta z umysłów ludzi, którzy zawsze mieli poczucie winy na tym tle.

Wracając do najważniejszej sprawy, w naszej rodzinie to przeważnie kobiety były czarownicami. W innych rodzinach ujawniają się także u mężczyzn czarodziejskie zdolności.

Mogą też z jakiegoś niepojętego powodu ujawnić się u kogoś w dojrzałej postaci.

Tak się złożyło, że nasza rodzina była prastarą gałęzią czarownic. Mogliśmy doszukać się czarownic pięćdziesiąt pokoleń wstecz, do, jak go nazywaliśmy, Czasu Przed Księżycem.

Oznacza to, że wedle naszego przekonania żyliśmy w bardzo wczesnym okresie historii ziemi, zanim księżyc pojawił się na nocnym niebie.

Legendy naszego ludu opowiadają o pojawieniu się księżyca i towarzyszących temu powodziach, burzach i trzęsieniach ziemi. Czy tak było naprawdę - nie wiem. Wierzyliśmy, że naszymi świętymi gwiazdami były Plejady czy też Siedem Sióstr, że wszystkie błogosławieństwa pochodzą z tej konstelacji, ale nigdy nie udało mi się dowiedzieć, dlaczego tak było.

Mówię teraz o starych mitach, wierzeniach ludzi żyjących przed moim urodzeniem. A ci, którzy kontaktują się z duchami, są z oczywistych powodów raczej sceptyczni w tych sprawach.

A jednak nauka nawet teraz nie potrafi zaprzeczyć opowieściom o Czasie Przed Księżycem ani ich potwierdzić. Pojawienie się księżyca - i wynikłe stąd siły grawitacji - zostało teoretycznie wykorzystane do wyjaśnienia przesunięcia się czap polarnych i przebiegu ostatnich epok lodowcowych. Może jest jakaś prawda w tych starych opowieściach, które pewnego dnia zostaną potwierdzone.

Cokolwiek by się stało, ta gałąź naszej rodziny była stara. Nasza matka była potężną czarownicą, której duchy opowiadały rozliczne tajemnice wyczytane w ludzkich umysłach. Miała wielki wpływ na niespokojne duchy zmarłych.

W Mekare i we mnie jej moc podwoiła się, jak to często bywa z bliźniaczkami. Każda z nas była dwa razy potężniejsza od matki. Jeśli zaś chodzi o moc, którą dysponowałyśmy, to była ona niezmiernie duża. Już leżąc w kołyskach, rozmawiałyśmy z duchami. Kiedy się bawiłyśmy, one nas otaczały. Jako bliźniaczki stworzyłyśmy nasz tajny język, którego nie rozumiała nawet matka.

Duchy jednak rozumiały wszystko, co im powiedziałyśmy; potrafiły nawet odpowiadać nam w tym tajnym języku.

Zrozumcie, nie opowiadam tego, żeby się pysznić. To byłoby absurdalne. Opowiadam wam o tym, żebyście pojęli, kim byłyśmy dla siebie nawzajem i dla naszego ludu, zanim żołnierze Akaszy i Enkila wkroczyli na nasze ziemie. Chcę, żebyście zrozumieli, dlaczego doszło do tego zła - stworzenia krwiopijców!

Byliśmy wielką rodziną. Zamieszkiwaliśmy jaskinie na Górze Karmel od niepamiętnych czasów.

Nasz lud zawsze budował sadyby w dolinie u stóp góry. Utrzymywał się z wypasu kóz i owiec, czasem polował, uprawiał nieco roślin, z których sporządzało się środki halucynogenne, potrzebne do osiągnięcia transu - to była część naszej religii - i z których wyrabiało się piwo.

Ścinałiśmy też dziką pszenicę rosnącą wtedy w obfitości.

Naszą wieś tworzyły małe okrągłe chaty z suszonej cegły kryte strzechami, ale inne osady przekształciły się w niewielkie miasta, a do niektórych domów wchodziło się przez dachy.

Nasz lud wyrabiał niezwykle oryginalne garnki, które noszono na targ do Jerycha. Z kolei stamtąd przynoszono lapis-lazuli, kość słoniową, kadzidła i zwierciadła z obsydianu oraz podobne wspaniałości. Oczywiście wiedzieliśmy, że jest wiele innych miast, dużych i pięknych jak Jerycho, teraz już pogrzebanych pod ziemią i być może skazanych na wieczną niepamięć.

Byliśmy prostym ludem. Wiedzieliśmy, czym jest pismo, to znaczy znaliśmy to pojęcie. Nie używaliśmy go jednak, jako że słowa miały wielką moc i nie odważaliśmy się zapisywać naszych imion, klątw ani prawd. Jeśli ktoś znał twoje imię, mógł wezwać duchy, by rzuciły na ciebie klątwę; mógł opuścić swoje ciało podczas transu i udać się tam, gdzie ty. Kto mógł wiedzieć, jaką moc wkładał w czyjeś ręce, zapisując swoje imię na kamieniu lub papirusie? Nawet dla tych, którzy się nie bali, było to w najwyższym stopniu obrzydliwe.

W wielkich miastach pisma używano powszechnie do utrwalania rozliczeń finansowych, które my oczywiście przechowywaliśmy w pamięci.

Prawdę mówiąc, cała wiedza naszego ludu była przechowywana w pamięci; kapłani ofiarowujący byka bogowi naszego ludu - w którego naprawdę nie wierzyliśmy - przechowywali w pamięci zwyczaje i wiarę i uczyli tego młodych kapłanów, słowo w słowo. Oczywiście, także historie rodzin były opowiadane z pamięci.

Malowaliśmy jednakże obrazki; zakrywały one ściany świątyń byka w wiosce.

Moja rodzina, mieszkająca od wieków w jaskiniach na Górze Karmel, pokryła nasze tajne groty rysunkami, których nie widział nikt oprócz nas. W ten oto sposób stworzyliśmy rodzaj archiwów.

Zachowywaliśmy przy tym ostrożność, na przykład nigdy nie namalowałam ani nie wryłam własnego wizerunku. Jednak nastąpiła katastrofa i razem z siostrą stałyśmy się takimi stworzeniami, jakimi jesteśmy dzisiaj.

Wróćmy do dziejów naszego ludu - byliśmy nastawionym pokojowo plemieniem pasterzy, rzemieślników i handlarzy. Kiedy armie Jerycha szły na wojnę, nasi młodzieńcy czasem dołączali do nich, ale robili to z własnej woli, chcąc w młodym wieku posmakować przygody, być żołnierzami i poznać związaną z tym sławę. Inni udawali się do miast, żeby obejrzeć wielkie targowiska, przepych dworów, chwałę świątyń. Jeszcze inni wędrowali do portów Morza Śródziemnego, aby zobaczyć wielkie statki handlowe. Jednak życie w naszych wioskach toczyło się bez większych zmian, tak jak

przez wieki. Jerycho chroniło nas bezwiednie, ponieważ to ono było magnesem przyciągającym siły wroga.

Nigdy, nigdy nie polowaliśmy na ludzi, żeby jeść ich ciała! To nie był nasz zwyczaj! Nie potrafię wyrazić, jakim obrzydlistwem była dla nas odmiana kanibalizmu polegająca na zjedaniu ciała nieprzyjaciela; a zarazem byliśmy kanibalami i jedzenie ludzi miało dla nas wyjątkowe znaczenie - spożywaliśmy naszych zmarłych.

Maharet przerwała na chwilę, jakby chciała, żeby znaczenie tych słów dotarło do wszystkich.

Mariusz znów ujrzał wizję dwóch rudych kobiet klęczących przed uroczystą stypą. Poczł ciepły bezruch południa i powagę chwili. Oczyszczył umysł i skupił się na obliczu Maharet.

- Zrozumcie - powiedziała. - Wierzyliśmy, że dusza po śmierci opuszcza ciało; ale wierzyliśmy też, że pozostałości po każdej żywej istocie zawierają drobną ilość mocy, nawet gdy samo życie już zmarło, na przykład że rzeczy osobiste człowieka i oczywiście ciało zachowują odrobinę jego witalności. A kiedy zjadamy ciało naszego zmarłego, zjadamy również ową pozostałość.

Jednak tak naprawdę zjadaliśmy naszych zmarłych z szacunku. W naszym pojęciu był to właściwy sposób traktowania tych, których kochaliśmy. Przyjmowaliśmy w siebie ciała ludzi, którzy dali nam życie, ciała, z których zostały poczęte nasze ciała. W ten sposób zamykał się cykl, a święte szczątki naszych bliskich były uratowane przed straszliwą potwornością - gniciem w ziemi, pożarciem przez dzikie zwierzęta lub spalaniem.

Gdy się nad tym zastanawiam, dostrzegam wielką logikę. Przede wszystkim jednak należy zdać sobie sprawę, że była to nieodłączna część życia naszego ludu. Świętym obowiązkiem każdego dziecka było spożyć pozostałości po swoich rodzicach; świętym obowiązkiem plemienia było spożyć zmarłych.

Nie umarł w naszej wiosce żaden mężczyzna, żadna kobieta, żadne dziecko, którego szczątki nie zostałyby spożyte przez jego krewnych. Żaden mężczyzna, żadna kobieta, żadne dziecko, nikt w naszej wiosce nie uchylił się od spożycia zmarłych.

Maharet przerwała, ogarnęła wzrokiem grupę zebranych, po czym znów się odezwała.

- Nie był to czas wielkich wojen. Jerycho od niepamiętnych czasów przeżywało okres pokoju.

Również w Niniwie nie zdarzały się konflikty.

Jednak daleko, na południowym zachodzie, w dolinie Nilu, tamtejsze dzikie plemię odwiecznym zwyczajem wojowało z ludem z południowych dżungli, pozyskując sobie niewolników na usługi.

Nie tylko zjadali ciała swoich zmarłych z całym należnym im szacunkiem, tak jak my to czyniliśmy, ale spożywali również ciała wrogów i chełpili się tym. Wierzyli, że w ten sposób zyskują ich siłę. Lubili smak ludzkiego mięsa.

Z przyczyn, które już wyjaśniłam, ganiliśmy ich. Jak można było z przyjemnością zjadać ciało

nieprzyjaciela? Jednak zasadnicza różnica między nami i wojowniczymi mieszkańcami doliny Nilu nie polegała na tym, że zjadali swoich wrogów, ale na tym, że oni kochali wojnę, a my pokój. Nie mieliśmy nieprzyjaciół.

Właśnie wtedy, gdy moja siostra i ja osiągnęliśmy szesnasty rok życia, w dolinie Nilu zaszła wielka zmiana. Tak przynajmniej usłyszeliśmy.

Stara monarchini tamtego królestwa zmarła, nie pozostawiając córki, której przekazałaby królewską krew. A w wielu starożytnych plemionach dziedziczono tron jedynie w linii żeńskiej.

Ponieważ żaden mężczyzna nie może być pewien ojcostwa dziecka swojej żony, boskie prawo do tronu posiadała królowa lub księżniczka. Dlatego egipcscy faraonowie późniejszej ery często żenili się ze swymi siostrami. To zabezpieczało ich królewskie prawa.

Tak byłoby z młodym królem Enkilem, gdyby miał siostrę. Nie miał jednak nawet królewskiej kuzynki, z którą mógłby się ożenić, ale był młody, silny i zdecydowany rządzić swoją domeną.

Wreszcie wybrał narzeczoną, nie spośród swojego ludu, ale spośród mieszkańców miasta Uruk w dolinie Eufratu i Tygrysu.

Była to Akasza, piękność z rodziny monarchy i czcicielka wielkiej bogini Inanny, kobieta która mogła wnieść do królestwa Enkila mądrość swoich ziem. Tak przynajmniej mówiły plotki na placach targowych Jerycha i Niniwy; tak szeptano w karawanach, które przybywały kupować nasze wyroby.

Lud znad Nilu uprawiał już ziemię, ale marnował czas, szukając okazji do wojen, które mogły mu dostarczyć ludzkiego mięsa. To napawało przerażeniem piękną Akaszę, która, jak można było się spodziewać po każdym przedstawicielu bardziej rozwiniętej cywilizacji, postanowiła ich zniechęcić do tego barbarzyńskiego zwyczaju.

Prawdopodobnie sprowadziła też ze sobą pismo, jako że lud Uruku posiadał umiejętność pisania

- było to plemię skrzętnych archiwistów - ale nie jestem tego pewna. Być może Egipcjanie zaczęli pisać już wcześniej.

Nie macie pojęcia, jak powolny był wpływ tego rodzaju wynalazków na kulturę codziennego życia. Zapiski podatkowe miały już wielopokoleniową tradycję, zanim ktoś zdobył się na trud zapisania wiersza na glinianej tabliczce. Plemię mogło uprawiać pieprz i zioła przez dwieście lat, zanim ktoś pomyślał o sianiu zboża lub kukurydzy. Jak wiecie, Indianie Ameryki Środkowej mieli już zabawki z kołami, kiedy napadli na nich Europejczycy; mieli też biżuterię z metalu.

Jednakże koło nie służyło im do niczego więcej i nie wykuwali oręża z metalu, więc zostali pokonani niemal od razu.

Bez względu na to, jak było, nie znam całej prawdy o wynalazkach, które Akasza sprowadziła ze sobą z Uruku. Wiem natomiast, że nasz lud słyszał plotki o zakazie wszelkiego kanibalizmu w dolinie Nilu i że ci, którzy go nie usłuchali, szli na straszną śmierć. Plemiona, które przez pokolenia polowały na ludzi i zjadały ich, były rozwścieczone, że nie mogą już tym się rozkoszować, ale

jeszcze większa wściekłość ogarnęła te wszystkie ludy, którym zabroniono zjadać swoich zmarłych. Oddać swoich przodków ziemi było dla wielu taką samą okropnością, jak dla nas.

Aby edykt Akaszy był szanowany, król ogłosił, że wszystkie ciała zmarłych mają być smarowane maściami i owijane płótnami. Nie tylko nie można było zjeść świętego ciała matki lub ojca, ale wielkim kosztem musiano je zabezpieczać lnianymi bandażami i te nietknięte trupy miały być składane w miejscu publicznym, a potem w grobach wraz z odpowiednimi ofiarami i przy wtórze śpiewów kapłana. Im wcześniej owijano ciało w płótna, tym lepiej, ponieważ wtedy nikt nie mógł spożyć ciała.

Aby dokładniej wpoić ludziom ten nowy obrządek, Akasza i Enkil przekonali ich, że duchom zmarłych będzie powodzić się o wiele lepiej w królestwie, do którego się udają, jeśli nieboszczyków złoży się do ziemi owiniętych w płótna. Innymi słowy, lud otrzymał sygnał:

„Wasi ukochani przodkowie nie są zaniedbani, przeciwnie, są pod dobrą opieką”.

Bardzo nas rozbawił pomysł, by owijać zmarłych w płótna i składać ich w umeblowanych pomieszczeniach nad albo pod piaskami pustyni. Śmieszyło nas, że mamy pomagać duchom zmarłych, utrzymując ich ciała w idealnym stanie. Każdy, kto kiedykolwiek porozumiewał się ze zmarłymi, wie, że lepiej, by zapomnieli o swoich ciałach; dopiero gdy rozstaną się ze swoimi ziemskimi wizerunkami, mogą wznieść się w wyższe rejony.

Teraz w Egipcie, w grobowcach bardzo bogatych i bardzo religijnych ludzi, leżą te mumie, w których zgniły ciała. Gdyby ktoś powiedział nam wtedy, że zwyczaj mumifikacji tak zakorzeni się w tamtej kulturze, że Egipcjanie będą go praktykować przez cztery tysiące lat, że stanie się on wielką i nieprzemijającą tajemnicą dla całego świata, że małe dzieci w dwudziestym wieku będą chodziły do muzeów oglądać mumie - nigdy byśmy w coś takiego nie uwierzyli.

Jednakże tak naprawdę nie przywiązywaliśmy do tego wagi. Mieszkaliśmy daleko od doliny Nilu. Nie potrafiliśmy nawet sobie wyobrazić, jacy są tamci ludzie. Wiedzieliśmy, że ich religia ma swe źródła w Afryce, że wielbili Ozyrysa i boga słońca, Ra, oraz bóstwa w postaci zwierząt.

Tak naprawdę jednak nie rozumieliśmy ich. Nie rozumieliśmy tej pustynnej ziemi. Kiedy trzymaliśmy w dłoniach zgrabne przedmioty, które wyrabiali, rozpoznawaliśmy delikatne migotanie ich osobowości, ale były one nam obce. Współczuliśmy im, że nie mogą jeść swoich zmarłych.

Duchy pytane przez nas o Egipcjan, okazywały niezwykle rozbawienie. Powiadały, że mają

„miłe głosy” i „miły język” i że odwiedzanie ich świątyń to prawdziwa rozkosz; lubiły język egipski. Potem jakby traciły tym zainteresowanie i oddalały się, jak to często miały w zwyczaju.

To, czego się dowiadaliśmy, było fascynujące, ale nie zaskakujące. Wiedzieliśmy, że duchy lubią nasze słowa, śpiewy i pieśni, więc nie dziwiło nas, że bawiły się również w egipskich bogów. Stale stroiły sobie tego rodzaju żarty.

Lata mijały, a my słyszeliśmy, że Enkil zwołał wielką armię i wyruszył na podbój Północy i

Południa, mając na celu zjednoczenie królestwa, powstrzymanie rebelii oraz zgnicenie oporu zawziętych kanibali. Skierował okręty na otwarte morza. To stara sztuczka: wyślij ich do walki z nieprzyjacielem, a przestaną kłócić się w domu.

Jaki to miało związek z nami? Nasza ziemia była krainą spokoju i piękna, bogatą w drzewa owocowe i pola dzikiej pszenicy, którą mógł ścinać każdy, kto miał kosę. W naszej krainie rosły zielone trawy i wiały chłodne wiatry. Nie było tam nic, co mogłoby wzbudzić pożądanie obcych.

Tak przynajmniej sądziliśmy.

Razem z siostrą żyłyśmy w idealnym spokoju na łagodnych stokach góry Karmel, często rozmawiając w myślach z matką i ze sobą nawzajem w naszym języku; uczyłyśmy się od matki wszystkiego, co wiedziała o duchach i ludzkich sercach.

Piłyśmy nasenne napary, warzone przez matkę z roślin uprawianych na zboczach, a w transach i snach podróżowałyśmy w przeszłość i rozmawiałyśmy z naszymi przodkami - potężnymi czarownicami znanymi nam z imienia. Jednym słowem, zwabiałyśmy duchy starożytnych na ziemię, aby przekazały nam wiedzę. Podróżowałyśmy też wysoko i daleko nad naszą krainą, opuszczając swe ciała.

Mogłabym opowiadać godzinami, co widziałem w tych transach, na przykład o tym, jak kiedyś wraz z Mekare chodziłyśmy po ulicach Niniwy, oglądając niewyobrażalne cuda; ale to teraz nieważne.

Pozwólcie, że powiem tylko, co znaczyło dla nas towarzystwo duchów - łagodne, harmonijne współzycie ze wszystkimi istotami i z duchami; w tamtych bowiem chwilach miłość duchów była dla nas równie namacalna jak wedle chrześcijańskich mistyków miłość Boga lub jego świętych.

Żyłyśmy w błogostanie, siostra, ja i nasza matka. Jaskinie naszych przodków były ciepłe i suche i miałyśmy wszystko, co nam było potrzebne - delikatne szaty i biżuterię, urocze grzebienie z kości słoniowej i sandały ze skóry przynoszone nam przez ludzi w darze, gdyż nikt nie płacił nam za to, co robiłyśmy.

Każdego dnia ludzie z wioski przybywali zasięgnąć opinii, a my przekazywałyśmy ich zapytania duchom. Próbowałyśmy przewidywać przyszłość, co oczywiście duchom się udaje, gdyż w pewnych wypadkach bieg rzeczy jest nieunikniony.

Przenikałyśmy umysły mocą telepatii i udzielałyśmy najlepszych możliwych rad. Czasem przynoszono do nas opętanych. Wtedy wypędzałyśmy demona lub złego ducha, a kiedy dom był

nawiedzony, szłyśmy tam i rozkazywałyśmy duchom, by się wyniosły.

Dawałyśmy nasenne napary tym, którzy się tego domagali. Wtedy zapadali w głęboki trans lub sen pełen żywych obrazów, które starałyśmy się zinterpretować lub wyjaśnić.

Do tych celów duchy tak naprawdę nie były nam potrzebne, chociaż czasem szukałyśmy ich rady w szczególnych przypadkach. Korzystałyśmy z własnej wiedzy oraz z dalekosiężnych wizji i często uzyskiwałyśmy informacje co do znaczenia różnych obrazów.

Jednak największy cud - który wymagał całej mocy sprawczej i którego tak trudno było nam dokonać - to było sprowadzanie deszczu.

Dokonywałyśmy tego na dwa sposoby - wywołując mały deszcz, zasadniczą symboliczną demonstrację naszej mocy, niosącą ludowi wielkie lekarstwo dla duszy, lub wielki deszcz, konieczny dla zasiewów, cud bardzo trudny, prawie niewykonalny.

Obydwa wymagały wielkiego nawoływania duchów, wzywania ich po imieniu i domagania się, żeby stały się razem, skupiły i użyły swojej mocy na nasze zawołanie. Mały deszcz często sprowadzały najlepiej nam znane duchy, szczególnie kochające mnie i Mekare, naszą matkę i jej matkę, i wszystkich naszych przodków. Zawsze można było liczyć na to, że podejmą się tego zadania z miłości.

Do sprowadzenia wielkiego deszczu była potrzebna cała chmara duchów, a ponieważ wiele z nich serdecznie nie cierpiało siebie nawzajem i współpracy, musiałyśmy się uciekać do całej masy pochlebstw. Musiałyśmy śpiewać i tańczyć do upadłego. Pracowałyśmy całymi godzinami, podczas gdy duchy stopniowo okazywały zainteresowanie, gromadziły się, rozsmakowywały się w pomysle i wreszcie zabierały się do pracy.

Mekare i ja zdołałyśmy sprowadzić wielki deszcz tylko trzy razy. Jakże piękny był to widok: chmury gromadzące się nad doliną, a potem wielkie płachty deszczu zasłaniające cały świat.

Wszyscy wybiegali na dwór, by rozkoszować się ulewą; ziemia pęczniała i otwierała się, wyrażając podziękowanie.

Mały deszcz sprowadzałyśmy często - dla innych i dla samej uciechy. Jednak to sprowadzanie wielkiego deszczu przysporzyło nam dalekosiężnej chwały. Zawsze mówiło się o nas, że jesteśmy czarownicami z góry, ale teraz zjawiali się przed nami ludzie z dalekich północnych miast, z ziem nie znanych nawet z nazwy.

Ludzie czekali w wiosce na swoją kolejkę, aby wspiąć się na górę, wypić napar i przedstawić nam swoje sny. Czekali, by wysłuchać naszej rady, a czasem jedynie spotkać się z nami.

Oczywiście wieś służyła im jadłem i napitkiem, przyjmując za to dary, i wszyscy czerpali z tego zyski, tak się przynajmniej wydawało. To, co robiłyśmy, nie różniło się tak bardzo od praktyk lekarzy psychologów w tym stuleciu; analizowałyśmy senne obrazy, interpretowałyśmy je, wyszukiwałyśmy w nich jakieś prawdy z podświadomości, a cuda małego deszczu i wielkiego deszczu jedynie wzmagaly wiarę innych w nasze zdolności.

Pewnego dnia, może pół roku przed śmiercią naszej matki, trafił w nasze ręce list. Posłaniec przyniósł go nam od króla i królowej Kemetu, czyli egipskiej krainy, jak nazywali ją sami Egipcjanie. Była to gliniana tabliczka, na której, zwyczajem stosowanym również w Jerychu i Niniwie, wyryto małe obrazki, pierwociny tego, co nazwano później pismem klinowym.

Oczywiście, nie umiałyśmy go odczytać, a nawet byłyśmy wystraszone, myśląc, że to może jakaś klątwa. Nie chciałyśmy wziąć go do ręki, ale trzeba było to zrobić, jeśli miałyśmy cokolwiek

zrozumieć.

Posłaniec wyjaśnił, że jego władcy, Akasza i Enkil, dowiedzieli się o naszej wielkiej mocy i będą zaszczyceni, jeśli złożymy wizytę na ich dworze; wysłali imponującą eskortę, by towarzyszyła nam do Kemetu, i obiecywali, że odeślą nas do domu ze wspaniałymi darami.

Wszystkie trzy intuicyjnie nie ufałyśmy posłańcowi. Mówił prawdę o tyle, o ile był zorientowany w sprawie, ale chodziło w tym o coś więcej.

Gdy matka wzięła tabliczkę w dłoń, natychmiast coś poczuła, coś, co przeniknęło jej palce i wzbudziło w niej wielki niepokój. Początkowo nie chciała nam powiedzieć, co zobaczyła, a potem wzięła nas na bok i powiedziała, że król i królowa Kemetu są źli, rozlewają morze krwi i nie dbają o wiarę innych. Straszliwe zło spotka nas z ich ręki, wbrew temu, co mówi tabliczka.

Wtedy Mekare i ja dotknęłyśmy listu i obie też odczułyśmy zapowiedź zła. Jednak krył on też tajemnicę, coś niejasnego, splątany ze złem element odwagi i chyba dobra. Nie był to zwykły spisek mający na celu wykraść nas i naszą moc; wyczuwałyśmy autentyczną ciekawość i szacunek.

Wreszcie poprosiłyśmy o pomoc duchy, te duchy, które najbardziej kochałyśmy. Zbliżyły się i z łatwością odczytały list. Potwierdziły, że posłaniec mówił prawdę, lecz jeśli udamy się do króla i królowej Kemetu, czeka nas straszliwe niebezpieczeństwo.

„Dlaczego?” - spytałyśmy.

„Król i królowa będą zadawać wam pytania - odpowiedziały duchy - i jeśli udzielicie szczerych odpowiedzi, a tak będzie, król i królowa rozgniewają się na was i zostaniecie unicestwione”.

Oczywiście nie miałyśmy zamiaru udawać się do Egiptu. Nigdy nie opuszczałyśmy naszej góry.

Jednak dowiedziałyśmy się, że nie wolno nam tego uczynić. Z całym szacunkiem rzekłyśmy posłańcowi, że nie możemy opuścić miejsca, w którym się urodziłyśmy, że żadna czarownica z naszej rodziny tego nie zrobiła, i błagamy go, by wytłumaczył to królowi i królowej.

Tak więc posłaniec odszedł i życie potoczyło się jak dawniej.

Kilka nocy później przybył do nas zły duch, którego nazywałyśmy Amel. Kolosalny, potężny i złośliwy stwór tańczył nad polaną, starając się przyciągnąć naszą uwagę, powiadając, że niebawem będziemy potrzebowały jego pomocy.

Od dawien dawna przywykłyśmy do przechwałek złych duchów; były wściekłe, że nie rozmawiamy z nimi, jak miały to w zwyczaju inne czarownice i czarownicy. My jednak wiedziałyśmy, że te istoty nie zasługują na zaufanie i nie dają się kontrolować; nigdy nie kusiło nas, by je wykorzystać i nie spodziewałyśmy się, że kiedyś to zrobimy.

Szczególnie Amela złościło nasze lekceważenie jego osoby. Oświadczał wszem wobec, że jest

„Amelem potężnym”, „Amelem niezwyciężonym” i że powinniśmy okazywać mu nieco szacunku. Możemy bowiem bardzo go potrzebować w przyszłości. Możemy potrzebować go bardziej, niż potrafimy to sobie wyobrazić, gdyż zbliżają się kłopoty.

Wtedy z jaskini wyszła matka i stanowczym głosem zażądała od ducha, by wyjaśnił, jakie kłopoty ma na myśli.

To nami wstrząsnęło, gdyż matka zawsze zabraniała nam rozmów ze złymi duchami; zazwyczaj wyklinała je i odpędzała lub też wprawiała je w zamęt zagadkami i chytrymi pytaniami, tak że rozzłoszczone i ogłupiałe, poddawały się.

Amel, straszliwy, zły, przepotężny - czy jak tam siebie zwał, a jego przechwałkom nie było końca - oświadczył jedynie, że zbliżają się wielkie kłopoty i jeśli mamy trochę oleju w głowie, powinniśmy okazać mu należny szacunek. Chełpił się wszelkim złem, które wyczyniał dla czarowników Niniwy. Mógł zadrezczać ludzi, dokuczać im, a nawet kłuć, jakby był chmurą komarów! Oświadczył, że potrafi ssać ludzką krew i lubi jej smak, i jest gotów ssać krew również dla nas.

Matka wyśmiała go.

„Jak możesz robić coś takiego? - spytała go wyzywająco. - Jesteś duchem, nie masz ciała, więc nie możesz poznać żadnego smaku!”

Takie słowa zawsze doprowadzały duchy do furii, bo, jak już mówiłam, zazdrościły nam ciała.

Wtedy ten duch, chcąc zademonstrować nam swoją moc, rzucił się na matkę jak zawierucha. Jej dobre duchy natychmiast stawily mu czoło i nad polaną wybuchło straszliwe zamieszanie. Kiedy zapanował już spokój i Amel został odpędzony przez stróżujące duchy, ujrzałyśmy na dłoni matki drobniutkie nakłucia. Amel, zły duch, wyssał z niej krew, właśnie tak, jak zapowiedział -

jakby chmara komarów pokłuła ją wiele razy drobnymi żądłami.

Matka przyglądała się tym rankom. Dobre duchy rozzłościły się, widząc, że potraktowano ją z takim brakiem szacunku, ale ona nakazała im spokój. Bez słowa zastanawiała się nad tym, co się stało, jak to było możliwe i jak duch mógł znać smak wyssanej krwi.

To właśnie wtedy Mekare wyjaśniła, że w jej wizjach te duchy mają w samym środku wielkich niewidzialnych ciał nieskończenie małe materialne rdzenie i prawdopodobnie właśnie za pośrednictwem tego rdzenia mogą poznać smak krwi. Wyobraźcie sobie niesłychanie drobny płonący knot kaganka. Ten knot mógł wchłaniać krew. Tak właśnie było z duchem, który cały zdawał się składać z płomienia, ale miał w sobie mały knot.

Matka niby okazywała lekceważenie, jednak tamten stwór wzbudził jej niechęć. Rzekła ironicznie, że na świecie jest dość cudów bez złych duchów wysysających krew.

„Przepadnij, Amelu” - powiedziała i obłożyła go klątwami, mówiąc, że jest banalny, nic nie znaczący, nieważny, nigdy nie zdobędzie sławy ani uznania i że może po prostu odfrunąć.

Innymi słowy, powiedziała to, co zawsze, kiedy pozbywała się uprzykrzonych duchów - to, co księża mówią nawet teraz w nieco odmiennej formie, kiedy za pomocą egzorcyzmów ratują opętane dziecko.

Jednak bardziej niż wygłupy Amela zmartwiło matkę jego ostrzeżenie, że zbliża się do nas zło.

Pogłębiło to niepokój, który poczuła, biorąc do ręki egipską tabliczkę. Mimo to nie poprosiła dobrych duchów o pociechę ani o radę. Zapewne była na to zbyt mądra, ale tego nigdy się nie dowiemy. Tak czy inaczej, wiedziała, że coś się wydarzy, i potrafiła temu zapobiec. Być może wiedziała, że czasem, starając się zapobiec nieszczęściu, dajemy mu broń do ręki. W następnych dniach zachorowała, potem osłabła i w końcu straciła mowę.

Miesiącami leżała sparaliżowana, w półśnie. Siedziałyśmy przy niej dzień i noc i śpiewałyśmy jej pieśni. Przynosiłyśmy jej kwiaty i starałyśmy się odczytać jej myśli. Kochające ją duchy były w stanie okropnego wzburzenia; ściągnęły na górę wiatry i zrywały liście z drzew.

Cała wioska pogrążyła się w smutku. Pewnego ranka myśli naszej matki znów nabrały kształtu, ale były pokawałkowane. Ujrzałyśmy słoneczne pola, kwiaty i obrazy, które pamiętała z dzieciństwa; a potem tylko cudowne barwy i coś jeszcze.

Wiedziałyśmy, że matka umiera, i duchy też o tym wiedziały. Robiłyśmy, co w naszej mocy, aby je uspokoić, ale niektóre z nich wpadły we wściekły gniew. Po śmierci jej dusza miała się unieść wysoko ponad sfery duchów, więc miały ją utracić na wieczność, pogrążone w żałobie i wściekłości.

Tak się wreszcie stało i było to całkowicie naturalne i nieuniknione. Wyszłyśmy z jaskini, aby powiedzieć ludowi, że matka przeniosła się w odległe sfery. Wszystkie drzewa na naszej górze zatrzęsły się od wiatru wywołanego przez duchy; powietrze było pełne zielonych liści.

Płakałyśmy razem z siostrą, a ja po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że słyszę głosy duchów, że przez wiatr przebijają się ich płacze i lamenty.

Wieśniacy natychmiast przyszli zrobić to, co konieczne.

Najpierw złożono matkę na kamiennej płycie, jak każe zwyczaj, by wszyscy mogli przyjść i złożyć jej hołd. Była odziana w białą szatę z egipskiego płótna, tak uwielbianą przez nią za życia, i przystrojona wytworną biżuterią z Niniwy, pierścieniami i kościanymi naszyjnikami, zawierającymi szczątki naszych przodków; niebawem miały one być nasze.

Kiedy minęło dziesięć godzin i przyszły już z wizytą setki ludzi, zarówno z naszej wioski, jak i z sąsiednich miejscowości, przygotowałyśmy ciało na uroczystą stypę. Każdemu innemu mieszkańcowi wioski to kapłani uczyniliby ten zaszczyt. Ale my byłyśmy czarownicami, podobnie jak matka, więc tylko my mogłyśmy jej dotknąć. W odosobnieniu, przy świetle oliwnych lamp, zdjęłyśmy z matki szatę i zakryłyśmy całe jej ciało kwiatami i liśćmi.

Przepiłowałyśmy jej czaszkę i ostrożnie otworzyłyśmy, tak że czoło pozostało nietknięte, wyjęłyśmy mózg i położyłyśmy go w misie wraz z gałkami ocznymi matki. Następnie wyjęłyśmy serce i złożyłyśmy je w innej misie, a potem zasłoniłyśmy naczynia nakrywkami z gliny.

Wtedy zjawili się wieśniacy, zbudowali ceglany piec dookoła kamiennej płyty, na której obok trupa leżały też misy, podłożyli ogień między kamienie podpierające płytę i zaczęło się pieczenie.

Trwało całą noc. Duchy uspokoiły się, ponieważ dusza matki odeszła. Nie sędzę, by ciało miało dla nich znaczenie; to, co robiłyśmy potem, nie miało dla nich znaczenia, chociaż dla nas - z pewnością tak.

Ponieważ byłyśmy czarownicami, tak jak nasza matka, jako jedyne miałyśmy podzielić się jej ciałem. Zwyczaj i prawo stanowiły, że było ono tylko nasze. Wieśniacy nie uczestniczyli w stypie, jak byłoby w przypadku każdej innej osoby. Bez względu na to, jak długo by to trwało, miałyśmy same spożyć trupa matki, a wieśniacy mieli się temu przyglądać.

Gdy szczątki matki spoczywały w piecu, rozmawiałyśmy z siostrą o jej sercu i mózgu.

Oczywiście, miałyśmy podzielić się tymi organami i byłyśmy bardzo przejęte, której co przypadnie, nasze przekonania na ich temat były bowiem niezłomne i wierzyłyśmy, że każdy z nich jest źródłem czegoś innego.

Otóż dla wielu ludzi w owym czasie najważniejsze było serce. Na przykład wedle Egipcjan serce było siedliskiem świadomości. Nawet lud z naszej wioski myślał podobnie; ale my, czarownice, wierzyłyśmy, że to mózg jest siedliskiem ludzkiego ducha; to znaczy jest domem duchowej części każdego, bliskiej duchom obecnym w powietrzu. Przekonanie, że mózg jest ważny, miało swe źródło w tym, że z mózgiem łączą się oczy, organ wzroku. A czarownice zajmowały się właśnie widzeniem. W naszym języku mówiło się, że jesteśmy jasnowidzące, i był to odpowiednik słowa „czarownice”.

Najwięcej jednak rozmawiałyśmy o ceremonii. Wierzyłyśmy, że dusza matki odeszła i z szacunku dla niej miałyśmy zjeść tamte organy, żeby nie zgniły. Porozumienie przyszło więc łatwo. Mekare miała wziąć mózg i oczy, ja - serce.

Mekare była potężniejszą czarownicą; przyszła na świat pierwsza i to ona zawsze nadawała ton; ona bezzwłocznie zabierała głos; ona odgrywała rolę starszej siostry, jak to zwykle bywa u bliźniaczek. To jej należał się mózg i oczy, a mnie, zawsze cichszej i powolniejszej - organ kojarzony z głębokimi uczuciami i miłością - serce.

Byłyśmy zadowolone z podziału i gdy niebo o brzasku pojaśniało, zasnęłyśmy na kilka godzin, osłabione głodem i postem przygotowującym nas do stypy.

Tuż przed świtem obudziły nas duchy, które znów ściągnęły wiatr. Wyszłam z jaskini. Ogień płonął w piecu, lecz stróżujący wieśniacy posnęli. Gniewnie nakazałam duchom spokój. Jednak jeden z nich, najbardziej przeze mnie lubiany, powiedział, że obcy zbierają się w dolinie, wielu obcych, niesłychanie podziwiających naszą moc i niebezpiecznie zainteresowanych stypą.

„Ci ludzie chcą czegoś od ciebie i Mekare - rzekł duch. - Ci ludzie nie przybyli tu, by czynić dobro”.

Odparłam mu, że obcy zawsze tu przybywali; że to nic dziwnego i że duchy powinny teraz pozwolić nam zrobić to, co konieczne. Później udałam się do jednego z mężczyzn, spytałam go, czy wieś jest

przygotowana na niebezpieczeństwo, i poprosiłam, żeby ludzie przynieśli ze sobą broń, kiedy zbiorą się na stypę.

To nie było dziwne żądanie. Większość ludzi nigdy nie rozstawała się z bronią. Zawodowi żołnierze nosili także miecze, a inni zatykali za pas noże.

Nie byłam zaniepokojona tym, czego dowiedziałem się od duchów; obcy przybywali do naszej wioski ze wszystkich stron świata, było więc jak najbardziej naturalne, że zjawili się przy okazji nadzwyczajnego wydarzenia - śmierci czarownicy.

Wiecie jednak, co miało się wydarzyć. Widzieliście to w snach. Widzieliście wieśniaków gromadzących się wokół polany, gdy słońce wznosiło się na szczyt nieboskłonu. Widzieliście może, jak powoli zdejmowano cegły ze stygnącego pieca; lub też tylko ciało matki, szerniałe, pomarszczone, a mimo to uspokoione jak we śnie, spoczywające na ciepłej kamiennej płycie.

Widzieliście przykrywające ją zwiędłe kwiaty, widzieliście serce, mózg i oczy w misach.

Widzieliście, jak uklękliśmy po obu stronach ciała matki. I słyszeliście, jak muzykanci zaczęli grać.

Nie widzieliście, ale już wiecie, że nasz lud przez tysiące lat zbierał się na takie stypy. Przez tysiące lat mieszkaliśmy w tamtej dolinie i na stokach góry, gdzie rosły wysokie trawy i owoce spadały z drzew. To była nasza ziemia, nasz zwyczaj, nasza chwila.

Nasza święta chwila.

Kiedy Mekare i ja uklękliśmy naprzeciwko siebie, odziane w najwspanialsze szaty i przystrojone nową biżuterią po matce i własnymi ozdobami, ujrzałyśmy nie ostrzeżenia duchów lub niepokój matki dotykającej tabliczki króla i królowej Kemetu. Ujrzałyśmy nasze własne życie

- pełne nadziei, długie i szczęśliwe - spędzone tam, pośród naszych bliskich.

Nie pamiętam, jak długo klęczałyśmy, jak długo szykowałyśmy nasze dusze. Pamiętam, że jednocześnie uniosłyśmy misy z organami matki i muzyka zaczęła grać. Muzyka fletu i bębna zabrzmiała wokół nas; słyszałyśmy łagodne oddechy wieśniaków; słyszałyśmy śpiew ptaków.

A potem spadło na nas zło; spadło tak nagle, z tupotem stóp i przeraźliwymi wrzaskami egipskich żołnierzy, że ledwo wiedziałyśmy, co się dzieje. Rzuciłyśmy się na ciało matki, usiłując uratować świętą stypę, ale od razu odciągnięto nas i ujrzałyśmy, jak misy spadają na ziemię, a kamienna płyta się przewraca!

Usłyszałam, jak Mekare krzyczy, krzyczy, jak żaden człowiek nigdy nie krzyczał. Ja też krzyczałam, widząc ciało matki ciśnięte w popiół.

Uszy miałem pełne przekleństw; żołnierze wykrzykiwali, że zjadamy ludzi, że jesteśmy kanibalami, dzikusami i musimy iść pod miecz.

Nikt nas nie skrzywdził. Związane i bezradne patrzyłyśmy, jak nasi krewni są mordowani.

Żołnierze deptali trupa matki, deptali jej serce, mózg i oczy. Rozrzucali popioły, podczas gdy inni wycinali w pień mężczyzn, kobiety i dzieci w wiosce.

Potem wśród chóralnych krzyków, straszliwego wrzasku setek umierających na stoku góry, usłyszałam głos Mekare wzywającej nasze duchy do zemsty, do ukarania żołnierzy za ich czyny.

Czymże jednak był wiatr lub deszcz dla tamtych mężczyzn? Drzewa się trzęsły, ziemia drżała, liście zawirowały w powietrzu jak poprzedniej nocy, kamienie toczyły się w dół góry, unosząc chmury kurzu. Wtedy wystąpił król Enkil i oświadczył, że to tylko stare sztuczki, a my i nasze demony nie potrafimy zrobić nic więcej.

To było aż nazbyt prawdziwe i nie słabnąca masakra ciągnęła się dalej. Siostra i ja byłyśmy gotowe umrzeć, ale nie zabito nas. Nie to było ich zamiarem i kiedy wlekli nas ze sobą, zobaczyłyśmy naszą wieś płonąca, łany dzikiej pszenicy w ogniu, nasze plemię zamienione w stos trupów i wiedziałyśmy, że zostaną tam na pastwę dzikich zwierząt, w całkowitej pogardzie i zapomnieniu.

Maharet przerwała. Złożyła dłonie w daszek, dotknęła czubkami palców czoła i zastygła tak na chwilę, zanim zaczęła znowu mówić. Jej głos był teraz nieco chrapliwy i cichszy, ale wciąż spokojny.

- Czymże jest plemię z jednej osady? Czym jest garstka ludzi lub nawet życie jednego człowieka?

Pod ziemią spoczywa tysiąc takich plemion. I nasze plemię spoczywa tak po dziś dzień.

Wszystko, co wiedzieliśmy, wszystko, co osiągnęliśmy, uległo spustoszeniu w ciągu godziny.

Wyćwiczeni żołnierze wymordowali prostych pasterzy, kobiety, bezbronną młodzież. Wioski legły w ruinie, chaty zrównano z ziemią; wszystko, co mogło spłonąć - spłonęło.

Ponad górą, nad wioską leżącą u jej podnóża, czułam obecność duchów zmarłych. Tworzyły wielką poświatę, niektóre tak podniecone i zagubione z powodu zadanego im gwałtu, że lgnęły do ziemi w grozie i bólu; inne wznosiły się nad ciała, żeby już nie cierpieć.

Cóż mogły zrobić?

Przez całą drogę do Egiptu towarzyszyły naszemu pochodowi, dokuczały żołnierzom, którzy związali i nieśli w lektyce dwie łkające kobiety, przytulone mocno jedna do drugiej, przejęte grozą i żalem.

Każdej nocy, kiedy oddział rozbijał obóz, duchy posyłały wiatr, żeby rozrywał namioty i rozrzucał je na wszystkie strony. Mimo to król radził żołnierzom, by nie ulegali lękowi. Mówił, że bogowie Egiptu są silniejsi niż demony wiedźm. A ponieważ duchy w istocie osiągnęły szczyt swoich możliwości i nie działo się nic gorszego, żołnierze mu wierzyli.

Każdego wieczoru król kazał sprowadzać nas przed swoje oblicze. Mówił naszym językiem, znanym wówczas powszechnie, używanym od doliny Tygrysu i Eufratu, a także wzdłuż stoków góry Karmel.

„Jesteście wielkimi czarownicami - powiadał głosem łagodnym i irytująco szczerym. - Z tego

powodu oszczędziłem wam życie, chociaż zjadacie ludzi jak wasi pobratymcy i zostałeś złapane na gorącym uczynku przeze mnie i moich ludzi. Oszczędziłem was, ponieważ chciałbym skorzystać z waszej mądrości. Będę się od was uczył, jak również moja królowa. Powiedzcie mi, co mogę uczynić, aby ulżyć waszym cierpieniom, a zrobię to. Jesteście teraz pod moją opieką, jestem waszym królem”.

Łkając, nie patrząc mu w oczy, stałyśmy przed nim bez słowa, gdy znużył się tym wszystkim, posyłał nas spać do małej ciasnej lektyki - drewnianej klatki z małymi okienkami.

Pozostawione same sobie, rozmawiałyśmy cicho w naszym języku bliźniaczek, języku gestów i skrótów, które tylko my rozumiałyśmy. Mówiłyśmy o tym, co duchy powiedziały matce, i o tym, że zachorowała po liście od króla Kemetu i nigdy nie wróciła do zdrowia. A jednak nie bałyśmy się.

Nasz smutek był zbyt wielki, abyśmy mogły się bać. Już czułyśmy się martwe. Widziałyśmy masakrę naszego ludu, widziałyśmy zbezczeszczenie ciała matki. Co gorszego mogło nas jeszcze spotkać? Byłyśmy wciąż razem, więc może rozdzielenie byłoby gorsze.

Podczas tej długiej podróży do Egiptu miałyśmy jedną małą pociechę, której nie dane nam było później zapomnieć. Khayman, królewski rządca, traktował nas ze współczuciem i uczynił

wszystko, co w jego mocy, by ulżyć naszemu bólowi.

Maharet przerwała po raz kolejny i spojrzała na Khaymana, który siedział, splótszy ręce na stole i opuściwszy oczy. Wydawał się głęboko pogrążony we wspomnieniach. Przyjął do wiadomości wdzięczność, ale chyba nie sprawiła mu ulgi. Wreszcie odwzajemnił spojrzenie Maharet. Pytania cisnęły mu się na usta, ale ich nie zadał. Przesunął wzrokiem po zebranych, odwzajemniając ich spojrzenia, ale nie odezwał się ani słowem.

- Khayman rozluźniał nam więzy, kiedy się tylko dało - kontynuowała Maharet - zezwalał nam na wieczorne spacerki; przynosił mięso i napitki. Okazywał przy tym wielką dobroć, czynił

bowiem to wszystko bez słowa, nie dopominając się o podziękowanie. Robił to z dobroci serca.

Po prostu nie mógł patrzeć na ludzkie cierpienie.

Wydawało się nam, że podróż do Kemetu trwała dziesięć dni; może więcej, może mniej. Kiedyś w trakcie tej podróży duchy zmęczyły się swoimi sztuczkami; a my, upadłe na duchu i wyzbyte odwagi, nie wezwaliśmy ich. W końcu pogrążyłyśmy się w milczeniu i tylko czasem spoglądałyśmy w oczy jedna drugiej.

Wreszcie znalazłyśmy się w królestwie, którego wolałybyśmy nigdy nie oglądać. Doprowadzono nas przez rozpaloną pustynię do żyznego czarnego łądu opasującego rzekę Nil, do czarnej ziemi, od której pochodzi słowo Kemet. Przewieziono nas, jak i całą armię, na tratwie przez ogromną rzekę i znalazłyśmy się w rozległym mieście pełnym ceglanych budynków krytych strzechami, wielkich świątyń i pałaców wzniesionych z tych samych prostych materiałów, ale bardzo wspaniałych.

Nie było wtedy jeszcze kamiennych budowli, z których zasłynęli Egipcjanie - świątyń faraonów,

stojących po dziś dzień.

Już wtedy jednak wielce upodobali sobie przepych i dążyli ku monumentalizmowi. Nie wypalane cegły, rzeczna trzcina, rogoża - wszystkie te proste materiały były używane do wznoszenia wysokich murów, następnie bielonych i malowanych w piękne wzory.

Przed pałacem, do którego zaprowadzono nas, królewskich jeńców, ujrzałyśmy wielkie kolumny z ogromnych leśnych traw. suszonych, plecionych i spajanych rzeczonym mułem; a wewnątrz zamkniętego dziedzińca było jezioro, pełne lotosów i otoczone kwitnącymi drzewami.

Nigdy nie widziałyśmy ludzi tak bogatych jak Egipcjanie, obwieszonych tak piękną biżuterią, o włosach zaplecionych w tak piękne warkocze i tak pomalowanych oczach. Te oczy budziły nasz lęk. Farba czyniła bowiem spojrzenie twardym; stwarzała iluzję głębi tam, gdzie być może nie było żadnej głębi; instynktownie wzdrygałyśmy się w obliczu tej sztuczności.

Wszystko, co widziałyśmy, pogłębiało naszą rozpacz i żal. Jakże nie cierpiałyśmy tego całego otoczenia. I chociaż nie rozumiałyśmy obcego języka tych ludzi, czułyśmy, że my też budzimy nienawiść i lęk. Nasze rude włosy przerażały ich, a to, że byliśmy bliźniaczkami, też wywoływało strach.

Ich zwyczajem było zabijanie bliźniaków już w powijakach, a rude potomstwo bez wyjątku składano w ofierze. Uważano, że to przynosi szczęście.

Pojęłyśmy to wszystko w niespodziewanych przeblyskach zrozumienia; osadzone w więzieniu, zgębione, oczekiwałyśmy co przyniesie nam los.

Jak poprzednio, tak i teraz naszym jedynym pocieszycielem był Khayman. To on, królewski rządcą, postarał się, byśmy miały odpowiednie warunki w celi. Przynosił nam świeżą słomę na posłanie, owoce i piwo. Dostałyśmy od niego nawet grzebienie i czystą odzież. Wtedy po raz pierwszy odezwał się do nas; rzekł, iż królowa jest łagodna i dobra i że nie powinnyśmy się bać.

Wiedziałyśmy, że mówi szczerze, co do tego nie było wątpliwości; miałyśmy jednak złe przecucia, zupełnie jak wtedy, gdy słuchałyśmy słów królewskiego posłańca. Nasz sąd dopiero się rozpoczął.

Lękałyśmy się również, że duchy nas opuściły, że nie chciały przybyć do tej krainy w naszej sprawie. Nie wzywałyśmy ich, ponieważ wzywać i nie usłyszeć odpowiedzi... no cóż, to załamałoby nas zupełnie.

Wieczorem królowa posłała po nas. Zaprowadzono nas przed oblicze dworu.

Widok Akaszy i Enkila na tronie, chociaż budził nasze obrzydzenie, nie mógł nie rzucić nas na kolana. Królowa wyglądała nie inaczej niż teraz - prosta w ramionach, o mocnych kończynach i obliczu niemal zbyt cudownym, aby zdradzało inteligencję, istota o nęcącym uroku i cichym drżącym głose. Król objawił się nam teraz niejako żołnierz, lecz jako władca, z włosami zaplecionymi w warkoczyki, w dworskim fartuszką i obwieszony biżuterią. Jego czarne oczy jaśniały szczerością jak zawsze, ale w jednej chwili zdałyśmy sobie sprawę, że to Akasza rządzi tym królestwem i zawsze

nim rządziła. Język był domeną Akaszy, umiała się nim posługiwać.

Usłyszałyśmy od niej, że nasz lud został słusznie ukarany za swe potworne zwyczaje, że został

potraktowany miłosiernie, kanibale bowiem wedle prawa powinni być skazani na powolną śmierć. Rzekła, iż okazano nam łaskę, gdyż jesteśmy wielkimi czarownicami i Egipcjanie będą pobierali od nas nauki; zapoznają się z tajemną mądrością, którą musimy się z nimi podzielić.

Natychmiast, jakby wcześniejsze słowa były bez znaczenia, przeszła do pytań. Kim są nasze demony? Czemu niektóre są dobre, skoro są demonami? Czy to nie bogowie? Jak sprowadzamy deszcz?

Byłyśmy zbyt wstrząśnięte jej gruboskórnością, aby odpowiedzieć. Zranione duchową brutalnością jej obejścia, znów się rozplakałyśmy. Odwróciłyśmy się od niej i padłyśmy sobie w ramiona.

Zrozumiwałyśmy wtedy jeszcze coś - coś, co w oczywisty sposób słyhać było w jej sposobie mówienia. Szybkość, z jaką zasypała nas słowami, bezceremonialność, akcentowanie to takich, to innych głosek - wszystko to uświadomiło nam, że kłamię i że sama o tym nie wie.

Zajrzawszy głęboko w kłamstwo, zamknęłyśmy oczy i ujrzałyśmy prawdę, której ona sama z pewnością nie chciała poznać: wymordowała nasz lud, żeby nas do siebie sprowadzić! Wysłała swojego króla i żołnierzy na tę świętą wojnę po prostu dlatego, że odrzuciłyśmy jej zaproszenie.

Pragnęła nas mieć, zdane na jej łaskę i niełaskę. Była nas ciekawa.

To właśnie ujrzała matka, kiedy wzięła do ręki tabliczkę od królewskiej pary. Być może duchy też na swój sposób to przewidziały. Dopiero teraz pojęłyśmy całą potworność tego wszystkiego.

Nasz lud umarł, ponieważ wzbudziłyśmy ciekawość królowej, tak jak wzbudzałyśmy ciekawość duchów; to my sprowadziłyśmy nieszczęście na wszystkich.

Zadawałyśmy sobie pytanie, dlaczego żołnierze nie zabrali nas po prostu bezbronnym wieśniakom? Czemu wymordowali cały nasz lud?

Tu właśnie kryła się prawdziwa groza! Królowa dążyła do swojego celu pod pozorem obrony moralności i rozumiała to nie lepiej niż wszyscy pozostali.

Przekonała samą siebie, że nasi wieśniacy powinni umrzeć, że ich dzikość na to zasługuje, chociaż nie byli Egipcjanami, a nasza kraina był daleko od jej ojczyzny. I, och, jakże to wygodne, że mogła potem okazać nam łaskę i sprowadzić nas przed swoje oblicze, by w końcu zaspokoić swoją ciekawość. I oczywiście, powinniśmy być jej teraz wdzięczne i chętnie odpowiedzieć na pytania.

Dokładniej jeszcze niż ów podstęp, ujrzałyśmy jej umysłowość, która powoływała do życia takie sprzeczności.

Królowa nie wierzyła w prawdziwą moralność, w żaden system wartości, który rządziłby jej uczynkami. Była jedną z tych istot, które czują, że być może nic, żadna przyczyna nie kryje się za całym poznawalnym światem. Nie mogła tego znieść, więc dniem i nocą tworzyła własny system

etyczny, rozpaczliwie pragnąc w niego uwierzyć, chociaż była to tylko suma pozorów osłaniających czyny dokonywane wyłącznie z pragmatycznych pobudek. Jej wojna z kanibalizmem była spowodowana wyłącznie jej niechęcią do takich zwyczajów. Jej lud z Uruku nie jadł ludzkiego ciała, więc nie chciała, by w jej otoczeniu dokonywano tego obrzydlistwa i tak naprawdę nie chodziło jej o nic więcej. Zawsze było w niej mroczne miejsce, siedlisko rozpacz i wielki popęd do tworzenia sensu życia, bo tego właśnie jej brakowało.

To, co w niej ujrzeliśmy, nie było pustką, lecz młodzieńczą wiarą, że jeśli zada sobie trud, sprawi, że światło zapłonie; że może dowolnie kształtować świat, aby zaznać otuchy; ujrzeliśmy też jej obojętność na ludzkie cierpienia. Wiedziała, że inni mogą cierpieć, ale tak naprawdę nie poświęcała temu ani krzty uwagi.

Wreszcie, nie mogąc znieść rozmiarów tego oczywistego fałszu, spojrzeliśmy na nią, gotowe stawić jej czoło. Nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat i sprawowała w tym kraju władzę absolutną, olśniewając wszystkich swoimi zwyczajami z Uruku. Jej uroda była tak przytłaczająca, że aż prawdziwa; wykluczała jakikolwiek majestat czy tajemniczość; jej głos miał

nadal dziecięce brzmienie, wywołujące u innych instynktowną czułość i, sprawiające, że najprostsze słowa w jej ustach dźwięczały jak muzyka. Ten głos doprowadzał nas do szału.

Nieustannie zadawała pytania. Jak czyniliśmy cuda? Jak zaglądamy w serca ludzi? Skąd biorą się nasze czary i na jakiej podstawie twierdzimy, że rozmawiamy z niewidzialnymi istotami? Czy możemy rozmawiać w ten sam sposób z bogami? Czy potrafimy pogłębić jej wiedzę lub pomóc jej zrozumieć to, co boskie? Obiecuje nam wybaczyć naszą dzikość, jeśli okażemy wdzięczność, jeśli uklękniemy przy jej ołtarzach i złożymy przed jej bogami i nią samą to, co wiemy.

Jej prostactwo wzbudziło najgłębszy gniew Mekare. Moja siostra, która wiodła prym, zabrała głos.

„Przestań pytać. Mówisz głupstwa - oświadczyła. - Nie macie bogów w tym królestwie, bo nie ma bogów. Jedyne niewidzialni mieszkańcy tego królestwa to duchy, które bawią się wami za pośrednictwem waszych kapłanów i religii, jak bawią się wszystkim innym. Ra, Ozyrys - to tylko wymyślone nazwy, za pomocą których schlebacie duchom i płaszczycie się przed nimi, a kiedy to służy ich celom, dają wam mały znak, żebyście tym bardziej się przed nimi płaszczyci”.

Zarówno król, jak i królowa patrzyli na Mekare w osłupieniu i grozie. A ona mówiła dalej:

„Duchy są prawdziwe, ale dziecinne i kapryśne. I do tego niebezpieczne. Podziwiają nas i zazdroszczą nam, że mamy równocześnie ciało i duszę. To je zachwyca i sprawia, że chętnie wypełniają naszą wolę. Czarownice takie jak my zawsze wiedziały, jak to wykorzystać; ale do tego potrzeba wielkich umiejętności i mocy, którymi my dysponujemy, a ty nie. Jesteście głupcami i więząc nas, popełniliście zło i niegodziwość. Żyjecie w kłamstwie! Ale my nie będziemy was okłamywać”.

A potem, na wpół łkając, na wpół dusząc się z gniewu, Mekare oskarżyła królową przed wszystkimi dworzanami o oszustwo, o masakrę naszego ludu po to tylko, by sprowadzić nas na swój dwór. Nasi pobratymcy nie polowali na ludzi od tysięcy lat, ogłosiła zebrany, a kiedy brano nas w niewolę,

zbezczeszczone świętą stypę, a wszystko po to, by królowa Kemetu mogła porozmawiać z czarownicami, zadawać im pytania, mieć je na własność i wykorzystać ich moc do własnych celów.

Wybuchła wrzawa. Nigdy nie słyszano tam takich obelg i bluźnierstw. Dostojni wielmoże Egiptu, wciąż zirytowani zakazem świętego kanibalizmu, byli wstrząśnięci na wieść o zbezczeszczeniu świętej stypy. Innych, którzy również obawiali się zemsty niebios za to, że nie spożywali szczątków swoich rodziców, sparaliżował strach.

Zapanował zamęt. Tylko król i królowa byli dziwnie milczący i zaintrygowani.

Akasha nie zareagowała w żaden sposób i było jasne, że w głębi swej świadomości uznała część naszych wyjaśnień za prawdziwe. Na chwilę obudziły jej najszczerzą ciekawość. Duchy, które udają, że są bogami? Duchy, które zazdroszczą ciała? Nawet nie zastanowiła się nad oskarżeniem, że bez potrzeby wymordowała nasz lud. Nie była tym zainteresowana.

Fascynowały ją problemy duchowe, a ogarnięta fascynacją, oddzielała ciało od ducha.

Pozwólcie, że zwrócę waszą uwagę na ostatnie słowa. Fascynował ją problem duchowy, można by powiedzieć, abstrakcyjna myśl będąca dla niej wszystkim. Nie sędzę, by uwierzyła, że duchy są infantylne i kapryśne. Jednak bez względu na to, jaka była prawda, chciała ją poznać, i to za naszym pośrednictwem. Masakra naszego ludu nie obeszyła jej ani trochę!

Tymczasem arcykapłan świątyni Ra zażądał naszej egzekucji. Podobnie arcykapłan świątyni Ozyrysa. Byłyśmy złe, byłyśmy czarownicami, wszyscy rudowłosi winni być spaleni, jak zawsze w krainie Kemet. Zebrani natychmiast podchwycili te oskarżenia. Należy wznieść stos.

Wydawało się, że za chwilę pałac ogarną rozruchy.

Wtedy król nakazał spokój. Znów odprowadzono nas do celi i wzmocniono strażę.

Wzburzona Mekare chodziła od ściany do ściany, a ja błagałam ją, by się więcej nie odzywała.

Przypomniałam jej ostrzeżenie duchów: jeśli udamy się do Egiptu, król i królowa będą nam zadawać pytania, i jeśli odpowiemy uczciwie, a tak się stanie, król i królowa będą się na nas gniewać i każą nas zabić.

Jednak Mekare mnie nie słuchała. Chodziła tam i z powrotem, od czasu do czasu uderzając się pięścią w piersi. Czułam jej niepokój.

„Przeklęte - powtarzała. - Złe”.

Na przemian pogrążała się w milczeniu i powtarzała te słowa.

Wiedziałam, że wspominała ostrzeżenia Amela, złego ducha. Wiedziałam też, że on jest w pobliżu; słyszałam go i czułam. Wiedziałam, że Mekare chciałaby go przywołać, i czułam, że nie wolno jej tego czynić. Cóż jego moc mogła znaczyć dla Egipcjan? Ilu śmiertelnych mógł pokuć?

Nie wzbudziłby większego przerażenia niż gwałtowny wiatr czy ciskanie przedmiotami. Amel słyszał te myśli i zaczął się burzyć.

„Uspokój się, demonie - powiedziała Mekare. - Zaczekaj. aż będziesz mi potrzebny!”

Pierwszy raz słyszałam, by Mekare odzywała się do złego ducha i przeszył mnie dreszcz zgrozy.

Nie pamiętam, kiedy zasnęliśmy. Po północy obudził mnie Khayman. Początkowo wydawało mi się, że to Amel płata jakąś sztuczkę, i obudziłam się roztrzęsiona, ale Khayman gestem zalecił

mi spokój. Był w strasznym stanie. Miał na sobie prostą nocną szatę i sandały, a jego włosy były w nieładzie. Chyba wcześniej płakał. Miał czerwone oczy.

Usiadł przy mnie, mówiąc:

„Powiedz mi, czy to prawda, co mówiłaś o duchach?”

Nie wyjaśniałam mu, że to były słowa Mekare. Ludzie zawsze nas mylili albo uważali za jedną osobę. Powiedziałam mu tylko, że tak, to prawda.

Wyjaśniłam mu, że niewidzialne istoty były zawsze wśród nas; że same opowiedziały nam, iż nie wiedzą o istnieniu żadnych bogów ani bogiń. Opowiedziałam, jak przechwalały się swymi wyczynami w wielkich świątyniach Sumeru, Jerycha lub Niniwy i jak czasem oznajmiały, że to one są tym lub tamtym bogiem. My jednak zawsze wiedziałyśmy, z kim tak naprawdę mamy do czynienia i kiedy ignorowałyśmy te opowieści, rezygnowały ze swoich wygłupów.

Siedział załamany, jak człowiek okłamywany przez całe życie, który nagle dojrzał prawdę. Był

głęboko poruszony, kiedy duchy ściągnęły wiatr na naszą górę i ciskały na żołnierzy fontannę liści; to zmroziło jego duszę. Taki stan jest zawsze zaczynem wiary.

Zrozumiałam wtedy, jak obciążone jest jego sumienie.

„Masakra waszego ludu to była święta wojna; żaden egoistyczny uczynek, jak mówiłaś”, powiedział.

„Och, nie - rzekłam. - To był egoistyczny i prostacki czyn, nie mogę nazwać tego inaczej”.

Powiedziałam mu o tabliczce dostarczonej przez posłańca, o tym, co powiedziały duchy, o lęku i chorobie matki, o mojej mocy, dzięki której usłyszałam, co kryje się w słowach królowej, a czego ona sama nie potrafiła zaakceptować.

Zanim skończyłam mówić, Khayman znów się załamał. Wiedział, że to, co mówię, jest prawdą.

Walczył u boku króla podczas wielu kampanii przeciwko wielu ludom. To, że wojsko powinno walczyć dla zysku, nie było dla niego niczym nowym. Widział masakry i spalone miasta, widział

uprowadzanych ludzi; widział żołnierzy uginających się pod ciężarem łupów. Chociaż sam nie był

wojownikiem, rozumiał, dlaczego tak się dzieje.

W naszej wiosce nie było jednak żadnego wartościowego łupu; nie było to terytorium, które król mógłby zatrzymać. Tak, walczone po to, żeby nas pojmać, to było mu wiadome. Czuł

obrzydzenie z powodu kłamstwa o świętej wojnie przeciwko kanibalom. Jego smutek był jeszcze większy niż klęska. Pochodził ze starej rodziny i sam jadł ciała swych przodków. Teraz musiał

karać za to samo ludzi, których znał i kochał. Myśl o mumifikacji budziła w nim odrazę, ale jeszcze bardziej nienawidził towarzyszącej temu ceremonii; otchłani przesądów, w którą stoczył

się jego kraj. Jakimiż bogactwami obsypywano umarłych, jakąż wagę przywiązywano do gnijących trupów; i wszystko po to, by ludzie nie mieli poczucia winy, zarzucając stare zwyczaje.

Te myśli wyczerpały go; a najbardziej dręczyła go śmierć, której był świadkiem, egzekucje, masakry. Tak jak królowa ich nie dostrzegała, tak on nie potrafił ich zapomnieć. Tracił siły jak człowiek, który wsypany w bagno, może w nim zatonać.

Zanim wyszedł, obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby nas uwolniono. Nie wiedział, jak mógłby tego dokonać. Błagał mnie, bym się nie bała. Bardzo go kochałam w tamtej chwili.

Miał taką samą piękną twarz jak teraz; tyle że był ciemnoskóry, szczuplejszy, a jego włosy zaplecione w warkoczyki zwisały mu do ramion. Miał w sobie coś dworskiego, był kimś, kto wydaje rozkazy i kogo ogrzewa czuła miłość władcy.

Następnego ranka królowa znów posłała po nas. Tym razem udałyśmy się do jej komnaty, gdzie oprócz niej byli tylko król i Khayman.

To pomieszczenie urządzone z jeszcze większym przepychem niż wielką salę pałacową; aż kipiała od zbytku. Stały tam: kanapa z rzeźbionymi leopardami, łożo z kapą z czystego jedwabiu, zwierciadła wypolerowane do, zdawałoby się, czarodziejskiej perfekcji. A sama królowa była jak kusicielka, obwieszona biżuterią i skropiona perfumami, ukształtowana przez naturę w stworzenie tak cudowne jak wszystkie skarby wokół. Po raz kolejny zadawała swoje pytania.

Stojąc obok siebie ze związanymi rękami, musiałyśmy ponownie wysłuchać tych samych głupstw.

Mekare znów opowiedziała królowej o duchach; wyjaśniła, że istnieją od zawsze, opowiedziała, jak wyprowadzały w pole kapłanów w różnych krainach. Opowiedziała też o tym, jak lubiły pieśni i zaklęcia Egipcjan. Była to dla nich jedynie zabawa, nic więcej.

„W takim razie to duchy są bogami, to wynika z waszych słów! - wykrzyknęła z wielkim ferworem Akasza. - Rozmawiacie z nimi? Chcę je zobaczyć! Zrób to dla mnie teraz”.

„One nie są bogami - rzekłam. - Właśnie próbujemy ci to wytłumaczyć. Nie pogardzają kanibalami, tak jak według was czynią bogowie. To było im zawsze obojętne”.

Z wielkim trudem starałam się wykazać różnicę między tym, co sobie wyobrażała, a tym, jak było

naprawdę. Wyjaśniałam, że duchy nie przestrzegają żadnych przykazań, a my przewyższamy je moralnie. Wiedziałam jednak, że ona nie potrafi uchwycić sedna moich tłumaczeń.

Dostrzegłam w niej wojnę pomiędzy druhną bogini Inanny, która chciała wierzyć, że jest błogosławiona, a mroczną ponurą duszą, która w istocie nie wierzyła w nic. Dusza Akasy była lodowatą komnatą, a religijny zapal był jej potrzebny jedynie po to, by ogrzać owo siedlisko zimna.

„Mówicie same kłamstwa! - powiedziała w końcu. - Jesteście złymi kobietami!”

Zarządziła naszą egzekucję. Powinnyśmy zostać spalone żywcem następnego dnia, razem, tak, byśmy oglądały nawzajem swoje cierpienia i śmierć. Po co w ogóle zawracała sobie nami głowę.

Król natychmiast jej przerwał, mówiąc, że widział moc duchów, podobnie jak Khayman. Co uczynią duchy, jeśli zostaniemy tak potraktowane? Czy nie lepiej puścić nas wolno?

W spojrzeniu królowej było jednak coś złego i twardego. Słowa króla nic dla niej nie znaczyły; już postradałyśmy życie. Co mogłyśmy zrobić? Było w niej tyle złości, że nie umiała tak przetworzyć usłyszanych prawd, by służyły jej pożytkowi lub rozkoszy. A przecież jej umysł był

przeciętny; niezliczeni ludzie czuli i myśleli jak ona... teraz najprawdopodobniej też takich nie brakuje.

Wreszcie Mekare przejęła pałeczkę. Zrobiła coś, czego ja nie śmiałam uczynić. Wezwała duchy

- wszystkie, po imieniu, ale tak szybko, że królowa nie zrozumiała ani słowa. Krzyczała, by przybyły do niej na usługi; a potem nakazała, by wyraziły niezadowolenie z tego, co spotyka dwie śmiertelne istoty - Maharet i Mekare - które podobno kochają.

To była ryzykowna zagrywka. Gdyby nic się nie stało, gdyby zgodnie z moimi obawami opuściły nas wcześniej, wtedy, cóż, wtedy musiałaby wezwać Amela, który tylko na to czekał.

Zresztą był naszą jedyną szansą.

Niewłocznie podniósł się wiatr. Hulał na dziedzińcu i gwizdał w korytarzach pałacu. Zrywał

draperie, trzaskał drzwiami, tłukł delikatne naczynia. Gdy królowa poczuła, że znalazła się w kręgu duchów, ogarnęła ją zgroza. Drobne przedmioty zaczęły fruwać w powietrzu. Duchy zebrały ozdoby z toaletki i cisnęły w królową; król usiłował ją osłonić, a Khayman zeszywniał

ze strachu.

Zanim osiągnęły granicę swojej mocy, Khayman zaczął błagać króla i królową o cofnięcie rozkazu egzekucji. Ugięli się niewłocznie.

Mekare czuła, że duchy są wyczerpane, więc natychmiast z wielkim namaszczeniem nakazała im spokój. Zapadła cisza. Prerażeni niewolnicy biegali wokół, zbierając skorupy.

Królowa była pokonana. Król usiłował jej powiedzieć, że widział wcześniej takie dziwy i nie poniósł żadnej szkody; ale głęboko w jej sercu coś zostało skruszone. Nigdy nie widziała najmniejszego dowodu istnienia sił nadprzyrodzonych, więc była oszołomiona i sparaliżowana.

W mrocznym, wyzbytym wiary miejscu wewnątrz niej zajarzyło się światło, prawdziwe światło.

Jej sceptycyzm był tak głęboki i tak dobrze zamaskowany, że ten mały cud stał się dla niej objawieniem pierwszej wody, jakby zobaczyła oblicze bogów.

Odesłała króla i Khaymana, mówiąc, że chce zostać z nami sama. Ze łzami w oczach błagała, abyśmy porozmawiały na głos z bogami.

To był niezwykły moment, gdyż poczułam to samo co kilka miesięcy temu, kiedy dotknęłam glinianej tabliczki - mieszankę dobra i zła, bardziej niebezpieczną niż samo zło.

Powiedziałyśmy jej, że oczywiście nie potrafimy zmusić duchów do głośnego mówienia, ale poprosiłyśmy, by zadała jakieś pytania, na które mogłyby odpowiedzieć. Nie ociągała się.

Były to te same pytania, które ludzie zadają czarodziejom i czarownicom od niepamiętnych czasów.

„Gdzie jest naszyjnik, który zgubiłam, będąc dzieckiem? - pytała. - Co matka chciała mi powiedzieć przed śmiercią, kiedy już nie mogła mówić? Czemu siostra nie cierpiała mojego towarzystwa? Czy mój syn dożyje wieku męskiego? Czy będzie odważny i silny?”

Walcząc o życie, cierpliwie przekazywałyśmy te pytania duchom, przymilając się do nich, żeby zwróciły na nas uwagę. Otrzymane odpowiedzi naprawdę zdumiały Akaszę. Duchy wiedziały, jak ma na imię jej siostra; wiedziały, jak ma na imię jej syn. Kiedy zastanawiała się nad tymi prostymi sztuczkami, była na krawędzi szaleństwa.

Wtedy pojawił się Amel, zły duch, zazdrosny o wszystko, co się działo - i zniecka cisnął jej pod nogi naszyjnik, o którym wspomniała - naszyjnik zgubiony w Uruku. To wykończyło ją doszczętnie. Była jak rażona gromem.

Rozszlochała się, ściskając naszyjnik, a potem błagała nas o przedłożenie duchom naprawdę ważnych problemów, które musi rozwiązać.

Tak, bogowie zostali wymyśleni przez jej lud, powiedziały duchy. Nie, imiona wymieniane w modlitwach nie mają znaczenia. Duchy jedynie lubią muzykę i rytm języka - kształt słów, można rzec. Tak, są złe duchy, które lubią krzywdzić ludzi, oczywiście. I są też dobre duchy, które kochają ludzi. A czy będą rozmawiać z Akaszą, jeśli opuścimy królestwo? Nigdy. Teraz mówią, a ona ich nie słyszy, więc jak miałyby z nią rozmawiać? Tak, są w królestwie czarownice, które mogą je usłyszeć, i jeśli tylko zechce, one zaraz każą im zjawić się na dworze.

Podczas tej wymiany zdań w Akaszy nastąpiła straszna zmiana.

Radosne uniesienie zmieniło się w podejrzliwość, a potem w żal. Duchy bowiem mówiły jej te same pełne goryczy słowa, które słyszała od nas.

„Co wiecie o życiu pozagrobowym?” - spytała. Kiedy usłyszała, że dusze zmarłych albo dryfują nad ziemią rozbite i cierpiące, albo wznoszą się i znikają bez śladu, przeżyła ogromny wstrząs.

Jej oczy zmatowiały; straciła zainteresowanie tym wszystkim. Kiedy zapytała o los tych, którzy wiedli niegodziwe życie, i tych, którzy prowadzili się przykładnie, duchy nie potrafiły udzielić jej odpowiedzi. Nie wiedziały, o co jej chodzi.

Mimo to przesłuchanie trwało. Wyczuwałyśmy, że duchy są znużone, że zaczynają się nią bawić i udzielają coraz głębszych odpowiedzi.

„Jaka jest wola bogów?” - spytała.

„Śpiewaj bez ustanku - odpowiedziały. - To nas bardzo cieszy”.

Wtem nagle i niespodziewanie Amel, zły duch, bardzo dumny ze sztuczki z naszyjnikiem, cisnął

Akaszy pod nogi kolejny łańcuch drogich kamieni. Tym razem królowa skuliła się ze zgrozy.

Od razu spostrzegłyśmy, że Amel popełnił błąd. To był naszyjnik matki Akaszy, która leżała pochowana w krypcie nieopodal Uruku. Oczywiście Amel, jak to duch, nie rozumiał, że uczynił

coś niesamowitego i niesmacznego. Kiedy Akasza mówiła o swym własnym naszyjniku, ujrzał w jej myślach ten. Czemu teraz go nie chce? Nie lubi takich precjozów?

Mekare powiedziała Amelowi, że to się nie spodobało. Uczynił nie ten cud, co trzeba. Zechce łaskawie poczekać na jej rozkaz, ona bowiem rozumie królową, a on nie za bardzo.

Było jednak za późno. W królowej zaszła nieodwracalna zmiana. Ujrzała dwa dowody mocy duchów, słyszała prawdę i głupstwa; nic nie mogło się równać z piękną mitologią jej bogów, w którą zawsze wierzyła. A jednak duchom udało się zniszczyć jej kruchą wiarę. Jak zdoła uciec przed mrocznym sceptycyzmem, jeśli te demonstracje będą się powtarzać?

Schyliła się i podniosła trumienny naszyjnik matki.

„Skąd się to tutaj wzięło?!” - spytała rozkazującym tonem. Ale tylko udawała pewność siebie.

Wiedziała, że odpowiedź zaskoczy ją bardziej niż wszystko, co słyszała od naszego przybycia.

Była wystraszona.

Niemniej jednak wyjaśniłam jej, a ona słuchała pilnie każdego słowa.

Duchy czytają w naszych myślach; są niezmiernie wielkie i potężne. Trudno nam sobie je wyobrazić i poruszają się z prędkością myśli; kiedy Akasza pomyślała o drugim naszyjniku, duch go zobaczył i zaczął go szukać. Pierwszy naszyjnik sprawił jej radość, czemu drugi nie miałby być przyjęty z równym zadowoleniem? Znalazł go więc w grobowcu jej matki i wydobył, być może przez jakiś mały otwór. Bizuteria z pewnością nie mogła przeniknąć kamienia. To śmieszny pomysł.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie prawdę. Ten naszyjnik prawdopodobnie został ukradziony trupowi matki Akaszy i bardzo możliwe, że uczynił to jej ojciec. Nigdy nie znalazł się w żadnej krypcie i dlatego Amel mógł go odszukać; może nawet został ukradziony przez kapłana. Tak przynajmniej sądziła Akasza, która trzymała naszyjnik w dłoni. Nie cierpiała ducha, który uświadomił jej coś tak okropnego.

Wszystkie jej iluzje prysły; pozostała naga prawda, z której zawsze zdawała sobie sprawę.

Zadała pytania o świat nadprzyrodzony - bardzo niemądra decyzja - i ów świat udzielił jej odpowiedzi, których nie mogła zaakceptować, a zarazem nie mogła też odrzucić.

„Gdzie są duchy zmarłych?” - wyszeptała, wpatrując się w naszyjnik.

„Duchy po prostu tego nie wiedzą” - odparłam najłagodniej, jak potrafiłam.

Poczuła grozę. Strach. A potem jej umysł zaczął pracować, jak zawsze szukając jakiegoś wzniosłego systemu mogącego wytłumaczyć jej źródło bólu, jakiegoś sposobu pogodzenia się z tym, co ujrzała. Ukryte wewnątrz niej siedlisko mroku rozrastało się i mogło ją pochłoniąć. Nie zamierzała pozwolić na coś takiego; musiała podążać dalej. Była przecież królową Kemetu.

A ponadto była w niej złość na rodziców i nauczycieli, kapłanów i kapłanki z dzieciństwa oraz na bogów, których czciła, a także na każdego, kto kiedykolwiek ją pocieszał lub też powiedział, że życie jest dobre.

Zapadła chwila ciszy. Akasza mieniła się na twarzy; znikł wyraz lęku, podziwu i zdumienia, a jej spojrzenie stało się zimne, obojętne i wreszcie złowieszcze.

Potem wstała z naszyjnikiem matki w ręce i oświadczyła, że wszystko, co powiedziałyśmy, to kłamstwa. Rozmawiałyśmy z demonami, i to one usiłowały obalić ją i jej bogów, którzy upodobali sobie jej lud. Im dłużej mówiła, tym bardziej wierzyła we własne słowa, tym bardziej była zachwycona elegancją swojego sposobu myślenia; tym bardziej ulegała własnej logice. Aż wreszcie rozszłochała się i potępiła nas, wyparłszy się mroku, który czał się w jej wnętrzu.

Przywróciła do życia wizerunki swoich bogów, przywróciła swój święty język.

Kiedy jednak znów popatrzyła na naszyjnik, zły duch, Amel, rozwścieczony tym, że nie ucieszyła się jego podarkiem, i ponownie rozgniewany na nas, kazał nam powiedzieć jej, że jeśli wyrządzi nam jakąś krzywdę, ciśnie w nią każdym przedmiotem, klejnotem, pucharem do wina, zwierciadłem, grzebieniem, wszystkim, czego kiedykolwiek zapragnęła, co sobie wyobraziła lub co zgubiła.

Wybuchłabym śmiechem, gdyby nie grożące nam niebezpieczeństwo; to bowiem, co duch uważał za idealne rozwiązanie, okazywało się zupełnie bezsensowne z ludzkiego punktu widzenia.

Mekare dokładnie przekazała Akaszy słowa Amela.

„Ten, który potrafi dostarczyć naszyjnik, może zarzucić cię wszelkimi twoimi pamiątkami -

powiedziała. - Nie znam żadnej czarownicy na całym świecie, która mogłaby go powstrzymać”.

„Gdzie on jest? - wrzasnęła Akasza. - Niech zobaczę tego ducha, z którym rozmawiasz!”

Na to Amel, próżny i wściekły, skupił całą moc i rzucił się na Akaszę.

„Jam jest Amel, zły duch, który kłuje!” - wykrzykiwał i wzbudził wokół niej wielką zawieruchę, jak kiedyś wokół matki, lecz tym razem była ona dziesięć razy potężniejsza. Nigdy nie widziałam takiej wściekłości. Komnata trzęsła się, kiedy ten ogromnych rozmiarów duch skurczył się i wepchał do niej. Słyszałam trzask ceglanych ścian. Na całej pięknej twarzy i ramionach królowej pojawiły się drobniutkie kłute ranki i mnóstwo krwistych plamek.

Krzyczała bezradna, a Amel był w siódmym niebie. Amel potrafił robić cudowne rzeczy!

Byłyśmy ogarnięte zgrozą.

Mekare nakazała mu spokój. Obsypała go pochlebstwami i masą podziękowań, powiedziała, że jest najpotężniejszym ze wszystkich duchów, ale musi teraz jej słuchać, by okazać, że jego wielka mądrość dorównuje potędze, i że pozwoli mu znów uderzyć we właściwym czasie.

Tymczasem król rzucił się na pomoc Akaszy, podbiegł też Khayman; wszyscy strażnicy znaleźli się u jej boku. Jednak kiedy unieśli miecze, żeby nas posiekać, rozkazała zostawić nas w spokoju.

Mekare i ja przewiercałyśmy ją wzrokiem, w milczeniu grożąc mocą ducha, tylko to bowiem nam pozostało. A Amel, zły duch, unosił się nad nami, napełniając powietrze najbardziej niesamowitymi dźwiękami, swym wielkim pustym śmiechem ducha, który zdawał się rozbrzmiewać na całym świecie.

Wróciwszy do celi, mogłyśmy się zastanowić nad tym, jak wykorzystać tę niewielką przewagę, jaką miałyśmy nad Amelem.

On natomiast ani myślał nas opuścić. Ciskał się i rzucał, szeleścił trzciniowymi matami i powiewał naszymi ubraniami, wicherzył nam włosy. Było z nim istne utrapienie. Jego słowa budziły mój strach. Podobno lubił ssać krew; nabierał wtedy ciała i stawał się ociążały, ale smakowała wybornie; a kiedy jakiś lud składał na ołtarzu krwawą ofiarę, lubił się zjawiać i chleptać posokę. Przecież była tam dla niego, no nie? I znów ryczał ze śmiechu.

Wśród pozostałych duchów zapanowało wielkie wzburzenie. Czuliśmy to wraz z Mekare.

Niektóre z nich koniecznie chciały wiedzieć, jak smakuje ta krew i czemu sprawia mu taką rozkosz.

Wtedy ujawniły się nienawiść i zazdrość o ciało, obecne w tak wielu złych duchach, oraz przekonanie, że my, ludzie, jesteśmy wynaturzeniem, bo mamy zarówno ciało, jak i duszę, co nie powinno zdarzyć się na ziemi. Amel tokował z patosem o czasach, w których były tylko góry, oceany i knieje i nie istniały takie stwory jak my. Oświadczył nam, że dusza w śmiertelnym ciele to przekleństwo.

Słyszałam już podobne kąśliwe uwagi złych duchów, ale nigdy nie poświęcałam im wiele uwagi.

Po raz pierwszy uwierzyłam im, kiedy widziałam mój lud idący pod miecz. Jak wielu ludzi wcześniej i może wielu potem myślałam, że idea nieśmiertelności nie obejmującej ciała jest przekleństwem. Lub też, jak powiedziałaś tej nocy, Mariuszu - życie wydawało się niewiele warte, jak żart. W tamtej chwili mój świat był ciemnością, ciemnością i cierpieniem. Wszystkie moje przekonania runęły w proch, życie straciło sens i nie potrafiłam go odnaleźć.

Mekare ponownie przemówiła do Amela, dając mu do zrozumienia, że woli być tym, czym jest, niż nim - bytem unoszącym się bezwolnie przez wieczność i pozbawionym celu. To doprowadziło go do wściekłości. Jeszcze jej udowodni, na co go stać!

„Dopiero kiedy ci rozkażę, Amelu! - powiedziała. - Możesz na mnie liczyć, że wybiorę odpowiednią chwilę. Wtedy wszyscy ludzie dowiedzą się, co potrafisz!”

Infantylny, próżny duch znów był zadowolony i rozciągnął się na ciemnym niebie.

Przez trzy dni i noce byliśmy więźniarkami. Strażnicy nie patrzyli na nas ani się do nas nie zbliżali, podobnie niewolnicy. Prawdę mówiąc, umarłybyśmy z głodu, gdyby nie Khayman, królewski rządca, który przynosił nam jedzenie.

Wtedy powiedział nam to, co już wcześniej wiedziałyśmy od duchów. Wybuchł wielki spór.

Kapłani chcieli naszej śmierci, ale królowa bała się nas zabić, mogłybyśmy bowiem nasłać na nią duchy, a ona nie umiałaby ich odpędzić. Król był zaintrygowany tym, co się stało, i wierzył, że można się od nas jeszcze czegoś dowiedzieć. Ciekawiła go potęga duchów i to, jak można je wykorzystać. Jednak lęk królowej był silniejszy.

Wreszcie przyprowadzono nas przed oblicze całego dworu, do wielkiego atrium.

Było samo południe i król wraz z królową zgodnie ze zwyczajem złożyli ofiary bogu słońca Ra, a my musiałyśmy się temu przyglądać. Te uroczystości nie miały dla nas znaczenia, gdyż wiedziałyśmy, że są to ostatnie godziny naszego życia. Marzyłam wtedy o naszej górze, o naszych jaskiniach, marzyłam o dzieciach, które mogłybyśmy powić - ślicznych synach i córkach, z których część odziedziczyłaby naszą moc - wracałam myślami do życia, które zostało nam odebrane. Myślałam o eksterminacji moich bliskich, która niebawem miała zostać doprowadzona do końca. Dziękowałam wszystkim żywym mocom, że mogę widzieć niebo nad głową i że wciąż jestem razem z Mekare.

W końcu przemówił król. Czułam jego straszliwy smutek i znużenie. Chociaż był młodym człowiekiem, w takich chwilach miał duszę starca. Rzekł nam, że posiadamy wielki dar, ale niewątpliwie użyłyśmy go w złym celu i nikt inny nie może go spożytkować. Oskarżył nas o kłamstwa, oddawanie czci demonom, o czarną magię. Rozkazałby nas spalić, by sprawić radość swojemu ludowi, ale on i królowa nam współczują. Szczególnie królowa pragnęła, by okazał nam łaskę.

Było to wierutne kłamstwo, ale wiedziałyśmy, że przekonała samą siebie, iż to prawda.

Oczywiście król jej uwierzył. Jakie to jednak miało znaczenie? Jaką łaskę nam okazują, zastanawialiśmy się, usiłując zajrzeć głębiej w ich dusze.

Następnie królowa powiedziała nam w czułych słowach, że nasze wielkie czary sprawiły, iż odzyskała dwa naszyjniki, których pragnęła najbardziej na świecie, i dlatego tylko pozwoli nam żyć. W ten sposób tkany przez nią kobierzec kłamstwa stał się jeszcze większy, bardziej złożony i odstający od osnowy prawdy.

Król oświadczył, że uwolni nas, lecz wpieryw zademonstruje całemu dworowi, że nie mamy mocy, i w ten sposób zadośćuczyni naleganiom kapłanów.

A jeśli w którymś momencie zły demon objawi się i spróbuje wyrządzić krzywdę prawym wyznawcom Ra lub Ozyrysa, nasze ulaskawienie zostanie cofnięte i natychmiast spotka nas śmierć. Moc naszych demonów umrze wraz z nami, a my utracimy łaskę królowej, na którą obecnie ledwo zasługujemy.

Oczywiście, wiedzieliśmy, co się wydarzy; ujrzałyśmy to w ich sercach. Zaproponowano nam układ. Gdy król zdjął z szyi złoty medalion i nałożył go Khaymanowi, wiedzieliśmy, iż mamy zostać zgwałcone w obecności całego dworu, zgwałcone jak zwykle więźniarki lub niewolnice podczas wojny. A jeśli wezwiemy duchy, umrzemy. Taka była nasza sytuacja.

„Gdyby nie miłość mojej królowej - rzekł Enkil - zaznałbym rozkoszy z tymi dwoma kobietami, co słusznie mi się należy, zrobiłbym to, by dać wam dowód, że nie mają mocy i nie są wielkimi czarownicami, lecz kobietami. Uczyni to jednak mój główny rządca, Khayman, mój ukochany Khayman, on otrzyma przywilej uczynienia tego w moim imieniu”.

Cały dwór czekał w milczeniu, podczas gdy Khayman patrzył na nas, szykując się do wypełnienia królewskiego rozkazu. Przeszywałyśmy go wzrokiem, nakazując mu w naszej bezbronności, by nas nie dotykał ani nie gwałcił na oczach tych nieprzyjaznych ludzi.

Czułyśmy jego ból i wewnętrzną walkę. Czułyśmy niebezpieczeństwo, które go otaczało, gdyż w razie nieposłuszeństwa z pewnością straciłby życie. Jednak tu chodziło o nasz honor, który miał nam odebrać; miał nas zbezcześcić, zniszczyć; a my, żyjące dotąd w słońcu i zaciszu naszej góry, tak naprawdę nic nie wiedzieliśmy o czynie, który był gotów spełnić.

Kiedy zbliżył się do nas, chyba nie wierzyłam, że zdoła to zrobić, że mężczyzna może czuć ból, jaki on czuł, a mimo to wzbudzić w sobie takie pożądanie. Niewiele wtedy wiedziałam o mężczyznach, o tym, jak cielesna rozkosz może się w nich połączyć z nienawiścią i gniewem; o tym, jak potrafią zadawać ból, czyniąc to, co kobiety najczęściej robią z miłości.

Nasze duchy głośnym chórem sprzeciwiały się temu, co miało nastąpić, ale ze względu na nasze dobro nakazałyśmy im, żeby się uspokoiły. W milczeniu uścisnęłam dłoń Mekare, dałam jej znać, że kiedy to się skończy, będziemy żyć dalej, będziemy wolne. To przecież nie śmierć i zostawimy tych żalonych ludzi pustyni ich kłamstwom i złudzeniom, ich głupim zwyczajom; wrócimy do ojczyzny.

Wtedy Khayman przystąpił do swoich obowiązków. Rozwiązał nam dłonie; najpierw wziął

Mekare, zmusił ją, by legła na wysłanej matami posadzce, i uniósł jej szatę, podczas gdy ja stałam jak posąg, niezdolna go powstrzymać. Potem spotkał mnie ten sam los.

W jego umyśle nie byłam tą kobietą, którą gwałcił. Kiedy jego dusza i ciało drżały, podsycił żar swojej namiętności wyobrażeniami o bezimiennych pięknościach i na wpół zapomnianych chwilach, tak by ciało i dusza mogły się zjednoczyć.

A my, odwróciwszy oczy, zamknęłyśmy nasze dusze przed nim i tymi niegodziwymi Egipcjanami, którzy zrobili nam tę straszną rzecz. Nasze dusze były samotne i nietknięte; wszędzie wokół słyszałam łkanie duchów, smutne, straszne łkanie, a w oddali grzmiący głos Amela:

„Jesteście głupie, że to znosicie, czarownice”.

Zapadała noc, kiedy zostawiono nas na skraju pustyni. Żołnierze dali nam dokładnie odmierzone racje jedzenia i picia i zaczęłyśmy długą podróż na północ. Nigdy nasza wściekłość nie miała sobie równej.

Pojawił się Amel, szyderczy i pełen wściekłości; czemu nie pozwoliłyśmy mu wymierzyć zemsty?

„Oni rzucą się na nas i zabiją! - powiedziała Mekare. - Wynoś się stąd”.

Na nic się to nie zdało, więc w końcu spróbowała zaprząć go do jakiejś użytecznej i ważnej pracy.

„Amelu, chcemy dotrzeć żywe do domu - rzekła. - Sprowadź nam chłodne wiatry i pokaż, gdzie znajdziemy wodę”.

Jednakże złe duchy nigdy nie robiły takich rzeczy. Amel przestał się nami interesować. Znikł, a my szłyśmy w zimnym pustynnym wietrze, ramię w ramię, starając się nie myśleć o długiej drodze, jaka nas czekała.

Nie sposób opowiedzieć o wszystkim, co nas spotkało. Dobre duchy nie opuściły nas; sprowadzały chłodne wiatry i wiodły do źródeł, gdzie znajdowałyśmy wodę i nieliczne daktylowce, z których mogłyśmy zerwać owoce; tak długo jak mogły, sprowadzały mały deszcz; ale wreszcie zabrnęłyśmy zbyt daleko w głąb pustyni, by to było możliwe, i umierałyśmy.

Wiedziałam, że w moim łonie jest dziecię Khaymana, i chciałam, żeby ono żyło.

Wtedy duchy zaprowadziły nas do Beduinów, a ci przyjęli nas i otoczyli opieką.

Byłam chora i leżałam całe dni, śpiewając dziecku rozwijającemu się wewnątrz mojego ciała, odpędzając piosenkami chorobę i wspomnienia najgorszych chwil. Mekare leżała obok, trzymając mnie w objęciach.

Minęły miesiące, zanim odzyskałam siły na tyle, żeby zostawić obozowisko, ale pragnęłam urodzić dziecko w moim kraju i błagałam Mekare, byśmy kontynuowały podróż.

W końcu zaopatrzone w pokarm i wodę przez Beduinów i prowadzone przez duchy, wkroczyliśmy na zielone pola Palestyny. Znalazliśmy podnóże góry i pasterski lud bardzo podobny do naszego, który przejął nasze stare pastwiska.

Znali nas, jak i naszą matkę, i cały nasz ród. Nazywali nas po imieniu i natychmiast przyjęli między siebie.

Znów byliśmy szczęśliwe wśród zielonych traw, a dziecko rosło w mym łonie. Miałam żyć; pustynia nas nie zabiła.

W moim własnym kraju urodziłam córeczkę i nazwałam ją Miriam, jak miała na imię moja matka, nim mnie urodziła. Odziedziczyła czarne włosy Khaymana, ale zielone oczy mojej matki.

A miłość, którą do niej czułam, i jej radość były najlepszym lekarstwem dla mojej duszy. Znów byliśmy razem. Mekare, która poznała ze mną bóle rodzenia i która wyjęła dziecko z mojego ciała, nosiła Miriam godzinami i śpiewała jej tak jak ja. Dziecko było tyleż nasze, co moje.

Próbowałyśmy zapomnieć o okropnościach, których zaznałyśmy w Egipcie.

Miriam rosła jak na drożdżach. Wreszcie razem z Mekare postanowiłyśmy wspiąć się na górę i znaleźć jaskinię, w której się urodziłyśmy. Nie wiedziałyśmy jeszcze, jak będziemy żyć i co będziemy robić z daleka od naszego nowego ludu. Chciałyśmy jednak powrócić do miejsca, gdzie byliśmy tak szczęśliwe; chciałyśmy wezwać duchy i cudowną mocą sprowadzić deszcz, aby pobłogosławił moje nowo urodzone dziecko.

Żaden z naszych planów nie miał się ziścić.

Zanim opuściłyśmy pasterzy, znów przybyli żołnierze pod dowództwem królewskiego rządcy, Khaymana. Rozdawali sztuki złota wśród wszystkich plemion, które widziały rudowłose bliźniaczki lub słyszały o nich i wiedziały, gdzie te kobiety mogą się podziewać.

Po raz kolejny, w południe, na zalanej słońcem łące, ujrzałyśmy egipskich żołnierzy z dobytymi mieczami. Ludzie rozpierzchli się we wszystkich kierunkach, ale zanim Khayman zdążył się odezwać, Mekare padła przed nim na kolana i rzekła:

„Nie krzywdź naszego ludu”.

Khayman przybył z Mekare do naszej kryjówki. Pokazałam mu jego dziecko i błagałam o łaskę, o sprawiedliwość, o to, żeby zostawił nas w spokoju.

Wystarczyło mi na niego spojrzeć, by zrozumieć, że czeka go śmierć, jeśli nie sprowadzi nas z powrotem. Twarz miał wychudłą i pełną smutku, nie gładką, białą twarz nieśmiertelnego, którą widzicie tu, przy tym stole.

Przeciwności losu dawno zatarły naturalny ślad jego cierpień. Jednak tamtego dawno minionego popołudnia był on bardzo wyraźny.

„Straszliwe zło spotkało króla i królową Kemetu - rzekł słabym, stłumionym głosem. - Sprawily to wasze duchy, wasze duchy, które dręczyły mnie dniem i nocą za to, co wam uczyniłem, dopóki król nie wypędził ich z mojego domu”.

Wyciągnął ramiona i ujrzałam drobne blizny w miejscach, w których duch ssał z niego krew.

Było ich pełno na twarzy i szyi.

„Och, nie macie pojęcia, w jakich mękach przyszło mi żyć - powiedział - gdyż nic nie mogło mnie przed nimi uchronić; nic wiecie, ile razy was przeklinałem, i króla, za to, co kazał mi uczynić, i moją matkę, za to, że wydała mnie na świat”.

„Och, ale myśmy tego nie uczyniły! - wykrzyknęła Mekare. - Dotrzyśmy słowa. Na nasze głowy, zostawiłyśmy cię w spokoju. To Amel, zły duch, on to sprawił! Och, zły duchu!

Pomyśleć, że dręczył cię, a nie króla i królową, którzy zmusili cię do tego czynu! Nie możemy go powstrzymać! Błagam cię, Khaymanie, puść nas”.

„Amel wreszcie znudzi się tym, co robi, Khaymanie - powiedziałam. - Jeśli król i królowa są silni, pójdzie sobie. Patrzysz teraz na matkę swojego dziecka, Khaymanie. Zostaw nas w spokoju.

Ze względu na jego dobro, powiedz królowi i królowej, że nie zdołałeś nas znaleźć. Pozwól nam odejść, jeśli boisz się sprawiedliwości”.

A on tylko wpatrywał się w dziecko, jakby nie wiedział, kim ono jest. Sam był Egipcjaninem.

Czy to dziecko było Egipcjaninem?

„Dobrze, nie wy posłałyście tego ducha - rzekł. - Wierzę wam. Jednak nie wiecie jeszcze, co on zrobił. Kiedy przestał mi dokuczać, wszedł w króla i królową Kemetu! Jest w ich ciałach!

Zmienił ich substancję!”

Przyglądałyśmy mu się długo i zastanawiały się nad jego słowami, zanim zrozumiłyśmy, że król i królowa Kemetu nie zostali opętani. Zrozumiłyśmy również, że on sam widział takie rzeczy, iż nie pozostało mu nic innego, jak przybyć po nas osobiście i za wszelką cenę spróbować ściągnąć nas z powrotem.

Wciąż nie wierzyłam jego słowom. Jak duch mógł pozyskać ciało!

„Nie rozumiecie, co wydarzyło się w naszym królestwie - wyszeptał. - Musicie przybyć i zobaczyć to na własne oczy”.

Przerwał, chciał bowiem powiedzieć nam więcej, znacznie więcej, lecz czuł strach.

„Musicie nam pomóc, nawet jeśli nie wy to zrobiliście!” - powiedział z goryczą.

Jednak to nie było w naszej mocy. Na tym polegała groza całej sytuacji. Wiedziałyśmy to, wyczuwałyśmy. Przypomnialiśmy sobie naszą matkę, jak stała przed jaskinią, wpatrzona w ranki na dłoniach.

Mekare odrzuciła głowę w tył i wezwała Amela, złego ducha, żeby do niej przybył i poddał się jej rozkazowi. W naszym tajnym języku, języku bliźniaczek, krzyknęła:

„Wyjdź z króla i królowej Kemetu i przybądź do mnie, Amelu. Ugnij się przed moją wolą. Nie uczyniłeś tego na mój rozkaz”.

Chyba wszystkie duchy świata słuchały tego w milczeniu; to był okrzyk potężnej czarownicy.

Nie było jednak odpowiedzi i poczułyśmy wielki tumult wśród duchów, jakby nagle zaszło coś przekraczającego ich zdolność rozumienia i akceptacji. Uciekły od nas, a potem wróciły, smutne i niezdecydowane; spragnione naszej miłości, a przy tym pełne odrazy.

„O co chodzi? - krzyknęła Mekare. - W czym rzecz?”

Wołała do duchów, które unosiły się najbliżej, do swoich ulubieńców. Wtedy w ciszy, gdy pasterze czekali w lęku, żołnierze stali wyczekująco, a Khayman wpatrywał się w nas zmęczonymi, załzawionymi oczami, usłyszałyśmy odpowiedź. Towarzyszyły jej zdumienie i niepewność. „Amel ma teraz to, czego zawsze chciał. Amel ma ciało, lecz Amela już nie ma”.

Co to mogło znaczyć?

Nie potrafiłyśmy tego zgłębić. Mekare znów zażądała od duchów odpowiedzi, ale chyba ich niepewność ustępowała miejsca strachowi.

„Powiedźcie mi, co się stało! - powiedziała Mekare. - Ujawnijcie mi to, co wam wiadomo!”

To było stare zaklęcie używane przez niezliczone wiedźmy.

„Przekażcie mi wiedzę, którą musicie mi przekazać”.

Duchy znów odpowiedziały niepewnie:

„Amel jest ciałem, lecz Amel nie jest Amelem; nie może teraz odpowiedzieć”.

„Chodźcie ze mną - powiedział Khayman. - Musicie się stawić na dworze. Król i królowa chcą was widzieć!”

Bez słowa i pozornie bez wzruszenia przyglądał się, jak całuję moją maleńką córeczkę i oddaję ją pod opieką kobiecie, która miała się nią zająć jak własnym dzieckiem. Mekare i ja oddałyśmy mu się w niewolę, lecz tym razem nie płakałyśmy. Wylałyśmy już wszystkie łzy. Nasz krótki rok wesela z nowo narodzoną Miriam dobiegł końca - a groza, która przysłała na świat w Egipcie, po raz kolejny wyciągnęła macki, by nas pożreć.

Maharet na chwilę zamknęła oczy; dotknęła powiek czubkami palców, a potem spojrzała na pozostałych, czekających, pogrążonych we własnych myślach. Nikt nie chciał, by przerwała opowieść, chociaż wszyscy wiedzieli, że musi to nastąpić.

Młodzi byli wymizerowani i znużeni; radosna mina Daniela nieco się zmieniła. Louis miał ściągniętą twarz; żądza krwi sprawiała mu ból, chociaż nie zwracał na nią uwagi.

- Teraz nie mogę wam więcej opowiedzieć - oznajmiła Maharet. - Zbliża się poranek i młodziki muszą zejść do ziemi. Przygotuję im drogę. Jutro znów się tu zbierzemy i będziemy kontynuować, jeśli tylko królowa nam pozwoli. Nie ma jej w pobliżu; nie wyczuwam jej obecności; w niczyich oczach nie widzę najśłabszego błysku jej wizerunku. Jeśli wie, co czynimy, to zezwała na to. A może jest zbyt daleko, by baczyć na to, co się tu odbywa. Musimy więc czekać na zapoznanie się z jej wolą. Jutro powiem wam, co ujrzałyśmy po przybyciu do Kemetu. A wy do tej pory odpoczywajcie bezpiecznie wewnątrz góry. Wszyscy. Przez niezliczone lata ukrywała ona moje tajemnice przed wścibskimi oczami śmiertelnych.

Pamiętajcie, że nawet królowa nie może nam zaszkodzić, póki nie zapadnie noc.

Kiedy Maharet wstała, to samo uczynił Mariusz. Podeszedł do okna, podczas gdy pozostali wolno opuszczali pomieszczenie, jakby wciąż wsłuchani w głos Maharet. Najczulszą strunę trąciło i w nim wspomnienie Akaszy i nienawiść, jaką darzyła ją Maharet; Mariusz bowiem również czuł tę nienawiść i był przekonany mocniej niż kiedykolwiek, że powinien był zakończyć ten koszmar, kiedy mógł to uczynić.

Ale ta rudowłosa kobieta nie chciała takiego rozwiązania. Nikt z nich nie chciał umrzeć bardziej niż on. Natomiast Maharet być może pragnęła życia goręcej niż jakikolwiek ze znanych mu śmiertelnych.

Tymczasem opowieść Maharet potwierdzała ich bezsilność. Co podniosło głowę, kiedy królowa powstała z tronu? Kim był ten stwór, który uwięził Lestata w swojej matni? Nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Zmieniamy się, ale pozostajemy nie zmienieni - pomyślał. - Stajemy się mądrzy, ale jesteśmy omylni! Póki trwamy, przeważa w nas ludzka natura, cud i przekleństwo naszej kondycji.

Znów zobaczył tę uśmiechniętą twarz, którą ujrzał, gdy lód zaczął pękać. Czy to możliwe, że nadal kochał tak mocno, jak nienawidził? Że w czasie wielkiego poniżenia zatracił jasny sąd?

Naprawdę nie wiedział.

Nagle ogarnęło go zmęczenie, zapragnął nade wszystko snu i wygody, zmysłowej rozkoszy wyciągnięcia się w czystym łóżku. Ukryć twarz w poduszce, pozwolić kończynom ułożyć się w najbardziej naturalnej i najwygodniejszej pozycji.

Miękki lśniący błękit za panoramicznym oknem wypełniał niebo na wschodzie, chociaż gwiazdy

wciąż migotały, drobne i odległe. Ciemne pnie sekwoi stały się wyraźniejsze, a z lasu, jak zwykle o brzasku, wionęło cudowną wonią zieleni.

W oddali, tam gdzie stok opadał, a zarośnięta paprociami polana stykała się z lasem, przechadzał się Khayman. Jego dłonie jaśniały w rzadkim, sinym mroku, a gdy odwrócił się i podniósł wzrok ku Mariuszowi - zamiast twarzy miał bezoką, czysto białą maskę. Mariusz uniósł rękę w drobnym, przyjaznym geście. Khayman odwzajemnił się tym samym i wszedł między drzewa.

Gdy Mariusz odwrócił się od okna, stwierdził, że w pokoju pozostał z nim tylko Louis. Stał nieruchomo, patrząc na niego tak, jakby widział ucieleśnienie mitu. Zadał pytanie, które było jego obsesją, pytanie stale obecne w jego umyśle, bez względu na to, jak wielki był nacisk osobowości Maharet.

- Wiesz, czy Lestat żyje czy nie, prawda?

Zabrzmiało w tym pytaniu proste, ludzki i bolesny ton, chwytający za serce, mimo że pełen rezerwy.

- Żyje - skinął głową Mariusz. - Ale wiem o tym z innego źródła. Nie pytam ani nie dostaję odpowiedzi. Nie korzystam z żadnej z tych wspaniałych mocy, które nas prześladowają. Wiem o tym, bo po prostu wiem.

Uśmiechnął się do Louisa. Coś w sposobie bycia tego młodzika sprawiło Mariuszowi radość, chociaż nie wiedział dokładnie, co to było. Gestem przywołał go do siebie i wyszli razem z pomieszczenia. Mariusz objął Louisa ramieniem, gdy schodzili po żelaznych schodach na mokrą ziemię. Mariusz stąpał powoli i ciężko, zupełnie jak człowiek.

- Jesteś tego pewien? - zapytał z szacunkiem Louis.

Mariusz zatrzymał się.

- O tak, zupełnie pewien.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy i Mariusz znów się uśmiechnął. Ten młodzik był tak uzdolniony, a jednocześnie tak mało zdolny; rozważał, czy ludzki blask zgaśnie w jego oczach, jeśli zyska nieco więcej mocy, jeśli kiedyś, na przykład, w jego żyłach pojawiłoby się nieco krwi Mariusza. A poza wszystkim ten młodzik był głodny; cierpiał i chyba to lubił, lubił czuć głód i ból.

- Pozwól, że ci coś powiem - rzekł ciepło. - Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem Lestata, wiedziałem, że nic go nie zabije. Tak to czasem bywa z niektórymi spośród nas. Nie możemy umrzeć.

Dlaczego to mówił? Czy znów w to wierzył, jak przed rozpoczęciem tych wszystkich prób losu?

Wrócił myślą do tamtej nocy w San Francisco, kiedy kroczył z rękami w kieszeniach szerokimi chodnikami Market Street, nie zwracając uwagi śmiertelnych.

- Wybacz - rzekł Louis - ale przypominasz mi o tym, co i mówiono U Córy Drakuli, o rozmowach tych osobników, którzy pragnęli dołączyć do niego ostatniego wieczoru.

- Wiem - powiedział Mariusz. - Ale oni byli głupcami i to ja mam rację.

Roześmiał się cicho. Tak, wierzył w to święcie. Znów ciepło objął Louisa. Tylko troszeczkę krwi i Louis byłby silniejszy, to prawda, ale mógłby utracić ludzką delikatność, ludzką mądrość, której nie da się przekazać, i zdolność wyczuwania cierpień innych, z którą zapewne przyszedł na świat.

Nastąpił dla niego kres nocy. Louis uściśnął rękę Mariuszowi, odwrócił się i ruszył wyłożonym blachą korytarzem tam, gdzie czekał na niego Eryk, by wskazać mu drogę.

Mariusz wrócił do domu.

Miał przed sobą jeszcze godzinę, zanim słońce zmusi go do snu, i chociaż był zmęczony, nie zamierzał z niej rezygnować. Wszędzie roznosił się cudowny, świeży zapach lasu. Słychać było już ptaki i czyste szmer głębokiego strumienia.

Wszedł do wielkiego pomieszczenia z suszonej cegły, w którym na palenisku gorzał ogień. Idąc bez celu, skierował się do wielkiej makaty zakrywającej niemal połowę ściany.

Dopiero po chwili zrozumiał, co ma przed sobą - górę, dolinę, drobne postaci bliźniaczek na zielonej polanie pod palącym słońcem. Powrócił powolny rytm opowieści Maharet i lekko mieniące się obrazy, przekazywane w słowach. Jakże znajoma była mu ta skąpana w blasku słońcu polana i jakże różniła się od tego, co widział w snach. Nigdy nie czuł się tak blisko tamtych kobiet! Teraz je poznał; poznał ten dom.

To był tajemniczy splot uczuć, smutek graniczący z czymś niezaprzeczalnie pozytywnym i dobrym. Pociągała go dusza Maharet; uwielbiał jej szczególną złożoność i pragnął kiedyś dać temu wyraz.

Uświadomił sobie, o czym myśli; na chwilę zdołał zapomnieć o goryczy i bólu. Może jego dusza goiła się szybciej, niż sądził, że to możliwe. A może zawdzięczał to temu, że myślał o innych - o Maharet, a wcześniej o Louisie i o tym, w co Louis powinien wierzyć. Cóż, do diabła, Lestat zapewne był nieśmiertelny i zapewne mógł przeżyć to wszystko, nawet gdyby jemu, Mariuszowi, się to nie udało.

Była to tylko drobna hipoteza bez większego znaczenia. Gdzie podziewał się Armand? Czy już ukrył się w ziemi? Gdyby mogli teraz się spotkać...

Ruszył do piwnicy, ale coś go zatrzymało. Przez otwarte drzwi ujrzał dwie postaci, bardzo podobne do tych, które widział na makacie. Były to Maharet i Jesse, stały ramię w ramię przy oknie od wschodniej strony i obserwowały bez ruchu, jak drzewa stopniowo wynurzają się z cienia.

Wstrząsnął nim nagły dreszcz. Musiał złapać się framugi, żeby utrzymać równowagę, kiedy seria obrazów przesłoniła mu świat. To już nie była dżungla; w oddali ciągnęła się szosa, skracająca chyba ku północy przez nagie, spalone okolice. A to stworzenie zatrzymało się wstrząśnięte, ale czym? Obrazem dwóch rudych kobiet? Usłyszał, jak stopy znów podjęły niestrudzoną wędrówkę;

ujrzał stopy okryte błotem, jakby to były jego własne stopy, i dłonie okryte błotem, jakby to były jego własne dłonie. A potem zobaczył łunę ognia na niebie i jęknął

głośno.

Kiedy otworzył oczy, podtrzymywał go Armand. Spojrzenie załzawionych ludzkich oczu Maharet nalegało błagalnie, by wyjawiał, co właśnie zobaczył. Pokój z wolna wrócił do istnienia, wpiersz ładne wyposażenie, a potem bliskie nieśmiertelne postaci związane z tym miejscem, a zarazem z żadnym. Zamknął oczy i znów je otworzył.

- Dotarła do naszego południka - rzekł - ale jest wiele kilometrów na wschód. Właśnie wstało tam rozpalone słońce.

Czuł ten śmiertelny żar! Ona ukryła się w ziemi, czuł i to.

- To daleko stąd na południe - powiedziała Jesse. Jakże krucho wyglądała w półprzeźroczystym mroku, z długimi cienkimi palcami zaciśniętymi na szczupłych ramionach.

- Nie tak daleko - poprawił ją Armand. - I porusza się bardzo szybko.

- Ale dokąd zmierza? - spytała Maharet. - Czy się zbliża?

Nie czekała na odpowiedź i chyba nie spodziewała się, że ją otrzyma. Obie zakryły dłonią oczy, jakby ich ból był nie do zniesienia; potem Maharet przygarnęła do siebie Jesse i pocałowała ją, życzyła wszystkim dobrego snu.

Mariusz przytknął oczy; próbował jeszcze raz zobaczyć tę postać. Co miała na sobie? Coś prostego, narzuconego jak poncho, z otworem na głowę. Związane w pasie, tak, czuł to.

Próbował zobaczyć więcej, ale nie mógł. Czuł jednak moc, niezmierną moc i niepowstrzymany pęd, a poza tym prawie nic.

Kiedy znów otworzył oczy, wokół migotał dzień. Armand był blisko i wciąż go obejmował, ale wydawał się samotny i nieporuszony; przeniósł wzrok na las, który zdawał się napierać na każde okno, podpełzać na samą krawędź werandy.

Mariusz pocałował Armanda w czoło, a potem robił dokładnie to, co on. Przyglądał się, jak pokój jaśnieje coraz bardziej, jak światło wypełnia szyby okien; przyglądał się, jak piękne kolory rozświetlają rozległą sieć na gigantycznej makacie.

Rozdział piąty

Opowieść Lestata - oto jest ciało moje; oto jest krew moja

Kiedy się obudziłem, było cicho, a zapach morza przenikał czyste i ciepłe powietrze.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, jaka jest pora. Miałem lekkie zawroty głowy, więc wiedziałem,

że nie spałem w ciągu dnia. Nie byłem także w ochronnym zamknięciu.

Chyba podążaliśmy przez świat za nocą lub raczej bez planu, jako że Akasza chyba wcale nie potrzebowała snu.

Ja tak, to było oczywiste, ale byłem zbyt ciekawy, aby nie chcieć się obudzić, i szczerze mówiąc, zbyt rozbity. Poza tym marzyła mi się ludzka krew.

Ocknąłem się w przestronnej sypialni z tarasami wychodzącymi na zachód i północ. Czułem i słyszałem morze, a mimo to powietrze było wonne i raczej spokojne. Bardzo powoli rozejrzałem się po pokoju.

Gdziekolwiek spojrziałem, stały cenne stare meble, najprawdopodobniej włoskie, delikatne, a jednocześnie zdobione, otoczone nowoczesnymi luksusami. Łoże, na którym spoczywałem, miało cztery złoczone kolumny i jedwabne draperie. Gęsty biały dywan zaścielał starą podłogę.

Toaletka z błyszczącymi słoiczkami i srebrnymi przedmiotami oraz dziwnym, staromodnym telefonem białego koloru. Pluszowe fotele; monstrualny telewizor i półki z aparaturą audio; wszędzie politurowane stoliczki zastawione karafkami z winem i popielniczkami, zarzucone gazetami.

Ludzie mieszkali tu jeszcze godzinę temu; teraz już nie żyli. Na tej wyspie było wielu umarłych.

Kiedy tak leżałem, spijając wzrokiem piękno wokół siebie, oczyma duszy ujrzałem wioskę, w której wcześniej byliśmy. Ujrzałem brud, blaszane dachy, błoto. A teraz leżałem w luksusowym buduarze.

Śmierć przyszła i tu. To my ją przynieśliśmy.

Podniosłem się z łóżka, przeszedłem przez taras do kamiennej balustrady i spojrzałem w dół, na białą plażę. Żadnego lądu na horyzoncie, jedynie łagodne, rozkołysane morze. Koronka piany ustępujących fal lśniła w blasku księżyca. Byłem w starym, zniszczonym przez pogodę i niepogodę pałacu, zapewne wzniesionym jakieś cztery wieki temu, obstawionym urnami i cherubinami. Chociaż liszaje wypełzły na tynki, nadal był przepiękny. Światło przebijało zza pomalowanych na zielono okiennic innych pokoi. Na niższym tarasie, tuż przede mną, był mały basen.

A przede mną, tam, gdzie plaża skręcała w lewo, dostrzegłem inną wdzięczną budowlę wrosła w nadmorskie skały. Tam też umarli ludzie. To grecka wyspa, byłem o tym przekonany; to Morze Śródziemne.

Kiedy nateżyłem słuch, dotarły do mnie wrzaski z głębi lądu, zza wzgórz. Tam mordowano ludzi. Oparłem się o framugę drzwi. Walczyłem z szaleńczym biciem serca.

Nagle odżyło we mnie wspomnienie jatek w świątyni Azima - w przebłysku pamięci ujrzałem siebie samego idącego przez ciżbę mężczyzn i kobiet, przeszywającego niewidzialnym ostrzem ludzkie ciała. Czułem tamto pragnienie. A może to była tylko żądza? Znowu ujrzałem splątane kończyny, zmasakrowane ciała powykręcane w ostatnim stadium oporu, twarze usmarowane krwią.

To nie moja robota, nie mogłem... - zaprzeczałem w myślach faktom. Bez powodzenia.

Poczułem woń ognisk, ognisk takich jak na dziedzińcu Azima, w których spalano trupy. Od tego smrodu zbierało mi się na wymioty. Odwróciłem się w kierunku morza i wciągnąłem w płuca świeże powietrze. Jeśli na to pozwolę, dotrą głosy, głosy z całej wyspy i z innych wysp, i z pobliskiego lądu. Czuję ten dźwięk; wisiał w powietrzu, czekał. Musiałem go odepchnąć.

W pobliżu usłyszałem kobiece głosy. Zbliżały się do sypialni. Odwróciłem się akurat na czas, by zobaczyć, jak otwierają się podwójne drzwi i do pokoju wchodzi kobiety w prostych bluzkach, spódniczkach i chustkach na głowach. W tym pstrym tłumie były młode piękności, wyniosłe, dojrzałe matrony i nawet zupełnie wątle staruszki o ciemnej pomarszczonej skórze i śnieżnobiałych włosach. Przyniosły wazony z kwiatami i stawiały je wszędzie. A potem jedna z nich, nieśmiała szczupła istota o pięknej szyi, wystąpiła z wdziękiem przed tłum i zaczęła zapalać lampy.

Czuję zapach ich krwi. Czemu był tak silny i nęcący, skoro nie czuję pragnienia?

Nagle zeszyły się w środku pokoju i skupiły na mnie spojrzenia; miałem wrażenie, że wpadły w trans. Stałem na tarasie, patrząc na nie, i nagle zdałem sobie sprawę, co widzą. Mój porwany strój

- wampirze szmaty, czarna kurtka, biała koszula i peleryna - cały był splamiony krwią.

Moja skóra bardzo się zmieniła. Byłem bielszy i oczywiście bardziej upiorny. A moje oczy z pewnością słały silniejszy blask. Może też dałem się zwieść naiwną reakcją przybyłych. Kiedy wcześniej widziały kogoś z naszych?

Tak czy inaczej... wszystko to było jak sen: te nieruchome kobiety o czarnych oczach i skupionych obliczach - nawet wyniosłe niewiasty miały ściągnięte twarze - wpatrzone we mnie, a potem padające jedna po drugiej na kolana. Ach, na kolana. Miały oszalały wyraz twarzy ludzi, którzy właśnie zetknęli się z czymś nadzwyczajnym; widziały zjawę, a ironia sytuacji polegała na tym, że to one wydawały mi się zjawami.

Niechętnie zacząłem czytać w ich myślach.

Widziały Błogosławioną Matkę. Ona tak się tu objawiła, jako Madonna, Dziewica. Przybyła do ich wiosek i nakazała im wymordować synów i mężów, nawet niemowlęta. One to zrobiły albo były świadkami, jak to robiono, i teraz płynęły na fali wiary i radości. Były świadkami cudu; przemawiała do nich sama Błogosławiona Matka. Przedwieczna Matka, która zawsze zamieszkiwała groty na tej wyspie, jeszcze przed Chrystusem, Matka, której drobne nagie posąжки znajdowano w ziemi to tu, to tam.

W jej imieniu zwały kolumny zrujnowanych świątyń, które przyjeżdżali oglądać turyści; spaliły jedyny kościół na wyspie; wybiły okna żerdziami i kamieniami. Stare freski też spłonęły.

Marmurowe kolumny, rozbite na kawałki, wrzuciły do morza.

A ja, kim ja byłem dla nich? Nie tylko bogiem. Nie tylko wybrańcem Błogosławionej Matki.

Nie, kimś innym. Stałem oszołomiony w sieci spojrzeń, pełen odrazy wobec przekonań tych śmiertelnych, a jednak zafascynowany i wystraszony.

Oczywiście, nie była to fascynacja nimi, ale wszystkim, co się działo, tym cudownym uczuciem, które budziły skierowane ku mnie spojrzenia, zachwytem, z jakim śmiertelni śledzili mnie na scenie. Patrzyli na mnie i czuli moją moc po tych wszystkich latach ukrywania się. Przybyli, by oddać mi boską cześć, jak wszystkie te biedne istoty rozrzucone na górskim szlaku. Ale tamci oddawali boską cześć Azimowi, czy nie tak? Przybyli do niego, aby umrzeć.

Koszmar. Muszę to odwrócić, muszę to zatrzymać; muszę się zdobyć na odrzucenie tego do najmniejszej części!

Przecież jeszcze zacznę wierzyć, iż naprawdę jestem... Wiem, kim jestem, nieprawdaż? A te biedne, nieuczone kobiety, traktujące odbiorniki telewizyjne i telefony jak cud, kobiety, dla których sama zmiana jest rodzajem cudu... One obudzą się jutro i zobaczą, co uczyniły!

Wtedy ogarnął nas spokój - i kobiety, i mnie. Napłynął znajomy zapach kwiatów, poczułem, że działa urok. Kobiety otrzymywały instrukcje bez słów, za pośrednictwem umysłów.

Wszczął się niewielki ruch; dwie z nich powstały z kolan i weszły do łazienki - jednej z tych gigantycznych marmurowych izb uwielbianych przez zamożnych Włochów i Greków. Płynęła gorąca woda; z otwartych drzwi buchała para.

Inne podeszły do garderoby i wyjęły świeże ubrania. Właściciel tego pałacyku był bogaty; biedaczysko, zostawił papierosa w popielniczce i tłuste odciski palców na słuchawce białego telefonu.

Inna para kobiet podeszła do mnie. Chciały zaprowadzić mnie do łazienki. Poczułem ich dotyk -

dotykające mnie gorące ludzkie palce i towarzyszący temu wstrząs i podniecenie, kiedy kobiety wyczuły niesamowitą fakturę mojego ciała. Te dotknięcia wzbudziły we mnie niesłychany, cudowny dreszcz. Patrzyły na mnie piękne, ciemne, wilgotne oczy. Pociągnęły mnie za sobą ciepłymi dłońmi; chciały, żebym z nimi poszedł.

W porządku. Uległem. Białe marmurowe płytki, rzeźbione złote krany, prawdziwy starożytny rzymski splendor, połyskujące butelki z płynami do kąpieli i pachnidłami zapełniające marmurowe półki. A w wannie tafla gorącej wody i dysze pompujące strumienie pęcherzyków powietrza, wszystko bardzo zachęcające; tak byłoby w każdej innej chwili.

Zdjęły ze mnie ubranie. To było fascynujące uczucie. Nigdy się mną tak nie opiekowano, nigdy od czasów, kiedy byłem żywy, a i wtedy tylko we wczesnym dzieciństwie. Stałem w gorących oparach, przyglądając się drobnym, ciemnym dłoniom i czując, jak włoski stają mi na całym ciele; czułem adorację w oczach tych kobiet.

Poprzez kłęby pary spojrzałem w lustro, a właściwie w ścianę luster, i zobaczyłem siebie po raz pierwszy od początku tej złowrożej odysei. Ten wstrząs był nie do zniesienia.

To nie mogę być ja! - coś krzychało mi w głowie.

Byłem znacznie bledszy, niż to sobie wyobrażałem. Łagodnie odepchnąłem kobiety i podszedłem do luster. Moja skóra miała perłowy blask, a oczy, bardziej promienne niż niegdyś, były przeniknięte lodowatym światłem i łączyły w sobie wszystkie kolory. Mimo to nie wyglądałem jak Mariusz ani jak Akasza. Na mojej twarzy pozostały zmarszczki.

Krew Akaszy wybieliła mnie, ale zachowałem ludzki wygląd. Co dziwne, kontrast sprawiał, że wszystkie te zmarszczki były tym bardziej widoczne. Nawet drobne fałdki na palcach pogłębiły się w porównaniu z tym, co było dawniej.

Ale cóż to za pocieszenie, skoro tym bardziej zwracałem uwagę swoim zdumiewającym, wręcz nieludzkim wyglądem? Czuję się nawet gorzej niż w tamtej chwili, dwieście lat temu, kiedy w jakąś godzinę po śmierci ujrzałem swe odbicie w lustrze i szukałem w nim własnego człowieczeństwa. Teraz po prostu się bałem.

Przyglądałem się sobie w szklanej tafli; mój tors miał biel marmurowego, muzealnego popiersia.

A ten organ, organ, którego nie potrzebujemy, był sprężony, jakby gotów do czegoś, czego nigdy już nie będzie potrafił ani nie będzie chciał robić, był jak z marmuru. Priap skazany na wieczne czekanie.

Oszołomiony patrzyłem na podchodzące kobiety; na cudowne szyje, piersi, ciemne, wilgotne kończyny. Patrzyłem, jak dotykały mnie całego. Zgadza się, w ich oczach byłem piękny.

W kłębach pary zapach ich krwi był silniejszy. Jednak nie byłem spragniony, nie naprawdę.

Akasza napełniła mnie, ale ta krew przyprawiała mnie o męki, o prawdziwe męki.

Chciałem ich krwi - i nie miało to nic wspólnego z pragnieniem. Chciałem jej tak, jak człowiek chce szlachetnego wina, chociaż napił się wody. Moje pragnienie było pomnożone przez dwadzieścia, trzydzieści lub sto. Prawdę mówiąc, było tak przemożne, że potrafiłem sobie wyobrazić, że biorę je wszystkie, rozdieram te delikatne gardła jedno po drugim i zostawiam trupy na podłodze.

Nie, to się nie zdarzy - przekonywałem sam siebie. Groźny oścień tego pożądania sprawiał, że zbierało mi się na płacz. Co mi uczyniono! - myślałem jak w gorączce. Ale przecież wiedziałem, no nie? Wiedziałem, że jestem tak silny, że dwudziestu mężczyzn nie zdołałoby mnie ujarzmić.

Pomyśleć tylko, co bym im zrobił. Gdybym chciał się stąd uwolnić, mógłbym unieść się i przeniknąć przez sufit. Mogłem zrobić rzeczy, o których nawet nie marzyłem. Prawdopodobnie miałem dar ognia; mogłem spalać wszystko, co ujrzałem na swojej drodze, tak jak ona to robiła, tak jak wedle swoich słów mógł robić to Mariusz. To tylko kwestia siły. I oszałamiających wyzyn świadomości, otwartości...

Kobiety całowały mnie. Całowały moje ramiona. Jak cudowne były te drobne doznania, te delikatne przyciśnięcia warg do mojej skóry. Nie potrafiłem się powstrzymać od uśmiechu, obejmowałem je łagodnie, całowałem, wtulając usta w rozgrzane, wiotkie szyje i czując napór kobiecych piersi na swoje żebra. Byłem całkowicie otoczony tymi podatnymi na uścisk stworzeniami, otulało mnie soczyste ludzkie mięso.

Wszedłem do głębokiej wanny i oddałem się w ich ręce. Gorąca woda opływała mnie, wspaniale zmywając cały brud, który naprawdę nigdy do nas nie przylega, nigdy nas nie przenika. Zadarłem głowę do tyłu, pozwalając umyć swe włosy gorącą wodą.

Tak, co za wyjątkowa rozkosz. A jednak nigdy nie byłem tak samotny. Tonąłem w tych hipnotycznych doznaniach. Byłem bezwolny, ponieważ tak naprawdę nie mogłem nic zrobić.

Kiedy skończyły, wybrałem sobie perfumy i kazałem pozbyć się innych. Mówiłem po francusku, ale chyba mnie rozumiały. Ubrały mnie w rzeczy wybrane przeze mnie spośród tego, co mi przyniosły. Pan domu lubił ręcznie szyte płócienne koszule, tylko trochę na mnie za duże, i lubił też ręcznie szyte buty, które nieźle na mnie pasowały.

Wybrałem garnitur z szarego jedwabiu o bardzo współczesnym, swobodnym kroju. Srebrna biżuteria. Srebrny zegarek właściciela i jego spinki do mankietów z drobnymi diamentkami. I nawet niewielka, diamentowa szpilka do klapy marynarki. Czuję się dziwnie, założywszy te wszystkie rzeczy; miałem wrażenie, że zarazem czuję swoją skórę i jej nie czuję. Wtedy nastąpiło déjà vu sprzed dwustu lat. Wróciły stare pytania śmiertelnika. Czemu, do diabła, dzieje się to wszystko? Jak nad tym zapanować?

Przez chwilę rozważałem, czy można się tym nie przejmować? Czy mogę zdobyć się na dystans i spojrzeć na te wszystkie stworzenia, którymi się karmiłem, jak na coś z innej planety? Okrutnie wyrwano mnie z ich świata! Gdzie dawna gorycz, wymówka dla nie kończącego się okrucieństwa? Czemu zawsze skupiała się na drobiazgach? Nie chodzi o to, że życie jest drobiazgiem. Och nie, żadne życie nim nie jest! Prawdę mówiąc, na tym to wszystko polega.

Czemu ja, ten, który zabijał z taką obojętnością, uchylałem się przed wizją zniszczenia wspaniałych zwyczajów tych istot? Czemu serce podchodziło mi do gardła? Czemu płakałem w środku, jakby coś we mnie umierało?

Może jakiś inny czart uwielbiałby to; jakiś wynaturzony i pozbawiony skrupułów nieśmiertelny sztychowałby z tej wizji, a równocześnie wślizgnąłby się w szaty boga tak łatwo jak ja do tej perfumowanej kąpieli.

Nic nie mogło dać mi tej swobody, nic. Jej przyzwolenie nic nie znaczyło, jej moc w ostatecznym rozrachunku była tylko innym poziomem tego, co wszyscy posiadaliśmy. A owo coś nigdy nie ułatwiało starań i trudu; przeżywaliśmy piekielne męki, bez względu na to, jak często spoglądaliśmy w twarz zwycięstwu bądź klęsce.

Nie mogło być mowy o podporządkowaniu epoki woli jednostki; jej plan musiał jakoś zostać pokrzyżowany i jeśli tylko zachowam spokój, znajdę na to sposób.

A przecież śmiertelni dopuszczali się względem siebie potworności; barbarzyńskie hordy zalewały całe kontynenty, niszcząc wszystko po drodze. Czy ludzkość łudzac się podbojem i panowaniem, wykazywała tylko ludzkie cechy? To bez znaczenia. Nieludzkie były środki, których używała do realizacji swoich celów!

Znów zacząłbym płakać, gdybym nie przestał szukać rozwiązania; a te biedne wrażliwe stworzenia wokół mnie byłyby jeszcze bardziej poranione i zagubione.

Kiedy zakryłem twarz dłońmi, nie odsunęły się. Cesały mi włosy. Ciarki przeszły mi po plecach, a cichy łomot krwi w ich żyłach nagle stał się ogłuszający.

Powiedziałem im, że chcę być sam. Nie mogłem już wytrzymać pokusy. Przysięgłbym, że wiedziały, czego chcę, a jednak były gotowe ulec. Ciemne, słone ciała były tak blisko mnie.

Pokusa była zbyt silna. Bez względu na to, co czuły naprawdę, usłuchały mnie natychmiast i z pewnym lękiem. Opuściły pokój w milczeniu, wycofując się, jakby zwyczajne wyjście było niewłaściwe.

Popatrzyłem na zegarek. Noszenie zegarka, który wskazywałby mi czas, wydało mi się bardzo zabawne. Nagle poczułem rozdrażnienie i zegarek się rozsypał! Szkło się rozprysło i wszystko wypadło z rozerwanej, srebrnej koperty. Bransoletka pękła, srebrny owal spadł z przegubu na podłogę, błyszczące kółka znikły w dywanie.

- Dobry Boże! - szepnąłem. A przecież to było możliwe, jeśli potrafiłem rozedrzeć arterię lub serce. Jednak musiałem kontrolować tę moc, nie mogłem pozwolić jej na samowolę.

Rozejrzałem się i wybrałem na chybił trafił małe lustro w srebrnej ramce. - Pęknij! -

pomyślałem i rozleciało się na błyszczące odłamki. W głuchej ciszy słyszałem, jak uderzały o ściany i blat toaletki.

No cóż, to było użyteczne, diablo bardziej użyteczne niż zdolność zabijania ludzi. Wpatrywałem się w telefon na skraju toaletki. Skoncentrowałem się, pozwoliłem mocy się skupić, a potem świadomie obniżyłem ją i postarałem się wolno przesunąć aparat telefoniczny po szklanej płycie zakrywającej marmur. Tak. W porządku. Małe buteleczki zakołysały się i poprzewracały, kiedy przepychał się między nimi. Ustabilizowałem je, jednakże nie potrafiłem ich poustawiać. Nie potrafiłem ich podnieść. Och, czekajcie, ależ tak, potrafiłem. Wyobraziłem sobie rękę, jak je ustawia. Z pewnością moc nie zastosowała się dosłownie do tego obrazu, ale użyłem go, nadając mocy kształt działania. Uporządkowałem buteleczki. Podniosłem tę, która upadła, i odstawiłem na miejsce.

Usiadłem na łóżku, żeby to przemyśleć, ale ciekawość była zbyt silna, bym ograniczył się do myślenia. Zdałem sobie sprawę z czegoś ważnego: miałem do czynienia ze zjawiskiem fizycznym, z energią. Nie było to nic innego jak moc, którą posiadałem już dużo wcześniej. Na przykład niedługo po tym, jak Magnus mnie stworzył, udało mi się przesunąć kogoś po pokoju -

to był mój ukochany Nicolas, z którym się kłóciłem - jakbym uderzył go niewidzialną pięścią.

Byłem wtedy wściekły, a później nie udało mi się już powtórzyć tej sztuczki. To była ta sama moc, ta sama sprawdzalna i wymierna cecha.

- Nie jesteś bogiem - powiedziałem. Ale ten wzrost mocy, ten nowy wymiar, jak trafnie mówią w tym stuleciu... Hm...

Patrząc w sufit, postanowiłem unieść się powoli i dotknąć go, przesunąć dłonią po gipsowym fryzie obiegającym sznur kandelabru. Poczułem mdłości i wtem zdałem sobie sprawę, że unoszę się pod sufitem. A moja dłoń, proszę, wyglądało na to, że moja dłoń przenika gips. Opuściłem się trochę i spojrzałem w dół.

Zrobiłem to, nie zabierając ze sobą ciała! Nadal siedziałem na skraju łóżka. Wytrzeszczałem oczy na samego siebie, na czubek własnej głowy. Ja - moje ciało w każdym razie - siedziałem tam bez ruchu, jak we śnie, wpatrzony w ścianę. Wracaj - nakazałem sobie w myślach. I wróciłem, dzięki Bogu, a moje ciało było w porządku. Potem spojrzałem na sufit i usiłowałem zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

No cóż, wiedziałem, o co chodzi. Sama Akasza powiedziała mi, że jej duch podróżował poza ciałem. Śmiertelni zawsze robili takie rzeczy, a przynajmniej tak utrzymywali. Od najdawniejszych czasów pisywali o takich niewidzialnych podróżach.

Niemal mi się to udało wtedy, kiedy próbowałem zajrzeć do świątyni Azima, kiedy opuściłem swoje ciało, a ona zatrzymała je, bo zaczęło spadać. Wcześniej było jeszcze kilka przypadków...

Ale zazwyczaj nie wierzyłem w te wszystkie opowiadki śmiertelnych.

Teraz wiedziałem, że też jestem do tego zdolny. Ale wcale nie chciałem, żeby to się działo przypadkiem. Zdecydowałem się unieść do sufitu, ale tym razem z ciałem, i dokonałem tego w jednej chwili! Byłem tam, przyciskałem się do gipsu, i tym razem moja ręka nie przeniknęła przez sufit. W porządku.

Wróciłem na dół i zdecydowałem się powtórzyć operację po raz kolejny. Teraz tylko duchem!

Znów wróciły mdłości, popatrzyłem z góry na swoje ciało, a potem wzniosłem się przez dach pałacu. Podróżowałem ku morzu. Jakże inaczej wyglądał świat: nie byłem pewien, czy to prawdziwe niebo lub prawdziwe morze. To były jakby zamglone repliki jednego i drugiego i wcale mi się to nie podobało, ani trochę. Nie, dziękuję. Zawracam! A może ściągnąć ciało do siebie? Próbowałem, ale absolutnie nic się nie stało i wcale nie byłem tym zaskoczony. To był

rodzaj halucynacji. Tak naprawdę nie opuściłem ciała i powinienem przyjąć to do wiadomości.

A Mała Jenks? Co z pięknymi wizjami, które miała Mała Jenks, kiedy się uniosła? Czy to były halucynacje? Nigdy się nie dowiem, prawda?

Wracać!

Siedzę. Skraj łóżka. Wygoda. Pokój. Wstałem i przechadzałem się przez chwilę, patrząc na kwiaty, na ciemne łodygi, dziwne odbicia światła lamp na białych płatkach, złote lśnienia na powierzchniach zwierciadeł i wszystkie inne cudowne zjawiska.

Nagle otaczające mnie szczegóły, niesłychane bogactwa tego pokoju, przytłoczyły mnie.

Padłem na fotel przy łóżku. Wyciągnąłem się na pluszu, słuchałem mocno bijącego serca. Nie cierpiałem być niewidzialny, wychodzić z ciała! Ani mi się śniło to powtarzać!

Usłyszałem śmiech; lekki, łagodny śmiech. Zdałem sobie sprawę z obecności Akaszy, była tam, gdzieś za mną, może w pobliżu toaletki.

Dźwięk jej głosu, jej obecność dostarczyły mi nagłego zadowolenia. To uczucie było zaskakująco silne. Chciałem ją zobaczyć, ale nie ruszyłem się z miejsca.

- Podróżowanie poza ciałem jest mocą, którą dzielisz ze śmiertelnymi - powiedziała. - Oni stale robią tę sztuczkę.

- Wiem - rzekłem rozczarowany. - Niech ją sobie robią. Bylebym ja mógł latać, nie rozstając się z ciałem.

Znów się roześmiała łagodnym, pieszczącym śmiechem, który słyszałem w snach.

- W dawnych czasach - mówiła - ludzie udawali się do świątyń, by to robić; pili napary sporządzone przez kapłanów, a podczas podróży do nieba spotykali się z największymi tajemnicami życia i śmierci.

- Wiem. Zawsze myślałem, że są pijani albo zaćpani na amen, jak się to dzisiaj mówi.

- Jesteś brutalny - szepnęła. - Twoje reakcje są tak szybkie.

- To ma być brutalność? - spytałem. Znów poczułem woń ognisk płonących na wyspie. Mdlilo mnie. Dobry Boże - pomyślałem. - A my rozmawiamy tu, jakby nic się nie działo, jakbyśmy nie wniknęli w ich świat pełen koszmarów...

- A latanie wraz z ciałem cię nie przeraża? - zapytała.

- Przeraża, wiesz o tym - powiedziałem. - Kiedy odkryję granice? Czy mogę siedzieć tutaj i zabijać śmiertelnych, którzy są wiele kilometrów dalej?

- Nie. Odkryjesz granice o wiele szybciej, niż myślisz. To jak każda inna tajemnica. Tak naprawdę nie ma żadnej tajemnicy.

Roześmiała się. Przez ułamek sekundy znów słyszałem głosy, rosnący przypływ, ale rozplynął się w autentycznych dźwiękach - krzykach niesionych przez wiatr, dochodzących z wioski na wyspie. Palono małe muzeum ze starożytnymi greckimi posągami. A z nim ikony i bizantyjskie malowidła.

Cała sztuka szła z dymem. Życie szło z dymem.

Nagle zapragnąłem ją zobaczyć, ale nie potrafiłem znaleźć jej odbicia w zwierciadłach.

Poddałem się.

Stała przy toalecie. Także zmieniała ubiór i uczesanie, była jeszcze bardziej wysublimowana, cudowna, a równocześnie beczasowa jak poprzednio. Trzymała ręczne lusterko i przeglądała się w nim, ale tak naprawdę nie patrzyła na nic; słuchała głosów ja też znów je usłyszałem.

Przeszedł mnie dreszcz; Akasza przypominała dawną siebie, zamarłą, siedzącą w świątyni. Po chwili jakby się obudziła, znów popatrzyła do lusterka, potem na mnie i odłożyła je.

Włosy miała rozpuszczone, rozplotła wszystkie warkocze, czarne fale opadały swobodnie na ramiona, ciężkie, mieniące się i zapraszające do pocałunków. Suknia wyglądała tak, jakby kobiety uszyły ją dla niej z ciemnego, karmazynowego jedwabiu znalezionej tutaj. Materiał

nadawał lekki rumieniec policzkom piersiom, tylko na w pół przysłoniętym luźnymi fałdami, które wspinały się do ramion i były chwycone złotymi zapinkami. Naszyjniki, które miała na sobie, były całkowicie współczesne, ale obfitość nadawała im archaiczny wygląd: perły, złote łańcuchy, opale, a nawet rubiny. Na promiennej skórze wszystkie te ozdoby wydawały się jakoś nierzeczywiste! Roztopiały się w świetle, jakim jarzyła cała postać, jednoczyły się z blaskiem oczu i lśnieniem warg.

Pasowała do najbardziej bogatego pałacu wyobraźni, jednocześnie zmysłowa i boska. Znów zapragnąłem jej krwi, krwi bez słodkich woni i bez zabijania. Pragnąłem podejść do niej i dotknąć skóry, która wydawała się nieprzenikniona, ale pękłaby jak delikatna polewa tortowa.

- Wszyscy mężczyźni na tej wyspie nie żyją, czy tak? - zapytałem. To było wstrząsające, zadać to pytanie.

- Wszyscy z wyjątkiem dziesięciu. Na tej wyspie było siedmiuset ludzi. Siedmiu zostało wybranych, aby żyć.

- A pozostali trzej?

- Są dla ciebie.

Wpatrywałem się w nią. Dla mnie? Pożądanie krwi uległo pewnej zmianie, autorewizji, objęło krew zarówno jej, jak i ludzką - gorącą, bulgoczącą, tak słodko pachnącą, tak... Ale nie miałem takiej fizycznej potrzeby. Nadal nazwałbym to pragnieniem, ale w rzeczywistości było czymś silniejszym.

- Nie chcesz ich? - zapytała z lekkim szyderstwem, uśmiechając się do mnie. - Mój niechętny bożku, który uchylasz się od obowiązku. Wiesz, przez tamte wszystkie lata, kiedy cię słuchałam, jeszcze zanim stworzyłeś pieśni na moją cześć, uwielbiałam to, że brałeś tylko twarde sztuki, młodych mężczyzn. Uwielbiałam to, że polowałeś na złodziei i zabójców; że lubiłeś połykać ich całe złe „ja”. Gdzie jest teraz twoja odwaga? Twoja impulsywność? Twoje pragnienie, żeby zanurzyć się w tym po szyję?

- Czy te ofiary, które czekają na mnie, to źli ludzie? - spytałem.

- Czy to tchórzostwo? - Zwęziła oczy. - Czy rozmach planu cię przeraża? Bo zabijanie na pewno znaczy dla ciebie niewiele.

- Och, mylisz się - powiedziałem. - Zabijanie zawsze coś znaczy. Tak, rozmach planu mnie przeraża. Chaos, kompletna utrata moralnej równowagi znaczą wszystko. To przecież nie tchórzostwo, prawda? - Byłem pełen podziwu dla własnego spokoju i pewności siebie. Ani jedno, ani drugie nie było jednak prawdziwe i ona o tym wiedziała.

- Pozwól, że uwolnię cię od obowiązku stawiania oporu - rzekła. - Nie możesz mnie zatrzymać.

Kocham cię, powiedziałam ci to. Lubię patrzeć na ciebie. To napędza mnie szczęściem. Ale nie masz na mnie wpływu. To absurdalny pomysł.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Usiłowałem znaleźć słowa, w których mógłbym wyrazić, jak jest piękna, jak przypomina stare egipskie wizerunki księżniczek o lśniących perukach i na zawsze zapomnianych imionach. Usiłowałem zrozumieć, dlaczego serce mi pęka, chociaż patrzę na nią; a równocześnie nie myślałem o tym, że jest piękna, lecz o tym, co mówiła.

- Dlaczego wybrałaś ten sposób? - zapytałem.

- Wiesz dlaczego - powiedziała z cierpliwym uśmiechem. - Jest najlepszy. To jedyny sposób.

Czysta wizja po stuleciach szukania rozwiązania.

- To nie może być prawda. Nie wierzę.

- Oczywiście, że to prawda. Czy myślisz, że ja zdecydowałam się pod wpływem impulsu? Nie podejmuję decyzji tak jak i ty, mój książę. Cenię niezmiernie twoją młodzieńczą spontaniczność, ale w moim wypadku to sprawa dawno minioną. Ty myślisz w kategoriach ludzkiego życia, w kategoriach małych dokonań i ludzkich przyjemności. Ja przez tysiące lat przemyślałam plany dla świata, który jest teraz mój. Dowody są tak przytłaczające, że muszę postępować zgodnie z tym, do czego doszłam. Nie mogę zmienić ziemi w ogród, nie mogę stworzyć edenu ludzkiej wyobraźni - chyba że prawie całkowicie wyeliminuję ród męski.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zabijesz czterdzieści procent ziemskiej populacji?

Dziewięćdziesiąt procent wszystkich mężczyzn?

- Czy zaprzeczysz, że to położy kres wojnie, gwałtowi, przemocy?

- Ale rzecz w...

- Odpowiedz na pytanie. Czy zaprzeczysz, że to położy kres wojnie, gwałtowi, przemocy?

- Zabicie wszystkich na pewno położy im kres!

- Nie baw się ze mną. Odpowiedz na pytanie.

- Czyż to nie zabawa? Cena jest nie do przyjęcia. To szaleństwo, to masowy mord, to przeciwne naturze.

- Nie emocjonuj się tak. Żadne z tych oskarżeń nie jest prawdziwe. Naturalne jest to, co zostało zrobione. Myślisz, że w przeszłości ludzie nie ograniczali liczby dzieci płci żeńskiej? Nie wiesz, że zabijali je milionami, bo chcieli tylko chłopców, przyszłych mężczyzn, którzy mogliby iść na wojnę? Och, nic potrafiś sobie tego wyobrazić. Teraz będą przedkładać dziewczynki nad chłopców i nie będzie wojny. A co z innymi przestępstwami popełnionymi przez mężczyzn wobec kobiet? Gdyby jakiś naród popełnił takie zbrodnie na innym narodzie, czy nic zostałby skazany na eksterminację? A jednak nocą i dniem, jak kula ziemską długa i szeroka, popełnia się je bez końca.

- W porządku, to prawda. Niewątpliwie. Ale czy twoje rozwiązanie jest lepsze? Wymordowanie wszystkich osobników płci męskiej to ohyda. Przecież jeśli chcesz panować... - Ale nawet ja nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Przypomniałem sobie słowa Mariusza, wypowiedziane dawno temu, kiedy żyliśmy jeszcze w epoce pudrowanych peruk i atłasowych pantofli - że stara religia, chrześcijaństwo, umiera i może pojawi się nowa:

„Może powstanie coś wspaniałego - rzekł wtedy Mariusz - świat naprawdę zrobi krok do przodu, zostawiając za sobą wszystkich bogów i boginie, diabły i anioły...”

Czy nie takie było prawdziwe przeznaczenie świata? Przeznaczenie, do którego zmierzaliśmy bez naszej interwencji?

- Ach, marzyciel z ciebie, mój piękny - osądziła mnie ostro. - Jakże przebierasz w swoich iluzjach! Spójrz na kraje wschodu, gdzie pustynne plemiona, bogate teraz w naftę, którą dobywają spod piasków, zabijają się nawzajem w imię Allacha, Swojego boga! Religia nie umarła na tej planecie, nigdy nie umrze! Jacyż z was szachiści, ty i Mariusz. Wasze idee to jedynie pionki. Nie potraficie spojrzeć poza szachownicę, na której szeregujecie je to tak, to inaczej, jak odpowiada to waszym etycznym duszyczkom.

- Mylisz się - powiedziałem gniewnie. - Może nie i względem nas. My się nie liczymy. Mylisz się względem tego wszystkiego, co zaczęłaś. Mylisz się.

- Nie, nie mylę się. Nikt nie może mnie powstrzymać, ani w mężczyzna, ani niewiasta. Po raz pierwszy, od kiedy mężczyzna uniósł maczugę, by powalić swojego brata, ujrzymy, czego kobiety muszą nauczyć mężczyzn, żeby mogli żyć w świecie przez nie stworzonym! Tylko jeśli mężczyźni pokażą, że nauka nie jest daremna, będzie im znów wolno swobodnie poruszać się wśród kobiet!

- Musi być jakiś inny sposób! Bogowie, omyłne ze mnie stworzenie, słabe, nie lepsze niż większość mężczyzn na tej ziemi. Nie znajduję teraz argumentów, które mogłyby uratować ich życie. Nie znajduję niczego, co mogłoby uzasadnić moje. Akaszo, przez miłość do wszystkich żywych istot, błagam cię, zaprzestań tego masowego mordu...

- Ty mówisz mi o morderstwie? Opowiedz mi o wartości jednego ludzkiego życia, Lestacie. Czy nie jest bezcenne? Jak wiele razy niszczyłeś je? Krew jest na naszych rękach, na rękach nas wszystkich, tak jak mamy ją w naszych żyłach.

- Tak, właśnie. Nie jesteśmy wszechmądrzy i wszechwiedzący. Błagam cię, przestań, zastanów się... Akaszo, przecież Mariusz...

- Mariusz! - Roześmiała się łagodnie. - Czego nauczył cię Mariusz? Co ci dał? Co ci naprawdę dał?

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem. A jej uroda oszalała mnie! Nie odrywałem oczu od krągłości jej ramion, od dołeczków w policzkach.

- Mój drogi - powiedziała. Jej twarz nagle stała się czuła i łagodna. - Wspomnij swoją wizję Ogrodu Bestii, w którym obowiązują tylko zasady estetyki - prawa rządzące ewolucją wszystkich istot, wielkich i małych - ogrodu cudownego bogactwem kolorów, kształtów i piękna! W naturze piękno jest wszędzie, gdzie się spojrzy. Także śmierć towarzyszy jej wszędzie. Ja tymczasem stworzę eden, wymarzony eden, i będzie on lepszy niż natura! Zrobię coś więcej. Krańcowo niszczący, amoralny gwałt natury będzie odkupiony. Nie rozumiesz, że mężczyźni stać jedynie na to, by marzyć o pokoju? I że kobiety mogą zrealizować to marzenie? Moja wizja jest w sercu każdej kobiety, ale nie może przetrwać w żarze męskiego gwałtu! Ten gwałt jest tak straszliwy, że nawet ziemia może nie przetrwać.

- A może ty czegoś nie rozumiesz? - powiedziałem. Miotalem się, szukając właściwych słów. -

Załóżmy, że dwoistość męskość-kobiecość jest niezbędna dla ludzkiego gatunku. Załóżmy, że kobiety chcą mężczyzn, załóżmy, że powstaną przeciwko tobie i będą usiłowały ich ochronić.

Świat to nie ta mała prostacka wysepka! Nie wszystkie kobiety są wieśniaczkami oślepiionymi przez twoje wizje!

- Czy myślisz, że mężczyźni są właśnie tym, czego chcą kobiety? - zapytała. Przysunęła się bliżej, jej twarz zmieniła się niedostrzegalnie w grze światła. - Czy o to ci chodzi? Jeśli tak, to oszczędźmy kilku mężczyzn więcej i trzymajmy ich tam, gdzie będzie można na nich patrzeć, jak te kobiety patrzyły na ciebie, i dotykać, jak one dotykały ciebie. Będziemy trzymać ich tam, by kobiety miały ich na swoje zawołanie, a zapewniam cię, że nie będą tak wykorzystywani, jak kobiety były wykorzystywane przez mężczyzn.

Westchnąłem. Wszystkie argumenty były daremne. Miała absolutną rację i absolutnie się myliła.

- Krzywdzisz sam siebie - powiedziała. - Znam twoje argumenty. Rozważałam je przez wieki, tak jak rozważałam swoje pytania. Myślisz, że na moje postępowanie wpływają ludzkie ograniczenia. To nieprawda. Żeby mnie zrozumieć, musisz myśleć w kategoriach niewyobrażalnych możliwości. Prędzej zrozumiesz tajemnicę rozszczepienia atomu lub czarnych dziur w przestrzeni kosmicznej.

- Musi być jakiś sposób wykluczający śmierć. Musi być sposób, który zatriumfuje nad śmiercią.

- Ależ to właśnie jest sprzeczne z naturą, mój piękny. Nawet ja nie potrafię położyć kresu umieraniu. - Przerwała, jakby była głęboko poruszona słowami, które właśnie wypowiedziała. -

Położyć kres umieraniu - szepnęła. Jakieś osobiste zmartwienie nawiedziło jej myśli. - Położyć kres umieraniu. - Oddalała się ode mnie. Zamknęła oczy, podniosła palce do skroni.

Znów słyszała głosy; dopuszczała je do siebie. A może przez chwilę nie potrafiła ich powstrzymać. Wypowiedziała kilka słów w prawięcznym języku. Nie zrozumiałem ich. Nagle zdałem sobie sprawę

z jej pozornej bezbronności, z tego, że głosy jakby pozbawiały ją sił.

Przeszukała wzrokiem pokój, a gdy spojrzała na mnie, rozjaśniła się.

Przemożny smutek odebrał mi mowę. Jak mikroskopijne były zawsze moje wizje! Pokonać garstkę nieprzyjaciół, być widzianym i kochanym przez śmiertelnych jako symbol, znaleźć sobie miejsce w wielkim spektaklu życia, nieskończenie większym ode mnie, spektaklu, którego zbadanie zajęłoby umysł jednostki na tysiąc lat. A my nagle stanęliśmy poza czasem, poza sprawiedliwością; byliśmy zdolni obalić całe systemy myślowe. A może to tylko iluzja? Ilu innych sięgało po taką moc?

- Oni nie byli nieśmiertelni, ukochany. - Jej ton był niemal błagalny.

- Ale my jesteśmy dziełem przypadku - powiedziałem. - Jesteśmy istotami, które nigdy nie powinny istnieć.

- Nie wypowiadaj tej myśli!

- Nic na to nie poradzę.

- To jest teraz bez znaczenia. Nie potrafisz zrozumieć, jak mało to wszystko znaczy. Nie podaję ci wysublimowanej racji, która by mną powodowała, ponieważ racje są proste i praktyczne. To, jak zostaliśmy poczęci, jest bez znaczenia. Liczy się to, że przetrwaliśmy. Nie rozumiesz? Sam fakt naszego przetrwania jest najpiękniejszy i to piękno rozrośnie się niepomiernie.

Potrząsnąłem głową. Znów ujrzałem spalone muzeum i leżące na podłodze szerniałe posągi.

Ogarnęło mnie poczucie dotkliwej straty.

- Historia się nie liczy - powiedziała. - Sztuka się nie liczy. Te zjawiska implikują ciągłość, która rzeczywiście nie istnieje. Zaspokajają naszą potrzebę wzorca, głód sensu, ale tak naprawdę nas oszukują. My musimy nadać sens.

Odwróciłem się od niej. Nie chciałem dać się omamić jej rozumowaniu ani urodzie, lśnieniu otchłannie czarnych oczu. Poczułem jej dłonie na ramionach, usta na szyi.

- Kiedy miną lata - powiedziała - kiedy mój ogród rozkwitnie podczas wielu letnich miesięcy i zaśnie podczas wielu zim, kiedy stare drogi wojny i gwałtu będą tylko wspomnieniem i kobiety oglądające stare filmy będą się zdumiewać, że takie rzeczy były kiedykolwiek możliwe, gdy zwyczajnie kobiety zostaną przyswojone przez każdego członka ludzkich wspólnot, wtedy być może mężczyźni będą mogli powrócić. Powoli ich liczba będzie mogła wzrosnąć. Dzieci będą wychowywane w atmosferze, w której gwałt będzie nie do pomyślenia, a wojna stanie się niewyobrazalna. Wtedy... wtedy... wtedy będą mogli pojawić się mężczyźni. Kiedy świat będzie na to gotowy.

- To się nie uda. Nie może się udać.

- Dlaczego tak mówisz? Spójrzmy na naturę, jak tego chciałeś zaledwie przed chwilą. Wyjdź do

bujnego ogrodu, który otacza tę willę; przyjrzyj się rojom pszczoł i mrówkom, które trują się jak zawsze. To są samice, mój książę, miliony samic. Samiec jest jedynie aberracją i sprawą pewnej funkcji. One na długo przede mną nauczyły się mądrej sztuczki ograniczenia liczby samców. Wreszcie możemy żyć w epoce, w której samce są całkiem niepotrzebne. Powiedz mi, mój książę, jaki jest teraz użytek z mężczyzn, jeśli nie ochrona kobiet przed innymi mężczyznami?

- Do czego więc jestem ci potrzebny? - zapytałem z rozpaczą. - Czemu wybrałaś mnie na swojego małżonka! Na litość boską, czemu nie zabiłaś mnie z innymi mężczyznami! Wybierz jakiegoś innego nieśmiertelnego, jakąś przedwieczną istotę, głodną takiej mocy! Musi być ktoś taki. Nie chcę rządzić światem! Nie chcę rządzić niczym! Nigdy nie chciałem.

Wyraz jej twarzy uległ drobnej zmianie. Pojawił się nieznaczny, przelotny smutek, przez co mrok jej oczu stał się jeszcze bardziej bezmierny. Jej wargi zadrżały, jakby chciała coś powiedzieć.

- Lestacie, gdyby cały świat miał być zniszczony, ja nie zniszczyłabym ciebie. Z przyczyn niejasnych nawet dla mnie twoje ograniczenia są tak promienne jak twoje cnoty. Ale co być może ważniejsze, kocham cię, bo jesteś ideałem wszystkich samczych wad. Agresywny, zuchwały, pełen nienawiści i zawsze elokwentny, gdy tylko trzeba usprawiedliwić przemoc.

Jesteś destylatem męskości, a taka czystość ma olśniewającą jakość. Tylko dlatego jednak, że teraz da się kontrolować.

- Przez ciebie.

- Tak, kochanie. Po to się urodziłam. Dlatego tu jestem. To nie ma znaczenia, jeśli nikt nie uzna mojego celu. Postaram się, żeby został uznany. W tej chwili świat płonie samczym ogniem. Ale kiedy wszystko się naprawi, twój ogień zapłonie jeszcze jaśniej - blaskiem pochodni.

- Akaszo, potwierdzasz mój punkt widzenia! Nie myślisz, że dusze kobiet pożądamy właśnie tego ognia? Mój Boże, czy będziesz chciała poprawiać słońce?

- Tak, dusze pożądamy tego ognia. Ale chcą go zobaczyć jako blask pochodni, jak wspomniałam, albo płomyk świecy. Nie chcą jednak, by szalał w każdym lesie, na każdej górze i w każdej górskiej dolinie. Nie ma takiej kobiety, która by chciała w nim spłonąć! One chcą światła, mój piękny, światła! I ciepła! Ale nie zniszczenia. Jak mogłyby go chcieć? Są tylko kobietami. Nie szaleńcami.

- W porządku. Powiedzmy, że uda ci się dopiąć celu. Ze zaczniesz tę rewolucję i ogarnie ona świat - a zważ, że nie wydaje mi się to możliwe! Ale jeśli ci się uda, czy sądzisz, że nikt w świecie nie zażąda pokuty za śmierć tak wielu milionów? Jeśli nie ma bogów ani bogiń, czy jakimś sposobem sami ludzie - i ty, i ja - nie zostaniemy zmuszeni do zapłaty?

- To będą wrota do niewinności i tak zostaną zapamiętane. Nikt nigdy nie dopuści do rozrostu męskiej populacji, bo kto pragnąłby powtórzenia koszmarów?

- Zmusz mężczyzn do posłuchu. Oszołom ich, jak oszołomiłaś kobiety, jak oszołomiłaś mnie.

- Ależ, Lestacie, oni nigdy nie posłuchają. Ty byś posłuchał? Prędzej umrą, jak ty byś umarł.

Mieliby następny powód do rebelii, jakby kiedykolwiek go potrzebowali. Stawiliby niebywały opór. Wyobraź sobie, że mieliby okazję do walki z boginią. I tak naoglądamy się tego aż nadto.

Są mężczyznami i nic na to nie poradzą. Zapanowałby chaos. Jest sposób przerywania łańcucha przemocy. Nastąpi era całkowitego, idealnego pokoju.

Znów zamilkłem. Miałem tysiąc odpowiedzi, ale wszystkie błędne. Ona знаła swój cel aż za dobrze i rzeczywiście miała wiele racji.

Ach, lecz to było nierealne! Świat bez mężczyzn. Co by to oznaczało? Och, nie. Nie gódź się na ten pomysł choćby na chwilę. Nawet... A jednak znów powróciła tamta wizja, wizja dojrzana w żalosej wiosce w dżungli; świat bez strachu.

Wyobraź sobie, że usiłujesz wytłumaczyć im, jacy byli mężczyźni. Wyobraź sobie, że usiłujesz opowiedzieć, iż kiedyś, dawno temu, można było zostać zamordowanym na ulicy miasta; wyobraź sobie, że usiłujesz wytłumaczyć, co znaczył gwałt dla samców gatunku ludzkiego...

wyobraź sobie. Zobaczyłem ich nie rozumiejące oczy wpatrzone we mnie, kiedy próbowały to sobie wyobrazić, siłą umysłu starając się pokonać przepaść niepojętego. Poczulem dotyk ich miękkich dłoni.

- Ależ to szaleństwo! - szepnąłem.

- Och, wciąż mi się opierasz, mój książę - szepnęła z nutą gniewu i bólu. Zbliżyła się do mnie.

Gdyby znów mnie pocałowała, zacząłbym płakać. Myślałem, że wiem, czym jest kobieca uroda, ale jej piękno było niewyobrażalne.

- Mój książę - odezwała się tym samym szeptem. - Ta logika jest elegancka. Świat, w którym tylko garstka mężczyzn będzie trzymana dla rozrodu, to świat kobiety. Ten świat będzie czymś, czego nie poznałyśmy w całej naszej żalosej, krwawej historii. Nigdy nie powtórzą się obecne czasy, gdy mężczyźni rozmnażają w ampułkach zarazki zdolne zabić kontynenty podczas wojny biologicznej i projektują bomby, które mogą wytrącić Ziemię z jej szlaku wokół Słońca.

- A co się stanie, jeśli kobiety podzielą między siebie role męskie i żeńskie, jak się to często zdarza mężczyznom, kiedy są pozbawieni kobiet?

- Wiesz, że to głupie zastrzeżenie. Takie podziały mogą być tylko powierzchowne. Kobiety to kobiety! Czy potrafisz wyobrazić sobie wojnę rozpoczętą przez kobiety? Odpowiedz mi.

Potrafisz? Czy potrafisz wyobrazić sobie rozzuchwaloną bandę kobiet spragnionych jedynie zniszczenia lub gwałtu? Taka myśl jest niedorzeczna. Kilku wynaturzonym bezzwłocznie wymierzy się sprawiedliwość. Ale generalnie nastąpi coś zupełnie nieprzewidzianego. Nie pojmujesz? Na ziemi zawsze była możliwość pokoju i zawsze byli ludzie, którzy mogli go wprowadzić i utrzymać, a tymi ludźmi są kobiety. Jeśli tylko usunie się mężczyzn.

Przysiadłem na łóżku jak zwykły skonsternowany śmiertelnik. Oparłem łokcie na kolanach.

Dobry Boże, dobry Boże! Czemu te dwa słowa tak się mnie uczepliły? Nie było żadnego Boga!

Byłem w tym pokoju z bogiem.

- Tak, skarbie. - Roześmiała się triumfalnie. Wzięła mnie za rękę, okręciła w kółko i przyciągnęła do siebie. - Ale powiedz mi, czy ciebie to chociaż trochę podnieca?

Spojrzałem na nią.

- O co ci chodzi?

- Ty impulsywna istoto. Kto stworzył z tamtego dziecka, Klaudii, krwiopijcę, żeby tylko przekonać się, co się stanie? - W jej głosie była drwina, ale czuła drwina. - Czy naprawdę nie chcesz zobaczyć, co się stanie, kiedy wszyscy mężczyźni znikną? Nie jesteś nawet troszeczkę ciekaw? Poszukaj prawdy w duszy. To bardzo interesujący pomysł, czyż nie tak?

Nie odpowiadałem. Wreszcie potrząsałem głową.

- Nie - powiedziałem.

- Tchórz - szepnęła. - Karzełek ze snami karzełka.

Nikt nigdy mnie tak nie nazwał, nikt.

- Tchórz - powtórzyła.

- Może nie będzie wojny, gwałtu i przemocy - powiedziałem - jeśli wszystkie stworzenia skarleją i będą miały sny karzełków, jak ty to nazywasz.

Roześmiała się łagodnie, wybacząco.

- Moglibyśmy wiecznie tak rozprawiać - szepnęła. - Ale niebawem się przekonasz. Świat będzie taki, jak ja sobie zażyczę i jak powiedziałam, zobaczymy, co się stanie.

Usiadła obok mnie. Przez chwilę wydawało mi się, że tracę rozum. Objęła mój kark swoim nagim ramieniem. Wydawało się, że nigdy nie było delikatniejszego kobiecego ciała, nigdy żaden uścisk nie był równie pełen oddania i szczodry. A zarazem była tak twarda, tak silna.

Światła w pokoju przygasały, a niebo za oknem stało się bardziej żywe i granatowe.

- Akaszo - szepnąłem. Patrzyłem poza otwarty taras, na gwiazdy. Chciałem coś powiedzieć, coś decydującego, co zmiecie wszystkie jej argumenty, ale sens mi się wymknął. Byłem bardzo śpiący; to z pewnością jej sprawka. Rzuciła urok, chociaż wiedziała, że nie sprawi mi ulgi. Znów poczułem jej wargi na swoich ustach, na gardle. Poczulem chłodny atłas jej skóry.

- Tak, odpocznij teraz, mój skarbie. A kiedy się obudzisz, ofiary będą czekały.

- Ofiary... - Prawie spałem, gdy trzymała mnie w ramionach.

- Teraz musisz spać. Jesteś wciąż młody i kruchy. Moja krew płynie w tobie, zmienia cię, doskonali.

Tak, niszczy mnie, niszczy serce i wolę. Byłem nieświadomy, że się poruszam, kładę na łożku.

Opadłem na jedwabne poduszki, a jedwab jej włosów był tak blisko; gładziła mnie i znów pocałowała w usta. W jej pocałunku była krew; krew tętniąca pod skórą.

- Posłuchaj morza - szepnęła. - Posłuchaj otwierających się kwiatów. Wiesz, że teraz możesz je słyszeć. Możesz słyszeć drobne stworzenia morskie, jeśli chcesz. Możesz usłyszeć śpiew delfinów, one bowiem śpiewają.

Unosiłem się bezwolnie, bezpieczny w jej ramionach, jej, potężnej, jej, której bali się wszyscy.

Zapomnij o kwaśnym smrodzie płonących trupów, słuchaj kanonady morza bijącego o brzeg w dole; słuchaj szelestu, z jakim opadający płatek róży osiada na marmurze. Świat zamienia się w piekło i nic na to nie poradzę. Jestem w jej ramionach i zaraz zasnę.

- Czy to nie zdarzyło się miliony razy, miłości moja? - szepnęła. - Czy nie odwróciłeś się plecami do świata pełnego cierpienia i śmierci, jak robią to miliony śmiertelnych każdego wieczoru?

Mrok. Pojawiają się cudowne wizje. Pałac jeszcze piękniejszy od tego. Ofiary. Służba. Mityczne postaci baszów i imperatorów.

- Tak, kochanie, czego tylko zapragniesz. Cały świat u twoich stóp. Wzniosę ci pałac za pałacem. To powinno wystarczyć, będą cię czcili. To drobiazg, to najprostsze ze wszystkiego.

Pomyśl o łowach, mój książę. Dopóki trwa nagonka, myśl o pościgu, bo z pewnością będą uciekali i ukrywali się przed tobą, a jednak ty ich znajdziesz.

Widziałem to w gasnącym świetle tuż przed nadejściem snów. Widziałem siebie rozciągniętego w powietrzu jak dawni herosi, nad płaskim krajem, w którym migotały ogniska.

Poruszali się jak wilki, watahami, przez miasta, ale i przez lasy, ośmielając się wychylić nos tylko za dnia, bo tylko wtedy nic im z naszej strony nie groziło. Kiedy noc zapadała, zjawialiśmy się; znajdowaliśmy ich, słysząc myśli, czując krew i zbierając szeptane wyznania kobiet, które ich widziały, a może nawet ukrywały. Mogli wybiegać na otwartą przestrzeń, strzelać ze swojej beużytecznej broni; niszczyliśmy ich jednego po drugim, nasze ofiary, poza tymi, których chcieliśmy mieć żywych, tymi, którym powoli, bezlitośnie wysysaliśmy krew.

Z tej wojny ma wyłonić się pokój? Z tej koszmarnej zabawy powstanie ogród?

Próbowałem otworzyć oczy. Poczulem, że całuje moje powieki.

Sniłem.

Naga równina, pękająca ziemia. Coś wstaje, odpychając zaschnięte grudy, które zagradzają mu drogę. Ja jestem tym stworzeniem idącym równiną pod zachodzącym słońcem. Niebo jest wciąż pełne światła. Patrzę w dół na poplamione ubranie, które mnie okrywa, i widzę, że to nie ja. Ja jestem tylko Lestatem. I boję się. Chciałbym, żeby Gabriela tu była. I Louis. Może on sprawiłby, by ona zrozumiała. Ach, Louis, ten spośród nas wszystkich, który zawsze wiedział...

Znów powrócił znajomy sen. Rude kobiety klęczą przy ołtarzu z ciałem matki i są gotowe je spożyć. Tak, to ich obowiązek, ich święte prawo - zjeść mózg i serce. Nigdy jednak tego nie robią, bo zawsze wydarza się coś okropnego. Przybywają żołnierze... Chciałbym znać sens tego snu.

* * *

Krew.

Obudziłem się roztrzęsiony. Minęło dobre kilka godzin. W pokoju zrobiło się nieco chłodniej.

Niebo za otwartym oknem było cudownie czyste. Od niej padało wszelkie światło wypełniające pokój.

- Kobiety czekają. I ofiary.

Ofiary. Miałem zawroty głowy. Ofiary pełne gęstej krwi. Mężczyźni skazani na śmierć. Młodzi mężczyźni, z którymi mogę zrobić, co tylko zechcę.

- Tak. Chodź, połóż kres ich cierpieniom.

Wstałem zamroczony. Narzuciła mi na ramiona długą pelerynę, prostszą niż jej własne ubranie, ciepłą i miękką w dotyku. Pogładziła mnie obiema rękami po głowie.

- Męskość-kobiecość. Czy zawsze wszystko będzie się do tego sprowadzało? - szepnąłem. Moje ciało było spragnione snu. Ale ta krew.

Pogładziła mnie po policzku czubkami palców. Łzy wróciły?

Wyszliśmy z pokoju na długi podest z marmurową balustradą, skąd kręte schody prowadziły do ogromnej sali pełnej kandelabrow. Przygaszone światła tworzyły luksusowy półmrok. W samym środku zebrały się kobiety, było ich może dwie setki. Stały bez ruchu ze wzniesionymi ku nam oczami i rękami złożonymi jak do modlitwy.

Sprawiły wrażenie barbarzyńców pośród tych europejskich mebli o złoconych brzegach, na tle starego kominka z marmurowymi wolutami. Nagle przypomniały mi się jej słowa: „Historia się nie liczy; sztuka się nie liczy”. Stałem jak zamroczony, patrząc na osiemnastowieczne malowidła, od których biło bogactwo lśniących chmur, pucołowatych amorków i niebios w kolorze promiennego błękitu.

Kobiety nie zwracały uwagi na ten przepych, który nigdy ich i nie poruszał i zaiste nic dla nich nie znaczył, wpatrzone w wizję, która rozplynęła się, by w strudze szelestów i kolorowego światła zmaterializować się nagle u stóp schodów.

Rozległy się westchnienia, podniosły dłonie, zasłaniając pochylone głowy jakby przed niespodziewanym uderzeniem światła. Wszystkie oczy skupiły się na Królowej Niebios i jej małżonku, którzy stali na czerwonym dywanie kilka metrów ponad Zgromadzeniem. Małżonek był nieco roztrzęsiony i przygryzał wargę, starając się dokładnie widzieć to coś, to straszne coś, okropną mieszankę kultu i krwawego rytuału, kiedy wyprowadzono przed tłum ofiary.

Jakie wspaniałe okazy gatunku. Ciemnowłosi, smagli mężczyźni znad Morza Śródziemnego, w każdym calu dorównujący urodą młodym kobietom. Mężczyźni o krępej budowie i wybornej muskulaturze, inspirujący artystów od tysięcy lat. Czarne oczy i ogolone twarze z ciemnymi śladami zarostu; bardzo przystojni i pełni gniewu patrzyli na te nadprzyrodzone wrogie stwory, które zadecydowały o śmierci ich braci jak ziemia długa i szeroka.

Związano ich rzemieniami, zapewne ich własnymi pasami i pasami wielu innych. Kobiety zrobiły to umiejętnie. Nogi mieli spętane tak, że mogli chodzić, ale nie kopać czy biegać. Tylko jeden z nich dygotał, tyleż z gniewu, co ze strachu. Nagle zaczął stawiać opór. Dwaj inni spojrzeli na niego, a potem poszli w jego ślady.

Masa kobiet przygniotła ich, powaliła na kolana. Na widok pasów wcinających się w nagie, ciemne, męskie ramiona wezbrało we mnie pożądanie. Dlaczego to jest takie uwodzicielskie? I te kobiece dłonie trzymające mężczyzn, te zaciśnięte groźne dłonie, które potrafią być tak miękkie.

Nie potrafili pokonać tak wielu kobiet. Westchnąwszy, poniechali buntu, chociaż ten, który dał hasło do walki, patrzył na mnie oskarżycielsko.

Demony, diabły, piekielne stwory, oto, co mówił mi jego umysł; któż inny dokonałby takich czynów? Och, to początek mroku, straszliwego mroku!

Moje pożądanie było tak silne. Umrzecie; ja to sprawię! - taki był krzyk mojej duszy, a on chyba go słyszał i rozumiał. Tchnęła z niego dzika nienawiść do kobiet pomieszana z obrazami gwałtów i zemsty, co wzbudziło mój uśmiech, ale i zrozumienie, tak, całkowite zrozumienie. Jak łatwo było poczuć do nich pogardę, oburzenie, że ośmieliły się stać się wrogami, wrogami w wiekowej wojnie, one, kobiety! Był też tam mrok, wymarzona zemsta, niewyobrażalny mrok.

Poczułem na ramieniu palce Akaszy. Powróciła błogość, delirium. Usiłowałem walczyć, ale na próżno. Pożądanie mnie nie opuszczało. Było w moich ustach. Czułem jego smak.

Tak, przejść w chwilę, przejść w czyste działanie; niech rozpocznie się ofiara.

Wszystkie kobiety padły na kolana, a mężczyźni, którzy już klęczeli, zdawali się uspokajać, patrzyli na nas ze łzami w oczach i z drżącymi ustami.

Wpatrywałem się w muskularne ramiona pierwszego, tego, który się zbuntował. Jak zawsze w takich

chwilach wyobraziłem sobie jego szorstką, źle ogoloną skórę rozrywaną moimi wargami - nie lodowatą skórę bogini, ale gorącą, słoną skórę człowieka.

Tak, ukochany - mówiła mi bez słów. - Weź go, zasłużyłeś na tę ofiarę. Jesteś teraz bogiem.

Weź go. Czy wiesz, ilu na ciebie czeka?

Wyglądało na to, że kobiety wiedziały, co czynić. Kiedy zrobiłem krok do przodu, podniosły go; znów stawiał opór, ale wtedy wziąłem go w ramiona, to był zaledwie spazm. Zbyt mocno ścisnąłem mu głowę, nieświadomy swojej siły, i czaszka pękła w chwili, gdy wbiłem w niego zęby. Śmierć przyszła niemal natychmiast, tak wielki był mój pierwszy haust. Płonałem z głodu i pełna porcja, całkowita i wchłonięta w jednej chwili nie starczyła!

Natychmiast wziąłem drugą ofiarę, bez pośpiechu, tak aby otoczyć się w ciemność, słysząc jedynie głos duszy umierającego, jak to często bywało. Tak, przekazywał mi swoje tajemnice, gdy krew tryskała mi w usta, napęlniając je po brzegi. Tak, bracie mówiłem do niego w myślach.

- Wybacz mi. - Potem zatoczyłem się, depcząc i miażdżąc trupa.

- Dajcie ostatniego.

Żadnego oporu. Wpatrywał się we mnie z całkowitym spokojem, jakby zalało go jakieś światło, jakby jakaś teoria lub wiara zapewniły mu idealną ucieczkę. Przyciągnąłem go do siebie łagodnie i to było prawdziwe źródło, którego potrzebowałem, ta powolna, tytaniczna śmierć, której pragnąłem, serce pompujące, jakby nigdy nie miało się zatrzymać, i oddech uchodzący mu z ust.

Wciąż miałem zamglone oczy, nawet kiedy go puściłem, a krótkie, zapomniane fragmenty jego życia ułożyły się w ulotny, niespotykany, pełen sensu wzór.

Puściłem go. Sens się zatracił. Przed sobą miałem tylko światło i wielką radość kobiet, które wreszcie zostały wybawione dzięki cudowi. Salę zaległa cisza; z dala napływał tylko monotony huk morza.

Wtedy przemówiła Akasza:

- Teraz grzechy mężczyzn zostały odkupione, a tych, którzy nadal są uwięzieni, otoczymy dobrą opieką i miłością. Nigdy jednak nie dajcie wolności tym, którzy pozostali, tym, którzy was uciskali.

Bez dźwięku, bez słów, chłonęły naukę.

Szalejące pożądanie, którego były świadkami, śmierć, którą przyniosłem - to wieczne przypomnienie zapalczywości żywej we wszystkich samcach, której nie można uwolnić.

Mężczyźni zostali złożeni na ofiarę ucieleśnieniu własnej przemocy. Te kobiety były świadkami nowego i wszechogarniającego rytuału, nowej świętej ofiary mszalnej. Ujrzą ją jeszcze nie raz i nic wolno im jej zapomnieć.

W głowie wirowało mi od tego paradoksu. Moje niepoważne plany przysparzały mi udreki.

Jeszcze nie tak dawno chciałem, by świat śmiertelnych dowiedział się o mnie. Chciałem być wizerunkiem zła w teatrze świata i przez to czynić dobro.

A jakże, stałem się tym wizerunkiem, byłem jego dosłownym ucieleśnieniem, znajdującym przypisane sobie miejsce w mitologii tych kilku prostych duszyczek, tak jak ona obiecała. A cichy głosik szeptał mi do ucha, dręczył mnie tym starym powiedzeniem: uważaj, o co prosisz, bo jeszcze to dostaniesz.

Tak, tak właśnie było: wszystko, o czym kiedykolwiek zamarzyłem, stawało się ciałem. W

świątyni ucałowałem ją i marzyłem o tym, żeby ją obudzić, marzyłem o jej mocy; teraz staliśmy oboje, ona i ja, a wokół nas rozlegały się hymny i okrzyki radości. Hosanna!

Drzwi pałacu rozwarły się na oścież. Odchodziliśmy; unosiliśmy się w chwale i czarodziejsko mijaliśmy drzwi, wzbijaliśmy się ponad dach starej rezydencji, a potem nad rozmigotane wody.

w cichy gwiazdny przestwór.

Nie lękałem się już upadku, nie lękałem się niczego tak mało znaczącego. Dusza moja bowiem - marna jak zawsze - poznała lęk, jakiego nigdy sobie nie wyobrażała.

Rozdział szósty

Rzecz o bliźniaczkach (II)

Śniła o zabijaniu. To było wielkie mroczne miasto takie jak Londyn albo Rzym, a ona przemierzała je pośpiesznie, szukając ofiary, pierwszej ludzkiej słodkiej ofiary, którą zabije i która będzie tylko jej. Zanim otworzyła oczy, zwinnym skokiem pokonała przestrzeń w sobie, dzielącą wszystko, w co wierzyła, od tego prostego amoralnego czynu - zabijania. Zrobiła to na modłę gadów, które wciągając myszkę w bezwargi pysk i miażdżąc ją powoli, nie zwracają uwagi na cichą, łamiącą serce piosnkę agonii.

Ocknęła się w ciemności; dom żył na górnych piętrach; starsi wzywali: - Przybądź. - Gdzieś był

włączony telewizor. Błogosławiona Dziewica Maryja objawiła się na wysepce na Morzu Śródziemnym.

Nie czuła żadnego głodu. Krew Maharet była zbyt silna, jednak myśl o zabijaniu rosła, przyzywała ją do czynu jak wiedźma w ciemnym zaułku. Zabij!

Podniosła się z wąskiego pudła, w którym leżała, szła na palcach przez czerń, aż wymacała dłonią metalowe drzwi. Wyszła na korytarza i spojrzała na nie kończącą się spiralę żelaznych stopni, przypominającą szkielet. W górze przez świetlik dojrzała niebo. Wyglądało jak dym.

Mael był w połowie drogi, przy drzwiach do właściwego domu, i patrzył na nią z wysokości.

Zawirowano jej w głowie na myśl, że jest jedną z nich i że są razem. Poczula pod dłonią żelazną poręcz, a w sercu nagły i smutek, przelotny żal za wszystkim, czym była, zanim tamten piękny zapaleniec złapał ją za włosy.

Mael zbiegł na dół, jakby chciał ją ratować, gdyż myśli i wspomnienia unosiły ją poza to miejsce i ten czas. Oni rozumieli niezawodnie, że czuła oddech ziemi, śpiew lasu, dotyk i korzeni pełzających w ciemności poprzez ściany.

Wpatrywała się w Maela. Lekko pachniał skórą z jelenia i kurzem. Jak mogła kiedykolwiek pomyśleć, że ta istota jest człowiekiem? Przecież jego oczy tak migocą. A jednak przyjdzie czas, kiedy znów będzie chodziła pomiędzy ludźmi, poczuje na sobie przeciągłe spojrzenia uciekające w bok. Będzie pokonywała pośpiesznie jakieś mroczne miasto, takie jak Londyn lub Rzym.

Zaglądając w oczy Maela, znów ujrzała tamtą wiedźmę z zaułka, ale to nie była dokładna wizja.

Nie, ujrzała zaułek i czyste zabijanie; oboje odwrócili wzrok w tej samej chwili, ale niespiesznie, raczej z szacunkiem. Wziął ją za rękę i popatrzył na bransoletę, którą od niego dostała. Nagle pocałował ją w policzek, a potem poprowadził ją po schodach do pomieszczenia w szczycie góry.

Głosy z telewizora coraz głośniejsze mówiły o zbiorowej hysterii na Sri Lance. Kobiety zabijają mężczyzn. Mordowano nawet noworodki płci męskiej. Na wyspie Lynkonos doszło do masowej halucynacji i niewytłumaczalnej śmiertelnej epidemii.

Nie od razu dotarło do niej, co słyszy. Więc to nie była błogosławiona Dziewica Maryja. W

pierwszym odruchu pomyślała, jak to cudownie, że mogą wierzyć w coś takiego. Odwróciła się do Maela, ale on patrzył wprost przed siebie. To nie była dla niego nowość. Wiadomości telewizyjne docierały do niego od godziny.

Kiedy weszła do sali, ujrzała niesamowite, migające światło. Jej nowi pobratymcy, członkowie Tajnego Zakonu Nieumarłych, wpatrywali się nieruchomo w wielki ekran, rozrzucony po sali jak posągi.

- ...zamieszki w przeszłości, wywołane skażeniem pokarmów lub wody. Jak do tej pory nie znaleziono dostatecznego wyjaśnienia doniesień z bardzo odległych miejsc, w tym ostatnio z kilku samotnych wiosek w górach Nepalu. Zatrzymane twierdzą, że widziały piękną kobietę zwaną na przemian Błogosławioną Dziewicą, Królową Niebios albo po prostu boginią, która rozkazała im dokonać masakry wszystkich mężczyzn w wiosce, poza kilkoma starannie wybranymi osobami. Niektóre doniesienia wspominają również o zjawie płci męskiej, jasnowłosym bogu, którego tytułu ani imienia jak dotąd nie znamy...

Jesse spojrzała na Maharet, która bez emocji przyglądała się obrazowi telewizyjnemu, trzymając dłoń na oparciu fotela.

Na stole leżały gazety w języku francuskim, angielskim i w hindi.

- ...z Lynkonos na kilka innych wysepek, zanim wezwano gwardię narodową. Szacuje się, że na tym

małym archipelagu tuż przy wybrzeżu Grecji zabito około dwóch tysięcy mężczyzn.

Maharet dotknęła małego czarnego pilota i ekran znikł. Wydawało się, że cała aparatura znikła w ciemnym lesie, kiedy ukazały się okna, a za nimi nie kończące się szeregi czubków drzew na tle wzburzonego nieba. W oddali migwały światła Santa i Rosa otulone mrocznymi wzgórzami. Czują zapach słońca, które jeszcze niedawno gościło w tej sali, czują żar odchodzący powoli i przez szklany sufit.

Popatrzyła na pozostałych, siedzących w milczeniu, oszołomionych. Mariusz wbijał gniewny wzrok w ekran i w rozrzucone przed sobą gazety.

- Nie mamy czasu do stracenia - szybko powiedział Khayman do Maharet. - Musisz kontynuować opowieść. Nie wiemy, kiedy ona się tu zjawi.

Wykonał drobny gest i rozrzucone gazety znikły nagle w ogniu, który pożarł je z wirem iskier wznoszącym się ku paszczy okapu.

Jesse nagle poczuła zawrót głowy. To wszystko działo się za szybko. Patrzyła na Khaymana.

Czy kiedyś do tego przywyknie? Do tych porcelanowych twarzy, gwałtownych grymasów, przyciszonych ludzkich głosów i prawie niewidzialnych ruchów?

Co robiła Matka? Mordowała mężczyzn. Materia życia tamtych prostych ludzi została rozdarta i nigdy już nie uda się jej zeszyć. Poczwała dotknięcie lodowatego zagrożenia. Szukała w twarzy Maharet jakiejś wiedzy, wskazówki.

Maharet powoli zasiadła za stołem i złożyła ręce pod brodą. Jej twarz była zeszywniała, a oczy pozbawione wyrazu.

- Prawdę mówiąc, trzeba ją zniszczyć - rzekł Mariusz, jakby nie mógł dłużej tego wytrzymać.

Rumieńce zapłonęły mu na policzkach, co poruszyło Jesse, ponieważ na chwilę jego twarz przybrała normalny ludzki wyraz. Poblądł i widać było, że trzęsie się z gniewu. - Uwolniliśmy potwora i naszym obowiązkiem jest go powstrzymać.

- Jak tego dokonać? - zapytał Santino. - Mówisz, jakby wystarczyło tylko podjąć decyzję! Nie możesz jej zabić!

- Postradamy życie, oto, jak tego dokonamy - odparł Mariusz. - Będziemy działać wspólnie i zakończymy tę sprawę raz na zawsze, tak jak powinna się zakończyć dawno temu. - Popatrzył

kolejno na nich wszystkich, dłużej zatrzymując wzrok na Jesse. Później spojrział na Maharet. - To ciało nie jest niezniszczalne. Nie jest z marmuru. Można je przekłuć, przeciąć. Przekłułem je zębami. Piłem z niego krew!

Maharet zbyła te słowa drobnym gestem, jakby mówiła, że wie o tym i on wie, że ona to wie.

- Jeśli ją zniszczymy, zniszczymy siebie? - odezwał się Eryk. - Wynośmy się stąd. Ukryjmy się przed nią. Co zyskujemy, zostając w tym domu?

- Nie! - powiedziała Maharet.

- Jeśli tak postąpiacie, ona zabije was jednego po drugim - rzekł Khayman. - Żyjecie, bo teraz czekacie na jej ruch.

- Mogłabyś kontynuować opowieść? - zapytała Gabriela. Przez cały czas była nieobecna duchem, tylko od czasu do czasu słuchając innych. - Chcę poznać całą prawdę. Chcę usłyszeć wszystko. - Pochyliła się do przodu, składając ramiona na stole.

- Myślisz, że w tych starych opowiastkach znajdziesz jakiś sposób, który sprawi, że ona zniknie?

- spytał Eryk. - Jesteś szalona, jeśli tak myślisz.

- Opowiadaj dalej, proszę - powiedział Louis. - Chcę... - zawahał się. - Ja też chcę wiedzieć, co się stało.

- Mów dalej, Maharet - rzekł Khayman. - Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Matka zostanie zniszczona i oboje wiemy, jak do tego dojdzie, więc całe to gadanie nic nie znaczy.

- Cóż teraz znaczy przepowiednia, Khaymanie? - spytała Maharet słabym, pozbawionym życia głosem. - Czy zaczynamy popełniać te same błędy co Matka? Przeszłość może nas pouczyć, ale nie uratować.

- Twoja siostra przybywa, Maharet. Przybywa tak jak zapowiedziała.

- Khaymanie. - Maharet posłała mu długi gorzki uśmiech.

- Opowiedz nam, co się wydarzyło - poprosiła Gabriela.

Maharet siedziała bez ruchu, jakby nie wiedziała, jak rozpocząć opowieść. Niebo za oknem stopniowo ciemniało. Na dalekim zachodzie pojawił się jednak skrawek czerwieni, coraz jaśniejszy na tle szarych chmur. Gdy wreszcie zbladł, otuliła ich ciemność; światło padało tylko z paleniska, a matowy poblask upodobił do zwierciadła panoramiczne okno.

- Khayman zabrał was do Egiptu - przypomniała Gabriela. - Co tam zastałyście?

- Tak, zabrał nas do Egiptu. - Maharet westchnęła, siadając wygodniej w fotelu, wpatrzona w blat stołu. - Nie było innego wyjścia; Khayman zabrałby nas siłą. Prawdę powiedziawszy, zaakceptowałyśmy to, że musimy z nim odejść. Przez dwadzieścia pokoleń krążyłyśmy między światami duchów i ludzi. Jeśli Amel dokonał jakiegoś wielkiego zła, byliśmy gotowe to naprawić lub przynajmniej - jak powiedziałam, kiedy zasiedliśmy przy tym stole - byliśmy gotowe spróbować to zrozumieć.

Zostawiłam moje dziecię. Powierzyłam je opiece najbardziej zaufanej pasterki. Ucałowałam je.

Opowiedziałam jej nasze tajemnice i wyruszyliśmy, niesione w królewskiej lektyce, jakbyśmy byli gośćmi króla i królowej Kemetu, a nie więźniarkami, jak poprzednio.

Khayman traktował nas łagodnie, ale był ponury i milczący. Odpowiadało nam to, nie zapomnieliśmy bowiem naszej krzywdy. Ostatniej nocy, kiedy obozowaliśmy nad brzegiem wielkiej rzeki, którą mieliśmy przekroczyć z rana, by dotrzeć do królewskiego pałacu, Khayman wezwał nas do swojego namiotu i opowiedział o wszystkim, co wiedział.

Jego zachowanie było uprzejme, przyzwoite. Słuchając go, starałyśmy się zapomnieć o naszej osobistej urazie. Opowiedział nam, co demon - tak go nazywał - uczynił.

Nie minęło kilka godzin od wydalenia nas z Egiptu, a zdał sobie sprawę, że coś go obserwuje, jakaś mroczna i zła moc. Wszędzie, gdzie się udawał, czuł jej obecność, chociaż w świetle dnia słabła.

Następnie w jego domu zaczęły zachodzić zmiany - drobne zmiany, których inni nie zauważali.

Początkowo myślał, że traci zmysły. Znikały przybory do pisania, a potem jego pieczęć wielkiego zarządcy. Następnie wtedy, kiedy był sam, te przedmioty fruwały w jego kierunku, trafiając go w twarz albo lądując u jego stóp. Niektóre odnajdywały się w najdziwniejszych miejscach. Na przykład znajdował wielką pieczęć w piwie lub rosole.

Nie śmiał opowiedzieć o tym królowi ani królowej. Wiedział, że to sprawka naszych duchów i takie doniesienie równałoby się z wydaniem wyroku na nas. A kiedy tak ukrywał tę okropną tajemnicę, działo się coraz gorzej i gorzej. Ozdoby, które uwielbiał od dzieciństwa, były rozrywane na kawałki i ciskane w niego z sufitu. Święte amulety wpadały do klozetu, a ekskrementy z kloaki były rozsmarowywane po ścianach.

Ledwo mógł wytrzymać we własnym domu, ale mimo to nakazał niewolnikom milczenie. Kiedy uciekli ze strachu, sam czyścił toaletę i sprzątał dom.

Żył ogarnięty grozą. Coś przebywało w domu razem z nim. Słyszał i czuł obcy oddech na swojej twarzy i przysięgłby, że czuje dotyk zębów ostrych jak igły.

W końcu, zrozpaczony, zaczął mówić do tego czegoś, błagać, żeby sobie poszło. Chyba jednak wznagało to tylko siły tej istoty. Kiedy się do niej mówiło, jej moc ulegała podwojeniu.

Rozsypała zawartość jego mieszka na kamiennej posadzce i brzęczała złotymi monetami przez całą noc. Podrzucała łóżkiem, tak że wylądował twarzą na podłodze. Kiedy nie patrzył, obsypała mu nogi piaskiem.

Minęło pół roku, od kiedy opuściliśmy królestwo. Khaymana ogarniał obłęd. Być może niebezpieczeństwo już nam nie groziło, ale nie mógł być tego pewien i nie wiedział, do kogo się zwrócić, a tamten duch naprawdę go przerażał.

Kiedyś w najczarniejszej godzinie nocy, kiedy leżał, zastanawiając się, co też knuje owo stworzenie, było bowiem cicho i spokojnie, nagle usłyszał wielki łomot do drzwi. Ogarnęła go groza. Wiedział, że nie powinien otwierać, że to walenie nie może być sprawą ludzkiej dłoni, lecz wreszcie nie

wytrzymał. Odmówił modlitwy i otworzył szeroko drzwi. Ujrzał koszmar nad koszmarami - zgniłą mumię ojca, owiniętą w brudne postrzępione bandaże, opartą o ścianę ogrodu.

Oczywiście wiedział, że w pomarszczonej twarzy i w martwych oczach nie ma życia. Ktoś lub coś wydobyło nieboszczyka z pustynnej mastaby. To było ciało jego ojca, zgniłe, cuchnące; ciało, które, jak nakazywały wszystkie święte przykazania, powinno być spożyte przez Khaymana i jego rodzeństwo podczas tradycyjnej stypy.

Osunął się na kolana, łkając i zawodząc. Wtedy mumia się poruszyła! Zaczęła tańczyć!

Wywijiała kończynami bez ładu i składu, rozrywając bandaże na strzępy, aż Khayman wbiegł do domu, zamykając za sobą drzwi. Trup dopadł ich, tłukąc pięściami i żądając, aby wpuszczono go do środka.

Khayman wzywał wszystkich bogów Egiptu, by wybawili go od tej potworności. Wezwał straż pałacową i żołnierzy króla. Przeklinał demona i rozkazywał mu, by go opuścił. Rozwścieczony, sam ciskał przedmiotami i kopał na wszystkie strony złote monety.

Cały pałac zbiegł się do domu Khaymana, ale wydawało się, że demon jeszcze wzrósł w siłę.

Okiennice zaskrzypiały i zostały wydarte z zawiasów, a eleganckie meble Khaymana zaczęły podskakiwać.

To był tylko początek. O świcie, kiedy kapłani weszli do domu, żeby odprawić egzorcyzmy, naciągnął wielki wiatr z pustyni, przynosząc oślepiające tumany piasku. Gdzie tylko Khayman się ruszył, wiatr podążał za nim. Ujrzał na swych ramionach mnóstwo drobnych nakłuc i kropelek krwi. Nawet powieki miał poranione. Wcisnął się do szafy, szukając spokoju. Kiedy to coś rozwalilo szafę, wszyscy uciekli, a Khayman pozostał płaczący na podłodze.

Burza trwała przez następne dni. Im więcej energii kapłani wkładali w modlitwy i pieśni, tym większe było szaleństwo demona.

Król i królowa byli przerażeni. Kapłani wyklęli demona. Lud obwiniał o wszystko rude czarownice. Rozległy się wołania, że nie wolno było pozwolić im opuścić Kemet. Powinno się odszukać je za wszelką cenę, sprowadzić z powrotem i spalić. Wtedy demon się uspokoił.

Dostojne rodziny nie zgadzały się z tym werdyktem. Według nich wszystko było oczywiste.

Czyż bogowie nie wydobyli spod ziemi gnijącego trupa ojca Khaymana, aby pokazać, że zjadacze ciał zawsze robili to, co podobało się niebiosom? Nie, to król i królowa są źli, to oni muszą umrzeć. Król i królowa, którzy zapełnili tę krainę mumiarami i przesadami.

Królestwu groziła wojna domowa.

W końcu sam król przybył do Khaymana, który siedział w domu, łkając, naciągnąwszy na głowę ubranie jak śmiertelny całun. Drobne ukłucia wciąż go dręczyły, a na jego koszuli pojawiały się wciąż nowe krople krwi.

„Pomyśl o tym, co powiedziały nam tamte czarownice - rzekł król. - To tylko duchy, nie demony. Można przemówić im do rozsądku. Gdyby tylko mogły mnie słyszeć, jak słyszały czarownice, i gdybym tylko potrafił zmusić je do odpowiedzi”.

To jeszcze bardziej rozwścieczyło demona. Potłukł resztę mebli, wyjął drzwi z zawiasów, wyrwał z ziemi drzewa rosnące w ogrodzie i porozrzucał je wokół. Chyba całkowicie zapomniał

o Khaymanie, kiedy szalał w pałacowym ogrodzie, niszcząc, co popadło.

Król szedł za nim, błagając, by zwrócił na niego uwagę, porozmawiał z nim i zdradził swoje tajemnice. Stał w samym środku powietrznej trąby, wyzbyty lęku i ogarnięty zachwytem.

Wreszcie przybyła królowa. Krzycząc przenikliwie, też zwróciła się do demona.

„Karzesz nas za to, co spotkało rude siostry! Dlaczego nie służysz nam, zamiast im!”

Demon od razu potargał na niej szaty i poranił ją, jak wcześniej Khaymana. Usiłowała zakryć twarz i ramiona, ale to było niemożliwe, więc król złapał ją za rękę i pobiegli z powrotem do domu Khaymana.

„Odejdź - rzekł do niego król. - Zostaw nas samych z tym stworem, może wtedy otworzy się przede mną i powie mi, czego chce”. Wezwawszy do siebie kapłanów, powiedział im z wnętrza trąby powietrznej to, co myśmy powiedziały - że ten duch nie cierpi rodzaju ludzkiego, bo mamy zarówno duszę jak i ciało. On jednak go usidli, sprowadzi na dobrą drogę i zapanuje nad nim.

Jest bowiem Enkilem, królem Kemetu, i potrafi tego dokonać.

Król i królowa weszli do domu Khaymana, a za nimi czyniący spustoszenie demon. Khayman, uwolniony od stwora, leżał wyczerpany na pałacowej podłodze, lękając się o swoich władców, ale nie wiedząc, co ma czynić.

Na dworze zapanowała wrzawa; mężczyźni bili się ze sobą, kobiety płakały, a niektórzy nawet opuścili pałac, lękając się tego, co miało się wydarzyć.

Przez dwie noce i dwa dni król wraz z królową przestawali z demonem. Dostojne rodziny zjadaczy ciał zebrały się przed domem Khaymana i orzekły, że król z królową mylą się i czas wziąć przyszłość Kemetu w swoje ręce. Kiedy zapadła ciemność, weszli do domu z morderczym celem, wnosząc sztylety. Mieli zamiar zabić króla i królową, a potem powiedzieć, że to sprawka demona. Kto mógłby im zaprzeczyć? Może demon się uspokoi, kiedy król i królowa będą martwi, oni, którzy prześladowali rudowłose czarownice?

Królowa dostrzegła ich pierwsza, a gdy rzuciła się przed siebie, wnosząc ostrzegawczy krzyk, zagłębili sztylety w jej piersi. Osunęła się na podłogę, wyzionawszy ducha. Król biegnąc jej z pomocą, też został zakłuty, równie bezlitośnie. Demon jednak nie zaprzestał swych prześladowań.

Tymczasem Khayman klęczał na skraju ogrodu, porzucony przez strażę, które przyłączyły się do zjadaczy ciał. Spodziewał się, że umrze wraz z resztą królewskiej służby. Wtem usłyszał

straszliwy krzyk królowej, odgłosy, jakich nigdy wcześniej nie słyszał. Kiedy zjadacze ciała

usłyszeli te dźwięki, w popłochu opuścili pałac.

Khayman, wierny rządcą króla i królowej, porwał pochodnię i ruszył im na pomoc. Nikt nie usiłował go zatrzymać. Wszyscy cofnęli się w lęku. Khayman wszedł do domu sam. W świetle pochodni ujrzał królową leżącą na podłodze, wijącą się jak w agonii, broczącą krwią z ran, całą spowitą wielką czerwoną chmurą. Wyglądało to tak, jakby otoczyła ją trąba powietrzna zbierająca niezliczone kropelki krwi. Królowa wiała się i obracała w środku tego wiru, dziko tocząc oczyma. Król leżał nieruchomo.

Przecucie podpowiadało Khaymanowi, że ma opuścić to pomieszczenie i odejść jak najdalej. W

tamtej chwili pragnął na zawsze opuścić ziemię ojców. Ale przecież przed nim leżała jego królowa, wygięta w łuk, łapiąc ustami powietrze, drapiąc paznokciami podłogę.

Wtem wielka krwawa chmura, która ją otulała, nabrzmiewając i kurcząc się, stężała i znikła, jakby wessana przez rany. Królowa zastygła, a potem powoli usiadła z szeroko otwartymi oczami. Wydała straszliwy charkot i zamilkła.

Kiedy wpatrywała się w Khaymana, nie było słychać nic oprócz trzasku pochodni. Potem królowa znów zaczęła gwałtownie łapać powietrze i wydawało się, że umrze. To jednak nie nastąpiło. Osłoniła oczy przed jasnym światłem pochodni, jakby sprawiało jej ból, i wtedy spojrzała na małżonka, który leżał u jej boku jak nieżywy.

„Nie! To niemożliwe” - krzyknęła w bólu i w męce. W tej samej chwili Khayman dostrzegł, że wszystkie jej rany goją się, pozostawiając ślady nie większe od zadrapań.

„Wasza Królewska Mość” - zawołał, zbliżając się do niej. Szlochając, patrzyła na swoje ramiona, jeszcze niedawno poranione, na piersi, znów całe. Kwiliła żałośnie, patrząc na gojące się rany. Nagle rozerwała sobie skórę długimi paznokciami. Trysnęła krew, ale rany się zagoiły!

„Khaymanie, mój Khaymanie - krzyknęła, zakrywając oczy, żeby nie widzieć jasnej pochodni. -

Co mnie spotkało!” Wołała coraz głośniejsze i ogarnięta paniką rzuciła się na króla, wykrzykując:

„Enkilu, pomóż mi. Enkilu, nie umieraj!” i inne szalone słowa, których używamy, kiedy dopada nas nieszczęście. Kiedy wpatrywała się w króla, zaszła w niej upiorna zmiana. Skoczyła na niego, jakby była głodną bestią, i długim, językiem chleptała krew, którą spływało jego gardło i tors.

Khayman nigdy nie był świadkiem czegoś podobnego. Miał przed sobą pustynną lwicę chlepczącą krew delikatnego kozłęcia. Wygięta grzbietem w łuk, podwinęła kolana, zagarnęła pod siebie bezbronne ciało króla i przegryzła mu arterię na szyi.

Khayman rzucił pochodnię, wycofując się ku otwartym drzwiom. Gdy był już gotów do ucieczki, usłyszał głos króla.

„Akasza. Moja Akasza” - przemówił łagodnie, a ona prostowała się, drżąca, rozszlochana, wpatrzona w jego ciało i w swoje, w swoją gładką skórę i w jego rany.

„Khaymanie - zawołała. - Daj mi twój sztylet, oni bowiem zabrali ze sobą broń. Sztylet. Muszę go mieć”.

Khayman posłuchał od razu, chociaż sądził, że zaraz zobaczy, jak jego król ginie. Jednak królowa przecięła sztyletem swoje nadgarstki, a gdy jej krew spłynęła na rany męża, zagoiły się.

Wtedy Akasza, wydawszy wielki okrzyk podniecenia, rozsmarowała krew na całej jego zmasakrowanej twarzy.

Rany króla goiły się. Khayman widział to na własne oczy. Widział, jak scala się poszarpane żywe mięso. Król rzucał się, tłukąc rękami. Zlizywał z twarzy spływającą krew Akaszy. Po czym przybrał taką samą jak ona zwierzęcą postawę i objawszy żonę, przywarł ustami do jej szyi.

Khayman miał dosyć. W migotliwym świetle dogasającej pochodni dwie białe postaci rysowały się jak widziadła, same zamienione w upiory. Wycofywał się z domku, aż dobiegł do ściany ogrodu. Tam chyba stracił przytomność, bo ostatnim jego wspomnieniem był dotyk trawy na twarzy.

Gdy się ocknął, leżał na złoconej kanapie w komnatach królowej. W całym pałacu zalegała cisza. Zobaczył, że ma na sobie nowe ubranie, że jego twarz i dłonie są obmyte, pokój rozjaśnia słabe światło i palą się wonności, a drzwi do ogrodu są szeroko otwarte, jakby nie było czego się bać.

Następnie w cieniach ujrzał króla i królową. Przyglądali mu się. Nie był to już jednak jego król ani jego królowa. Wtedy chyba zaczął krzyczeć, wydał z siebie wrzask tak straszliwy, jaki usłyszał z ust innych, ale królowa go uspokoiła.

„Khaymanie, mój Khaymanie - rzekła. Wręczyła mu jego piękny sztylet ze złotą rękojeścią. -

Dobrze się nam przysłużyłeś”.

Khayman przerwał swoją opowieść.

„Jutro wieczór - rzekł - kiedy słońce zajdzie, ujrzycie na własne oczy, co się wydarzyło. Wtedy bowiem i tylko wtedy, kiedy wszelkie światło znika z nieba po zachodniej stronie, oni pojawiają się w pałacowych pokojach. Wtedy ujrzycie to, co ja ujrzałem”.

„Dlaczego tylko nocą? - spytałam. - Dlaczego pora jest tak ważna?”

Wtedy opowiedział nam, że w niecałą godzinę po tym, jak się obudził, jeszcze zanim słońce wstało, tamci zaczęli cofać się od otwartych drzwi pałacu, krzycząc, że oczy bolą ich od światła.

Już wcześniej uciekali przed pochodniami i lampami, a teraz wyglądało na to, że poranek jest im wrogiem i nie było miejsca w pałacu, w którym mogliby się ukryć.

Po kryjomu opuścili pałac, okryci od stóp do głów. Biegli tak szybko, że nie dorównałby im żaden

śmiertelnik. Zmierzali ku grobowcom dostojnych rodzin, ku świętym zakątkom, których nikt by nie zbezczęścił. Podążali tak szybko, że Khayman nie potrafił dotrzymać im kroku. Król raz się zatrzymał, zanosząc do boga słońca, Ra, błaganie o litość. Następnie, łkając i kryjąc oczy przed słońcem, jakby ich paliło, mimo że światło ledwo pojawiło się na niebie, król i królowa znikli Khaymanowi z oczu.

„Ani razu nie zjawili się przed zachodem słońca; przybywają ze świętego cmentarza, chociaż nikt nie wie, skąd dokładnie. Ludzie witają ich tłumnie, okrzykując bogiem i boginią, wizerunkiem Ozyrysa i Izydy, bóstwami księżyca; rozsypują przed nimi kwiaty i biją im pokłony.

Daleko bowiem rozeszła się wieść, że król i królowa jakąś niebiańską mocą uniknęli śmierci z dłoni wrogów; są bogami, nieśmiertelnymi i niezwyciężonymi, a dzięki tej samej mocy potrafią czytać w ludzkich sercach. Nie ukryje się przed nimi żadna tajemnica; ich wrogowie są natychmiast pogiębieni; słyszą słowa, które ktoś wypowiada tylko w myślach. Wszyscy się ich lękają.

Wiem jednak, jak wiedzą to wszyscy ich wierni słudzy, że nie mogą znieść bliskości świecy ani lampy, że krzyczą przeraźliwie na widok jasnego światła łuczywa, a kiedy dokonują w tajemnicy egzekucji swoich wrogów, piją ich krew! Pijają, mówię wam. Jak drapieżne koty karmią się swoimi ofiarami, a ich komnata wygląda jak jaskinia lwów. A ja, Khayman, ich wierny sługa, muszę zbierać te ciała”. Khayman przerwał i zaniósł się płaczem.

To był koniec opowieści. Słońce wstawało już nad wschodnimi górami, a my przygotowaliśmy się do przeprawy przez Nil. Khayman podszedł do brzegu rzeki, kiedy pierwsza barka z żołnierzami ruszyła na drugą stronę. Nadal łkał, kiedy słońce odbiło się w rzece i woda jakby zajęła się ogniem.

„Bóg słońca, Ra, jest najstarszym i największym bogiem w całym Kemecie - szepnął. - Ten bóg obrócił się przeciwko nam. Dlaczego? W tajemnicy łkają nad swoim losem; pragnienie doprowadza ich do obłędu; lękają się, że nie uniosą jego ciężaru. Musicie ich uratować. Musicie zrobić to dla naszego ludu. Nie posłali po was, aby was oskarżać albo skrzywdzić. Potrzebują was. Jesteście potężnymi czarownicami. Sprawcie, aby duch cofnął to, co uczynił”. Potem, patrząc na nas i wspominając wszystko, co na nas spadło, dał wyraz swej rozpacz.

Nie odpowiedziałyśmy. Barka była już gotowa, by zawieźć nas do pałacu. Patrzyłyśmy na zalane słońcem fale, na wielkie zbiorowisko malowanych budynków tworzące królewskie miasto i zastanawiałyśmy się, co wyniknie z tego koszmaru.

Wychodząc z łodzi, pomyślałam o swoim dziecku i nagle zrozumiałam, że w Kemecie czeka mnie śmierć. Chciałam zamknąć oczy i po cichutku zapytać duchy, czy to naprawdę się wydarzy, ale zabrakło mi odwagi. Nie chciałam pozbywać się resztki nadziei.

* * *

Maharet zeszywniała.

Jesse widziała, jak palce jej prawej dłoni poruszają się na blacie, kurcząc i rozprostowując.

Pomalowane na złoto paznokcie lśniły w świetle paleniska.

- Nie chcę, żebyście się bali - rzekła. Jej głos stał się monotony. - Powinniście jednak wiedzieć, że Matka przebyła wielkie wschodnie morze. Ona i Lestat są coraz bliżej...

Jesse poczuła, jak wszystkich zgromadzonych przenika dreszcz trwogi. Maharet, wciąż spięta, nasłuchiwała, a być może w coś się wpatrywała, lekko ruszając źrenicami.

- Lestat woła - powiedziała. - Ale jego krzyk jest zbyt słaby, abym mogła usłyszeć słowa; zbyt słaby, aby ujrzeć obrazy. Jednakże nie stała mu się krzywda, tyle wiem i to, że mam niewiele czasu, aby skończyć tę opowieść...

Rozdział siódmy

Opowieść Lestata - Królestwo Niebios

Karaiby. Haiti. Ogród Boga.

Stałem na wzgórzu zalanym światłem księżyca i usiłowałem nie widzieć tego raj. Usiłowałem wyobrazić sobie tych, których kochałem. Czy wciąż są razem w tamtym bajkowym lesie gigantycznych drzew, w którym widziałem moją spacerującą matkę? Gdybym mógł ujrzeć ich twarze albo usłyszeć ich głosy. Mariuszu, nie bądź gniewnym ojcem. Pomóż mi! Pomóż nam wszystkim! Nie poddaję się, ale przegrywam. Przegrywam moją duszę i mój umysł. Moje serce już nie jest moje. Należy do niej.

Oni byli jednak poza moim zasięgiem; dzieliło nas wiele kilometrów; nie miałem tyle mocy, aby pokonać ów dystans.

Patrzyłem więc na jasnozielone wzgórza, pełne małych gospodarstw, na świat z książeczki z obrazkami, na zatrzęsienie kwitnących kwiatów i czerwonych poinsecji wysokich jak drzewa.

Wiecznie zmieniające swój kształt chmury unosiły się w porywistym wietrze jak wysokie żaglowce. Co myśleli pierwsi Europejczycy, kiedy patrzyli na ten żyzny kraj otoczony rozmigotanym morzem? Że to Ogród Boga?

Pomyśleć, że przynieśli tu śmierć, że tubylcy wyginęli w ciągu kilku krótkich lat, zniszczeni niewolnictwem, chorobami i nie kończącymi się okrucieństwami. Nikt nie przetrwał spośród tych pokojowo usposobionych istot, które wdychały balsamiczne powietrze, zrywały owoce z drzew kwitnących przez cały rok i być może uznały swoich gości za bogów, którzy nie mogą nie odpowiedzieć uprzejmością na ich serdeczność.

Poniżej, na ulicach Port-au-Prince, trwają zamieszki, i to nie z naszej przyczyny. Takie są dzieje tego krwawego miejsca, gdzie przemoc kwitła przez czterysta lat, jak kwitną kwiaty; chociaż obraz wzgórz wznoszących się we mgle kruszył serce.

Wykonaliśmy naszą robotę; ona - ponieważ zrobiła, co chciała, ja - ponieważ nie zrobiłem nic, by ją powstrzymać. Przeprowadziła swój plan w miasteczkach rozrzuconych wzdłuż krętej drogi prowadzącej na zalesiony szczyt. Miasteczka z pastelowymi domkami, dzikimi bananowcami i ludźmi tak biednymi, tak głodnymi. Kobiety wciąż śpiewały hymny i grzebały zmarłych przy świetle świec i

w blasku łuny padającej z płonącego kościoła.

Byliśmy sami. W oddali widać było koniec wąskiej drogi; las ukrywał ruiny starego domu, który kiedyś panował nad okolicą jak cytadela. Minęły wieki od chwili, gdy odjechali stąd plantatorzy; całe wieki temu tańczyli tu, śpiewali i pili wino w tych zniszczonych już pomieszczeniach, podczas gdy niewolnicy płakali.

Na ceglany mur wspięła się bugenwilla łącząca swój blask ze światłem księżyca. Z wyłożonego kamieniami dziedzińca wzrosło wielkie drzewo obwieszone pnączami, wypychając powykręcany konarami ostatnie resztki starych belek, które niegdyś podtrzymywały dach.

Ach, być tu z nią na wieczność. Reszta niech ulegnie zapomnieniu. Koniec śmierci, koniec zabijania.

- To Królestwo Niebios - powiedziała, wzdychając.

Poniżej w małej osadzie bosa kobiety goniły mężczyzn, ściskając pałki w dłoniach. Kapłan wudu wykrzykiwał stare przekleństwa, kiedy złapały go na cmentarzu. Opuściłem miejsce rzezi i samotnie wspiąłem się na górę. Nie mogłem już dłużej być świadkiem tych wydarzeń.

Ona przybyła tu za mną, znalazła mnie wśród ruin, poszukującego czegoś, co rozumiałem. Stara żelazna brama, zardzewiały dzwon, ceglane kolumny zarośnięte bluszczem; owoce pracy rąk, które przetrwały. Och, jakże mnie wydrwiła.

Ten dzwon wzywał niewolników, powiedziała; to siedziba ludzi, którzy nasączyli tę ziemię krwią; czemu hymny prostych wniebowziętych ludzi zraniły mnie i przeraziły? Przecież każdy taki dom musi popaść w ruinę. Kłóciliśmy się. Walczyliśmy, jak to kochankowie.

- Czy tego chcesz? - powiedziała. - Nigdy więcej nie skosztować krwi?

- To było proste, niebezpieczne, ale proste. Robiłem to, żeby utrzymać się przy życiu.

- Och, zasmucasz mnie. Jak ty kłamiesz. Jak kłamiesz. Co muszę zrobić, żebyś przejrzał na oczy? Jesteś tak ślepy, tak egoistyczny!

Znów ujrzałem na jej twarzy przebłysk bólu, nagłe cierpienie, które całkowicie ją ucłowieczyło.

Wyciągnąłem do niej ręce.

Godziny spędziliśmy w uścisku, tak mi się przynajmniej wydawało.

Wokół panowała już cisza i spokój; cofnąłem się od skalnej krawędzi i znów objąłem Akaszę.

Kiedy patrzyła na wielkie chmury górujące nad nami, zalane niesamowitym światłem księżyca, usłyszałem jej słowa:

- To jest Królestwo Niebios.

Takie proste sprawy jak wspólny sen lub siedzenie na kamiennej ławce przestały mieć znaczenie. Stojąc i trzymając ją w objęciach, odczuwałem prawdziwe szczęście. Znów piłem nektar, jej nektar, chociaż płakałem i myślałem, że jestem bytem, który rozpuszcza się jak perła w winie. Zginąłeś, ty mały czarciu, zginąłeś, wiesz o tym - w niej. Stałeś i patrzyłeś, jak umierali; stałeś i patrzyłeś.

- Nie ma życia bez śmierci - szepnęła. - Teraz ja jestem drogą, drogą do jedynej nadziei na życie bez trudów. - Poczulem jej usta na swoich. Zastanawiałem się, czy kiedyś jeszcze zrobi to, co zrobiła w świątyni? Czy przylgniemy do siebie, biorąc z siebie nawzajem rozgrzaną krew?

- Wsłuchaj się w śpiewy z wioski.

- Tak.

- A teraz wsłuchaj się w odgłosy miasta położonego daleko w dole. Czy wiesz, ile śmiertelnych wypadków zdarzyło się nocą w tym mieście? Ilu ludzi zostało zmasakrowanych? Czy wiesz, ilu więcej umarłoby z rąk mężczyzn, gdybyśmy nie zmienili przeznaczenia tego miejsca? Gdybyśmy nie podnieśli go ku nowej wizji? Czy wiesz, jak długo trwałaby ta bitwa?

Wieki temu, w moich czasach, to była najbogatsza kolonia francuskiej korony, bogata w tytoń, indygo, kawę. Fortuny powstawały tu w ciągu jednego sezonu. A teraz ludzie grzebią w ziemi; chodzą boso po glinianych ulicach swoich miasteczek; karabiny maszynowe szczekają w Port-au-Prince; stosy trupów w kolorowych bawełnianych koszulach zalegają bruki. Dzieci nabierają do puszek wodę z rynsztoków. Niewolnicy podnieśli głowy, niewolnicy zwyciężyli; niewolnicy stracili wszystko.

Jednak taki jest los i świat ludzi.

- A kim my jesteśmy? - Roześmiała się cicho. - Jesteśmy beużyteczni? Jak usprawiedliwimy nasze istnienie? Mamy przyglądać się beczynnie temu, czego nie chcemy odmienić?

- Przypuśćmy, że to pomyłka, że świat jest z tego powodu gorszy i że to jest koszmar - nie do zrealizowania, nie do przeprowadzenia. Co z tymi ludźmi w grobach, z całą tą ziemią, która stała się cmentarzem, stosem pogrzebowym?

- Kto może powiedzieć, że to złe?

Milczałem.

- Mariusz? - Jakże pogardliwy był jej śmiech. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że teraz nie ma ojców? To cię złości, prawda?

- Są bracia. I są siostry - powiedziałem. - W sobie nawzajem znajdziemy naszych ojców i nasze matki, czy nie tak?

Znów się roześmiała, ale tym razem łagodnie.

- Bracia i siostry - rzekła. - Czy chciałbyś zobaczyć swoich prawdziwych braci i prawdziwe siostry?

Uniosłem głowę z jej ramienia. Pocałowałem ją w policzek.

- Tak, chcę. - Serce znów biło mi mocno. - Proszę. - Całowałem jej szyję, policzki, zamknięte oczy. - Proszę.

- Pij - szepnęła. Poczułem jej piersi nabrzmiewające przy moim torsie. Wbiłem zęby w jej gardło i znów nastąpił ten mały cud, nagłe pęknięcie polewy i nektar napłynął mi w usta.

Pochłonęła mnie wielka, gorąca fala. Żadnego ciężenia, żadnego czasu ani miejsca.

Akaszo!

Wtem zobaczyłem sekwoje; i dom rozjaśniony światłami, a w sali wewnątrz wierzchołka góry stół i wszystkich ich wokół, i tańczący ogień odbity w panoramicznym oknie. Mariusz, Gabriela, Louis, Armand. Są razem i nic im nie grozi! Czy to sen? Słuchają rudej kobiety. Znam ją!

Widziałem.

Była we śnie o rudych bliźniaczkach.

Chcę się im przyjrzeć - tym nieśmiertelnym zebranych przy stole. Rudą dziewczynę, tę u boku tamtej kobiety też już widziałem, ale wtedy była żywa. Podczas koncertu objąłem ją i zajrzałem w jej szalone oczy. Pocałowałem ją i nazwałem po imieniu; a wtedy jakby przepaść otwarła się pode mną i spadałem w sny o bliźniaczkach, których nigdy nie mogłem sobie przypomnieć.

Malowane ściany; świątynie.

Nagle wszystko zbladło. Gabrielo! - wołałem w myślach. - Matko. - Za późno. Wyciągałem ramiona; wirowałem w ciemności.

Masz teraz wszystkie moje moce - mówiła mi w myślach. - Potrzebujesz tylko czasu, by je udoskonalić. Możesz sprowadzać śmierć, możesz poruszać materię, możesz przynosić ogień.

Teraz jesteś gotowy, by iść do nich. Dajmy im jednak urzeczywistnić ich mrzonki, ich głupie spiski i dyskusje. Pokażemy im trochę więcej naszej mocy...

Nie, proszę, Akaszo, proszę, zostawmy ich w spokoju - błagałem ją w myślach.

Odsunęła się i wymierzyła mi policzek.

Zatoczyłem się od ciosu. Dygotałem, czując, jak ból promieniuje z miejsca uderzenia, jakby rozcapierzone palce nadal tam przylegały. Zdusiłem gniew, pozwalając, aby ból nabrzmiał i ustąpił. Zacisnąłem gniewnie pięści i nie zrobiłem nic.

Przeszła stanowczym krokiem po starych kocich łbach, jej rozpuszczone włosy falowały.

Zatrzymała się przy zniszczonej bramie, lekko unosząc ramiona, garbiąc się, jakby kurcząc się w

sobie.

Rozległy się głosy; osiągnęły maksimum, zanim zdążyłem je zdusić. A potem opadły jak woda ustępująca po wielkiej powodzi.

Znów dostrzegłem wokół siebie góry; znów widziałem zrujnowany dom. Ból minął, ale wciąż drżałem.

Odwróciła się ku mnie, napięta, ze ściągniętą twarzą i lekko zwężonymi oczami.

- Tyle dla ciebie znaczą, prawda? Jak myślisz, co zrobią lub powiedzą? Sądzisz, że Mariusz zawróci mnie z mojej drogi? Znam Mariusza tak dobrze, jak ty nigdy go nie poznasz. Znam każdą ścieżkę jego rozumowania. Jest chciwy jak ty. Za kogo mnie bierzesz, jeśli sądzisz, że tak łatwo mną kierować? Urodziłam się królową. Zawsze rządziłam; nawet ze świątyni. - Nagle oczy się jej zaszklily. Usłyszałem głosy, rosnący głuchy szum. - Rządziłam choćby tylko w legendzie; choćby tylko w umysłach tych, którzy przychodzili składać mi hołd, księżniczek, które grały dla mnie na instrumentach, przynosiły mi ofiary i modliły się do mnie. Czego chcesz ode mnie?

Żebym zrezygnowała dla ciebie z tronu, z przeznaczenia?

Co mogłem odpowiedzieć?

- Potrafisz czytać w moim sercu - rzekłem. - Wiesz, że chcę, byś udała się do nich, dała im szansę wypowiedzenia się, jak dałaś tę szansę mnie. Oni znają słowa, których ja nie znam. Oni wiedzą więcej niż ja.

- Och, Lestacie, ja naprawdę ich nie kocham. Nie kocham ich tak, jak kocham ciebie. Więc jakie znaczenie ma to, co powiedzą? Nie mam do nich cierpliwości!

- Potrzebujesz ich. Sama to powiedziałaś. Jak możesz bez nich zacząć? Mam na myśli prawdziwy początek, nie te zacofane wioski, lecz miasta, w których ludzie będą walczyć. To twoi aniołowie, tak ich nazywałaś.

- Nie potrzebuję nikogo. - Smutno potrząsnęła głową. - z wyjątkiem... Z wyjątkiem... - Zawahała się, a potem jej twarz straciła wszelki wyraz.

Zanim zdążyłem nad sobą zapanować, jęknąłem; jęknąłem z bezradności i żalu. Oczy zaszły jej mgłą i chyba głosy znów się odezwały, jednakże nie w moich uszach, lecz w jej. Wydawało mi się, że patrzy na mnie, nie widząc.

- Jeśli będę musiała, zniszczę cię - rzekła matowym głosem, szukając mnie wzrokiem, ale nie znajdując. - Uwierz moim słowom. Po raz pierwszy nie zniknę, nie cofnę się. Moje sny staną się rzeczywistością.

Oderwałem od niej wzrok, spojrzałem ponad zrujnowaną bramą, ponad poszarpanym brzegiem urwiska ku dolinie. Co dałbym za uwolnienie od tego koszmaru? Czy byłbym gotów umrzeć z własnej ręki? Oczy napełniły mi się łzami, kiedy patrzyłem na ciemne pola. Tchórzostwem było tak myśleć;

sam do tego doprowadziłem! Nie było już dla mnie ucieczki.

Stała jak posąg, zasłuchana; potem zamrugała, a jej ramiona drgnęły, jakby niosła w sobie wielki ciężar.

- Czemu nie możesz mi uwierzyć? - powiedziała.

- Porzuć to! - odparłem. - Zostaw wszystkie te wizje. - Podeszedłem do niej i wziąłem ją za ramiona. Uniosła wzrok, prawie jakby była pijana. - Stoimy w ponadczasowym miejscu, bo te biedne wioszczyzny, które podbiliśmy, nie zmieniły się od tysiący lat. Pozwól, że pokażę ci mój świat, Akaszo chcę, byś zobaczyła każdą jego najdrobniejszą część! Chodź ze mną do miast jak szpieg; nie by niszczyć, ale by ujrzeć!

Jej oczy znów się rozjaśniły; bezwolność ustępowała. Objęła mnie i nagle znów zapragnąłem krwi. Mogłem myśleć tylko o tym, chociaż się opierałem i łkałem nad słabością swej woli.

Chciałem jej. Chciałem jej i nie mogłem tego zwalczyć; a jednak moje stare marzenia wracały, tamte dawne wizje, w których budziłem ją i zabierałem ze sobą do oper, muzeów, sal koncertowych, prowadziłem przez metropolie i skarbcie pełne wszystkich pięknych i niezniszczalnych rzeczy, które ludzie stworzyli na przestrzeni wieków, artefaktów wznoszących się ponad wszelkie zło, pomyłki i słabości ludzkich dusz.

- Cóż to wszystko dla mnie znaczy, miłości moja? - szepnęła. - Ty miałbyś mnie uczyć swojego świata? Ach, cóż za próżność. Jestem poza czasem i zawsze byłam.

Kiedy patrzyła na mnie, była załamana jak nigdy. Widziałem jej smutek.

- Potrzebuję cię! - szepnęła. Jej oczy po raz pierwszy napęłniły się łzami.

Nie mogłem tego znieść. Poczulem dreszcze. Uciszącym gestem położyła mi palce na ustach.

- Doskonale, miłości moja - powiedziała. - Jeśli sobie tego życzysz, udamy się do twoich braci i siostr. Do Mariusza. Jednak pozwól mi jeszcze jeden raz przycisnąć cię do serca. Widzisz, nie mogę być inna, niż jestem. Oto, co obudziłeś swoim śpiewem: oto, czym jestem!

Chciałem protestować, zaprzeczać; chciałem znów wytoczyć argumenty, które podzieliłyby nas i sprawiły jej ból, ale kiedy spojrzałem jej w oczy, nie mogłem znaleźć właściwych słów. Nagle zrozumiałem, co się stało.

Znalazłem sposób, by ją zatrzymać, znalazłem ten klucz. Był w zasięgu ręki przez cały czas. Nie jej miłość do mnie była ważna, lecz to, że mnie potrzebowała; potrzebowała jednego sojusznika w całym wielkim królestwie; jednej bratniej duszy stworzonej z tej samej substancji, z której ona była stworzona. Kiedyś wierzyła, że może mnie stworzyć na swój obraz i podobieństwo, a teraz wiedziała, że to niemożliwe.

- Ach, mylisz się - powiedziała przez łzy. - Jesteś młody i pełen obaw. - Uśmiechnęła się. -

Należysz do mnie. Jeśli tak być musi, zniszczę cię, mój książę.

Nie odezwałem się. Nie mogłem. Zrozumiałem wszystko, mimo że ona nie mogła tego zaakceptować. Przez długie wieki odosobnienia nigdy nie była sama; nie zaznała cierpień całkowitej izolacji. Och, nie chodziło o coś tak prostego jak obecność Enkila u jej boku lub widok Mariusza składającego dary; było to coś głębszego, nieskończenie bardziej ważnego; nigdy samotnie nie wypowiedziała wojny rozumu przeciwko otoczeniu!

Łzy płynęły jej po policzkach, dwie strugi żrącej czerwieni. Zaciśnęła usta i ściągnęła brwi w ponurym zamyśleniu, chociaż twarz promieniała jej jak zawsze.

- Nie, Lestacie - powtórzyła. - Mylisz się. Musimy wytrwać do końca. Jeśli oni muszą umrzeć...

wszyscy... żebyś ty związał się ze mną, niech tak będzie.

Chciałem zbuntować się przeciwko niej, przeciwko jej groźbom; ale kiedy podeszła, nie odsunąłem się.

Tu i teraz: ciepła karaibska bryza, dłonie Akaszy sunące w górę moich pleców, palce Akaszy przesuwające się wśród moich włosów. Nektar znów napływał we mnie, zalewał mi serce.

Wreszcie jej usta spoczęły na moim gardle i poczułem nagłe ukłucie jej zębów. Tak! Tak jak w świątyni, wiele lat temu, tak! Jej krew, moja krew i ogłuszające dudnienie jej serca, tak! To była ekstaza, a jednak nie potrafiłem jej ulec; nie potrafiłem i ona o tym wiedziała.

Rozdział ósmy

Rzecz o bliźniaczkach (zakończenie)

Zastałyśmy pałac taki, jaki był w naszej pamięci, a być może bardziej wystawny, przeładowany łupami z podbitych krajów. Więcej złotych tkanin i jeszcze bardziej żywe malowidła; dwa razy więcej niewolników, jakby byli jedynie ozdobami; ich szczupłe nagie ciała były obwieszane złotem i klejnotami.

Skierowano nas do królewskiej izby z uroczymi fotelami, stoliczkami i pysznym dywanem oraz ugoszczono tacami z mięsem i rybami.

O zachodzie słońca usłyszałyśmy wiwaty. Król i królowa pojawili się w pałacu. Cały dwór wyszedł im się pokłonić, wyśpiewując hymny opiewające bladą skórę i lśniące włosy, a także ciała cudownie wyleczone po napadzie spiskowców; cała budowla rozbrzmiewała echemi pochwalnych pieśni.

Kiedy zakończył się ten mały spektakl, zostałyśmy zabrane do sypialni królewskiej pary i w słabym świetle lamp ujrzałyśmy na własne oczy zaszłą transformację.

Miałyśmy przed sobą dwie blade, a mimo to wspaniałe istoty przypominające we wszystkich szczegółach to, czym były za życia. Bił od nich jednak jakiś przedziwny blask; ich skóra nie była już zwyczajną skórą, a ich umysły też nie były już takie same. Niemniej jednak prezentowali się

niebywale. Pewnie wszyscy potraficie to sobie wyobrazić. Tak, niebywale, jakby księżyc spłynął

z nieba i napełnił ich swoim światłem. Stali pośrodku oszalamiających złotych mebli, obwieszeni klejnotami i wpatrywali się w nas oczami lśniącymi jak obsydian. Wreszcie król odezwał się całkowicie zmienionym głosem, jakby przesyconym łagodną muzyką:

„Khayman opowiedział wam, co nas spotkało. Stoją przed wami beneficjanci wielkiego cudu, odnieśliśmy bowiem triumf nad pewną śmiercią. Teraz jesteśmy całkowicie poza zasięgiem ludzkich ograniczeń i potrzeb; widzimy i rozumiemy rzeczy, które kiedyś były dla nas niedostępne”.

Maska królowej rozsypała się natychmiast.

„Musicie to nam wytłumaczyć! Co zrobił wasz duch?” - syknęła.

Niebezpieczeństwo ze strony tych potworów było większe niż kiedykolwiek i usiłowałam ostrzec Mekare, ale królowa roześmiała się od razu.

„Wydaje ci się, że nie wiem, co myślicie?” - spytała, ale król poprosił ją, by zamilkła.

„Niech czarownice użyją swoich mocy - rzekł. - Wiecie, że zawsze darzyliśmy was czcią i szacunkiem”.

„Tak - warknęła królowa. - A wy zesłałyście na nas tę klątwę”.

Natychmiast oświadczyłam, że nie zrobiłyśmy tego, że dotrzymałyśmy umowy i po tym, jak opuściłyśmy królestwo, wróciłyśmy do naszego kraju. Podczas gdy Mekare w milczeniu przyglądała się uważnie monarszej parze, błagałam, by pojęli, że jeśli duch był sprawcą tej zmiany, to jedynie dla kaprysu.

„Dla kaprysu! - oburzyła się królowa. - Jak można używać takiego słowa! Co się nam stało?”

„Kim jesteście?” - powtórzyła, a potem obnażyła wargi, pokazując nam swoje zęby. Ujrzałyśmy w jej ustach kły, drobne, ale ostre jak igły. Król również zademonstrował nam tę zmianę.

„Tak lepiej ssać krew - szepnął. - Macie pojęcie, czym jest dla nas to pragnienie?! Nie możemy go zaspokoić! Każdej nocy umiera trzech, czterech ludzi, by nas nasycić, a mimo to kładziemy się spać w torturach pragnienia”.

Królowa rwała włosy z głowy, jakby zaraz miała podnieść krzyk. Król położył jej dłoń na ramieniu.

„Poradźcie nam, Mekare i Maharet - rzekł. - Chcielibyśmy pojąć tę przemianę i wykorzystać ją w dobrym celu”.

„Tak - potwierdziła, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - To nie mogło się stać bez powodu...” Nagle umilkła. Jej ograniczony, pragmatyczny umysł, zawsze małostkowy i szukający usprawiedliwień, załamał się, podczas gdy król trwał przy swoich iluzjach, jak to mężczyzna.

Kiedy wreszcie zamilkli, wystąpiła Mekare. Położyła dłonie na ramionach króla i zamknęła oczy. Następnie dotknęła dłońmi królowej, chociaż jej wzrok tryskał jadem.

„Wyjaśnij nam - powiedziała Mekare, patrząc na królową - co się stało w tamtej chwili. Co pamiętasz? Co widziałaś?”

Królowa milczała, twarz miała ściągniętą i pełną podejrzliwości. Prawdę mówiąc, zmiana uwydatniła jej urodę, a przecież zarysowało się w niej coś odpychającego, jakby nie była kwiatem, ale repliką kwiatu z czystego białego wosku. Zagłębiając się w sobie, stawała się coraz bardziej ponura i zła. Instynktownie przyciągnęłam do siebie Mekare, chroniąc ją przed tym, co mogłoby nastąpić.

Wtedy królowa przemówiła:

„Przybyli nas zabić, ci zdrajcy! Planowali zwalić winę na duchy. Chcieli znów jeść ciała, ciała matek i ojców, i ciała ludzi, na których uwielbiali polować. Przybyli do domu i zakłuli sztyletami mnie, swoją prawomocną władczynię”. Przerwała, jakby znów widziała tamte wypadki.

„Upadłam, kiedy mnie cięli, kiedy wbijali mi sztylety w pierś. Nie mogłam żyć z ranami, jakie odniosłam, więc upadłam na posadzkę, wiedząc, że umieram! Słyszycie, co mówię? Wiedziałem, że nic nie może mnie uratować. Krew chlustała ze mnie na podłogę.

W tym samym momencie, w którym zobaczyłam, jak ten życiodajny płyn rozlewa się przede mną, zdałam sobie sprawę, że nie jestem w moim poranionym ciele, że już je opuściłam, a śmierć porwała mnie i unosi ostro w górę, jakby wielkim tunelem, do miejsca, w którym nie będę już cierpieć!

Nie lękałam się; nic nie czułam; popatrzyłam w dół i zobaczyłam samą siebie na podłodze tamtego domku, bladą i pokrytą krwią. To mnie jednak nie obeszło. Byłam wolna i swobodna, ale nagle coś mnie złapało, coś złapało moją niewidzialną istotę! Tunel przepadł; zostałam złowiona w wielkie sidła jak w rybacką sieć. Naparłam na nią z całej siły i ugięła się pod moim naporem, lecz nie pękła, trzymała mnie mocno, tak że nie mogłam się przebić.

Kiedy chciałam krzyknąć, znów byłam w swoim ciele! Czułam straszliwy ból w ranach, jakby noże przebijały mnie na nowo. A ta sieć, ta wielka sieć, nadal mnie więziła, ale nie była już tak olbrzymia jak poprzednio, jakby zbiegła się w balon, sieć przypominała wielki jedwabny woal.

To coś - jednocześnie widzialne i nie - wirowało wokół mnie, unosiło mnie, ciskało w górę, obracało mną. Krew chlustała mi z ran i nasączała woal, jakby sieć naprawdę była z jakiegoś materiału.

To, co poprzednio było przezroczyście, teraz nasączyło się krwią. Ujrzałam coś monstrualnych rozmiarów, bezkształtne, bezmierne, przesączone na całej powierzchni moją krwią; jego drobne, płonące centrum znajdowało się we mnie i miotało się w moim ciele jak przerażone zwierzę.

Biegało w moich kończynach, tupotało i tłukło się. Było jak serce z hasającymi nogami. Kiedy wbiłam sobie paznokcie w ciało, zaczęło krążyć w moim brzuchu. Byłam gotowa rozplatać samą

siebie, żeby wyrzucić to poza moje ciało!

A wielka niewidzialna część tego czegoś - krwawa mgła, która mnie otaczała i zamykała w sobie

- była kontrolowana przez to drobnutkie centrum, zakręcające to tu, to tam, śmigające we mnie, mknące to w moich dłoniach, to w stopach. Biegło w górę mojego kręgosłupa.

Umrę, na pewno umrę - myślałam. Nagle ośleplam! Zaległa cisza. Zabiło mnie, byłam tego pewna. Powinnam znów wzlecieć w górę, czy nie tak? Wtem otworzyłam oczy; usiadłam na podłodze, jakby nie spotkał mnie żaden zamach, i widziałam niesłychanie wyraźnie! Khayman z płonąca żagwią w dłoni! Drzewa w ogrodzie! Wszystko ukazywało mi się takie, jakie było naprawdę! Ból znikł całkowicie, tak z wnętrzości, jak i z ran. Tylko oczy bolały mnie od światła; nie mogłam znieść blasku. Jednakże zostałam uratowana od śmierci; moje ciało zostało uszlachetnione i udoskonalone. Z wyjątkiem..." Przerwała.

Wpatrywała się przed siebie, jakby zobojętniała.

„Khayman opowiedział wam resztę” - rzekła.

Popatrzyła na króla stojącego obok, wpatzonego w nią, usiłującego jak my zrozumieć to, o czym mówiła.

„To wasz duch - stwierdziła. - Próbował nas zniszczyć, ale nastąpiło coś innego; interweniowała jakaś wielka moc i zatriumfowała nad diabolicznym złem”. Wtem znów straciła pewność siebie.

Kłamstwa zamarty jej na wargach, twarz zlodowaciała, ale przemówiła słodko: „Powiedzcie nam, czarownice, mądre czarownice, wy, które znacie wszystkie sekrety, jak nazwać to, czym się staliśmy!”

Mekare westchnęła i popatrzyła na mnie. Wiedziałam, że nie chce o tym mówić.

Przypomniałyśmy sobie stare ostrzeżenie duchów. Egipski król i egipska królowa będą nam zadawać pytania, a nasze odpowiedzi im się nie spodobają. Zostaniemy zniszczone...

Królowa usiadła z pochyloną głową i wtedy dopiero ujawnił się jej prawdziwy smutek. Król uśmiechnął się do nas z rezygnacją.

„Przenika nas ból, czarownice - powiedział. - Moglibyśmy znieść ciężar tej przemiany, gdybyśmy lepiej ją rozumieli. Wy, które żyłyście i żyjecie we wspólnocie z wszystkimi niewidzialnymi istotami, powiedzcie nam, co wiecie o takich czarach, zechciejcie nam pomóc, bo wiecie, że nigdy nie chcieliśmy was skrzywdzić, lecz tylko rozpowszechnić prawdę i prawo”.

Nie komentowałyśmy tego stwierdzenia o rozpowszechnianiu prawdy za pomocą masowej rzezi.

Mekare zażądała od króla, by teraz on opowiedział, co pamięta.

Mówił o rzeczach, które wy - wszyscy, jak tu siedzicie - z pewnością znacie. O tym, jak umierał

i jak smakował krwi, którą żona posmarowała mu twarz, i o tym, jak jego ciało powróciło do życia i zapragnął tej krwi, a potem jak wziął ją od żony, stając się tym samym co ona. Nie widział jednak tajemniczej chmury krwi i nie czuł, by coś poruszało się w nim w środku.

„To pragnienie jest nie do zniesienia - rzekł nam. - Nie do zniesienia”. On też pochylił głowę.

Stałyśmy w milczeniu, patrząc na siebie, aż wreszcie Mekare, jak zwykle, przemówiła pierwsza:

„Nie wiemy, jak nazwać to, czym się staliście. Nie wiadomo nam, by coś takiego kiedykolwiek wydarzyło się na świecie. A jednak to, co się wydarzyło, jest całkiem jasne”. Utkwiła wzrok w królowej. „Kiedy oglądałaś swoją śmierć, twoja dusza usiłowała szybko uciec od cierpienia, jak to często bywa w przypadku dusz. Kiedy jednak się uniosła, duch Amel, równie niewidzialny jak ona, pochwycił ją. W innych warunkach bez trudu pokonałabyś tę ziemską istotę i udała się do królestw, których nie znamy; lecz ten duch na długo przedtem dokonał zmiany w samym sobie, stając się czymś zupełnie nowym. Zakosztował krwi ludzi, których pokłuł lub dręczył, jak sami to widzieliście. A twoje leżące ciało, pełne krwi mimo tak wielu ran, nadal żyło. Wtedy duch, złakniony, zanurzył się w twoim ciele, podczas gdy jego niewidzialna postać nadal była przykuta do twojej duszy.

Mogłabyś wyjść z opresji, pokonując tę złą istotę, jak to się często udaje osobom opętanym.

Jednak drobny rdzeń tego ducha, stworzony z materii będącej szalejącym centrum wszystkich duchów, z której pochodzi ich nieskończona energia - nagle napełnił się krwią jak nigdy w przeszłości.

Fuzja krwi i beczasowej tkanki została po wielekroć wzmocniona i przyspieszona; krew przepłynęła przez całe jego ciało, zarówno materialne, jak i niematerialne, i stało się ono tamtą widzialną chmurą posoki.

Najbardziej znaczący w tym wszystkim jest ból, ból, który przemieszczał się w twoich członkach. Tak bowiem jak twoje ciało połączyło się z rdzeniem ducha w chwili nieuchronnej śmierci, tak z pewnością i jego energia już wcześniej połączyła się z twoją duszą. I oto powstała nowa istota”.

„Jego serce i moje serce - szepnęła królowa - stały się jednym”. Zamknęła oczy, uniosła dłoń i położyła ją na piersi.

Nie zareagowałyśmy, gdyż to stwierdzenie wydało się nam uproszczeniem - nie wierzyłyśmy, by serce mogło być centrum intelektu lub uczuć. Ujrzałyśmy straszliwy obraz z przeszłości - serce i mózg naszej matki ciśnięte na ziemię i wdeptane w popiół i kurz.

Siłą woli odsunęłyśmy ów obraz. Nie chciałyśmy, by nasz ból był dostrzeżony przez jego sprawców.

Król przypierał nas do muru.

„Znakomicie - rzekł - wyjaśniłyście, co wydarzyło się Akaszy. Ten duch jest w niej, być może rdzeń połączył się z rdzeniem. A co jest we mnie? Nie czułem takiego bólu, takiego szalejącego demona. Kiedy jej zakrwawione dłonie dotknęły moich ust, czułem tylko... tylko pragnienie”.

Popatrzył na żonę.

Wstyd, groza, o jakie przyprawiało ich owo pragnienie, były wyraźne.

„Ten sam duch jest i w tobie - odparła Mekare. - Żyje tylko jeden Amel. Jego rdzeń zakorzenił się w królowej, ale jest obecny i w tobie”.

„Jak to możliwe?” - zapytał.

„To jestestwo ma wielką niewidzialną część. Gdybyś zobaczył je całe, zanim wydarzyła się ta katastrofa, przekonałbyś się, że jest niemal bez granic”.

„Tak - przyznała królowa. - Ta sieć zakrywała całe niebo”.

„Kurcząc się i pomniejszając swoje olbrzymie rozmiary, duchy osiągają fizyczną siłę - wyjaśniła Mekare. - Zostawione samym sobie są jak chmury nad horyzontem, a nawet większe; czasami chwaliły się nam, że nie mają granic, chociaż to nie może być prawda”.

Król wbił wzrok w żonę.

„Ale jak się od niego uwolnić?” - zapytała porywczo Akasza.

„Tak. Jak zmusić go do odejścia?” - spytał król.

Żadna z nas nie chciała odpowiedzieć. Dziwiłyśmy się, że rozwiązanie tej zagadki nie było dla nich oczywiste.

„Zniszcz swoje ciało - powiedziała wreszcie Mekare królowej. - Wtedy on też zostanie zniszczony”.

Król popatrzył na Mekare z niedowierzaniem.

„Ma zniszczyć swoje ciało!...” Spojrzał bezradnie na żonę.

Akasza uśmiechnęła się gorzko. Te słowa jej nie zaskoczyły. Milczała przez długą chwilę, patrząc na nas z nie ukrywaną nienawiścią. Potem przeniosła wzrok na króla i wreszcie zapytała:

„Jesteśmy umarli, prawda? Przystaniemy istnieć, gdy on odejdzie. Nie jemy i nie pijemy niczego poza krwią, której on się domaga, a nasze ciała nie wydalają już nieczystości. Nie zmieniliśmy się o włos od tamtej strasznej nocy; nie jesteśmy już żywymi stworzeniami”.

Mekare nic nie powiedziała. Wiedziała, że ich ocenia, przypatruje się im nie jak człowiek, ale jak czarownica. Wycisza się i uspokaja, aby móc zaobserwować niedostrzegalne aspekty, umykające zwyczajnemu oglądowi. Patrząc na nich i słuchając, wpadła w trans. Kiedy się odezwała, jej głos był matowy, głuchy:

„On draży wasze ciała, czyni to nieprzerwanie jak ogień trawiący drewno, jak robak wijący się w

ścierwie. To działanie jest nieuchronne; to dalszy ciąg fuzji, która nastąpiła; dlatego słońce sprawia wam ból, ponieważ on zużywa całą swoją energię na to, co musi zrobić, i nie może wytrzymać żaru słońca”.

„A nawet jasnego światła pochodni” - westchnął król.

„Czasem nawet płomyka świecy” - powiedziała królowa.

„Tak - rzekła Mekare, otrząsając się z transu. - A wy jesteście umarli - szepnęła. - Mimo to jednak żyjecie! Jeśli rany zagoiły się, jak mówiłaś, jeśli odzyskałaś króla, jak mówiłaś, no cóż, to znaczy, że pokonałście śmierć. Oczywiście dopóki nie wyjdziecie na spiekotę słońca”.

„Nie, to pragnienie nie może dalej trwać! - powiedział król. - Nie pojmujecie, jakie ono jest straszne”.

Królowa tylko uśmiechnęła się gorzko.

„Teraz to nie są już żywe ciała. To siedziby demona”. Wargi jej drżały, kiedy popatrzyła na nas.

„Albo jest tak, albo doprawdy jesteśmy bogami!”

„Odpowiedzcie nam, o czarownice - powiedział król. - Czy to możliwe, że jesteśmy teraz boskimi istotami, błogosławionymi darami, które tylko bogowie mogą dzielić?” Uśmiechnął się przy tych słowach, tak bardzo chciał w nie wierzyć. „Czy to niemożliwe, że gdy demon usiłował nas zniszczyć, nasi bogowie interweniowali?”

Złe światło zapłonęło w oczach królowej. Jakże podobała się jej ta idea, ale nie wierzyła w nią...
nie do końca.

Mekare spojrzała na mnie. Chciała, bym wystąpiła i dotknęła ich, jak poprzednio ona. Chciała, bym popatrzyła na nich, jak poprzednio ona. Pragnęła rzec jeszcze coś, ale nie była tego pewna.

A prawdę mówiąc, ja miałem nieco silniejszy instynkt, chociaż mniejszy dar wysławiania się.

Wystąpiłam i dotknęłam ich białej skóry, chociaż brzydziłam się nimi, jak brzydziło mnie wszystko, co uczynili naszemu ludowi i nam. Dotknęłam ich, po czym cofnęłam się, by na nich spojrzeć. Wtedy ujrzałam owo działanie, o którym mówiła Mekare. Słyszałam je nawet, nieznużone kipienie ducha. Uspokoiłam umysł, oczyściłam go z wszelkich uprzedzeń i lęków, a kiedy wpadłam w błogi trans, pozwoliłam sobie zabrać głos:

„On chce więcej ludzi”. Spojrzałam na Mekare. Takie było i jej podejrzenie.

„Dajemy mu wszystko, co możemy!” - wyjąkała królowa. Znow zalał ją rumieniec wstydu, wyjątkowo ostry na bladych policzkach. Twarz króla także się zaczerwieniła. Wtedy zrozumiałam, jak wcześniej Mekare, że pijąc, doznawali ekstazy. Nigdy nie zaznali równej rozkoszy, ani w łożu,

ani przy uczcie, ani pijani piwem lub winem. To było źródło wstydu. Nie chodziło o zabijanie; chodziło o to monstrualne karmienie się. O rozkosz. Ach, cóż to była za para z tych dwojga.

Oni jednak źle mnie zrozumieli.

„Nie - wyjaśniłam. - On chce więcej takich jak wy. Chce wejść w ciała i stworzyć krwiopijców z innych, jak zrobił to z królem; jest zbyt ogromny, by zadowolić się dwoma małymi ciałami.

Pragnienie przestanie was zadręczać dopiero wtedy, kiedy stworzycie innych, gdyż oni będą z wami dzielić ciężar”.

„Nie! - krzyknęła królowa. - To nie do pomyślenia!”

„Przecież to nie może być tak proste! - oświadczył król. - Jakże to, zostaliśmy stworzeni w jednej i tej samej strasznej chwili, kiedy nasi bogowie walczyli z tym demonem. Mówicie coś nieprawdopodobnego, gdyż bogowie odnieśli zwycięstwo w tej walce”.

„Nie sądzę” - rzekłam.

„Chcesz powiedzieć - zapytała królowa - że jeśli nakarmimy innych tą krwią, też zostaną zakażeni?” Wspominała każdy szczegół tej katastrofy: jej małżonek umiera, jego serce przestaje bić, a potem krew spływa mu w usta.

„Ależ nie starczyłoby krwi z całego mojego ciała na coś takiego! - oświadczyła. - Jestem tylko sobą!” Wtedy pomyślała o pragnieniu i o wszystkich ciałach, które je zaspokoiliły.

Zdałyśmy sobie sprawę, że wysała ona krew ze swego męża, zanim on odebrał ją z powrotem i właśnie dzięki temu wszystko się dokonało; a ponadto król był na granicy śmierci i jego zdolność recepcji była maksymalnie pobudzona; jego dusza zerwała więzy z ciałem i łatwo dał się usidlić niewidzialnym mackom Amela.

Oni oboje rzecz jasna odczytali nasze myśli.

„Nie wierzę waszym słowom - powiedział król. - Bogowie nie pozwoliliby na to. Jesteśmy królem i królową Kemetu. Ciężar czy błogosławieństwo, te czary były nam przeznaczone”.

Zapadła cisza. Potem odezwał się znów, z największą szczerością.

„Nie pojmujecie tego, czarownice? To była wola losu. Było nam pisane najechać wasze ziemie i sprowadzić tu was i demona, tak by mogło to nas spotkać. Cierpimy, to prawda, ale teraz jesteśmy bogami; to święty ogień i musimy złożyć podziękowania za to, co nas spotkało”.

Próbowałam nie dopuścić Mekare do głosu. Ścisnęłam ją mocno za rękę, lecz oni już wiedzieli, co ona zamierza powiedzieć. Jej pewność siebie tylko ich rozjuszyła.

„Bardzo prawdopodobne, że on może wejść w każdego - powiedziała - jeżeli zaistnieją takie same warunki; jeżeli mężczyzna lub kobieta będą słabi i umierający, duch będzie miał do nich dostęp”.

Wpatrywali się w nas w milczeniu. Król potrząsnął głową, a królowa odwróciła wzrok z obrzydzeniem. Wtedy król szepnął:

„Jeśli tak jest, w takim razie inni mogą próbować nam to odebrać!”

„O, tak - szepnęła Mekare. - Jeśli dzięki temu staliby się nieśmiertelni? Jak najbardziej. Któż nie chce być nieśmiertelny?”

Twarz króla uległa zmianie. Chodził tam i z powrotem po komnacie i spoglądał na żonę, która patrzyła prosto przed siebie jak ktoś, kto zaraz oszaleje. Nareszcie odezwał się do niej, starannie dobierając słowa:

„W takim razie wiemy, co musimy uczynić. Nie możemy płodzić rasy takich potworów!

Wiemy!”

Królowa zacisnęła ręce na uszach i zaczęła wrzeszczeć. Rozełkała się tak, że wyła z bólu, zwijając palce w szpony i zadzierając głowę ku sufitowi.

Skuliłyśmy się w kącie komnaty. Mekare zaczęła się trząść i płakać, a ja miałam łzy w oczach.

„Wy nam to zrobiliście!” - ryknęła królowa. Nigdy nie słyszałyśmy, by ludzki głos osiągnął

takie natężenie, a gdy wpadła w szał, niszcząc wszystko w pokoju, ujrzałyśmy w niej siłę Amelę, gdyż robiła rzeczy, których żaden człowiek nie mógłby uczynić. Ciskała zwierciadła o sufit i rozbiła w drzazgi złocone meble.

„Bądźcie przeklęte na zawsze i zesłane w świat podziemia, między demony i bestie! -

przeklinała nas - za to, co nam uczyniliście. Ohydy. Wiedzmy. Wy i wasz demon! Mówicie, że nie nasłałyście na nas tego stwora. Jednak dopuściliście się tego w waszych sercach. Wysłałyście go! On odczytał w waszych sercach, tak jak czytam to teraz, że życzenie nam zła!”

Król pochwycił ją w ramiona, uspokajał i całował, a ona łkała mu na piersi. Wreszcie oderwała się od niego. Przeszywała nas oczami nabiegłymi krwią.

„Kłamiecie! - zawołała. - Kłamiecie jak wasze demony. Myślicie, że coś takiego mogłoby się stać, gdyby los o tym nie zdecydował?!” Odwróciła się do króla. „Och, czy nie pojmujesz, że byliśmy głupcami, słuchając tych śmiertelniczek pozbawionych naszych mocy! Jesteśmy tylko młodymi bóstwami i w trudzie musimy odgadywać zamysły niebios. Nasze przeznaczenie jest jasne; widzimy je poprzez talenty, które posiadamy”.

Nie odpowiedziałyśmy na te słowa. Przez kilka niesłychanie krótkich chwil sądziłam, że byłoby łaską od losu, gdyby naprawdę wierzyła w takie bzdury. Ja bowiem wiedziałam tylko, że Amelę, zły, głupi, tępy, durnowaty duch, zaplątał się niechcący w tamtą katastrofalną fuzję i być może cały świat za to zapłaci. Przypomniały mi się ostrzeżenia matki. Przypomniały mi się wszystkie nasze cierpienia. Potem opanowały mnie takie myśli - pragnienie zniszczenia króla i królowej -

że musiałam zakryć uszy dłońmi, otrząsnąć się i próbować oczyścić umysł, aby nie narazić się na ich gniew.

Królowa nie zwracała już na nas żadnej uwagi. Wezwała strażę, nakazała nas od razu uwięzić i zapowiedziała, że jutro wyda na nas wyrok w obliczu całego dworu. Niespodziewanie zostaliśmy więc pojmani; a gdy wydała rozkazy, żołnierze odciągnęli nas brutalnie i cisnęli jak zwykłych więźniów do mrocznej celi.

Mekare przytuliła mnie i szepnęła, że do wschodu słońca nie wolno nam pomyśleć o niczym, co mogłoby nam zaszkodzić; musimy śpiewać stare pieśni i odpędzać sen, aby nawet nie śnić niczego, co mogłoby obrazić króla i królową. Nigdy nie widziałam Mekare tak wystraszonej. To ona zawsze była skora do wybuchów gniewu, a ja chowałam się w kącie, wyobrażając sobie najstraszniejsze rzeczy.

Kiedy nastał ranek i Mekare była pewna, że król i królowa udali się do swojej tajnej siedziby, wybuchła płaczem.

„Ja to zrobiłam, Maharet - powiedziała mi. - Ja. Posłałam go na nich. Próbowałam się powstrzymać, lecz Amel odczytał to w moim sercu! Było właśnie tak, jak powiedziała królowa”.

Nie było końca tym samooskarżeniom. To ona przemówiła do Amela, ona go wzmocniła, natchnęła pychą i podtrzymała jego zainteresowanie; a potem zapragnęła, by skierował swoją wściekłość przeciwko Egipcjanom, i on przejrzał te myśli.

Próbowałam ją pocieszyć. Powiedziałam, że nikt nie potrafi zapanować nad tym, co nosi w sercu; że Amel raz uratował nam życie i że nikt nie mógł przewidzieć tych okropnych zdarzeń.

Teraz musimy pozbyć się wszelkiego poczucia winy i patrzeć w przyszłość. Jak zdołamy wydostać się z tego miejsca? Jak doprowadzić do tego, by te potwory nas wypuściły? Nasze dobre duchy nie przestraszą ich teraz; nie ma mowy; musimy myśleć, musimy planować, musimy coś zrobić.

Wreszcie nastąpiło to, na co po cichu liczyłam. Pojawił się Khayman. Był jeszcze bardziej chudy i wynędzniały niż poprzednio.

„Lękam się, że jesteście zgubione, moje rudowłose - powiedział nam. - Król i królowa rozmawiali o tym, co od was usłyszeli. Przed świtem udali się do świątyni Ozyrysa, aby się pomodlić. Czy nie możecie dać im żadnej nadziei poprawy? Żadnej nadziei na koniec tego koszmaru?”

„Khaymanie, jest nadzieja - szepnęła Mekare. - Duchy mi świadkiem; nie twierdzę, że powinieneś to uczynić. Odpowiadam tylko na twoje pytanie. Jeśli chcesz położyć kres temu wszystkiemu, połóż kres dalszemu istnieniu króla i królowej. Znajdź ich kryjówkę i dopuść tam słońce, słońce, którego ich ciała nie mogą znieść”.

On jednak był ogarnięty zgrozą na myśl o zdradzie. Westchnął tylko i rzekł:

„Ach, moje drogie czarownice, wiele w życiu widziałem, a jednak nie śmiem dokonać takiego czynu”.

Godziny mijały, a my przeżywałyśmy męki, czekała nas bowiem pewna śmierć. Nie żałowałyśmy już niczego, co powiedziałyśmy lub zrobiłyśmy. Leżałyśmy przytulone w ciemności i znów nuciłyśmy piosenki z dzieciństwa, śpiewałyśmy pieśni matki. Myślałam o swoim dzieciątku i próbowałam się z nim połączyć, wzlecieć duchem z tamtego miejsca i zbliżyć do niego, ale bez naporu wprowadzającego w trans nie mogłam tego zrobić. Nigdy nie posiadałam tej umiejętności.

Wreszcie zapadł zmrok. Niebawem znów usłyszałyśmy hymny wyśpiewywane na powitanie króla i królowej. Żołnierze przyszedli po nas i jak poprzednio zaprowadzono nas na wielki pałacowy dziedziniec. To tam Khayman zbliżył się do nas, tam zostałyśmy pozbawione czci.

Znów przyprowadzono nas przed oblicza tych samych widzów, związawszy nam wcześniej ręce.

Tym razem była noc. Lampy płonęły słabo w arkadach pałacu; złowróżbne światło pełzało po wymalowanych na pilastrach złotych liściach lotosów i wizerunkach pokrywających ściany.

Wreszcie król i królowa weszli na podwyższenie. Wszyscy zebrani padli na kolana. Żołnierze zmusili nas do tego samego hołdu. Królowa wystąpiła i zaczęła przemawiać.

Drżącym głosem opowiedziała poddanym, że jesteśmy potwornymi czarownicami i że nasłaliśmy na to królestwo demona, który najpierw napastował Khaymana, a potem próbował

swoich diabelskich sztuczek na samym królu i królowej. Lecz słuchajcie! Oto wielki bóg Ozyrys, najstarszy ze wszystkich bogów, potężniejszy nawet niż bóg Ra, zmiotł tę diaboliczną moc i wzniosł do niebiańskiej chwały króla i królową.

Wielki bóg nie mógł patrzeć z dobrocią na wiedźmy, które tak niepokoiły jego ukochany lud.

Zażądał, by nie okazywać im łaski.

„Mekare, za twoje kłamstwa i rozmowy z demonami - powiedziała królowa - zostanie ci wyrwany język. A Maharet, za zło, które sobie wyobraziłaś i które chciałaś nam narzucić, zostaną ci wyklute oczy! Przez całą noc będziecie związane razem, tak żebyście mogły słyszeć wzajemny płacz, jedna niezdolna się odezwać, druga niezdolna zobaczyć. A następnie w samo południe, w publicznym miejscu przed pałacem, zostaniecie spalone żywcem na oczach wszystkich ludzi.

Zważcie; nigdy zło nie pokona bogów Egiptu i ich wybrańców, króla i królowej, gdyż bogowie spojrzeli na nas z wyjątkową łaską i jesteśmy jak król i królowa niebios, a nasze przeznaczenie służy wspólnemu dobru!”

Odebrało mi mowę, kiedy usłyszałam wyrok; mój strach i smutek były niezmierzone. Mekare natychmiast wydała krzyk sprzeciwu. Wyrwała się zaskoczonym żołnierzom. Skierowała oczy ku gwiazdom i przemówiła. Wśród szeptów wstrząśniętego dworu oświadczyła:

„Duchy mi świadkiem, gdyż jest im znana wiedza o przyszłości - zarówno to, co jest, jak i to, co będzie! Tyś jest Królową Potępionych, oto twój los! Skazana jesteś na zło i dobrze o tym wiesz!

Ale ja cię powstrzymam, choćbym miała powstać martwych, by ziścił się ten cel, i w godzinie twojego największego zagrożenia, to ja cię zniszczę! To ja cię pokonam. Dobrze przyjrzyj się mojej twarzy, jeszcze mnie bowiem ujrzysz!”

Ledwo wypowiedziała tę przysięgę, to proroctwo, a duchy zebrały się w trąbę powietrzną, otworzyły drzwi pałacu i piaski pustyni zawisły w powietrzu.

Wrzaski uniosły się wśród ogarniętych paniką dworaków, jednak królowa krzyknęła do żołnierzy:

„Wyrwać jej język, tak jak rozkazałam!” Chociaż dworzanie w dzikim lęku przywarli do ścian, żołnierze wystąpili, chwycili Mekare i wyrwali jej język.

Ogarnięta grozą patrzyłam na to, co się działo; słyszałam jej jęk. Widziałam, jak z zadziwiającą furią odepchnęła ich związanymi dłońmi, uklękła, porwała zakrwawiony język i połknęła go, zanim zdążyli go zdeptać lub odrzucić na bok.

Wtedy żołnierze chwycili mnie. Ostatnie, co zachowałam w pamięci, to była Akasza z wyciągniętym palcem i roziskrzonymi oczami. I twarz załamanego Khaymana ze łzami ciekącymi po policzkach. Żołnierze ujęli w cęgi moją głowę, rozwarli mi powieki i pozbawili zmysłu wzroku, a ja płakałam bezgłośnie.

Niespodziewanie poczułam dotyk ciepłej ręki i coś przy ustach. Khayman trzymał moje oczy i przyciskał mi je do ust. Połknęłam je od razu, by nie zostały zbezczeszczone.

Wiatr był coraz sroższy; piasek wirował wokół nas i usłyszałam, jak dworzanie rozpierzchli się we wszystkich kierunkach, kaszląc, dusząc się i płacząc, podczas gdy królowa zaklinała ich by zachowali spokój. Szukałam na oślep Mekare i poczułam jej głowę na swoim ramieniu, jej włosy przy moim policzku.

„Spalić je teraz!” - rozkazał król.

„Nie, za wcześnie - rzekła królowa. - Niech pocierpią”.

Odprowadzono nas, związane razem, i wreszcie zostawiono same na podłodze celi.

Duchy wciąż szalały w pałacu, ale król i królowa uspokoili swoich ludzi i zapewnili, że nie mają się czego bać. Jutro w południe duchy zostaną wyrzucone z królestwa; a do tej pory niech sobie robią, co chcą.

Wreszcie zapanowała cisza i spokój. Oprócz króla i królowej chyba wszyscy zasnęli w pałacu, nawet nasi strażnicy.

To ostatnie godziny mojego życia - myślałam. - Jednakże cierpienia Mekare są gorsze od moich, jako że nawet nie może się poskarżyć. - Przytuliłam do siebie Mekare, kładąc jej głowę na swojej piersi. Tak mijały chwile.

Wreszcie, jakieś trzy godziny przed świtem, usłyszałam hałas. Były to odgłosy walki; strażnik

krzyknął przeraźliwie i upadł. Usłyszałam trzask zamka i skrzyp zawiasów. Wtem wydało mi się, że słyszę jęk Mekare.

Ktoś wszedł do celi i instynkt podpowiedział mi, że to Khayman. Przeciął nasze więzy, a ja zacisnęłam rękę na jego przedramieniu i natychmiast pomyślałam, że to nie Khayman! Wtedy zrozumiałam.

„Zrobili ci to! Przemienili cię!”

„Tak - szepnął głosem pełnym wściekłości i goryczy. Usłyszałam w nim coś nowego, nieludzkiego. - Zrobili mi to! Zrobili mi to na próbę! Żeby przekonać się, czy mówiłyście prawdę! Zatruli mnie tym złem”. Chyba płakał, słyszałam, jak wydaje chrapliwe dźwięki, szłocha bez łez. Czułam niesamowitą siłę jego palców, bo chociaż nie chciał sprawiać mi bólu, nie panował nad swoją nową mocą.

„Och, Khaymanie - rzekłam, płacząc. - Co za zdrada ze strony tych, którym służyłeś tak wiernie”.

„Słuchajcie mnie, czarownice - rzekł głosem ochryłym i pełnym wściekłości. - Czy chcecie jutro umrzeć w ogniu i dymie w obecności nieświadomej niczego tłuszczy, czy też będziecie walczyć z tym złem? Czy będziecie jego nieprzyjacielem na ziemi, równym mu mocą? Bo co może powstrzymać moc potężnego męża jak nie inni, równie krzepcy mężowie? Co zatrzyma szermierza, jak nie równie krewki wojownik? Czarownice, jeśli oni zrobili to ze mną, czy ja nie mogę zrobić tego z wami?”

Cofnęłam się, byle dalej od niego, ale nie puścił mnie. Nie wiedziałam, czy to, o czym mówił, było możliwe. Wiedziałam tylko, że tego nie chcę.

„Maharet - rzekł. - Oni stworzą rasę płaszczących się akolitów, chyba że zostaną pobici, a kto może ich pokonać, jeśli nie równi im siłą!”

„Nie, prędeż umrę” - powiedziałam, chociaż wypowiadając te słowa, pomyślałam o czekających mnie płomieniach. Nie, to byłoby niewybaczalne. Jutro powinnam udać się do matki; powinnam zostawić na zawsze ten świat i nic nie mogło mnie zmusić do zmiany decyzji.

„A ty, Mekare? - zapytał. - Czy postarasz się, aby twoja klątwa się spełniła? Czy też umrzesz i zostawisz to duchom, które zawiodły cię od początku?”

Znów podniósł się wiatr. Usłyszałam łomotanie drzwi wejściowych, usłyszałam, jak piasek siecze o mury. Służba biegła w odległych korytarzach, śpiący unieśli się z łóżek. Słyszałam słabe, głuche, niezemskie wycia najbardziej ukochanych duchów.

„Uspokójcie się - rzekłam im - nie zrobię tego. Nie wpuszczę do siebie tego zła”.

Kiedy tak klęczałam, opierając głowę o ścianę i przekonując samą siebie, że muszę umrzeć, zdałam sobie sprawę, że w ciasnej celi znów odbywają się niesamowite czary. Podczas gdy duchy zwoływały się przeciwko nim, Mekare dokonała wyboru. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam tych dwóch kształtów, mężczyzny i kobiety, stopionych razem jak kochankowie; a gdy usiłowałam ich rozdzielić, Khayman odtrącił mnie, uderzając z taką siłą, że upadłam nieprzytomna na podłogę.

Nie minęło więcej niż kilka minut. Gdzieś w ciemności łkały duchy, które wcześniej od mnie znały ostateczne rozwiązanie. Wiatr ucichł, zapadła cisza.

Dotknęła mnie zimna dłoń siostry. Usłyszałam dziwny odgłos, jakby śmiech; czy ci, którzy nie mają języka, mogą się śmiać? Tak naprawdę to nie podjęłam decyzji; wiedziałam tylko, że przez całe życie byliśmy takie same, jak zwierciadlane odbicia. Wydawało się - dwa ciała i jedna dusza. A teraz siedziałam w tym ciemnym, małym pomieszczeniu, w ramionach siostry, która po raz pierwszy stała się inną istotą, a zarazem wciąż była taka sama. Poczułam jej usta na swoim gardle; poczułam, jak sprawia mi ból. Khayman sięgnął po nóż i zrobił to za nią. Omdlałam.

Och, tamte boskie chwile, w których mocą umysłu znów zobaczyłam cudowne światło srebrnego nieba i moją uśmiechniętą siostrę wznoszącą ramiona ku spadającym kroplom. Razem tańczyłyśmy w deszczu, a cały nasz lud był z nami. Nasze stopy tonęły w mokrej trawie, a kiedy rozległ się grom i błyskawica rozdarła niebo, czułam się tak, jakby nasze dusze oczyściły się z wszelkiego bólu. Przemoczone weszłyśmy do jaskini, zapaliłyśmy małą lampkę i oglądałyśmy stare malunki na ścianach - malunki zrobione przez czarownice, które żyły tam przed nami.

Przytulone do siebie, z dalekim szumem deszczu w uszach, zagubiłyśmy się w tych malunkach tańczących czarownic i wschodzącego księżyca na nocnym niebie.

Khayman napoił mnie czarami, potem moja siostra, potem znów Khayman. Wiecie, co mnie spotkało, prawda? A czy wiecie, że Mroczny Dar jest dla ślepych? W gęstej ciemności zapaliły się płomyczki, a następnie jarzące się światło zaczęło rysować wokół mnie słabo pulsujące kształty. Tak widzi się kontury jasnych przedmiotów tuż po zamknięciu powiek.

Tak, mogłam się poruszać w ciemności. Dotykem sprawdzałam, co widzę. Drzwi, ściana, potem daleki korytarz; niewyraźna mapa stała się na moment widoczna.

Nigdy noc nie była tak milcząca; poza ludźmi nic nie oddychało w ciemności. Duchy przepadły.

Nigdy, przenigdy więcej nie usłyszałam ich ani nie zobaczyłam. Nigdy więcej nie odpowiedziały na moje pytania ani wezwanie. Zjawy umarłych tak, ale nie duchy. One przepadły na zawsze.

W tamtej chwili czy godzinie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Może nawet przez kilka pierwszych nocy. Tak wiele innych rzeczy wprawiało mnie w zdumienie; tak wiele innych rzeczy napełniało mnie męką lub radością.

Na długo przed wschodem słońca ukryliśmy się głęboko w krypcie, jak król i królowa. Khayman zabrał nas do grobu ojca, tam gdzie przeniesiono biedne, zbezczeszczone ciało. Wypiłam pierwszy łyk śmiertelnej krwi i poznałam ekstazę przyprawiającą króla i królową o rumieniec wstydu. Nie ośmieliłam się ukraść mojej ofierze oczu; nie myślałam nawet, że taki czyn mógłby mi pomóc. Odkryłam to dopiero po pięciu nocach i po raz pierwszy widziałam, jak widzi prawdziwy krwiopijca.

Uciekliśmy z królewskiego miasta, zdążając nocami na północ. A w kolejnych miejscowościach Khayman głosił różnym osobom, że muszą powstać przeciwko królewskiej parze. Wierzą oni

bowiem, że posiadają wyjątkową moc, a to przecież kłamstwo.

Och, jak wielka była furia Khaymana podczas tych pierwszych nocy. Przekazywał moc każdemu, kto jej zechciał, nawet gdy sam tak osłabł, że ledwo się włókł u naszego boku.

Przysiągł, że król i królowa będą mieć godnych wrogów. Ilu krwio pijców stworzył podczas tamtych bezmyślnych tygodni? Byli coraz liczniejsi, rośli w siłę, wywoływali bitwy, o których Khayman marzył.

Byliśmy jednak z góry skazani na klęskę, skazani na klęskę pierwszej rebelii, skazani na klęskę podczas ucieczki. Niebawem mieliśmy zostać rozłączeni na zawsze - Khayman, Mekare i ja.

Król i królowa bowiem, przerażeni odejściem Khaymana, podejrzewając, że przekazał nam moc, wysłali śmiertelnych żołnierzy, którzy szukali nas w dzień i w nocy. A jako że polowaliśmy żarłocznie, by zaspokoić świeże pragnienie, nasz ślad łatwo dało się wyśledzić w osadach nad brzegami rzeki albo nawet w górskich obozowiskach. Wreszcie niecałe dwa tygodnie po ucieczce z królewskiego pałacu zostałyśmy złapane przez tłuszczę za bramami Sakkary, niecałe dwie noce marszu od morza.

Gdyby tylko udało się nam do niego dotrzeć. Gdyby tylko udało się nam pozostać razem. W

ciemnościach świat powstał dla nas po raz wtóry. Kochaliśmy się rozpaczliwie i rozpaczliwie wymienialiśmy tajemnice przy świetle księżyca.

W Sakkarze czekała na nas pułapka. Khaymanowi udało się przedrzeć na wolność, lecz zrozumiał, że nie zdoła nas uratować, i zaszył się pomiędzy wzgórzami, czekając na swoją chwilę, która nigdy nie nadeszła.

Jak pamiętacie z waszych snów, Mekare i ja zostałyśmy otoczone. Znow wykluto mi oczy.

Lękaliśmy się ognia, gdyż z pewnością by nas zniszczył, ale modliłyśmy się do wszystkich niewidzialnych istot o ostateczne uwolnienie.

Król i królowa obawiali się zniszczyć nasze ciała. Uwierzyli w opowieść Mekare o jednym wielkim duchu, Amelu, który wstąpił w nas wszystkich, i obawiali się, że każdy ból, który stanie się naszym udziałem, udzieli się i im. Oczywiście to było niemożliwe, ale kto wtedy o tym wiedział?

Tak więc złożono nas do kamiennych trumien, jak wam opowiedziałam. Jedna miała być wysłana na wschód, druga na zachód. Zbudowano wcześniej tratwy, które miały nas wynieść na wielkie oceany. Widziałam je nawet mimo mojej ślepoty, gdyż z umysłów porywaczy wyczytałam, co mnie czeka. Wiedziałem również, że Khayman nie może za nami podążyć, marsz miał bowiem trwać nocą i dniem.

Gdy się ocknęłam, dryfowałam po morzu. Jak wam mówiłam, tratwa unosiła mnie przez dziesięć nocy. Cierpiałam głód. z przerażeniem myślałam, że trumna zatonie, że zostanę pogrzebana żywcem, ja, stworzenie, które nie może umrzeć. A jednak to nie nastąpiło. Kiedy wreszcie zostałam wyrzucona na brzeg wschodniego wybrzeża dolnej Afryki, rozpoczęłam poszukiwania Mekare, przemierzając

kontynent ku zachodowi.

Przez stulecia przeszukałam wszystkie jego krańce. Udałam się na północ, do Europy.

Przebyłam kamieniste plaże, zapuściłam się nawet na wyspy północy, aż dotarłam na najdalsze lodowe pustkowia. Jednakże wciąż powracałam do mojej wioski i o tym opowiem wam za chwilę, jak się bowiem przekonacie, jest dla mnie bardzo ważne, byście to usłyszeli.

W tamtych pierwszych wiekach odwróciłam się od Egiptu, odwróciłam się od króla i królowej.

Dużo później dowiedziałam się, że uczynili ze swojej transformacji wielką religię; że ogłosili się Ozyrysem i Izydą i wsączyli mrok w tamte stare mity, aby móc się nimi posłużyć. Bogiem świata podziemi stał się Ozyrys, który mógł się pojawiać jedynie w ciemności, a królowa stała się Izydą, Matką, która pozbierała szczątki swojego małżonka, uzdrowiła je i przywróciła do życia.

Czytaliście w opowieści, którą Mariusz przekazał Lestatowi, o tym, jak bogowie stworzeni przez Matkę i Ojca przyjmowali krwawe ofiary ze złoczyńców w świątyniach ukrytych we wzgórzach Egiptu i jak ta religia przetrwała do czasów Chrystusa.

Dowiedzieliście się również, jak powiodła się rebelia Khaymana, jak stworzeni przez niego wrogowie dorównujący królowi i królowej powstałi wreszcie przeciwko Ojcu i Matce i jak krwio pijcy tego świata toczyli między sobą wojny. Akasza opowiedziała o tym Mariuszowi, a Mariusz Lestatowi.

W tamtych wiekach zrodziła się legenda o bliźniaczkach; egipscy żołnierze, którzy byli świadkami naszych przeżyć, od masakry naszego ludu do ostatecznego pojmania, przekazywali innym tę opowieść. W późniejszych czasach legenda o bliźniaczkach została nawet zapisana przez egipskich skrybów. Wierzono, że pewnego dnia Mekare znów się pojawi, pokona Matkę i wszyscy krwio pijcy świata umrą tak jak Matka. Wszystko to działo się bez mojej wiedzy, rady czy współpracy, ponieważ dawno już przestałem się tym emocjonować.

Dopiero trzy tysiące lat później przybyłam do Egiptu jako anonimowa istota w czarnych szatach, by zobaczyć na własne oczy, w co przemienili się Matka i Ojciec. Ujrzałam bierne, nieruchomo patrzące posągi zamknięte w kamieniu w podziemnej świątyni, o obnażonych głowach i gardłach. Młodzi krwio pijcy, spragnieni krwi z pierwotnego źródła, przybywali do kapłanów, którzy strzegli królewskiej pary.

Czy pragnę się napić?, zapytał mnie młody kapłan krwio pijca. W takim razie muszę iść do starszyny, zadeklarować swoją czystość i oddanie staremu kultowi, zapewnić, że nie jestem hultajem mającym na względzie tylko własne cele. Ogarnął mnie śmiech.

Cóż to był za koszmar, widok tych nieruchomych istot! Stanąć przed nimi, wyszeptać ich imiona i nie dostrzec nawet najdrobniejszego lśnienia oka lub drgnienia białej skóry powiek.

Tak było od najdawniejszych czasów, odkąd sięgano pamięcią, i kapłan to potwierdził; nikt nie miał pojęcia, czy mity o początku były prawdziwe. My - pierwsze dzieci - zostaliśmy nazwani Pierwszym

Plemieniem, które spłodziło buntowników; ale legenda o bliźniaczkach odeszła w zapomnienie i nikt nie znał imion Khaymana, Mekare lub Maharet.

Potem tylko raz dane mi było ujrzeć Matkę i Ojca. Było to tysiąc lat później. Właśnie nastąpił wielki pożar, kiedy starszyzna aleksandryjska - jak opowiadał Lestat - chciała zniszczyć Matkę i Ojca, wystawiając ich na słońce. Zgodnie z tym, co opowiedział Lestat, żar dnia jedynie ich zbrązowił, gdyż wcześniej nabrali niezwyklej siły i odporności. Chociaż śpimy bezbronni za dnia, z upływem czasu światło staje się mniej zabójcze.

Ale podczas tych dziennych godzin w Egipcie krwio pijcy na całym świecie poszli z dymem, gdy tymczasem starsi zakosztowali jedynie cierpień i osmalenia. Mój ukochany Eryk miał wtedy tysiąc lat; mieszkaliśmy razem w Indiach i podczas tych nie kończących się chwil doznał

poważnych oparzeń. Potrzebował wiele mojej krwi, aby odzyskać siły. Ja sama tylko zbrązowiłam i chociaż ogromny ból doskwierał mi przez wiele nocy, wyniosłam z tego pewną korzyść; z ciemną karnacją łatwiej było mi poruszać się wśród ludzi.

Wiele wieków później, zniecierpliwiona własną bledością celowo wystawiłam się na parzące promienie słońca. Prawdopodobnie uczynię to jeszcze nie raz.

Jednak wtedy, za pierwszym razem, było to dla mnie niepojęte. Chciałam wiedzieć, dlaczego w snach widzę ogień i słyszę krzyki tak wielu ginących i dlaczego ci, których stworzyłam - moje ukochane pisklęta - umarli tą ohydą śmiercią.

Tak więc udałam się z Indii do Egiptu, który na zawsze pozostał dla mnie nienawistnym krajem.

Wtedy właśnie usłyszałam opowieść Mariusza, młodego rzymskiego krwio pijcy, cudownie nie spalonego, który przybył do Aleksandrii i wykradł ich, aby już nikt nie mógł ani ich, ani nas spalić.

Nietrudno było mi znaleźć Mariusza. Jak wam opowiedziałam, w tamtych latach nie mogliśmy się usłyszeć. Stopniowo zaczęliśmy jednak słyszeć młodszych osobników, jakby byli ludźmi.

W Antiochii odkryłam dom Mariusza, autentyczny pałac, gdzie żył otoczony rzymskim przepychem, chociaż w ostatnich godzinach przed świtem krążył po mrocznych ulicach, polując na ludzkie ofiary.

Stworzył już wtedy nieśmiertelną z Pandory, którą ukochał ponad wszystkie ziemskie stworzenia. A Matkę i Ojca umieścił w wybornym tabernakulum ukształtowanym własnymi rękami z karraryjskiego marmuru. Palił tam kadzidła, jakby to była świątynia, jakby oni naprawdę byli bogami.

Czekałam na swoją chwilę. Mariusz i Pandora wyszli na polowanie. Weszłam do domu, otwierając zamki od wewnątrz.

Zobaczyłam Matkę i Ojca, pociemniałych jak ja, a równocześnie pięknych i bez życia, tak samo jak tysiąc lat wcześniej. Umieścił ich na tronie, na którym mieli siedzieć dwa tysiące lat, o czym wszyscy wiecie. Podeszłam do nich; dotknęłam ich. Uderzyłam. Nie poruszyli się. Potem dokonałam próby długim sztyletem. Przeszyłam ciało Matki, które przemieniło się w elastyczną powłokę, podobnie jak

moje ciało. Przeszylałam nieśmiertelną skorupę, która stała się jednocześnie niezniszczalna i myląco krucha, i moje ostrze doszło prosto do serca. Zrobiłam cięcie od prawej do lewej i zatrzymałam dłoń.

Przez chwilę krew Matki lała się - śluzowata i gęsta, ale jej serce przestało bić. Potem rana zaczęła się goić; utoczona krew twardniała na moich oczach jak bursztyn.

Lecz co najbardziej znaczące, czułam tę chwilę, w której serce przestało pompować krew; czułam słabość, zawroty głowy i nieuchwytną utratę świadomości, bliski oddech śmierci.

Niewątpliwie krwio pijcy na całym świecie czuli to samo, być może młode osobniki w silniejszym stopniu, odbierając to jako wstrząs, który zwałił ich z nóg. Rdzeń Amela był w niej nadal; straszliwy pożar i sztylet udowodniły, że życie krwio pijców tkwiło w jej ciele - wtedy i na zawsze.

Gdyby nie to, zniszczyłabym ją. Rozczłonkowałabym ją, gdyż żaden czas nie mógł ochłodzić mojej nienawiści, nienawiści za to, co zrobiła mojemu ludowi, za oddzielenie mnie od Mekare, od mojej drugiej połowy, od mojego własnego „ja”.

Jakże byłoby wspaniale, gdybym przez wieki nauczyła się wybaczać, gdyby moja dusza otworzyła się na zrozumienie wszelkiego zła uczynionego mnie i mojemu ludowi. Jednak mówię wam, tylko ludzkie dusze podążają z wiekami ku doskonałości, tylko ludzka rasa uczy się z każdym mijającym rokiem, jak lepiej kochać i łatwiej przebaczać. Łańcuchy przeszłości wiążą mnie zbyt silnie.

Przed odejściem zatarłam wszelkie ślady swoich czynów. Być może przez godzinę wpatrywałam się w posągi, w dwie złe istoty, które tak dawno temu zniszczyły moich krewnych i sprowadziły nieszczęścia na mnie i moją siostrę. Kto inny wtedy wiedział, ile zła w nich tkwi?

„W ostateczności jednak nie zwyciężyłaś - powiedziałam do Akaszy. - Ani ty, ani twoi żołnierze, ani ich miecze. Moje dziecko bowiem, Miriam, przetrwało, by przekazać poprzez czas krew mojej rodziny i mojego ludu, i chociaż może jest to niczym dla ciebie, siedzącej tu w milczeniu, dla mnie jest wszystkim”.

Słowa, które wypowiedziałam, były prawdziwe. Jednak do opowieści o mojej rodzinie wrócę za chwilę. Teraz pozwólcie, że opowiem o jeszcze jednym zwycięstwie Akaszy, o tym, że Mekare i ja nie miałyśmy nigdy więcej się spotkać.

Jak już mówiłam, nigdy podczas moich wędrówek nie spotkałam ani mężczyzny, ani kobiety, ani krwio pijcy, nikogo, kto widziałby Mekare lub słyszał jej imię. Wędrowałam przez wszystkie lądy świata w różnych erach i w różnych porach roku, szukając Mekare, ale ona oddaliła się ode mnie, jakby połknął ją wielki zachodni ocean. Stałam się jakby połową istoty, wiecznie wyciągającą ręce ku temu jednemu elementowi, który uczynił ze mnie całość.

Niemniej jednak podczas tamtych pierwszych wieków wiedziałam, że Mekare żyje. Wiedziałam to, gdyż moja natura bliźniaczki czuła cierpienia siostry. W tych chwilach mrocznych jak sen zaznawałam niewytłumaczalnego bólu. Rozumieją to ci, którzy sami mają bliźniacze rodzeństwo.

W miarę jak moje ciało twardniało, jak moje człowieczeństwo rozpływało się, a to potężniejsze i bardziej odporne nieśmiertelne ciało stawało się dominujące, zatracił się prosty ludzki związek między mną i siostrą. Niemniej jednak wiedziałam, wiedziałam, że ona żyje.

Przemawiałam do niej, idąc bezludnym wybrzeżem i spozierając na lodowato chłodne morze. A w grotach na górze Karmel przedstawiłam na wielkich malowidłach naszą historię - wszystkie nasze cierpienia, panoramę, którą ujrzeliście w snach.

Przez stulecia wielu śmiertelnych miało znaleźć tę grotę i zobaczyć malowidła; potem znów miały popaść w zapomnienie i zostać na nowo odkryte.

Wreszcie w tym stuleciu młody archeolog, usłyszawszy o nich, wspiął się pewnego popołudnia na górę Karmel z latarką w dłoni. A kiedy spojrział na malowidła, które stworzyłam przed wiekami, serce skoczyło mu do gardła, ponieważ widział te same wizerunki w jaskini po drugiej stronie oceanu, ponad dżunglami Peru.

Lata minęły, zanim dotarła do mnie wieść o jego odkryciu. Podróżował po całym świecie ze szczątkami dowodów - fotografiami tych jaskiniowych malowideł w Starym i Nowym Świecie i wazą znalezioną w magazynie muzealnym, starożytnym artefaktem z tamtych mrocznych, zapomnianych wieków, kiedy legenda o bliźniaczkach była jeszcze znana.

Nie potrafię oddać bólu i radości, których zaznałam, spojrzawszy na fotografie rysunków, odkrytych przez niego w płytkiej jaskini w Nowym Świecie.

Mekare bowiem namalowała te same rzeczy co ja. Mózg, serce i dłoń tak bardzo podobne do moich nadały wyraz tym samym wizerunkom cierpienia i śmierci. Dzieliły je tylko drobne różnice. Jednak dowód był niezaprzeczalny.

Barka Mekare przeniosła ją za wielki zachodni ocean ku nieznanemu w owym czasie lądowi.

Całe wieki przedtem, zanim człowiek spenetrował południowe zakątki tego kontynentu, Mekare przybyła na brzeg, aby być może poznać największą samotność, jakiej zaznała rozumna istota.

Jak długo wędrowała pomiędzy ptakami i bestiami, zanim ujrzała ludzką twarz?

Czy ta niepojęta izolacja trwała wieki czy tysiąclecia? Czy też Mekare od razu znalazła śmiertelnych, którzy udzielili jej oparcia lub uciekli ogarnięci grozą? Nigdy się tego nie dowiedziałam. Moja siostra straciła rozum dużo wcześniej, zanim wioząca ją trumna dotknęła wybrzeża Ameryki Południowej.

Wiedziałam tylko, że ona tam była i że tysiące lat temu wykonała te rysunki, tak jak ja wykonałam moje.

Oczywiście obsypałam archeologa bogactwami; zapewniłam mu wszelkie środki do kontynuowania badań legendy o bliźniaczkach. A sama udałam się w podróż do Ameryki Południowej. Z Erykiem i Maelem u boku wspięłam się na górę w Peru, by przy świetle księżyca na własne oczy obejrzeć pracę rąk siostry. Jakże wiekowe były te malowidła. Z pewnością zrobiono je w sto lat po naszym

rozstaniu, a bardzo prawdopodobne, że wcześniej.

Nigdy nie udało się nam odnaleźć żadnego, choćby najmniejszego dowodu, że Mekare zamieszkiwała bądź przemierzała dżungle Ameryki Południowej czy też inne połacie naszego globu. Czy była zakopana głęboko w ziemi, poza zasięgiem wołania Maela lub Eryka? Czy spała na dnie jakiejś jaskini? Czy była białym posągami o bezmyślnym spojrzeniu, a jej skórę okrywały kolejne pokłady kurzu?

Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nie mam dość sił.

Wiem tylko, jak i wy, że powstała. Obudziła się z długiego ciężkiego snu. Czy sprawiły to piosenki Wampira Lestata? Muzyka elektronicznych instrumentów sięgająca do odległych krańców świata? Czy jest to dzieło myśli tysięcy krwiopijców, którzy usłyszeli te utwory, zinterpretowali je i odpowiedzieli na nie? Czy to za sprawą ostrzeżenia Mariusza, że Matka idzie?

Być może było to jakieś niewyraźne przesłanie sklecone z tych wszystkich przekazów - że przyszedł czas spełnić starą klątwę. Nie umiem tego powiedzieć. Wiem jedynie, że zmierza w kierunku północnym, że jej szlak jest zawiły i że wszystkie moje wysiłki za pośrednictwem Eryka i Maela, by ją znaleźć, zawiodły.

To nie mnie poszukuje. Jestem o tym przekonana. Poszukuje Matki. To wędrowniki Matki wikłają jej szlak.

Jeśli ma za cel znaleźć Matkę, dopnie swego! Odnajdzie ją! Być może z czasem uświadomi sobie, że potrafi wzbić się w powietrze jak Matka i wtedy pokona wiele kilometrów w mgnieniu oka.

Wiem na pewno, że to się stanie. A wtedy może być tylko jedno wyjście; albo zginie Mekare, albo Matka, a z nią my wszyscy.

Siła Mekare jest równa mojej, jeśli nie większa. Jest równa sile Matki, a szaleństwo może dodać jej zaciekłości, której nikt nie może teraz zmierzyć ani opisać.

Nie wierzę w klątwy, nie wierzę w proroctwa; duchy, które nauczyły mnie, jak wielkie jest ich znaczenie, opuściły mnie tysiące lat temu. Mekare jednak wierzyła w klątwę, kiedy ją rzucała.

Wypowiedziała ją z głębi swojego bytu, wprawiła ją w ruch. A sny mówią teraz jedynie o początku, o źródle jej urazy, która z pewnością podsycy żądzę zemsty.

Mekare ma szansę doprowadzić do spełnienia klątwy; tak będzie zapewne lepiej dla nas wszystkich. A jeśli nie zniszczy Akaszy, jeśli my nie zniszczymy Akaszy, co może się stać?

Wiemy teraz, jakie zło zaczęła szerzyć Matka. Czy świat zatrzyma tę istotę, która jest czymś zupełnie niepojętym? Niezmiernie potężna, niemniej jednak podatna na ciosy; obdarzona miazdzącą mocą, a równocześnie o skórze i kościach, które można dziurawić lub ciąć. Ta istota potrafi latać, czytać w myślach i wzniecać ogień na odległość, niemniej jednak sama może zostać spalona.

Jak możemy ją zatrzymać i uratować samych siebie, to jest pytanie. Chcę żyć, jak zawsze tego

pragnęłam. Nie chcę zamykać oczu na świat. Nie chcę, by wyrządzono krzywdę tym, których kocham. Rozpaczliwie szukam w myślach jakiegoś sposobu, by uchronić nawet młodzików, którzy muszą odbierać życie. Czy to źle? Czy nie należymy do stworzeń z tego świata i nie dzielimy ich pragnienia do życia?

Wsluchajcie się we wszystko, co opowiedziałam wam o Matce, o jej duszy oraz o naturze demona, który w niej przebywa, a którego rdzeń jest zakorzeniony w jej rdzeniu. Pomyślcie o naturze tej wielkiej niewidzialnej istoty, która ożywia każdego z nas i każdego krwiopijcę, który kiedykolwiek chodził po ziemi.

My jesteśmy receptorami energii tej istoty, jak odbiorniki radiowe są receptorami niewidzialnych fal niosących dźwięki. Nasze ciała to tylko muszle goszczące tę energię. Jesteśmy

- jak opisał to dawno temu Mariusz - kielichami kwiatów jednego pnąca.

Zastanówcie się nad tą tajemnicą. Jeśli to uczynicie, może znajdziecie ratunek dla samych siebie.

W związku z tym zastanowiłabym się nad jeszcze jedną rzeczą; być może najważniejszą ze wszystkiego, czego się kiedykolwiek nauczyłam.

W dawnych czasach, kiedy duchy przemawiały do mojej siostry i do mnie na stoku góry, żaden człowiek nie uwierzyłby, że są one istotami bez znaczenia. Nawet my byłyśmy zniewolone ich mocą, uznając za swój obowiązek wykorzystanie posiadanych umiejętności dla dobra naszego ludu, jak była o tym później przekonana Akasza.

Przez tysiące lat niezachwiana wiara w nadprzyrodzone moce trwała zakorzeniona w ludzkiej duszy. Były czasy, kiedy wierzyłam, iż jest to naturalny, nieodrodny, niezbędny element ludzkiej kondycji, coś, bez czego ludzkość nie mogłaby przetrwać.

Wiele razy byliśmy świadkami narodzin kultów i religii, budzących lęk oświadczeń o zjawach i cudach, a następnie deklaracji wiary, zainspirowanych tymi wydarzeniami.

Udajcie się w podróż do Azji i Europy - obejrzyjcie chrześcijańskie świątynie i katedry, w których nadal śpiewa się nabożne pieśni. Przejdźcie przez muzea wszystkich krajów; wszędzie religijne obrazy i rzeźby olśniewają i zniewalają dusze.

Jak wielkie zdają się te osiągnięcia; maszyna kultury jest wręcz uzależniona od paliwa religijnej wiary. A zarazem jaka była cena tej wiary, która ożywia państwa i wysyła jedną armię przeciwko drugiej, która dzieli narody na zwycięzców i zwyciężonych; która eksterminuje wyznawców obcych bogów.

W ciągu ostatnich kilkuset lat nastąpił prawdziwy cud, który nie ma żadnego związku z duchami lub zjawami czy też głosami z nieba nakazującymi temu lub tamtemu religijnemu gorliwcowi, co ma zrobić! Zauważyliśmy, że człowiek jest zdolny oprzeć się sferze cudów, sceptycznie ocenia działania duchów lub tych, którzy twierdzą, iż je widzą, rozumieją i przekazują ich prawdy.

Okazało się, że ludzki umysł z wolna porzuca tradycję prawa opartego na objawieniu, że szuka

prawd etycznych na drodze rozumowej, a styl życia opiera na szacunku wobec sfer fizycznej i duchowej poważanych przez wszystkie istoty ludzkie.

Porzucając wiarę w interwencję nadprzyrodzonego i łatwowierność wobec wszystkich stworzeń pozbawionych ciała, ludzkość wkroczyła w najbardziej oświecony wiek. Ludzie szukają najwyższej inspiracji już nie w królestwie niewidzialnego, lecz królestwie tego, co ludzkie, co zarówno cielesne, jak i duchowe, niewidzialne i widzialne, ziemskie i transcendentne.

Medium, jasnowidz, czarownica, jeśli tak chcecie ją nazwać, już się nie liczy, jestem o tym przekonana. Duchy nie mogą dać nam nic więcej. Słowem, przestaliśmy być łatwowierni i zdążamy ku doskonałości, jakiej świat nie widział.

Wreszcie słowo stało się ciałem; świat jest światem rozumu, a ciało to potwierdzenie wszelkich potrzeb i pożądań wspólnych wszystkim ludziom.

Co nasza królowa może uczynić dla tego świata za pomocą swojej interwencji? Co mu da - ona, której sam byt jest teraz pozbawiony znaczenia, ona, której umysł był przez wieki zamknięty w królestwie barbarzyńskich marzeń? Trzeba ją powstrzymać; Mariusz ma rację; któż by się z nim nie zgodził? Musimy być gotowi pomóc Mekare, nie zagrażać jej, nawet gdyby oznaczało to koniec nas wszystkich.

Pozwólcie teraz, że przedstawię wam ostatnią część mojej opowieści, która najpełniej objaśni zagrożenie, jakie stanowi Matka wobec nas wszystkich. Jak już powiedziałam, Akasza nie dokonała eksterminacji mojego ludu. Żył on w mojej córce Miriam i w jej córkach, i w córkach ich córek. Po dwudziestu latach wróciłam do wioski, w której zostawiłam Miriam, i spotkałam młodą kobietę wyrosłą na opowieściach tworzących legendę o bliźniaczkach.

Przy świetle księżyca zabrałam ją na górę, pokazałam jaskinie przodków i podarowałam kilka naszyjników i trochę złota, które wciąż były ukryte głęboko w malowanych grotach, tam, gdzie inni bali się zajrzeć. Zapoznałam też Miriam z wszystkimi znanymi mi opowieściami o przodkach i doradziłam, by trzymała się z daleka od duchów, nie wchodziła w żadne powiązania z niewidzialnymi istotami, bez względu na to, jak ludzie je nazywają, a zwłaszcza, jeśli zwać je bogami.

Następnie udałam się do Jerycha, tam bowiem na zatłoczonych ulicach łatwo było upolować ofiary, tych, którzy pragnęli śmierci i nie obciążali mojego sumienia, tam też łatwo było ukryć się przed wścibskimi oczami.

Wiele razy odwiedzałam Miriam. Urodziła cztery córki i dwóch synów, a ci z kolei zrodzili pięcioro dzieci, które dożyły wieku dojrzałego. Wśród tych pięciorga były dwie kobiety, a z tych kobiet przyszło na świat ośmioro potomków. Matki przekazywały swoim dzieciom legendy rodzinne, również opowieść o bliźniaczkach, o siostrach, które niegdyś rozmawiały z duchami, sprowadzały deszcz i były prześladowane przez złego króla i złą królową.

Dwieście lat później spisałam po raz pierwszy imiona mojej rodziny, wtedy była to już cała wioska. Do utrwalenia mojej wiedzy potrzebne były aż cztery gliniane tabliczki. Zapełniałam tabliczkę po tabliczce opowieściami o początku i o kobiecie, która wróciła do Czasu Przed Księżcem.

Chociaż czasem oddalałam się na wiek od ojczyzny, szukając Mekare na dzikich wybrzeżach północnej Europy, zawsze wracałam do mojego ludu, do kryjówek w górach i domu w Jerychu.

Zapisywałam dzieje rodziny, imiona córek przychodzących na świat i imiona ich córek. O synach też pisałam szczegółowo - o ich osiągnięciach, cechach charakteru i czasem heroizmie - tak jak czyniłam to w wypadku kobiet. Ale o ich potomkach nie. Nie dało się sprawdzić, czy dzieci tych mężczyzn naprawdę mają w żyłach moją krew i krew mojego ludu. Tak więc linia szła po kądzieli, jak zawsze.

Jednakże nigdy, nigdy przez cały ten czas nie ujawniłam mojej rodzinie złych czarów, które mnie dotknęły. Postanowiłam, iż to zło nigdy jej nie dosięgnie, tak więc jeśli używałam coraz silniejszych nadprzyrodzonych mocy, robiłam to w tajemnicy i tak, by zawsze można było znaleźć naturalne wytłumaczenie.

Dla trzeciej generacji byłam jedynie krewniaczką, która przybyła do rodzinnego domu po wielu latach spędzonych za granicą. A jeśli ingerowałam - udzielałam rady córkom lub dostarczałam im złota - czyniłam to na sposób ludzki.

Mijały tysiące lat, podczas których obserwowałam rodzinę, nie wyjawiając swojego imienia, jedynie od czasu do czasu udając dawno zagubioną krewniaczkę przybyłą do tej czy innej wioski lub na zjazd rodzinny, żeby uściskać dzieci.

W pierwszych stuleciach ery chrześcijańskiej przyszedł mi do głowy inny pomysł. Stworzyłam fikcyjną gałąź rodziny zajmującą się prowadzeniem wszelkich archiwów - nagromadzonych tabliczek i zwojów, a nawet oprawnych ksiąg. I w każdym pokoleniu tej fikcyjnej gałęzi była kobieta, która pełniła obowiązki archiwistki. Imię Maharet towarzyszyło tej godności, a kiedy stara Maharet umierała, młoda Maharet dziedziczyła obowiązek.

W taki sposób znalazłam swoje miejsce wewnątrz rodziny; wszyscy znali mnie i kochali. Stałam się zaprzysięgłą korespondentką, dobroczyńcą, negocjatorką, tajemniczym, niemniej jednak zaufanym gościem, który zjawiał się, by wyciszać właśnie i leczyć wyrządzone krzywdy. I chociaż pochłaniały mnie tysięczne namiętności, chociaż mieszkałam przez wieki w obcych krajach, uczyłam się nowych języków i zwyczajów, podziwiałam nieskończone piękno świata i moc ludzkiej wyobraźni, zawsze powracałam do rodziny, rodziny, która znała mnie i oczekiwała ode mnie wielu różnych rzeczy.

Mijały wieki i tysiąclecia, a ja nigdy nie spoczęłam w ziemi, jak uczyniło to wielu spośród was.

Nigdy nie zasnęłam szaleństwa i utraty pamięci, co było częste wśród starszych, którzy często upodobniali się do zagrzebanych pod ziemią posągów Matki i Ojca. Nigdy od tamtych najdawniejszych czasów nie przydarzyła się noc, bym otworzywszy oczy, nie pamiętała swojego imienia, nie rozejrzała się przytomnie wokół, nie sięgnęła po nić swojego życia.

Nie znaczy to, że szaleństwo nie zaglądało mi w oczy; czasem ogarniało mnie znużenie, smutek zatruwał mi serce, tajemnice wytrącały mnie z równowagi i zaznawałam bólu. Ponad wszystko jednak liczyły się: obowiązek strażnika rodzinnego archiwum, opieka nad potomstwem i prowadzenie go poprzez świat. Tak więc nawet w najbardziej mrocznych czasach, kiedy wszelki ludzki byt wydawał mi się nieznośny, a zmiany w świecie - niepojęte, powracałam do rodziny jako

źródła samego życia.

To rodzina uczyła mnie rytmów i namiętności nowego wieku, rodzina zabrała mnie w obce krainy, do których być może nigdy nie wybrałabym się sama; rodzina zaprowadziła do królestw sztuki, które mogłyby mnie onieśmielić, rodzina była moim przewodnikiem przez czas i przestrzeń. Mój nauczyciel, moja księga życia. Rodzina była wszystkim.

Maharet przerwała. Przez chwilę wydawało się, że powie jeszcze coś. Potem wstała od stołu.

Spojrzała na wszystkich po kolei i w końcu jej wzrok spoczął na Jesse.

- Teraz chcę, byście poszli ze mną. Pokażę wam, czym stała się ta rodzina.

Wszyscy powstali w ciszy i opuścili podziemną salę. Udali się po żelaznych kręconych schodach do innej wielkiej komnaty w środku góry, pomieszczenia o szklanym dachu i grubych ścianach.

Jesse weszła ostatnia i zanim przekroczyła próg, wiedziała, co zobaczy. Przeszył ją niesamowity ból, ból pamiętnego szczęścia i niezapomnianej tęsknoty. Znalazła się w pozbawionej okien komnacie, w której była już dawno temu.

Jak wyraźne było wspomnienie kamiennego paleniska, ciemnych, obitych skórą mebli rozstawionych na dywanie; atmosfera wielkiego i tajemnego podniecenia, którego nie mogła zapomnieć, które pogrążyło ją w nierealnych marzeniach i nieskończenie przekraczało wspomnienia rzeczy fizycznych.

Tak, oto wielka elektroniczna mapa świata pokryta nieskończonymi tysiącami drobnych światełek.

Trzy pozostałe ściany, jakże ciemne, początkowo wydawały się pokryte delikatną drucianą siatką. Dopiero po chwili dostrzegało się olbrzymi bluszcz atramentowej barwy zapełniający każdy centymetr między podłogą a sufitem, wyrastający z pojedynczego korzenia w kącie w miliony drobnych, rozrastających się gałęzi, z których każda była otoczona niezliczonymi, starannie wypisanymi imionami.

Mariusz poczuł dławienie w gardle, kiedy odwrócił się od wielkiej, rozjaśnionej mapy do gęstego, delikatnie zarysowanego drzewa genealogicznego. Armand uśmiechnął się ze smutkiem, podczas gdy Mael nachmurzył się lekko, chociaż prawdę powiedziawszy, był zdumiony i pełen zachwyty.

Pozostali patrzyli w milczeniu. Eryk znał te tajemnice. Louisowi, najbardziej ludzkiemu z nich wszystkich, łzy stanęły w oczach. Daniel nie ukrywał podziwu, a Khayman patrzył na mapę zgaszonym wzrokiem, jakby jej nie widział, nadal wpatrzony w przeszłość. Gabriela powoli skinęła głową, wydając nieokreślony dźwięk pochwały i zadowolenia.

- Wielka Rodzina - rzekła, nazywając po imieniu to, co miała przed sobą.

Maharet skinęła głową i wskazała na wielką, płaską mapę świata, pokrywającą całą południową ścianę.

Jesse śledziła szerokie, rozlewające się pasmo światełek wychodzące z Palestyny, rozszerzające się

po Europie i ciągnące się do Azji, Afryki, a wreszcie do obu kontynentów Nowego Świata.

Nieskończone jasne punkty migotały różnymi kolorami i Jesse, zmrużywszy oczy, ujrzała rzeczywisty obraz wielkiego rozproszenia. Dostrzegła również stare nazwy kontynentów, państw i mórz, naniesione złotymi literkami na tafłę szkła pokrywającą trójwymiarową iluzję gór, równin i dolin.

- To moi potomkowie - rzekła Maharet - potomkowie Miriam, córki zrodzonej ze mnie i z Khaymana, i potomkowie mojego ludu, którego krew była we mnie i w Miriam. Jak widzicie, linia ciągnie się po kądzieli przez sześć tysięcy lat.

- Niesamowite! - szepnęła Pandora. Ją też ogarnął smutek. Jaka z niej była melancholijna piękność, wspaniała i pełna dystansu, a mimo to emanująca dawnym ciepłem, naturalnym, nieodpartym. To, co widziała, chyba sprawiło jej ból, przypominając o wszystkim, co dawno straciła.

- To tylko jedna wielka ludzka rodzina - rzekła łagodnie Maharet. - A jednak nie ma narodu na ziemi, który nie miałby w sobie jej krwi. Z pewnością istnieje też mnóstwo męskich potomków krwi z naszej krwi; może to być liczba równa tej znanej teraz z imienia. Tych, które udały się na pustkowia Wielkiej Rusi, do Chin, Japonii i innych słabo znanych regionów, nie ujęto w zapisie, jak i wielu innych, które w przeciągu wieków straciłam z oczu z wielu powodów. Niemniej jednak ich następczynie są tutaj! Nie ma takiego ludu, rasy, państwa, które nie zawierałyby cząstki Wielkiej Rodziny! Wielka Rodzina jest arabska, żydowska, angielska, afrykańska, jest hinduska, mongolska, japońska i chińska. Krótko mówiąc, Wielka Rodzina to rodzina człowiecza.

- Tak - szepnął Mariusz. Nadmiar emocji uwidocznił się na jego twarzy, lekki ludzki rumieniec i subtelny błysk w oczach. - Jedna rodzina i wszystkie rodziny... - Podeszedł do ogromnej mapy i nie mógł się powstrzymać, by nie podnieść rąk na widok światła przesuwających się po starannie wymodelowanym terenie.

Jesse poczuła, jak ogarniają atmosferę tamtej dawno minionej nocy, a potem niespodziewanie owe wspomnienia - rozbudzone na chwilę - zgasły, jakby przestały mieć znaczenie. Stała tu oto ze wszystkimi tajemnicami; znów była w komnacie.

Podeszła do ciemnych, delikatnych linii wyrytych na ścianie. Popatrzyła na miriady imion napisanych czarnym atramentem; cofnęła się i prześledziła rozwój jednej gałęzi, jednej delikatnej gałęzi pnącej się z wolna ku sufitowi setką przeróżnych rozgałęzień i skrętów.

W olśniewającym spełnieniu wszystkich snów pomyślała z miłością o każdej z tych dusz, które tworzyły znaną jej Wielką Rodzinę; o tajemnicy dziedziczności i intymności. Ta chwila była poza czasem; ogarnęły ją spokój i cisza. Nie widziała białych twarzy swych nowych krewnych, przepysznych nieśmiertelnych kształtów zatrzymanych w niesamowitym zastygnięciu.

W tej chwili ożyło dla niej coś z prawdziwego świata, coś budzącego zachwyt, smutek i być może najdoskonalszą miłość, do jakiej była zdolna. Przez jeden moment wydawało się, że tajemnicze możliwości naturalnego i nadprzyrodzonego są sobie równe, równe mocą. A wszystkie cuda nieśmiertelnych nie mogą zaćmić blasku tej rozległej i prostej kroniki Wielkiej Rodziny.

Jej dłoń uniosła się, jakby żyła własnym życiem. A gdy światło odbiło się w srebrnej bransolecie Maela, którą nadal nosiła, bez słowa dotknęła palcami ściany. Sto imion zakryła jedną dłonią.

- Oto, co jest teraz zagrożone - powiedział Mariusz głosem ściszonej przez smutek, nie odrywając oczu od mapy.

Jesse była zaskoczona tym, że głos może być tak silny, a jednocześnie tak cichy. Nie - pomyślała

- nikt nie skrzywdzi Wielkiej Rodziny. Nikt nie skrzywdzi Wielkiej Rodziny!

Spojrzały na siebie z Maharet. Oto jesteśmy - pomyślała Jesse - po przeciwnych stronach tego bluszczu, Maharet i ja.

Wezbrał w niej straszliwy ból. Oddzieleniu od całego realnego świata na szerokość otchłani nie sposób było zapobiec; ale myśl, że świat ma zostać zepchnięty w otchłań, była nie do wytrzymania.

Podczas wszystkich długich lat z Talamaską, kiedy napotykała duchy i niespokojne zjawy, poltergeisty zdolne wprawić w przerażenie oszołomione ofiary, jasnowidzów przemawiających w transie językami, których nie znali na jawie, zawsze zdawała sobie sprawę, że nadprzyrodzone nigdy nie zdoła odcisnąć swojej pieczęci na naturalnym. Maharet miała po stokroć rację! To jest bez znaczenia, tak, całkowicie bez znaczenia - nadprzyrodzone było niezdolne do interwencji!

Teraz ten układ miał się zmienić. Nierzeczywiste stało się rzeczywiste. Absurdem było stanąć w tej dziwnej komnacie pośród potężnych i budzących respekt postaci i powiedzieć: „To nie może się zdarzyć”. To coś, to coś nazywane Matką, mogło wydostać się spoza zasłony długo oddzielającej ją od śmiertelnych oczu i dotknąć milionów ludzkich dusz.

Co takiego widział Khayman, patrzący na nią teraz jakby ze zrozumieniem? Czy widział w Jesse swoją córkę?

- Tak - potwierdził. - Moją córkę. Nie lękaj się. Mekare przybędzie, by spełniła się jej klątwa.

Wielka Rodzina będzie żyła dalej.

- Kiedy dowiedziałam się, że Matka powstała - westchnęła Maharet - nie zgadłam, co może uczynić. Tego, że zmiecie z powierzchni własne dzieci, zlikwiduje zło pochodzące od niej samej, od Khaymana i mnie, a także od innych, którzy powodowani samotnością dzielili jej moc - tego naprawdę nie mogłam kwestionować! Jakie mamy prawo do życia? Jakie mamy prawo do nieśmiertelności? Jesteśmy wybrykiem natury, jesteśmy koszmarem. Chociaż chciwie pragnę żyć, pragnę tego jak zawsze, nie mogę powiedzieć, że uczyniła źle, mordując tak wielu...

- Ona wymorduje więcej! - rzekł z rozpaczą Eryk.

- Teraz rzecz w tym, że Wielka Rodzina znalazła się w jej cieniu - powiedziała Maharet. - To światu Wielkiej Rodziny grozi, że stanie się światem Matki. Chyba że...

- Mekare przybędzie - powiedział Khayman. Prosty uśmiech rozjaśnił mu twarz. - I spełni klątwe.

Stworzyłem Mekare i wiem, że ona to zrobi. To jest teraz nasza klątwa.

Maharet uśmiechnęła się, ale to był zupełnie inny uśmiech. Smutny, pobłażliwy i dziwnie zimny.

- Ach, że też wierzysz w taką symetrię, Khaymanie.

- A my umrzemy, wszyscy umrzemy! - powiedział Eryk.

- Musi być jakiś sposób, by ją unicestwić, nie zabijając nas - stwierdziła zimno Gabriela. -

Musimy o tym pomyśleć, być gotowi, mieć jakiś plan.

- Nie możesz zmienić proroctwa - szepnął Khayman.

- Khaymanie, jeśli nauczyliśmy się czegoś - powiedział Mariusz - to tego, że nie ma przeznaczenia. A skoro nie ma przeznaczenia, to nie ma proroctwa. Mekare przybywa tu zrobić to, co poprzysięgła; być może to wszystko, co teraz wie lub na co ją stać, ale to nie znaczy, że Akasza nie potrafi się przed nią obronić. Czy myślisz, że Matka nie wie, iż Mekare powstała?

Czy myślisz, że Matka nie widzi i nie słyszy snów swoich dzieci?

- Ach, lecz cechą proroctw jest to, że spełniają się same - rzekł mu Khayman. - Na tym polega ich czar. W dawnych czasach wszyscy to pojmowali. Moc uroków to moc woli; można by rzec, że w tamtych mrocznych czasach wszyscy byliśmy wielkimi geniuszami psychologii, mogliśmy zostać zgładzeni mocą planów kogoś innego. A sny, Mariuszu, sny są jedynie częścią wielkiego planu.

- Nie mów o tym tak, jakby się już stało - zganiła go Maharet. - Mamy jeszcze jedno narzędzie.

Możemy użyć rozumu. Ten stwór teraz mówi, prawda? Czy rozumie też, co się do niego mówi?

Może da się ją zawrócić...

- Och, zwariowaliście, naprawdę zwariowaliście! - krzyknął Eryk. - Zamierzacie rozmawiać z potworem, który włączy się po świecie, pałac własne potomstwo! - Z każdą chwilą był coraz bardziej przerażony. - Co ten stwór wie o rozumie, skoro podżega proste kobiety, by powstały przeciwko swoim mężom? Ona zna mord, śmierć i gwałt, i nic ponadto, jak jasno wynika z twojej opowieści. My się nie zmieniamy, Maharet. Tyle razy mi to mówiłaś. Doskonalimy tylko swoją istotę.

- Żadne z nas nie chce umrzeć, Eryku - powiedziała cierpliwie Maharet. Nagle coś odwróciło jej uwagę.

W tej samej chwili poczuł to Khayman. Jesse przyjrzała się uważniej im obojgu, usiłując pojąć, co się dzieje. Wtem zdała sobie sprawę, że również w Mariuszu dokonuje się subtelna zmiana.

Eryk był sparaliżowany. Ku zdumieniu Jesse Mael nie odrywał od niej wzroku.

Słyszeli jakiś dźwięk i starali się zlokalizować jego źródło. Wyczytała to w ich oczach. Tak ludzie słuchają oczami.

- Młodzież powinna natychmiast iść do piwnicy - rzucił nagle Eryk.

- To bez sensu - powiedziała Gabriela. - Poza tym ja chcę tu być. - Nie mogła dosłyszeć tego dźwięku, chociaż wyteżała słuch.

- Pozwolisz, by nas zniszczyła? - zwrócił się Eryk do Maharet.

Nie odpowiedziała. Bardzo wolno odwróciła głowę w stronę podestu.

Jesse wreszcie usłyszała to samo co wszyscy. Ludzkie uszy z pewnością nie zdołałyby tego uchwycić; był to dźwiękowy odpowiednik pozbawionego wibracji napięcia przebiegającego przez nią i przez każdy atom w tym pokoju. Dźwięk pochłaniał i dezorientował zmysły, i chociaż widziała, że Maharet rozmawia z Khaymanem, nie słyszała ani słowa z tej wymiany zdań.

Zasłoniła uszy dłońmi, jak przez mgłę widząc, że Daniel robi to samo. Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że to na nic.

Ten dźwięk jakby zawiesił wszelki czas, zawiesił ruch. Jesse traciła równowagę; wycofała się pod ścianę i patrzyła na mapę po drugiej stronie komnaty, jakby oczekiwała stamtąd wsparcia.

Wpatrywała się w łagodny strumień światła wypływającego z Azji Mniejszej ku północy i południowi.

Komnatę wypełniła niewyraźna, nieuchwytna wrzawa. Tamten dźwięk zamarł i zapanowała ogłuszająca cisza.

Jesse miała wrażenie, że przeżywa bezdźwięczny sen. Zobaczyła w drzwiach postać Wampira Lestata, który rzucił się w ramiona Gabrieli. Potem Louis zbliżył się, by go objąć. Gdy Wampir Lestat popatrzył na nią, przed jej oczami pojawił się na ułamek sekundy obraz ceremonialnej stypy, bliźniaczek, trupa na ołtarzu. On nie wiedział, co to znaczy! Nie wiedział.

Kiedy zdała sobie z tego sprawę, doznała szoku. Przypomniała sobie tę chwilę na scenie, kiedy ich rozdzielono, a on z całej siły starał się rozpoznać umykający obraz.

Gdy witał się z wszystkimi, ściskając ich i całując - nawet Armand podszedł do niego, wyciągając ramiona - posłał jej słaby uśmiech.

- Witaj, Jesse - rzekł.

Patrzył na ich zimne, przygnębione twarze. Jakże biała była jego skóra, całkowicie biała; a jednak wciąż miał w sobie dawne ciepło, żywiołowość i niemal dziecinne podniecenie.

CZEŚĆ IV

Królowa Potępionych

a.

Skrzydła poruszają prześwielony słońcem kurz

katedry, w której

przeszłość tkwi

po szyję w marmurze.

Stan Rice „Wiersz o wczolgiwaniu się do łóżka; gorycz” z tomu „Treść dzieła” (1983) b.

W zeszkłonej zieleni żywopłotu,

winorośli

i niejadalnych truskawek

lilie są białe; odległe; nieogarnione.

Gotowe były stać się naszymi strażnikami.

Są barbarzyńcami.

Stan Rice „Fragmenty greckie” z tomu „Treść dzieła” (1983)

Siadła przy końcu stołu, czekając na nich, nieruchoma i spokojna. W świetle paleniska karmazynowa szata przydawała jej skórze blasku.

Kontur jej twarzy i tafle ciemnego szkła ozłacały płomienie, nieskazitelne lustra pokazywały ją wyraziście, jakby odbicie było prawdziwą istotą, unoszącą się w przejrzystym powietrzu nocy.

Czułem lęk. Strach o nich, o mnie i, co dziwne, o nią. Był we mnie chłód, przecucie złego, tego, co ona może uczynić. Ona, zdolna zniszczyć wszystkich, których kiedykolwiek kochałem.

W drzwiach odwróciłem się i jeszcze raz ucałowałem Gabrieleę. Przez chwilę czułem, jak wtula się we mnie całym ciałem, a potem jej uwaga skupiła się na Akaszy. Kiedy dotknęła mojej twarzy, czułem nieznacznie drżenie dłoni. Popatrzyłem na Louisa, pozornie delikatnego i spokojnego, i na Armanda, tego urwisa o twarzy anioła. Ci, których kochasz, są po prostu tymi...

których kochasz.

Kiedy wszedłem do pokoju, Mariusz był sztywny z gniewu, nic nie mogło tego ukryć.

Przeszywał mnie płonącym wzrokiem - mnie, mordercę tamtych biednych, bezbronnych śmiertelnych pozostawionych na stoku góry. Wiedział o tym, prawda? Cały śnieg świata nie mógł zakryć tamtych

jatek.

Potrzebuję, cię, Mariuszu - powiedziałem mu w myślach. - Wszyscy cię potrzebujemy.

Jego umysł był zasłonięty, podobnie jak umysły wszystkich. Czy potrafią ukryć przed nią swoje sekrety?

Kiedy weszli do sali, stanąłem po prawej ręce Akaszy, takie bowiem było jej życzenie, a ja wiedziałem, iż tam jest moje miejsce. Wskazałem Gabrieli i Louisowi miejsca naprzeciwko, blisko siebie, tam, gdzie będę mógł ich widzieć. Widok twarzy Louisa, tak zrezygnowanej, tak smutnej, łamał mi serce.

Rudowłosa kobieta, przedwieczna istota nazywana przez nich Maharet, siadła przy drugim końcu stołu, najbliżej drzwi. Mariusz i Armand po jej prawej stronie, a po lewej ruda młódka, Jesse. Maharet sprawiała wrażenie całkowicie biernej, skupionej, jakby nic nie mogło jej poruszyć. Nietrudno było odkryć źródło tego spokoju. Akasza nie mogła jej skrzywdzić; ani jej, ani drugiego bardzo starego osobnika, Khaymana, który zasiadł po mojej prawej ręce.

Ten o imieniu Eryk był wyraźnie przerażony i niechętnie zasiadł przy stole. Mael również się bał, ale doprowadzało go to do furii. Przeszywał Akaszę wzrokiem, nie starając się ukrywać swoich uczuć.

A Pandora, cudowna piwnooka Pandora siedząca obok Mariusza, sprawiała wrażenie zupełnie obojętnej. Nawet nie spojrzała na Akaszę. Patrzyła przez panoramiczne okno, z rozkoszą przesuwając wzrok po ciemnych pasmach sekwojowych pni i ciernistej zieleni.

Daniel również był zupełnie obojętny. Jego też widziałem na koncercie, chociaż nie wiedziałem, że towarzyszył Armandowi! Nie wyczułem najmniejszego śladu obecności Armanda. Pomyśleć, że wszystko, co nas kiedykolwiek łączyło, było na zawsze stracone. A może nie? Mogliśmy mieć czas dla siebie, Armand i ja, wszyscy mogliśmy go mieć. Daniel wiedział o tym, piękny Daniel, reporter z małym magnetofonem, który rozpoczął tę historię z Louistem na Divisadero Street! To dlatego patrzył na Akaszę ze spokojem, to dlatego smakował chwilę po chwili.

Spojrzałem na czarnowłosego Santina - istotę wręcz królewską, która oceniała mnie z rozmysłem. On też się nie bał, ale z niecierpliwością czekał na to, co się wydarzy. Patrzył na Akaszę, olśniony jej urodą, jakby budziła w nim pamięć jakiejś głębokiej rany. Na chwilę zatliła się w nim stara wiara, znacząca dla niego więcej niż przetrwanie, wiara, która spłonęła w goryczy.

Nie sposób zrozumieć ich wszystkich, trudno ocenić więzi, które ich łączą, nie czas, by pytać o znaczenie dziwnego obrazu dwóch rudych kobiet przy trupie matki, który widziałem przez moment, kiedy patrzyłem na Jesse.

Zastanawiałem się, czy potrafią przejrzeć mój umysł i odsłonić wszystko, co starałem się ukryć; to, co nieświadomie zatajałem przed samym sobą.

Twarz Gabrieli była nieprzenikniona. Jej oczy zmalowały i zszarzały, jakby utraciły wszelkie światło i wszelką barwę; patrzyła to na mnie, to na Akaszę. Czyżby usiłowała coś zrozumieć?

Wtem przeszła mnie straszliwa myśl, że być może oni nigdy się przed nią nie ugną i że stanie się to za sprawą czegoś głęboko w nich zakorzonego, tak jak w moim przypadku. I że zanim opuścimy tę salę, dojdzie do jakiegoś fatalnego rozwiązania.

Przez chwilę byłem jak sparaliżowany. Potem wziąłem Akaszę za rękę. Czułem, jak jej palce delikatnie zamykają się wokół moich.

- Spokojnie, mój książę - rzekła łagodnie i uprzejmie. - Wyczuwasz śmierć w tej sali, ale to śmierć wiary, niczego więcej. - Popatrzyła na Maharet. - Być może śmierć marzeń, które powinny umrzeć dawno temu.

Maharet siedziała obojętna i bez życia. Jej fiołkowe oczy były zmęczone, nabiegłe krwią. Nagle zdałem sobie sprawę, że to były ludzkie oczy. Umierały w jej czaszce. Krew ciągle nasyciała je życiem, ale nie będą trwały wiecznie. Zbyt wiele drobnych nerwów umarło w jej ciele.

Znów ujrzałem tamtą senną wizję. Bliźniaczki, trup przed nimi. Jaki to miało związek z obecną chwilą?

- Żaden - szepnęła Akasza. - To coś dawno zapomnianego, teraz bowiem odpowiedzi nie kryją się w historii. Przekroczyliśmy granice historii. Ona jest wzniesiona na błędach, my zaczniemy od prawdy.

- Czy nic cię nie przekona? - Mariusz od razu przystąpił do rzeczy. Mówił głosem bardziej przyciszonym, niż się tego spodziewałem. Pochylił się do przodu, rozłożył dłonie jak osoba demonstrująca, że pragnie podejść do rzeczy zdroworozsądkowe. - Co możemy powiedzieć?

Chcemy, żebyś zaprzestała tych nawiedzeń. Chcemy, żebyś nie mąciła ludziom w głowach.

Palce Akaszy zacisnęły się na moich. Rudowłosa kobieta wpatrywała się we mnie nabiegłymi krwią fiołkowymi oczami.

- Akaszo, błagam cię - powiedział Mariusz. - Zatrzymaj tę rebelię. Nie pokazuj się więcej śmiertelnym; nie wydawaj dalszych rozkazów.

- A czemu nie, Mariuszu? - Akasza roześmiała się łagodnie. - Bo to tak bardzo niepokoi twój cenny świat, świat, któremu przyglądałeś się przez dwa tysiąclecia? Rzymianie też kiedyś przyglądali się w cyrku życiu i śmierci, jakby były zabawą lub teatrem, jakby cierpienie i śmierć nie miały znaczenia.

- Wiem, ku czemu dążysz - powiedział Mariusz. - Akaszo, nie masz do tego prawa.

- Mariuszu, obecny tu twój uczeń przedstawił mi już te stare argumenty. - Mówiła tonem równie powściągliwym i cierpliwym. - Jednak, co ważniejsze, przenicowałam je po tysiącokroć. Jak myślisz, przez ile wieków słuchałam modlitw świata, roztrzásając sposoby zakończenia nieustającego cyklu ludzkiej przemocy? Przyszedł czas, byście wysłuchali, co chcę wam powiedzieć.

- Mamy odegrać w tym jakąś rolę? - zapytał Santino. - A może zostaniemy zniszczeni jak pozostali? - Jego zachowanie było raczej impulsywne niż aroganckie.

Ruda kobieta po raz pierwszy przejawiała emocje. Jej zmęczone oczy natychmiast spoczęły na Santinie.

- Wy będziecie moimi aniołami - odparła czule Akasza, patrząc na niego. - Wy będziecie moimi bogami. Jeśli nie zechcecie pójść za mną, zniszczę was. Co do starszych, których nie mogę się tak łatwo pozbyć - znów zerknęła na Khaymana i Maharet - to jeśli zwrócą się przeciwko mnie, staną się diabłami i cała ludzkość będzie ich ścigać, a oni, stawiając opór, znakomicie przysłużą się mojemu planowi. Świat taki, jaki mieliście poprzednio... świat, w którym można skrycie polować... musi się skończyć.

Wydawało się, że Eryk przegrywa swą walkę ze strachem. Poruszył się, jakby zamierzał wstać i opuścić salę.

- Cierpliwości - powiedziała Maharet, spoglądając na niego, po czym zwróciła wzrok ku Akaszy.

- Jak można przerwać cykl przemocy, nasiliwszy bezsensowną przemoc? - zapytała cicho Maharet. - Niszczysz samców gatunku ludzkiego. Jaki może być wynik tak okrutnego działania?

- Znasz wynik równie dobrze jak ja - odparła Akasza. - Jest tak prosty, że nie sposób go nie zrozumieć. Był nie do wyobrażenia do tej chwili. Przez wszystkie wieki spędzone w świątyni Mariusza marzyłam o Ziemi będącej ogrodem, o świecie nie zadającym męczarni, o których stale słyszałam i które czułam. Marzyłam o społeczności osiągającej spokój bez tyranii. Potem zdałam sobie sprawę z prostoty rozwiązania; to było jak nadejście poranka. Kobiety są społecznością, która może zrealizować moje marzenie; ale tylko wtedy, kiedy wszyscy mężczyźni... lub prawie wszyscy... zostaną usunięci.

W dawnych wiekach taka rzecz byłaby niewykonalna. Teraz jednak jest prosta; mamy spory zasób technologii, które pomogą ją zrealizować. Po pierwotnym oczyszczeniu będzie się dokonywało selekcji nowo narodzonych; niechciane płody zostaną litościwie usunięte, jak dzieje się to obecnie w przypadku obojga płci. Nie ma właściwie potrzeby, by o tym dyskutować. Nikt z was nie jest głupcem, mimo emocji lub zniecierpliwienia.

Wiecie równie dobrze jak ja, że jeśli męska populacja zostanie ograniczona i pozostanie jeden mężczyzna na sto kobiet, zapanuje powszechny pokój. Położymy kres ślepej przemocy.

Warunkiem zmiany sposobu myślenia jest usunięcie samców. Kto podważy to założenie? Może nie będzie potrzebny nawet jeden na sto. Ale że stać mnie na takie szlachetne rozwiązanie, więc udzielę na nie zezwolenia. Przynajmniej na początku.

Dostrzegłem, że Gabriela chce zabrać głos. Próbowałem dać jej bezsłowny znak, by milczała, lecz zignorowała mnie.

- W porządku, wynik takiej akcji jest oczywisty. Jeśli jednak stosujesz globalną eksterminację, problem pokoju staje się śmieszny. Skreślasz połowę ludzkości. Gdyby mężczyźni i kobiety rodzili się bez rąk i nóg, na świecie panowałby pokój.

- Mężczyźni zasługują na to, co ich niebawem spotka. Cała pleć zbierze żniwo własnej siejby.

Pamiętajcie, mówię o czasowym oczyszczeniu... Właśnie prostota tego planu przesądza o wszystkim. Ujmując rzecz całościowo, życie tych mężczyzn nie zrównoważy życia kobiet zabitych z rąk samców na przestrzeni wieków. Wiecie o tym równie dobrze jak ja. A teraz powiedzcie mi, ilu mężczyzn w dziejach zginęło z rąk kobiet? Jeśli przywrócicie do życia każdego mężczyznę zamordowanego przez kobietę, czy myślicie, że zapełniliby oni chociaż ten dom?

Zrozumcie, nie to przesądza o istocie sprawy. O istocie sprawy... o tym, co się liczy i jest doskonalsze niż sama propozycja... decyduje fakt, że mój plan jest realny. Jestem niezniszczalna, a wy możecie zostać moimi aniołami. Nie ma nikogo, kto mógłby z powodzeniem stawić nam czoło.

- To nieprawda - rzekła Maharet.

Lekki rumieniec gniewu rozpalił policzki Akaszy.

- Twierdzisz, że potrafisz mnie powstrzymać?... - spytała. Wargi jej zeszywniały. - To nierozważna sugestia. Czy śmierć Eryka, Maela i Jessiki nie będzie dla ciebie ceną zbyt wysoką za ten krok?

Maharet nie odpowiedziała. Mael trząsał się, nie ze strachu jednak, lecz z gniewu. Prześlizgnął się wzrokiem po Jesse i Maharet, a potem po mnie. Czuję jego nienawiść.

Akaszka nie odrywała spojrzenia od Maharet.

- Och, znam cię, wierz mi - rzekła nieco łagodniejszym tonem. - Wiem, że nie zmieniłaś się przez wszystkie te lata. Widziałam cię tysiące razy w oczach innych; wiem, iż wciąż wierzysz, że twoja siostra żyje. Może żyje... w jakiejś żalostnej postaci. Wiem, że twoja nienawiść do mnie jedynie się wzmogła, i sięgasz pamięcią wstecz, głęboko, do samego początku, jakbyś mogła znaleźć jakiś porządek lub sens, które wyjaśniłyby to, co się teraz dzieje. Ale jak powiedziałaś mi dawno temu, podczas naszych rozmów w pałacu na brzegach Nilu, nie ma żadnego porządku ani sensu. Nie ma, nie! Są stworzenia widzialne i niewidzialne i straszliwe przypadki mogą dotknąć najbardziej niewinnych spośród nas. Nie pojmujesz? To ma równie zasadnicze znaczenie dla tego, co teraz robię, jak wszystko inne.

Maharet znowu nie odpowiedziała. Siedziała sztywno wyprostowana, a jej piękne, ciemne oczy lekko połyskiwały. Z bólu?

- To ja nadam porządek i sens - rzekła gniewnie Akaszka. - Ja stworzę przyszłość, ja wprowadzę dobro, ja zdefiniuję pokój. Nie będę się powoływać na mitycznych bogów ani na duchy, by usprawiedliwić moje czyny. Nie będę się powoływać na abstrakcyjną moralność ani na historię!

Nie będę się babrać w ziemi, szukając serca i mózgu mojej matki!

Wszyscy zadrżeli. Na twarzy Santina pojawił się gorzki uśmiezek. Louis spojrzał opiekuńczo na Maharet.

Mariusz lękał się gniewu Akaszy.

- Akaszo - rzekł pojednawczo - nawet jeśli udałoby się to osiągnąć, jeśli śmiertelni nie powstaną przeciwko tobie i mężczyźni nie znajdą jakiegoś sposobu, aby cię zniszczyć, zanim zrealizujesz ten plan...

- Jesteś głupcem, Mariuszu, albo bierzesz mnie za głupca. Myślisz, że nie wiem, do czego jest zdolny ten świat? Jaką absurdalną mieszanką dzikości i technologicznej wiedzy jest umysł

współczesnego człowieka?

- Moja królowo, nie myśl, że to wiesz! - powiedział Mariusz. - Naprawdę, nie myśl. Nie sędzę, byś obejmowała umysłem cały świat. Nikt z nas tego nie potrafi; jest on zbyt różnicowany, zbyt ogromny. Usiłujemy go pojąć, ale na próżno. Ty znasz świat, ale nie ten. Znasz swój świat, wybrany z wielu innych z tobie tylko wiadomych powodów.

- Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, Mariuszu. - Potrząsnęła głową w kolejnym przyływie gniewu. - Oszczędziłam cię z bardzo prostego powodu. Chciał tego Lestat, a ponadto jesteś silny i możesz mi pomóc. Uważaj więc, co mówisz.

Oboje zamilkli. Z pewnością wiedział, że ona kłamie. Ja też to rozumiałem. Miłość, którą do niego czuła, była dla niej źródłem poniżenia, więc starała się go zranić i to się jej udało. Mariusz przełknął gniew bez słowa.

- Nawet jeśli to jest wykonalne - naciskał łagodnie - czy możesz szczerze powiedzieć, że ludzie zasłużyli na taką karę?

Poczułem ulgę. Wiedziałem, że nie zabraknie mu odwagi, wiedziałem, że znajdzie jakiś sposób sprowadzenia tego na szerszą płaszczyznę, bez względu na to, czym Akasza będzie mu grozić; wyraził to wszystko, czego ja nie potrafiłem.

- Ach, teraz napawasz mnie obrzydzeniem - powiedziała.

- Akaszo, to prawda, miałem oczy do patrzenia przez dwa tysiące lat - rzekł. - Nazwij mnie Rzymianinem w cyrku, jeśli taka twoja wola, i opowiedz historie z dawno minionych czasów.

Kiedy ukląknę u twoich stóp, błagałem o twoją wiedzę. To, co ujrzałem, napełniło mnie podziwem i miłością do wszystkich śmiertelnych stworzeń. Ludzkość dokonała przełomów, które uważałem za niemożliwe. Czy ludzka rasa nie zdąża właśnie ku erze pokoju, która jest twoim celem?

Jej oblicze wyrażało pogardę.

- Mariuszu - powiedziała - ten wiek przejdzie do historii jako jeden z najkrwawszych w dziejach ludzkości. O jakich rewolucjach opowiadasz? Jeden mały europejski naród eksterminował

miliony dla kaprysu szaleńca, a bomby zamieniły w gruzy całe metropolie. Dzieci w pustynnych państwach Wschodu walczą w imię starożytnego i despotycznego boga. Mariuszu, kobiety całego świata spędzają płody do ścieków. Krzyk głodnych jest ogłuszający, a mimo to nie słyszą go bogacze, zamknięci w technologicznych cytadelach. Choroby i głód szaleją na wszystkich kontynentach,

podczas gdy pacjenci wspaniałych szpitali wydają niewiarygodne bogactwa na kosmetyczne zabiegi pielęgnacyjne i obietnicę wiecznego życia za pomocą pigułek i proszków. -

Roześmiała się cicho. - Czy kiedykolwiek krzyki umierających rozbrzmiewały tak głośno w uszach tych, którzy mogą je usłyszeć? Czy kiedykolwiek rozlano więcej krwi?

Czułem bezradność i gniew Mariusza. Czułem napięcie, z jakim zaciskał dłonie w pięści, szukając w duszy właściwej odpowiedzi.

- Jest coś, czego nie rozumiesz - rzekł wreszcie. - Coś, czego nie udaje ci się pojąć.

- Nie, mój drogi. Wszystko świetnie rozumiem. Jak zawsze. To ty nie pojmujesz. Jak zawsze.

- Popatrz na ten las! - rzekł, wskazując na szklane ściany wokół nas. - Wybierz jedno drzewo i zechciej je opisać w kategoriach tego, co niszczy, w kategoriach tego, przeciwko czemu się buntuje i czego nie spełnia, a otrzymasz potwora o łapczywych korzeniach i niepowstrzymanym rozwoju, który zabiera światło innych roślin, ich pokarm i powietrze. Jednak to nie jest prawda o tym drzewie. To nie cała prawda, kiedy widzi się coś pojedynczego jako część natury, a przez słowo „natura” rozumiem cały arras życia, Akaszo. Rozumiem przez nie coś większego, wszechobejmującego.

- Więc będziesz dalej wyszukiwał powody do optymizmu - powiedziała - jak robiłeś to zawsze.

Daj spokój. Pokaż mi zachodnie miasta, w których nawet biedni dostają codziennie półmiski mięsa i jarzyn, i powiedz, że nie ma już głodu. No cóż, twój uczeń wystarczająco nafaszerował

mnie tą papką, idiotycznymi głupstwami, na których zawsze opierało się samozadowolenie bogaczy. Na świecie panuje chaos i deprawacja. Jest, jak było zawsze albo jeszcze gorzej.

- Och, nie, nie tak - zaprzeczył stanowczo. - Ludzie to istoty wciąż się doskonalące. Jeśli nie dostrzegasz tego, czego się nauczyli, to znaczy, że jesteś ślepa. To stworzenia wiecznie się zmieniające, wiecznie ulepszające, wiecznie poszerzające swoje pole widzenia i zmierzające do dobroci. Nie jesteś uczciwa, gdy nazywasz tę epokę krwawą, nie widzisz światła mroku, nie dostrzegasz ewolucji ludzkiej duszy!

Wstał, podszedł do Akaszy, zajął puste miejsce między nią i Gabrielą, a następnie podniósł jej dłoń.

Obserwowałem go z lękiem. Bałem się, że nie pozwoli mu się dotknąć; jednak ten gest chyba był jej miły; uśmiechnęła się.

- To prawda, co powiedziałaś o wojnie - rzekł, przyznając jej rację, a równocześnie walcząc o zachowanie własnej godności. - Tak, ja też słyszałem krzyki umierających, wszyscy je słyszeliśmy przez dziesiątki lat i nawet teraz świat jest wstrząśnięty codziennymi doniesieniami o zbrojnych konfliktach. Krzyk oburzenia przeciwko tym koszmarom jest właśnie światłem, o którym mówię; jest nim owa nieustępliwość rządzących, którzy po raz pierwszy w historii ludzkości naprawdę chcą położyć kres wszelkim niesprawiedliwościom.

- Mówisz o intelektualnych postawach nielicznej garstki.

- Nie - zaprzeczył. - Mówię o zmieniającej się filozofii, mówię o idealizmie, z którego zrodzą się wszelkie realia. Akaszo, nawet jeśli błędzą, muszą mieć czas na udoskonalenie swoich marzeń.

Czy tego nie rozumiesz?

- Tak! - wyrwało się Louisowi.

Poczułem kurcz serca. Jakże on jest bezbronny! Czy ona skieruje przeciwko niemu swój gniew...

A on kontynuował swym cichym i spokojnym głosem.

- To ich świat, nie nasz - rzekł pokornie. - Przecież wykluczyliśmy się z niego, kiedy utraciliśmy śmiertelność. Nie mamy prawa przerywać ich walki. Jeśli to zrobimy, obrabujemy ich ze zwycięstw, które kosztowały ich zbyt wiele! Postęp dokonany w ostatnich stu latach graniczy z cudem; naprawili zło, które ludzkość uważała za nieuniknione; wprowadzili pojęcie prawdziwej rodziny człowieka.

- Wzruszasz mnie swoją szczerością - odparła. - Oszczędziłam cię tylko dlatego, że Lestat cię kochał. Teraz znam przyczynę tej miłości. Na jaką odwagę musiałeś się zdobyć, by odkryć przede mną swoje serce. Jednakże to ty jesteś najbardziej drapieżny ze wszystkich obecnych tu nieśmiertelnych. Zabijasz bez względu na wiek, płeć czy pragnienie życia.

- W takim razie zabij mnie! - wykrzyknął. - Szkoda, że tego nie zrobiłaś. Ale nie morduj ludzi!

Nie wtrącaj się w ich sprawy! Nawet jeśli zabijają się nawzajem! Daj im czas na to, by wcieliłi w życie nową wizję; daj miastom Zachodu, jakkolwiek by były zepsute, czas na przekazanie swoich idei cierpiącemu i więdnącemu światu.

- Czas - powiedziała Maharet. - Może to jest to, o co naprawdę prosimy. Czas. I to jest to, co możesz dać.

Zapanowało milczenie.

Akasza nie chciała patrzeć na tę kobietę, nie chciała jej słuchać. Czuję jej gniew. Wyjęła dłoń z rąk Mariusza i długo przyglądała się Louisowi. Jej twarz stała się zacięta i prawie okrutna.

- Przez wieki medytowałaś w milczeniu nad najlepszym rozwiązaniem - mówiła dalej Maharet. -

Czym jest następnych sto lat? Przecież nie zaprzeczysz, że ostatnie stulecie przekroczyło wszelkie przewidywania i wyobrażenia i że technologiczny postęp tego wieku może zapewnić pokarm, zdrowie i dach nad głową wszystkim ludom ziemi.

- Czyżby? - zapytała z kpiną w głosie Akasza. Kiedy się odezwała, żar nienawiści gorącej jak piekło rozpałił jej uśmiech. - Oto, co dał światu postęp technologiczny. Trujące gazy, stworzone laboratoryjnie choroby i bomby mogące zniszczyć całą planetę. Dał wycieki nuklearne, które skaziły pokarmy i napoje na wszystkich kontynentach. A wojsko robi to, co zawsze, z większą skutecznością. Arystokratyczna rodzina wymordowana w zaśnieżonym lesie, kwiat inteligencji całego narodu rozstrzelany bez litości. W Sudanie kobiety wciąż są zwyczajowo kaleczone, by ich mężowie mogli

zaznać większej rozkoszy; w Iranie prowadzi się dzieci pod ogień karabinów maszynowych!

- Nie mogłaś widzieć tylko tego - powiedział Mariusz. - Nie wierzę w to. Akaszo, popatrz na mnie. Popatrz na mnie z dobrocią i posłuchaj tego, co usiłuję powiedzieć.

- To bez znaczenia, czy wierzę w to czy nie! - rzekła, tłumiąc gniew. - To ty nie zgadzasz się z tym, co usiłuję ci powiedzieć. Nie uległeś wspaniałej wizji, którą ci zaprezentowałam. Czy nie pojmujesz, jaki dar ci oferuję? Uratowałam cię! A kim będziesz, jeśli tego nie zrobisz?!

Krwio pijcą, mordercą!

Nigdy nie słyszałem w jej głosie takiego podniecenia. Kiedy Mariusz otworzył usta, monarszym gestem nakazała mu milczenie. Popatrzyła na Santina i Armanda.

- Ty, Santino - powiedziała. - Ty, który rządziłeś rzymskimi Dziećmi Ciemności, kiedy wierzyły, że czynią wolę bożą jako pachołki diabła... czy pamiętasz, jak to było, gdy miałeś cel? A ty, Armandzie, przywódco starego, paryskiego sabatu, pamiętasz, jak byłeś świętym ciemności?

Miałeś swoje miejsce pomiędzy niebem a piekłem. Oferuję ci to po raz wtóry i tym razem to nie jest złudzenie. Czy nie potrafisz sięgnąć po swoje utracone ideały?

Żaden nie odpowiedział. Santino był rażony grozą, w jego duszy krwawiła rana. Twarz Armanda nie wyrażała nic poza rozpaczą.

Akasza spochmurniała, ogarnięta fatalistyczną niewiarą. Zrozumiała, że nikt z nich nie przyłączy się do niej. Popatrzyła na Mariusza.

- Twoja ukochana ludzkość! - powiedziała. - Nie nauczyła się niczego przez sześć tysięcy lat!

Mówisz mi o ideałach i celach! Na dworze mego ojca w Uruku byli ludzie, którzy wiedzieli, że głodnych trzeba nakarmić. Wiesz, czym jest twój współczesny świat? Telewizor to tabernakulum, a helikoptery to anioły śmierci!

- W porządku, w takim razie jaki będzie twój świat? - spytał Mariusz. Ręce mu drżały. - Nie wierzysz, że kobiety są gotowe walczyć o swoich mężczyzn?

- Walczyły na Sri Lance, Lestacie? - roześmiała się, spoglądając na mnie. - Walczyły na Haiti?

Walczyły na Lynkonos?

Mariusz wpatrywał się we mnie. Czekał na odpowiedź, pewny, że stanę po jego stronie.

Chciałem przedstawić argumenty, sięgnąć po nici, które mi dała, i pociągnąć je dalej, ale w głowie miałem kompletną pustkę.

- Akaszo - rzekłem. - Zaprzestań tej krwawej jatki. Proszę. Nie okłamuj ludzi, nie mąc im w głowach.

Tak to zabrzmiało... brutalnie i bez polotu, ale to była jedyna prawda, jaką mogłem wyrazić w słowach.

- Tak, do tego bowiem to wszystko się sprowadza - powiedział Mariusz tonem łagodnym, pełnym lęku i niemal błagalnym. - To kłamstwo, Akaszo; to kolejne zabobonne kłamstwo! Czy nie mieliśmy ich dość? I to właśnie teraz, kiedy świat otrząsa się ze starych złudzeń i zrzuca z ołtarzy starych bogów.

- Kłamstwo? - spytała. Szarpnęła się, jakbym ją zranił. - Co jest kłamstwem? Czy kłamałam, kiedy mówiłam im, że sprowadzę na ziemię królestwo pokoju? Czy kłamałam, kiedy mówiłam im, że to na mnie czekały? Nie, nie kłamałam. Jestem tym, za kogo mnie biorą. Jestem wieczna, wszechpotężna i będę je chronić...

- Chronić? - zapytał Mariusz. - Jak możesz je chronić przed najbardziej śmiertelnymi wrogami?

- Jakimi wrogami?

- Chorobami, moja królowo. Nie jesteś uzdrowicielką. Nie możesz dawać życia ani go ratować.

A one oczekują takich cudów. Wszystko, co potrafisz, to zabijać.

Zamilkła. Znieruchomiała. Z jej twarzy nagle uszło życie. Wpatrywała się nieruchomo przed siebie jak kiedyś w świątyni. Była to pustka czy głębokie zamyślenie? Nie umiałem ocenić.

W ciszy trzeszczały polana osuwające się w ogień.

- Akaszo - szepnąłem. - Czas. To, o co prosiła Maharet. Wiek. Tak mało.

Spojrzała na mnie oszołomiona. Czuję oddech śmierci na swojej twarzy, tak blisko, jak wiele lat temu, kiedy wilki zagnały mnie do zamrzniętego lasu i nie mogłem dosięgnąć pierwszych wysokich konarów nagich drzew.

- Wszyscy jesteście moimi wrogami, prawda? - szepnęła. - Nawet ty, mój książę. Jesteś moim nieprzyjacielem. Moim kochankiem i nieprzyjacielem jednocześnie.

- Kocham cię! - powiedziałem. - Ale nie mogę cię okłamywać. Nie potrafię w to uwierzyć!

Właśnie ta prostota i elegancja sprawia, że to jest błędne!

Szybko przesunęła wzrokiem po ich twarzach. Eryk znów był bliski paniki. Czuję wzbierający gniew Maela.

- Nie ma nikogo, kto by stanął u mojego boku? - zapytała szeptem. - Nikogo, kto by chciał

ureczywistnić ten oszalamiający sen? Nikogo, kto by zrezygnował ze swojego egoistycznego światka? - Jej wzrok spoczął na Pandorze. - Biedna marzycielko, rozpaczająca za swym utraconym człowieczeństwem; nie pragniesz odkupienia?

Pandora spojrzała na nią, jakby dzieliło je nieprzejrzyste szkło.

- Nie gustuję w zadawaniu śmierci - odparła jeszcze bardziej jedwabistym szeptem. - Wystarczy mi widzieć ją w spadających liściach. Nie mogę uwierzyć, że krwawa jatka może przynieść dobre skutki. O to właśnie chodzi, królowo. Świat jest wciąż pełen koszmarów, ale dobrzy ludzie wszędzie je potępiają. Ty chcesz sięgnąć po te metody, ty możesz przywrócić im chwałę i zakończyć dialog. - Uśmiechnęła się smutno. - Na nic ci się nie przydam. Nie mam nic do zaoferowania.

Akasza nie odpowiedziała. Omiotła spojrzeniem Maela, Eryka, Jesse.

- Akaszo, historia to różaniec niesprawiedliwości - powiedziałem - nikt temu nie zaprzecza.

Kiedy jednak proste rozwiązania przyniosły cokolwiek oprócz zła? Odpowiedź znajdujemy tylko w złożoności. Ludzie poprzez złożoność brną ku prawości; to powolny i nieporadny marsz, ale zarazem jedyna droga. Prostota wymaga zbyt wielkich ofiar. Zawsze tak było.

- Tak - dodał Mariusz. - Właśnie. Prostota i brutalność są jednym i tym samym w myśli i w czynie. Twoja propozycja jest brutalna!

- Czy nie ma w was pokory? - zapytała. - Nie ma w was chęci zrozumienia? Jesteście wszyscy tak dumni, tak arogancy. Chcecie, aby wasz świat pozostał taki sam, tego bowiem żąda wasza chciwość!

- Nie - odparł Mariusz.

- Co takiego uczyniłam, że zawzięliście się na mnie? - zapytała ostro. Popatrzyła na mnie, na Mariusza, wreszcie na Maharet. - Od Lestata oczekiwałam arogancji, banałów i retoryki, nie sprawdzonych idei. Jednak po was spodziewałam się więcej. Och, jakże mnie zawiedliście. Jak możecie odwracać się od przeznaczenia? Wy, którzy możecie być zbawcami! Jak możecie zaprzeczać temu, co widzieliście?

- Ludzie nie chcą wiedzieć, jacy naprawdę jesteśmy - powiedział Santino. - A kiedy się dowiedzą, powstaną przeciwko nam. Zapragną nieśmiertelnej krwi.

- Nawet kobiety chcą żyć wiecznie - stwierdziła chłodno Maharet. - Nawet kobiety zabiłyby za to.

- Akaszo, to szaleństwo - dodał Mariusz. - To niewykonalne. Nie stawić oporu to nie do pomyślenia dla zachodniego świata.

Oblicze Akaszy pociemniało z gniewu, lecz nawet ogarnięta furją nie przestała być piękna.

- Zawsze mi się sprzeciwiałaś! - powiedziała do Maharet. - Zniszczyłabym cię, gdybym mogła.

Unicestwiłabym tych, których kochasz.

Zapadła głęboka cisza. Wyczuwałem lęk zebranych, chociaż nikt nie ośmielił się poruszyć ani odezwać.

- To ty jesteś arogancka - odparła Maharet, lekko się uśmiechając. - To ty nie nauczyłaś się niczego. To ty nie zmieniłaś się przez sześć tysięcy lat. To twoja dusza wciąż jest prymitywna, podczas gdy śmiertelni podążyli do królestw, do których ty nigdy nie dotrzesz. W swojej izolacji śniłaś, jak śnią tysiące śmiertelnych, wolna od wszelkich sprawdzianów i wyzwań. Teraz wyłaniasz się ze swojego milczenia, gotowa urzeczywistnić te sny dla świata. Przynosisz je tu, do tego stołu, do garstki bratnich stworzeń, a one się rozwiewają. Nie potrafisz ich obronić. Jak ktokolwiek mógłby je obronić? I ty mówisz nam, że nie przyjmujemy do wiadomości tego, co widzimy!

Powoli uniosła się z krzesła. Lekko pochyliła się do przodu, opierając palce na drewnianym blacie.

- No cóż, powiem ci, co widzimy - kontynuowała. - Sześć tysięcy lat temu, kiedy ludzie wierzyli w duchy, wydarzył się pewien przerażający i nieodwracalny wypadek; był tak okropny jak potwory, które od czasu do czasu rodzą się wśród śmiertelnych, a których natura nie może ścierpieć. Ale ty, kurczowo trzymająca się życia, swoich przekonań i królewskich prerogatyw, za nic nie chciałaś przyznać się do pomyłki i jej naprawić. Twoim celem było i jest jej usankcjonowanie, rozwinięcie wielkiej, doskonałej religii. Cóż, w końcu to był wypadek, wypaczenie i nic poza tym. Pomyśl o epokach, które minęły od tamtej mrocznej i złej chwili, pomyśl o innych religiach opartych na czarach, na jakimś objawieniu lub głosie z chmur, opartych na interwencji nadprzyrodzonego, na opowieściach o cudach lub o zmartwychwstaniu śmiertelnego człowieka! Popatrz na efekt twoich religii, które za sprawą irracjonalnych roszczeń zmioły miliony. Popatrz, do czego one doprowadziły w historii ludzkości. Popatrz na wojny prowadzone w ich imieniu, na prześladowania i masakry. Popatrz choćby na zniewolenie umysłu.

Pomyśl o cenie wiary i ślepego zapału.

A ty opowiadasz nam o dzieciach umierających w krajach Wschodu w imię Allacha, wśród trzaskających karabinów i spadających bomb! Ta wojna, o której mówiłaś, kiedy to jeden mały europejski naród usiłował dokonać eksterminacji innego... W imię jakiej wielkiej duchowej wizji nowego świata to robiono? I co świat z tego zapamiętał? Obozy śmierci, piece, w których spalano tysiące trupów. Idee przepadły!

Byłoby nam trudno zdecydować, co gorsze: religia czy czysta idea. Interwencja nadprzyrodzonego czy eleganckie, proste, abstrakcyjne rozwiązanie! Jedno i drugie skąpało świat we krwi, jedno i drugie powaliło ludzi na kolana. Czy nie rozumiesz? To nie człowiek jest wrogiem gatunku ludzkiego, lecz irracjonalność; dusza oddzielona od ciała, od nauki, jaką może udzielić jedno bijące serce lub jedna krwawiąca żyła.

Oskarżasz nas o chciwość. Ach, ona jest naszym zbawieniem, bo dzięki niej wiemy, czym jesteśmy, znamy nasze ograniczenia i grzechy. Ty nigdy nie poznałaś swoich. Jesteś gotowa zacząć to wszystko na nowo, prawda? Wprowadzisz nową religię, ześlesz nowe objawienia, nową falę zabobonów, ofiar i śmierci.

- Kłamiesz - powiedziała Akasza, ledwo tłumiąc furię. - Zdradzasz właśnie to piękno, o którym marzę, zdradzasz je, bo brak ci wizji, brak ci marzeń.

- Piękno jest tam, za oknem! - zawołała Maharet. - Nie zasługuje na twoją przemoc! Jesteś tak

bezlitosna, że niszczenie życia nic dla ciebie nie znaczy! Zawsze tak było!

Napięcie stało się nie do zniesienia. Cały byłem zlany potem i wszędzie wokół widziałem panikę. Tylko młody Daniel wydawał się bez reszty zachwycony. Armand wpatrywał się w Akaszę, jakby to wszystko przekraczało jego zdolność pojmowania.

Akaszka pasowała się ze sobą w milczeniu. Ponownie odzyskała pewność siebie.

- Kłamiesz, jak zawsze - rzekła z rozpaczliwą determinacją. - To bez znaczenia, czy będziesz walczyć po mojej stronie. Zrobię to, co zamierzam; przywrócę tamten moment sprzed tysięcy lat i odkupię go, to dawne zło, które ty i twoja siostra sprowadziłyście do naszej krainy. Przywrócę go i pokażę światu, aż stanie się Betlejem nowej ery, a pokój wreszcie zapanuje na ziemi. Nie było nigdy takiego wielkiego dobra, aby nie trzeba było za nie zapłacić ofiarą i odwagą. A jeśli wy wszyscy obrócić się przeciwko mnie, jeśli wszyscy stawicie mi opór, to stworzę potrzebnych mi aniołów z lepszej gliny.

- Nie, nie zrobisz tego - powiedziała Maharet.

- Akaszo, proszę - rzekł Mariusz. - Daj nam czas. Zgódź się tylko zaczekać, rozważyć. Przecież nic nie musi stać się w tej chwili.

- Właśnie - powiedziałem. - Potrzebujemy trochę czasu. Wyjdźmy stąd razem... ty, ja i Mariusz... poza sny i wizje, wyjdźmy na świat.

- Och, jakże mnie obrażasz i lekceważysz - szepnęła. Jej gniew był zwrócony przeciwko Mariuszowi, ale niebawem miał zwrócić się przeciwko mnie.

- Jest tak wiele rzeczy, tak wiele miejsc, które chcę ci pokazać! Daj nam tylko szansę. Akaszo, przez dwa tysiące lat opiekowałem się tobą, chronilem cię...

- Chroniłeś samego siebie! Chroniłeś źródło swojej mocy, źródło swojego zła!

- Błagam cię - rzekł Mariusz. - Przyjdę do ciebie na kolanach. Tylko miesiąc, żeby pójść ze mną, porozmawiać wspólnie, zbadać wszystkie dowody...

- Jacy mali, jacy egoistyczni - szepnęła Akaszka. - Przecież macie dług wobec świata, który uczynił was tym, kim jesteście, dług, któremu oddalibyście teraz swoją moc, by przeistoczyć się z diabłów w bogów!

Wtedy spojrzała na mnie. Gniew coraz wyraźniej rysował się na jej twarzy.

- A ty, mój książę, który wszedłeś do mojej komnaty, jakbym była Śpiącą Królową, który przywróciłeś mnie do życia namiętymi pocałunkami, zastanowisz się jeszcze? Przez wzgląd na moją miłość? - Łzy znów stanęły jej w oczach. - Czy też musisz łączyć się z nimi przeciwko mnie? - Ujęła w dłonie moją twarz. - Jak możesz mnie zdradzać? Jak możesz zdradzić taki sen?

To gnuśne istoty, oszukańcze, pełne złej woli, ale twoje serce jest czyste. Masz odwagę

wykraczającą poza pragmatyzm. Ty też masz swoje marzenia!

Nie musiałem odpowiadać. Ona wiedziała. Być może wiedziała to lepiej niż ja. A ja w jej czarnych oczach ujrzałem tylko cierpienie. Ból, niezrozumienie i tęsknotę za mną, którą już czuła.

Nagle wydało się, że nie może się poruszyć ani odezwać. Nie mogłem uczynić nic, by uratować ich oraz siebie. Kochałem ją, ale nie mogłem stanąć u jej boku! Błagałem ją bez słów, aby zrozumiała i wybaczyła.

Jej twarz zamarła, prawie tak, jakby tamte głosy ją pochłonęły. Czułem się tak jak wtedy, gdy stałem przed jej tronem, a ona wpiła we mnie swe spojrzenie.

- Zabiję ciebie pierwszego, mój książę - zapowiedziała, łagodnie pieszcząc palcami moją twarz. -

Chcę, żebyś przepadł na zawsze. Nie chcę już nigdy ujrzeć zdrady w twojej twarzy.

- Jeśli go skrzywdzisz - szepnęła Maharet - ruszymy przeciwko tobie jak jeden mąż i jedna niewiasta.

- Ruszycie przeciwko samym sobie! Kiedy skończę z tym, którego kocham, zabiję tych, których ty kochasz, a którzy już powinni być martwi. Wymorduję wszystkich. A kto unicestwi mnie?

- Akaszo - szepnął Mariusz. Wstał i ruszył ku niej, ale w mgnieniu oka powaliła go na podłogę.

Upadł z krzykiem. Santino pospieszył mu z pomocą.

Znów popatrzyła na mnie. Zacisnęła mi dłonie na ramionach, łagodnie, z miłością, jak poprzednio. Przez łzy zobaczyłem jej smutny uśmiech.

- Mój książę, mój piękny książę.

Khayman wstał od stołu. Za nim Eryk i Mael, a potem młodzież i na końcu Pandora, która też przeszła na stronę Mariusza.

Akaszka powstała. Noc była tak cicha, że wydawało się, iż las wzdycha za oknem. Oto, do czego doprowadziłem. Myślałem o tym drobnym, migotliwym fragmencie swojego życia, o małych triumfach, małych tragediach, marzeniach o obudzeniu bogini, o dobroci, o sławie.

Czym była zajęta? Czy oceniała ich potęgę? Patrzyła na nich po kolei, a potem na mnie. Była tu obcą istotą spoglądającą w dół z jakiejś niebotycznej wysokości. A więc nadchodzi ogień, Lestacie. Nie waż się popatrzeć na Gabrielę czy Louisa, żeby ona nie podążyła za twoim wzrokiem. Umrzyj pierwszy, jak tchórz, bo wtedy nie będziesz musiał patrzeć na ich umieranie.

Najgorsze jest to, że nie dowiesz się, kto w końcu wygra - czy ona zatriumfuje, czy też nie, czy przypadniemy wszyscy. Nie dowiesz się, o co w tym wszystkim chodzi. Co, do diabła, znaczył

sen o bliźniaczkach? Jak powstał cały ten świat? Po prostu nigdy się tego nie dowiesz.

Plakałem i ona też płakała; znów była tamtą czułą, wrażliwą istotą, którą obejmowałem na San Domingo. Ta słabość wcale jej nie zabijała, lecz na pewno unicestwi mnie.

- Lestacie... - szepnęła jakby z niedowierzaniem.

- Nie mogę iść za tobą - powiedziałem łamiącym się głosem. - Nie jesteśmy aniołami, Akaszo; nie jesteśmy bogami. Większość z nas przede wszystkim pragnie być ludźmi. To człowiek stał

się dla nas mitem.

Jej widok sprawiał mi rozdzierający ból. Pomyślałem o jej krwi płynącej we mnie i o mocach, jakie mi dała. O wspólnej podróży w chmurach i o euforii w haitańskiej wiosce, kiedy kobiety przyszły z płonącymi świeczkami, śpiewając hymny.

- Ależ to właśnie nastąpi, mój ukochany - szepnęła. - Znajdź w sobie odwagę! Masz ją. -

Krwawe łzy płynęły jej po twarzy. Jej usta drżały, a gładką skórę na czole pocięły idealnie proste zmarszczki sygnalizujące kompletne załamanie.

Nagle wyprostowała się, odrywając ode mnie wzrok. Jej twarz stała się bez wyrazu i znów nieskazitelnie gładka. Patrzyła ponad naszymi głowami i poczułem, że zbiera siły, żeby to zrobić, i że lepiej, by inni szybko wzięli się do roboty. Pragnąłem, żeby jak najszybciej wbili w nią sztylet, i czułem łzy spływające mi po twarzy.

Stało się coś innego. Nie wiadomo skąd dolatywał potężny, łagodny dźwięk. Pękało szkło, masa szkła. Daniel i Jesse zaczęli okazywać podniecenie, a starsi zamarli, wsłuchani w odgłosy pękającego szkła. Ktoś wchodził do domu przez jedne z monumentalnych drzwi.

Cofnęła się o krok, ożywiona, jakby miała wizję. Basowy dźwięk wypełnił klatkę schodową za otwartymi drzwiami. Ktoś był już w dolnym przejściu. Odsunęła się od stołu w kierunku paleniska. Była śmiertelnie wystraszona.

Czy to możliwe? Czy wiedziała, kto się zbliża? Czy bała się, że przybysz może dokonać tego, do czego ci nieliczni nie byli zdolni?

Nie, ona już nie prowadziła takich rozważań; opuściła ją wszelka odwaga, została pokonana, gdyż nie znalazła bratniej duszy, została pokonana przez samotność! Zaczęło się od mojego oporu, a oni pogłębili jej stan, po czym zadałem jej jeszcze jeden cios. Teraz została sparaliżowana przez to głośnie echo, przez nieokreślony dźwięk. Wiedziała, kto się zbliża.

Wszyscy to wiedzieliśmy.

Dźwięk był coraz silniejszy. Gość wchodził po schodach. Świetlik i stare, żelazne pylony wibrowały przy każdym ciężkim kroku.

- Kto to jest?! - Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Znów ujrzałem obraz, tamten obraz trupa matki i bliźniaczek.

- Akaszo! - powiedział Mariusz. - Daj nam czas, o który prosimy. Wyrzeknij się tej chwili. To dość!

- Dość mimo czego?! - krzyknęła ostro, niemal dziko.

- Mimo naszego życia, Akaszo - powiedział. - Mimo całego naszego życia!

Khayman roześmiał się cicho, ten Khayman, który nie odezwał się nawet raz.

Kroki rozległy się na podeście.

Maharet stała przy otwartych drzwiach, a obok niej Mael. Nawet nie zauważyłem, kiedy tam podeszli.

Wtedy ją ujrzałem. To tę kobietę widziałem, jak przedzierała się przez dżungłę, wygrzebywała się spod ziemi, pokonywała długie kilometry nagiej równiny. Druga bliźniaczka ze snów, których nigdy nie rozumiałem! Stała w słabym blasku świetlika, patrząc na Akaszę, stojącą jakieś dziesięć metrów przed nią na tle panoramicznego okna i płonącego ognia.

Och, ale przedstawiała sobą widok. Wszystkim zapało dech w piersiach. Nawet jej włosy były pokryte cienką warstwą ziemi. Błoto - popękane, łuszczące się, ze smugami po deszczu - wciąż przylegało do nagich ramion i stóp, jakby była z niego stworzona, jakby była stworzona z ziemi.

Z przypominającej maskę twarzy spoglądały bezwiednie oczy w czerwonych obwódkach. Miała na sobie łachman, brudny, porwany koc związany w talii konopnym sznurem.

Jaki impuls sprawił, że się okryła, jaka ludzka delikatność kazała temu żywemu trupowi zatrzymać się i sporządzić sobie to proste odzienie, jakie cierpiące resztki ludzkiego serca?

Wpatrzoną w nią Maharet nagle opuściły wszelkie siły, jakby miała paść na podłogę.

- Mekare! - szepnęła.

Kobieta nie widziała jej ani nie słyszała; wpatrywała się w Akaszę oczami błyszczącymi nieustraszoną, zwierzęcą przebiegłością. Królowa stanęła za stołem, szukając sobie osłony; jej oblicze stwardniało, a z oczu wyjrzała nieskrywana nienawiść.

- Mekare! - krzyknęła Maharet, gwałtownie wyciągając dłonie i usiłując złapać kobietę za ramiona i odwrócić ku sobie.

Prawa ręka kobiety wystrzeliła w bok, odrzucając Maharet daleko w głąb sali, aż pod okno.

Wielka szklana tafla zawibrowała, ale się nie rozbiła. Maharet niezdarnie dotknęła jej palcami, a potem z kocią zwinnością rzuciła się w ramiona Eryka, który pospieszył jej z pomocą i instynktownie odciągnął do drzwi. Kobieta z niezmierną siłą odepchnęła stół. Gabriela i Louis szybko schronili się w jednym kącie, a Santino i Armand w przeciwnym, z Maelem, Erykiem i Maharet. Pozostali mogli się tylko cofnąć, a Jesse przesunęła się do drzwi.

Kobieta stała teraz obok Khaymana. Ze zdumieniem ujrzałem na jego twarzy lekki gorzki uśmiech.

- Oto klątwa, moja królowo - rzekł ostrym głosem, który wypełnił cały pokój.

Kobieta zastygła, słysząc jego słowa, ale się nie odwróciła. Akasza, oświetlona migotliwym światłem paleniska, zadrżała i łzy znów popłynęły jej po policzkach.

- Wszyscy jesteście przeciwko mnie, wszyscy! - powiedziała. - Nikt nie stanie u mego boku! -

Popatrzyła na mnie, gdy kobieta ruszyła w jej kierunku.

Jej zabłocone stopy człapały po dywanie, usta miała szeroko otwarte, a dłonie lekko uniesione.

Cała jej postawa świadczyła o poczuciu ogromnego zagrożenia. Wtedy znów odezwał się Khayman. Wołał w nieznaną mowę, coraz głośniejszą, aż jego głos przeszedł w ryk. Zrozumiałem tylko skrawki słów.

- Królowo Potępionych... w godzinie największego zagrożenia... powstanę, żeby cię zatrzymać...

Zrozumiałem. To było proroctwo i klątwa Mekare. Wszyscy obecni o tym wiedzieli, rozumieli, co się stało. To miało związek z tamtym dziwnym, niewytłumaczalnym snem.

- Och, nie, moje dzieci! - wrzasnęła nagle Akasza. - To jeszcze nie koniec!

Czułem, jak zbiera siły; widziałem, jak jej ciało tężeje, jak wypina pierś i unosi dłonie z zagiętymi palcami. Uderzyła kobietę, która cofnęła się nieco, ale natychmiast stawiała opór. Także się wyprostowała i z wyciągniętymi rękami rzuciła się ku Akaszy. Stało się to tak szybko, że nie zdołałem podążyć za nią wzrokiem.

Oblepione błotem palce pomknęły ku Akaszy i czarne włosy królowej zasłoniły jej oblicze.

Wydała straszliwy krzyk, a potem wykręciła głowę, uderzając nią o zachodnie okno i roztrzaskując je. Szkło prysnęło w dół kaskadą wielkich sztyletów.

Doznałem wstrząsu. Nie mogłem oddychać ani się poruszyć. Osunąłem się na podłogę, tracąc władzę w rękach i nogach. Bezgłowe ciało Akaszy waliło się w dół w chmurze odłamków z rozbitego okna. Krew płynęła po szkle. Kobieta dzierżyła w dłoni odciętą głowę Akaszy! Czarne oczy królowej zamrugały i zamarły. Usta rozwarły się jakby do kolejnego krzyku.

Potem wszędzie zaczęło gasnąć światło; było to tak, jakby ogień wygasał, a mimo to płonął

dalej. Kiedy toczyłem się po dywanie, krzyżąc i bezwiednie chwytając go palcami, zobaczyłem przez ciemnoróżową mgłę dalekie płomienie. Próbowałem się unieść. Na próżno. Słyszałem bezgłośnie wołanie Mariusza wzywającego moje imię.

Kiedy uniosłem się na obolałych dłoniach i ramionach, zobaczyłem utkwione we mnie oczy Akaszy. Jej głowa leżała niemal w zasięgu moich rąk. Z kikuta szyi chlustała krew. Nagle jej prawe ramię

zadygotało konwulsyjnie, uniosło się, opadło z powrotem na podłogę i znów się dźwignęło. Bezwładna dłoń sięgała po głowę!

Mogłem jej pomóc! Mogłem użyć mocy danych mi przez nią, żeby poruszyć ciało i pomóc mu dotrzeć do głowy. W słabnącym świetle ujrzałem, jak ciało zatoczyło się, zadrżało i opadło niedaleko głowy.

Jednak bliźniaczki były bliżej! Były tuż obok głowy i ciała. Mekare tępo wpatrywała się w nie tymi nieobecnyimi, obwiedzionymi na czerwono oczami. Maharet, jakby łapiąc ostatni oddech, uklęknęła obok siostry nad ciałem Matki. W sali było coraz ciemniej i chłodniej, a twarz Akaszy bladła, jakby gasło wewnątrz niej wszelkie światło.

Powinienem się bać, powinienem czuć grozę, drżałem i dusiłem się od łez. Opanowało mnie jednak przedziwne podniecenie; nagle pojąłem, co widzę.

- To sen - rzekłem. Własny głos dochodził do mnie z daleka. - Widzicie, oto bliźniaczki i ciało Matki! Obraz ze snu!

Krew z głowy Akaszy wsączała się w dywan; Maharet opadła na podłogę, podpierając się dłońmi, a Mekare też osłabła i pochyliła się nad ciałem, ale to był wciąż ten sam obraz.

Wiedziałem, dlaczego go teraz widzę, wiedziałem, co on znaczy!

- Święta stypa! - krzyknął Mariusz. - Serce i mózg, jedna z was... niech je wchłonie. To jedyna szansa.

Tak, to było to. I one o tym wiedziały! Nikt nie musiał im mówić. Wiedziały! Taki był sens snu!

Oni wszyscy o tym wiedzieli. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy moje oczy się zamykały, gdy pogłębiło się to cudowne wrażenie, to poczucie pełni, czegoś wreszcie zakończonego, czegoś znanego.

Unosiłem się w zupełnej ciemności, jakbym był w ramionach Akaszy, jakbyśmy wznosili się do gwiazd. Ocucił mnie głośny trzask. Nie umarłem jeszcze, ale umieram. Gdzie są ci, których kocham?

Nadal walcząc o życie, próbowałem otworzyć oczy, ale wydawało się to niemożliwe. Wtedy ujrzałem je w gęstniejącym mroku. Ich rude włosy oświetlał mglisty poblask ognia; jedna trzymała w pokrytych błotem palcach mózg, druga - ociekające krwią serce. Były prawie martwe, miały szkliste oczy, poruszały się wolno, jakby były w wodzie. Akasza nadal wpatrywała się przed siebie z otwartymi ustami, z pękniętej czaszki buchała krew. Mekare uniosła mózg do ust, a Maharet położyła serce na jej drugiej dłoni; Mekare wchłonęła jedno i drugie.

Znów ciemność; żadnego światła paleniska; żadnego punktu odniesienia; tylko ból, ból przenikający to coś, czym byłem, co nie miało kończyn, oczu, ust. Ból pulsujący, elektryzujący.

W żaden sposób nie mogłem go odepchnąć, walczyć, wtopić się w niego. Czysty ból.

Ruszałem się jednak. Miotałem się po podłodze. Mimo bólu poczułem dywan; czułem, jak wbijam się w niego stopami, jakbym wspinał się na strome zbocze. A potem usłyszałem trzask ognia, poczułem wiatr wiejący przez otwarte okno, wchłonałem wszystkie słodkie zapachy lasu wpadające do sali. Przeszył mnie gwałtowny wstrząs, ramiona i nogi zadygotały bezwładnie.

Potem znieruchomiałem. Ból ustąpił.

Leżałem, łapiąc ustami powietrze, wpatrując się w roziskrzone odbicie ognia w szklanym suficie, czułem, jak płuca napełniają się powietrzem, i zdałem sobie sprawę, że płaczę rozdzierająco jak dziecko.

Bliźniaczki klęczały odwrócone do nas plecami, objęte ramionami, głowa przy głowie. Ich włosy splotły się, a one pieściły się nawzajem łagodnie i czule, jakby porozumiewały się tylko dotykiem.

Nie potrafiłem zdusić łkania. Odwróciłem się, zakryłem twarz dłońmi i po prostu zanosilem się płaczem. Mariusz był blisko mnie. Gabriela także. Chciałem wziąć ją w ramiona. Chciałem powiedzieć to wszystko, co powinienem - że jest już po wszystkim, że przetrwaliśmy - ale nie mogłem.

Powoli odwróciłem się i jeszcze raz popatrzyłem na twarz Akaszy. Pozostała nie zmieniona, blada i przezroczysta jak szkło! Nawet jej oczy, jej piękne, atramentowo czarne oczy stawały się przezroczyste, jakby były całkowicie pozbawione barwy; jakby dawniej całe były z krwi. Włosy, miękkie i jedwabiste, rozścieliły się pod policzkiem, zaschła krew był lśniąca i rubinowo-czerwona.

Nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Nie chciałem. Otworzyłem usta, żeby wypowiedzieć jej imię, i słowo zamarło na wargach. Nie powinienem teraz tego robić. Nigdy nie powinienem. Nie powinienem był wspinać się po tamtych marmurowych stopniach i całować jej twarzy w sanktuarium.

Wszyscy wracali do życia. Armand ścisnął Daniela i Louisa, którzy wciąż nie mogli utrzymać się na nogach. Pojawił się Khayman z Jesse u boku. Pozostali również mieli się dobrze. Pandora drżała, płacz wykrzywił jej usta, stała ze skulonymi ramionami, jakby było jej zimno.

Powstały także bliźniaczki. Maharet obejmowała Mekare, która wpatrywała się przed siebie wzrokiem pozbawionym wyrazu, jak żywy posąg. Wtedy Maharet rzekła:

- Patrzajcie. Oto Królowa Potępionych.

CZEŚĆ V

...Świat na wieki wieków, amen

Niektóre stworzenia rozjaśniają się z nadejściem nocy

i smutek w Rembrandta przemieniają.

Ale przeważnie pośpiech czasu

to żart; z nas. Cma płomienista

nie może się śmiać. Co za szczęście.

Mity umarły.

...

Stan Rice „Wiersz o wczolgiwaniu się do łóżka; gorycz” z tomu „Treść dzieła” (1983) Miami. Miasto wampirów - wrzące, zatłoczone, piękne aż zapiera dech. Tygiel, bazar, arena.

Straceńcy i chciwi sprzęgli się tu w podstępnych konszachtach, tu niebo należy do wszystkich, a plaża ciągnie się w nieskończoność; światła miasta zaćmiewają niebo, a morze jest ciepłe jak krew.

Miami. Teren radosnych polowań czarta. To dlatego jesteśmy tutaj, w białej willi Armanda na Nocnej Wyspie, otoczeni wszelkimi możliwymi luksusami i bezbrzeżną południową nocą.

Tam, za wodą, czeka na nas Miami; czekają ofiary: alfonsi, złodzieje, królowie narkotyków i mordercy. Bezimienni; tak wielu równie złych jak ja.

Armand z Mariuszem oddalili się o wschodzie słońca; teraz wrócili i Armand z Santinem grają w salonie w szachy, Mariusz jest pochłonięty swoim ulubionym zajęciem, czyta, usadowiwszy się wygodnie w skórzanym fotelu przy oknie wychodzącym na plażę.

Gabriela nie pojawiła się tego wieczoru, od wyjazdu Jesse często bywa samotna.

Khayman siedzi w gabinecie na dole, rozmawiając z Danielem, który z lubością głoduje, ostrząc sobie apetyt, i chce wiedzieć wszystko o tym, jak to było w starożytnym Milecie, Atenach, Troi.

Och, w Troi przede wszystkim. Ja sam jestem nią zaintrygowany.

Lubię Daniela. Może wyjdzie ze mną później, jeśli zdobędę się na opuszczenie wyspy, co zrobiłem tylko raz od przybycia. Daniel potrafi śmiać się ze ścieżki, jaką księżyc znaczy na wodzie, lub z ciepłego wodnego pyłu na swojej twarzy. Dla niego wszystko - nawet jej śmierć -

jest widowiskiem. Nie można mieć o to do niego pretensji.

Pandora prawie wcale nie odchodzi od telewizora. Mariusz sprawił jej szykowne, nowoczesne ciuchy - satynowe bluzki, wysokie do kolan buty, welwetowe rozcinane spódnice. Nakłada jej bransolety na ramiona i pierścionki na palce, a każdego wieczora czesze jej długie, kasztanowe włosy. Czasem daje jej drobne prezenty, na przykład flakonik perfum, ale jeśli sam ich nie otwiera, leżą nie tknięte na stole. Podobnie jak Armand, Pandora wpatruje się bez końca w filmy wideo. Czasem zasiada do fortepianu w pokoju muzycznym i przez krótki czas cicho gra.

Podoba mi się jej gra. Idealnie spokojne wariacje przypominały „Die Kunst der Fuge”. Jednak martwił mnie jej stan. Pozostali ozdrowieli po tym, co zaszło, szybciej, niż mogłem się spodziewać. Ona doznała ciosu, który nadwątlił jej żywotną część, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło.

Jednakże podobało się jej tu; wiedziałem. Jak mogłoby jej się nie podobać? Wszystkim nam się tu podoba. Nawet Gabrieli.

Białe pokoje pełne wspaniałych persów i intrygujących obrazów - Matisse, Monet, Picasso, Giotto, Gericault. Można by poświęcić sto lat na oglądanie tych dzieł. Armand nieustannie zmienia je, przewiesza, przynosi z piwnicy nowe skarby, wstawia to tu, to tam małe szkice.

Jesse też strasznie się tu podobało, chociaż już wyjechała na spotkanie z Maharet w Rangunie.

Przed wyjazdem zjawiała się w moim gabinecie i opowiedziała mi swoją wersję zdarzeń, nie ukrywając niczego i prosząc o zmianę nazwisk oraz całkowite pominięcie Talamaski, czego oczywiście nie uczyniłem. Słuchałem w milczeniu, przeczesując jej umysł w poszukiwaniu opuszczanych fragmentów. Następnie przelałem to w komputer, podczas gdy ona przypatrywała się, zamyślona, wpatrzona w ciemnopopielate atlasowe story, wenecki zegar i zimne kolory Morandiego na ścianie.

Chyba wiedziała, że nie spełnię jej prośb. Wiedziała też, że jest to pozbawione znaczenia.

Niepodobna, by ktokolwiek uwierzył w istnienie Talamaski - podobnie jak w nasze - pod warunkiem, że nie będzie to Aaron, który kiedyś zadzwonił do Jesse.

Jeśli chodzi o Wielką Rodzinę, to cóż, niepodobna, by jakiś jej członek uznał tę książkę za coś więcej niż wymysł pisarza doprawiony szczyptą prawdy.

Tak powszechnie osądzono „Wywiad z wampirem” i moją autobiografię. Tego samego należało się więc spodziewać w przypadku „Królowej potępionych”. Tak właśnie powinno być. Nawet ja się w tym zgadzam. Maharet miała rację. Nie ma dla nas miejsca; nie ma miejsca dla Boga ani diabła; niech nadprzyrodzone będzie tylko metaforą, bez względu na to, czy mamy do czynienia z sumą w katedrze Świętego Patryka czy z operowym Faustem sprzedającym duszę, czy też z gwiazdą rocka udającą wampira.

* * *

Nikt nie wie, dokąd Maharet zabrała Mekare. Zapewne nawet Eryk tego nie wiedział, chociaż wyjechał z nimi, obiecując spotkać się z Jesse w Rangunie.

Przed opuszczeniem warowni w Sonomie Maharet zaskoczyła mnie, szepnąwszy:

- Niczego nie ukrywaj, kiedy będziesz opowiadał legendę o bliźniaczkach.

To było chyba przyzwolenie, prawda? A może ogromna obojętność. Nie jestem pewien. Nie zwierzałem się nikomu, że piszę książkę, te kroniki uwiedzenia i bólu. Poświęcałem jej długie godziny posępnych, bolesnych rozmyślań, rozważając rzecz samotnie w kategoriach rozdziałów, konstrukcji, szlaków przez tajemnice.

Tamtego ostatniego wieczoru Maharet wyglądała światowo, niemniej jednak tajemniczo.

Spotkała się ze mną w lesie, przyodziana w czerń i z modnym makijażem - zręczną maską z kosmetyków, przemieniającą ją w ponętą śmiertelniczkę, którą w prawdziwym świecie napotkać mogły tylko admirujące spojrzenia. Miała niewiarygodnie wąską talię i długie dłonie podkreślone ciasnymi czarnymi mitenkami. Niezwykle ostrożnie omijała paprocie i wątłe drzewka, ona, która mogła usuwać pnie zalegające jej drogę.

Była w San Francisco z Jessicą i Gabrielą; opowiadała, jak chodziły wąskimi czystymi chodnikami pełnymi ludzi i mijaly wesoło oświetlone domy. Jakże precyzyjny i oszczędny był jej język, jakże niewymuszenie nowoczesny; zupełnie jakby nie była kobietą, której czas się nie miał, a którą po raz pierwszy ujrzałem w sali w wierzchołku góry.

Czemu znowu jesteś sam? - zapytała, siadając przy mnie nad małym strumykiem, wijącym się przez gęstwinę sekwoi. Czemu nie rozmawiam z innymi, chociaż trochę? Czy wiem, jak bardzo zależało im na mnie i jaką obawą napawał ich mój los?

Wciąż zadają mi te pytania. Nawet Gabriela, która zasadniczo nie zawraca nikomu głowy i nigdy nie rozwodzi się nad niczym. Chcą wiedzieć, kiedy wrócę do zdrowia, kiedy zamierzam opowiedzieć, co się stało, kiedy przestanę pisać po całych nocach.

Maharet zapowiedziała, że niebawem znów się spotkamy. Wiosną być może zaprosi nas do swego domu w Burmie. A może zaskoczy nas któregoś wieczoru. Najważniejsze jest jednak to, że nigdy już nie mieliśmy być od siebie odizolowani, posiadliśmy bowiem środki, by się wzajemnie odnajdywać, choćbyśmy włóczyli się nie wiedzieć gdzie. Tak, przynajmniej co do tego zasadniczego punktu wszyscy się zgodzili. Nawet Gabriela, samotna wędrowniczka. Nikt nie chciał już zagubić się w czasie.

A Mekare? Czy zobaczymy ją jeszcze? Czy kiedyś usiądzie z nami przy stole? Przemówi do nas językiem gestów i znaków?

Tylko raz ukazała się moim oczom po tamtej straszliwej nocy. Było to zupełnie nieoczekiwane.

Wracałem przez las do warowni w łagodnym purpurowym blasku przedświtu. Mgła pełzała po ziemi, rzednąc nad paprociami i rzadko rozrzuconymi dzikimi kwiatami, blednąc całkowicie w górze i znikając. Za jej sprawą gigantyczne pnie świeciły pozornie własnym światłem.

Bliźniaczki objęte ramionami szły przez tę mgłę, wzdłuż koryta strumienia wijącego się między kamieniami; Mekare była w długiej wełnianej szacie, równie pięknej jak szata siostry. Włosy, wyszczotkowane i lśniące, opadały jej na ramiona i piersi.

Maharet chyba mówiła coś Mekare do ucha. Nagle Mekare zatrzymała się, by na mnie spojrzeć.

Jej zielone oczy rozszerzyły się, a pozbawiona wyrazu twarz w jednej chwili stała się nie wiedzieć czemu przerażająca, przez co smutek smagał mi serce jak palący wiatr. Stałem zauroczony, patrząc na nią, na nie obie; ból dusił mnie, jakby płuca mi wysychały.

Nie wiem, o czym myślałem; ogarnął mnie ból nie do wytrzymania. Maharet pozdrowiła mnie

drobnym, czułym gestem, dając do zrozumienia, że powinienem iść dalej. Nadchodził ranek. Las budził się wkoło i nasze cenne chwile uciekały. Ból wreszcie ucichł, opuścił mnie niczym jęk, a ja, odwróciwszy się, zostawiłem go za sobą.

Zerknąłem jeszcze raz na dwie postaci oddalające się ku wschodowi, w dół pomarszczonej, srebrnej strugi, jakby niknące wśród szumu wody płynącej nieznużenie pomiędzy rozrzuconymi głazami.

Stary obraz ze snu zatarł się trochę. Kiedy o nim myślę, nie widzę świętej stypy, lecz właśnie tę chwilę, dwie sylfidy w lesie. Kilka nocy później Maharet opuściła warownię w Sonomie, zabierając ze sobą Mekare.

Byłem zadowolony z ich wyjazdu, znaczyło to bowiem, że i my niebawem wyjedziemy. Nie martwiło mnie, że nigdy więcej nie ujrzę tego domu ani jego okolic. Pobyt tam był dla mnie męką, a pierwsze noce po katastrofie okazały się najgorsze.

Wymowne milczenie innych niezwykle szybko ustąpiło miejsca nie kończącym się analizom, interpretacjom tego, co widzieli i czuli. Jak przeniosło się owo coś? Czy porzuciło tkanki rozszarpywanego mózgu i pomknęło krwiobiegem Mekare, aż natrafiło na bliźniaczy organ?

Czy zjedzenie serca miało w ogóle jakieś znaczenie?

Molekularny, nukleoniczny, solitony, protoplazma - efektowne, nowoczesne słówka! Dajcie spokój, jesteśmy wampirami! Rozkoszujemy się krwią żywych, zabijamy i uwielbiamy zabijać, bez względu na to, czy jest nam to potrzebne czy nie.

Nie mogłem znieść tych rozmówek, nie mogłem wytrzymać ich bezsłownej, niemniej jednak obsesyjnej ciekawości: „Jak to z nią było? Co robiłeś przez te kilka nocy?” A zarazem nie mogłem się od nich oderwać; z pewnością brakowało mi siły woli, by odejść; dygotałem, kiedy byłem z nimi; dygotałem, kiedy byłem sam.

Las był dla mnie zbyt płytki; włóczyłem się kilometrami przez mamucie sekwoje, a potem między karłowatymi dębami i po otwartych polach, by powrócić w wilgotny, zwarty drzewostan.

Nie dało się uciec od ich głosów. Louis wyznawał, że stracił świadomość podczas tamtych okropnych chwil, Daniel powiadał, że słyszał nasze wołania, lecz niczego nie widział, Jesse, w ramionach Khaymana, była świadkiem wszystkiego.

Jak często rozważali fakt, że Mekare pokonała swojego wroga na ludzki sposób; że nic nie wiedząc o niewidzialnych mocach, zadała cios na ludzką modłę, ale z nieludzką szybkością i siłą.

Czy coś z niej przetrwało w Mekare? Nie przestawałem tego roztrząsać. Mniejsza już o „poetrykę nauki”, jak nazwała to Maharet. Chciałem to wiedzieć, a także to, czy jej dusza uwolniła się wreszcie, kiedy wydarto jej mózg.

Czasem budziłem się w tamtej mrocznej, przypominającej plaster miodu piwnicy obitej blachą, podzielonej na niezliczone, pozbawione indywidualnych cech komory, pewien, że spoczywa tuż przy mnie, nie dalej niż centymetry od mojej twarzy. Znów czułem jej włosy, uścisk jej ramion, widziałem

czarny blask jej oczu. Macałem w ciemności; nic, tylko wilgotny ceglany mur.

Leżałem i myślałem o biednej Małej Jenks, którą ona mi pokazała, unosząc się wirowym ruchem w górę. Widziałem różnokolorowe światła otulające Małą Jenks, kiedy po raz ostatni patrzyła z wysokości na ziemię. Jak ten biedny dzieciak zakochany w motocyklach mógłby wymyślić taką wizję? Może w końcu - naprawdę wracamy do domu? Skąd możemy to wiedzieć.

Tak więc pozostajemy nieśmiertelni, wystraszeni, zakotwiczeni w tym, co potrafimy kontrolować. Wszystko zaczyna się na nowo; koło idzie w ruch; jesteśmy niedościgłymi wampirami, bo nie ma innych; stworzył się nowy sabat.

* * *

Opuściliśmy warownię w Sonomie jak cygański tabor. Procesją lśniących czarnych samochodów z zabójczą prędkością przemierzaliśmy nocą idealne szosy Ameryki. Właśnie podczas tej długiej jazdy opowiedzieli mi wszystko - spontanicznie, a czasem niechęć, kiedy rozmawiali ze sobą.

Wszystko, co się wydarzyło, było jak mozaika. Nawet kiedy drzemałem na niebieskiej aksamitnej tapicerce, słyszałem ich, widziałem to, co oni widzieli wcześniej.

W dół, do bagiennej krainy południowej Florydy, w dół, do wielkiego dekadentckiego Miami, parodii nieba i piekła zarazem.

Bezwłocznie zamknąłem się w tym małym, ze smakiem urządzonym apartamencie. Sofy, dywan, blade pastelowe malunki Piera Della Francesca, komputer na stole, muzyka Vivaldiego płynąca z głośniczków ukrytych w wytapetowanych ścianach. Prywatne schody do piwnicy, gdzie w wyłożonej stalą krypcie czekała trumna: czarny lakier, mosiężne uchwyty, zapalka i ogarek, wyściółka ozdobiona białą koronką.

Żądza krwi, przeraźliwie bolesna, choć krew jest zbyteczna, niemniej jednak tej żądzy nie można się oprzeć. Tak będzie po wieczność; pragnienie krwi nigdy nie ustąpi. Jest nawet większe niż poprzednio.

Kiedy nie pisałem, kładłem się na szarym brokatowym dywanie, obserwowałem wielkie liście palm i słuchałem głosów z dołu. Louis z całą uprzejmością błagał Jesse, by jeszcze raz opisała mu zjawę Klaudii. A troskliwa Jesse mówiła mu konfidentycznie:

- Ależ, Louisie, to nie było naprawdę.

Teraz, po wyjeździe Jesse, Gabriela tęskni; dawniej godzinami spacerowały razem po plaży.

Chyba nie zamieniły nawet słowa; ale czy można być tego pewnym?

Gabriela coraz częściej sprawiała mi małe radości. Nosila luźno rozpuszczone włosy, bo wie, że takie uwielbiam, i zaglądała do mnie nad ranem. Czasem rzuca mi niespokojne, sondujące spojrzenia.

- Chcesz się stąd wynieść, prawda? - pytam z niepokojem.

- Nie - zaprzecza. - Tu mi się podoba. To miejscami odpowiada. - Kiedy nie może znaleźć sobie miejsca, udaje się na pobliskie wyspy. Lubi je, ale nie o nich chce mówić. Coś innego leży jej na sercu i raz prawie to wyraziła.

- Powiedz mi... - przerwała.

- Czy ją kochałem? - zapytałem. - To chciałaś wiedzieć? Tak, kochałem ją.

Wciąż nie potrafię wypowiedzieć jej imienia.

* * *

Mael wyjeżdża i wraca.

Nie było go tydzień; właśnie wrócił i siedzi na dole, usiłując wciągnąć Khaymana do rozmowy.

Khayman fascynuje wszystkich. Pierwsze Plemię. Cała tamta moc. Pomyśleć, że chodził ulicami Troi.

Jego widok jest zawsze zaskakujący, jeśli można tak powiedzieć.

Zadaje sobie wiele trudu, by przybrać ludzki wygląd. W takim klimacie nie jest to łatwe. Gruba odzież zwraca uwagę. Czasem smaruje się ciemną farbą - paloną sianą zmieszaną z niewielką ilością wonnego olejku. Szpecenie takiej urody to czysta zbrodnia; lecz jak inaczej mógłby prześlizgiwać się przez tłum ludzi?

Czasem puka do moich drzwi.

- Czy ty w ogóle wychodzisz? - pyta.

Rzuca okiem na stos kartek obok komputera, na czarne litery: Królowa Potępionych. Stoi, pozwalając mi przesiewać swój umysł w poszukiwaniu wszystkich drobiazgów, na wpół

zapomnianych chwil; nie dba o to. Chyba budzę jego zdumienie, ale dlaczego, tego nie potrafię sobie wyobrazić. Czego chce ode mnie? Potem uśmiecham się tym wstrząsająco świątobliwym uśmiechem.

Czasami bierze łódź - czarnego ślizgacza Armanda - i dryfuje w zatoce, leżąc i patrząc w gwiazdy. Raz Gabriela udała się z nim i kusiło mnie, by pokonać tę odległość i podsłuchać ich intymnej rozmowy. Nie zrobiłem tego. Po prostu wydało mi się to nieuczciwe.

Czasami mówi, że obawia się utraty pamięci; że nie zdoła odnaleźć drogi do domu, do nas.

Jednak jeśli nawet zdarzało mu się to w przeszłości, to powodem był ból; a teraz przecież czuje się szczęśliwy. Chce, byśmy wiedzieli, jak bardzo jest szczęśliwy z nami wszystkimi.

Wygląda na to, że oni tam na dole osiągnęli porozumienie - że zawsze tu wrócą, bez względu na to, dokąd się udadzą. To będzie dom sabatowy, sanktuarium; nigdy już nie stanie się tym, czym był wcześniej.

Ustalili wiele rzeczy. Nikt nie ma już nikogo stwarzać i nikt nie ma już pisać książek, chociaż oczywiście wiedzą, że właśnie to robię, że wyciągam od nich po cichu co tylko się da i że nie zamierzam zastosować się do żadnych zasad narzuconych mi przez kogokolwiek, jak nie stosowałem się do nich w przeszłości.

Czują ulgę, że Wampir Lestat umarł na kartach gazet, że pogrom na koncercie uległ

zapomnieniu. Żadnych udokumentowanych wypadków śmiertelnych, żadnych poważnych uszkodzeń ciała, wszyscy hojnie opłaceni. Kapela otrzymała moją zgodę na wszystko i jest w trasie pod starą nazwą.

Zamieszki - krótka epoka cudów - również poszły w zapomnienie, chociaż raczej nie wyglądało na to, by kiedykolwiek udało się je satysfakcjonująco wyjaśnić.

Tak, żadnych więcej objawień, zakłóceń, interwencji; taka była ich kolektywna przysięga. I uprzejmie prosimy nie zostawiać trupów na widoku.

Wciąż wbijają do głowy roztrzepanemu Danielowi, że nawet w dzikiej, wielkowiejskiej dżungli, takiej jak Miami, trzeba zawsze uprzątnąć resztki posiłku.

Ach, Miami. Znów je słyszę, odległy krzyk tak wielu zdesperowanych ludzi, dudnienie tych wszystkich machin, wielkich i małych. Wcześniej, kiedy leżałem jak kłoda na dywanie, pozwalałem tym odgłosom siebie opływać. Potrafiłem kierować swoją mocą; przesiewać i skupiać, wzmacniać cały chór różnych dźwięków. Jednakże pozbyłem się jej; nie umiałem wykorzystywać jej z przekonaniem, tak jak nie potrafiłem wykorzystać mojej nowej siły.

Uwielbiam bliskość tego miasta. Uwielbiam jego rozlazłość i wspaniałość, rudery hoteli i wielogwiazdkowe drapacze chmur, upalne wiatry, ohydne zepsucie.

Właśnie słuchałem tej nie kończącej się muzyki miasta; tego basowego dudnienia.

- W takim razie dlaczego tam nie popłyniesz?

Mariusz.

Podniosłem głowę znad komputera. Powoli, żeby chociaż troszeczkę go podrażnić, chociaż był najbardziej cierpliwy pośród nieśmiertelnych.

Stał na tarasie oparty o framugę drzwi, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i nogą założoną na nogę. Za nim błyszczały światła miasta. Czy w starożytnym świecie było coś takiego jak ten widok miasta gęstego od wieżowców jarzących się ogniem niczym wąskie ruszty staromodnych kuchenek gazowych?

Włosy miał krótko przycięte. Był ubrany w prosty, niemniej jednak elegancki dwudziestowieczny garnitur: luźna marynarka z szarego jedwabiu i spodnie, a czerwonym akcentem (zawsze bowiem miał na sobie coś czerwonego) był ciemny, cienki golf.

- Chcę, żebyś odłożył książkę i dołączył do nas - powiedział. - Siedzisz tu zamknięty już ponad miesiąc.

- Czasem wychodzę. - Lubiłem na niego patrzeć, podziwiać neonowy błękit jego oczu.

- Jaki jest cel tej książki? Czy zdradzisz mi chociaż tyle?

Nie odpowiedziałem. Naciskał trochę mocniej, chociaż całkiem uprzejmym tonem.

- Te piosenki i autobiografia, to nie dość?

Usiłowałem zrozumieć, dzięki czemu wygląda tak ujmująco. Może to te drobne zmarszczki, które ożywały wokół jego oczu, te kurze łapki, pojawiające się i znikające, kiedy mówił. Widok jego wielkich oczu był niezwykły.

Skierowałem wzrok na monitor. Miałem przed sobą elektroniczny wizerunek języka. Niebawem miałem skończyć. Oni wszyscy o tym wiedzieli. To dlatego z własnej woli podawali tak dużo informacji; pukali, przychodzili, mówili, a potem wychodzili.

- Po co o tym mówić? - spytałem. - Chcę stworzyć zapis tego, co się wydarzyło. Wiedziałaś o tym, kiedy opowiadałaś mi, jak to było z tobą.

- Tak, ale dla kogo jest ten zapis?

Pomyślałem o wszystkich fanach na widowni, o życiu na świeczniku, a potem o tamtych upiornych chwilach u jej boku, kiedy byłem bogiem bez imienia. Nagle zrobiło mi się zimno, mimo pieszczącego ciepła i powiewu idącego od wody. Czy miała rację, nazywając nas samolubnymi i chciwymi, mówiąc, że chęć zachowania świata bez zmian dowodzi egoizmu z naszej strony?

- Znasz odpowiedź na to pytanie - rzekł. Podeszedł trochę bliżej i położył rękę na oparciu mojego krzesła.

- To było głupie marzenie, prawda? - To pytanie sprawiało ból. - Nigdy nie dałoby się go zrealizować, nawet gdybyśmy ogłosili ją boginią i słuchali każdego jej rozkazu?

- To było szaleństwo - powiedział. - Powstrzymano by ją; zniszczono.

Milczałem.

- Świat jej nie chciał - dodał. - Oto, czego nie mogła nigdy pojąć.

- Myślę, że jednak wiedziała. Nie było dla niej miejsca, nie było sposobu, by świat uznał jej wartość i by stała się w jego oczach tym, za kogo się uważała. Zrozumiała to, kiedy popatrzyła w twoje oczy i zobaczyła w nich mur, którego nigdy nie mogłaby obalić. Była ostrożna. Wybierała miejscowości tak prymitywne i niezmiennione jak ona sama.

- A zatem, znasz odpowiedź na swoje pytania. Dlaczego więc wciąż je zadajesz? Czemu zamykasz

się w sobie ze swoim smutkiem?

Nie odpowiedziałem. Znowu ujrzałem jej oczy. „Dlaczego nie możesz we mnie uwierzyć?”

- Przebaczyłeś mi wszystko? - spytałem.

- Nie można cię winić - rzekł. - Ona czekała, słuchała. Wcześniej czy później coś poruszyłoby w niej wolę. Takie niebezpieczeństwo istniało zawsze. Tak naprawdę to, że się obudziła, było zarówno przypadkiem, jak i początkiem. - Westchnął. Znowu usłyszałem w jego głosie gorycz, taką jak w pierwsze noce po tamtym, kiedy też był pełen smutku. - Zawsze wiedziałem o niebezpieczeństwie - zamruczał. - Może chciałem wierzyć, że jest boginią. Dopóki się nie obudziła. Dopóki się do mnie nie odezwała. Dopóki się nie uśmiechnęła.

Znowu był nieobecny. Myślał o tamtej chwili, zanim runął lód i przyszpilił go bezbronno na tak długo. Odsunął się powoli, z wahaniem, a potem wyszedł na taras i spojrzał na plażę. Jakże swobodnie się poruszał. Czy starożytni tak samo opierali łokcie na kamiennej balustradzie?

Wyszedłem za nim. Patrzyłem na drugi brzeg wielkiej wodnej przepaści, na rozmigotane odbicie miejskiego horyzontu.

- Czy wiesz, jak to jest, nie nosić tamtego ciężaru? - szepnął. - Po raz pierwszy wiedzieć, że jestem wolny?

Nie odpowiedziałem. Bez wątpienia dzieliłem jego odczucia. Niemniej jednak lękałem się o niego, lękałem się, że być może tam była jego kotwica, jak Wielka Rodzina była kotwicą Maharet.

- Nie - odpowiedział szybko, potrząsając głową. - To jest jak cofnięcie klątwy. Budzę się i myślę, że muszę zejść na dół do sanktuarium, muszę zapalić kadzidło, przynieść kwiaty, muszę stanąć przed nimi i mówić do nich, muszę starać się ich pocieszyć, jeśli cierpią. Potem zdaję sobie sprawę, że to już się skończyło. Mogę iść, dokąd chcę, i robić, co chcę. - Przerwał, zamyślił

się, znowu popatrzył na światła. - A co z tobą? Czemu ty nie możesz iść, dokąd chcesz?

Chciałbym cię zrozumieć.

- Rozumiesz. Zawsze rozumiałeś. - Wzruszyłem ramionami.

- Płoniesz niezadowoleniem. A my nie możemy cię pocieszyć. Potrzeba ci ich miłości. -

Wskazał nieznacznym gestem na miasto.

- Pocieszacie mnie - odparłem. - Wszyscy. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym was opuścić, w każdym razie nie na długo. Ale wiesz, kiedy byłem na tamtej scenie w San Francisco... - Nie skończyłem. Po co miałbym o tym mówić. To było spełnienie moich największych marzeń, dopóki nie porwała mnie wielka trąba powietrzna.

- Mimo że nigdy ci nie wierzyli? - spytał. - Myśleli, że jesteś zręcznym estradowcem?

Magnezem dla tłumów, jak to mówią?

- Znali moje imię! - odparłem. - To mój głos słyszeli. To mnie widzieli nad światłami rampy.

- Tak więc to po to ta książka, „Królowa potępionych” - pokiwał głową.

Nie odpowiedziałem.

- Zejdź do nas. Pozwól nam dotrzymać ci towarzystwa. Opowiedz nam, co się wydarzyło.

- Widzieliście, co się wydarzyło.

Poczułem jego lekkie zmieszanie, ciekawość, której nie chciał okazać. Nadal mi się przyglądał.

Pomyślałem o Gabrieli, o tym, jak chciała zadać mi pytanie i ugryzła się w język. Wtedy zrozumiałem. Co za głupiec ze mnie, że nie pojąłem tego wcześniej. Chcieli wiedzieć, jakie moce mi przekazała; chcieli wiedzieć, w jakim stopniu jej krew wpłynęła na mnie. A ja trzymałem te sekrety dla siebie, wraz z obrazem trupów rozrzuconych po świątyni Azima, wraz ze wspomnieniem ekstazy towarzyszącej mordowaniu każdego człowieka, który stanął na mojej drodze. A temu wszystkiemu towarzyszyło jeszcze jedno straszne wspomnienie: chwila jej śmierci, kiedy nie użyłem otrzymanej mocy, aby jej pomóc!

Powróciły obsesyjne pytania. Czy widziała mnie leżącego tuż koło niej? Czy wiedziała o tym, że nie przyszedłem jej z pomocą? Czy też jej dusza uleciała, kiedy spadł pierwszy cios?

Mariusz przeniósł wzrok ponad wodę, na łódeczki mknące do portu. Myślał o tym, jak wiele wieków zabrało mu zdobycie posiadanych mocy. Sama transfuzja krwi nie wystarczyła. Dopiero po tysiącu lat potrafił unieść się ku chmurom, jakby był jedną z nich, bez więzów i obaw. Myślał

o tym, jak bardzo nieśmiertelni różnią się między sobą; o tym, że żaden z nich nie wie, jaka moc tkwi w drugim, i być może żaden nie wie, jaka moc tkwi w nim samym.

Był bardzo uprzejmy, ale jeszcze nie mogłem zaufać ani jemu, ani nikomu innemu.

- Słuchaj - powiedziałem. - Pozwól mi jeszcze na trochę żałoby. Pozwól mi na tworzenie mrocznych obrazów i zapisywanie słów dla przyjaciół. Później zjawię się między wami, przyłączę się do was i może zastosuję się do zasad. Przynajmniej do niektórych, kto wie? A co zrobicie, jeśli się nie zastosuję, i czy nie pytałem cię już o to wcześniej?

- Istny potwór z ciebie! - szepnął wyraźnie zaskoczony. - Przywodzisz mi na myśl Aleksandra Wielkiego z tej starej anegdotki. Zapłakiwał się, kiedy zabrakło mu krajów do podbijania.

Zapłaczesz się, kiedy nie będzie zasad, które mógłbyś łamać?

- Ach, przecież zawsze są jakieś zasady.

Roześmiał się pod nosem.

- Spal tę książkę.

- Nie.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, a potem uściskałem go, ciepło i mocno. Uśmiechnąłem się.

Nie wiedziałem, dlaczego to zrobiłem. Był taki cierpliwy i szczery i zaszła w nim jakaś głęboka zmiana, podobnie jak w nas wszystkich. Było w nim jednak - jak i we mnie - coś mrocznego i bolesnego.

Miało to związek z całą walką dobra ze złem, którą pojmował dokładnie tak samo jak ja. To on przed laty nauczył mnie kryteriów. To on powiedział, że po wieczność musimy walczyć z tymi pytaniami i że proste rozwiązanie nie może nas usatysfakcjonować.

Uściskałem go też dlatego, że go kochałem, chciałem być blisko niego i nie chciałem go teraz opuszczać, złego na mnie lub zawiedzionego.

- Będziesz się trzymał zasad, prawda? - zapytał nagle. Groźba zmieszała się z sarkazmem, a może też z odrobiną uczucia.

- Oczywiście! - Znów wzruszyłem ramionami. - Przypomnij mi je jednak, bo zapomniałem. Och, nie tworzymy nowych wampirów, nie oddaliśmy się bez zawiadomienia, sprzątamy ofiary po wyssaniu im krwi.

- Jesteś czartem, Lestacie, masz pojęcie? Jesteś łobuzem.

- Pozwól, że zadam ci pytanie - powiedziałem. Zwinąłem dłoń w pięść i lekko stuknąłem go w ramię.
- Ten twój obraz, „Kuszenie Amadeo”, ten z krypty Talamaski...

- Tak?

- Nie chciałbyś go odzyskać?

- Na bogów, nie. To straszna rzecz, naprawdę. Mój czarny okres, można by rzec. Ale chciałbym, żeby wyciągnęli go z tej cholernej piwnicy. Wiesz, do frontowego holu. Do jakiegoś przyzwoitego miejsca.

Roześmiałem się, a on nagle spowaźniał. Stał się podejrzliwy.

- Lestacie! - rzekł ostro.

- Tak, Mariuszu.

- Zostawisz Talamaskę w spokoju!

- Oczywiście! - Kolejne wzruszenie ramionami. Kolejny uśmiech. Czemu nie?

- Mówię poważnie, Lestacie. Najpoważniej. Nie wsadzaj nosa w sprawy Talamaski. Rozumiemy się, prawda?

- Mariuszu, ciebie niesłuchanie łatwo zrozumieć. Słyszałeś? Zegar wybija północ. O tej porze zawsze udaję się na małą przechadzkę po Nocnej Wyspie. Masz ochotę się dołączyć?

Nie czekałem na odpowiedź. Wychodząc, usłyszałem jedno z tych jego uroczych, wyrozumiałych westchnień.

Północ. Nocna Wyspa śpiewała. Szedłem zatłoczoną galerią. Dżinsowa kurtka, biały podkoszulek, połowa twarzy zakryta wielkimi ciemnymi okularami, dłonie wsunięte w kieszenie dżinsów. Przypatrywałem się zachłannym tłumom wpadającym przez otwarte drzwi, bacznie obserwującym stosy lśniących toreb, jedwabne koszule w plastikowych opakowaniach, szczupłego, czarnego manekina w norkach.

Obok rozmigotanej fontanny, wśród tańczących pióropuszy miriadów kropli, przysiadła na ławce skulona staruszka trzymająca w drżącej ręce dymiący kubeczek kawy. Trudno jej było podnieść go do ust; gdy się uśmiechnąłem, przechodząc obok niej, powiedziała trzęsącym się głosem:

- Kiedy jesteś stary, wcale nie potrzebujesz snu.

Z baru rozbrzmiewała cicha, przyciągająca muzyka. Młode byczki wałęsały się po wypożyczalni wideo; znów żądza krwi! Ochryply hałas i migotania wypożyczalni ustały, kiedy odwróciłem głowę. Przez drzwi francuskiej restauracji dostrzegłem szybki, uwodzicielski ruch kobiety unoszącej kieliszek szampana i usłyszałem stłumiony wybuch śmiechu. Kino było pełne czarno-białych gigantów mówiących po francusku.

Minęła mnie młoda kobieta; ciemna karnacja, rozłożyste biodra, lekko wydęte usta. Żądza, krwi była coraz silniejsza. Poszedłem dalej, zapędzając ją do klatki. Nie potrzebujesz krwi -

powiedziałem sobie w myślach. - Jesteś teraz tak silny jak starsi. - Wciąż ją czułem. Usiadła na kamiennej ławce, nagie kolana sterczały z ciasnej, krótkiej sukienki. Utkwiła we mnie oczy.

Och, Mariusz miał rację, miał rację we wszystkim. Płonałem niezadowoleniem, płonałem samotnością. Chciałem poderwać kobietę z tej ławki, wykrzyknąć: „Wiesz, kim jestem?!” Nie, nie myśl o tym, nie wywabiaj jej stąd, nie rób tego, nie zabieraj jej na biały piasek, daleko poza światła galerii, gdzie skały są niebezpieczne i fale rozbijają się gwałtownie w zatoczce.

Myślałem o tym, co ona powiedziała o nas, o naszym egoizmie, naszej chciwości! Poczulem smak krwi na języku. Ktoś niedługo umrze, jeśli będę się ociągał...

Koniec korytarza. Włożyłem klucz w stalowe drzwi między sklepem z chińskimi dywanami wyrabianymi przez małe dziewczynki a trafiką, której właściciel spał wśród holenderskich fajek, zasłoniwszy twarz gazetą.

Milczącym korytarzem ruszyłem prosto w trzewia willi. Jedno z nich grało na fortepianie.

Słuchałem przez długą chwilę. Pandora. Muzyka jak zawsze miała mroczny, słodki posmak, ale był to nie kończący się początek - temat wiecznie sięgał zwieńczenia, które nigdy nie następowało.

Wszedłem na górę do salonu. Ach, można było zgadnąć, że to dom wampirów; któż inny mieszkałby przy świetle gwiazd i w blasku z rzadka rozstawionych świec? Świetność marmurów i aksamitów, a za oknem nigdy nie gasnąca luna Miami.

Armand nadal grał w szachy z Khaymanem i przegrywał. Daniel leżał ze słuchawkami na uszach i słuchał Bacha, od czasu do czasu spoglądając na czarno-białą szachownicę, by ocenić sytuację.

Na tarasie stała Gabriela, patrzyła w wodę, zatknąwszy kciuki w tylne kieszenie spodni. Była samotna. Podszedłem do niej, ucałowałem w policzek i popatrzyłem w oczy; a kiedy w końcu zdobyłem jej niechętny uśmiech, który był mi tak potrzebny, odwróciłem się i wolno wróciłem do środka.

Mariusz w czarnym skórzanym fotelu czytał gazetę, składając ją niczym dżentelmen w prywatnym klubie.

- Louis wyjechał - powiedział, nie podnosząc wzroku znad gazety.

- Co to znaczy „wyjechał”? - spytałem.

- Do Nowego Orleanu - rzekł Armand wpatrzony w szachownicę. - Do twojego dawnego mieszkania, tego, w którym Jesse widziała Klaudię.

- Samolot czeka - rzucił Mariusz, nadal zatopiony w gazecie.

- Mój kierowca może podwieźć cię na lotnisko - dopowiedział Armand, wciąż skupiony na grze.

- O co wam chodzi? Skąd ta wasza chęć do pomocy? Czemu miałbym lecieć po Louisa?

- Sądzę, że powinieneś ściągnąć go z powrotem - powiedział Mariusz. - Nie powinien przebywać w tym starym mieszkaniu w Nowym Orleanie.

- Mógłbyś się ruszyć i coś zrobić - powiedział Armand. - Zbyt długo już tutaj tkwisz.

- Ach, rozumiem, co za sabat się tu szykuje: rady ze wszystkich stron i wszyscy obserwują się nawzajem kątem oka. A czemu pozwoliliście Louisowi lecieć do Nowego Orleanu? Nie mogliście go zatrzymać?

W Nowym Orleanie wylądowałem o drugiej. Limuzynę zostawiłem na Jackson Square.

Jakie to wszystko było czyste; nowe kocie łby i łańcuchy na bramie, wyobraźcie sobie, żeby pijaczki nie mogły spać na skwerku, jak robiły to dwieście lat temu. Turyści tłoczyli się na Cafe du Monde, gdzie mieściły się nadbrzeżne tawerny. urocze, niespokojne lokale, w których nie dało się nie zapolować, a kobiety dorównywały twardością mężczyznom.

Strasznie mi się tam teraz podobało i chyba zawsze tak będzie. Barwy jakoś się zachowały i nawet w tym przeklętym zimnym styczniu czuło się niezmienną atmosferę tropików. Miało to jakiś dziwny związek z płaskimi ulicami, niskimi budynkami, zawsze ruchomym niebem i pochyłymi dachami lśniącego teraz od kropel lodowatego deszczu.

Z wolna oddaliłem się od rzeki, pozwalając wspomnieniom unieść się z chodników; słuchałem ciężkiej, metalicznej muzyki z Rue Bourbon, a potem zawróciłem w spokojny, wilgotny mrok Rue Royale. Ile razy szedłem tą drogą, wracając znad nadbrzeży, opery czy teatru, ile razy zatrzymywałem się dokładnie w tym miejscu, żeby wsunąć klucz w bramę powozową? Ach, ten dom, w którym przeżyłem okres równy ludzkiemu życiu, dom, w którym dwa razy mało nie umarłem.

Ktoś był na górze, w moim starym mieszkaniu. Stąpał lekko, a jednak słyszałem trzask klepek.

Parterowy sklepik był czysty i ciemny. Za zakratowanymi oknami jak zawsze porcelanowe figuryнки, lalki, koronkowe wachlarze. Podniosłem wzrok ku balkonowi z kutą w żelazie balustradą; wyobraziłem sobie tam Klaudię, unoszącą się na palcach, patrzącą na mnie i zaciskającą małe palce na poręczy. Złote włosy opadają na ramiona, pyszni się długa, fioletowa szarfa. Moja nieśmiertelna sześćioletnia piękność. „Lestacie, gdzie się podziewałeś?” To właśnie robił, nieprawdaż? Wyobrażał sobie takie rzeczy.

W ciszy słyhać było tylko włączone telewizory za zielonymi okiennicami i starymi ścianami zarosłymi bluszczem, głosy zachryple od bourbona: zażartą kłótnię mężczyzny i kobiety w głębi domu po drugiej stronie ulicy.

W pobliżu nie było nikogo; tylko świecące bruki, zamknięte sklepy i wielkie niezgrabne samochody stojące przy krawężniku. Deszcz padał bez końca na skośne dachy.

Nikogo, kto by mnie ujrzał, jak cofam się, a potem jednym kocim susem, w starym stylu, sięgam balkonu i spadam cicho na deski. Zerknąłem przez brudne szyby francuskich drzwi.

Pustka, podrapane ściany, takie, jakie zostawiła Jesse. Okno zabite deską, jakby ktoś kiedyś usiłował się włamać i został przyłapany; woń spalonego drewna zachowana przez te wszystkie lata.

Cicho oderwałem deskę, ale po drugiej stronie był zamek. Czy użyć nowej mocy? Czy zdołam go otworzyć? Czemu myśl o niej, myśl, że w tamtym ostatnim krótkim momencie mogłem jej pomóc, sprawiała mi tyle bólu; myśl, iż mogłem pomóc głowie i ciału zejść się razem, chociaż zamierzała mnie unicestwić, chociaż nie wezwwała mojego imienia.

Popatrzyłem na mały zamek. Obróć się, otwórz - rozkazałem w myślach. Drobny spazm w mózgu. Stare drzwi wyskoczyły z wypaczonej ościeżnicy, zawiasy jęknęły, jakby wessane od środka.

Był w korytarzu, patrzył przez drzwi pokoju Klaudii.

Kurtkę miał być może trochę krótszą, mniej obszerną niż tamte stare surduty, ale tak bardzo przypominał siebie z poprzedniego stulecia, że mój ból pogłębił się nieznośnie. Przez chwilę nie mogłem się ruszyć. Równie dobrze on mógł być duchem. Miał długie, czarne włosy, gęste i

rozwichrzone, jak zawsze w dawnych czasach, a zielone oczy były pełne melancholijnej zadumy.

To idealne dopasowanie do starego kontekstu z pewnością nie było zamierzone. Niemniej jednak był duchem. Był w tym mieszkaniu, w którym Jesse się wystraszyła, w którym pochwyciła starą lodowatą atmosferę na zawsze obecną w mojej pamięci.

Tutaj stuknęło sześćdziesiąt lat piekielnej rodzinie. Sześćdziesiąt lat życia Louisa, Klaudii i Lestata.

Czy gdybym się postarał, usłyszałbym klawesyn? - Klaudia gra swojego Haydna, ptaki śpiewają, ponieważ ten dźwięk zawsze je podniecał, a muzyka wibruje w kryształowych wisiorkach zwisających z malowanych abażurów olejnych lamp i w przeszkadzajkach wiszących przy tylnym wyjściu przed kręconymi żelaznymi schodami.

Klaudia. Twarz z medalionu lub z portreciku na porcelanie trzymanego razem z pukłem włosów w szufladzie. Jakże nienawidziłaby tego wizerunku, tak niemiłego wizerunku. Klaudia, która zatopiła mi nóż w sercu, obróciła go i patrzyła, jak krew ścieka mi po koszuli. „Umrzyj, ojcze.

Położę cię do twojej trumny”.

„Najpierw zabiję cię, mój książę”.

Ujrzałem małe śmiertelne dziecko leżące w brudnych pieluchach; poczułem woń choroby.

Ujrzałem czarnooką królową, nieruchomą na tronie. Całowałem obie te Śpiące Królewny!

„Klaudio, Klaudio, obudź się, Klaudio... Tak jest, kochanie, musisz pić, żeby wyzdrowieć”.

„Akaszo!”

Ktoś mną potrząsał.

- Lestacie - usłyszałem.

Zamęt.

- Ach, Louisie, wybacz mi. - Czarny, zaniedbany korytarz. Zadygotałem. - Jestem tu, bo bardzo martwiłem się... o ciebie.

- Niepotrzebnie - rzekł taktownie. - To była tylko mała pielgrzymka, którą musiałem odbyć.

Pogładziłem go po twarzy, jakże cieplej od krwi ofiary.

- Jej tutaj nie ma, Louisie - powiedziałem. - Jesse się myliła.

- Tak, na to wygląda.

- My żyjemy wiecznie, ale oni nie powracają.

Przyglądał mi się przez długą chwilę, po czym skinął głową.

- Chodź - powiedział.

Poszliśmy długim korytarzem; nie, nie podobało mi się to wszystko, chciałem stamtąd wyjść.

Było to nawiedzone miejsce, ale prawdziwe nawiedzenie to nie zagrożenie przez duchy. To groźba, która wysnuwa się z naszej pamięci. Tu był mój pokój, mój pokój.

Siłował się z tylnymi drzwiami, starając się poruszyć stare, zniszczone przez wilgoć skrzydło.

Gestem wskazałem mu, żeby wyszedł na werandę, i wtedy pchnąłem je z całej siły. Wypaczyły się.

Jakim smutkiem napawał widok zarośniętego dziedzińca, zrujnowanej fontanny, sypiącej się starej, ceglanej kuchni i cegieł zamieniających się z powrotem w ziemię.

- Jeśli chcesz, doprowadzę to wszystko do porządku, żebyś był zadowolony - powiedziałem mu.

- Wiesz, żeby było jak przedtem.

- Teraz to nieważne - odparł. - Przejdziesz się ze mną trochę?

Oddaliliśmy się krytą drogą dla powozów. Gdy się obejrzałem, ujrzałem ją stojącą w białej sukience z niebieską szarfą. Nie patrzyła na mnie. Myślała, że jestem martwy, owinięty w prześcieradła, które Louis wcisnął do powozu. Zabierała moje szczątki, by mnie pochować, ale wciąż tam stała i nasze oczy się spotkały.

Poczułem jego szarpnięcie.

- Nie powinniśmy być tu dłużej.

Zamknął porządnie bramę; a potem bardzo powoli jeszcze raz przesunął wzrokiem po oknach, balkonach i wysokich okienkach poddasza. Czy żegnał się z tym wszystkim? Może nie.

Ruszyliśmy razem Rue Ste. Anne, oddalając się od rzeki. Szliśmy w milczeniu, jak zdarzało się nam wiele razy przedtem. Zimno szczypało go trochę w dłonie. Nie lubił wkładać ich do kieszeni, jak robili to współcześni mężczyźni. Uważał to za nieeleganckie.

Deszcz przeszedł w mżawkę.

- Wystraszyłeś mnie trochę - powiedział w końcu. - Kiedy zobaczyłem cię w korytarzu, wydałeś mi się nierealny, a kiedy zawołałem po imieniu, nie odpowiedziałeś.

- Dokąd idziemy? - spytałem. Zapiąłem kurtkę, nie dlatego, że czułem zimno, ale dlatego, że lubiłem czuć ciepło.

- Jeszcze w jedno miejsce, a potem gdzie sobie życzysz. Chyba z powrotem do domu sabatowego.

Nie mamy wiele czasu. A może zostawiłbyś mnie, żebym pobłąkał się swoimi ścieżkami? Wróć za kilka nocy.

- Nie moglibyśmy powłóczyć się razem?

- Oczywiście - rzekł skwapliwie.

Czego, na Boga, chciałem? Spacerowaliśmy, patrząc na stare werandy i solidne okiennice, na ściany, z których odpadał tynk. Minęliśmy upiorne światła Rue Bourbon, a potem zobaczyłem w oddali grube, bielone mury cmentarza pod wezwaniem św. Ludwika.

Czego ja chciałem? Czemu moja dusza była wciąż obolała, podczas gdy wszyscy osiągnęli jakąś równowagę? Nawet Louis; a przecież mieliśmy siebie nawzajem, jak powiedział Mariusz.

Byłem szczęśliwy, idąc z nim tymi starymi ulicami; ale czemu mi to nie wystarczało?

Jeszcze jedna brama do otwarcia. Przyglądałem się, jak wyłamuje zamek palcami, a potem weszliśmy do małego miasta białych grobów ze szpiczastymi daszkami, urnami, marmurowymi wejściami i wysoką trawą chrzęszczącą pod stopami. Deszcz dodawał blasku każdej płaszczyźnie, a światła miasta wydobywały perłowy połysk z chmur wędrujących cicho nad naszymi głowami.

Próbowałem dojrzeć gwiazdy, ale mi się nie udało. Kiedy opuściłem wzrok, zobaczyłem Klaudię; poczułem dotyk jej ręki.

Znów spojrzałem na Louisa i gdy zobaczyłem, że jego oczy toną w dalekich, zamglonych światłach, zwinąłem się z bólu. Pogładziłem go po twarzy. Był taki wspaniały.

- Błogosławiona ciemność! - powiedziałem nagle. - Błogosławiona ciemność znów przybyła.

- Tak - rzekł smutno - i panujemy w niej jak zawsze.

Czy to nie mogłoby wystarczyć?

Wziął mnie za rękę - jaka teraz była w dotyku? - i poprowadził wąskim przejściem między najstarszymi, najczcigodniejszymi grobowcami; ich dzieje sięgały najstarszych czasów, kiedy to razem włóczyliśmy się po bagnach i żywiliśmy się krwią robotników portowych i rzeźmieszków.

Jego grób. Zdałem sobie sprawę, że patrzę na jego nazwisko wyryte w marmurze wielkimi, staromodnie pochylonymi literami.

Louis de Pointe du Lac

1766-1794

Wsparł się o inny grobowiec, jedną ze świątynek podobną do jego, z kolumnami wspierającymi okap dachu.

- Chciałem tylko jeszcze raz go zobaczyć - powiedział. Dotknął palcem liter.

Poblakły trochę od deszczów i słońca, ale kurz i brud uwydatniły je, zaciemniając każdą literę i cyfrę. Czy myślał o tym, jaki był świat w tamtych latach?

Ja myślałem o jej marzeniach, jej ogrodzie pokoju, w którym kwiaty wyrastałyby z ziemi przesiąkniętej krwią.

- Możemy wracać do domu - rzekł.

Dom. Uśmiechnąłem się. Dotknąłem grobów po obu moich bokach, popatrzyłem na łagodną poświatę miasta na zmierzwiionych chmurach.

- Nie zamierzasz nas opuścić, prawda? - zapytał nagle głosem pełnym niepokoju.

- Nie - powiedziałem. Żałowałem, że nie mogę powiedzieć o wszystkich rzeczach, które były w książce. - Wiesz, byliśmy kochankami, ona i ja, tak prawdziwymi, jak najprawdziwsi śmiertelni kochankowie.

- Oczywiście, że wiem.

Uśmiechnąłem się. Pocałowałem go nagle, poruszony jego ciepłem, łagodną miękkością jego prawie ludzkiej skóry. Boże, jakże nie cierpiałem bieli swoich palców, które mogłyby skruszyć go bez żadnego wysiłku. Ciekawe, czy to wyczuwał. Tak wiele chciałem mu powiedzieć, o tak wiele chciałem go zapytać, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów ani zacząć rozmowy.

On zawsze miał tak wiele pytań, a teraz znał odpowiedzi, być może lepiej, niż kiedykolwiek pragnął. Jaki wpływ miały na jego duszę? Wpatrywałem się w niego. Jaki był doskonały, gdy stał

tak, oczekując uprzejmie i cierpliwie. Nagle wypaliłem jak głupiec:

- Kochasz mnie?

Uśmiechnął się. Och, serce pękało na widok jego twarzy, która nagle złagodniała i rozjaśniła się w uśmiechu.

- Tak.

- Masz ochotę na małą eskapadę? - Serce nagle zaczęło mi walić. To byłoby wspaniałe, gdybyśmy...

- Masz ochotę złamać nowe zasady?

- O co ci chodzi? - szepnął.

Zacząłem się po cichu gorączkowo śmiać. Co to było za cudowne uczucie - śmiać się i obserwować subtelne zmiany na jego obliczu. Naprawdę się zmartwił. A ja nie wiedziałem, czy mi się to uda bez niej. A co, jeśli runę jak Ikar?...

- Och, rusz się, Louisie - powiedziałem. - To tylko mała eskapada. Obiecuję, tym razem żadnych planów co do cywilizacji zachodniej ani nawet zwracania uwagi dwóch milionów fanów muzyki rockowej. Myślę o czymś naprawdę skromnym. Czymś, hm... trochę psotnym. I całkiem eleganckim. Przecież przez ostatnie dwa miesiące byłem okropnie grzeczny, nieprawdaż?

- O czym ty mówisz?

- Jesteś ze mną czy nie?

Znow lekko potrząsnął głową, ale to nie było „nie”. Zastanawiał się, przeczesując palcami włosy. Jakie piękne, czarne włosy. To one właśnie zwróciły moją uwagę; a może to były jego zielone oczy? Nie, myślę się; to był wyraz twarzy: namiętność, niewinność i delikatność sumienia.

To mnie po prostu wzięło!

- Kiedy rozpoczyna się ta mała eskapada?

- W tej chwili - powiedziałem. - Masz cztery sekundy na podjęcie decyzji.

- Lestacie, jest prawie świt.

- Tutaj jest prawie świt.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Louisie, oddaj się w moje ręce. Słuchaj, jeśli mi się to nie uda, nie stanie ci się krzywda. No, nie tak straszna. Wchodzisz w to? Decyduj się. Chcę wyruszyć.

Nie odzywał się ani słowem. Patrzył na mnie tak, że ledwo mogłem ustać w miejscu.

- Tak czy nie?

- Pewnie będę tego żałował, ale...

- W takim razie zgoda. - Zacisnąłem mocno dłonie na jego ramionach i podniosłem go w górę.

Patrzył na mnie osłupiały. Zrobiłem to tak, jakby nic nie ważył. Postawiłem go na ziemi.

- *Mon Dieu* - wyszeptał.

Na co miałem czekać? Gdybym tego nie wypróbował, nigdy bym się nie dowiedział. Powrócił

mroczny, tępy ból; wspomnienie jej, nas wznoszących się razem. Pozwoliłem tamtej chwili odpłynąć. Objąłem go w pasie. Teraz w górę - wydałem rozkaz w myślach. Podniosłem prawą rękę, ale to było niepotrzebne. Wspinaliśmy się w górę szybciej niż wiatr.

Cmentarz wirował w dole, drobna rozciągnięta miniatura samego siebie z małymi plamkami bieli

rozrzucenymi pod ciemnymi drzewami.

Słyszałem, jak zachłysnął się ze zdumienia.

- Lestacie!

- Obejmij mnie mocno za szyję - powiedziałem. - Oczywiście lecimy na zachód, a potem na północ, mamy do przebycia bardzo długą drogę i może gdzieś się zatrzymamy. Tam, dokąd zmierzamy, słońce nie zajdzie przez jakiś czas.

Wiatr był lodowato zimny. Powinienem być przewidzieć, że Louis będzie z tego powodu cierpieć, ale nic po sobie nie pokazał. Wpatrywał się w górę, kiedy przeszywaliśmy wielkie pokłady chmur jak śnieżne mgły.

Kiedy ujrzałem gwiazdy, poczułem, jak przytulił się do mnie mocniej. Jego twarz była idealnie gładka i rozanielona. Jeśli nawet łkał, to wiatr unosił jego głos. Wszelki strach, jaki uprzednio czułem, przepadł bez śladu. Był całkiem zagubiony; otaczała nas kopała niebios, a księżyc w pełni świecił na nieskończone, gęstniejące równiny bieli poniżej.

Nie było potrzeby mówić mu, co ma obserwować lub co zapamiętywać. Zawsze to wiedział.

Całe lata temu, kiedy zastosowałem wobec niego mroczne czary, nie musiałem mu niczego mówić; sam rozsmakowywał się w najdrobniejszych szczegółach. A później twierdził, iż zaniechałem roli przewodnika. Czyżby nie wiedział, że było to niepotrzebne?

Teraz dryfowałem, mentalnie i fizycznie; czując go przytulonego, lecz pozbawionego ciężaru, jedynie jego czystą istotę, Louisa należącego do mnie i będącego ze mną. Żadnego ciężaru.

Drobną częścią umysłu ustalałem kurs, tak jak ona mnie uczyła, i przy okazji wspominałem wiele rzeczy; na przykład nasze pierwsze spotkanie w nowoorleańskiej tawernie. Był wtedy pijany i kłótniwy. Wywabiłem go na dwór. W ostatniej chwili, kiedy osuwał mi się w ramiona, zamykając oczy, rzekł:

- Kim jesteś?!

Wiedziałem, że wrócę po niego przed zachodem słońca, że znajdę go, choćbym miał przeszukać całe miasto, chociaż zostawiłem go na wpół martwego na ulicznym bruku. Musiałem go mieć, musiałem. Tak samo jak musiałem mieć wszystko, czego zapragnąłem, i musiałem zrobić wszystko, co chciałem. Na tym polegał mój problem i nic, czego dzięki niej zaznałem - ani cierpienia, ani moc, ani groza - nie mogło tego zmienić.

* * *

Cztery mile do Londynu.

Godzina do zachodu słońca. Leżeliśmy na trawie, w chłodnym mroku pod dębem. Z wielkiej rezydencji w środku parku dochodziło słabe światło. Małe, głęboko osadzone gomółkowe okna

wydawały się zatrzymywać wszystko w środku. Było tam przytulnie i zachęcająco. Półki zastawione książkami, migotanie ognia w wielu kominkach, dym buchający w zamgloną ciemność.

Od czasu do czasu jakiś samochód przesuwał się krętą drogą za bramą frontową. Reflektory muskały królewską fasadę starego budynku, odsłaniając gargulce, ciężkie luki nad oknami i lśniące kołatki na masywnych drzwiach wejściowych. Zawsze lubiłem te stare, europejskie domiszczka, zajmujące z bliska cały widnokrąg; nic dziwnego, że zapraszają duchy umarłych do powrotu.

Louis usiadł, rozejrzył się wkoło, a potem z pośpiechem otrzepał kurtkę z trawy. Spał wiele godzin na pierś wiatru, można by rzec, w miejscach, gdzie odpoczywałem, czekając na obrót Ziemi.

- Gdzie jesteście? - szepnął z lekką nutką niepokoju.

- Macierzysty Dom Talamaski pod Londynem - rzekłem. Leżałem na plecach, z rękami pod głową. Światła na strychu. Światła w salonach na pierwszym piętrze. Zastanawiałem się, co będzie największą frajdą?

- Co my tu robimy?

- To eskapada, mówiłem ci.

- Zaczekał. Chyba nie zamierzasz tam wchodzić.

- Nie? Oni mają w piwnicy dziennik Klaudii i obraz Mariusza. Wiesz o tym, prawda? Jesse wam opowiedziała.

- Co zamierzasz? Włamać się i grzebać w piwnicy, aż znajdziesz, czego chcesz?

- Przecież to żadna frajda, no nie? - roześmiałem się. - Raczej jakaś ponura harówka. Poza tym tak naprawdę nie chcę tego dziennika. Niech go sobie mają. Należał do Klaudii. Chcę porozmawiać z Dawidem Talbotem, ich przywódcą. Wiesz, to jedyni śmiertelni na świecie, którzy naprawdę w nas wierzą.

Ból ukąsił mnie od wewnątrz. Nie zwracaj na niego uwagi. Zaczyna się ubaw.

Przez chwilę Louis był tak wstrząśnięty, że nie mógł odpowiedzieć. To było cudowniejsze, niż sobie wyobrażałem.

- Chyba nie mówisz poważnie - powiedział. Z każdym słowem był coraz bardziej oburzony. -

Lestacie, zostaw tych ludzi w spokoju. Oni uważają Jesse za umarłą. Dostali list od jej krewniaczki.

- Tak, oczywiście. Nie będę zmieniał ich poglądów co do tej ponurej sprawy. Czemu miałbym to robić? Ten człowiek, który przyszedł na koncert... Dawid Talbot, ten starszy z nich... on mnie fascynuje. Chciałbym się dowiedzieć... Ale po co o tym mówić. Czas zajrzeć do niego i się przekonać.

- Lestacie!

- Louisie! - Przedrzeźniałem jego ton. Wstałem i pociągnąłem go za rękę, nie dlatego że potrzebował pomocy, ale dlatego że przeszywał mnie płomiennym wzrokiem, opierał mi się i próbował znaleźć sposób, by mnie kontrolować, co było po prostu stratą czasu.

- Lestacie, Mariusz wpadnie w szal, kiedy się o tym dowie! - rzekł z całą szczerością. Rysy mu się wyostrzyły, a ciemnozielone, przenikliwe oczy gorzały cudownym ogniem. - Kardynalna zasada brzmi...

- Louisie, dzięki tobie cała ta sprawa nabiera nieodpartego uroku! - powiedziałem.

Wziął mnie za ramię.

- Co z Maharet? To byli przyjaciele Jesse!

- A co ona może mi takiego zrobić? Pośle Mekare, żeby rozbiła mi głowę jak skorupkę jajka!

- Jesteś naprawdę nie do wytrzymania! - powiedział. - Czy niczego się nie nauczyłeś?!

- Idziesz ze mną czy nie?

- Nie wejdiesz do tego domu!

- Widzisz tamto okno? - Objąłem go w pasie, aby nie mógł się ode mnie uwolnić. - W tym pokoju jest Dawid Talbot. Pisał w swoim dzienniku przez jakąś godzinę. Jest bardzo zaniepokojony. Nie rozumie, co się z nami stało. Wie, że zaszło coś dziwnego, ale nigdy nie zdoła dociec prawdy. A my wejdziemy do jego sypialni przez małe okienko po lewej stronie.

Zaprotestował tylko raz, bardzo słabo, a ja już skupiałem się na oknie, starając się wyobrazić sobie zamek. Ile metrów miałem do pokonania? Poczulem znany spazm i zobaczyłem, jak tam wysoko otwiera się prostokątik gomółkowego szkła. Louis też to ujrzał i wtedy wzmocniłem uścisk i poderwałem się w górę. W jednej chwili byliśmy w środku. Mała komnatka w elżbietańskim stylu z ciemną boazerią, przyjemnymi stylowymi meblami i ogniem wesoło buzującym na kominku.

Louis był wściekły. Przeszywał mnie wzrokiem, poprawiając strój krótkimi gestami wyrażającymi furję. Podobał mi się ten pokój. Książki Dawida Talbota; jego łóżko.

A sam gospodarz wpatrywał się w nas przez na wpół uchylone drzwi gabinetu. Siedział tam w świetle lampki z zielonym abażurem stojącej na biurku. Miał na sobie dobrze skrojoną bonzurkę z szarego jedwabiu, przewiązaną w pasie. W dłoni trzymał pióro. Był tak nieruchomy jak leśne stworzenie czujące drapieżnika i zamierzające nieuchronnie rzucić się do ucieczki.

Ach, to było naprawdę cudowne!

Przyglądałem mu się przez chwilę; ciemnosiwie włosy, przejrzyste, czarne oczy, pięknie porysowana zmarszczkami twarz, bardzo wyrazista, tchnąca ciepłem. Inteligencja tego mężczyzny rzucała się w

oczy. Wszystko idealnie odpowiadało opisowi Jesse i Khaymana.

Wszedłem do gabinetu.

- Zechcesz mi wybaczyć - powiedziałem. - Winienem zapukać do drzwi frontowych. Ale chciałem, by nasze spotkanie miało charakter ściśle prywatny. Oczywiście wiesz, kim jestem.

Odebrało mu mowę.

Spojrzałem na biurko. Nasze akta, teczki z manilowego papieru z różnymi znajomymi nazwami i starannie zapisanymi nazwiskami: „Teatr Wampirów”, „Armand”, „diabeł Benjamin”. „Jesse”.

Jesse. Obok teczki list od Maharet, ciotki Jesse. Informacja o śmierci.

Czekałem, zastanawiając się, czy powinienem zmusić go, by odezwał się pierwszy. Nie należało to do repertuaru moich ulubionych zagrań. Przyglądał mi się bardzo pilnie, nieskończenie bardziej pilnie niż ja jemu. Zapamiętywał szczegóły mojego wyglądu, korzystając z wyuczonych sposobów, służących temu, aby móc po fakcie zaczerpnąć z zasobów pamięci, bez względu na to, jak wielki był szok w trakcie danego przeżycia.

Wysoki, nie przyciężki ani też szczupły. Słuszna budowa ciała. Duże, znakomicie ukształtowane dłonie. Do tego doskonale przystrzyżony, uczesany i ogolony. Iście angielski dżentelmen; wielbiciel tweedów, skóry, ciemnych lasów, herbaty, wilgoci, mrocznego parku za murami i cudownej harmonii panującej w tym domu.

Sprzyjał mu też jego wiek; liczył sobie sześćdziesiątkę. Wiedział rzeczy, o których młodszy ludzie nie mogli mieć pojęcia. Był współczesnym odpowiednikiem Mariusza. Tak naprawdę nie był

wcale stary jak na dwudzieste stulecie.

Louis wciąż był w sąsiednim pokoju, ale Talbot wiedział o jego obecności. Spojrzał ku drzwiom, a potem znowu na mnie. Następnie wstał i zupełnie mnie zaskoczył. Wyciągnął dłoń.

- Jak się miewasz? - rzekł.

Roześmiałem się. Ująłem jego dłoń i wymieniłem z nim męski i uprzejmy uścisk, obserwując jego reakcję, jego zaskoczenie, kiedy poczuł chłód mojego ciała wyzbytego życia w każdym konwencjonalnym znaczeniu tego słowa.

Był wystraszony aż miło, ale był też niesłychanie ciekawy, niesłychanie zaintrygowany.

- Jesse nie umarła, prawda? - zapytał bardzo miłym i grzecznym tonem.

To niesłychane, co Anglicy potrafią zrobić z językiem, ile niuansów kryją ich uprzejme zwroty.

To niewątpliwie najdoskonalsi dyplomaci na świecie. Przez chwilę zastanawiałem się jacy są ich gangsterzy. Wyczuwałem w nim wielki smutek po Jesse. Kimże ja byłem, aby lekceważyć rozpacz

innej istoty? Spojrzałem na niego z powagą.

- O, tak - powiedziałem. - Nie miej żadnych złudzeń. Jesse nie żyje. - Wytrzymałem jego spojrzenie bez drgnienia; nie mogło być mowy o nieporozumieniu. - Zapomnij o Jesse.

Skinął nieznacznie głową, na moment odwracając wzrok, a potem znów spojrzał na mnie z taką samą jak poprzednio ciekawością.

Zrobiłem małe kółeczko w środku pokoju. Ujrzałem w głębi Louisa, stojącego w cieniu, obok kominka w sypialni i patrzącego na mnie z niesłychanym zaciętrzewieniem i naganą. Nie była to jednak okazja do śmiechu. W ogóle nie było mi do śmiechu. Myślałem o czymś, co powiedział mi Khayman.

- Mam do ciebie pytanie - rzekłem.

- Tak.

- Jestem tu. Pod twoim dachem. Załóżmy, że kiedy wszędzie słońce, ja udam się na dół do piwnicy i zapadnę tam w nieświadomość. Wiesz. - Zrobiłem drobny gest. - Co byś zrobił?

Zabiłbyś mnie we śnie?

Zastanawiał się nad tym nie dłużej niż dwie sekundy.

- Nie.

- Przecież wiesz, kim jestem. Nie masz co do tego najmniejszych wątpliwości, prawda? Czemu byś tego nie zrobił?

- Z wielu przyczyn - powiedział. - Chciałbym się czegoś o tobie dowiedzieć. Chciałbym z tobą porozmawiać. Nie, nie zabiłbym cię. Nic nie mogłoby mnie do tego zmusić.

Przyglądałem mu się. Mówił absolutną prawdę. Nie przeprowadzał żadnych kalkulacji na ten temat. Po prostu zabicie mnie, istoty tak tajemniczej i starej, uznałby za rzecz przerażająco haniebną i niegodną.

- Właśnie tak - powiedział z drobnym uśmiechem.

Potrafił czytać w myślach, jednak jego umiejętności nie były wielkie. Czytał tylko powierzchowne myśli.

- Nie bądź tego tak pewien - znów odezwał się z niezwykłą uprzejmością.

- Drugie pytanie.

- Proszę bardzo. - Był niezwykle zaintrygowany. Strach rozpląnął się całkowicie.

- Czy chcesz otrzymać Mroczny Dar? Wiesz. Czy chciałbyś zostać jednym z nas? - Kątem oka widziałem, jak Louis kręci głową, a potem odwraca się plecami. - Nie mówię, że kiedykolwiek bym ci go dał. Najpewniej nie. Ale czy go chcesz? Gdybym był chętny, przyjąłbyś go ode mnie?

- Nie.

- Och, daj spokój.

- Nie przyjąłbym go i za milion lat. Bóg mi świadkiem.

- Nie wierzysz w Boga, wiesz o tym.

- To tylko formuła. Przekonanie jest szczere.

Uśmiechnąłem się. Miał taką sympatyczną, pełną życia twarz. A ja czułem niezwykle rozradowanie. Krew szumiała mi w żyłach z nowym wigorem. Zastanawiałem się, czy on to wyczuwa; czy choć trochę przestałem wyglądać jak potwór? Czy pojawiły się te drobne oznaki człowieczej powierzchowności, widziane przeze mnie u innych osobników naszego gatunku, kiedy przeżywali uniesienie lub byli czymś zaabsorbowani?

- Nie sądzę, by zmiana zdania zajęła ci milion lat - powiedziałem. - Tak naprawdę nie masz tyle czasu, jeśli się dobrze nad tym zastanowić.

- Nigdy nie zmienię zdania. - Uśmiechnął się bardzo szczerze. Trzymał w dłoniach pióro. Przez krótką chwilę bawił się nim nieświadomie, po czym znów znieruchomiał.

- Nie wierzę ci - powiedziałem. Rozejrzałem się po pokoju; przyjrzałem się małemu holenderskiemu obrazkowi w lakierowanej ramie: dom w Amsterdamie nad kanałem.

Popatrzyłem na szron na oknach. Nie dało się za nim nic ujrzeć. Nagle ogarnął mnie smutek, tyle że już nie tak dokuczliwy jak poprzednio. Był akceptacją gorzkiej samotności, która mnie tu sprowadziła, neodpartego pragnienia, z którym się zjawiłem, aby stanąć w tej małej komnatce i poczuć na sobie jęgo wzrok; aby usłyszeć, jak mówi, że wiem, kim jestem.

Ogarnęła mnie melancholia. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

- Tak - odezwał się skromnie. - Naprawdę wiem, kim jesteś.

Spojrzałem na niego i nagle zebrało mi się na płacz. Doprowadziło mnie do takiego stanu ciepło panujące w tym pokoju, zapach przedmiotów należących do ludzi, widok żywego człowieka stojącego za biurkiem. Przełknąłem ślinę. Nie zamierzałem stracić opanowania, to byłoby głupie.

- To naprawdę fascynujące - powiedziałem. - Nie zabiłbyś mnie. I nie chciałbyś stać się kimś takim jak ja.

- Zgadza się.

- Nie. Nie wierzę ci - powiedziałem po raz wtóry.

Drobny cień przebiegł mu przez twarz, ale to był ciekawy cień. To była obawa, że dostrzegłem w nim jakąś słabość, której on sam nie był świadomy.

Sięgnąłem po jego pióro.

- Pozwolisz? I kartkę papieru?

Podał mi natychmiast jedno i drugie. Siadłem za biurkiem na fotelu gospodarza. Wszystko było bez zarzutu - suszka, mały skórzany kubeczek, w którym trzymał pióra, nawet teczki z manilowego papieru. Bez zarzutu jak on sam, przyglądający mi się na stojąco, kiedy pisałem.

- To numer telefonu - powiedziałem. Wsunąłem mu do ręki kawałek kartki. - Paryski numer adwokata, który zna mnie pod prawdziwym nazwiskiem, Lestat de Lioncourt, będącym, sądzę, w twoich aktach? Oczywiście adwokat nie wie o mnie tego, co ty wiesz, ale może do mnie dotrzeć.

A raczej, to ja zawsze jestem z nim w kontakcie.

Nic nie powiedział, ale popatrzył na świstek i zapamiętał numer.

- Zatrzymaj to - powiedziałem. - Kiedy zmienisz zdanie, kiedy zapragniesz zostać nieśmiertelnym i będziesz chętny to wyznać, zadzwoń. Wtedy powrócę.

Już miał zaprotestować. Gestem nakazałem mu milczenie.

- Nigdy nie wiesz, co się może stać - powiedziałem. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i skrzyżowałem ręce na piersi. - Możesz się przekonać, że cierpisz na śmiertelną chorobę; możesz zostać kaleką po nieszczęśliwym upadku. Może zaczniesz mieć koszmary, w których będziesz trupem, nic nie znaczącym strzępem ścierwa. To nieważne. Kiedy zdecydujesz się na to, co mam do zaproponowania, dzwoń. I pamiętaj, proszę, nie twierdź, że ci to dam. Może nigdy tego nie uczynię. Mówię tylko, że kiedy zdecydujesz, że chcesz to mieć, rozpocznie się dialog.

- On już się zaczął.

- Nie, nie zaczął się.

- Nie sądzisz, że powrócisz? - zapytał. - Myślę, że zrobisz to bez względu na mój telefon.

To było kolejne małe zaskoczenie. Poczułem drobne ukłucie ponizenia. Mimo wszystko uśmiechnąłem się do niego. Był bardzo interesującym człowiekiem.

- Ty mocny w gębie angielski draniu - powiedziałem. - Jak śmiesz odzywać się do mnie z takim pobłażaniem? Może powinienem zabić cię od razu.

To mi się udało. Był wstrząśnięty. Ukrywał to całkiem nieźle, ale widziałem, co trzeba. Poza tym wiedziałem, jak przerażający może być mój wygląd, zwłaszcza kiedy się uśmiechałem.

Doszedł do siebie zadziwiająco szybko. Złożył świstek i wsunął go do kieszeni.

- Zechciej przyjąć moje przeprosiny - powiedział. - Chciałem rzec, że liczę na twój powrót.

- Zadzwoń. - Przyglądaliśmy się sobie przez długą chwilę. Wreszcie znów uśmiechnąłem się nieznacznie i wstałem, szykując się do odejścia. Rzuciłem okiem na biurko.

- Dlaczego nie mam własnej teczki? - spytałem.

Na chwilę jego twarz straciła wszelki wyraz, a następnie cudownym sposobem znów odzyskał kontenance.

- Przecież masz książkę! - Wskazał Wampira Lestata na półce.

- Och, tak, zgadza się. No cóż, dzięki za przypomnienie. - Zawahałem się. - Ale, wiesz, wydaje mi się, że powinienem mieć własną teczkę.

- Zgadzam się z tobą. Natychmiast ją założę. To była zawsze tylko kwestia... czasu.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby się cicho nie roześmiać. Skłoniłem się lekko na pożegnanie, a on z wdziękiem odpowiedział mi tym samym.

Potem przemknąłem obok niego tak szybko, jak tylko potrafiłem, złapałem Louisa, wyskoczyłem natychmiast przez okno i uniosłem się nad ziemią, aż opadłem na pusty odcinek londyńskiej drogi.

Było tu ciemniej i zimniej pod tymi dębami zasłaniającymi księżyc. Czułem się cudownie.

Nigdzie nie było mi cudowniej niż w całkowitym mroku! Stałem z rękami w kieszeniach, spoglądając z daleka na mglistą aureolę wiszącą nad Londynem i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

- Och, to było cudowne, idealne! - powiedziałem, zacierając ręce, a potem złapałem dłonie Louisa, jeszcze zimniejsze niż moje.

Wyraz jego twarzy wprowadził mnie w upojenie. Czułem, że zaraz dostanę prawdziwego ataku śmiechu.

- Jesteś draniem, rozumiesz?! - powiedział. - Jak mogłeś zrobić coś takiego temu biedakowi?

Czart z ciebie, Lestacie. Powinieneś zostać przykuty do ściany w lochu!

- Och, daj spokój, Louisie - powiedziałem. Nie potrafiłem przestać się śmiać. - Czego się po mnie spodziewałeś? Poza tym facet jest badaczem zjawisk nadprzyrodzonych. Nie dostanie hysia. Czego wszyscy się po mnie spodziewają? - Objąłem go za ramię. - Daj spokój, chodźmy do Londynu. To długi marsz, ale jest wcześnie. Nigdy nie byłem w Londynie. Wyobrażasz sobie?

Chcę zobaczyć West End i Mayfair, i Tower, tak, przede wszystkim chodźmy do Tower. Chcę nakarmić się w Londynie! Rusz się.

- Lestacie, tu nie ma nic do śmiechu. Mariusz będzie wściekły. Wszyscy będą wściekli!

Mój atak śmiechu osiągnął apogeum. Ruszyliśmy drogą, obierając dobre tempo. Maszerowanie to była prawdziwa frajda. Nic nigdy nie zastąpi tej zwyczajnej czynności, kiedy czuje się ziemię pod stopami, słodką woń z pobliskich kominów i wilgotny chłód głębokiej zimy ukrytej w lasach. Och, to było cudowne. A kiedy dotrzemy do Londynu, sprawi się Louisowi przytulne, zimowe palto z futrzanym kołnierzem, aby było mu równie ciepło jak teraz mnie.

- Słyszysz, co mówię do ciebie? - powiedział. - Przeszłość nie nauczyła cię niczego, prawda?

Jesteś jeszcze bardziej niepoprawny, niż byłeś!

Znów zacząłem się śmiać, nie mogąc nad sobą zapanować.

Potem, trzeźwiejąc nieco, zacząłem przypominać sobie twarz Dawida Talbota w chwili, w której rzucił mi wyzwanie. No cóż, może miał rację. Wrócę. Kto mówi, że nie mogę wrócić i porozmawiać z nim, jeśli mi się zachce? Kto? W takim razie powinienem dać mu troszeczkę czasu, żeby pomyślał o tym numerze telefonu i stracił zimną krew.

Gorycz znów powróciła, a wraz z nią wielki, usypiający smutek, który nagle zagroził mojemu małemu triumfowi. Nie mogłem na to pozwolić. Ta noc była tak piękna. Diatryba Louisa stawała się coraz bardziej zażarta i zabawna.

- Z ciebie diabeł wcielony, Lestacie! - mówił. - Oto twoje prawdziwe oblicze! Diabeł z ciebie jak się patrzy!

- Tak, wiem - powiedziałem, patrząc na niego z rozkoszą, widząc, jak gniew dodaje mu życia. -

Bardzo lubię słuchać, jak to mówisz, Louisie. Nie mogę się bez tego obejść. Chyba nikt nie potrafiłby powiedzieć tego tak jak ty. No, dalej, powtórz to. Jestem diabłem wcielonym. Powiedz mi, jaki jestem niedobry. Nic nie sprawi mi większej frajdy!